PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY. — TOM LXXVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1903.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1903.

DON LORENZO PEROSI A ORATORYM MUZYCZNE.

Było to na wiosnę r. 1899. Plac przed starożytną bazyliką św. Ambrożego w Medyolanie ożywiony był ludem i cały prawie zajęty powozami. Skoro się ściemniło bramy świątyni otwarły się na oścież, smugi światła elektrycznego z wnętrza świątyni padły na cisnące się do kościoła tłumy, wnet obszerna świątynia napełniła się po brzegi. W skupieniu ducha oczekiwano chwili, w której odezwą się pierwsze tony zapowiadanego od dawna, a z niesłychanym sukcesem przed kilku miesiącami w Rzymie w kościele Dwunastu Apostołów wykonanego oratoryum *La risurrezione di Cristo.* Niezadługo kwartet smyczkowy rozpoczyna smętne nader i rzewne preludyum, malujące uczucia duszy chrześcijańskiej wobec śmierci Zbawiciela. Chór stłumionych trąb łączy się z tonami skrzypiec i fletów, akordami grozy pełnymi daje wyraz bólu i smutku, a historyk solista żałośnie wygłasza o Chrystusie: *emisit Spiritum.* Wnet słyszysz trzęsienie ziemi — skały pękają — zasłona się rozdziera — groby się otwierają... chór z przerażeniem woła: „Zaprawdę, był to Syn Boży!“ Następnie chór niewiast śpiewa cichutko, *a fior di labbra,* hymn *Crux fidelis.* Orkiestra rozpoczyna rodzaj marsza żałobnego, towarzyszącego pochodowi z ciałem Chrystusowem do grobu. Tkliwy i duszę do głębi przejmujący duet dwóch Maryi, *plange quasi virgo,* porywa słuchaczy, którzy oddech w piersi tamują, by żadnej nie uronić nuty; niejedno oko łzą zachodzi, wzruszenie ogarnia wszystkich. Wtem odzywają się radosne tony hymnu

zmartwychwstania, najpierw po cichu, potem coraz potężniej, aż cała orkiestra łączy się z chórem śpiewaków, by zagrzmieć wielkosobotniem *Alleluja*. Na chwilę treny Maryj, patrzących na próżny grób, przerywają radość wielkanocną. Wnet jednak ukazujący się Zbawiciel daje hasło do tem większej radości, do tem liczniejszych *Alleluja*.

Oratoryum się skończyło. Wrażenie było ogromne. Imię ks. Perosi'ego, kompozytora i dyrygenta usłyszanego co dopiero arcydzieła podawano z ust do ust. Na placu przed kościołem głośno dawano wyraz uniesieniu. Nucono to słabiej to głośniej radosne motywa wielkanocnego *Alleluja*. Z wesołymi śpiewami mieszały się okrzyki agentów, sprzedających portrety autora i wołających: Perosi! Perosi!

Skromny kapłan, którego w kościele nikt nie widział, gdyż dyrygował za wielkim ołtarzem, przeszedł prawie niepostrzeżony wśród tłumu, wsiadł do zamkniętego powozu i odjechał do pałacu arcybiskupiego, gdzie zamieszkiwał.

Niespodziewanie, jak kometa, ukazał się ks. Perosi na horyzoncie muzycznym. Przed kilku laty znali go zaledwie muzycy z powołania — dzisiaj imię jego głośne w całym cywilizowanym świecie także wśród amatorów. Wiedeń, Paryż, Drezno podziwiały jego dzieła — niezadługo i Warszawa usłyszy ostatni jego poemat symfoniczno-wokalny *Mosè* pod batutą samego mistrza. Słuszną rzeczą, byśmy przypatrzyli się jego życiu i jego dziełom.

* * *

I.

Ks. Wawrzyniec Perosi urodził się w Tortonie 21 grudnia 1872 r. Bardzo rychło okazały się pierwsze znaki jego niezwykłego talentu muzycznego. Otoczenie rodzinne, w jakiem wzrastał, przyczyniało się nie tylko do rozwoju pięknego talentu, ale i do ugruntowania ducha wiary i pobożności, z których później miał czerpać natchnienie do swych utworów kościelnych i religijnych. Począwszy od ojca, dyrygenta katedralnego w Tortonie, poważnego i uczonego muzyka, w całej rodzinie Perosich

zamiłowanie do muzyki łączyło się zawsze z uczuciem głębokiej i szczerej pobożności. Dwóch braci ks. Wawrzyńca — będący także dobrymi muzykami — są kapłanami.

Młody Wawrzyniec od szóstego do siedmnastego roku życia, prócz ojca swego, nie miał innego mistrza. Uczył się najpierw na fortepianie, następnie na organach, która to królowa instrumentów muzycznych odtąd jego ulubienicą się stała. Aby jak najprędzej wydoskonalić się w grze pedałowej, zawiesił do fortepianu pedał organowy, na którym przez całą jedną zimę ćwiczył fugi Bacha.

Po ojcu swym odziedziczył zamiłowanie do muzyki liturgicznej — tak bardzo niestety przedtem we Włoszech zaniedbanej, a tak świetnie dzisiaj z udziałem ks. Perosi'ego podnoszonej i reformowanej.

Mając lat czternaście dostał do rąk arcydzieło Carissimi'ego, kompozytora rzymskiego z siedmnastego wieku, pod tytułem *Il sacrifizio di Jephte.* Nie odłożył go prędzej, aż nie umiał go na pamięć. Kilkanaście lat później, w czasie odwiedzin u literata muzycznego z Lipska, Benona Geigera, bawiącego wówczas w Wenecyi, przypomniał sobie Perosi wspomniane co dopiero oratoryum Carissimi'ego i powiedział: „Gdy dzieckiem prawie jeszcze byłem, postanowiłem napisać oratoryum podobne do Jefty, które odtąd ciągle jako ideał tego rodzaju muzyki stało mi przed oczyma“ [1].

Piętnastoletniego chłopca zawiózł ojciec do Rzymu, gdzie profesorowie muzycznego liceum podziwiali biegłość młodego Perosi'ego na fortepianie, jego talent kompozytorski i rzadki dar improwizowania. Wtenczas to pierwszy raz ujrzał on Ojca św. Leona XIII. Któżby był śmiał twierdzić, że ta sama dostojna ręka, która wtedy go błogosławiła, podpisze w dwanaście lat później nominacyę jego na dyrygenta kapeli Sykstyńskiej i wręczy mu zarazem złoty medal *pro Ecclesia et Pontifice?*

Przez kilka miesięcy posyłał swe ćwiczenia kontrapunkty-

[1] *Neue Zeitschrift für Musik.* Lipsk. C. F. Kahnt Nachf. R. 68 nr. 21/22, str. 277.

czne do Michała Saladina, profesora przy konserwatoryum medyolańskiem, który zwykle bez żadnej poprawki mu je odsyłał.

W r. 1890 na wezwanie Benedyktyna O. Amelli'ego udał się Perosi do klasztoru w Montecassino, by objąć profesurę muzyki w seminaryum i w kollegium tamtejszem. Pobyt w tym klasztorze miał wielki wpływ na wykształcenie jego muzyczne i na późniejsze powołanie jego do stanu duchownego. W liście opata z Montecassino pisanym do Msgr Granito di Belmonte, radcy nuncyatury paryskiej, z okazyi wykonania oratoryum Perosi'ego *La Risurrezione di Cristo* w Paryżu przed dwoma laty, czytamy następne ciekawe szczegóły o tymże pobycie we wspomnianym klasztorze [1]:

Gdy ten siedmnastoletni młodzieniaszek, który wówczas wyglądał na lat piętnaście, przybył do klasztoru naszego, zdawało nam się w pierwszej chwili rzeczą zbyt ryzykowną, by powierzyć mu nauczanie muzyki, wymagające, prócz wiedzy, doświadczenia i powagi.

„Lecz skoro Renzo [2] zaczął grać na fortepianie, wnet przekonaliśmy się, że pod powłoką ciała delikatnego ukryty był nie tylko biegły pianista, ale prawdziwy artysta, któremu głęboka nauka, świetny talent i bujna fantazya już wówczas niezwykłą rokowały sławę w przyszłości.

„W krótkim czasie uprzejmością swą i wesołem usposobieniem, akuratnością, cierpliwością i zdolnością pozyskał nie tylko serca uczniów, którzy w krótkim czasie zadziwiające w muzyce robili postępy, ale także zaufanie i miłość zakonników. Czas wolny od lekcyi poświęcał dalszemu kształceniu się w muzyce. Wykonywał przedewszystkiem utwory fortepianowe Bacha, Beethovena, Mendelssohna i Chopina. W kościelnej muzyce kształcił się na dziełach Palestriny, Gabrielego, Wiktorii, Orlanda Lassa i innych. Także i stąd posyłał co tydzień swe prace kontrapunktyczne do dawnego mistrza swego Saladina w Medyolanie.

---

[1] List niniejszy publikowany został przez t. zw. *Tribune de S. Gervais* w Paryżu.

[2] Skrócenie imienia *Lorenzo,* Wawrzyniec.

Chociaż w Montecassino żadnego mistrza nie miał, to przecież poznał tutaj śpiew gregoryański ze starych rękopisów, nauczył się rozumieć go i wykonywać wedle prawdziwych tradycyi benedyktyńskich. Tak śpiew ten pokochał, że ani na chwilę nie rozłączał się prawie z księgą graduału. Z śpiewu św. Grzegorza czerpał najszczęśliwsze natchnienia do swych utworów religijnych, czem się tłumaczy ich odrębny, od oratoryów innych mistrzów je korzystnie odróżniający, charakter.

„Często Renzo zasiadał do organów, towarzyszył na nich nader poprawnie śpiewowi hymnów, z rzadkim talentem wykonywał utwory klasyczne, często zaś genialnie i z wielką łatwością improwizował. Nie zapomnimy nigdy zeszłorocznej nocy Bożego Narodzenia, wśród której podczas pasterki przecudną, tajemnicą przyjścia na świat Syna Bożego natchnioną improwizacyą wzruszył i porwał za sobą słuchaczy".

Po całorocznym pobycie w Montecassino opuścił zacisze klasztorne, by powrócić do domu rodzicielskiego, gdzie przyszło mu załatwić się z wojskowością. Z głębokim żalem opuszczał ukochanych zakonników. Odtąd zawsze pozostał w jak najserdeczniejszych z nimi stosunkach.

Zapisawszy się w r. 1892 na kursa w konserwatoryum muzycznem w Medyolanie, złożył tamże po d w ó c h miesiącach świetny egzamin w harmonii, w kontrapunkcie i we fudze.

W styczniu roku następnego udał się Perosi, otrzymawszy stypendyum od kilku mecenasów sztuki — a zwłaszcza od hr. Franciszka Lurani, do Ratyzbony, gdzie przez pół roku pod kierunkiem ks. dra Franciszka Xawerego Haberla, wydawcy wszystkich dzieł Palestryny, ćwiczył się w kontrapunkcie wokalnym i w dyrygowaniu muzyką kościelną. Po ukończeniu sześciomiesięcznego kursu w kościelnej szkole muzycznej w Ratyzbonie powrócił do swej ojczyzny. Wnet jednak odebrał od ks. dr. Haberla zaproszenie, by objął profesurę gry organowej we wspomnianej szkole. Wolał jednak nie odłączać się od rodziny i nie opuszczać stron ojczystych — lecz przyjąć skromną posadę nauczyciela śpiewu w seminaryum duchownem w Imoli. Pan Bóg kierował tutaj widocznie jego wolą. Nie tylko bowiem

wprawił się on tamże w obchodzeniu się z głosami i w kierowaniu chórami, ale, co najgłówniejsza, usłyszał w duszy swej inny głos, dawno tłumiony, a wołający go teraz gwałtownie do stanu kapłańskiego i przywdział w kwietniu r. 1894 sukienkę duchowną. W tym samym jeszcze roku powołany został na dyrygenta słynnego z czasów Hadryana Willaerta, braci Gabrielich i Benedykta Marcellego, chóru bazyliki św. Marka w Wenecyi. Już poprzednik Perosi'ego, Jan Tebaldini, także uczeń szkoły ratyzbońskiej, podniósł chór do dawniejszej świetności. Pod kierunkiem nowego dyrygenta chór św. Marka stanął na czele chórów włoskich i śmiało dzisiaj z chórami katedralnemi w Ratyzbonie, w Kolonii i w Monasterze zmierzyć się może. Piszący niniejszy artykuł miał sposobność porównać śpiew chóru tego w roku bieżącym ze śpiewem jego przed dziewięciu laty. Nie dosyć mogłem się nadziwić, jak wielki był postęp w dynamice, a zwłaszcza w owem cudnem *mezza voce*, będącem uduchownieniem głosu ludzkiego. Dawniej każdą nutę chorału gregoryańskiego jakby wyrębywano *(canto martellato)*, obecnie płynie on z ust dzielnych chóralistów spokojnie, ściśle wedle reguł szkoły benedyktyńskiej.

Z młodzieńczym zapałem zabrał się Perosi do pracy nad chórem i do tworzenia dla niego pierwszych swych większych kompozycyi kościelnych [1]. Mimo oddawania się naukom teologicznym i mimo ciągłego prawie komponowania znalazł on czas do codziennego ćwiczenia w śpiewie chłopców chórowych i starszych chórzystów. Doprowadził chór do siedmdziesięciu głosów — czternaście ponad liczbę przez regulamin chóru św. Marka wymaganą, a w niektóre większe uroczystości powiększał chór wprawnymi amatorami. Śpiewało wtedy przeszło stu chłopców i mężczyzn.

Wakacye w lipcu roku 1894 spędził w uroczem opactwie

[1] W przeciągu trzech lat (1894—1897) napisał jedenaście mszy, między niemi cztery większych rozmiarów, a mianowicie: mszę patryarchalną, mszę św. Marka, mszę eucharystyczną i mszę pontyfikalną. Prócz tego ułożył około sto rozmaitych motetów, ofertoryów, psalmów, kantyków i hymnów.

benedyktyńskiem w Solesmes. Tutaj pod kierunkiem O. Mocquereau poznał tajemnice paleografii muzycznej i wyćwiczył się w wykonywaniu śpiewu gregoryańskiego wedle systemu benedyktyńskiego. Już w roku następnym, nie skończywszy jeszcze lat dwudziestu trzech, odebrał święcenie kapłańskie. Pierwszą mszą św. odprawił w świętym domku loretańskim. Od dnia prymicyi swych — 23 września 1895 – oddawał się przez dwa lata cichej pracy, spędzał długie chwile na modlitwie i pogłębiał wiedzę teologiczną, nie zaniedbując przytem muzyki. Wtem... opatrznościowe istne zrządzenie zawiodło go nagle w r. 1897 na drogę chwały.

Okólnikiem z d. 2 listopada 1896 kardynał Józef Sarto, patryarcha wenecki zapowiedział duchowieństwu i ludowi swemu zebranie się kongresu eucharystycznego, którego termin naznaczył następnie drugim okólnikiem z maja 1897 na miesiąc sierpień tegoż roku. Ks. Perosi powziął wtedy myśl napisania kantaty z orkiestrą o ustanowieniu Najśw. Sakramentu. Wybrawszy tekst św. Marka, w krótkim stosunkowo czasie wykonał powzięty zamiar. Napisał kantatę p. t.: *In coena Domini,* która wykonaną została 9 sierpnia w imponującym rozmiarami, starożytnym kościele św. Jana i Pawła, z wielkim udziałem publiczności i niebywałym sukcesem. Wrażenie nowej muzyki perozyańskiej na lud i na krytyków muzycznych było ogromne, i dzieło ks. Perosi'go było jakby objawieniem czegoś dotąd niesłyszanego... Już w czerwcu tegoż roku napisał ks. Perosi inną kantatę p. t. *Ad Calvarium,* która z napisaną we wrześniu *L'orazione al monte* i z powyższą kantatą *In coena Domini* złożyła się na pierwsze oratoryum ks. Perosi'ego p. t. *La Passione di Cristo.* Wykonano je 2 grudnia 1897 w Medyolanie pod batutą kompozytora.

Odtąd w życiu ks. Perosi'ego jeden tryumf następuje po drugim. Z każdym rokiem rośnie sława jego, każde z ośmiu dotychczasowych jego oratoryów lotem błyskawicy rozeszło się po świecie muzykalnym. Podziwiać wypada niesłychaną biegłość w komponowaniu... Ośm oratoryów w niespełna pięciu latach — to chyba wypadek nie mający sobie równego w historyi muzyki!... Były chwile, w których płodny nadzwyczaj autor oba-

wiał się, by mu nie zarzucono zbytniej powierzchowności i nie przyjmowano z niedowierzaniem jego nowych utworów.

„Chyżość w kompozycyi — mawiał ks. Perosi — nie jest we mnie spowodowana zewnętrznemi okolicznościami, przyczynami lub nierozważnym pośpiechem; bodźcem jej jest mój temperament. Muszę bez wytchnienia komponować. Myśli cisną się jedna za drugą, pchają jedne drugie. Czuję ciągle świeże natchnienie. Wstręt mam do poprawiania, do wygładzania. Mógłbym zamknąć do szuflady me prace przez lat dziewięć, stosownie do horacyuszowskiego: *nonum prematur in annum,* a wyszłyby one z niej bez żadnej poprawki, bez żadnej zmiany. Co najwięcej, część instrumentalna mych utworów ulega małym zmianom, spowodowanym jedynie względami praktycznymi, w czasie prób się okazującymi. Zresztą czyż tworzenie prędkie licznych dzieł miałoby zawsze być oznaką zaniedbania się i niedoskonałości? Cóżby tedy powiedzieć przyszło o Sebastyanie Bachu i jego stu przeszło kantatach, tworzących małą zaledwie część jego niesłychanie wielkiej spuścizny kompozytorskiej?“...

Zapomniał *maestro* o Händlu, który w podeszłym już wieku— gdzie fantazya mniej żywa i bujna — w dwudziestu czterech dniach ułożył „Mesyasza“, główne swe arcydzieło, a w dwudziestu dwóch dniach drugie wielkie oratoryum: „Judę Machabejczyka“!

„Zdarzało się jednak, że i całemi dniami medytowałem nad rozwinięciem myśli muzycznej — powiedział ks. Perosi do Geigera[1]; — harmonie obracały się jakby w błędnem kole — i dopiero po kilku dniach wpadłem na frazes odpowiedni, który mi pozwolił snuć dalej przędzę myśli muzycznej“.

Nowe oratorya następowały w krótkich odstępach czasu jedne po drugich. W r. 1898 Wenecya usłyszała *La Trasfigurazione di N. S. Gesù Cristo* i *La Risurrezione di Lazzaro.* Chociaż wówczas ks. Perosi bardzo był cierpiący, nie chciał powierzyć batuty innemu dyrygentowi, lecz sam kierował pierwszem wykonaniem dwóch tych oratoryów. Wśród dokuczliwych boleści

[1] Ob. *Neue Zeitschrift für Musik.* R. 1901, str. 279.

w lewej ręce zabrał się do pracy nad czwartem swem oratoryum, o którem na początku była mowa — nad *Risurrezione di Cristo.* Któżby myślał, że cierpienia pozwolą mu — jak sam ze zdziwieniem Geigerowi[1] później opowiadał — napisać wspomniane powyżej — pełne niebiańskiego wesela „Alleluja". „Nigdy podobnie wesołych myśli muzycznych nie miałem. Po cóż to mówić o potrzebnem dla kompozytora usposobieniu, o spokoju duszy!"...

Miał Perosi racyę; o wiośnie śpiewa się najlepiej w zimie, o wolności we więzieniu... Krótki pobyt na wsi przywrócił mu zdrowie, tak, iż z całą siłą swego geniuszu mógł się zabrać do wykończenia wspomnianej co dopiero *Risurrezione.* Stosownie do obietnicy danej kierownikowi rzymskiego *Circolo di S. Pietro,* wykonał ją pierwszy raz 13 grudnia 1898 w kościele dwunastu Apostołów w Rzymie na cel dobroczynny. Za osobnem pozwoleniem Ojca św. wyniesiono z kościoła Najśw. Sakrament do odrębnej kaplicy. Śmietanka katolików, polityków i inteligencyi wiecznego miasta zapełniła obszerną świątynię. Dawno Rzym nie widział zebranych tylu rozmaitych dygnitarzy, jako to kardynałów, dyplomatów, wyższych oficerów, artystów (między nimi Sgambati'ego i Mascagni'ego). Wrażenie wykonanego dzieła było ogromne — a i zysk materyalny dla biednych miasta znaczny— bo czterokrotne wykonanie oratoryum przyniosło około dwadzieścia tysięcy lir.

Wówczas to Ojciec św. Leon XIII mianował ks. Perosi'ego dyrygentem starożytnego chóru sykstyńskiego, powodując go, by pomagał zgrzybiałemu mistrzowi Mustafie, dotychczasowemu długoletniemu kierownikowi tegoż chóru.

W roku następnym ks. Perosi udał się w podróż artystyczną do Wiednia i do Paryża, by w obydwu stolicach dyrygować swoją *Risurrezione di Cristo.* „Wiedeń jest pięknem i inteligentnem miastem — mówi Perosi[2] — są tam dwa rodzaje publiczności: jedna, chodząca do teatru na opery, publiczność to mniej inteligentna, druga uczęszczająca na koncerty — jest ona

[1] L. c. 277.
[2] L. c. 276.

rozumniejszą i idealniejszą. Prasa nie bardzo mi była przychylną, natomiast publiczność przepadała za moją muzyką. Miałem tam wybornego tenora! W Paryżu podziwiałem głos pani Blanc. Także i orkiestra była tam świetna, mistrzowska; kompozycye moje jednak nie tak wymagają mistrzowskiego, ile raczej dobrego wykonania; dobrego — to znaczy wykonania żywego temperamentu pełnego. *Ci vuole vita, sangue* — bo inaczej nikt muzyki mej nie zrozumie".

W styczniu 1899 zaczął nasz mistrz pisać swe piąte oratoryum: *Il Natale del Redentore,* by je skończyć pół roku później w zaciszu klasztoru św. Anzelma w Rzymie. Było ono wykonane w czasie uroczystości, jaką miasto Como we wrześniu tegoż roku urządziło na cześć sławnego fizyka Aleksandra Volty. Zajęcia przy sykstyńskim chórze i podróże za granicę nie przerwały bynajmniej dalszego, równie jak przedtem, płodnego komponowania. W przeciągu dwóch lat napisał on trzy nowe oratorya, a mianowicie: *La Strage degli Innocenti, L'Entrata di Cristo in Gerusalemme* i najobszerniejsze z dotychczasowych dzieł swoich *Mosè,* które nazwał *poema sinfonico-vocale.* Wykonanie tego ostatniego przygotowuje filharmonia warszawska na dzień 31 marca 1903. Ks. Perosi przybędzie do Warszawy, by osobiście dyrygować chórami. Zanim go powitamy po staropolsku w syrenim grodzie, przypatrzmy się bliżej jego oratoryom — a wpierw jeszcze przejdźmy pokrótce historyę oratoryum przed Perosi'm.

II.

Św. Filip Nereusz, chcąc penitentów swoich z grona młodzieży rzymskiej utwierdzić w miłości Bożej, zgromadzał ich codziennie w zbudowanej za jego staraniem r. 1658 sali modlitwy *(oratorio),* rozmawiał z nimi tamże o prawdach wiary św. i miewał do nich nauki katechizmowe. Zebranie zaczynało się krótką modlitwą, jeden z młodzieńców czytał ustęp z budującej książki. Podczas czytania sam św. Filip lub jeden z Ojców Zgromadzenia objaśniał trudniejsze miejsca i wypytywał się słuchających, co o przeczytanej codopiero rzeczy sądzą. Po czy-

taniu następowała zwykle krótka nauka (t. zw. *fervorino*), po której jeden z księży opowiedział ustęp z historyi. Po odśpiewaniu pobożnej pieśni zakończono zebranie modlitwą. Św. Filip bardzo lubił muzykę; nie chciał bez niej odprawiać nabożeństwa, żądał by na każdem zebraniu młodzieży brzmiały hymny pochwalne *(laudi spirituali)* na cześć Boga i Świętych Pańskich[1]. W regule swego Zgromadzenia nakazał pilne i staranne uprawianie sztuki muzycznej[2]. Autorem wspomnianych laudów był najpierw ziomek św. Filipa Jan Animuccia, kapelmistrz u św. Piotra, pochodzący z Florencyi. Po śmierci tego ostatniego objął kierownictwo śpiewu na zebraniach w oratoryum św, Filipa i pisywał nowe *laudi* sam książę muzyki, Jan Piotr Alojzy z Palestryny.

To połączenie opowiadania w czasie zebrań ze śpiewem dało początek nowej formie muzycznej, zwanej „oratoryum", która, jak zaraz przy jej źródle widzimy, żadnej z muzyką liturgiczną Kościoła katolickiego nie ma styczności, gdyż przeznaczona była ku rozrywce i ku rozweseleniu ducha młodzieży, znużonego słuchaniem i rozważaniem prawd wiary. Za czasów św. Filipa († 1594) ograniczano się na odśpiewywaniu krótkich pieśni pobożnych *(arie divote)* i wspomnianych wyżej laudów na trzy i cztery głosy do łacińskich i włoskich tekstów, ułożonych po części przez samego św. Filipa Nereusza.

Później dopiero zaprowadzono rodzaj mysteryów o treści moralizującej, w których personifikowano pojęcia oderwane (jako to: namiętność, czas, uciechę, świat i t. p.) Pierwszą tego rodzaju w oratoryum św. Filipa wystawioną *rappresentazione (sto-*

---

[1] Ob. Giuseppe Baini: *Memorie storico-critiche della vita e delle opere di Giovanni Pierlugi da Palestrina etc.* Roma. Della Società tipografica. 1825. Vol. II, str. 4.

[2] To też XX. Filipini mają zawsze dobraną muzykę w klasztorach. We Francyi nie zwano ich inaczej, jak: *Pères au beau chant.* U nas słynęła daleko muzyka kościelna u XX. Filipinów w Gostyniu. Autor niniejszego artykułu zawdzięcza im pośrednio przez ś. p. ojca swego, który był członkiem orkiestry gostyńskiej, początki swego muzycznego wykształcenia. — Ob. także „Encyklopedya kościelna" ks. Michała Nowodworskiego t. XVIII, art. „Oratoryanie", str. 322.

ria, esempio, misterio), jak ją zwykle zwano, była Emila del Cavaliere: *Rappresentazione di anima e di corpo* z r. 1600. Nowością był w niej t. zw. *stilo rappresentativo* (śpiew recytujący), którego nazwa stąd pochodzi, że bardziej, niż dotychczasowy śpiew polifoniczny, nadawał się on do uświetnienia czy duchownych czy świeckich przedstawień *(rappresentazioni)* dramatycznych. Towarzyszenie instrumentów było nieodzownym warunkiem nowego stylu. Składało się ono z cymbałów *(cembalo),* z wielkiej gitary *(chitarrone),* z basowej altówki *(lira doppia),* z dwóch fletów i ze skrzypiec *ad libitum* grających melodyę z sopranem. W pierwszych oratoryach występowały tedy osoby o charakterze symbolicznym, jak powiedziałem, albo, gdy przedstawiano ustęp z historyi biblijnej *(azione sacra)* odnośne osoby z Pisma świętego.

Dopiero Rzymianin Carissimi (1604—1674), którego wspomniane wyżej arcydzieło *Il sacrifizio di Iephte* dzisiaj jeszcze na koncertach ku zdumieniu znawców wykonywane bywa, pierwszy wprowadza do swych oratoryów t. zw. *storico,* który podobnie jak chronista w pasyach Wielkiego Tygodnia, opowiada historyę biblijną i łączy ustępy przez chóry wykonywane. Ważniejsze jednak momenta historyczne wygłasza chór czterogłosowy. W oratoryach Carissimi'ego, których czternaście się przechowało w bibliotekach, widoczny jest wpływ monodyi, t. j. śpiewu jednogłosowego i recytatywu, t. j. śpiewu deklamującego z towarzyszeniem instrumentów. Wszystkie dotychczasowe *laudi* i madrygały[1] ułożone były na kilka głosów sztuką kontrapunktyczną bez odrębnego towarzyszenia instrumentów muzycznych. Jeżeli zaś wzmacniano chór temi ostatniemi, wtedy grały one to, co głosy śpiewały. Dopiero t. zw. *Camerata,* t. j. towarzystwo ku przywróceniu starej muzyki heleńskiej we Florencyi, zerwała

[1] Przez „madrygały" [z prowansalskiego *mandra* (pasterz) i *gal* (piosnka)] rozumiano w XVI wieku kilkugłosowe pieśni, które od zwykłych piosnek, zwanych *canzonette, frotolle, villanelle,* odróżniały się lepszem i sztuczniejszem opracowaniem kontrapunktycznem i doskonalszą formą muzyczną. Miały one przeważnie świecki, często erotyczny charakter. Przechowały się jedynie w Anglii, dzięki założonej w Londynie r. 1741 t. zw. *madrigal society.*

z dotychczasową polifonią szkoły rzymskiej, t. j. śpiewem kilkugłosowym, w którym każdy głos odrębnie jest prowadzony, a w jej miejsce wprowadziła do sztuki muzycznej wspomnianą wyżej monodyę, w której jeden głos tylko śpiewa lub recytuje a instrumenta mu towarzyszą. Przedtem jednostka ginęła w morzu tonów, teraz wypłynęła ona na wierzch wód i na skrzydłach uczucia zaczęła unosić się w sfery niebiańskie, by, jak ptaszyna, jużto rzewne już wesołe nucić melodye.

Odtąd należało we Włoszech do dobrego tonu pisać i wykonywać oratorya. To też niezliczone ich mnóstwo w przeciągu XVII i XVIII wieku ich napisano. Niewiele z nich ujrzało światło dzienne; największa ich część spoczywa w bibliotekach i archiwach włoskich. Niemasz chyba sceny dramatycznej ze Starego lub Nowego Testamentu, z legend o Świętych Pańskich a zwłaszcza z życia Pana Jezusa, której z większym lub mniejszym talentem poeci i muzycy włoscy wówczas nie opracowali. Dość znaczną ich liczbę podaje ks. Wacław hr. Sierakowski, kanonik krakowski, w cennem dziele swem p. t. „Sztuka muzyki“ [1], taką o nich czyniąc uwagę: „Kościół Boży do wychwalania Stwórcy naszego, Pana Zastępów, na nabożeństwach w świątyniach swoich potrzebuie ludzkiey piersi tylko nie smyków nie dudów nie piszczałek nie rogów etc. ani się niemi Bogu nędzney ludzkości wyręczać przystoi. Ale kantaty, które tych wszystkich Instrumentów potrzebuią, dla wzruszenia affektów serc słuchaczów, bydź też w kościołach wykonywane a przynaymniey *praesente Sanctissimo Sacramento* nie powinny, ale od tego są Oratoria czyli kaplice, i dlatego się te kantaty we Włoszech zowią Oratoria, iż w Oratoryach

[1] „Sztuka muzyki dla młodzieży kraiowey przez WJX. Wacława hrabię Sierakowskiego, kanonika i proboszcza koadiutora katedralnego krakowskiego, iako nad kapelą kościelną przełożonego wydana pracą i kosztem autora. W Krakowie Roku 1795—1796. W drukarni szkoły główney koronney“, tom III, str. 21 i nast.

Podane tutaj chronologicznym porządkiem oratorya przechowały się w archiwum wawelskiem. Przed dwudziestu laty podziwialiśmy tam z ś. p. ks. Polkowskim wspaniałe folianty z oratoryami pisane przeważnie ręką ks Sierakowskiego.

czyli kaplicach, to iest w mieyscach Honorowi Boskiemu poświęconych, ku czci Iego odprawuie się; nie zaś na Teatrach iak świeckie opery, albo w stroiach, albo w prywatnych Salach; a to dlatego, ażeby z kantat pożytku swego szukaiący słuchacz nie był roztargniony Mechaniką w Orkiestrze (iak wykonywaiący Noty Muzyczne zasługuią Muzycy) dawać bravo lub poświst iako się praktykuie na teatrach świeckich; ale ażeby w uciszeniu iak nayskromniey uważaiąc i rozmyślaiąc, *Magnalia Dei*, ogłaszane naymilszym sposobem, słuchacz korzyści duchowne do domu odnosił, w Cnotach się zakochał, grzech sobie obrzydził, wziął przedsię upodobaną, z tych świętych przykładów życia swoiego drogę. Zgoła równaiąc życie swoie z życiem Świętych Pańskich, których Przymioty i Heroizmy ogłaszane w kantatach słyszy, brał do naśladowania, i za wzór życia własnego; i usłyszane, poięte, rozmyślone i postanowione, szlady pielgrzymowania swego, przygody, trefunki, kierował; i ażeby każdy z słuchaiących pobudzał się do wdzięczności, aż Oyciec Przedwieczny lubo nas tak okropną do oczyszczenia win i grzechów naszych prowadzi świata znikomego pustynią, do błogosławioney szczęścia wiekuistego Oyczyzny, iak Izraela do ziemi obiecaney; w tym atoli przechodzie więzienia, wszelkiey nam szlachetney pozwala zabawy, z któreybyśmy ciągnąc ukontentowanie rzetelne i prawdziwe z Nim się tu w życiu łącząc odziedziczyć go w Niebie iak nayprędzey pragnęli, i sposobili się, ponieważ umysł wesoły, iak mówi Salomon, wiek czyni kwitnącym; duch zaś smutny wysusza kości [1]. Jak naucza Apostół Paweł: Zdaiąc się światu w rozmyślaniu *tristes* w rzeczy samey i istotnie z pożytków rozmyślania i duszy owoców *Spe gaudentes in Domino*" [2].

Obszerniejszy jeszcze spis tychże włoskich oratoryów wydał ks. dr. Fr. Xaw. Haberl [3] wedle rękopisu uczonego O. Mar-

[1] *Prov.* c. 17, v. 22.

[2] *Epist.* 2 ad Cor. c. 6, v. 10.

[3] *Kirchenmusikalisches Jahrbuch* für das Jahr 1901. Herausgegeben von Fr. X. Haberl. Regensburg. Fr. Pustet. str. 38 i nast.

tini'ego († 1784) z Bononii pod tyt. *Indice delli oratorii in musica* i t. d.

Między kompozytorami oratoryów w spisach powyższych wspomnianemi odznaczyli się przedewszystkiem: Giovanni Legrenzi (1625—1690), uczeń jego Antonio Caldara (1671—1763), Leonardo Leo (1694—1745) i Francesco Durante. Do lepszych należą także Casali, Galuppi, Sacchini, Jomelli, Stradella i przytoczony przez ks. Sierakowskiego Zygmuntowski, Chevalier des Eperons d'Or, autor oratoryum o św. Wacławie, królu i męczenniku, tudzież Ślązak Gollumbek (Gołąbek), który napisał cztery oratorya: św. Stanisława Biskupa, św. Jacka, św. Jana Kantego i bł. Bronisławy.

Z Włoch dostały się oratorya najpierw na dwory katolickich monarchów, zwłaszcza do Wiednia i do Monachium. Już w r. 1649 wykonywano we Wiedniu oratorya. Sam cesarz Leopold I kilka oratoryów skomponował. W wielkim poście, w adwencie i w uroczystości Świętych Pańskich zastępowały one świecką operę.

Podczas gdy pod wpływem tej ostatniej oratoryum we Włoszech upadać zaczęło, ukazały się w Anglii pierwsze oratorya Händla (1685—1759), który słusznie dotąd za najdoskonalszego i najgenialniejszego przedstawiciela tego rodzaju muzyki uchodzi. Trudno współczesnym przychodziło opisać wrażenie, jakie pierwsze wykonanie „Mesyasza" jego w Dublinie 1741 r. na słuchaczach wywarło. W roku następnym z równem powodzeniem wykonał „Mesyasza" w Londynie, a od r. 1749 począwszy co rok na rzecz londyńskiego domu podrzutków go wykonywał z sukcesem materyalnym tak wielkim, że z 28 koncertów dziesięć tysięcy funtów szterlingów zebrał. Händl miał lat pięćdziesiąt i sześć, gdy „Mesyasza" napisał. Odtąd przez lat dziesięć tworzył jedno arcydzieło po drugiem, a pracował pilnie i prędko, skoro w tym czasie dwadzieścia i cztery oratorya zdołał napisać. Dotychczasowe oratorya włoskich mistrzów jedynie pod względem swych aryi solowych z oratoryami Händla mierzyć się mogą. Natomiast chóry händlowskie przewyższają wszystko, co dotąd w muzyce napisano. Chętnie

on wybierał do układania oratoryów utwory poetyczne, w których wielkie masy ludu stoją w środku akcyi dramatycznej. Płynie stąd moc afektów, płynie wielka radość i wielki smutek, uczucia wyrażone nader doskonale i z wielką prostotą, przez co oratorya jego przez wieki całe swą siłę żywotną zachowają, i jak dotąd, tak i nadal na każdą klasę słuchaczów potężnie oddziaływać będą[1].

Między kompozytorami oratoryów w Niemczech w ciągu ośmnastego stulecia wymienić przedewszystkiem wypada Józefa Haydna we Wiedniu[2], którego oratoryum p. t. „Stworzenie“ dzisiaj jeszcze swą pierwotną tchnie świeżością i od stu przeszło lat nie schodzi z duchownego repertoaru koncertowego. Przeszło trzy lata (1795—98) pracował Haydn, już w podeszłym wieku będąc, nad tem dziełem swojem. Oznacza ono postęp w sztuce pisania oratoryów. Wpływ Händla, zwłaszcza w chórach, widoczny. Haydn przewyższa jednak tego ostatniego żywością kolorów w malowaniu przyrody i łączeniu śpiewu solowego z chórami w jedną zaokrągloną całość. Jeszcze dzisiaj i po wszystkie czasy mogą młodzi muzycy z recytatywów i z opisujących aryi „Stworzenia“ czerpać wzory i uczyć się, jak bujna fantazya i bogactwo myśli nie powinny czynić uszczerbku jasności i piękności dzieła muzycznego.

Tak pierwsze jak i następne wykonania tego oratoryum przyjęto z niesłychanym zapałem. Poeci, między nimi Wieland, opiewali geniusz Haydna natchnionymi wierszami, bito na cześć jego medale, zarzucano go dyplomami i odznakami honorowemi z całego świata muzykalnego. Wpływ „Stworzenia“ na twórczość muzyczną tak koncertową jak i operową, był ogromny. Także t. zw. praktyczna muzyka wiele dziełu temu ma do za-

---

[1] Ob. Herman Kretzschmar: *Führer durch den Concertsaal.* Leipzig. A. G. Liebeskind. 1890. II tomu część 2: *Oratorien und weltliche Chorwerke*, str. 42.

[2] Pomijam Sebastyana Bacha z jego wspaniałymi utworami pasyjnymi i mszalnymi, gdyż te ostatnie należą do muzyki religijnej, przeważnie dla Kościoła protestanckiego przeznaczonej.

wdzięczenia. Powstała znaczna ilość chórów amatorskich jedynie w celu wykonania „Stworzenia". Nie mało chórów i towarzystw muzycznych dzisiaj jeszcze kwitnących i sławą europejską się cieszących początek swój od wykonania haydnowskiego „Stworzenia" wywodzi.

Haydn, pomimo że przy pracy nad „Stworzeniem", jak sam kilkakrotnie zapewniał, wiele się natrudził, zabrał się po ukończeniu tego ostatniego niezwłocznie do pracy nad drugiem swem wielkiem dziełem chórowem p. t. „Cztery pory roku" — *(Die vier Jahreszeiten)*, wykonanem pierwszy raz w wiedeńskim pałacu ks. Schwarzenbergów w kwietniu 1801 r.

Nie jest to właściwie już oratoryum — lecz wieniec kantat o charakterze opisującym i medytującym [1]. Muzyka maluje tu obrazki z życia ludzkiego i z przyrody. W „Stworzeniu" stoją przed nami wielkie, rzekłbym olbrzymie obrazy powstającego światła widzialnego, w „Porach roku" widzimy obrazki sielankowe, patrzymy na tryskające życiem sceny ludowe. Sztuka miniaturowego malarstwa muzycznego, jaką tutaj podziwiamy, nie została dotąd przez żadnego z późniejszych mistrzów przewyższona. Opisy polowania i winobrania tak są piękne, tak wierne, że chyba jedynie z obrazami malarzy holenderskich porównane być mogą.

Po śmierci Haydna nastąpił kilkunastoletni zastój w uprawianiu, w wykonywaniu i w tworzeniu oratoryów. Dopiero około r. 1820 ukazują się pierwsze dzieła niemieckich kompozytorów Schneidera „Sąd ostateczny", Spohra „Rzeczy ostateczne" i najlepsze z nich Kleina „Job". Jak u Händla, tak i w tych nowszych oratoryach chórom pierwsze przyznano miejsce, zresztą tak pod względem wewnętrznej treści, jak pod względem artystycznej wartości niżej one stoją od händlowskich i haydnowskich oratoryów. Możeby nawet większe były obudziły zainteresowanie się, możeby dłużej jaśniały na niebie muzycznem, gdyby inna gwiazda blaskiem swym nie była ich zaćmiła —

[1] Ob. Kretzschmar, l. c. str. 117.

gwiazdą tą był największy po Händlu twórca oratoryów, Felix Mendelssohn Bartholdy.

Bogata nadzwyczaj i bujna fantazya Mendelssohna także i na tem trudnem polu twórczości muzycznej go nie zawiodła. I tutaj okazał on się prawdziwie wielkim. Dwa jego oratorya „św. Paweł“ i „Eliasz“ pozostaną na zawsze drogocennemi perłami w skarbcu muzycznem ludzkości. Pierwsze z nich, *Paulus*, zostało w przeciągu ośmnastu miesięcy wykonane pięćdziesiąt razy. Niektóre chóry jego i śpiewy solowe tak są piękne, tak oryginalne, że nic piękniejszego, z wyjątkiem anielskich chórów w *Béatitudes* Cezarego Francka, muzyka XIX stulecia nie wydała. W obydwóch oratoryach umiał Mendelssohn wybornie uwydatnić charakter dramatyczny niektórych ustępów np. w scenach ukamienowania św. Szczepana i w cudownem spaleniu ofiary na prośbę Eliasza wobec kapłanów bożka Baala, przez co zajmują one pierwszorzędne w literaturze oratoryów miejsce. Kilka chórów solowych, zwłaszcza z „Eliasza“, np. cudny tercet anielski *Hebe deine Augen auf*, stały się bardzo popularnemi — słychać je często w szkołach ludowych niemieckich i angielskich. W „Św. Pawle“ Mendelssohn użył na modłę „pasyj“ Bacha, kilku starych protestanckich chorałów, które prześlicznie harmonizował, — a w „Eliaszu“ ułożył kilka pieśni oryginalnych w stylu chóralnym, należących do najlepszych chorałów w kościelnej literaturze muzycznej.

Nie ziściły się żywione przez lubowników poważnej muzyki nadzieje, że przykład dany przez Mendelssohna podziała ożywiająco na rozwój oratoryów, i że wielu będzie miał szczęśliwych przynajmniej naśladowców. Kilku tylko kompozytorów w drugiej połowie zeszłego wieku na polu tem pracowało, a dzieła ich nie obudziły szerszego zainteresowania się. Najczęściej jeszcze wykonywane było Hillera „Zburzenie Jerozolimy“, w którem wpływ Mendelssohna widoczny. Oratoryum to uchodzi za jedno z lepszych w epoce pomendelssohnowskiej, a znaczenie jego historyczne bardzo ważne, bo pierwszy raz w niem akcyę dramatyczną nie sam chór tylko, ale także i orkiestra ożywia. Później Rubinstein i Liszt instrumentacyę w ora-

toryach do większej jeszcze doprowadza samodzielności, silniej nią akcyę, a nawet uczucia wyraża.

Pierwszym twórcą oratoryów we Francyi był Jan Franciszek Lesueur, którego „Boże Narodzenie“ wykonane w r. 1826 jest właściwie mszą na temat kolęd w duchu dramatycznym napisaną. Prócz tego napisał oratorya: „Deborah“, „Rachel“, „Ruth et Noémi“, „Ruth et Booz“. Dzielny teoretyk i pisarz muzyczny, Aleksander Choron, nazywa je: *musique de pierre de taille,* a Gounod porównywał muzykę w nich do fresków i mozaik średniowiecznych.

Uczeń Lesuera, Hektor Berlioz na polu t. zw. muzyki programowej przesłaniec Liszta i Wagnera, wynalazca nowych efektów w muzyce instrumentalnej, napisał trylogię biblijną p. t. *L'enfance du Christ* (1854). Część pierwsza, przedstawiająca sceny z życia Heroda, niczem nie różni się od ówczesnej francuskiej muzyki operowej np. w „Hugenotach“ Meyerbeera. W drugiej części zaś, przedstawiającej życie Świętej Rodziny, muzyka staje się nadzwyczaj delikatną i miłą, miejscami tak naiwną, jak starożytne drzeworyty. Śliczny jest chór aniołów, towarzyszących świętej Rodzinie w ucieczce do Egiptu. Trzecia część trylogii ma charakter dramatyczny, zwłaszcza w chwili, gdy Józef św. napróżno puka i doprasza się o nocleg.

W tym samym prawie czasie (1845) napisał w Paryżu Wojciech Sowiński swe oratoryum „Św. Wojciech“. Muzyka Sowińskiego jest bez pretensyi — wiele w niej reminiscencyi z oper włoskich i francuskich, brak wyższego polotu ducha, brak natchnienia twórczego. Średni jego talent kompozytorski nie dorósł siły licznych dramatycznych epizodów, w żywocie Wielkiego naszego Apostoła zachodzących. Dość sympatycznym jest chór mieszany przy chrzcinach św. Wojciecha: „Naszemu bratu świeć jutrzenko“ i t. d. Chór myśliwski „Dalej, przy odgłosie trąb“ należy do najlepszych w literaturze wokalnych chórów. Zresztą ani recytatywa, ani arye, ani reszta chórów najskromniejszych nawet wymagań znawców zadowolić nie mogą. To też oratoryum to nigdy w całości odegrane nie było. Zna-

czenie jego w muzyce naszej o tyle jest ważne, że przed „Ślubami Jana Kaźmierza“ p. dr. Sołtysa ze Lwowa, było jedynem większem polskiem oratoryum. W rękopisie zostawił podobno tenże Sowiński małe, z sześciu kawałków się składające, oratoryum biblijne *Le Sacrifice d'Abraham*, w którem ma być melodyjny chór pasterski.

(Dok. nast.).

Ks. Dr. Józef Surzyński.

NIEBEZPIECZEŃSTWO
PROJEKTU NOWEJ USTAWY PRASOWEJ DLA GALICYI[1].

I.

Dowodzić, że prasa jest potęgą, jest chyba rzeczą zbyteczną. Zwrócić jednak należy uwagę na jedną okoliczność nie dość uwzględnianą, że prasa jest tem większą potęgą (przynajmniej w kierunku złego wpływu), im niższą jest kultura danego społeczeństwa.

W społeczeństwie wysokiej cywilizacyi i wielkiej produkcyi drukowej wytwarza się odporność czytelników, sceptycyzm w przyjmowaniu wiadomości, ostrożność wywołana krzyżowaniem się zdań, zapatrywań, opinii, informacyi. Czytelnik nie ogranicza się do jednego dziennika i jednej książki, czyta ich kilka naraz, wytwarza sobie swój sąd własny, nie pozwala sobie bezkrytycznie narzucać sądu obcego.

W krajach kultury niższej czyta się niewiele, za to czyta się z wiarą naiwną, z głębokiem przeświadczeniem, że co drukowane, to święte, że drukuje się tylko prawdę, bo prostaczek wiejski widzi książkę do nabożeństwa drukowaną i w umyśle jego powstaje przekonanie o wspólnem pochodzeniu tej książki,

[1] Podając niniejszą pracę wybitnego prawnika, dodajemy od siebie, że ostateczne wnioski, do jakich dochodzi szan. autor, stanowią *minimum* żądań, jakie w tej tak ważnej sprawie, ze strony bezpieczeństwa publicznego, postawićby trzeba. *Redakcya.*

łączącej się z służbą Bożą i myślą o Bogu, z inną książką, broszurą, czy dziennikiem, który mu się do czytania podaje.

Dlatego, jeżeli prasa w krajach kulturalnych jest potęgą, prowadzącą do zwycięstw politycznych lub ekonomicznych, w krajach niskiej kultury jest jeszcze większą potęgą, o ile chodzi o budzenie złych instynktów, namiętności, demoralizacyę.

Tam prasa przekonuje, tu porywa, suggestyonuje, tam zdanie prasy się uwzględnia, tu w zdanie to bezwzględnie się wierzy. To też dla tego różnego sposobu oddziaływania prasy nie można stwarzać jednego szablonu przepisów prawnych, lecz należy indywidualizować, brać w rachubę odmienne stosunki.

Większe przywileje wolnościowe prasy są zupełnie na miejscu w tych społeczeństwach, które cieszą się należytą dojrzałością i wytrawnością. Natomiast cenzura w państwie, gdzie przeważa ten poziom kultury, co np. w Rosyi, jest może nie wszędzie, ale jest w każdym razie zupełnie na miejscu w guberniach wschodnich i północnych. Niewygodną jest rzeczą dla państwa posiadanie prowincyi o różnym poziomie kultury, ale jest nieszczęściem dla prowincyi niżej stojących, jeżeli państwo nie indywidualizuje, lecz traktuje na równi kraje o cywilizacyi wiekowej z krajami dopiero do światła się budzącemi.

Stoimy dziś w przededniu nowej ustawy drukowej, ustawy jednolitej dla całego państwa, pomimo, że notorycznie Galicya, Bukowina, Dalmacya, Pobrzeże nie posiadają tego stopnia rozwoju przeciętnego, umysłowego, który istnieje w innych krajach reprezentowanych w Radzie państwa, pomimo różnicy w ilości analfabetów, pomimo, że statystyka wykazuje, jak funkcyonują instytucye społeczne (będące odbiciem społeczeństwa, wśród którego istnieją) jak np. sądy przysięgłych. Dość wspomnieć, że w Dubrowniku (Raguza) na 100 werdyktów sędziów przysięgłych przypada 70 uwalniających! we wschodniej Galicyi nie jest wiele lepiej.

Obowiązkiem naszym jest zwrócić uwagę na to, czy projekt rządowy liczy się z stosunkami panującymi w naszym

kraju, a zarazem wziąć pod rozwagę, jakie są przypuszczalne następstwa przepisów projektu.

Projekt ma wady nietylko z punktu widzenia naszego kraju, ma je także ze stanowiska ogólno-państwowego — ale te same wady potęgują się tam, gdzie kultura jest niższą. Przepisy prawa prasowego w Anglii są bardzo wadliwe, lecz tam społeczeństwo jest odporne, tam instytucye społeczne np. sądy przysięgłych funkcyonują wzorowo.

Przypatrzmy się tendencyom ustawy, sposobowi urzeczywistnienia tych tendencyi — a dla lepszego zrozumienia, przypatrzmy się także obrazowi przyszłości.

II.

Tendencye ustawy.

Cechą główną rządowego przedłożenia jest liberalizm, jest tendencya do możliwie jak największej swobody prasy, przy równoczesnem staraniu się o silne środki dla obrony przed jej nadużyciem. Jest tam staranie się o ułatwienie w rozszerzaniu przez dopuszczenie kolportaży a to tak odpłatnej jak bezpłatnej, jest ogromne ograniczenie konfiskaty t. zw. policyjnej, zarządzonej bez nakazu sędziowskiego, jest wreszcie zniesienie zakazu rozszerzania. Z drugiej strony są tam także pewne kautele ochronne.

Przedewszystkiem pomijając porządkowe przepisy prasowe mniejszej wagi, jako takie kautele ochronne podnieść należy co do samej kolportaży: ograniczenia co do osób, które mogą sprzedawać (najmniej lat 18, wykluczone: osoby wstrętne, chore umysłowo lub zaraźliwie, stojące pod dozorem policyjnym, skazane za przestępstwa z chęci zysku lub przeciw obyczajności), co do miejsc (zakazano w pobliżu dworu cesarskiego, urzędów, kościołów), co do czasu (w regule od 6 rano do 10 w nocy), co do sposobu wywoływania (nie wolno wywoływać tytułów nieobyczajnych, lub zawierających obrazę czci).

Pomijając okoliczność, że konfiskatę policyjną zatrzymano dla tych pism, które zawierają przestępstwa najniebezpieczniej-

szego (z punktu widzenia ustawy karnej) rodzaju dla publicznego porządku, to przedewszystkiem podnieść należy, jako dowód dobrej woli twórcy projektu, dwie rzeczy: wprowadzenie nowych czynów karygodnych i nową organizacyę postępowania przy obrazie czci.

Karygodnem będzie odtąd: 1) poruszanie kwestyi życia prywatnego i rodzinnego, zdolnych dotyczącą osobę poniżyć w znaczeniu lub towarzyskiem stanowisku, 2) ogłaszanie anonsów obrażających moralność publiczną, dotyczących życia i chorób płciowych, 3) ogłaszanie zakazanych środków leczniczych i (moment fiskalny) zakazanych losów i loteryi; 4) wzywanie do bojkotowania pewnych kół: przemysłowców, kupców, lekarzy, aptekarzy, akuszerek.

Z drugiej strony obraza czci osnową pisma drukowego nie będzie przedmiotem osądzenia przez przysięgłych.

Jestto zmiana w zasadzie bardzo doniosła. Instytucya przysięgłych ma swoją historyę bardzo świetną i ma swe uzasadnienie tam, gdzie chodzi o bardzo ciężkie zbrodnie lub przestępstwa o podkładzie politycznym, tam wogóle, gdzie bądź wielkość grożącej kary, bądź jakość przestępstwa nakazuje ostrożność w stosowaniu ustawy, nakazuje zapytanie się reprezentantów tego społeczeństwa, dla którego ustawę wydano, czy chce zastosowania jej, bo choć nasza ustawa każe przysięgłym oceniać tylko stronę faktyczną i to ze stanowiska ustawy, przysięgli oceniają całość sprawy i swojem „nie“ stają ponad ustawą. Jestto zjawisko zupełnie naturalne i złudzeniem było ustawodawcy, kiedy przypuszczał, że będzie inaczej.

Ta dowolność przysięgłych może być nieraz cenną: tam, gdzie *summum ius summa iniuria* — tam, gdzie chodzi o nierówną walkę społeczeństwa z jednostką, gdzie nawet niesłusznie uwalniający werdykt stosunkowo małą wyrządza szkodę.

Inaczej, gdzie stoi jednostka przeciw jednostce, gdzie w grze jest cześć obrażonego, gdzie w razie uwolnienia obrażony jest skazanym, gdzie czasem werdykt skazujący mniej szkodzi winnemu, niż uwalniający oskarżycielowi, tam liberalizm jest nie-

sprawiedliwością zbyt dotkliwą dla obrażonego, który na legalnej drodze szuka zadośćuczynienia.

Niestety, przysięgli zbyt są ojcowsko pobłażliwi, zbyt mało uwzględniają interesa oskarżyciela. Werdykta uwalniające w sprawach o obrazę czci są zjawiskiem codziennem. Temu chce zapobiedz projekt rządowy, robiąc z występków przekroczenia i poddając sprawy o obrazę czci osnową pisma drukowego rozstrzygnięciu sędziów powiatowych. O ile ten środek będzie skutecznym, pomówimy niżej.

Gdybyśmy mieli podać ogólną charakterystykę tendencyi projektu, to można je ująć w krótką formułę: wielka swoboda w rozpowszechnianiu myśli pod względem technicznym, ograniczenie pod względem treści, bądźto przez nowe przepisy karne, bądź przez nadanie większej powagi dawnym.

To są zamiary, dobre chęci twórcy projektu, inna rzecz, czy mu się udało cel zamierzony osiągnąć.

III.

Uwagi krytyczne.

Oceniając projekt z punktu widzenia interesów społecznych, trzy należy poruszyć kwestye, które nasuwają się pod pióro:

1) czy ograniczenia wprowadzone przez projekt rządowy do przepisów o kolportaży zabezpieczają dostatecznie społeczeństwo przed jej nadużyciem?

2) czy przy tej swobodzie prasy, jaką na wzór krajów o wysokiej kulturze społecznej projekt wprowadza, zawiera projekt należyte zrównoważenie tej swobody w formie zwiększonej odpowiedzialności osobistej funkcyonaryuszy prasy?

3) czy ograniczając konfiskatę policyjną i postępowanie objektywne zapewnił się projekt co do koniecznego zwiększenia dodatnich dla społeczeństwa wyników postępowania subjektywnego?

Odpowiedź na te trzy pytania podamy w trzech oddzielnych rozdziałach.

1. Kolportaż.

Ograniczenia kolportaży, które naszkicowałem w II rozdz. zmierzają przeważnie do utrudnienia sprzedaży ulicznej ale nie rozdawnictwa bezpłatnego. Ograniczenia sprzedaży ulicznej, rzec można śmiało, idą za daleko, dość powiedzieć, że w przypadkach naruszenia któregokolwiek z zawartych w ustawie porządkowych przepisów odnośnie do kolportaży, a jest ich kilkadziesiąt, sprawca podlega karze sądowej, popełnia przekroczenie, karane przez sądy (zamiast przez władzę bezpieczeństwa). Dość przytoczyć kilka przykładów dla wykazania, że ta jurysdykcya sądów wychodzi tu nawet poza zwykłe normy ustawodawstwa austryackiego: jeżeli ktoś nie może np. na polowaniu wykazać się żandarmowi z uprawnienia do noszenia broni (zapomniał legitymacyę w domu) — podlega grzywnie od 1—5 złr. i ukaraniu przez władzę administracyjną; kolporter sprzedający pisma a nie mający przy sobie legitymacyi podlega grzywnie od 10—100 K. i ukaraniu przez sądy. Jeżeli ktoś w nocy wyprawia na ulicy hałasy, stosuje się do niego kary policyjne, kolporter sprzedający po 10-tej wzgl. 12-tej w nocy podlega karom sądowym; kto w teatrze przeszkadza widzom w słuchaniu przedstawienia — podlega karom policyjnym, kolportera, który recytując szczegóły przepisane, odnoszące się do pisma, zapomni jeden z nich, stawia się przed sąd.

Za to dla rozdawnictwa bezpłatnego niema prawie żadnego ograniczenia według projektu, niema w każdym razie najważniejszego — projekt nie przepisuje konieczności zezwolenia władzy na rozdawnictwo. Przez zgłaszanie sprzedających do władzy uzyskuje się przegląd osób rozszerzających a przez to ułatwia się ewentualną konfiskatę, jeżeli zachodzą znamiona tego czynu karygodnego, dla którego konfiskatę policyjną projekt przewiduje. Tam, gdzie niema ewidencyi rozdających, tam, gdzie rozdawać może *quisque ex populo,* byle miał lat 18, tam trudno przeszkodzić rozszerzaniu nawet, gdyby się stwierdziło, że zachodzą znamiona którego z czynów karygodnych, uzasadniających według projektu konfiskatę policyjną. Wystarczy na-

kład rozdać między stu dowolnie zebranych ludzi, aby go rozszerzyć w kilku godzinach między sto tysięcy osób.

Nie wiem, co autorowi projektu podyktowało to wyjątkowe traktowanie rozdawnictwa bezpłatnego, może reminiscencye dzisiejszej ustawy, która dopuszcza kolportaży bez ograniczeń dla ogłoszeń o charakterze lokalnym lub przemysłowym, jako to afisze teatralne, zapowiedzi publicznych zabaw i t. p.

Jeżeliby tak było, jeżeliby autor projektu sądził, że bezpłatne rozdawnictwo ograniczać się będzie do anonsów i t. p. i dlatego ma dlań tyle łaski, to podlega złudzeniu.

Bezpłatne rozdawnictwo to furtka, przez którą może się wśliznąć kolportaż nawet odpłatna (sprzedaż uliczna) i może korzystać z tych samych przywilejów — niema nic prostszego: rozdający nie żąda zapłaty, ale ma przy sobie puszkę z pieniędzmi na jakiś cel, np. na fundusz agitacyjny danej partyi: przy oddaniu egzemplarza potrząsa groźnie puszką, może nie wszyscy, ale znaczna część zrozumie ten apel do kieszeni i oto koszta nakładu są zwrócone.

W ten sposób stwarza się wyjątkowe, uprzywilejowane stanowisko dla tych pism, które z jakichkolwiek względów mogą rezygnować z odpłaty, i dla tych pism, które zechcą ustawę obchodzić; czasopisma za to, które nie opierają się na silnej podstawie finansowej a równocześnie wzdrygają się przed przedstawioną formą obejścia ustawy, będą musiały znosić całe przykre brzemię przepisów o kolportaży.

Przypatrzmy się teraz skutkom swobodnego rozdawnictwa. Drukuję broszurę dajmy na to na tle strejku rolnego lub walki polsko-ruskiej w stu tysiącach egzemplarzy kosztem kilkuset koron, rozrzucam ją po kraju. Władza bezpieczeństwa widzi skutki rozszerzania, napotyka na bezpośrednie następstwa, gwałty, rabunki, ale konfiskować nie może, bo broszura zawiera znamiona tylko występku podburzania przeciw innym klasom społecznym względnie narodowościom (§ 302 u. k.) a ten przepis nie daje podstawy do konfiskaty policyjnej.

Zanim prokuratorya spostrzeże konieczność postępowania subjektywnego, zanim przyjdzie do wyroku, który zresztą

i tak nie będzie obejmował zakazu dalszego rozszerzania (§ 46 mówi tylko o przepadku czasopisma), mimo najlepszych chęci będzie za późno, kraj będzie w ogniu, będziemy zawieszać konstytucyę, sądy przysięgłych, stosować sądy doraźne, cały ten aparat świadczący o bardzo niezdrowych stosunkach.

Na zapytanie, czy ograniczenia wprowadzone przez projekt rządowy do przepisów o kolportażu zabezpieczają społeczeństwo dostatecznie przed jego nadużyciem? Odpowiadamy — stanowczo nie! bo najgroźniejsza forma kolportażu, bezpłatne rozdawnictwo nie podlega żadnej kontroli, rozdawców władza nie zna, bo do władzy się nie zgłaszają, legitymacyi żadnej nie potrzebują, mogą być nimi nawet ludzie stojący pod dozorem policyjnym.

2. Odpowiedzialność prasowa.

Projekt w motywach podnosi wzajemny stosunek wolności prasy i siły represyi czynów karygodnych — stosunek ten, używając wyrażenia matematycznego, ma być „prostym", t. zn. im większa wolność, tem silniejsza represya. „Je weniger behindert sich die Presse auf dem Boden der Gesetze zu bewegen vermag, desto nachdrücklicher kann jede Gefährdung öffentlicher oder privater Interessen getroffen werden".

Piękne słowa — projekt jednak w praktycznem przeprowadzeniu nie bardzo do nich się zbliża. Wykażę to tak odnośnie do *a)* ogólnej odpowiedzialności redaktora za czyny karygodne popełnione osnową pisma drukowego jak i *b)* odpowiedzialności wszystkich funkcyonaryuszy wydawnictwa jakiegokolwiek pisma drukowego z tytułu braku nadzoru.

ad a) Doświadczenia porobione z prasą peryodyczną zniewoliły ustawodawców do stworzenia nowego rodzaju odpowiedzialności „prasowej", do uzupełnienia ogólnych zasad o winie przepisami specyalnymi dla winy przy przestępstwach drukowych.

Nie tutaj miejsce przedstawiać odnośne systemy, zaznaczę tylko, że jeżeli różne ustawy, belgijska, francuska, niemiecka i t. p. rozchodzą się co do systemu, to zgadzają się na zasadniczą myśl przewodnią: zwyczajna odpowiedzialność karna nie

wystarcza wobec bezimienności prasy, wobec tego, że wyszukanie autora jest niemożliwem a kary za brak dozoru nałożone na redaktora nie są dostateczną represyą i nie odstraszają dostatecznie od zamieszczania karygodnych artykułów.

Pytamy się, jaki system przyjął projekt? nadarmo szukamy odnośnego przepisu, za to w motywach ku wielkiemu zdumieniu znajdujemy otwarcie wypowiedziane przyznanie, że projekt nie uznaje takiej odpowiedzialności za konieczną.

„Damit glaubt der Entwurf ebenso dem Gebote der Gerechtigkeit (!), als dem in der Strafprocessordnung niedergelegten Grundsatze der freien Beweiswürdigung Rechnung zu tragen.

Nie chcę polemizować z pojęciem „sprawiedliwości“, choć zazwyczaj punktem wyjścia dla niej jest użyteczność społeczna i staranie się o to, by za zły czyn czekała kara a nie bezkarność, odpłata a nie brak jej.

Wspomnę za to o mniej metafizycznym argumencie o owej swobodnej ocenie dowodu. Powiem krótko — jest to albo wynik nieznajomości stosunków, albo frazes bez znaczenia.

Doświadczenie uczy, że żaden redaktor nie wyda autora, co więcej, jest wiele przypadków, gdzie zachodzi pewne podejrzenie, że sam redaktor jest autorem, ale jest to tylko przypuszczenie, poszlaków, silniejszych środków dowodowych niema żadnych.

I cóż się dzieje: wnosi się oskarżenie przed sąd przysięgłych i mówi się: orzeknijcie zgodnie z waszem sumieniem, czy redaktor rozmyślnie zamieścił względnie napisał dany artykuł; — na jakiej podstawie mają przysięgli orzekać, wszak to są ludzie, którzy nie mają ducha wieszczego, by przeczuć, jak się sprawa ma — a przekonania nabrać nie mogą. Werdykt zapada uwalniający — i oto jest represya zgodna z zasadami „sprawiedliwości“ i „swobodnej oceny dowodu“!

Przypuśćmy nawet, żeby sprawy drukowe, wszystkie lub część przenieść przed trybunał zwyczajny — sędziów zawodowych. Nicby się nie zmieniło: sędzia zawodowy mniejszą jeszcze

niż przysięgły ma swobodę w ocenie dowodu, bo musi podać „powody“ a wyrok bez wyczerpujących powodów jest nieważny!

Bezkarność spraw prasowych, to nietyle wina przysięgłych, ile systemu — ile tego niezrozumiałego zupełnie unikania przez ustawę odpowiedzialności prasowej. Tak jest dziś — tak ma pozostać w nowej ustawie.

Dlaczego — czy prasa austryacka nie rozwija się tak, jak niemiecka lub francuska, czy rozwijać się nie może, czy też ma mniej skłonności do czynów karygodnych? czy nie zrobiliśmy już doświadczenia, że ta „ogólna“ odpowiedzialność karna przy prasie peryodycznej, przy której sprawcy, t. j. autora nie można znaleźć, jest fikcyą?

Dlaczego projekt, który tyle przepisów skopiował z ustawy niemieckiej, nie przyjął także przepisu co do odpowiedzialności redaktora za wszystkie czyny karygodne popełnione w czasopiśmie, „o ile szczególne okoliczności nie wykluczają jego winy“? Dodajmy, że przepis ustawy niemieckiej powstał skutkiem doświadczeń zrobionych z ustawą pruską z r. 1851, zawierającą podobnie jak austryacka ustawa drukowa i obecny projekt tylko „ogólną“ odpowiedzialność karną i tylko kary za „brak dozoru“.

Autor projektu pomija milczeniem doświadczenia zrobione z ustawą pruską, przechodzi do porządku dziennego nad żądaniami tych, którzy z punktu widzenia nie politycznego, lecz czysto prawniczego żądają rozszerzenia pojęcia winy względnie przesunięcia ciężaru dowodowego z oskarżyciela na redaktora przy przestępstwach prasowych, zadowalnia się ogólnem powołaniem „uczucia sprawiedliwości“ i „zasady swobodnej oceny dowodu“.

ad b) Przy represyi przestępstw prasowych ogromną rolę odgrywa dziś t. zw. „odpowiedzialność za brak nadzoru wzgl. uwagi“ funkcyonaryuszy zajętych przy wydawnictwie, zwłaszcza redaktora, nie dlatego, żeby np. redaktorowie mało nadzorowali swe czasopisma, tylko dlatego, ponieważ, jak już wiemy, udowodnienie, że redaktor z całą świadomością dany artykuł zamieścił, nie jest rzeczą łatwą. Wobec tego po największej części trzeba się chwytać tego przepisu karnego, do którego zastosowania wystarczy

w regule sam fakt zamieszczenia artykułu. Z odnośnego przepisu obecnego ustawodawstwa drukowego korzysta się często, korzystają przysięgli zaprzeczając pytanie główne co do rozmyślności redaktora a zatwierdzając pytanie ewentualne co do braku nadzoru, korzysta często prokuratorya, która widząc niemożność skazania redaktora za co innego, od razu ogranicza oskarżenie do „braku nadzoru".

Obecny przepis (Art. III noweli z r. 1868) dotyczy wyłącznie zbrodni i występków prasowych, nie dotyczy przekroczeń a to dlatego, bo w epoce kodyfikacyi noweli z r. 1868 nie znano wcale przekroczeń prasowych (czy wogóle ustawa karna je zna jest sporne). Inaczej ma się rzecz w projekcie. Projekt zmienia wszystkie występki obrazy czci w przekroczenia, a nadto wprowadza szereg nowych przekroczeń, o których wspomniałem wyżej (str. 24). Nasuwa się oczywista konsekwencya: skoro projekt wprowadza tyle przekroczeń, to rozszerza pewnie także prawo nadzoru na przekroczenia, jeżeli więc np. czasopismo kogoś obrazi, to przynajmniej za brak dozoru sąd będzie karać redaktora. Otóż nie: projekt ogranicza odpowiedzialność za brak dozoru do zbrodni i występków — i to rozmyślnie, bo wspomina o tem wyraźnie w motywach.

Weźmy przykład dla illustracyi konsekwencyi, które stąd wynikną:

Zarzuca mi ktoś w dzienniku, że zamordowałem własną matkę; ponieważ władza żadnego użytku z tej denuncyacyi nie czyni, niema z punktu prawniczego oszczerstwa (§ 209), lecz jest obraza czci. Ponieważ według projektu obraza czci drukowa jest tylko przekroczeniem, skarżę do sądu powiatowego. Redaktor twierdzi, że artykułu nie czytał, sędzia chce go skazać za brak dozoru, ba, ale przepisy o braku dozoru nie dotyczą przekroczeń! a więc sędzia nie nabrawszy przekonania o winie oskarżonego, uwolni pana redaktora.

Wobec tego, że sędzia nie może skazać redaktora na podstawie domysłu tylko co do jego rozmyślności przy zamieszczeniu artykułu (bo inaczej dla braku należytego uzasadnienia wyrok byłby nieważny), a za brak nadzoru przy obrazie czci (jako

przyszłem przekroczeniu) skazać nie może wogóle nigdy — możemy powiedzieć śmiało: obraza czci drukowa za panowania przyszłej ustawy będzie w regule bezkarną. Niech żyją potwarcy! Wypadki analogiczne do powodów śmierci Kruppa mogą się szerzyć bez obawy.

Równie bezkarnemi będą te przekroczenia, które projekt wprowadza, to zamieszczanie nieprzyzwoitych anonsów, boykot i t. p., przepisy te przy takiej organizacyi odpowiedzialności drukowej, jak ją podaje projekt, t. j. przy braku specyalnej winy redaktora, i braku nawet odpowiedzialności za brak dozoru — są iluzorycznemi.

Projekt przy widocznych dobrych chęciach robi swemi przepisami wrażenie, jak gdyby starał się o rozszerzanie bezkarności; oto nowa próbka: projekt wprowadza do odpowiedzialności „za brak dozoru“ t. zw. system belgijski, skutkiem czego odpowiadać może tylko jedna osoba, podczas gdy dotychczas teoretycznie (czasem praktycznie) odpowiadać mogło równocześnie kilka osób za brak dozoru.

Postawiliśmy sobie wyżej pytanie: czy przy tej swobodzie prasy, jaką na wzór krajów o wysokiej kulturze społecznej, projekt wprowadza, zawiera on należyte zrównoważenie tej swobody w formie zwiększonej odpowiedzialności osobistej funkcyonaryuszy prasy?

Na pytanie to odpowiadamy: stanowczo nie!

3. Ograniczenie konfiskaty policyjnej a pozostawienie jurysdykcyi przysięgłych.

Ograniczenie konfiskaty policyjnej pociąga za sobą to następstwo, że książka czy czasopismo, zawierające znamiona czynu karygodnego rozchodzić się może swobodnie, prokurator lub oskarżyciel prywatny mogą zażądać od sądu konfiskaty w regule tylko w razie równoczesnego wdrożenia postępowania względnie wniesienia skargi przeciw imiennie oznaczonej osobie: autorowi, redaktorowi odpowiedzialnemu i t. p. Konfiskata ta

będzie zazwyczaj iluzoryczną, gdyż tymczasem czasopismo, a o nie chodzi tu w pierwszej linii, już się rozejdzie, zostanie zatem tylko postępowanie t. zw. subjektywne przeciw winnemu.

Jestto reforma niewątpliwie epokowa, doniosłość w zmianie dotychczasowych stosunków ocenić można, biorąc pod uwagę jakie czyny karygodne można będzie popełniać osnową pisma drukowego, narażając się wyłącznie na skargę subjektywną.

Konfiskacie policyjnej ulegać będą pisma, zawierające szczegóły z postępowania karnego przed rozprawą główną, przypuszczenia co do wyniku rozprawy przed prawomocnością wyroku, wiadomości o ruchach wojsk, uzbrojeniu państwa, artykuły noszące znamiona zdrady głównej, obrazy Majestatu lub członków domu cesarskiego, szpiegostwa, bluźnierstwa Bogu, zachęcania do zbrodni dynamitowych, obrazę obyczajności i zachęcania do zbrodni wogóle, o ile zachodzi obawa, że zachęta ta może nie pozostać bez skutku.

Czy to są przestępstwa, z powodu których najczęściej d z i ś następuje konfiskata? Bynajmniej.

Konfiskuje się (oprócz obrazy obyczajności, którą projekt pozostawia) za podburzanie przeciw monarsze, jednolitemu związkowi państwa, formie rządu, konstytucyi (§. 65 a.), podburzanie przeciw władzy (§. 65 b., 300), podżeganie przeciw narodowościom, wyznaniom, stanom i klasom społecznym (§. 302), wyśmiewanie religii (303), lub okazywanie jej pogardy (122 b.), rozszerzanie niewiary (122 d.), podkopywanie instytucyi małżeństwa, rodziny, prywatnej własności (§. 305), obrazę zaprzyjaźnionych monarchów, armii, urzędników (§. 494 al. a. art. IV—V noweli z roku 1862). Jest to ten zwykły repertuar pism wchodzących w kolizyę z kodeksem karnym.

Obecnie pisma te rozchodzić się będą swobodnie do rąk licznych czytelników.

Przypatrzmy się karom na autorów i redaktorów, które mają ich wstrzymywać od popełniania tych czynów karygodnych. Kary za p o p e ł n i e n i e powyższych przestępstw są niewątpliwie dość surowe (postarała się o to ustawa karna z r. 1852) — ścisły areszt do jednego roku (§. 305) lub więzienie ciężkie od

roku do pięciu (§. 65, 123). Czy jednak te kary rzeczywiście grożą? Patrzmy na stosunki faktyczne trzeźwo. Dziś także obowiązują te przepisy karne, czy słyszymy kiedy o ukaraniu redaktora jakiegoś pisma za zbrodnię z § 65 lub występek z § 300, 302, 305 i t. d. Nie! słyszymy o konfiskacie. Dlaczego? Bo prokurator woli skonfiskować i reszcie dać spokój, niż skarżyć przed — przysięgłych.

Cóż będzie w przyszłości? Obawa przed przysięgłymi skłoni prokuratora do unikania postępowania podmiotowego, a więc także do zrzeczenia się konfiskaty, która się z niem łączy. Jest jednak środek pewien przeciw zupełnej bezkarności, środek już dziś stosowany ze skutkiem, ilekroć chodzi o postępowanie przeciw indywidualnie oznaczonej osobie — ściganie redaktora odpowiedzialnego, nakładcy, drukarza lub rozszerzającego za brak dołożenia należytej uwagi, „brak nadzoru“, (o którym wspomniałem wyżej, dzisiejszy art. III noweli z r. 1868, przyszły § 31). Dziś już z góry wątpiąc o wyniku sprawy przed sądem przysięgłym, ogranicza prokurator swe żądanie i skarży o powyższe przekroczenie przed sąd powiatowy. Nie inaczej będzie w przyszłości. Nastąpi wielki proces „upowiatowienia“ spraw drukowych, zmiana zbrodni lub występku w przekroczenia. A kara? Kara z §. 31 jest w razie, jeżeli popełniono osnową pisma drukowego zbrodnię — grzywna od 50 — 2000 koron, lub areszt od 3 dni do 3 miesięcy, jeżeli występek — grzywna od 20 do 1000 koron. Pamiętajmy jeszcze o jednem: o praktyce sądów karnych co do stosowania kary — dawno i to nietylko u nas zauważono pewne zjawisko, które już ma swą osobną nazwę: *Missbrauch der kurzzeitigen Freiheitsstrafen,* z którem ręka w rękę idzie także stosowanie niskich grzywn. Nie spodziewajmy się, aby za przekroczenie z § 31 proj. stosował sąd często grzywny wyżej 100 koron, lub areszt wyżej tygodnia, wiemy, jakie kary dziś się stosuje za te czyny karygodne, pomimo częściowo wyższej groźby ustawowej (areszt od jednego do sześciu miesięcy, w razie zbrodni) — kary 40 koron grzywny, 4 dni aresztu są na porządku dziennym. Okoliczność, że ktoś już kilkakrotnie za ten sam czyn był karany, nie bardzo wpływa na podwyższenie kary,

tego zapatrywania i tego zwyczaju niskich kar tak łatwo się nie zmieni. *Es gibt kein konservativeres Element als die Amtsgewohnheiten der Gerichte* — mawiał Gneist.

Jakiż więc rezultat: od czasu do czasu redaktor czasopisma otrzyma grzywnę 40 koron, przypuśćmy raz na tydzień — co robi podwyższenie wydatków miesięcznych wydawnictwa o 160 koron, a ile zyskuje się prenumeratorów przez „cięty“ styl i odwagę w stosunku do kodeksu karnego!

Kosztem tych 160 koron będzie można naigrawać się z duchowieństwa i wszelkiej władzy, podkopywać religię i rodzinę, pojęcia podstawowe społeczeństwa i własności.

Przy wolności prasy trzeba pamiętać także o jej nadużyciu.

W państwach wolności prasy mamy na jej przekroczenie surowe kautele: w Niemczech przestępstwa prasowe sądzą po największej części trybunały *(Strafkammern)*, kary są wysokie.

U nas sądzić będą przysięgli, lub też z obawy przed nimi, przeniesie się odnośne sprawy do sądów powiatowych, gdzie czekają sprawcę minimalne kary (za brak dozoru!).

Tak więc znacznie większa wolność, połączona prawie z bezkarnością czeka Galicyę, w której znaczna większość ludności wierzy, że co drukowane, to święte, w której analfabetom (jest ich około 50%) odczytywać się będzie wieczorami zimowemi historye o panach wyzyskujących lud, o śmieszności wszelkiej wiary, o tém, że Pan Bóg dał ziemię dla wszystkich, że własność jest kradzieżą i t. d.

Jakie będą tego skutki, łatwo przewidzieć, jeżeli się uwzględni tak częste w ostatnich czasach wypadki gromadnych napaści włościan na komisye rządowe lub krajowe, zaburzenia antysemickie w r. 1898, gwałty strejkowe i t. p. Pamiętajmy, że rozruchy antysemickie wywołały zwyczajne pisane niewprawną ręką proklamacye, że „cesarz pozwolił Żydów bić“, a jaką rolę odegrały przy strejku rolnym broszury agitacyjne — wiemy wszyscy.

Czy, ograniczając konfiskatę policyjną i postępowanie ob-

jektywne zapewnił się projekt co do koniecznego zwiększenia dodatnich dla społeczeństwa wyników postępowania subjektywnego? Stanowczo — nie!

IV.

Obrazy z przyszłości.

Nic bardziej nie wyjaśnia kwestyi jurydycznych, jak przykłady; weźmy kilka zdjęć fotograficznych z przyszłego stanu rzeczy za panowania projektu jako ustawy prasowej. Będą to wprawdzie obrazy à la Bellamy, przedstawiające tę jednak nad metodą Bellamy'ego wyższość, że wynikają z pozytywnego brzmienia projektu.

1. Postanawiam np. przed wyborami przeciwnika politycznego czy osobistego moralnie zniszczyć, wybór jego uniemożliwić. Mając do dyspozycyi dziennik X.[1], drukuję w nim przez tydzień szereg paszkwilów, a ponieważ zależy mi na wielkiem rozszerzaniu tych wiadomości, zamawiam w administracyi pisma nakład znacznie większy, niż normalny (obliczony na abonentów), nadwyżkę np. 5000 egzemplarzy zabieram codziennie za odpowiednią odpłatą dla siebie. Codziennie przez tydzień rozdaję po 5000 egzemplarzy tego pisma bezpłatnie każdemu, kto chce czytać.

Przeciwnik chwyta się broni ustawowej, wnosi skargę o obrazę czci i zgłasza do redakcyi dziennika sprostowanie faktów naprowadzonych w paszkwilu.

Skarga pozostaje bez skutku, bo redakcya dziennika nie wydaje mnie, redaktor zaprzecza, jakoby wiedział o zamieszczeniu artykułu, a za brak nadzoru sędzia skazać redaktora nie może, bo przy przekroczeniu, jakiem jest obecnie (w r. 190x) obraza czci, nie ma odpowiedzialności za brak nadzoru.

Sprostowania redaktor nie zamieszcza, czeka na wynik

---

[1] Cytuję tu przykład dziennika a nie broszury, bo naprzód anonymowa broszura mniejsze wrażenie robi, niż dziennik, a następnie ponieważ autorowi broszury trudniej się ukryć i ujść przez to kary.

wyborów, wprawdzie naraża się na drobną grzywnę, ale wie, że już mu nie grozi zawieszenie wydawnictwa, tak, jak to się działo za panowania ustawy drukowej z r. 1862.

W tych warunkach społeczeństwo, słysząc o wyroku uwalniającym w sprawie o obrazę czci, nie czytając sprostowania, wierzy w prawdziwość paszkwilu, bo chociaż pisma zaprzyjaźnione z mym przeciwnikiem twierdzą, że na zarzutach niema ani słowa prawdy, ale to tylko — „przez przyjaźń". W każdym razie pisma te nie docierają tam, gdzie rozeszło się owych 5000, wzgl. 35 000 bezpłatnych egzemplarzy.

Mój przeciwnik pada, a ja i redaktor zacieramy ręce z powodu doskonałego figla.

2. Weźmy inny przypadek prawny. Jest ktoś skrajnym antysemitą, postanawia prowadzić propagandę czynu, mając do dyspozycyi środki finansowe: drukuje broszury o „mordzie rytualnym" w tysiącach i rozrzuca je po kraju. Dołącza do nich skromne uwagi, jak można znosić wśród siebie te pijawki, tych lichwiarzy i t. d., ale nie mówi nic wprost o jakichś czynach karygodnych, uchowaj Boże! Broszura bezpłatna rozchodzi się szybko — wybuchają rozruchy w różnych punktach kraju, chłopi Żydów biją, palą, ograbiają. Szereg procesów karnych połączonych z zasądzeniem na zwrot odszkodowania rujnuje moralnie i materyalnie chłopów, powoduje nieobliczalne straty społeczne.

Broszury konfiskować nie można, bo mieści się tam tylko podżeganie przeciw innym narodowościom, czy wyznaniom. Prokuratorya wnosi oskarżenie przeciw autorowi. Sprawa staje przed przysięgłymi, autor broni się, cytuje obszerną literaturę, dowodzącą dobrej wiary autora co do istnienia mordu rytualnego, powołuje się na literaturę dotyczącą lichwy w Galicyi — bo autor uczony, zna źródła. Przysięgli, mimo wszystkiego, widząc spustoszenie spowodowane broszurą, nie mogą odrazu zgodzić się na uwolnienie, głosują: siedm głosów: winien, pięć głosów: nie winien. Doskonale! werdykt uwalniający, bo do zasądzenia trzeba głosów ośm! Autor broszury wychodzi wolno, broszurę można dalej drukować, nowe nakłady rozchodzą się znów między ciemny tłum, może już nie w te oko-

lice, gdzie mieszkają sprawcy poprzednich gwałtów, obecnie uspokojeni, bo wyrzuceni z ojcowizny, ale Galicya jest rozległa, a chłopi dzienników nie czytają, nie przeglądają sprawozdań z Izby Sądowej, powstają nowe rozruchy i nowe gwałty, zapadają nowe wyroki, więzienia zapełniają się, szereg włościan ustąpić musi miejsca poszkodowanym — ale za to mamy „swobodę prasy“!

Środki zaradcze.

Nasuwa się pytanie: co robić?

Najprostsza rada: poddać cały projekt gruntownej rewizyi i to nie tylko co do tych przepisów, które wyżej zaznaczyłem, są tam także błędy techniczne, które usunąć należy, ale nie tu miejsce o tem mówić.

Ograniczę się do rzeczy zasadniczych:

1) Ustęp o bezpłatnem rozdawnictwie w tej formie, jak obecnie (bez względu na rodzaj pisma i powtarzanie rozszerzania) nie jest do przyjęcia, lecz albo: należy zupełnie zrównać bezpłatne rozdawnictwo z uliczną sprzedażą a przywileje zawarte w projekcie ograniczyć do druków dotyczących potrzeb przemysłowych i towarzyskich (anonse, afisze i t. p.) albo przyjąć przy kolportaży rozróżnienie zawodowej i przypadkowej. Zawodowi rozdawcy czy sprzedawcy mają podlegać nadzorowi władzy, przypadkowo *a casu ad casum* wolno się każdemu trudnić kolportażą.

2) Ustawa drukowa bez odpowiedzialności specyalnej „prasowej“ redaktora jest wadliwą i przestarzałą — redaktor musi odpowiadać za treść czasopisma, bo po cóż nazywa się „odpowiedzialnym“, musi odpowiadać zawsze o ile nie jest w stanie wykluczyć swej winy.

Koniecznem jest wprowadzenie specyalnej odpowiedzialności redaktora według jakiegokolwiek systemu — w szczegóły nie wchodzę.

Odpowiedzialność „za brak dozoru“, nie jest dziś wogóle dostateczną ochroną społeczeństwa, tem mniej w formie obecnej ograniczającej się do zbrodni i występków.

Jest rzeczą konieczną rozszerzenie tej odpowiedzialności także na przekroczenia.

3) Ograniczenie konfiskaty policyjnej w naszym kraju, w kraju analfabetów, ciemnoty i nędzy jest równie przedwczesnem, jakby było uchylenie cenzury prewencyjnej dla gubernii jakutskiej w Rosyi. Na tym punkcie przyjść musi do kolizyi z przedstawicielami innych prowincyi austryackich. Cóż więc robić?

Żądać wyłączenia Galicyi z pod obowiązywania nowej ustawy, stworzyłoby precedens, który mógłby się odbić na innych dziedzinach. Przypomnę, że Galicyę wyjęto z pod obowiązywania ustawy o domach pracy przymusowej i poprawy (z 24 maja 1885 l. 90 Dz. u. p.), co fatalnie odbija się w sferze kryminalno-politycznej — kraj roi się od żebraków, włóczęgów, na których, prócz krótkich kar aresztu, niema środka.

Pozostaje jeden tylko sposób, mojem zdaniem, niezbędny. Jest nim ograniczenie kompetencyi sądów przysięgłych w sprawach drukowych co do tych przestępstw, co do których konfiskata policyjna jest wykluczona.

Art. VI A. ust. wprow. do p. k. i Art. XI ust. zasadniczej o władzy sędziowskiej brzmieć odtąd winien, nie jak dotychczas: Do „sądów przysięgłych należy orzecznictwo w sprawach o zbrodnie i występki popełnione osnową pisma drukowego“, lecz „orzecznictwo w sprawach o następujące czyny karygodne popełnione i t d.“ (tutaj wylicza się te przestępstwa, dla których pozostawiono konfiskatę policyjną, § 43 projektu).

Nie będzie to niczem nadzwyczajnem — początek w kierunku ograniczenia przysięgłych w sprawach prasowych — daje projekt sam odbierając im sprawy o obrazę czci.

Powinno się jednem słowem stworzyć *junctim* między projektem ustawy drukowej a zmianą odnośnego przepisu ustawy zasadniczej.

Nie będzie to wcale reakcyą — pamiętajmy, że podobny a wiele dalej idący proces historyczny przeszło cesarstwo niemieckie. Ustawa drukowa z r. 1874 ograniczyła postępowanie

objektywne w sposób analogiczny do przedłożenia rządowego, ustawa o organizacyi sądowej z roku 1877, więc w trzy lata później wyraźnie zaznacza, że sprawy drukowe o tyle tylko podlegają kompetencyi sądów przysięgłych, o ile tak przepisują ustawy krajowe pojedynczych państw, a cztery tylko znalazły się państwa ryzykujące nieobliczalne orzecznictwo (Badenia, Bawarya, Wirtembergia, Oldenburg), pomimo, że poprzednio 13 państw uznawało tę kompetencyę.

Przypomnę tutaj także ograniczenia, jakich doznała kompetencya sądów przysięgłych w republikańskiej Francyi w r. 1876 i 1894. W r. 1876 odebrano im orzecznictwo nad występkami obrazy publicznych urzędników i korporacyi, prezydenta republiki, parlamentu, rozszerzania fałszywych wiadomości, wzywania do popełniania czynów karygodnych i pochwalania ich, naruszenia obyczajności.

Oświadczono wówczas (minister Dufaure do jener. prokuratorów), że przysięgłym zostawia się orzecznictwo we wszystkich sprawach prasowych, które mają charakter „polityczny", przestępstwa wyjęte z pod ich jurysdykcyi „nie mają tej cechy".

W r. 1894 dokonano dalszej reformy: usunięto z pod orzecznictwa przysięgłych i powierzono trybunałom poprawczym następujące przestępstwa dokonane osnową pisma drukowego: wzywanie do kradzieży, morderstwa, rabunku i podpalania, niszczenia budowli dynamitem, zdrady głównej, wzywanie wojskowych do zaniedbywania swych obowiązków i posłuszeństwa wobec przełożonych.

Kiedy zarzucano przy dyskusyi w Izbie, że projekt, który stał się później ustawą, godzi w wolność — oświadczył sprawozdawca Lasserre: „il faut s'entendre, il faut savoir, à quelle liberté nous portons atteinte. Nous portons atteinte à la liberté du crime, à la liberté du meurtre"...

Jestto proces zupełnie logiczny: kara na sprawcę przestępstwa prasowego od chwili ograniczenia postępowania objektywnego i konfiskaty policyjnej stanowić musi nietylko odpłatę, ale także rodzaj środka prewencyjnego odstraszenia (t. zw. generalną prewencyę). Jeżeli tę jedyną pozycyę ochronną osłabimy,

wydajemy społeczeństwo zupełnie w ręce bezwzględnej prasy.

Sądzę, że dla tej myśli można będzie pozyskać $^2/_3$ Izby, potrzebne do zmiany ustawy zasadniczej w uwzględnieniu z jednej strony krajów, domagających się tego z powodu niższego stopnia kultury ludności (Galicya, Bukowina, Dalmacya, Pobrzeże), z drugiej strony ze względu na groźne roznamiętnienie walki narodowej — czesko-niemieckiej, a także niestety polsko-ruskiej.

* * *

Bez tych zmian koniecznych w projekcie, możemy się spodziewać najgorszych następstw, gdyby projekt stał się ustawą.

A więc *caveant consules!*

Dr. Juliusz Makarewicz.

NOWA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

I. MAXYM GORKIJ.

(Dokończenie).

W roku 1866 ukazała się w literaturze rosyjskiej powieść Dostojewskiego „Wina i kara“, jeden z najgłębiej pomyślanych i najlepiej wykończonych utworów wielkiego pisarza. Ideą powieści jest, że zbrodnia sama siebie karze; ale analiza duszy Raskolnikowa, stopniowo osuwającej się w odmęt skutkiem rozpamiętywania popełnionej zbrodni, jest poprostu mistrzowska.

Tę samą myśl podjął Gorkij w powieści „Troje“: zbrodnia zawiera w sobie nasienie kary. Połączył z nią obraz społeczeństwa drobnomieszczańskiego, a główną postacią uczynił chłopa Ilię Łuniowa. Przybył dzieckiem do dużego miasta i wyrósł w domostwie pełnem ludu żyjącego w nędzy, rozpuście i występkach. Miał siłę niezwykłą, zdrowie twarde, przystojną twarz, wolę jak stał hartowną, poczucie własnej godności, egoizm wysoce rozwinięty, inteligencyę pojętną i doskonale przyswajającą. Zrazu chodził ze szmaciarzem Jeremiejem po podwórzach, ulicach i śmietniskach, rył się w ściekach i kupach gruzu, spoglądał szeroko otwartemi oczami na świat i widział jasno, że „wszyscy ludzie dążą do jednego z nim celu, szukają spokoju, dostatku i wygody. Nikt nie ma sobie za grzech strącić z drogi bliźniego, jeśli mu zawadza; wszyscy chciwi, niemiłosierni, i często krzywdzą bez potrzeby i korzyści, jakby dla samej przyjemności krzywdzenia“ (V, 95).

Taka szkoła nauczyła go zasady: przeznaczeniem życia rozkosz, a Bóg i nieśmiertelność — któż może co o tem wiedzieć? Troje sprzęgła ciasno przyjaźń: Ilię, Jakóbka — który żył wyobraźnią i uczuciem, myślał o tajemnicach życia i kruszył głowę nad przeklętemi zagadnieniami, oraz Maszę, bierną i słabą istotę. Ilia czuł w sobie rozdwojenie: był w nim człowiek, który dążył do wygody i dostatku, był drugi, który lubił pogrążać się w analizę duszy i życia, jakiś duch przekorny, wzgardliwie odpychający marzenie o galanteryjnym sklepie, o własnym domku, o smacznie bełkocącym samowarze na stole, pokrytym białą serwetą i t. p.

Takie rozdwojenie widział i u ludzi. Oto staruszek Jeremiej Boga miłował, a sam po cichu grosiwo zbierał; stryj Terentij Boga się boi, a pieniądze ukradł. W piersiach ludzkich jakby się coś ważyło, a serce ich niby strzałka wagi, to w jedną to w drugą pochyla się stronę, dając zwycięstwo złemu lub dobremu. Więcej złego napotykał Ilia na swej drodze, zwłaszcza odkąd sobie sprawił pudło i zaczął po mieście sprzedawać towar: mydło, igły, naparstki, nici, zapałki... Miał z tego handlu niezły dochód, bo był sprytny, patrzał śmiało w oczy, ubierał się przyzwoicie, nie pił. Nieraz marzył, jak dobrze byłoby znaleźć z tysiąc rubli... Opowieści o kradzieżach budziły w nim palący interes: kupował dzienniki, szukał szczegółów kradzieży i śledził: schwytano czy nie? A gdy schwytano, gniewał się i potępiał: „dali się złapać, bałwany, poco się biorą do rzeczy, kiedy nie umieją“... Wyrabiało się w nim przekonanie, że łotr ma się na świecie lepiej, niż uczciwy. Raz w szynku pewien starzec utrzymywał nawet, jakoby w Piśmie św. powiedziano: spokojne są domy łupieżców i bezpieczne — gniewających Boga, którzy niby na rękach swych Boga noszą.

Tak zwolna dusza jego napełniała się dążeniem do wygody i pogardą dla lękliwych środków, związanych z uczciwością. Trzeba było sposobności, aby w nim zakwitł łotr. Stało się to jakoś samo przez się. Ilia bywał w domu Paszy, utrzymanki bankiera Połuektowa, którego prawie nie znał — ale go niecierpiał. Zabił go niechcący i niespodziewanie. Przechodził

ulicą koło sklepu a miał kilka starych monet do zbycia. Wszedł i wydobył pieniądze. Starzec był sam, zaczął rozpatrywać monety, jedną startą odrzucił, resztę przyjął, otworzył szufladę i pochylił się nad nią.

Złość piekąca jak przemarzłe żelazo objęła Ilię; zamachnął się i silną pięścią trzasnął w skroń starca. Kupiec skoczył, stuknął się o ścianę głową, padł piersią na stół sklepowy i chwytając się zań rękami, wyciągnął cienką szyję ku Ilii. Łuniow widział, jak w małej, ciemnej twarzy iskrzyły się oczy, ruszały wargi, słyszał półgłośny, ochrypły szept:

— Kochanku mój, kochanku...

— A, ścierwo — syknął Ilia, i z odrazą ścisnął szyję starca. Ścisnął i zaczął nią potrząsać, a starzec wpił mu się rękami w piersi i rzęził. Oczy nabiegły krwią, stały się wielkie, sączyły się z nich łzy, język wysunął się z ciemnej jamy ustnej i drgał, jakby drażniąc mordercę. Ciepła ślina ściekała na ręce Ilii, a w krtani starca coś harkotało i świszczało. Zimne, haczykowate palce dotykały szyi Łuniowa, a on, zacisnąwszy zęby, przeginał w tył swoją głowę i coraz mocniej wstrząsał ciałem starca, podniósłszy je do góry. Gdyby go kto wtedy bił z tyłu, nie puściłby chrupiącego w palcach gardła. Z gorącą nienawiścią i z przerażeniem serca widział, jak mętne oczy Połuektowa stają się coraz ogromniejszemi, ale wciąż silniej dławił, a w miarę tego jak ciało ciężało, topniał ciężar w sercu Ilii. Wreszcie odtrącił od siebie kupca, który miękko osunął się na podłogę.

Wtedy Łuniow się obejrzał: w sklepie było cicho i pusto, za drzwiami na ulicy padał gęsty śnieg. Na ziemi u nóg leżały dwa kawałki mydła, woreczek i kłębek tasiemki. Pojął, że te drobiazgi wyleciały z jego pudła, wziął je i położył na miejsce. Potem sięgnąwszy przez stół, spojrzał na starca: ten przykucnął w wązkiej szczelinie między stołem a ścianą, głowa zwisła na piersi i widać było żółty kark.

Wtem Łuniow spostrzegł otwartą szufladę kantoru, błysnęło złoto i srebro, leżały zwitki banknotów. Drgnął z radości, prędko złapał jedną paczkę, drugą, i jeszcze jedną... wsunął je za pazuchę i znów się obejrzał lękliwie...

Na ulicę wyszedł bez pośpiechu, o trzy kroki od sklepu przystanął, starannie osłonił towar ceratą i poszedł w gęstej masie sypiącego się śniegu. Naokoło i w nim bez szumu kołysała się chłodna, mętna mgła. Ilia wpatrywał się w nią z wysiłkiem; wtem uczuł tępy ból w oczach, dotknął ich końcami palców prawej ręki i przerażony stanął. Zdało mu się, że oczy wypłynęły, wylazły na czoło jak u Połuektowa i że na zawsze pozostaną tak wytrzeszczone, nigdy się nie zamkną, a każdy przechodzień dojrzy w nich zbrodni. Jak gdyby zmartwiały. Macając palcami źrenicę, czuł w niej ból, ale nie mógł spuścić powiek i dech mu w piersiach zamierał ze strachu. Nakoniec udało mu się zawrzeć powieki: rozkoszował się nocą, która go nagle objęła i stał na miejscu bez ruchu. Ktoś go trącił. Obejrzał się: obok przebiegł wysoki człowiek we futrze. Patrzał za nim, aż zniknął w gęstym roju białych płatków śniegu. Wtedy poprawił czapkę i poszedł chodnikiem, czując ból w oczach i ciężkość w głowie. Ramiona drgały, palce odruchowo kurczyły się, a w sercu rodziło się coś upartego i zuchwałego, co wypychało zeń strach wszelki... (V, 156—159).

Mordercy służyło szczęście. Śledztwo nie wykryło nic, jakkolwiek ten i ów wietrzył w nim nieczystą sprawkę. Nawet zamieszkał u policyanta, z którego żoną zawiązał stosunek. Założył sklep, miał dostatek i wygodę — spokoju tylko brakowało. Coraz częściej budził się w nim ów drugi duchowy człowiek, we wszystko mieszało się wspomnienie czynu morderczego, wszystko zaprawiało przeklęcie gorzkim smakiem. Bywały chwile, że Łuniow uczuwał gorące pragnienie zbrodni, np. podpalenia domu.

W takim stanie zabrnął na cmentarz, gdzie nagle zobaczył napis na pomniku, postawionym na grobie Połuektowa. Oparłszy się o pień klonu, wysoko podniósł głowę i wpatrywał się w mogiłę ofiary. Tyłem głowy przygniótł czapkę do drzewa tak, że daszek jej zadarł się z przodu. Brwi jego się ściągnęły, górna warga drgała, zęby się odsłoniły... Ręce wtłoczył do kieszeni kurtki a nogami wpił się mocno w ziemię. Otoczyły go wspo-

mnienia o Połuektowie, o tem, jak go dusił, jak starzec ślinę sączył mu na ręce... Ale nie odczuwał ani strachu, ani żalu, na mogiłę spoglądał z nienawiścią, z obrazą w duszy, z bólem — i z namiętnem oburzeniem w sercu, z głęboką wiarą w prawdę słów swych — mówił, zwrócony ku grobowi:

— Przez ciebie, przeklęty, złamałem swe życie, przez ciebie! Stary szatanie! Jak mi teraz żyć... przez ciebie? Na zawsze zbrukałem się o ciebie... — Jak młotem, tłukło się w głębi jego duszy to jedno: tyś winien. Chciał głośno z całej siły krzyczeć te dwa wyrazy, aby je wszyscy słyszeli i ledwie że mógł w sobie potłumić to pragnienie. Zacisnął zęby do bólu i patrzał, a myśli o dawnem życiu przed mordem objęły duszę, jak płomień...

Było mu duszno, do twarzy nabiegła krew, oczy piekły od natężenia. Z wysiłkiem oderwał je od pomnika, podszedł do kraty, chwycił rękami za pręty i trzęsąc się z nienawiści, plunął na mogiłę... (V, 325—7).

Odtąd koło duchowej reakcyi zwężając się gniotło go coraz bardziej. Znikły cele ziemskie, stopniało pożądanie wygody i dobrobytu. Ciężka, dręcząca i niemiłosierna apatya roztoczyła nad nim posępne skrzydła. Złość ku życiu stała się podstawą jego bytu. Czuł, że każda chwila poza nim rodzi coś nowego, że życie zdumiewa rozmaitością swych krzyków, niestrudzonym ruchem, potęgą nieustannej twórczości, ale w jego duszy było okropnie cicho i martwo: ani dum, ani pożądań, sama jeno tępa ociężałość. Czasem wydawało mu się, że świat go skrzywdził i ludzie go skrzywdzili, że musi się na nich zemścić. Otóż zemścił się. Raz na uczcie imieninowej u policyanta, gdy się zebrali goście, opowiedział najpierw cynicznie swoje miłostki z żoną gospodarza, a potem wyznał swą zbronię. Pochwyciła go straż: a gdy szedł ulicą ku więzieniu, zdjęło go przerażenie czynu i losu, zaczął szalenie uciekać, aż nadbiegł nad jakąś przepaść i roztrzaskał głowę o złomy, a mózg rozbryzgnął się na wszystkie strony.

Co się stało z dwojgiem z tej trójki — niewiadomo.

Obraz ten dużych rozmiarów[1] dosadnie maluje głąb zepsucia, jakiemu ulega wiejska natura chłopa — silna i zdrowa — jeśli nasiąknie wyziewami wielkomiejskiej nędzy i spodlenia. Łuniow zginął, jakkolwiek twarde sumienie długo wydawało się nieuległem zgryzotom. Ale Łuniow uległ, bo ten sobowtór jego istoty — duch nazbyt go dręczył. Wejście osobnika, przykutego od wieków do natury, na rozłogi cywilizacyi zatruło go i zabiło. Czy taki musi być los każdego chłopa, wyrwanego ze sfery swojej? Dyskusyę nad kwestyą otwiera Gorkij w powieści *Mużyk* (Chłop).

Był czas, że cały ciężar narodowego życia dźwigał na swych barkach szlachcic; dokonał on niespożytego trudu, ale przeżył się. Wówczas tę samą pracę podjął urzędnik i również się wyczerpał. Teraz z dołu dźwiga się chłop i dopomina się decydującej roli w życiu społecznem. Wnosi on ze sobą nie idee nowe, nie pomysły, lecz świeży nastrój, dla niego bowiem życie to cudowny proces gromadzenia piękna i wiedzy, proces tajemniczy, głęboko zajmujący i radosny. Wypowiada to Gorkij w swej powieści. Akim Szebujew pasał za młodu świnie, potem sam się wykształcił, sam udoskonalił się w nauce budownictwa i wszedł, jako architekt, w krąg intelligencyi prowincyonalnego miasta, zyskując śród niej całkowite uznanie. Natura to trzeźwa, praktyczna, sucha niemal, idąca do celu wprost bez zbytniego przebierania w środkach i bez suszenia sobie głowy nad etyką własnych czynów. Celem jego wyrobić śród intelligencyi szerokie prawo wstępu dla swej warstwy, wytrzebić drogę dla niej ku górze. Na to potrzeba pieniędzy i pieniędzy. Szebujew omota milionera i skąpca Czeczewicyna, którym pogardza, ale któremu nędznie schlebia, wymusi na nim budowę Ludowego Domu, ludowego teatru, ludowej czytelni i biblioteki, spowoduje sanitarne udogodnienia i reformy, ale ponadto nic. Tenże Szebujew jednak pozwala swemu wujowi biedę klepać, sam zarabiając setki rubli co miesiąc. Słusznie ubolewa przyjaciel jego Malinin: ile u ciebie energii! Jaka szkoda, że tracisz ją na drobiazgi.

[1] Cały tom piąty, str. 1—397.

Niewątpliwie kwestya poruszona w tej powieści ma doniosłe znaczenie w życiu nietylko rosyjskiego społeczeństwa; niewątpliwie też Szebujew — potrosze cynik, egoista i amerykanin, jak go nazywa zjadliwie Surkow, w energii, sile żywotnej, pomysłowości nie ustępuje nikomu; brutalnym nieco pędem rozpycha zwarte lecz bezsilne szeregi intelligencyi, torując szeroką drogę dla młodszej braci [1].

V.

Poznaliśmy w dość wiernym i wyczerpującym zarysie bohaterów Gorkiego: straszliwy tłum złodziei, morderców, włóczęgów różnego stempla, publicznych kobiet, albo ludzi, kryjących pod maską uczciwości zgniliznę moralną, cuchnącą wszystkimi wyziewami ścieków miejskich. Cała ta ohydna zgraja nikczemników i nikczemnic czai się nocą, napada i zabija bez lęku, dla byle zysku, niekiedy nawet dla igraszki, gryzie się nawzajem, miota się w konwulsyach, wywołanych uczuciem rzekomej krzywdy i nienawiści ku posiadającym, klnie po mistrzowsku obelgami pomysłowemi a wrzynającemi się ostrością swoją aż do wątroby przeklinanego, ciągnie alkohol jak potworna gąbka, mierząc go na wiadra, a co najważniejsza, uważa się za pokrzywdzoną, przyznaje sobie i swoim bezeceństwom słuszną racyę, tłumaczy je rodzajem melancholii życia — i z kart utworów Gorkiego wyłania się, jako usprawiedliwiona, lecz nieszczęśliwa...

Natomiast inne stany są wobec niej złe i szkodliwe. Niema kupca, któryby na swojem sumieniu nie dźwigał stokroć większych win, niż najgorszy z tych rzezimieszków. Przypominam tu Szczurowa, Majakina, Kanonowa, Zubowa i całą rzeszę tuzów nadwołżańskich; nadto Połuektow handluje kradzionemi rzeczami, Chrienow szczypcami od węgli żonie swej kawałkami wyrywa piersi, Pczelin za młodu dyablu zapisał duszę, Sabanie-

[1] Podobno Gorkij uznał za stosowne ostatnią powieść gruntownie i zasadniczo przerobić.

jew grabił bez litości[1], Czeczewicyn — łotr pierwszorzędny[2], Pietunników podlejszy, niż każdy z byłych ludzi i t. p. Niema urzędnika, któryby nie był szkaradnym pijakiem, karciarzem, dusicielem szczęścia ludzkiego, łapirublem lub w najlepszym razie idyotą. Chłop chciwy grosza, pochopny do występku dla kopiejki, tchórz i bezdennie głupi, pop — plugawa gęba i skrajny cynik w słowach i czynach[3]; profesor lubieżnik i materyalista;— jeden jedyny złotorotiec i brodiaga wprawdzie jawny łotr, ale nie bez rycerskich porywów duszy, z jakimś osadem szlachetności na dnie, zarazem gotów do zbrodni i do pięknych czynów. Mimowoli czytelnik, przed oczami którego snują się rzędem bez końca w szalonym wirze te figury, pyta, jakie to społeczeństwo je wydało? Czy wistocie humanitarne uczucia, bezinteresowność, zamiłowanie obowiązku, służba społeczna bez osobistej chciwości, cnoty rodzinne, trzeźwość, obyczajność i wstydliwość wygasły w niem bez śladu i uznają się za pogardy i śmiechu godne? Czy wistocie główną i wyłączną kierowniczą zasadą jest: *homini homo lupus?* Albo może pseudonimowi swemu zawdzięcza autor tych obrazów własny zgorzkniały nastrój? *Nomen omen.* Sam sobie Pieszkow wybrał pseudonim i napoił swe utwory takim bezmiarem goryczy, że w odmęcie jej zginęła prawda? Ci, którzy w rosyjskiej powieści malowali takie same obyczaje i takich samych ludzi, t. j. Dostojewski, Mamin-Sibiriak, Mielszyn, Sieroszewski — przenosili akcyę na grunt syberyjski. Na obszarach Rosyi europejskiej piekło odkrył pierwszy Gorkij, a świadek to, zda się, tem wiarogodniejszy, że poznał wzdłuż i wszerz całą Rosyę. Jeżeli choć części tego, co opisuje, damy wiarę, to wypadnie uznać, że dolne warstwy rosyjskiego społeczeństwa mocno strupieszały pod względem etycznym. Jest

[1] Wszyscy z powieści „Troje".

[2] Z powieści „Chłop".

[3] Taki jest dyakon Taras w „Byłych ludziach", taki dyakon w powieści „Foma Gordiejew" (str. 5), gorszy zaś w opowiadaniu „Prochodimiec" (III, 219). Ten raz tak się upił, że padł na podwórzu, a gdy zasnął, przyszły świnie i obżarły mu ucho, policzek i szyję. Извѣстно вѣдь — свинiи всякую дрянь ѣдять — dodaje sentencyonalnie Promtow. Wiadomo przecież, że świnie wszelkie paskudztwo jedzą.

okoliczność, którąby stwierdzała prawdę powyższego sądu z przeważającą siłą: są to po pierwsze wyznania samego autora, które nie pozwalają wątpić, że jego pogląd na życie nie o wiele różni się od poglądu jego bohaterów; powtóre zaś olbrzymie powodzenie dzieł jego w Rosyi, z którego można wnosić, że społeczne warstwy widzą i poznają własny niewykoszlawiony wizerunek. Niezliczone krytyki, piejące hymn pochwalny na cześć autora, snują swe pochwały z osnowy i treści utworów, nie zaś z artystycznych zalet. Wogóle przedmiotowy — miewa Gorkij chwile szczerości, kiedy wywnętrza się przed czytelnikiem z bezprzykładną otwartością.

Gorkij, podobnie jak Nietzsche, marzy o zniszczeniu starej moralności, o wprowadzeniu natomiast nowej. Idea walki i zagłady starych form nieraz w dziełach jako zasadnicza występuje. Jej przedstawicielem jest sokół w „Pieśni o sokole". Na skałę, gdzie we mchach i wilgoci gnuśniał utuczony wywczasem wąż— przedstawiciel poziomych form życia, padł sokół z rozbitą piersią. Wzbijał się w niebo, walczył tam z wrogiem i umiera. Płaz pojąć nie może zapału sokoła, który błaga: „o, gdybym raz choć wzniósł się pod niebo, wroga do krwawej cisnąłbym piersi i krwiąby moją wróg się zachłysnął. O, rozkosz boju!" A gdy wąż szydził z jego śmierci, sławiąc mądrość ziemską, wówczas rozgrzmiał potężny hymn, zaczynający się od słów:

Szałowi mężnych niech będzie chwała,
Szaleństwo mężnych — życia mądrością... [1]

Daleko jaśniej wytacza Gorkij tę ideę dwóch moralności w utworze „Czytelnik" (III, 237). Szatan uczy tam autora: „Chciej zrozumieć: twoje prawo apostolstwa powinno znaleźć dostateczne uzasadnienie w twej władzy budzenia w ludziach uczuć szczerych, któremi niby młotami jedne formy życia mają być strzaskane i zniszczone dlatego, aby zamiast ciasnych stworzyć inne, swobodniejsze. Gniew, nienawiść, męstwo, wstyd, odraza i rozpaczliwa złość — oto tarany, którymi da się wszystko

[1] I, 248. Przypomina to Mickiewiczowskie „rozumni szałem" z „Ody do młodości".

na ziemi rozbić". Szatan uosabia mądrość i rady jego niedwuznacznie wskazują pisarzowi pole działania. Że bohaterowie Gorkiego pełni są tych szatańskich przymiotów, tośmy widzieli. A sam Gorkij? Mogę to stanowczo stwierdzić, że nie zapiera się on zupełnie zasad, głoszonych przez ludzi, których stworzył; nieraz w ich rozmowy wtrąca własne słowo, mówi we własnem imieniu, od siebie. Podaję wiązankę tych sentencyi.

— Sumienie — pisze Gorkij — to siła niezwyciężona tylko dla słabych duchem; silni szybko ją opanowują i poddają swej woli, bo odczuwają bezwiednie, że gdyby dać mu swobodę i rozpęd — ono złamie życie. Na ofiarę dają d n i; jeżeli się zdarzy, że ogarnie ich duszę, to oni, zwyciężeni przezeń, nigdy nie bywają rozbici i tak samo zdrowo i silnie żyją przy jego narodzinach, jak żyli bez niego" [1].

— Życie ma swoją mądrość — a nazywa się ona trafem; niekiedy nas wynagradza, ale częściej mści się, i jak słońce każdemu przedmiotowi użycza cienia, tak mądrość życia każdemu czynowi ludzkiemu gotuje odpłatę. To rzecz niezawodna, rzecz nieunikniona: wszyscy powinniśmy o tem wiedzieć i pamiętać [2].

— We mgle i ciemności, ogarnięte ze wszech stron nieprzeniknionym mrokiem, zwolna i ociężale posuwa się nie wiedzieć dokąd życie ludzkie. A ludzie żałują za grzechy, boleśnie wzdychają, zaraz potem żrą się o ciepły kącik — i wytłukłszy bliźniego, sami otrzymują cięgi od tych, co chcą zachować ład w życiu: lękliwie tedy myszkują za wolną dróżką do własnego celu... [3]

— Świadomość, że n i e u m i e komuś wyrządzić krzywdy, bywa dla człowieka nieznośniejsza, aniżeli świadomość, że nie

---

[1] IV, I. Tak samo, lubo gniewniej i ostrzej, traktują sumienie pisarze modernistyczni, u nas Przybyszewski. Nazywa on sumienie „podłem, chytrem i podstępnem", „obłudnem i nieuczciwem", i tak samo wierzy, że może ono zepsuć szczęście ludzi (w dramacie „Dla szczęścia" III, 3).

[2] III, 306.

[3] IV, 314. Silniej, ostrzej, złośliwiej tę samą myśl wyrzekł Przybyszewski przez usta Ruszczyca w „Złotem runie"; „Życie to kanał podziemny, niewidzialny — wszystkie pochodnie w nim gasną".

może komuś okazać dobrodziejstwa, bo zło tak łatwo i po prostu się czyni[1].

— Przy braku wrażeń zewnętrznych i interesów, które umacniają wspólne pożycie, — małżonkowie — nawet gdy to są ludzie wysokiej kultury duchowej — fatalnem losu zrządzeniem muszą nieodzownie stać się sobie nienawistni. Jest to prawo o tyle nieuniknione, o ile słuszne... (II, 89).

W życiu wszystko układa się tak niezręcznie, że uczciwość postępku pozostaje w niezgodzie z jego korzyścią... (I, 230).

— Obawa przed złapaniem na gorącym uczynku równoważy się nadzieją bezkarnej kradzieży. Złodziejstwo — to także trud i trud niebezpieczny — a wszystko zdobyte własnym trudem — takie słodkie, tem słodsze, im więcej kosztowało wysiłków (IV, 59).

— Żeby zwyciężać we walce o byt, człowiek musi mieć albo dużo rozumu albo serce zwierzęce (III, 172).

To zdanie wyjęte rzekłbyś z ust Majakina, który radził w jednej ręce trzymać miód, w drugiej nóż. Podobnie rzecz ma się z apoteozą włóczęgostwa u Konowałowa lub Promtowa[2]. Gorkij nie tylko usiłuje usprawiedliwić nałogowe włóczęgostwo swych bohaterów, ale nawet wprost od siebie zaleca je jako doskonały środek na odświeżenie duszy, znużonej szeregiem jadowitych kłamstw, miałkich ambicyi i wszelakiej obłudy. Gdzieindziej pisze:

— Pamięć — ów bicz nieszczęsnych, ożywia nawet głazy przeszłości i w jad wypity podlewa niekiedy krople miodu... a wszystko to w tym celu, żeby dobić człowieka świadomością błędów i zniewalając go miłować przeszłość, obedrzeć z nadziei na przyszłość (I, 100).

— Ponieważ czytelnik słusznie mniema, że po śmierci pójdzie do piekła, pragnie przeto za życia wiedzieć coś o piekle. Ale zaprawdę nie mogę mu powiedzieć nic miłego, bo piekła

---

[1] II, 197. „Widok cierpienia — mówił Nietzsche w dziele *Zur Genealogie der Moral* — sprawia przyjemność; wyrządzenie komuś bolu sprawia jeszcze większą przyjemność: takie prawo twarde, ale stare i potężne".

[2] Jak wyżej przy charakterystyce Konowałowa.

niema, a przynajmniej piekielnego ognia, choć jest coś, co o wiele okropniejsze. Zaraz potem gdy doktor powie o tobie krewnym:

— Skonał...

Wstąpisz do bezkresnej jasno oświetlonej dziedziny, a jest nią pamięć i świadomość błędów twoich. Leżysz w mogile w ciasnym grobie i przed tobą snuje się w kołowym obrocie marne życie twoje. Snuje się wolno do męki i mija całe — od pierwszego uświadomionego kroku aż do ostatniej minuty przed skonem... Ujrzysz wszystko, coś przy życiu taił przed sobą, cały fałsz i obrzydliwość bytu, przemyślisz na nowo wszystkie swe myśli, zobaczysz każdy mylny krok swój... I dla tem sroższej męczarni poznasz, że po tej ciasnej i głupiej ścieżynie, po której szedłeś, idą inni, potrącają się nawzajem, śpieszą i kłamią... Dokładnie to rozumiesz: czynią to jedynie w tym celu, aby dowiedzieć się z czasem, jak nikczemnie żyć takiem gnuśnem, bezdusznem życiem...

Ale choć widzisz ich śpiesznie idących do swej zguby, niczem nie możesz uprzedzić — ani wołaniem ani ruchem; pragnienie dopomożenia im daremnie szarpać będzie twą duszą... Dobrze ci tak? Mija życie przed tobą, znowu wraca, znów obejmujesz je pamięcią od początku — i końca niema męce duszy twej i końca nie będzie nigdy, nigdy...[1]

Zatem ludzie nawzajem muszą się nienawidzieć; sumienie tylko dla słabych duchem; złodziejstwo słodki trud; człowiek z rozkoszą widzi niedolę bliźniego; ścieki miejskie odświeżają; wszystkich oczekuje w grobie piekło, wymyślone przez Gorkiego; o nagrodzie za czyny dobre niema co mówić, bo światem i życiem kieruje mądrość, której na imię traf...

Trzeba przyznać, że jest w tem konsekwencya, ciągłość i system. Nigdzie Gorkij ani sam swych zapatrywań nie odmienia i nie barwi, ani też swoim kreacyom nie każe dostrajać się do względów czyto okoliczności czy czytelników.

---

[1] III, 281. Ob. pierwsze karty książki Flammariona p. t. „Opowiadanie o nieskończoności". Wiele zachodzi podobieństwa pomiędzy dyalogiem, jaki wiodą Lumen i Quaerens, a Gorkim, jakkolwiek i różnice są doniosłe.

VI.

Jeżeli takich Gorkij maluje bohaterów, jeżeli sam nie odbiegł od nich własnymi poglądami na życie, to jakże wytłumaczyć powodzenie jego w Rosyi i za granicą? Może w Rosyi poniekąd jedna mu miliony czytelników rodzimość pomysłów i postaci, wielkie współczucie dla poniżenia i nędzy, a także widok rodaka, roznoszącego sławę ojszystej dziedziny po świecie. Ale entuzyazm Europy nie miałżeby racyi głębszych, tkwiących w naturze sfer, na które się oddziaływa i w potędze geniuszu? Niewątpliwie tak. Bohaterowie Gorkiego — jacy są — stanowią żywy protest i potępienie mieszczańskiego społeczeństwa, zgniłego i zepsutego do szpiku kości. Możnaby zgodnie z ich opinią ułożyć cały szereg ciężkich zarzutów i oskarżeń przeciw mieszczańskiemu społeczeństwu. Ono — zniwelowało wszelkę wyższość, podciągnąwszy ją pod jeden strychulec powszedniości; ono zabija w człowieku oryginalność, domagając się poddania masie kłamstw konwencyonalnych; ono ubóstwiło pieniądz i przez to na oścież otwarło wrota wszelkiego rodzaju występkom, płynącym z żądzy bogactw: zrodziło tysiące oszustów, fałszerzy, defraudantów, grabieżników, osłoniętych parawanem prawa. Ono wykształciło system szpiegostwa i donosicielstwa, otacza bowiem opieką nagrody i przywileju gnębienie, nie zawsze dokonywane w widokach publicznego porządku i spokoju. Ono psuje i wypacza charaktery, nastręcza bowiem zbyt często widok tryumfującego występku, nie piętnowanego przez chwiejną i lękliwą sprawiedliwość, oglądającą się na różnorakie względy, a zwłaszcza na t. zw. publiczną opinię. Ono czołem bije przed materyalną siłą, lekceważy i upośledza bezsilną prawość, szczęście upatruje w dosycie ziemskim, wierzy tylko w mocną pięść, ważny pieniądz i czelną zwrotność umysłu, dającą powodzenie...

Oni zaś — owi bezdomni i bezpańscy — sami jedni naigrawają się ze wszystkich więzów i skrępowań, jakiemi mieszczańskie społeczeństwo oplątało człowieka. Niczego nie domagając się, wolni i swobodni, noszą wszędy, gdzie stąpią, pogardę, oburzenie, namiętny gniew, głęboki wstręt do tego szarego tłumu,

miałkiego i lichego w swych aspiracyach, do tego tłumu, co gotów w jednej chwili oklaskiwać lub syczeć, łasić się lub burzyć, ale wszystko w granicach dozwolonych cenzurą...

Gorkij sam odczuwa piekącą nienawiść płaskiej pospolitości, wszelkiej ciszy zgnuśnienia i spoczynku, nienawidzi bezmyślnego tłumu i lęka się mglistych wyziewów sławy. Chłosta jego, wymierzona idyotycznej rzeszy chwalców, podobna smaganiu skorpionami. Stoi pisarz przed tłumem. Przed nim poruszają się potężne, zmysłowe wargi, odkrywając głęboką, czarną paszczę, w której obraca się jakiś ślizki, gruby, krótki bełt i ze smrodem wygłasza: braaawo, brawo!

— Wierzę, panowie, w szczerość waszych pochwał, — wyznaje pisarz — ale nie pojmuję, jak wzbudziłem tyle ciepłego uczucia. Niekiedy zdaje mi się, że lubicie mię, bo nie noszę surduta i w swych opowieściach używam często nieprzyzwoitych wyrażeń. Niekiedy myślę, że gdybym umiał pisać liryczne wiersze lewą nogą, chwalilibyście jeszcze goręcej, czytalibyście jeszcze pilniej... — Brawo! brawo! — wyje publiczność. Zapewniwszy najuroczyściej, że nie ma zgoła szacunku dla swych wielbicieli, pyta — za co właściwie miałby ich cenić? Może pięciu na tysiąc znalazłoby się takich, którzy gorąco wierzą, że człowiek — to twórca i pan życia, że swobodnie myśleć, mówić chodzić — to jego prawo, święte prawo; może zaledwie pięciu na tysiąc miałoby odwagę walczenia o to prawo i nieustraszonej śmierci za nie. Większość was — niewolnicy, a wszyscyście marne mieszczuchy, chwilowo zastępujący prawdziwych ludzi. Dzielny żywy człowiek zawsze dąży, wy zaś układacie się cichutko bezczynnie, jak wam nakazano. Naokoło, jak u zalotnicy w buduarze bawidełka na półeczkach — na pół zgniłe tradycye i różne reguły życia — funta kłaków nie warte. Wszystko to wam przeszkadza ruszyć palcem, ale to są wasze malutkie ideały: nie macie odwagi strącić ich z piedestału, choć to są pęta wasze. A gdy świeży i wonny wiatr z łęgu rozwiewa cuchnące wyziewy nor waszych, lękacie się kataru serca i zamykacie szczelnie wszystkie otwory. Nie lubicie ambarasu, niepokój trwoży was. Ale trzeba wam czegoś dla gawędy, trzeba czemś gości

zabawić — i jak żebracy przy kościele wyciągacie ręce do literatury, aby wam dała rozrywkę. Ona dla was stanowi stałą przyprawę, niby korzenie waszego mrocznego życia; podoba się wam, gdy ludzie piszą krwią i żółcią — ale też tyle tylko, że s i ę p o d o b a. W piersiach waszych literatura nie budzi ani miłości ani nienawiści. Wyście nie ludzie, lecz widzowie — wyście publiczność. Życie nie drgnęłoby, gdybyście naraz znikli; zapadnijcie się w ziemię, a na niej nic się nie zmieni. Zdaje mi się, że was rozumiem. Gdym był mały i słyszał muzykę wojskową, biegłem za nią: zajmowała mnie nie tyle sama muzyka, co żołnierz, grający na dużej trąbie — jak nadymał policzki...[1]

Otóż to jedna racya powodzenia dzieł tego pisarza za granicą. Ostrym zakisem sarkazmu i oburzenia nasyca każdą stronę dzieł, każdą duszę wymyśloną, każdą scenę wziętą z życia... Stąd podwójne piętno utworów: wielka oryginalność i znaczna siła. Posiłkuje się to wszystko całym szeregiem środków technicznych, które razem wziąwszy, dają miarę potężnego talentu, przekraczającego wszelki poziom pospolitości.

Gorkij co do swej formy i obrazowania, należy do naturalistów. Życie i natura są niedoścignione w swej wyrazistości; agonia konającego daleko silniej wstrząsa, niż najdokładniejsze i najbardziej artystyczne opisy konania (I, 148; III, 5). Pragnie tedy autor być wiernym, aczkolwiek dąży do takiego zestawienia ludzi, scen, obrazów, żeby całość dawała efekt silny. Niekiedy idealizuje. Niepodobna nawet wymagać od pisarza ciągłej kontroli i czuwania nad własną twórczością. Spotykam przeto u Gorkiego sceny okropne, a w nich bydlę ludzkie unosi się na takie wyżyny zdziczenia i okrucieństwa, że dreszcz obrzydzenia i zgrozy wstrząsa duszą czytelnika i na usta wydobywa okrzyk: to niemożliwe!

Taką jest przedstawiona powyżej scena bójki małżonków Orłowych, kiedy to on siadł na niej i ująwszy głowę jej oburącz, tłukł twarzą o podłogę, miażdżąc nos, krwawiąc policzki i czoło...

---

[1] O pisatielie, kotoryj zaznał sia. Piered licom żizni. Wiesinnija miełodii.

Taką scenę znajduję w opowieści „Zazubrina“. Na podwórzu więziennem uwija się wśród przestępcow artysta dowcipniś, klown zgromadzenia, Zazubrina. Jest on zazdrosny o swą sławę ulubieńca zgrai, a na nieszczęście dzielić się musi z małym rudym kotem. Raz ubawił gromadę złoczyńców tem, że rzucił w kubeł z zieloną farbą olejną kota, śpiewając przytem najdowcipniejsze kuplety i wywołując salwy śmiechu. Kot jednak wnet zdechł, a wówczas aresztanci mścili się na Zazubrinie. Obstąpili go zwartym tłumem, aby nie dostrzegł dozorcą. Kilku ciosami rzucili go na ziemię — i kopali nogami w żebra, nie spiesząc się, bez roznamiętnienia, wyczekując, aż wijący się jak wąż człowiek odsłoni dla kopnięcia wygodniejsze miejsce. A gdy wreszcie zawołał dozorca, jeden za drugim odchodził zwolna, żegnając ofiarę uderzeniem. Rozeszli się — Zazubrina zaś leżał twarzą ku ziemi, kaszlał i charkał. Nakoniec, wyjąc jak chory pieś, dźwignął się, podlazł ku ogrodzeniu, jedną ręką przyciskał piersi, drugą podtrzymywał się ściany, pochylił głowę i kaszlal. Widziałem — dodaje autor — jak na ziemię padały czarne krople. Aresztanci śmiali się (III, 105—6).

Podobną scenę znajduję też w opowiadaniu p. t. „Rudy Waśka“ (III, 299). Był to karciciel dziewcząt w lupanarach, znęcał się nad niemi bez miłosierdzia. Raz przywieziono go do domu ze złamaną srodze nogą, ryczącego z bólu — i ułożono na sofie. Wtedy gromada dziewcząt wdarła się do jego pokoju i rozpoczęła istną orgię męczenia: szarpały go za złamaną nogę, szczypały, rwały za włosy, plwały mu w twarz. Oczy ich płonęły, z ust wybiegały ryki, jakiś szał zemsty miotał niemi.

W opisy takich właśnie brutalnych scen wkłada Gorkij niezmiernie dużo siły wyrażeń i czyni je prawie nieznośnie plastycznemi. Wogóle atoli język tego autora celuje giętkością, barwami i siłą obrazów i wyrażeń. Ponieważ w powieściach działa lud albo sfery nizkie, przeto powieściopisarz nie waha się w wyborze środków obrazowania, a skala ich rozległa, potężnie potrącająca o ludzką duszę. Zgoła inaczej opisuje zdarzenia, wir akcyi, zamęt jarmarczny, inaczej zaś przyrodę.

Samorodność i dzielność talentu ujawnia się w niezliczonej

ilości wierszy, przysłowi i przypowieści, obrazów i porównań nad pojęcie trafnych i zmysłowych, zwrotów z ust ludu wyjętych, które co moment wplata w styl, ożywia go i urozmaica[1]. Można bardzo dobrze znać język, nawet gwarę rosyjską, można

---

[1] Podaję tu szereg niezwykłych wyrażeń, przysłowi, porównań i przekleństw; zapewniam przytem, że jestto cząstka, wyjęta z kilku zaledwie opowiadań. Możnaby bez wielkiego trudu wypisać dziesięć razy tyle z pięciu tomów wydawnictwa.

Wyrażenia z gwary: Жизнь осточертѣла, провалиться въ тартараты-ты не фордыбачь, цыкнуть, приструнить, пусть скачетъ черту на кулички, у тебя ихъ поддедюлю, чушь какая, покочевряжился, наряйвай, зажаривай, хаить, какимъ ты фертомъ, со шпандыремъ бесѣды велъ, завелъ волынку и лопочешь, будетъ тебѣ шематонить, ошарашила ты, наускаетъ полицію, разутюжить, уколыпнуть, слямзитъ вещь, покумекалъ, долбануть, наклюкаться i t d.

Przysłowia:

По кожѣ шило — по жизни рыло. Сама себя баба бьетъ, коли не чисто жнетъ. Коли чека не по оси, такъ се до ѣзды надо бросить. Живемъ, какъ можемъ — естъ пища гложемъ. Хоть толки его въ ступѣ, онъ все на свое мѣсто вступить. Искусенъ жабѣ орѣхъ, да зубовъ у жабы нѣтъ. Въ душѣ — то замѣшано густо, а выложить на бумагу — пусто. На комъ бархавтъ да кумачъ — тому и калачъ, а у кого грудь голая — тому и брюхо полое. Мое горе одна изопью, мою радость съ тобой разолью. Глупому чаду морковку надо, а дай хлѣба ему, не надставить суму. И свинья щетъ удачи, а человѣкъ тѣмъ паче. У каждой минутки своя прибаутка. Строй мнѣ домъ, а самъ жмись въ комъ. Косили версту — выкосили грошъ. I tak dalej.

Klątwy i przezwiska:

Чертоломина ты гнилоголовая, кровососецъ паукъ, смутьянъ, безстыжая рожа, длинный чортъ, чортъ те возьми, рыжій дуракъ, вѣдьма, пропоница, дьяволъ, извергъ. Мучитель, еретица, звѣрь, завылъ какъ песъ передъ покойникомъ, тупорылая хаврошья, кикимора болотная, вѣдьма ея бабушка, чортова кукла, жаба, звѣрье, корова, дура, чортова перечница, убивецъ, скандалистъ, баба ты деревянная, стерва, скотъ, мерзавецъ, болванъ, дубина дикая, шлюха проклятая, чернокнижникъ, гнойный прищъ, архаровецъ, огарокъ, чтобъ въ него печенки засохлись, гадка его морда, чтобъ здохъ якъ песъ, черномазая чумичка, скуластый чортъ, пакостникъ, дрянь паршивая, тряпичная твоя душа, каторжное отродье, рвань, шантрапа, какая... фря, крохоборъ, тюря i t. d.

Porównania:

Мнѣ около нея, какъ щепѣ у костра; лечу къ ней, какъ перо въ огонь; будто птичкой въ сердце мнѣ влетѣла — и поетъ тамъ пѣсню; всѣ дни походили одинъ на другой, какъ мѣлные пятаки чеканки одного года; угрюмая злоба хоронилась въ душѣ, какъ большая змѣя; накопилось въ душѣ сажи, какъ въ трубѣ; звуки исчезли въ воздухѣ, какъ камни въ водѣ; шопотъ раздался въ публикѣ, какъ будто змѣи ползли i t. d.

być w zupełności oswojonym ze zwyczajami ludu rosyjskiego, a mimo tego spotykać u naszego autora co krok wyrażenia i zwroty, nawet wyrazy zgoła nowe lub wielce zajmujące. Powieściopisarz świadom jest, że wszystko to nadaje charakter scenom, że bez tego obrazy i opisy mdłe byłyby i bezbarwne. Podałem dla przykładu kilkadziesiąt wyzwisk i przekleństw, w które obfituje gwara rosyjska. Drobna to ledwie cząstka, bo osoby Gorkiego klną świetnie, nie owem pospolitem i powszechnie znanem klęciem *po matuszkie*, ale wybrednem, wyszukanem, a nadzwyczajnie urozmaiconem. „Przeklinał go silnem i słonem ruskiem klęciem“ — mówi autor, kiedy pragnie oznaczyć rzecz z naciskiem (I, 261), albo też powiada: „klęła ona wcale barwnie, ale w przeklinaniu jej nie było siły: nie słyszałem w niem ani złości, ani nienawiści“... (I, 148). Dba przeto wielce o barwność, siłę, soczystość mowy, o dostrajanie sposobu wyrażania się do stanowiska, wykształcenia i charakteru postaci. Przedziwnie bogate słownictwo, dźwięczność mowy widocznie zaczerpnięta nie z ksiąg i studyów, lecz zdobyta osłuchaniem się pośród ludu; to też w tym względzie dzieła Gorkiego mogą być kopalnią dla badacza gwary.

Tak samo ma się rzecz z przysłowiami i przypowieściami. Niezrównany w tej mierze Majakin w powieści „Foma Gordiejew“. Pamięć jego nasycona nieprzeliczoną mnogością najróżnorodniejszych przysłowi — stosujących się sensem do życia codziennego; łatwość chwytania analogii między zdarzeniami życia a prawdami, w przysłowiach zawartemi sprawia, że sypie je krotochwilny staruszek jak z rogu obfitości, przypominając bardzo naszego Pana Jowialskiego. Nie jedyna to zresztą taka postać: i zarówno język, przypowieści, przysłowia, jak postaci i sceny dają malowniczy widok kraju i ludzi. Zwłaszcza zaś sceny zbiorowego życia i masowego trudu odtworzone z porażającą wyrazistością. Najtrudniej przedstawić ruch mas czy słowem czy pędzlem.

Gorkij jak gdyby mimochodem, bez wysiłku i widocznego zamiaru kilkunastu obrazami, z niepospolitą ekonomią słowa maluje — jak sam się wyraża — symfonię trudu zbiorowego

jedynej muzyki, która nie daje upojenia. Pomiędzy innymi taki wspaniały obraz poprzedza — jakoby wstęp — opowiadanie p. t. „Czełkasz“. Jestto handlowa przystań morska w dzień. Brzęk łańcuchów kotwicznych, metaliczny łoskot arkuszy żelaza, rzucanego kędyś na płyty kamienne, skrzypienie ciężarowych wozów, gwizd parostatków, okrzyki i nawoływania robotników, skręt i chaos, bieganina i gorączkowy popłoch, a jako kontrast potężny, spokój wielkich maszyn, około których wiją się obdarte i nędzne. potem oblane figurki ludzi, niemniej też oddalony szum powolnym mocarza ruchem chwiejącego się morza, — ponad tem wszystkiem zaś upał, zapierający oddech, jakieś napięcie w powietrzu, jakby przeczucie olbrzymiej katastrofy: oto składowe motywy obrazu, któryby można nazwać arcydziełem swego rodzaju (I, 71—73). Siła expressyi ruchu za pomocą doskonale dobranych wyrazów, ugrupowanie mnogich zjawisk w przestrzeni i czasie, spostrzegawczość, nie pomijająca najmniejszego szczególiku na niebie, ziemi i morzu, jeżeli on uwydatnia nastrój lub charakter sceny — wszystko to zużytkowane tak, że bez najmniejszej wątpliwości znamionuje w Gorkim pierwszorzędny talent. Podobne obrazy spotyka czytelnik niejednokrotnie; w powieści „Konowałow“, gdzie się opisuje budowanie przystaniowego wału z kamienia, i w powieści „Foma Gordiejew“, gdzie raz maluje wyładowanie zboża ze statków na Wołdze, drugi raz ratunek zatopionej ładugi i statku. Zbiorowej pracy towarzyszy często śpiew chóralny. Lud rosyjski namiętnie lubi śpiew: ludowe rosyjskie drużyny śpiewacze mogłyby takie same zbierać laury, jak nasza kapela Namysłowskiego. Można uważać to za rys narodowy. Gorkij nie tylko przy każdej sposobności wprowadza czy chór, czy *duet*, czy też nawet *trio*, ale opisuje z takiem mistrzowstwem słowa, że chyba Turgniew w swoich „Śpiewakach“ (Пѣвцы) może mu dorównać. „Dwa głosy objęły się i popłynęły nad wodą — piękną, soczystą, drżącą od nadmiaru siły melodyą. Jeden skarżył się na nieznośny ból serca, i upojony jadem swej skargi, zawodząc ponurym i bezsilnym płaczem, szlochał, zalewając łzami żar swoich męczarni. Drugi — niższy i mężniejszy — potężnie płynął w dal, pełen poczucia krwawej

obrazy, gotów do zemsty. Jasno wymawiając słowa, rwał się on z piersi gęstą strugą — a od każdego słowa czuć było woń krwi kipiącej, wzburzonej obrazą, nasyconej jadem krzywdy i władnie domagającej się zemsty.

„Już ja jemu zato odpłacę... żałośnie śpiewała Wassa, zamknąwszy oczy.

„Zadręczę go, czarem serce wysuszę... stanowczo i groźnie upewniała Sasza, miotając w dal powietrzną mocne metaliczne dźwięki, podobne do uderzeń“ [1].

Opis ten odtwarza melodyę, że ją się prawie słyszy, panuje nad nastrojem całości, uwzględnia najsubtelniejsze odcienie duszy śpiewaków, podaje słowa pieśni, nie pomija wrażenia, jakie pieśń wywiera na słuchaczy, słowem, w sposób iście artystyczny podnosi i zdobi rzeczywistość. Głąb, melancholia, szeroka rozlewność tonów w bezkresne dale tchnie z tych śpiewów tak, jak gdy się patrzy na niezmierzone stepy Ukrainy lub słyszy szum ogromnej wody Wołgi. Z takiem samem upodobaniem i sztuką maluje Gorkij przyrodę. To się nie da zaprzeczyć, że ilekroć chodzi o życie, Gorkij bywa pessymistą. Jakże rozległą jest skala żądzy, gniewu, zemsty, rozpaczy, złości, zawiści, egoizmu, pychy, pogardy, zwątpienia, bluźnierstw, kradzieży, oszczerstw, obelg i t. d. i t. d. Życie, zaprawione tymi przysmakami szatana, wyje pod piórem Gorkiego wszystkimi głosami piekielnych udręczeń.

Gorkij doskonale to odczuwa. Życie obecnie podług niego cierpi na zanik energii, na obojętność i tępy sceptycyzm. Trzeba je rozpalić, aby się ocknął w sercu ludzkiem mściwy wstyd i paląca żądza stworzenia nowych form bytu. Ale obok tego — jak mówi Gorkij — czy też właśnie *dla* tego my *znów* pożądamy marzeń, pięknych wymysłów, baśni i dziwów, aby choć chwilę upoić się wśród ołowiano-szarej codzienności.[2] To też i w dziełach znajdą się jasne, słoneczne obrazy, pełne barw

---

[1] IV, 188—9. Przypomina mi się wspaniały koncert dwu stawów i muzyka wieczoru z „Pana Tadeusza“ Mickiewicza.

[2] Gazeta Samarska, 1895, nr. 160.

wesołych i blasków promiennych. Taką barwną pastelą jest „Jarmark w Gołtwie“, taką też są pieśni o sokole lub o ptaku, igrającym wśród wichrów morskiej burzy [1], ale najpiękniejszą pieśń o Danku [2]. W gęstwinach ponurej puszczy żył lud, pożerany goryczą dumań i trucizną zgniłych wyziewów. I ginął, nie widząc zgoła drogi ku ocaleniu. Strach drętwił członki mężów, a przerażenie rosło jak olbrzymi cień, bo wciąż w mrocznej przestrzeni rozlegały się jęczenia niewiast nad świeżymi trupami. A wówczas zjawił się bohater. Wołaniem: naprzód, mój ludu, dźwignął śmiertelnie znużonych i omdlałych. Poszli. Wśród drogi rozegrzmiała burza, grobowe ciemności otoczyły idących, pioruny zionęły sinym chłodnym ogniem, drzewa wyciągały swe ramiona, a tłum wodzowi począł grozić śmiercią. Wtedy dusza bohatera zapłonęła nakształt pochodni miłością: rozdarł swą pierś, wyjął serce, podniósł je w górę wysoko i świecąc, wiódł lud swój naprzód ku ocaleniu...

Otóż takie jasne, natchnione widoki poświęcenia nie mają nic wspólnego z włóczęgostwem i złotorotcami: stanowią one jakby wytchnienie dla duszy znękanej ciągłą nędzą życia. Tak samo rzecz ma się z przyrodą. Gorkij w naturze szuka ciszy i ukojenia dla męki życia: stepy bezbrzeżne, ocean bez końca napawają duszę słodyczą marzeń i każą bodaj na chwilę zapomnieć o wszystkich zgryzotach i niezagojonych ranach sumienia. Nieraz każe swoim brodiagom roztkliwiać się nad obliczem nieba, szumiącego stepu i nad falowaniem głębi morskiej, a sam te opisy zasila bogactwem najpiękniejszych barw swojej językowej i artystycznej palety. Brak mu natomiast poczucia uroku gór i chociaż nieraz południowy Krym odbił się — jak w zwierciadle — w jego opowieściach, to jednakże zawsze był to niż i pobrzeża morskie, Wołga i Kubań, Bessarabia i Ukraina, nigdy zaś krajobrazy gór krymskich lub wysoczyzn kaukaskich. I to zamiłowanie — jak wiele innych — dzieli Gorkij z falangą swoich bosiaków, zwłaszcza zaś z Czełkaszem i Konowałowem.

---

[1] I, 243; III, 81; V, 398.
[2] I, 134—140.

Jakąż odpowiedź trzeba dać wkońcu na pytanie, skąd ów fenomenalny rozgłos w Rosyi i za granicą trzydziestoletniego powieściopisarza? Czego dokonał i mocą jakich uzdolnień? Czy jest romantykiem, naturalistą, czy może modernistą? Jaką rolę w twórczości jego odgrywa pierwiastek idealizacyi, właściwy każdej poezyi? Jaki stosunek tej twórczości do kultury zachodniej?

Wśród rozmyślań nad odpowiedzią na te pytania nie należy ani na chwilę zapominać o tem, że wykształcenie Gorkiego nie odbywało się systematycznie, podług określonego z góry układu i lektury, że oprócz tego stanowiło ono zawsze kwestyę drugorzędną, bo na czele stała sprawa zarobku na chleb, sprawa przeżywienia się jako tako, słowem — bytu. W takich warunkach nie mógł wybierać i systematyzować dzieł pomocniczych, nie mógł wyrabiać sądu w pewnym kierunku, bogacąc przez lata zasób myśli, argumentów, wiadomości. Jest on typowym okazem eklektyka, w którym — jak to z powyżej podanych przykładów i analogii jasno wynika — tkwią poglądy na sztukę i romantyka, i naturalisty, i modernisty. W jasnych obrazkach, w legendach swoich, w awanturniczych pomysłach przygód, w pojmowaniu, odczuciu i uduchowianiu przyrody jest romantykiem; naturalistą bywa we formie i sposobach odtwarzania życia; z modernizmem łączy go pogarda dla tłumu, pęd reformatorski w kierunku przeobrażenia wartości uznanych, beznadziejne znękanie życiem, niewiara, rozkosz bólu, żądza bezgranicznej swobody; w każdym jego bohaterze tkwi spory kęs nadczłowieka. A stał się Gorkij takim dzięki właśnie swemu kształceniu się. Na pewno twierdzić można, że w pace książek kucharza Smurego było wiele przekładów romantyków francuskich, jak Sue, Dumas, Wiktor Hugo [1]; nie ulega wątpliwosci, że później Gorkij rozczytywał się pilnie w dziełach Nietzschego, a wychodziły one w licznych przekładach na język rosyjski w Kijowie i Odessie, t. j. właśnie w tych środowiskach życia, gdzie zwykle przebywał. Ślady za-

[1] Wareńka Olesowa z zachwytem mówi o powieściach tych właśnie autorów.

sad tego filozofa częściowo wskazałem; obszerniej uczynił to krytyk rosyjski Michajłowskij. O ile bez zaprzeczenia w jego twórczości dadzą się wyróżnić znamiona falowania prądów, właściwego wrażliwym naturom w okresach przejściowych, o tyle pod względem przekonań społecznych, wypowiedział się wyraźnie i ponad wszelką wątpliwość. Ostatniem jego słowem w tej mierze jest uświadomienie chłopa. Ten zabiera głos w życiu społecznem: trzeba mu na oścież otworzyć wstęp do życia, a uczynić to powinny kosztem ustępstw inne warstwy — szlachecka i mieszczańska. W tem właśnie przemoc słowa Gorkiego, w tem dlań rozgłośny aplauz sfer liberalnych w Rosyi.

Zresztą i bez tego czarodziejskiego słowa jest to indywidualność twórcza samorodna, wybitna, dzielna. Stworzył legion postaci żywych, kruszących wymiary przeciętności. Roztoczył obrazy zgnuśniałego społeczeństwa z taką siłą gryzącego sarkazmu i oburzenia, że ironią i jadem szarpnął aż do trzewiów. Pomimo braku systematycznej nauki potrafił tak dalece wczuć się w ducha epoki, że odnalazl te same tchnienia i powiewy prądu, jakie wyobrażali inni zachodnio-europejscy moderniści. Stąd podkład etyczny ideałów jego nosi znamiona strupieszałości i zgnilizny. Ale nie da się w nim zaprzeczyć szalony, energiczny pęd do odkrycia nowych podpór dla duszy; nie da się zaprzeczyć dziki i nieukrócony zapał, z jakim przez drobiazgową analizę zmierza do syntezy. Posiłkuje go zaś świetna, błyskotliwa, niezmiernie urozmaicona, z krwi i kości ludu wyssana, zatem z gruntu rodzima forma.

Antoni Mazanowski.

DWA OBOZY WE FRANCYI.

(Dokończenie).

II. Obóz katolicki.

Potęga liczebna katolików francuskich z pozoru jest wielką. Księgi statystyczne wykazują liczbę 38 $^1/_2$ milionów wyznawców katolicyzmu przy nieznacznej cyfrze innowierców ($^1/_2$ miliona protestantów, 80 000 Żydów). Na wykazie statystycznym poprzestać jednak nie możemy; wiemy przecież dobrze, że niemal wszystkich stronników obozu wrogiego Kościołowi uważa się za katolików, gdyż do innego wyznania nie przyznają się otwarcie. Wskutek tego cyfra prawdziwych katolików niesłychanie się obniża. Tę cyfrę podać byłoby trudno; ostatecznie z pewnych objawów możnaby ją w przybliżeniu oznaczyć, musiałby jednak tego obliczenia podjąć się statystyk, zamieszkujący Francyę od szeregu lat, fachowy znawca stosunków jej kościelnych. Oczywiście, z samej natury rzeczy, w obozie katolickim znajduje się 52—54 000 kapłanów i około 200 000 zakonników i zakonnic. Jeżeli się zważy, że ci kapłani i te zakony wychowują po katolicku 1 296 000 dzieci w szkołach niższych, a 84 000 w średnich, z których, po ludzku biorąc, przynajmniej połowa zachowała zasady religijne, wszczepione w dzieciństwie, obóz katolicki przedstawi nam cyfrę wcale pokaźną, która niejedno na polu walki mogłaby zdziałać, gdyby była czynną i zjednoczoną wspólną ideą. A iluż katolików z przekonania i z życia liczą dzielnice czysto katolickie, jak Bretonia, Sabaudya? Ilu dzielnych

obrońców św. Wiary wydają starożytne rody francuskie, klasy mieszczańskie i robotnicze, nie pozostające pod bezpośrednim wpływem religijnego wychowania, owszem wychowane nawet w szkołach państwowych.

Jaką więc jest działalność katolików francuskich?

Bierzemy pod uwagę tylko akcyę obozu katolickiego we Francyi, na polu walki, w ostatnich latach.

Naprzód udział katolików w walce kongregacyjnej. Przed okiem przeciętnego widza roztaczają się obrazy objawów współczucia naprzód dla nękanych procesami Assumpcyonistów [1], następnie dla brutalnie wypędzanych innych zakonników i zakonnic, czasem użycie przemocy względem najeżdżających domy zakonnic wykonawców niesłusznego prawa, jak w Bretonii. Czy protesty te były liczne, obejmujące przeważną część kraju? Optymistycznie patrzące na wszystko, co w ojczyźnie się dzieje, katolickie dzienniki francuskie szeroko rozpisywały się o tych objawach niezadowolenia mieszkańców z polityki rządu. A jednak gdyby tak było, gdyby kraj cały śmiałym protestem wziął w obronę nieprawnie wywłaszczane zakony, czy rząd nie musiałby się cofnąć z dalszem wykonywaniem swych projektów, a przynajmniej nie postępować dalej w swej kampanii przeciwkościelnej? Tu i ówdzie podniosły się silniejsze głosy protestu, czego dowodem naprzykład głośna sprawa podpułkownika St. Rémy, który otwarcie przed sądem wojennym wyznał, że raczej słuchać należy Boga niż ludzi, że sumienie nie dozwalało mu usłuchać rozkazu wypędzania niesłusznem prawem dotkniętych zakonników. Owszem, niemal cała katolicka Bretonia jednomyślnie zaprotestowała w obronie zakonów. Ale to był głos jednej lub drugiej prowincyi, głos często nieśmiałej życzliwości, nie głos powszechny, z którym rząd musiałby się liczyć.

Silniejszy protest wyszedł od naturalnych przywódców ludu i obozu katolickiego. Naprzód biskup z Clermont otwarcie potępił postępowanie rządu w sprawie zakonów, porównywując je z prześladowaniem chrześcijan za czasów Nerona. I podobnie

[1] Por. *Przegląd Powsz.* t. LXV, str. 489.

jak ówcześni chrześcijanie, i on w imieniu zakonów wołał do prześladowców: „Jeżeliśmy winni, sądźcie nas, jeśli niewinni, czemu nas prześladujecie?“. Wreszcie pojawia się z takiem upragnieniem przez cały świat katolicki długo oczekiwany, a oddawna we Francyi niebywały — protest całego episkopatu francuskiego. Zawiera się on w okólniku do obu Izb parlamentu francuskiego z prośbą o potwierdzenie pozostałych, a proszących o autoryzacyę rządową zakonów. Pięciu tylko z ogólnej liczby 79 biskupów nie podpisało okólnika. Potwierdzają oni treść odezwy, tłumaczą się tylko opóźnionem doręczeniem samego aktu.

Ponieważ nasze pisma poprzestały na ogólnikowem tylko wspomnieniu o tym tak ważnym akcie, podajemy okólnik w streszczeniu.

We wstępie zaznaczają biskupi, że cały kraj poruszony ostatnimi wypadkami, z trwogą wyczekuje decyzyi parlamentu, od której zależy ukojenie wzburzonych umysłów lub dalsze ich podniesienie według tego czy orzeczenie Izb będzie przychylne dla zakonów lub nie. Ta decyzya rozstrzygnie może o przyszłości kraju całego. Stąd jeżeli kiedy, to teraz przedewszystkiem odpowiedzialność prawodawców jest wielką tak wobec współczesnych jak wobec przyszłych pokoleń. Przemawiając w tak doniosłej chwili do przedstawicieli kraju, broniąc sprawy zakonów, episkopat nie tylko korzysta z przysługującego każdemu wyborcy prawa odwołania się do swego posła, ale także występuje jako naturalny protektor swej jurysdykcyi niedawno przez rząd powierzonych zakonników i zakonnic.

Następne słowa okólnika mają na oku już nie rząd i opinię publiczną, ale wyłącznie przez katolików tak często podnoszony zarzut, że episkopat francuski w zbytniej trzyma się rezerwie, albo milczy albo nieśmiało tylko i z nadzwyczajnem umiarkowaniem wypowiada swoje zdanie. Zarzut ten odpiera okólnik powołaniem się na pierwszorzędny obowiązek biskupów, zalecający im roztropność, nienarażanie większego dobra przez wystąpienie nie na miejscu i w nieodpowiedniej porze; a nadto tylko „biskupom przysługuje sąd o tem, kiedy i w jaki sposób przemawiać i wystąpić mają“; wreszcie episkopat oczekiwał na odezwanie się i sąd Głowy Kościoła w tej sprawie. Leon XIII przemówił (przed dwoma laty) z stanowczością, ale zarazem z wielką oględnością. Za jego przykładem idą obecnie biskupi francuscy.

Wychodząc z ogólnej zasady, że pogwałcenie swobody i wolności w jednym względzie pociąga za sobą ujęcie innych swobód, wykazuje okólnik najprzód, że ustawy przeciwkongregacyjne gwałcą swobodę Kościoła katolickiego wyznawanego przez całą niemal Francyę. Choć zakony nie są „istotną częścią hierarchii kościelnej“, jednak wprowa-

dzone w życie przez rady ewangeliczne, zorganizowane przez Kościół, stanowią część żywotną istnienia, naturalny wykwit jego życia i działalności. Konkordat więc gwarantujący swobodę religii katolickiej, przez to samo zabezpiecza istnienie i rozwój zakonów we Francyi, Uznał to sam autor konkordatu, pozwalający Braciom nauki chrześcijańskiej *(Frères de la doctrine chrétienne)* osiedlać się i rozwijać. Uznali prawo jego następcy, z małymi tylko wyjątkami tyranii. Samo więc prawo przedawnienia przemawiałoby już na korzyść kongregacyi. Więc próżną jest nadzieja, że sprawy kongregacyjnej nie będzie uważał kler świecki za swoją, za sprawę Kościoła samego. Prawa przeciw-kongregacyjne gwałcą następnie wolność sumienia. Uszanować należy przekonanie i wiarę, słuchanie głosu sumienia współobywateli poświęcających się na służbę Bożą w Zakonie. Nadto życie zakonne nic niema w sobie złego, zakazanego przez prawa obywatelskie, owszem: „łączyć się w stowarzyszenia, żyć z kim się chce, mieszkać według upodobania, modlić się, uczyć dziatki, pielęgnować chorych, wychowywać sieroty, odwiedzać i wspomagać ubogich — to przecież wolno, do tego ma prawo każdy obywatel w wolnem państwie. Kto te prawa narusza, jak obecnie, ten nie tylko gwałci prawo wolności stowarzyszeń i związków, ale także prawo własności, występuje przeciw prawu nienaruszalności domu prywatnego i wolności osobistej. A te wszystkie swobody przyznaje przecież każdemu Francuzowi prawo publiczne państwowe".

Nietylko rodziców oburzyć musi sposób postępowania z zakonami, sposób który odejmuje im wolność wyboru wychowawców dla swych dzieci, kraj cały w licznych rodzinach, z których wyszli obecni zakonnicy, dotknięty jest ciosem wymierzonym na zakony. Trudno odpędzić od ogniska rodzinnego tego, który wypędzony z ciszy klasztornej szuka schronienia u swoich; trudno zapewnić im miejsce i część majątkową, które już nie są wolne, komu innemu przypadły w udziale. Najdotkliwszy to cios dla rodzin ubogich.

Niema z taką ochotą i poświęceniem, z zaparciem się siebie (przez śluby) pracujących nad upośledzonym przez naturę pod względem umysłowym lub fizycznym, niema dostatecznej liczby nie tylko oddanych już i doskonale przysposobionych wychowawców i nauczycieli, ale nawet wogóle brak sił w kraju, któreby jako tako zastąpić mogły zakony na tych licznych placówkach. Na budowę nowych szkół i szpitali, na uposażenie ich brak funduszów w skarbie państwa i w poszczególnych gminach.

Na zniesieniu zakonów ucierpi interes Francyi, sława światowa. Misyonarze szerzący sławę kraju po całym świecie, mając zamknięty powrót do kraju, zasilanie nowymi szeregami pracowników przysposobionych do swego zawodu w ojczyźnie, odcięci od pnia wygasną lub ulegną wpływowi nowego kraju, a następstwem tego będzie, że i Ojciec św. mając na oku dobro całego świata, komu innemu powierzyć będzie

musiał protektorat nad misyami, który tak długo utrzymywał się przy Francyi, tyle jej potęgi i sławy przyczynił.

Walka przeciw-kongregacyjna rozdzieliła kraj na dwa obozy rozjątrzone, zwalczające się wzajemnie ku uciesze wrogów ościennych. Utrudnia to nietylko akcyę zewnętrzną Francyi, ale uniemożliwia pracę wewnętrzną na polu socyalnem, na sprawę tak ważną a groźną dla przyszłości. Walka przeciw-kongregacyjna tyle praw gwałcąca, jest w oczach ludzi umiarkowanych wstępem do rewolucyi społecznej. Akcya broniąca tych praw, nic nie wskórawszy na drodze legalnej parlamentarnej ograniczy się na swoich siłach, wejdzie na drogę gwałtów.

Słowami temi okólnik nie grozi ani nie wyzywa, przewiduje tylko przyszłość.

W łączności i zgodzie zbawienie i szczęście Francyi. Rękę do zgody podał pierwszy Leon XIII, polecając wszystkim katolikom przyjęcie obecnej formy rządu Przez to nie przekroczył wcale zakresu swej władzy, rozwiązał tylko trudności sumienia wynikłe w przebiegu wypadków. Polem politycznej działalności katolików ma być tylko teren konstytucyjny. Przez to usuwa się pozór do prześladowania Kościoła we Francyi. Jeżeli jakie niebezpieczeństwa zagrażają bytowi Francyi, z pewnością nie pochodzą one ze strony zgromadzeń zakonnych. Uznają to pomimowolnie ich wrogowie, przypisując rozrost zakonów właśnie epoce ustalenia rzeczypospolitej. Ta współczesność sama świadczy, że zakony albo zupełnie nie brały udziału w walkach politycznych, albo przynajmniej, że wpływ ich był bardzo nieznaczny. Trudno zresztą przemienić w pionków politycznej partyi tych dziewcząt i kobiet zakonnych, cały dzień poświęcających uczeniu, pielęgnowaniu chorych.

Nauczanie w naszych szkołach zakonnych również nie może być uważanem za propagandę polityczną. Przeszkadzałaby temu sama liczba i rozmaitość wychowanków, z których poważna część rekrutuje się z partyi republikańskiej. Zresztą te zakłady wszystkie chcą być podległe i podlegają ścisłemu nadzorowi władz państwowych. Samo już jednak doświadczenie uczy, że nie w szkole ale później wyrabiają się zapatrywania polityczne. Tylko odjęcie wyboru szkół i wychowawców wbrew woli i zapatrywaniu rodziców, które obecnie jest w projekcie, wpłynąć może na ustrój politycznych zapatrywań, na rozgoryczenie i walkę wewnętrzną w szkołach, których wpływ i znaczenie podkopywać może nieufność i niezadowolenie rodziny.

To, co się mówi o mieszaniu się zakonów i wogóle duchowieństwa do polityki, wcale nie uprawnia do naruszania kardynalnych zasad wolności i równości wolnej rzeczypospolitej. Zresztą niebezpieczeństwo polityki zakonów jest bardzo nieznaczne ze względu na skutecznie sprzeciwiającą się takiej ingerencyi opinię publiczną. Nawet w najbardziej po katolicku myślących i żyjących okręgach spotyka się uprawiający politykę kapłan z oburzeniem, nieufnością ludności.

Z tego wszakże nie wypływa wcale, że wrogom Kościoła udadzą się wszystkie zamachy na jego swobodę i istnienie. Biskupi we wszy-

stkich dzielnicach Francyi znajdują obudzenie się ducha katolickiego, głęboką wiarę. Zwinięcie parafii z powodu braku kapłanów wywołuje liczne prośby i protesty. Ci wszyscy ludzie na pozór obojętni dla sprawy katolickiej, gdy ujrzą, że już nie Kościół miesza się do polityki, ale państwo wypowiada wojnę religii, zupełnie inne zajmą stanowisko. Już podburzyły ludność pierwsze gwałty przy wypędzaniu zakonników. Duch katolicki budzi się z uśpienia.

Jeżeli jednak wykroczenia na polu politycznem zdarzają się w pracy zakonnikow lub kleru świeckiego, środkiem zaradczym jedynym nie jest ich wypędzenie z Francyi. Zgromadzenia zakonne nie są, jak się fałszywie sądzi, potęgą bez karności zależności od hierarchii kościelnej. W ostatnich czasach pozwolił nawet Leon XIII, aby i zakony wyjęte co do pewnych spraw z pod jurysdykcyi biskupiej, zrzekły się we Francyi swych przywilejów nawet co do niezależności wewnętrznego swego rządu i karności. Gdyby się więc pojawiły jakie nadużycia pośród kleru świeckiego lub zakonnego, rzeczą rządu jest donieść o tem dotyczącym biskupom, a ci skutecznie potrafią zaradzić złemu. Zresztą gdyby nie wystarczało, pozostaje otwarta droga odwołania się do Stolicy apostolskiej, do czego nawet wzywa Leon XIII w liście swym broniącym sprawy prześladowanych we Francyi zakonów.

Okólnik kończy się wyrażeniem nadziei, że konkordat, który już niegdyś poprowadził pokój religijny do Francyi, i teraz zachowa go, jeżeli się tylko będzie jego paragrafy uczciwie tłumaczyło i zastosowywało w praktyce.

Jak już w pierwszej części niniejszej pracy nadmieniliśmy, zbija powyższy okólnik wszystkie wybitniejsze zarzuty tak często podnoszone przez rząd i innych nieprzyjaciół Kościoła — przeciw zakonom. Na szczególną uwagę zasługuje protest przeciw szerzonemu przez rząd zastrzeżeniu, że prześladowanie zakonów wcale nie dotyka kleru świeckiego ani Kościoła katolickiego, owszem otwiera szersze pole działalności dla świeckich księży, uwalnia Kościół z pod przewagi chciwych a przewrotnych zakonników. Biskupi w okólniku łączą swą sprawę i sprawę Kościoła ze sprawą zakonów.

Dla całości obrazu podajemy parę szczegółów z następstw okólnika. Cały świat katolicki z radością przyjął ten pierwszy zbiorowy głos episkopatu francuskiego, a głowa jego Leon XIII miał go zatwierdzić. Oczywiście innem było stanowisko rządu w tej sprawie. Z początku zdziwiony protestem nawet tych, których za pewnych swoich stosunków uważał, ochłonąwszy następnie z przerażenia, potępił, jak się można było spodziewać,

i myśl i treść zbiorowego listu. Rozesłano do wszystkich 74 biskupów kwestyonaryusz z prośbą o wytłumaczenie się z naruszenia prawa zakazującego zjazdów i wspólnych odezw, bez upoważnienia rządu. Odpowiedź jednych biskupów była w krótkich a śmiałych zawarta słowach, u drugich przebija chęć i skłonność do przebłagania rządu. Inni idą drogą pośrednią. List biskupa z Tulle odsłania nam okoliczności towarzyszące redakcyi okólnika. Oświadcza on, że biskupi Francyi tuż przed podpisaniem listu starannie unikali wzajemnej łączności, porozumiewania się wzajemnego, nawet pisemnego. „Nie było zresztą czasu na narady... Cały świat uznaje list za bardzo umiarkowany i względny. Ludzie gorętsi uważają go nawet za zbyt pokorny. Nadto zarzucano nam, że tak długo milczymy... To wszystko dowodzi, że trudno dogodzić całemu światu i że z drugiej strony nie była już pora na dłuższe milczenie. W tym wypadku cały kler z wszystkimi wiernymi dzielą naszą winę". Jak dotąd, rząd uznał, że trzeba ukarać episkopat w tych, których za inicyatorów okólnika uważał. Zatrzymano czterem biskupom pensyę, podobnie jak biskupowi z Autun, kardynałowi Perraud za śmiałe potępienie obecnego rządu w mowie wypowiedzianej na stuletnim obchodzie w Orleanie, siedzibie słynnego msgr Dupanloup. Może i tym niewinnie cierpiącym podobnie jak kardynałowi Perraud, miłość i przywiązanie wiernych dowiodą, że cała ich dyecezya łączy się z nimi myślą w proteście i pozbawionym środków do życia niedostatek usunąć potrafi ofiarnością swoją.

Jeden jeszcze głos protestu w sprawie kongregacyjnej zaznaczyć należy, bo choć nie nosi on na sobie cechy ogólnego oburzenia na politykę rządu, jednak jest dowodem pewnej akcyi katolickiej i w skutkach swoich może być bardzo donośnym. Wypędzenie zakonników, rozwiązywanie szkół założonych lub utrzymywanych przez prywatne towarzystwa spowodowało utworzenie się osobnego komitetu prawników katolickich, który zwołał kongres do Rennes celem zaprotestowania przeciw prawności tego kroku rządu przed parlamentem i obmyślenia środków obrony katolików przeciw jakobinizmowi i despotyzmowi masońskiemu. Uchwały kongresu, dotyczące prawności kroków rzą-

dowych, zebrał w swej mowie Riwet: „Według istniejących praw państwowych, rząd może te tylko kongregacye wypędzić, które utworzyły się bez autoryzacyi od chwili głosowania nad nowem prawem dotyczącem stowarzyszeń. Pamiętać nadto należy, że prawie jednomyślnie orzekły trybunały i sądy francuskie, iż członkom zniesionych zakonów nie wolno prawnie zakazywać i karać za odprawianie mszy św., głoszenie kazań, słuchanie spowiedzi, — bo to są czynności kapłańskie, a nie przywilej tylko zgromadzeń zakonnych".

Rząd nie poprzestał na wypędzeniu zakonów, grozi zagładą szkołom katolickim. Co czynią katolicy?

List msgr. Toucheti, następcy Dupanloup'a na stolicy orleańskiej, odsłania nam częściowo działalność katolików na tej zagrożonej placówce. Po rozwiązaniu szkół kongregacyjnych, zawiązały się ligi, przeważnie kobiet katolickich, sprzeciwiające się gwałcicielom wolności nauczania, a obejmujące dalsze kierownictwo tych szkół w tym samym duchu. Ruch ten szerzy się nadto w całej Bretonii i w niektórych okręgach reszty Francyi, ale nie jest ogólnym. Wszyscy katolicy niezadowoleni są ze zniesienia tylu szkół zakonnych, z grożącej zupełnej zagłady nietylko szkół kongregacyjnych (bo Combes nie dopuszcza do autoryzacyi wszystkich zakonów nauczających w szkole), ale nawet wszelkich szkół prywatnych po zaprowadzeniu monopolu nauczania, jednak nie śmieją jednogłośnie zaprotestować, a tem mniej obmyśleć środki zaradcze i wprowadzić je w życie. Tylko katolicy północnej Francyi i Pas de Calais uchwalili na zwołanym w tym celu kongresie walczyć na drodze parlamentarnej przeciw projektowi Chamnié, bez względu na to, że mają za sobą tylko mniejszość posłów i wskutek tego nie wielką nadzieję zwycięstwa. Inaczejby było, gdyby akcya objęła szersze koła.

Jak zupełnie inaczej przedstawia się stanowisko katolików bretońskich w sprawie katechizmu i kazań francuskich nakazanych przez rząd. Pierwszy w imieniu Bretończyków zaprotestował poseł ks. Gayraud w otwartym liście do Combes'a, w którym demaskuje i piętnuje zgubne zamiary rządu. Z jego głosem łączy się kler dyecezyi Quimper, oświadczając publicznie, że,

bez względu na zagrażające mu, za przekroczenie zakazu, odjęcie pensyi rządowej, będzie i nadal uczył i kazał po bretońsku w tych okolicach, w których katechizm i kazanie francuskie nie byłyby należycie i z korzyścią zrozumiane przez lud. „W przeciwnym bowiem razie“, jak powiedział publicznie jeden z wybitniejszych przedstawicieli kleru bretońskiego, „grozi nam zupełne zobojętnienie dla katolicyzmu lub nawet upadek wiary. Wolimy na czarnym chlebie poprzestać, jak patrzeć na wtargnięcie niewiary wskutek nieznajomości zasad religijnych. Bóg żąda od nas pasterzy takiej ofiary“. Posypały się zewsząd liczne inne protesty. Ale na nich nie poprzestano. Działalność swoją kler już zapowiedział. Nie zamilczeli i ci, którym rząd zlecił czuwanie nad wykonaniem swego rozporządzenia. Zjazd burmistrzów miast bretońskich w Lesneven pod wodzą senatora Pichon jednogłośnie sprzeciwił się rozporządzeniu rządowemu. Należało obmyśleć środek skuteczny celem udaremnienia wrogich zamiarów masońskiego stronnictwa. Proponowano zachować się podobnie, jak niektórzy burmistrzowie miast południowej Francyi, gdzie przeważa narzecze celtyckie, a mianowicie stale wypełniać dotyczący kwestyonaryusz rządowy w sposób przychylny dla duchowieństwa, nie wnikając w to, czy rozporządzenie rządowe jest zachowane. Większość jednak osądziła, że katolik nie powinien uciekać się do kłamstwa, ale otwarcie wypowiadać swoje przekonanie. Uchwalono więc wykreślać dotyczące pytania z kwestyonaryusza rządowego. Akcya ta ma być wspólną do tego stopnia, że gdy rząd usunie za to z posady jednego burmistrza, wszyscy podadzą się do dymisyi. Z takiem oświadczeniem musi się rząd liczyć.

Oto krótki obraz działalności obozu katolickiego na polu obecnej religijnej walki. Widzimy tu i ówdzie opór, przeważnie słaby, nieśmiały, brak powszechnej świadomości grożących niebezpieczeństw, zupełny niemal brak czynów. Zdziwienie obejmuje widza na myśl, że tak potężny zastęp katolików francuskich nic albo prawie nic nie czyni, nie zdaje sobie nawet sprawy z obecnego stanu rzeczy. By tę zagadkę rozwiązać, wnikajmy

głębiej w obecny stan obozu katolickiego, w usposobienie tych, którzy bronić mają Kościoła we Francyi przeciw wrogom — przeciw masońskiemu rządowi.

Nie bez słuszności porównywa ks. Forbes[1] w zajmującym artykule, z którego niejedną trafną uwagę wyjmujemy, katolicyzm we Francyi z tym chorującym olbrzymem, którego wyśmienity zewnętrzny wygląd ukrywa słabość dziecięcia. Do skutecznej bowiem walki na polu religijnem obóz katolicki musi mieć zastęp k a t o l i k ó w z przekonania i z życia. Kto nie wierzy w Kościół i nie słucha go, nie dziw, że nie będzie bronił sprawy Kościoła, ani się nią nawet żywo zajmował. Przeciwnie, wszędzie gdzie katolicyzm kwitnie, obfituje też w owoce działalności obozu katolickiego. Obojętność więc dla sprawy religijnej zdradza brak religijnych zasad i zanik katolickiego życia. Na pozór wydawaćby się mogło, że katolicyzm tam kwitnie. Optymiści wskazują na to, że w Paryżu wszystkie kościoły w dnie świąteczne pomieścić nie mogą wiernych, że w samej prastarej katedrze Nôtre-Dame 4000 przystępuje do komunii św. w okresie wielkanocnym, że na Montmartre 7000 mężczyzn bierze udział w nocnej adoracyi Najśw. Sakramentu, że w jednym tylko roku 1900-ym 100 000 ludzi odwiedziło cudowną grotę w Lourdes, że wreszcie rekolekcye i misye nawracają tysiące w okolicach uważanych dotąd za stracone dla katylicyzmu placówki. Przypominają, że elita Francyi, ludzie najwybitniejsi talentem, żądni ideałów powracają do katolicyzmu, lgną do niego całą siłą przekonania i serca. Taki Huysmans opuszcza świat, poświęca się Bogu w klasztorze, Coppée oddaje Chrystusowi na usługi swoje zdolności, pracę i zabiegi, Brunetière woła do całej swej ojczyzny: *je crois, je prie,* Bourget[2] wyznaje, że „długie badania nad moralną niemocą Francyi przekonały go, iż w obecnej dobie jedynym dla niej środkiem zaradczym i lekarstwem jest bezwzględny powrót do chrystyanizmu.

---

[1] Porów. *L'évangelisation des hommes et quelques réformes urgentes chez les catholiques* w *Études*, t. 91, str. 87 i nast.

[2] W przedmowie do wydania swoich *Oeuvres complètes.*

Sumienny badacz pierwszym cyfrom przeciwstawić musi mniej pomyślne, czasem wprost obawę budzące o katolicyzm we Francyi zeznania wiarygodnych świadków. Jeżeli tych kilka kościołów w Paryżu lub gdzieindziej zapełnia mnóstwo wiernych, to dlatego, że są one jedynie dostępne, blizko położone dla paruset tysięcy katolików. Natomiast dalsze kościoły wszystkie świecą pustkami i w niedzielę. Również czterem tysiącom komunikujących na Wielkanoc przeciwstawić należy 20, 40, czasem 90 razy większą liczbę katolików, którzy tego obowiązku nie spełniają. Zatrważające wieści dochodzą z miast i wsi francuskich. Kościoły opuszczone, niewielu przystępuje do Sakramentów św. nawet tuż przed śmiercią. W niektórych dzielnicach Paryża liczą 65% dzieci nieochrzczonych, gdzieniegdzie i na prowincyi połowa ludności nie ma nawet prawa do imienia katolika, ponieważ nie przyjmuje Chrztu św. Inni, a tych przeważna większość, choć chrzest przyjęli, nie przystępują wcale do spowiedzi. I tak tylko 13% ludności katolickiej odprawia spowiedź wielkanocną, podczas gdy np. w Westfalii pełni ten pierwszorzędny obowiązek katolika 85%, a u nas przeszło 95% ludności.

Wielu z tych, którzy przyznają się do katolicyzmu, o obowiązkach katolika ani wiedzieć nie chcą. Niepodobna przytaczać wszystkich dowodów na stwierdzenie tego faktu, że większość tak zwanych katolików we Francyi jest tylko z imienia katolicką; niema tam ani znajomości zasad wiary, ani zrozumienia obowiązków katolika czy względem Boga, czy bliźniego, czy siebie samego, niema wskutek tego życia katolickiego. Doskonale charakteryzuje takiego mniemanego obrońcę obozu katolickiego odpowiedź pewnej Francuzki na zapytanie, czy jej mąż jest katolikiem: *Oui, mon mari est bon catholique, mais il ne pratique pas.*

Nietylko brak katolickich przekonań i życia w obozie Kościoła francuskiego krępuje wszelką skuteczną działalność, obronę słusznych praw. Rozdwojenie na polu politycznem, monarchistyczne z jednej, republikańskie zapatrywania z drugiej strony, rozdzielają obóz katolicki na dwa stronnictwa wzajemnie się zwalczające; stąd udaremniona jest wszelka wspólna akcya

przeciw wspólnemu wrogowi. Nie zaradziło złemu polecenie obecnego papieża, aby wszyscy katolicy złączyli się w jeden obóz, popierali Rzeczpospolitą w jej słusznych zamiarach. Pomimo kilkakrotnych napomnień Leona XIII, udzielanych katolikom francuskim przez rektora katolickiego uniwersytetu w Paryżu, ks. Pechenard'a, a niedawno przez biskupa z Quimper, nie ustają wcale akcye monarchistów katolickich. Oprócz udaremnienia akcyi katolickiej, służy to wrogom za pozór do prześladowania Kościoła. Niedawno przecież Waldeck-Rousseau w swej mowie przeciwkongregacyjnej usiłował przywdziać maskę obrońcy Rzeczypospolitej przed groźnymi dla jej bytu politykami katolickimi. I teraz walkę na polu szkolnictwa katolickiego motywuje się prawami słusznej obrony przed propagandą monarchistyczną w szkole. Niejednego życzliwie nawet dla katolicyzmu usposobionego posła zwiodły te pozory. A wyborcy katoliccy oddają często swe głosy wrogowi Kościoła dlatego, że kandydatów republikańskich niema, a oni nie chcą wcale rozdwojenia ojczyzny, walki politycznej, przewrotu.

I wogóle łączność w jedno silne stronnictwo nie należy do przymiotów, wogóle Francuzów, a w naszym wypadku katolików francuskich. Objawia się to w parlamencie, gdzie już i tak nieliczni posłowie katoliccy podzieleni są na wiele drobnych stronnictw zwalczających się wzajemnie; o akcyi wspólnej nie może być mowy. Zdawałoby się, że silny obóz nacyonalistów skupi te małe grupy i poprowadzi do wspólnej a skutecznej walki na polu wyznaniowem. Tymczasem nieliczni w tym obozie posłowie katoliccy grają tylko podrzędną rolę. Zresztą plany i zamiary nacyonalistów więcej zaszkodzić niż pomódz mogą sprawie katolickiej. Zawiązał się wprawdzie w czasie ostatnich wyborów obóz obrońców prześladowanych zakonów. Głowa jednak tego stronnictwa, Pion nie został wybranym, a wskutek tego partya ta łatwo upaść może. Wogóle brak wśród katolickich posłów zręcznych i zdolnych przywódców.

A ci, którzy stanowią główną siłę obozu katolickiego, kler? Niestety, niejedna na nim cięży wina z powodu tego opłakanego stanu katolicyzmu w tak licznym narodzie francuskim·

Gdy szukamy przyczyn, dlaczego wśród katolików francuskich wielu jest takich, którzy nie wykonują praktyk religijnych, wina zaniedbania, niedostateczności o powierzchowności wykształcenia katolickiego nie spada tylko na sam lud katolicki. Prawda, że rodzice czasem bezwiednie, czasem świadomie wydzierają wiarę z serca dziatek, że w szkołach dla karyery każą im opuszczać rok filozofii, przynoszący rozumowy wywód artykułów wiary, że posyłają je do liceów rządowych, zarażonych niewiarą lub indyfferentyzmem i to w wieku najniebezpieczniejszym dla wiary młodzieńca. Ale również pewnem jest, że i ksiądz często zaniedbuje pouczenia rodziców o obowiązkach religijnego wychowania dzieci. Wiele mówi się o tem, że kazań i wykładów katechizmowych słuchają we Francyi tylko kobiety i dzieci; dodać jednak potrzeba, że kaznodzieja przemawia raczej do uczucia jak do rozumu, że, jak mówi kard. Bourret, „prowadzi do skrupułów, lub bawi się w krasomówczą grę słów“. Zraża to wiele poważnych umysłów od ambony.

Nadto, oddalenie się kleru parafialnego od ludu sprawiło, że przepaść między proboszczem a parafią wciąż wzrasta i przywodzi wielu do odstępstwa od wiary i Kościoła. Prawda, że niektóre parafie liczą 70, 80 lub 100 tysięcy dusz, a wtenczas zaledwie dziesiątą część wiernych zdoła proboszcz odwiedzić, w danym razie wspomódz materyalnie i moralnie. Da się to zrobić w zupełności w innych parafiach, a w tych należałoby przynajmniej tyle pracować, ile można. Tymczasem często kler parafialny ogranicza się na pracy w Kościele, a i tam nie zawsze stara się o regularność nabożeństw, kazania, zdaje się kierować tylko do kobiet. Gdyby lud francuski wszędzie lub w przeważnej części był nieprzychylnie usposobiony dla proboszcza, niedostępny, łatwiej możnaby wytłumaczyć to stanowisko kleru. Tymczasem próby przedsięwzięte przez niektórych gorliwszych młodych kapłanów dowiodły, że zbliżenie się, porozumienie jest przeważnie łatwe, a przynosi wielkie korzyści dla katolicyzmu.

Potrzebę wykształcenia, przygotowania kleru do pracy na polu socyalnem odczuwają prawie wszyscy. Niestety, i na tym punkcie nie brak przesady. Część kleru żąda gruntownej reformy

systemu naukowego w seminaryach do tego stopnia, że wprowadzenie studyów świeckich osłabić może i zmniejszyć naukę dogmatu i filozofii chrześcijańskiej, tak potrzebną zwłaszcza w naszych czasach. Drugie stronnictwo żąda reformy tylko w granicach koniecznych. Już samo to rozdwojenie panujące wśród kleru odbijać się musi niekorzystnie na jedności w obozie katolickim.

Jedni, jak biskup z Nancy, Turinar[1], zbyt może pesymistycznie patrzą na stan duchowieństwa i dążenia do reformy. Podajemy pokrótce streszczenie jego uwag, które posłużyć mogą do poznania obecnego stanu duchowieństwa francuskiego, choć z pewnem zastrzeżeniem przyjąć je należy. Niektóre szczegóły stwierdzają i stronnicy przeciwnej partyi kleru. Zdaniem Msgr. Turinar'a w wielu seminaryach duchownych pomimo wyraźnego życzenia papieża nie usunięto w wykładzie dogmatów filozofii Kanta. Wygórowane wymagania uczenia w seminaryach wszystkich gałęzi wiedzy nowoczesnej, z uszczerbkiem teologii, coraz szersze obejmują koła. Księża-apostaci zwołują w seminaryach t. zw. posiedzenia naukowe dla młodego kleru, na których wykładają swe nowoczesne reformacyjne teorye. Wśród alumnów krążą pisma w seminaryach potajemnie przez reformatorów wydawane. Podburzają one młody kler do oporu władzy, zwłaszcza przeciw opiece proboszcza nad alumnem w czasie wakacyi. Księża słuchają wykładów protestanckich profesorów teologii, jak Sabatier'a, wielu radzi się ich prywatnie w sprawach dotyczących sumienia. Jedni otwarcie wyrzekają się wiary, inni, postradawszy wiarę, pozostają do czasu na duszpasterstwie. Ci uczą lud tego, co im się podoba, stąd powoli wierni opuszczają swego pasterza, tracą wiarę. Teorye niepodległości od władzy biskupiej, amerykanizm coraz bardziej i szerzej grasuje wśród kleru.

Z drugiej strony np. biskup z Chalons[2] każe uczyć w swem

---

[1] *Les périls de la foi et de la discipline dans l'église de France à l'heure présente.*

[2] W *Correspondant* t. CCVI. *Un renouvellement des études ecclésiastiques* par F. Klein, str. 978 i n.

seminaryum w materyi czysto teologicznej tylko tego, co jest ściśle zdefiniowane przez Kościół. Wolnomyślny dziennik niemiecki *Allgemeine Zeitung* w dodatku swoim [1] umieszcza pod tytułem *La fille ainée de l'église* artykuł, w którym wyraża ubolewanie, że niemieccy katolicy nie mają takiego biskupa, jak francuski Msgr. Lalty, Mignot biskup z Albi, Msgr. Le Camus. Ten ostatni żąda między innemi usunięcia w seminaryach języka łacińskiego jako wykładowego.

Do charakterystyki kleru francuskiego jeden jeszcze dorzucamy szczegół. Hettinger w swojem dziele *Aus Welt und Kirche* podnosi przeciw duchowieństwu francuskiemu zarzut przesadnej surowości, tej pozostałości ducha jansenizmu. Przeciwne zupełnie zdanie wypowiada Issard, biskup z Annecy [2]. Zarzuca on klerowi niedozwolone zupełnie stosowanie się do życzeń i zasad świeckich w sprawowaniu urzędu kościelnego. Zasada „wymagać jak najmniej" od wiernych gra, zdaniem Issarda, przeważną rolę tak w urządzaniu nabożeństw, na których nie poważny, kościelny, ale salonowy, koncertowy panuje nastrój — w wykładaniu obowiązków co do święcenia dni świątecznych, w obrzędach kościelnych, w niedopuszczaniu ubogich do kościoła przez żądanie wysokich opłat za miejsce w domu Bożym, — kazaniach, przemowach publicznych, gdzie przeważa pochlebstwo, krasomówstwo, ukrywanie się z swoim charakterem kapłana katolickiego. Przytacza wreszcie ustęp z przemowy pewnego biskupa do odchodzących do koszar, celem odbycia służby wojskowej kleryków. Dotyczący biskup poleca swym młodym lewitom cieszyć się z tego, że mogą złożyć dań ojczyźnie, obowiązek spełnić, od którego nikt uchylać się nie powinien. Przepowiada im w koszarach nie trudną i mozolną walkę nad utrzymaniem się w powołaniu i usposobieniu ducha odpowiednim przyszłej kapłańskiej godności, ale łatwe zwycięstwa

---

[1] Nr. 124 i 252 z roku 1902.

[2] *Le système du moins possible et Demain dans la société chrétienne;* streszcza jego uwagi w *Hist.-Polit. Blätter* t. CXVII, str. 253 i nast. artykuł: *Ein französisches Urtheil über die kirchlichen Zustände in Frankreich.*

i tryumfy. Chwali zasadę r ó w n o ś c i, która powołuje wszystkich pod broń, zasadę tę z w i ę t ą.

W tem wszystkiem jednak nie jest wina samego kleru. Że kler jest niemal bezczynnym na polu akcyi katolickiej, że waśni się i spiera wzajemnie, wielką w tem winę ponosi obecny ustrój państwowy. Bezwzględna niemal zależność kleru wyższego i niższego od rządu tłumaczy wiele.

Pierwszą przeszkodą[1] do skutecznej pracy parafialnej jest nierówny podział dyecezyi i parafii. Jako zasadę postawił sobie rząd zastosowanie dokładne podziału politycznego państwa do podziału kościelnego. Każdy departament stanowi dyecezyę, każdy okręg parafię. Większe okręgi mają swoich proboszczów pierwszej klasy z przywilejem nienaruszalności, mniejsze — proboszczów drugiej klasy, pozbawionych tego przywileju. By wskazać zgubne skutki tego ustroju, wystarczy wspomnieć o dwóch niedawno wydarzonych wypadkach. Proboszcz parafii św. Jerzego w Lyonie, Soulier przed miesiącem za pewne większe wykroczenie zasuspendowany został przez biskupa. Usunąć go trzeba a nie można, bo ma przywilej nienaruszalności, a rząd nie ma ochoty zezwolić na wyzucie go z tej godności. Rząd uważa kler za swoich urzędników, karci, pociąga do odpowiedzialności przed świecką władzą. Tak postąpił sobie niedawno z wikaryuszem gen. dyecezyi Besançon, ks. Laligaut; arcybiskup Fulbert energicznie zaprotestował; wątpić należy, czy rząd będzie się na to oglądał.

Oczywiście Kościół uważa proboszczów pierwszej i drugiej klasy za takich, których bez procesu kanonicznego usuwać z miejsca nie wolno. Rząd dobrowolnie przenosi proboszczów drugiej klasy z miejsca na miejsce; wystarczy, że dotycząca osoba nie podoba się wpływowemu posłowi lub prefektowi. Gdy biskup się sprzeciwi, rząd chwyta się stałej już taktyki, odbiera mianowicie dotyczącemu kapłanowi pensyę, dopóki się nie przeniesie na naznaczone sobie miejsce.

---

[1] *Die Kirche in Frankreich* w *Hist.-polit. Blätter* t. CXXIX, zeszyt ósmy, 1902, str. 546 i n.

Podział powyższy dyecezyi i parafii o rozmaitej liczbie ludności katolickiej sprawia, że gdy w jednem miejscu proboszcz ma bardzo nieznaczną liczbę parafian, w drugiej liczba jest tak wielka, iż kilku nawet księży obowiązku swego należycie spełnićby nie mogło, a rząd naznaczoną z góry liczbę kapłanów wcale nie myśli podnosić ze względu na złączone z tem powiększenie kosztów; np. w niektórych miejscach parafia ma tylko 300 dusz, a przeciwnie w Marsylii na 450 000 wiernych jest tylko 22 parafii. Ponieważ bowiem proboszczowie i biskupi żadnych posiadłości od czasów rewolucyi nie mają, rząd wypłaca im pensyę. Wymiar pensyi znów jest krzywdzący i upośledzający kler wobec urzędników państwa. Wystarcza zwrócić uwagę na tę okoliczność, że gdy nauczycielom podwyższono pensye na 1200—2400 fr., a w miastach do 4000, nie licząc pobocznych dochodów, wikaryusze otrzymują i teraz 900 fr. rocznie.

Na prawo obsadzania stolic biskupich i jego następstwa, zwróciliśmy uwagę powyżej [1]. Podobnie i biskup w mianowaniu proboszczów obu klas musi starać się o potwierdzenie ze strony rządu. Wybór osób i skutki te same, co w mianowaniu biskupów.

Zależność w wyborze zwierzchników kościelnych, zależność materyalna kleru od rządu mści się straszliwie na stanie Kościoła we Francyi. Nie dość na tem, że kapłan w najmniejszej rzeczy nie może się sprzeciwić woli rządu bez narażania się na pozbawienie stanowiska lub odjęcie pensyi, a stąd na nędzę materyalną — nadto proboszcz lub biskup nie jest gospodarzem swego Kościoła. Ponieważ tak szczupła pensya (proboszczów I klasy 1800, II-ej 1200 fr.) nie może wystarczyć nie tylko na utrzymanie kościoła, ale nawet ani na utrzymanie samego proboszcza, chwycono się innego środka. Państwo objęło w swój zarząd katedry, wybitniejsze kościoły, pałace biskupów, seminarya z obowiązkiem utrzymania ich w należytym stanie, o ile na to nie pozwolą dobrowolne datki wiernych. Gminy zabrały na własność kościoły parafialne i probostwa. Ofiary wiernych

[1] *Przegląd Powszechny*, listopad, str. 194 i d.

obficie wpływają, — wszystko zabiera rząd, względnie gmina. Rząd i gmina nie poprzestając na tem, stworzyły sobie nowe źródło dochodu przez żądanie opłaty za miejsca w kościele. Dochody pozostają pod zarządem państwa, względnie gminy. Ustanawia się taksy za pogrzeby, chrzty i t. d.; proboszcz otrzymuje małą tylko cząstkę. Proboszcz choćby najgorliwszy nie może, nie ma władzy ułatwić biednym przystępu do Kościoła do Sakramentów, ułatwić sprawienie pogrzebu i t. d. Rząd i gmina rządzą Kościołem i nabożeństwami dowolnie. Wina więc opłakanego stanu katolicyzmu we Francyi nie spada na sam tylko kler.

* * *

Jakie wnioski na przyszłość?

Wobec silnego a dobrze zorganizowanego i czynnego obozu rządowego, jakżeż słabym, rozdwojonym, bezradnym i nieczynnym wydaje się obóz katolicki. 25000 wolnomularzy rządzi a raczej teroryzuje miliony katolików. Wielbiciele rządów ludu twierdzą, że Francyą rządzi wola ludu, że w jego imieniu prawa się uchwalają i wyroki wykonują. Parlamentarna większość przedstawia, ich zdaniem, większość ludności kraju, jej zapatrywania i zamiary są zapatrywaniami i zamiarami większości wyborców. Gdyby tak było we Francyi w istocie, większość kraju byłaby wrogą Kościołowi a wtedy nie prędko spodziewaćby się można zwycięstwa obozu katolickiego.

Tymczasem cała ta sprawa ma się zupełnie inaczej, niż ją przedstawiają zwolennicy obecnego systemu wyborczego. J. Darcy[1] w znakomitej rozprawie w *Revue des deux mondes* dowiódł, że obecna Izba posłów francuskich nie przedstawia wcale kraju i jego przekonań, nie reprezentuje nawet tych, którzy brali udział w głosowaniu wyborczem. Wyjmujemy niektóre cyfry, celem wykazania siły tych dowodów. Przy tegorocznych wyborach 575 posłów francuskich ledwo połowa uprawnionych do głosu wyborców oddała głos swój tym, którzy

[1] *A propos des élections législatures de 1902* w *R. d, d. m.* T. x, r. 1902, str. 908 i n.

obecnie cały kraj w parlamencie przedstawiać mają. Na 10 987 500 bowiem zapisanych na liście wyborców ledwie 5 158 300 oddało głos swój wybranym 575 posłom, czyli ci mają za sobą ledwie 48·9% ogólnej liczby wyborców. Cyfra więc ogólna głosów nie reprezentowanych w Izbie wynosi 5 829 200 czyli 53·1%. Z tych 2 346 500 wyborców nie było obecnych na wyborach, oddano 196 600 pustych kartek (białych), a 3 286 100 głosów padło na przeciwników obecnych posłów, na kandydatów niewybranych. Zestawienie tegorocznych wyborów z poprzednimi z okresu ostatniego dwudziestopięciolecia, dokonane przez sumiennego statystę Simon'a, wykazało, że w r. 1877 — 51%, 81 — 55%, 85 — 57%, 89 — 55%, 93 — 56%, 98 — 54%, a w obecnym 53·1% ogólnej liczby uprawnionych do głosu wyborców nie miało swoich przedstawicieli w parlamencie, że więc od początku obecnej formy rządu, n i g d y Izba nie przedstawiała, ani nie miała za sobą większości ogólnej ludności kraju. Zawsze posłów wybierała mniejszość. Wejdźmy do układu zdań i przekonań w samym parlamencie. Cóż tam widzimy. Oto, że we wszystkich ważniejszych sprawach, wnioskach prawnych zdania posłów podzielone są niemal na połowę tak, że np. niedawno gabinet Combes'a otrzymał wotum zaufania tylko 299 głosami. Te 299 głosów reprezentuje tylko 2 626 000 wyborców, którzy tym posłom oddali swe głosy, na ogólną cyfrę 10 987 500 uprawnionych do wyborów. Prawodawstwo więc obecne spoczywa w rękach tej małej liczby 24% na 100 wyborców. 8 361 000 ulegać musi prawom uchwalonych przez 2 626 000. Oto wola ludu.

Nie dosyć na tem. Izba posłów nie przedstawia nawet tych, którzy biorą udział w głosowaniu. Zaznaczyć musimy najpierw, że bierzemy pod uwagę pierwsze skrutynium, bo tylko wtedy wyborca oddaje głos według swego przekonania, otwarcie i szczerze. Poucza o tem praktyka, doświadczenie. Za pierwszym razem wyborca głosuje z a swoim ulubionym kandydatem, za drugim p r z e c i w obcemu kandydatowi. Dlatego Anglia nigdy nie przyjęła u siebie systemu powtórnego głosowania, a Belgia nauczona doświadczeniem usunęła go niedawno.

Przy pierwszem głosowaniu 8 420 000 głosów padło na ty-

siące kandydatów. Podzielimy ich na dwie grupy: radykalnych, socyalistów z jednej, umiarkowanych wszelkich odcieni z drugiej strony. Z legitymistami lub rewolucyjnymi anarchistami w obecnej dobie liczyć się już nie trzeba.

Podział tych głosów według możności najbezstronniejszy i najdokładniejszy tak się przedstawia: na radyk. socyalistów padło 4 250 000 głosów, na umiarkowanych kandydatów 4 170 000 głosów; różnica na korzyść pierwszych wynosi 80 000 głosów. Otóż z rozmaitych głosowań w parlamencie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wynika podział posłów na 329 radykałów i 246 umiarkowanych; różnica na korzyść pierwszych wykazuje większość 83 głosów poselskich. Zestawienie obu tych różnic wyborców i posłów dowodzi, że większość parlamentarna w żadnym nie stoi stosunku z większością głosów wyborców. Gdy bowiem na korzyść radykałów padło o 80 000 głosów więcej, niż na umiarkowanych, większość posłów radykalnych w porównaniu z umiarkowanymi powinna była wykazać tylko 8—10 posłów; tymczasem różnica wynosi 83 posłów. Więc mniejszość tylko teroryzuje Francyę.

Niepodobna przytem pominąć milczeniem okoliczności, że rząd francuski ma na usługi przy wyborach zupełnie sobie oddanych a bezwzględnie posłusznych, obecnie o 250 000 pomnożonych, a więc razem 760 000 urzędników. Z matematyczną ścisłością, bo popartą dwudziestoletnią praktyką, może rząd jak w r. 1889 przepowiedzieć, którzy posłowie wyjdą z urny wyborczej. Tem bardziej, że miliardy ze skarbu państwa służą.

Oto poważny moment do wniosków na przyszłość. Niestety, jak długo w samem wnętrzu katolicyzmu francuskiego istnieć będzie dalej ten rozpaczliwy stan niemocy, jaki poprzednio nakreśliliśmy, moment ten nie będzie wyzyskany. Można mieć jednak silną nadzieję, że jeżeli dłużej prześladowanie potrwa, Kościół francuski z niemocy się otrząśnie — tak uczy historya.

Dalsze wnioski byłyby przedwczesne.

Ks. K. Krokoszyński.

Czasopisma polskich socyalistów w roku ostatnim.

Przyczynek do psychologii społecznej.

(Dokończenie).

Stanęliśmy w grudniowym zeszycie na stosunku pism socyalistycznych do Kościoła. Nadmieniło się, że walka z nim nie jest natury teoretycznej, ale czysto praktycznej, skierowanej do tego, by uniemożliwić opór, jaki Kościół stawia przewrotowej pracy socyalizmu.

Walka obejmuje dwa kierunki: podkopywanie wpływu duchowieństwa i osłabianie działalności społecznej Kościoła.

Tę przyczynę wojny socyalistów przeciw Kościołowi okazują ich czasopisma w roku ubiegłym wcale wyraźnie. Mianują wrogiem swoim burżuazyę, a pociskami, przeciw niej wymierzonymi, godzą także w Kościół, jak gdyby mogli w Kościele upatrzyć sprzymierzeńca burżuazyi czy wspólnika jej win względem proletaryatu.

A jednak proletaryat nie powinien widzieć w Kościele przeciwnika, sprzymierzonego przeciw niemu z burżuazyą. Wszak proletaryat, zwany stanem czwartym, widział w roku 1789-tym mieszczaństwo, zwane wówczas stanem trzecim, obecną burżuazyę, porwaną hasłem przewrotu, aby zająć naczelne miejsce w społeczeństwie. Proletaryat wziął udział w tym przewrocie z nadzieją, że po zwycięstwie burżuazyi znajdzie byt ułatwiony. Spoglądał wtedy na burżuazyę, skrwawioną przy gilotynie, gdzie ścinała

także duchownych, spoglądał na pontony albo na niecne małżeństwa, w których widział księży deptanych przez burżuazyę miejską. Ale po jej zwycięstwie nie ujrzał spełnionych obietnic. Zamiast ulgi, uczuł jej rękę cięższą i twardszą niż rządy poprzednie — i od wojen krzyżowych, przez wiele set lat, mniej jęczał i o rokoszach rozmyślał stan czwarty, niżeli wzniósł skarg w ciągu dziesiątków lat pod rządami burżuazyi bezwyznaniowej.

Aby fakta dziejowe zatrzeć, socyalizm nie wyjaśnia sprawy, skąd i dlaczego wystąpił przeciw burżuazyi; przeciwnie tę sprawę zaciemnia. Mięsza tedy w zasadzie najprzód wogóle Kościół z burżuazyą, potem plącze postępki złych synów Kościoła z jego nauką a nie widzi jej oświeconej żywotem godnych naśladowców Chrystusa, poczytuje naganę zemsty w ustach papieży za pochwałę krzywdy, przypisuje chrześcijańskiej pracy dla dobra wydziedziczonych służalczą obawę o majątki burżuazyi, słowem wikła mnóstwo pojęć i kojarzy przeciwieństwa, aby ukuć broń przeciw Kościołowi.

W dowodach socyalizmu odróżnić można trzy stopnie coraz dziwniejszej psychologii.

Najwięcej jeszcze pozorów rozsądku przeziera z twierdzeń, jakoby Kościół w swoich członkach szedł równym krokiem z burżuazyą po drodze do bogactw, jakoby zarówno z nią odwracał oczy od nędzy, owszem deptał ją albo odpychał od siebie i wtrącał w rozpacz. Aby temu pomysłowi dać jakieś choćby pozory dowodu, socyalizm polski ściąga zewsząd opisy złego duchowieństwa; służą mu tu rozprawy sądowe czy to ukończone wyrokiem o upadku jakiego Judasza-księdza, czy też chlubne dla księdza, sądownie uznanego godnym czci za żywot wzorowy; w tym ostatnim wypadku pisma socyalistyczne, podawszy oskarżenie, o wyniku rozprawy milczą. Kiedy znikąd nie mogą wydostać księdza, dobierają przynajmniej wieści o wybrykach schyzmatyckich popów, pastorów albo nawet rabinów, dając wszystkiemu nagłówek jaskrawy o zbrodniach duchowieństwa. Z równem prawem mogliby pod nazwę księży podciągnąć bonzów, mandarynów, lamów, muerinów a w końcu wróżów i cza-

rownice, bo to wszystko przecież ma coś wspólnego z jakiemiś obrzędami.

Psychologia ta prowadzi oczywiście do wyników, nie miłych dla socyalistów, przynajmniej w oczach ludzi rozumnych. Z upadku tego i owego Judasza, z jednostek wnoszą o setkach tysięcy duchowieństwa. — Niech by kto nawzajem ze zamachu na tego i owego króla, z pojedyńczych wypadków wnosił, że każdy socyalista chodzi z bombą dynamitową w kieszeni: to socyalizm nie poczytałby chyba tej logiki za mądrą.

Istotnie przy tej robocie podobna psychologia oddaje socyalistom ważne usługi. — Odstręcza bowiem od ich obozu wszystkie żywioły rozsądne i gromadzi w nim jednolity tłum, gotowy ślepo wierzyć przywódcom i pełnić ich rozkaz.

Ale nawet i ci czytelnicy nie potrzebują zbyt wysilać uwagi, aby zrozumieć, że, jeżeli socyaliści, co tak tropią za najmniejszym cieniem „klerykalnej zbrodni“, tak mało opisów złego duchowieństwa polskiego przytoczyć umieją, to ogół tego duchowieństwa nie jest tak zły. Nadto, ogólnikowe ich pociski pryskają w obec szczegółów uchwytnych, które świadczą, że Polska, prócz księży „szanownych“, wydaje „czczonych wprost nazwą świątobliwych sług ołtarza“ i bliźniego, owszem że tych już samych liczy więcej, niż wszystkich Judaszów, którymi wojuje socyalizm.

Czerwone czasopisma muszą uznać ten wypadek i jakoś wyjaśnić go czytelnikom: więc nie zaprzeczają prawdy oczywistej, tylko usiłują przedstawić ją w mniejszych rozmiarach, sprowadzić ją do kącika, w którym każde prawidło chowa swoje wyjątki. Stąd wyprowadzają od czasu do czasu jakiegoś księdza na widownię z oklaskami i szumnemi pochwałami, jakby nadzwyczajne zjawisko. Zwłaszcza czasopisma przeznaczone dla zaboru rosyjskiego, zręcznie zapewniają czytelnika, że uderzają na księży zaprzedanych rządowi, a czciliby wszystkich, gdyby wszystkich widzieli ożywionych duchem Kościoła. Jako znawcy i bezstronni sędziowie kościelnego ducha, czasem także w innych dzielnicach Polski wynoszą któregoś z księży i sławią w nim naukę, cnotę, rozum i t. d. Szkoda tylko, że nie zdają

sobie sprawy, jak nieskładnie obdarzają tego samego wyrokami wprost przeciwnemi; np. tego samego nieboszczyka ogłosili kiedyś głupcem, zdolnym pokazać im język na ich zgromadzeniu, niedawno nazwali go najrozumniejszym członkiem zakonu, z nauki słynnego, do którego ów nieboszczyk należał.

Również nie zdają sobie sprawy, że im czytelnik rozumniejszy, tem mniej rozumie ich uciechę przy opisie upadków wśród duchowieństwa. Jeżeli walczą przeciw burżuazyi, to powinni narzekać na jej ustawodawstwo i dzisiejsze uczelnie, które właśnie sławią wolnomyślnego ducha i sławią jego przewagę nad duchem Chrystusowym. Jak burżuazya przed stu z górą latami po trupach mnóstwa księży a po cnocie garstki upadłej doszła do władzy, tak dziś usiłuje Kościołowi odebrać głos, aby nie wołał jej: nie wolno żyć samolubnie bez troski o bliźnich. Aby zamknąć usta, zdolne to powtarzać, trzeba czasem użyć przemocy, czasem namowy. Ustawodawstwo dzisiejsze przemocą skrępowało ręce Kościołowi na tysiącach pól, na innych zastawiło na jego dzieci ponętę zasad wygodnych i pochwyciło w sidła nieopatrznych. To mówi zdrowy rozsądek. Kościół cierpi dotkliwie, kiedy sił swoich nie może rozwinąć, skrępowany wolnomyślną potęgą; jeszcze boleśniej czuje stratę, kiedy widzi własne dzieci zatrute przez tę potęgę, jadem jej zasad. Za krzywdę Kościoła obwiniać sam kościół: oto psychologia rozstroju ducha.

Trudno też pojąć, żeby to rozum radził socyalistom obdarzać tyle razy czytelników numerami czasopism, konfiskowanych przez władzę za napaści przeciw Kościołowi. Rozsądny czytelnik widzi, ile wycieczek przeciw wierze i chrześcijańskim obyczajom puszcza przez palce władza; zatem widzi, że obraza wiary albo jej strażników musi przejść granice godziwe, kiedy pociąga za soba konfiskatę. Podobnie jak myśleć musi o częstych dowodach prawdy, opartych o § 19-y, bo wie, na ile to rzeczy pozwolić sobie można bez względu na ów paragraf, i wie, że częściej czytałby odwołaną potwarz, gdyby każdy, skrzywdzony przez nią, o niej wiedział albo chciał przeciw niej walczyć paragrafami.

Nie na wiele pomagają sprawy sądowo wytaczane czasopismom socyalistów: kto np. o tem wie, że świeżo jeden z biskupów w imieniu duchowieństwa wytoczył tym czasopismom skargę przed sądem przecie nieprzyjaznym Kościołowi we Włoszech i uzyskał na oszczerców wyrok surowy? Ani socyaliści ani wolnomyślni wydawcy czasopism nie doniosą o tym wyniku rozprawy. Powstały osobne biura, aby sprawdzać wieści roznoszone po świecie przeciw Kościołowi: powykazywały mnóstwo kłamstw wprost potwornych; nie wstrzymały i nie wstrzymają powodzi coraz barwniejszych pomysłów, wylęgłych we wschodniej wyobraźni, z krórą pracują liczni pisarze w dziennikach czerwonych.

Przeciw umysłom, zdolnym takiej broni, trudno podnieść dowody dla nich przystępne, prócz dowodu zupełnie namacalnego: pracy usilnej dla ich dobra. Skupia też Kościół tę pracę pod chorągwią demokracyi chrześcijańskiej.

Na tę chorągiew kościelnych bojowników ruszył jednakże socyalizm z brakiem rozwagi daleko jeszcze oczywistszym, niż przy wycieczkach na niegodnych synów Kościoła. Nie uważał w roku ostatnim wcale, że przez swój gniew na demokratów chrześcijańskich, nie przeszkadza w niczem burżuazyi, nie pomaga proletaryuszom; owszem, jakby właśnie chciał przeszkodzić zupełnie ich uchwytnemu pożytkowi, odwrócił chorągiew, i tą samą drogą, na której spotkał burżuazyę, z nią w przymierzu wyrusza przeciw wspólnemu wrogowi, opiekunowi proleletaryuszów, przeciw nowym zaciągom demokracyi chrześcijańskiej.

W drugiej jeszcze połowie przeszłego stulecia, kiedy to dopiero socyaliści dopiero zaczynali przewrotowemi groźbami przerażać burżuazyę, ostatnia zachowywała jeszcze stanowisko swoje pierwotne względem Kościoła — wrogie. Socyaliści nie liczyli w swoich szeregach takiego mnóstwa, jak dziś, synów burżuazyi i potomków szlachty; stali tłumem na ulicy zebranym. Liczbą już potężni, ale jeszcze nie wzmocnieni zastępem ludzi okrzesanych, straszni rozpaczą, ale bezsilni nędzą, nie oparci o moc zbrojną, nie dopuszczani do stanowisk i udziału w rządzie, pamiętali jeszcze, zwłaszcza na Zachodzie, Kościół

prześladowany w latach, kiedy burżuazya paliła kadzidło przed boginią rozumu na ołtarzu. Zwrócili tedy oczy na Kościół, już wypuszczony z podziemi i już czynny bez przerwy, chociaż odarty w całej Europie z majątku przez rządy wolnomyślne, choć pozbawiony głosu, nie poparty ramieniem świeckiem i usunięty od wpływów doczesnych, zwrócili oczy na jego potęgę niezłomną i chcieli ją zaprządz, a raczej podszyć się pod nią do wspólnego pochodu przeciw wrogiej i jemu i im przemocy burżuazyi. Odwoływali się na słowa Chrystusa przeciw bogaczom, na wzór pierwszych chrześcijan, których naśladują przez wspólny majątek zakonnicy, na mowy wreszcie Ojców przeciw niepomiernej żądzy bogactwa.

W zamian żądali niewiele... wolności odrzucania zasadniczych prawd wiary — żądali, by Kościół oczy przymknął na tę robotę i ich swym płaszczykiem osłonił; za rzekomą ich miłość do maluczkich i nienawiść jeszcze bardziej pozorną zbytku i egoizmu.

Odgłosy tych wywodów o socyalizmie pierwotnego Kościoła znacznie już umilkły, choć jeszcze i w roku ubiegłym zalatywały do ich czasopism, tylko że już nie jako zachęta dla Kościoła, aby pobłogosławił czerwony sztandar, lecz jako wymówka, iż pod nim nie stanął.

Kościół od chorągwi Krzyża, od chorągwi zwycięskiej, przejść nie mógł pod pogańską chorągiew zemsty. Odmówił ustępstw od nauki o osobistem prawie do majątku, bo bez niej nie mógłby zachować, w dziesięciorgu przykazaniach, słów: nie kradnij!... odmówił swoim wiernym prawa do zemsty pod czerwoną chorągwią, powtórzył przykazanie: nie zabijaj!

Ale by obozowi przewrotu, łudzącemu rajem ziemskim w przyszłości, silny szaniec przeciwstawić, zebrał te siły, które od początku w nim były i są, pod hasłem demokracyi chrześcijańskiej.

Odtąd praca dla maluczkich nie ma być partyzantką poszczególnych jednostek, którym Kościół błogosławi jako pionierom ducha Chrystusowego — lecz te jednostki, w obóz zebrane, mają zwartym szeregiem iść i zwalczać liberalne zasady,

które posiały wzajemną nienawiść, brudny egoizm i prawo pięści.

Bliżej o demokracyi pisać nie miejsce, dość że nie na tem stanowisku chciano widzieć Kościół.

O wiele więcej od socyalizmu zwróciła się w stronę Kościoła, z żądaniem pomocy, burżuazya. Podobnie jak burżuazya zagraniczna tak i polska — raczej lepiej, polska inteligencya wolnomyślna zwróciła się w tę stronę.

Ludzie różnych politycznie obozów spodziewali się, że w Kościele znajdą sprzymierzeńca przeciw odrzuconemu przez Kościół socyalizmowi.

W Polsce tem śmielej do obrony ze strony Kościoła rościli sobie pretensye, że z imienia przynajmniej chcieli być katolikami i z liberalnym duchem łączyli zewnętrznie dawne katolickie tradycye.

Tymczasem Kościół na głosy, które wołały na księży o zapowiedź kar boskich na mścicieli, odpowiedział, że zemsta, to grzech niewątpliwy, ale niemniej oczywistym grzechem: krzywda; a krzywda, co w niezliczonych tłumach zapala straszną, krwawą żądzę zemsty bez miłosierdzia, to grzech bardzo ciężki. Kościół potępił socyalizm, ale stanął niemniej silnie przeciw liberalizmowi. — Żądał od jednych wyrzeczenia się zemsty, od drugich wyrzeczenia się prawa mocniejszego — żądał od wszystkich miłości czynnej i pomocnej bliźniego — miłości i życia wedle zasad Chrystusa.

W obozie demokracyi chrześcijańskiej nie znaleźli się socyaliści, ale i miejsca nie miał liberalizm. Stąd w zasadzie Kościoła, o koniecznej naprawie obecnego ładu, upatrują jedni tylko przeróbkę zewnętrzną socyalizmu, bez zmiany w jego istocie; pogardliwie się wyrażają, że demokracya chrześcijańska wywija koziołki na ogonie socyalizmu. A drudzy — socyaliści — i mianem pogardy, i pociskami gniewu, i orężem potwarzy godzą znów w Kościół za demokracyę chrześcijańską.

Niektóre ich czaspisma zawzięcie milczą o niej. Póki znikąd potężniejszy głos nie dolatywał o potrzebach ludu i jego prawach, póty przed nim socyalizm mógł stawać, jako rzecznik

jedyny i obrońca przed krzywdą. Dziś, gdy potężnym głosem Kościół przemówił, gdy ćwierć miliarda wiernych dostaje zachętę, żeby dostarczała ochotnika pod chorągiew demokracyi, gdy nędzarze słyszą swoje prawa uroczyście uznane i widzą coraz więcej ochoczych zastępów, które zatykają bojową chorągiew nad związkami przeróżnych nazw, gdy widzą w tych obozach zasoby ducha i sił wyćwiczonych, zapasy broni doświadczonej na polu chwały — tuszą sobie najlepiej po takiej potędze, gotowej w ich sprawie iść na nowe zwycięstwo tym samym krokiem, którym szła tyle razy po wawrzyny dla swoich wojsk męczeńskich. Czemuż nędzarze o tych nadziejach swoich nie znajdują wzmianki w niejednem czasopismie czerwonem? Czy socyaliści nie rozmyślnie dają każdemu temsamem zrozumieć, że nie o dobro ludu walczą w swoich czasopismach, ani nie o naprawę społecznej gospodarki, tylko o swoją myśl czysto polityczną, o zmianę osób u steru władzy, o zamianę burżuazyi sytej na nienasyconą?

Inne czasopisma socyalistyczne wspominały coś o demokracyi chrześcijańskiej, ale i te po to tylko, aby proletaryuszom zohydzić dzieło poczęte z najżyczliwszym dla nich zamiarem. Ledwo wyszedł okólnik kardynała Rampolli w tej sprawie, już *Naprzód* ruszył z nowiną, że kardynał nie chce demokratów widzieć przy pracy społecznej, tylko na pacierzach w zakrystyi; więc niechże proletaryat nie rokuje już sobie żadnych nadziei o poprawie bytu pod hasłem chrześcijańskiem. Kiedy i Polska zaczęła tem hasłem zwoływać zaciągi i zaopatrywać je w środki do walki, to znowu niektóre czasopisma socyalistów zionęły gniewem na przewódców nowego ruchu i przez cały rok ubiegły z uciechą donosiły o każdym zawodzie, doznanym przez nowy obóz, o każdej przeszkodzie spotkanej na drogach dotąd nie ujeżdżonych w Polsce, o każdym niepomyślnym kroku, nieuniknionym w pierwszych początkach pracy pełnej zapału. Czasopisma te nie dość przytem uważały, jak przy opisie przeszkód, doznawanych przez demokracyę chrześcijańską, potrącają mimochodem o burżuazyę wolnomyślną, jako sprawczynię tych przeszkód. Widać, że dzieło Kościoła nie służy krzywdzicielom

proletaryatu, ale im zawadza. Za cóż bowiem znajduje przeciwnika w czasopismach socyalistów? Rozsądny czytelnik znowu innej odpowiedzi nie znajdzie jak tę, że Kościół znajduje w socyalizmie wroga za to, iż odciąga żywioły, szczerze spragnione lepszej doli, z pod chorągwi czczych obietnic i gróźb, na pole pracy społecznej.

Prócz powyższych wszystkich wycieczek przeciw niegodnym sługom Kościoła za to, iż zapominają o potrzebach ludu, przeciw gorliwym, iż o tych potrzebach pamiętają i radzą, czasopisma socyalistów wynalazły jakiś nowy jeszcze rodzaj pocisków na Kościół. Nie okazują w nich już najmniejszej troski o jakieś pozory rozsądku i dostarczają chyba łamigłówek dla psychologa, któryby chciał badać nastrój umysłowy, w jakim można tak zacinać pióro do pisemnej walki z kimbądź.

W tym dziale zaczepek przeciw Kościołowi niepodobna już niczego podawać w treściwych podziałach, bo tu treści i myśli właśnie brakuje. Można tylko kilku przykładami naprowadzić czytelnika na jakieś pojęcie o tych wybrykach pióra o nastroju bezmyślnym.

Czytamy np. w *Naprzodzie* z 27 paźdz. 1902 w Nr. 294-m na str. 2-iej nowinę następną:

„Chrześcijańska miłość bliźniego. Papież Leon XIII wystosował niedawno do biskupa z Temeszwaru, hr. Desseroffy, breve, którym przyrzekł wiernym z dyecezyi temeszwarskiej 7 lat odpustu, jeśli modlić się będą o wytępienie heretyków. Papież więc poleca, aby się modlono o wytępienie 4 milionów węgierskich obywateli!“

Nie lada łamigłówkę dostałby psycholog, gdyby, ze zwykłą treścią odpustowego breve w ręku, miał wynaleść dowód, że Leon XIII skazał cztery miliony Węgrów na zagładę! Niechby już nawet kto nie wątpił o zagadkowem breve, bo chociaż żaden hr. Desseroffy nie zasiada nigdzie na biskupiej stolicy, i chociaż świat i korona węgierska nie widziała tego nazwiska, nim *Naprzód* je znalazł; przecie rządzi temeszwarską dyecezyą biskup o nazwisku podobnem: hr. Dessewffy. Mniejsza o ten

drobiazg: nierównie ważniejsze szczegóły, poprzekręcane ze znaczniejszą szkodą dla prawdy, uchodzą bezkarnie *Naprzodowi* i nie jemu jednemu, kiedy Kościół w robocie. Niechże tedy z tą poprawką czyta psycholog nowinę o tępicielu Węgrów: Leonie XIII.

W innych numerach *Naprzodu*, albo pokrewnych czasopism, pokrewny panuje nastrój umysłowy socyalizmu względem Leona XIII. Znajduje się tam opis jego miliardowej sakiewki, jeszcze dla niego niedostatecznej; o tem, że przyspiesza jubileusz swój o rok, aby więcej wyłudzić od pątników pieniędzy; gdzieindziej uwagi o jego służalstwie uniżonem względem władców w Berlinie i w Petersburgu, potem inne płody wschodniej wyobraźni, a wszystko zaprawione jakimś jadem, który trudno, żeby z duszy ochrzczonej tryskał.

Znaczna część rodu ludzkiego tyle przynajmniej słyszała o sędziwym patryarsze rzymskim, że wie o jego żywocie dziwnie powściągliwym, o jego wydatkach skromnych na potrzeby własne i dworu watykańskiego, o tysiącznych zapomogach hojną ręką rozdawanych chrześcijaństwu w potrzebie. Czyż wobec tej sławy Leona XIII socyaliści spodziewają się odciągnąć od niego chrześcijan w Polsce?

Poza papieżem socyaliści występują do walki nawet przeciw takim dostojnikom Kościoła, jacy w całym świecie znajdują cześć za wiernie, po bohatersku, spełniony obowiązek. Darmo ten i ów czerwony tygodnik albo miesięcznik zapowiada, że szanować będzie każdego księdza, który nie o doczesne pożytki dba, tylko żyje przejęty myślą o posłannictwie kościelnem. Nie przebrzmiały jeszcze te zapowiedzi, kiedy ks. biskup Zwierowicz okazał, że o niczyje łaski doczesne nie dba, tylko z obowiązku pasterza przestrzega podwładnych przed wilkami w skórze nauczycieli prawosławnych. A przecie socyaliści umieli w jednem z czasopism swoich zganić tego, którego ani biskupem ani księdzem nie mianują, „Zwierowicza“, za to właśnie, iż po bohatersku walczył, ale nie jako polski narodowiec, tylko właśnie jako sługa Kościoła! Inne czasopismo znów inaczej skorzystało z bohaterskiego kroku biskupa: naprzód znalazło w nim białego kruka

wśród duchowieństwa, które stanowi gromadę szpiclów w sutannach, zaprzedawczyków i przeniewierców sprawie narodu. Po obfitym potoku wymowy w powyższym duchu, pisarz przypomniał sobie, że oparł swoje wywody o „białego kruka“, więc nie mógł o nim skończyć wzmianką ujemną: zatem pochwalił to w nim, że, chociaż biskup, przecie wystąpił jak rewolucyonista przeciwko woli cara najeźdźcy. Słowem, czytelnicy wkońcu nie widzą, żeby biskup zdołał postawić jaki krok nienaganny. Czy nie postąpi jako wykonawca praw Kościoła, czy jako ich wykonawca postąpi, zawsze i wszystko u niego złe.

To też i arcybiskup warszawski, ks. Popiel, nigdyby nie wiedział, jak ma dążyć do rozumu, jeżeliby drogi do niego szukał według czasopism socyalistów. Jedno z nich wpada na któregoś księdza, jako na wiernego głosiciela nauk arcybiskupich, kiedy plecie z kazalnicy smalone duby, aż uszy więdną. Powinnoby stąd wynikać, że rozumnie ten chyba mówi, kto wręcz wystąpi przeciw nauce arcybiskupiej. A i takiego „klechę“ znalazło czasopismo socyalistów, któremu odmawia rozumu, iż nie skorzystał z okólnika „pana Popiela“. Słowem, według „myśli“ socyalistów, i co biskup powie, i co temu wręcz przeciwnie miałby powiedzieć, w jego ustach to zawsze nierozum.

I tak dalej i dalej, ubiegły rok napełniał w czasopismach czerwonych zbrojownię pocisków na dostojników Kościoła co wybitniejszych, potem na niższe duchowieństwo, na księży świeckich i zakonnych, nakoniec aż po ostatnie tygodnie na te Felicyanki krakowskie, które zbrodniom swoim końca nie umieją znaleźć i ciągle ułatwiają chrzest Żydówkom. Co Żydom z *Naprzodu* do Żydówek w katechumenacie? to pytanie mniej ciekawe; ale co chrzest Żydówek dotyczy walki proletaryatu z burżoazyą? to pytanie nawet tych mędrców zaciekawi, którzy już rozwiązali zagadkę o kwadraturze koła.

Dość już zdawać sprawę z ducha, w jakim socyaliści wydawali swoje czasopisma na rok ubiegły. Komu ten pogląd pobieżny nie wystarczy i kogo nie przekona, że tam niema co czytać, niech z cierpliwym sprawozdawcą *Gazety Kościelnej* przechodzi ustępy przytaczane dosłownie. Czy przeczyta owe

ustępy, czy przebiegnie okiem ich treść tu podaną, w każdym razie zwróci uwagę na przeskok socyalizmu ze stanowiska obojętnego dla Kościoła do postawy wręcz wrogiej.

Przeskoku tego socyaliści nie wykonali ani odrazu, ani sami. Na swym sztandarze wypisali, że wiara niczyja ich nie obchodzi, jako sprawa każdego towarzysza osobista. Ta zasada ułatwiła im zaciągi z pośród Europejczyków semickiej krwi. Zasileni tym żywiołem używali jego pomocy w zakresie coraz szerszym i w sprawach coraz donioślejszych, aż w jego ręce powierzyli, przynajmniej w części, ster swojego ruchu. Odtąd ten ruch zaczął szukać drogi coraz podobniejszej do tej, którą kroczyła liberalna burżuazya. Pamiętamy wszyscy, jak, po pogromie lewicy we Wiedniu, liberalizm zaczął zbierać swoich niedobitków pod hasłem antyklerykalizmu. Wkrótce socyalna demokracya powtórzyła to hasło: z postawy pozornie obojętnej dla kościoła nie zeszła jeszcze całkowicie, ale w księżach upatrywała już wrogów otwartych.

Na tym stopniu stali tylko chwilę. Liberalizm wkrótce zatrąbił na ruch bardziej stanowczy przeciw Rzymowi — za tą pobudką poszedł i socyalizm. Liberałów i socyalistów jedna ręka prowadzi: semicka; nie dziw, że wszyscy razem ruszyli na bój przeciw Kościołowi jawny, zażarty, bez myśli odwrotu.

Ale te przeskoki ze stanowiska na stanowisko, te zmiany dróg i haseł, to wszystko podług rady towarzyszów żydowskich, czy według ich rozkazu wykonywane: to wszystko jakże świadczy o psychologii socyalistów, w jakiemże świetle pokazuje ich szczere chęci do walki o prawa ludu, cóż przewidywać każe o ich ostatecznem zwycięstwie?

Psycholog w socyaliźmie póty widzieć musi zagadkę nierozwiązalną, póki bada ich stan umysłowy według przepisów nauki ścisłej, podług zasad oderwanych. Nie rozwiąże tej zagadki, póki nie oderwie myśli od książek i poglądów układanych na podstawie zjawisk prawidłowych. Niech zstąpi z tego świata w stosunki codzienne, niech spotka gdziebądź pierwszą lepszą Niobe nowożytną albo nieśmiertelną Telimenę, rozżaloną na świat cały, iż niema komu zwierzyć krzywd przez nią dozna-

nych, w ciągu lat żywota smutnego. Niech psycholog słucha tej Nioby zbolałej czy Telimeny tkliwej i niech z jej wierszów czy niewiązanej mowy pozna, że ją to samo boli, co każdego człowieka czasem smuci — ale drudzy przy pracy i troskach albo w przygodach smutnych i wesołych o jednem nie pamiętają wciąż, więc idą dalej koleją myśli... a chorobliwy umysł tonie w jednym bólu i na cały świat rzuca klątwę za jakąś krzywdę, którą ciągle i wszędzie widzi. A przy tych skargach chorobliwy umysł bynajmniej nie liczy na to, że przez swój wylew żółci przyszłym jakimś dziejopisom dostarczy obrazu stosunków społecznych swojej doby: powierza ludziom i wiatrom żale bez myśli o dziejową prawdę, myśli jedynie jakby ulżył sobie samemu i wynurzył pierwszemu lepszemu słuchaczowi swój ból.

Tę psychologię rozstrojonej Nioby niech ma przed oczyma, kto bada nastrój umysłowy socyalizmu... I socyalista w czasopismach swoich nie dla przyszłych dziejopisów pracuje, ale dla czytelnika, w którym szuka oddźwięku na własną pieśń żalów do świata. Nie o naukowych wywodach myśli, ani nie dobiera barw do wiernego obrazu prawdy, ale pała żądzą zemsty i do niej rozpala wspólników.

Im mniej rozważa, tem groźniej działa ten nastrój umysłu. Niech psycholog zajdzie od czasu do czasu na salę rozpraw sądowych i niech posłucha, do jakich czynów okropnych dochodzi taka Telimena w chwili wezbranej fali żalów za krzywdę... następstwa żalu bywają straszne, choćby z powodu krzywdy urojonej.

A teraz wystarczy, zdać sobie sprawę, że socyalizm służy za upust wszystkich żalów i gniewów, których nie brakło na świecie nawet lepiej urządzonym, niż pod rządami wolnomyślnymi. Przy tych rządach, przy uznanej przez wszystkich newrozie rozszerzonej na warstwy już nawet niższe, przy takiej dawce rozmaitych narkotyków, jakiej używa już od dzieciństwa nasze pokolenie, przy naszych zwłaszcza stosunkach narodu związanego w przyrodzonym rozwoju: kto przy tem wszystkiem zdoła wątpić, że żale i gniewy i myśli o doznanych krzywdach prą straszną powodzią w to koryto, które znajdują wykopane przez socyalizm?

Gimnazyasta odrzucony przy egzaminie, szewc odprawiony ze złemi butami, pokojówka zfukana przez panią i mąż tej samej pani, przyjęty źle przez naczelnika biura: wszystko co żyje, a cierpi, słyszy w socyaliźmie piosnkę o zemście za krzywdę, a słyszy ją właśnie w chwili, kiedy klnie na czem świat stoi, a na klątwę nie słyszy przestrogi: bądź rozsądny! tylko zachętę: klnij lepiej! masz na całym świecie równie rozgniewanych towarzyszy: z nimi przewrócisz obecny świat i przestaniesz krzywdy cierpieć.

I tak w całym socyalizmie polskim, w całem zbiorowisku umysłów rozstrojonych i przekonywanych, że mają trwać w tym rozstroju i tchnąć duchem zemsty: w całym socyalizmie jakiej psychologii wymagać można prócz tej, którą okazują jego czasopisma w roku ubiegłym? Źle tobie Polsko, więc stań w rozpaczy do boju z mocarzami świata, z gołemi rękami idź na kule i granaty: raz tobie będzie koniec... Źle tobie matko ojczyzno? Nikt na ciebie w nędzy twojej nie spojrzy i nie pamięta minionej chwały twojej? Ale u ciebie mieszkają Żydzi — więc Polsko, pamiętna na jednego Berka z powstania, idź teraz pod rękę ze Żydem, a dojdziesz do niepodległego królestwa... Wychowuj sobie tymczasem młodzież bezkarnie, daj ją odrzeć z chrześcijańskiego wstydu: a dojdzie królestwo twoje pod mieszanym rządem bezwyznaniowców i Żydów do rozkwitu równego, jak dzisiaj Węgry, Włochy albo Francya... Nie chcesz doznać na tej drodze przeszkód ze strony Kościoła? Nie chcesz od niego słyszeć nauk o cichej pracy? To zawczasu sprzątaj klechów z ich zakazami, żeby nie zabijać i nie kraść. Wszystkie szajki zbójeckie rozbijają i łupią, a po bratersku dzielą między sobą zdobycz i o popów nie dbają: czemu na taki wzór nie ma Polska powstać jako rzeczpospolita wolna równych braci?

Wobec przepisów rozsądku psycholog stanąłby osłupiały, gdyby słyszał powyższe wywody; ale spokojnie zrozumie wszystko, jeśli pamięta, że słyszy treść myśli, poczętych nie w rozumie, tylko w sercach zgorzkniałych, a przytem skłonnych do marzycielstwa. Pozostanie mu jednak jedno pytanie, na które

nie znajdzie rozwiązania: czyż tacy ludzie mogą szczerze dla ludu czuć i przedsiębrać coś dla jego dobrobytu?

To pytanie staje w myśli niejednemu, kiedy do niego dolatują posłuchy najsprzeczniejsze o socyalistach, zwłaszcza o ich przywódcach: raz o nich słychać, że inaczej przekonani, inaczej działają, byle zdobyć sławę albo dostęp do stanowisk dobrze płatnych; tu znowu słychać, że wcale o niczem nie przekonani, służą socyalizmowi i jego naczelnym władzom żydowskim dla chleba; tu krąży pogłoska, jakoby także w domowem ognisku socyalisty, nie tylko w polityce, panowała jedynie obłuda i nędzna chęć zysku, a znowu inni świadczą, że znają niejednego socyalistę osobiście i nie mogą wątpić o jego dobrej wierze, bo widzą w nim marzyciela, ale szlachetnego w stosunkach z przyjaciółmi, a wzorowego ojca rodziny. Być może. Odkąd ćwierć miliarda poddanych Leona XIII-go uznaje potrzebę demokracyi chrześcijańskiej, odtąd żaden wzgląd poważny nie zabrania nam wyznać, że nowożytna gospodarka państwowa z całym składem swoich ustaw, zwyczajów, stosunków i wadliwych porządków zadała społeczeństwu rany, które dochodzą do rozmiarów prawie nieznośnych. Więc mógłby socyalista widzieć te rany społeczne i szczerze pragnąć na nie lekarstwa, choć nie po chrześcijańsku wychowany, szuka rady w hasłach pogańskich, jak nieokrzesany wieśniak szczerze chce zdrowia, kiedy idzie po radę do wróżki. Czy w szczególności ten i ów towarzysz znaku czerwonego działa w dobrej wierze, czy tylko szuka zysku dla siebie, o tem chyba osobiści jego znajomi zdołają mówić, albo może dziejopis jego żywota wykryje prawdę. Ale na zewnątrz, w ich pracy społecznej, w ich pismach, trudno czegoś dodatniego dopatrzeć się. Ogół zaś, pojony ciągle silnym narkotykiem burzliwych mów i przesadnych skarg po czasopismach, wpada w stan rozstroju przeczulonej Telimeny, która wierzy, że krzywdzona ciągle przez wszystkich, wszystkich może nienawidzieć i żyć tylko myślą o zemście.

Cóż przewidywać tedy można o ostatecznem zwycięstwie socyalizmu? Liberalizm w Polsce znacznie maleje; inteligencya wraca do chrześcijańskiego sumienia; ale jakim krokiem postę-

puje miłość bliźniego?... jak prędko rośnie duch sprawiedliwego wymiaru zapłaty za trud robotnika?... o ile więcej względów na słabego ma mocny w gonitwie za złotem?...

Tymczasem duch zemsty za krzywdę dzień po dniu w *Naprzodzie* obrabia tłumy, do warstw światlejszych przemawia natarczywie w tygodnikach i przybiera po miesięcznikach postać naukową: czytamy tam wywody przedziwnie cudaczne... widzimy, że nie zdobywa tam rozum przewagi, tylko namiętny duch zemsty coraz zuchwalej sobie poczyna — siła, która w Polsce więcej znaczy i nierównie więcej dokazuje, niż rozwaga i namysł.

W sąsiedztwie u narodów po prawej i lewej stronie widzimy czerwoną chorągiew coraz dumniej rozwiewaną nad tłumami, pewnymi zwycięstwa. W Niemczech dzieci w ogniskach przemysłu pracują przy dorosłych robotnikach i przy nich nasiąkają mściwemi żądzami; wiernym wojskom już nie ufają książęta i królewięta luterscy, przyszłe wybory zapowiadają gromadny wstęp socyalistów na sale parlamentów i sejmów rzeszy. W rosyjskich krajach socyalizm tworzy jedyne koryto, którem śmieją płynąć miliony skarg na wybryki czynowników niskich i wysokich. Tam rozumieją, że może przyjść chwila, w której jakiś rosyjski Cromwell albo Robespierre zatopi kraj w krwi. Między tymi sąsiadami liberalizm polski wszelkich odcieni powtarza swobodnie: jakoś to będzie! i głębiej do serca trwogi przed socyalizmem nie bierze, nie powstrzymuje w niczem jego rozwoju, tylko sobie szlakiem utartym idzie dalej pod chorągwią niedbalstwa. Obrońcy tej chorągwi stanowią wprawdzie w Polsce potęgę liczebnie największą, ale nie zapisali w grubej księdze swoich dziejów żadnego dotąd zwycięstwa. Czekali chyba krwawych zapasów ze socyalizmem, aby po jego pogromie zasłynąć sławą nieśmiertelną, że kogo świat cały dotychczas nie mógł pokonać, z nim wojnę przez niedołęstwo wygrali Polacy.

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny filozoficznej.

Dr. Henryk Nusbaum: „Czem jestem“ — Dr. Aleksander Fabian: „Z nauki o życiu“. — Ignacy Kranz: „Teorye i poglądy pedagogiczne Kanta w związku z zasadniczemi pojęciami jego systemu filozoficznego“. — Wojciech Dzieduszycki: „Rzecz o uczuciach ludzkich“.

Kto bacznie śledzi rozwój nauk przyrodniczych w ostatnich latach musi przyznać, że w głowach przyrodników zaczyna na prawdę świtać i że budzi się coraz wyraźniej krytyczne opamiętanie się z dogmatycznego szału, który umysły uczonych w połowie XIX wieku ogarnął i aż do dziewiątego dziesiątka w nich panował. Są to jednak tylko bardzo wybitne i wybrane umysły, które już zupełnie jasno zdają sobie sprawę do czego właściwie nauki przyrodnicze są uprawnione, u przeważającej zaś liczby objawia się jeszcze wielki w poglądach zamęt i wielka niejasność. Widoczne to jest szczególnie u nas Polaków, przyczyny zaś takiego stanu rzeczy są dwojakie. Po pierwsze bowiem nasi przyrodnicy mają bardzo rzadko sposobność wyrobienia sobie prawdziwie filozoficznego wykształcenia, po drugie zaś my kroczymy dotąd zawsze dopiero w drugim szeregu umysłowego postępu i zwykle przyswajamy sobie i przeżuwamy poglądy, które gdzieindziej już się przeżyły albo rolę swoją kończą. Jako znakomity okaz takiego panującego w głowach naszych przyrodników filozoficznego zamętu można przytoczyć wymienioną w nagłówku niewielką książkę [1]. Autor jej dr. Henryk

[1] Dr. Henryk Nusbaum: „Czem jestem?“ Warszawa 1902.

Nusbaum jest przyrodnikiem; niema wprawdzie „uroszczeń do występowania w todze filozofa“ (str. 15), ale jednak oświadcza stanowczo, że ma swój „światopogląd“ (!!) (o biedna polska mowo!), wywiedziony ze studyów fizyo-biologicznych — a więc podaje go w formie tez, mając to przekonanie, że „do nich dochodzi każdy myślący człowiek, który oprze się na danych wiedzy przyrodniczej“; z lotu ptaka ma zamiar przedstawić „wyniki dumań człowieka, który myśleć się nauczył, czytając wielką księgę natury“ (str. 16).

Pobudką do spisania tych dumań stał się dla autora fakt rozwielmożnienia się w ostatnich czasach wszędzie, a także i u nas bezwzględnego indywidualizmu. Jako pierwszego takiego anarchicznego indywidualistę wymienia dr. Nusbaum Maxa Stirnera, następnie Nietzschego także Lwa Tołstoja. Z pomiędzy naszych indywidualistów za szczególnie niebezpiecznych uważa Przybyszewskiego, „który nie waha się rozumowi ludzkiemu i logice odmawiać wszelkiej wartości“ (str. 11), tudzież Lutosławskiego, którego teorya jest „z punktu widzenia etyki praktycznej bardzo niebezpieczną“ (str. 13). A więc chodzi tu o walkę z anarchią i z indywidualizmem i to nie o walkę krytyczną, ale o pozytywne postawienie czegoś, coby wynikało „z danych wiedzy przyrodniczej“ i mogło wybujały indywidualizm ostatecznie przezwyciężyć. Zobaczmy więc, co nam dr. Nusbaum w miejsce indywidualizmu ofiaruje.

Oto zaraz pierwsze lekarstwo na chorobę indywidualizmu mamy podane w rozdziale zatytułowanym „Ja“. Na str. 18 czytamy tam: „Prawda, że nie istniałem przed narodzeniem się mojem i że istnieć nie będę po rozwiązaniu się mojej zdolnej czuć i wiedzieć osobowości, ale istnieję i w tej krótkiej dobie mojego istnienia świadomość moja jest przepotężną, jako taka. Wiem, że jestem z niezachwianą pewnością, czuję z niezaprzeczalną wyrazistością“, zaraz zaś dalej na str. 23 dowiaduję się, że wielkiem jestem niczem: „Jakaż to maluczka różnica pomiędzy mną żyjącym a nieurodzonym lub umarłym — kropelka świadomości wysycha i koniec“. — Zaiste wspaniałe to lekarstwo na anarchię i indywidualizm! Przedewszystkiem winszuję autorowi, iż tak dokładnie i pozytywnie wie, że istnieć nie będzie po rozwiązaniu się jego zdolnej czuć i wiedzieć osobowości. Ja w skromności mojego ducha mniemałem dotąd, że przyrodnik jako przyrodnik, wobec pytania dotyczącego przyszłego życia, albo powie sobie „nie wiem“, albo, jeżeli nie chce na tem poprzestać, uda się po rozwiązanie do filozofii i religii, tymczasem, na podstawie nauk czysto przyrodniczych, okazuje się, że

autor nasz wprawdzie wie, że jest, ale wie także, że i nie będzie! Ponieważ zaś zaraz dalej w rozdziale pod napisem „Czas“ na str. 31 dowodzi autor, że teraźniejszości niema wcale, bo każde zjawisko minione nie istnieje, zjawisko zaś nastąpić mające także nie istnieje, ponieważ zatem teraźniejszość nie istnieje, a więc i ja w teraźniejszości istnieć nie mogę. W przeszłości mnie nie było, w przyszłości mnie nie będzie, teraźniejszości niema a więc wynika z tego, że nie istnieję wcale. Cóż przeto istnieje w takim razie? Oto dowiadujemy się na str. 32, że istnieje tylko pamięć: „Potok chwil zatrzymuje się w świadomości pod postacią wiedzy i czucia i rozkoszy i cierpienia. Nicość przeszłości i nicość przyszłości staje się dzięki świadomości naszej rzeczywistością teraźniejszości. Ba, ale skądże się wzięła owa świadomość, skoro mnie całkiem niema, nie było i nie będzie? I to ma być pierwsze lekarstwo na anarchię i wybujały indywidualizm! Ależ na miły Bóg! gdybym się takiemi zasadami przejął, to gdybym był człowiekiem zdolnym do śmiałych czynów poszedłbym natychmiast ciskać dynamitowe bomby, gdybym zaś był tylko nieśmiałym teoretykiem, tobym uwielbił Nietzschego i Przybyszewskiego. Furda rozum i logika, które mnie do takich prowadzą wyników, niechże choć przez chwilę coś użyję, niechaj oszołomię się walką, sponiewieram słabszych i niechaj w ten sposób rozszerzę moją świadomość. Dlaczegóż więc nie mam tego wszystkiego czynić? Na to pytanie odpowiada dr. Nusbaum w rozdziale drugim dowodząc, że więcej jestem wart właśnie dlatego, że jestem miliardową cząstką całości, gdyż cała moja wartość jest w tem, że jestem cząstką rodu ludzkiego“ (str. 24). „Osobniki są warunkiem bytu ludzkości; ludzkość więc, jej interes jest celem interesów jednostki i osobniki ludzkie należy „podporządkowywać“ ludzkości. Ja jestem drobniutką cząsteczkową przemianą potrzebną dla wielkiej przemiany życia rodu ludzkiego, ja nie jestem celem ale środkiem, sposobem, narzędziem, jedną nieskończenie drobną falą olbrzymiego prądu“ (str. 40). To więc ma być powód, dla którego winienem wyrzec się skrajnego indywidualizmu. Odpowiem więc p. Nusbaumowi, że gdybym chciał z jego punktu widzenia patrzyć, to ludzkość cała mnie nic a nic nie obchodzi. Cóż to bowiem jest ludzkość, to przecież miliard takich samych nicości, jak ja sam, i ja mam poświęcać się dlatego miliarda marnych zer, którym się zdaje, że w ich świadomości nicość na jakąś chwilę przestała być nicością? Ja mam uważać siebie za środek do celu? Do jakiego celu? Czy istnieją jakie cele? W takich warunkach może istnieć dla mnie tylko jeden cel, t. j. szaleć i używać.

Daruj szanowny doktorze, ale to muszę ci powiedzieć otwarcie: Przybyszewski pomimo, że gardzi logiką jest jednak o wiele od ciebie logiczniejszy! A zresztą czyż ja mogę wybierać cośkolwiek? Wszak zaraz dalej w rozdziale piątym dowiaduję się, że ja jestem tylko igraszką jakichś zbiegających się we mnie fal: „Każda wola nasza jest wypadkową niezależnie od nas rozgrywających się w nas popędów — popędów głodu, miłości, sławy, samozachowania, altruizmu“ i t. d. (str. 44).

Jeżeli więc biorę bombę do ręki, aby nią pozbawić życia setki moich bliźnich, jeżeli hołduję poglądom Przybyszewskiego, Nietzschego lub Nusbauma, to czyż to moja zasługa lub wina? Ja tak działam i myślę, bo tak a nie inaczej muszę. Oto prosty wniosek! A więc dalejże hulaj duszo!

Zaiste chlubnie świadczy to o autorze, że wobec własnych konsekwencyi jest w dalszym ciągu niekonsekwentny, i że przy końcu piątego rozdziału dodaje: „Złudzenie wolnej woli na zawsze pozostać musi dla wielkiej części rodzaju ludzkiego prawdą niewątpliwą, gdy do wyższej wznieść się nie potrafi — prawdą zresztą dla potrzeb jej życiowych konieczną“ (str. 48). Smutny to zaiste i marny „światopogląd“,(!) który w taki sposób własnych przeraża się wniosków i staje wobec nich bezradny!

Dr. Nusbaum widzi jednak i miarkuje, w jaką wpakował się matnię, podobnie więc jak mucha, gdy wpadła w sieć pająka, tak i on wysila się i próbuje, aby wydobyć się z sieci własnych myśli. W rozdziale szóstym dowiadujemy się, „że moje mizerne ja posiada jedną niepoślednią wartość, albowiem zawiera w sobie poczucie świętości“ (str. 49). Ale cóż to jest ta świętość? „Jest nią świadomość istniejącej poza jej granicami niepojętości“: „To wielkie, to jasne, to absolutne, to niepojęte, co przejmuje mnie grozą i pokorą jakże nazwę? Nazwę to świętością“.

Wyobrażam sobie, jak głośnym musiał parsknąć pan Przybyszewski śmiechem, jeżeli powyższe słowa przeczytał. Oto go macie! zawołał niewątpliwie. Czci dzikus swojego w szmatę zawiniętego fetysza, czci dr. Nusbaum swoją świętość. Jest nią zaś co? „Oto byt sam w sobie, byt jako prawda absolutna“! Zaprawdę, gdyby to bzykanie muchy w pajęczej pułapce nie było takie smutne, byłoby może nawet zabawne! A skądże to u licha wziął się naraz ten jakiś nowy bożek? Odpowiedź na to zaiste cudowna, niezrównana: Byt sam w sobie jest, bo cierpienie jest i miłość jest; cierpię i kocham! „kocham zaś dlatego, że w duszy mojej tkwi potrzeba kochania“ (str. 54).

„O rodzie ludzki! Miłość w łonie twem wzmagająca się i rosnąca, co za wspaniały przejaw śród bytu!“ (str. 56). Brzęcz mucho, brzęcz! już czyha na ciebie pająk w postaci poprzednich tez Dra Nusbauma i zrobi z tobą porządek! Wszak wiemy z poprzednich wywodów, że nie było mnie i nie będzie mnie, teraźniejszości właściwie niema wcale, a więc także cierpienie i miłość, które było, nie istnieje, które będzie, także nie istnieje, pozostaje zatem tylko jakaś ciągle w nicość zapadająca ułuda świadomości i to ma być dowodem na istnienie bytu samego w sobie. A bodajbym nigdy myśleć nie zaczął, gdyby mnie takie argumenty miały przekonać!

W taki to sposób brnie nasz autor coraz dalej! Oczywiście do dalszej gmatwaniny swoich poglądów zużytkowuje także teoryę Darwina. Ale zaledwo uznał ją za wyraz najgłębszej prawdy, zaraz staje z nią w jaskrawej sprzeczności, gdy mówi: I zaprawdę, gdyby byt cały istniał nie wieczność całą, ale tylko przez ciąg kilku minut, ale gdyby z bytem tym związane było wielkie cierpienie choćby jednej tylko istoty, i gdybym ja miał moc po jednej minucie ukoić to cierpienie i musiał sam zaraz zginąć, ale przez pozostałe minuty istota ta by nie cierpiała, to w tym marnym krótkotrwałym bycie — ja w minutowem mojem trwaniu nie byłbym marnością, ale byłbym dostojny bardzo, dostojny zmiłowaniem mojem i dobrym uczynkiem“. Słowa powyższe istotnie zaszczyt przynoszą autorowi, ale jeżeli one z poprzednich jego założeń wynikają, to w takim razie doprawdy, że dwa razy dwa to jest lampa. Ale dosyć już tego, nie będę dłużej nużył czytelnika wykazywaniem dalszych sprzeczności w poglądach Dr. Nusbauma. Wskażę tylko, do jakich dochodzi wyników! Oto słuchaj i zdumiewaj się łaskawy czytelniku. Autor zaczął od walki przeciw Nietzschemu, Przybyszewskiemu i Lutosławskiemu, a kończy na czem! Na uznaniu, że celem całego rozwoju jest nadczłowiek! Na str. 128 tak pisze: „Zgodnie z ogólnemi prawami rozwoju życia na ziemi mamy prawo sądzić, iż nie całą swoją masą rodzaj ludzki przemieni się na ród nadczłowieka, ale li z łona jego ród nadludzki wykwitnie i nad rodzajem ludzkim zapanuje, a zapanuje miłością i wiedzą. I wyróżni się odrębnością swoją z grup ludzkich grupa nadludzi“. A cóż innego uczą Nietzsche i Przybyszewski! czemżeż się różnią? — chyba tem, iż się nie łudzą, by z teoryi podobnych do teoryi Dr. Nusbauma mogła „miłość“ nadludzi wykwitnąć. Należy zaś przyznać, że są oni o wiele konsekwentniejsi od Dra Nusbauma, jeżeli miłość biorą w znaczeniu wyłącznie egoistycznem tylko jako miłość siebie

jako miłość własnej siły i własnych rozkoszy. Zresztą koniec książki Dra Nusbauma jest pełnem zaprzeczeniem jej początku. Na czele postawił tezę, że jestem tylko bardzo krótkiem chwilowem przejściem z jednego stanu nicości do drugiego, kończy zaś tak: „Jestem świadectwem, że śród bytu istnieje skala wirów świadomości, skala duchów mniej i więcej doskonałych". Przy tych słowach można istotnie zawołać: Zacny duchu, a ty skądże się tu wziąłeś?

Kochani przyrodnicy, błagam Was, jeśli macie w podobny sposób filozofować, to wyrzeknijcie się raczej wszelakiej filozofii do znaku. Rzućcie wszystkie wasze „światopoglądy" (!): Bo gdy nakreśli — coś nakształt myśli — ta ręka, — to czytającym — ludziom myślącym — mózg pęka. Pozostańcie raczej sumiennymi pracownikami w waszych ciaśniejszych zakresach — dalibóg że tak nauka jak i umysłowy postęp zyskają na tem bardzo wiele. Walkę z Nietzschem, z Przybyszewskim *et tutti quanti* pozostawcie innym, którzy na tych sprawach lepiej się znają.

Książka Dra Fabiana[1] należy do tej samej grupy płodów umysłowych co i poprzednia. Usiłuje ze stanowiska nowej wiedzy przyrodniczej dojść do jakiegoś ogólnego na świat poglądu, przedstawia się jednak od poprzedniej korzystniej, pomimo, że od niejasności i bałamuctw przyrodniczo-dogmatycznych także wolną całkowicie nie jest. Jedna rzecz w tej książce szczególnie na uwagę zasługuje, t. j. dokonywujące się w niej samej krytyczne klarowanie się pojęć, między pierwszym bowiem odczytem a ostatnim jest znaczna co do krytycznej jasności różnica. Dr. Fabian należy również do tych, którzy ze stanowiska przyrodniczej wiedzy walkę z Nietzschem i z wybujałem indywidualizmem podejmują.

W pierwszych dwu odczytach noszących wspólny napis „U schyłku wieku" przedstawia się nam autor jako zagorzały zwolennik Herberta Spencera i Darwina. Rozwój nowoczesnej nauki prowadzi zdaniem jego przez Kopernika, Newtona i Lyella do Darwina. (Str. 15). Oprócz tego jest on tutaj także agnostykiem: „Po za światem zjawisk jak się nam wydają" — pisze — „istnieje świat jakim jest istotnie, tkwi wiecznie niedocieczona istota wszechrzeczy. Jest najpewniejszą ze wszystkich pewności najwyższem i najczystszem przeczuć przeczuciem wszystkich

[1] Dr. Aleksander Fabian: „Z nauki o życiu". Odczyty publiczne. Warszawa 1901. Str. 153.

czasów, że istnieje taka nieskończona z niczem skończonem niezrównana i niezmierzona istność, i, że wszystko, co my zuchwale całym światem nazywamy, jest tylko malutką cząsteczką wszechbytu, że ponad wszystkiem co względne, istnieje bezwzględność, że po za czasem wieczność być musi. Tu leży ów punkt tajemniczy, u którego wiedza napotyka się z wiarą, w tem przeczuciu leży zawiązek tego, co religią zwiemy". (Str. 17). Uczyniwszy więc taki ukłon przed „niepoznawalnem" autor już dalej podobnie jak wszyscy agnostycy „o tę najpewniejszą ze wszystkich pewności" wcale się nie troszczy, zaś dla wytłómaczenia całego porządku wszechrzeczy wystarcza mu teorya Darwina i ewolucyonizm Herberta Spencera. — Oczywiście, że dziełem ewolucyi jest zarówno człowiek z całą kulturą, jakoteż i świadomość wogóle. Przyczem dodaje skromnie, że „czem jest wszakże ta świadomość, tego dotychczas orzec nie umiemy" (str. 31). Rozwój altruizmu z egoizmu, jest przedstawiony ściśle według Spencera, są tu więc te same niekonsekwencye i braki co u Spencera. Poczucie moralności i obowiązku przypisane już zwierzętom oczywiście; gdy w tym kierunku pójdziemy dalej to już najpierwotniejszej plazmie musimy także przyznać poczucie obowiązku i sumienie. Człowiek i jego sprawy i jego czyny uznany jest za „wytwór współdziałania wszystkich organów i wszystkich komórek", wolność moralna naturalnie nie istnieje. Takie są wyniki pierwszych dwu odczytów; mają one być istotną treścią tego co wiek XIX przekazał wiekowi nowemu.

W trzecim odczycie noszącym napis „dziedziczność" przedstawioną jest walka dwu teoryi dziedziczności tj. teoryi Darwina i Weissmanna. Całe to przedstawienie jest istotnie bardzo pouczające, różnice między Darwinem a Weissmannem należycie uwydatnione, przyczem autor dotknął także teoryi Spencera, Haeckla, Naegelego, Vriesa, Wiesnera, Altmanna i Brooksa a nawet teoryę ciałek wonnych Jaegera.

Odczyt czwarty zajmuje się zagadnieniami życia i śmierci. Tu autor puszcza znowu nieco wodze swojej naukowej fantazyi i wyprowadza komórkę organiczną najdokładniej z krystaloidu, twierdzi nawet całkiem poważnie że Traube we Wrocławiu i Hartig w Utrechcie, doszli nietylko do wytworzenia sztucznych krystaloidów lecz do powstania sztucznych komórek". (Str. 85). Niezależnie od tego rodzaju wybryków jest i ten czwarty odczyt pouczający, gdyż zawiera zestawienie różnych szczegółów naukowych, szerszym kołom mało znanych. Z uznaniem podnosi też autor w tym odczycie zasługi naszych uczonych tj. Marchlewskiego i Marcelego Nenckiego.

Najciekawszym jednakże jest odczyt piąty tu bowiem dokonywa się u autora znaczny postęp w kierunku krytycznym. Zawdzięcza on to widocznie wpływowi dzieł Lotzego i Macha.

Tu Dr. Fabian jasno zdaje sobie sprawę ze wszystkich niedostatków wyłącznie matematycznego wyjaśniania zjawisk przyrody. Pod czas gdy jeszcze Du Bois Reymond chciał wszystko sprowadzić do ruchu atomów, to obecnie nasz autor z historyą biologii w ręku przychodzi do przekonania, „że sprawy życia, im je ściślej badamy, tem się okazują zawilszemi i wcale niezawsze dają się sprowadzić tak prosto do praw fizycznych i chemicznych jak to niekiedy mniemano“ (str. 111). Dr. F. powołuje się na przestrogi Lotzego, co do mechanistycznej fizyologii, wskazuje na zdanie Macha, co do nadużywania „narzędzi myślowych fizyki“ w innych naukowych zakresach. Także i mniej przesadna ocena znaczenia matematyki dla opracowania zadań biologicznych jest obecnie widoczną. Autor nasz podnosi, że „matematyka jest przecież także tylko jednem aczkolwiek znamienitem narzędziem ludzkiego myślenia, że wszakże brak bardzo wiele do tego, ażeby całe myślenie i poznanie kiedykolwiek ograniczyć się mogło do tego jedno stronnego kierunku, aby kiedykolwiek treść cała naszego umysłu otrzymała przezeń wyraz wyczerpujący“ (str. 114). Ze zjawisk życia pozostaje więc zawsze jeszcze jakaś reszta, która się wyłącznie mechanicznemu dociekaniu opiera, to jest owa reszta organiczna. Tu więc szukać należy uprawnienia witalizmu w przeciwieństwie do mechanizmu w naukach biologicznych. W końcu jednakże Dr. F. bardzo słusznie podnosi, że nie „witalistyczne i nie mechanistyczne wyznanie wiary naukowej nie mitologia witalistyczna lub mechanistyczna, lecz ciągłe niestrudzone rozszerzanie spostrzeżeń i doświadczeń w organicznym i nieorganicznym świecie i ciągłe doskonalenie metod badawczych, o istotnym postępie nauki stanowi“ (str. 120). Tak więc głębszy krytycyzm u autora w końcu zwyciężył dzięki dobrym wpływom z zewnątrz idącym. Nowy to dowód, że my w sprawach filozoficznego poglądu na świat istotnie w drugim dopiero kroczymy szeregu. Do niedawna przysięgaliśmy na mechaniczną dogmatykę, bo była na zachodzie modną, obecnie nasi przyrodnicy zaczynają się już cofać. Miejmy nadzieję, że wkrótce to samo stanie się z wiarą w przesadny i jednostronny ewolucyonizm. U nas jeszcze ciągle za wstecznika uchodzi każdy, kto nie przysięga na Darwina, pomimo, że na zachodzie posunięto się już bardzo daleko za niego.

P. Kranz[1] jest profesorem matematyki i fizyki w gimnazyum św. Anny. Będąc przyrodnikiem zajmuje się także i wnika widocznie głębiej w dzieje filozofii i w jej zagadnienia. Jestto więc jeden z oczywistych dowodów do jakiego stopnia interes dla filozofi i budzi się śród dzisiejszych przyrodników, którym nie wystarcza już zamknięcie się w ciasnym zakresie fachowych zagadnień, lecz pragną oni szersze obejmywać widnokręgi. Ponieważ zaś p. Kranz jest zarazem pedagogiem, niemały więc przynosi mu to zaszczyt iż zdolny jest także sięgnąć do głębszych filozoficznych podstaw pedagogicznych teoryj. Tu już fachowe wykształcenie przyrodnika wcale nie wystarczy, tu należy znać doskonale historyą tak filozofii jak i pedagogii potrzeba po części samemu być filozofem. To też rozprawa p. Kranza świadczy chlubnie także o pogłębianiu się ogólnego filozoficznego wykształcenia wśród dzisiejszego pokolenia naszych nauczycieli.

Autor zamierzywszy przedstawić pedagogiczne poglądy Kanta w związku z tegoż filozofią obiera sobie bardzo wysoki i wszechstronny punkt widzenia gdy pisze: Człowiek czuje żelazną siłę jaka go wiąże ze światem fizycznym; prawa natury obowiązują go tak samo jak inne stworzenia, a przecież nie może on uledz tym prawom w zupełności, bo odzywa się w nim poczucie innych praw wyższych: rozumu i moralności. Gdyby uległ pierwszym złamałby drugie i stałby się wtenczas gorszem zwierzęciem, niż każde inne zwierzę. Szczęśliwe przepłynięcie przez tę Scyllę i Charybdę, oto zagadka, w której jak w ognisku wiążą się wszystkie dotąd problemy filozofii — zagadka, która wychowanie człowieka wiąże ściśle z zagadnieniami filozoficznemi, pedogogikę łączy z filozofią“ (str. 2—3).

Przystępując do rozpatrzenia poglądów Kanta nazywa go autor olbrzymem w historyi cywilizacyi, który cały swój system filozoficzny wzniósł mozolnie od posad sam prawie bez niczyjej pomocy. Miał on dać także początek reformie ścisłych umiejętności, „które — jak pisze autor — „temu właśnie systemowi zawdzięczają niemal swoją podstawę“ (str. 3). Na tego rodzaju sądy o Kancie niezupełniebym się zgodził, szczególnie zaś nie zgodziłbym się na zdanie, aby system Kanta bez niczyjej powstał pomocy, wiemy przecież jaki wpływ wywarł na niego najpierwej Wolf następnie Hume a także Arystoteles z całą swoją logiką. Natomiast geneza poglądów pedagogicznych Kanta

[1] Ignacy Kranz: „Teorye i poglądy pedagogiczne Kanta w związku z zasadniczemi pojęciami jego systemu filozoficznego. Kraków, 1902.

tkwiąca w pietyzmie i w naturalizmie Rousseau'a jest bardzo trafnie pochwyconą i przedstawioną; u niego te dwa tak z sobą sprzeczne wpływy skrzyżowały się i wydały coś od obu zupełnie odmiennego. Zasadę działania według wskazówek natury zawdzięcza Kant Rousseau'owi; nacisk wielki położony na pojęcie obowiązku, to wpływ pietyzmu. Autor nasz słusznie także podnosi, że w wyprzedzaniu u Kanta nauki religii objawionej przez religię naturalną czyli moralną spostrzedz można również wpływ Rousse'a.

Na tem kończymy tych parę krótkich uwag nad rozprawą prof. Kranza, polecając ją do przeczytania wszystkim, którzy się u nas filozoficzną pedagogią interesują. Wpływ Kanta na współczesną filozofię jest bardzo wielki, znajomość więc jego poglądów w każdym kierunku jest pożądaną. Polski czytelnik zaś lepszego przedstawienia wychowawczych teoryj Kanta nie znajdzie nigdzie jak w rozprawie prof. Kranza. Wdzięczni bylibyśmy autorowi, gdyby nas jako widocznie gruntowny znawca historycznego rozwoju tak filozofii jak pedagogii, a przytem sam wytrawny pedagog zechciał i w przyszłości obdarzać szkicami z zakresu dziejów filozoficznej pedagogiki w rodzaju niniejszego. Wszak literatura nasza i na tem polu tak uboga!

Wojciech Dzieduszycki [1] należy do najwszechstronniejszych, najczynniejszych ludzi w naszym kraju. Poeta, literat, krytyk, historyk, filozof a przytem wybitny i czynny polityk to jak na jednego człowieka zakres działania nie lada. Pojmuję doskonale, że niewdzięczna a tak obecnie jałowa i wstrętna polityka w austryackim parlamencie, zadowolenia hr. Dzieduszyckiemu sprawiać nie może, nic też dziwnego, że tego zadowolenia i wypoczynku dla znużonego syzyfową w parlamencie pracą umysłu szuka w zajęciach naukowych. Jego rzecz o uczuciach ludzkich powstała widocznie w chwilach, gdy sam walczył z ogarniającemi go w Wiedniu uczuciami nudy i zwątpienia.

Poważne to studyum jest istotnie cennym nabytkiem dla naszej ubogiej psychologicznej literatury. Autor wytknął sobie za cel opisać dokładnie różne rodzaje stanów uczuciowych, aby przy końcu z przedstawienia swojego wyprowadzić metafizyczne wnioski, które mu się jako wynik całego przedstawienia nasunęły. We wstępie zaznacza

[1] Wojciech Dzieduszycki: „Rzecz o uczuciach ludzkich". We Lwowie, 1902, str. 108.

przeciwieństwo istniejące między analizą logiczną, która „nie zdoła z treści poznawania naszego wywnioskować tego, aby przez nas wyobrażony świat rzeczywiście istniał po za nami“ (str. 1) a poczuciem oczywistości zewnętrznego świata. Według autora widocznie źródło tej oczywistości tkwi w uczuciu. Teoryę więc poznania należy uzupełnić, wzmocnić dokładną analizą ludzkich uczuć.

Plan wytknął sobie hr. Dzieduszycki następujący: Dwa pierwsze rozdziały poświęca uczuciom zmysłowym, tyczącym się jednostki organicznej, w dwu dalszych omawia instynkta służące do utrzymania zmysłowego organicznego rodzaju, rozdział piąty zajmuje się „zadowoleniem i niezadowolnieniem poznawczem“, szósty poświęcony jest patetycznym uczuciom miłości i nienawiści, siódmy rozkoszy i boleści sprawionej przez dzielność albo niemoc woli, ósmy zwraca się ku zbadaniu istoty piękna, dziewiąty szuka najwyższego ideału człowieka, w zakończeniu znajdują się metafizyczne wnioski. Takiemu podziałowi trudno istotnie coś zarzucić.

Autor rozpoczyna od uczuć najpierwotniejszych najniższego rzędu i przechodzi stopniowo aż do najwznioślejszych, metoda to zupełnie odpowiednia. Żałować jednak wypada, że autor nie przeprowadza jej sposobem genetycznym, nie podaje nam też żadnego bliższego określenia za co właściwie uczucia uważa i co one zdaniem jego dla istoty żyjącej wyrażają. Także i stosnsek uczuć do innych stron duchowego życia tj. do strony treści i dążeń nie jest dokładnie określony. Z całego przedstawienia nie wiadomo, czy autor uważa uczucia za coś zupełnie odrębnego i niezależnego, czy też tylko za jakąś stronę jednego i tego samego zjawiska; powiedzenie bowiem zaraz na wstępie, że w duszy ludzkiej odróżniano od bardzo dawna trzy zasadnicze własności: rozum, uczucie i wolę, nie wyjaśnia wcale istoty tych własności. Muszę także podnieść, że w pierwszych dwu rozdziałach wyniki nowszych badań psychologicznych, nie są tak uwzględnione jakby na to zasługiwały, natomiast nadzwyczaj barwny jest rozdział trzeci poświęcony miłości zmysłowej, także uczucia gromadne wiążące się ściśle z uczuciami rodzinnemi są interesująco przedstawione. We własnym jednak żywiole znajduje się autor dopiero w rozdziale piątym, gdzie przechodzi do opisywania uczuć wyższego rzędu, rozdział też ten tak samo jak szósty każdy z prawdziwą odczyta korzyścią. Natomiast różne spekulacye przyrodnicze, wysnuwane w rozdziale ósmym, a dotyczące piękna i brzydoty w naturze nie wydają mi się aby były nale-

życie uzasadnione. Trudnej sprawy, bo ideału człowieka dotyka rozdział dziewiąty, tu bardzo pięknie uwydatnione są rozkosze czysto duchowe, jakie człowiek czerpie z wiary i z tego przeświadczenia, że ze zmysłowością i życiem doczesnem nie wszystko się kończy. Krótkiem ale bardzo uwagi godnem jest zakończenie. Tu stwierdza autor, że „rozpatrzenie uczuciowej strony człowieka przyniosło nowe dla rozumu argumenta potwierdzające rzeczywistość świata poznawanego, prawdę praw wiecznych wszechbytu, rzeczywistość Boga i wreszcie nieśmiertelność duszy, ziszczenia nadziemskiej sprawiedliwości". Świadectwo uczucia wyprowadza, zdaniem autora, umysł z toni wątpienia. Przeczuwa on wprawdzie zarzut, że przekonanie oparte na uczuciu nie dowodzi niczego i dla tego odpowiada na niego z góry, „że przekonanie ze wszystkiem zgodne z rozumem i tłomaczące j e d y n i e zagadkę w sposób zrozumiały nie jest istotnie w niczem podobne do pragnień omylnych ludzi, spodziewających się powodzenia". Że w tego rodzaju rozumowaniu tkwi jednak pomimo wszystkiego pewien *circulus vitiosus* to przecież mniemam dostrzeże sam autor: uczucie się nie myli, gdyż jest w zgodzie z rozumem a rozum mówi prawdę, gdyż go popiera uczucie. Kończy Dzieduszycki swoje wywody następującemi słowy: „Do żadnej oczywistości nie doprowadzi samo rozumowanie, poznajemy oczywistość tem najpierwej że czujemy, iż coś jest prawdą, w tym sensie b y w a u c z u c i e p i e r w s z e m, n i e p r z e z w y c i ę ż o n e m ź r ó d ł e m p o z n a n i a".

Nie mogę na tem miejscu wyszukiwać ziarnka prawdy, które tkwi w powyższem powiedzeniu, na zakończenie więc wyrażam tylko jeszcze życzenie, aby autor jak najwięcej szukał ukojenia i wytchnienia w umysłowych pracach, z prawdziwym dla naszej literatury pożytkiem,

Dr. M. Straszewski.

O satyrach Naruszewicza. *Ignacy Chrzanowski.* Lwów 1902.

Rozprawa wielkiej wartości. W formie doskonała, pisana bardzo porządnie, z planem, i planu tego się trzymająca, tak, że nigdy nie tracimy wątku; jasność, która wynikła z doskonałego opanowania przedmiotu.

Monografia ta, jak autor słusznie zaznacza, jest pierwszą, poświęconą samym satyrom. W przypiskach (które, nawiasem mówiąc, zawierają rzeczy nader cenne, np. zestawienie dokładne z satyrami Boileau'a) autor podaje różne, dotąd panujące opinie o satyrach Naru-

szewicza; przez to zestawienie różnych sądów uwydatnia się nieraz ich sprzeczność. Swoją drogą wartoby tu i owdzie zaznaczyć, skąd ten sąd autora pochodzi — bo nieraz dwóch autorów wypowie o tej samej rzeczy sąd różny, a obaj mają słuszność, gdy się rozważy ich punkt wyjścia, ich pojmowanie literatury; w obecnym np. wypadku sąd prof. Tarnowskiego bardzo różny od innych. W rozprawie zaś samej autor daje swój pogląd na satyry Naruszewicza.

Ten pogląd jest dla poety wcale pochlebny: dobitność charakterystyki, wybitność stylu, tryskające życiem postaci, bogaty, dobitny, jędrny język, szczeropolski tok tego języka, — jako całość epiczna żadna z satyr Naruszewicza nie może się mierzyć z satyrami Krasickiego, natomiast pod względem plastyki w tworzeniu typów satyrycznych Naruszewicz nie ustępuje bynajmniej Krasickiemu, owszem przewyższa go dobitnością i jaskrawością barw — jego satyry są na wskróś narodowe, satyry Krasickiego w dość znacznym stopniu kosmopolityczne. Temi (zacytowanemi tutaj dosłownie) i podobnemi wyrażeniami i obrazami autor określa artystyczną przedewszystkiem wartość satyr wielkiego historyka.

Ten sąd ogólny przyznam się, że mię najmniej w całej rozprawie zadowala. Te ciągłe zestawienia to z Krasickim to z Boileau autorowi, prawda, pracę ułatwiają, ale ogólny sąd wychodzi z tego niezdecydowany, niejasny, nie wiemy właściwie, czy satyry są dziełem dobrem, pięknem, czy nie. Raz się dowiadujemy, że to a to jest w nich znakomite, ale drugi raz występuje na scenę a l e. Jest po prostu zestawienie plusów i minusów, ale niema ostatecznego obrachowania; musi je robić czytelnik sam, a powinien to był zrobić autor.

Drugą rzecz miałbym także do wytknięcia. Ta może jeszcze ważniejsza. Autor nadzwyczajnie rzadko wspomina i wciąga w zakres badań inne dzieła Naruszewicza; jeżeli się nie mylę, to raz tylko mówi ogólnikowo o tem, że Naruszewicz był w jednej osobie satyrykiem i panegirystą. Poza tem traktuje satyry w najzupełniejszem oddzieleniu od innych pism. Tej metody nie można pochwalić, bo ona pozbawia rzecz wielu ważnych szczegółów. Otóż specyalnie co do Naruszewicza: koniecznie na jego inne pisma musi się zwrócić uwagę. Albowiem jego ody są utworem człowieka bardzo różnego, od autora satyr. Forma jest inna, treść inna, a co najważniejsza: duch jest inny. Przecież Naruszewicz — autor ód jest często nieświadomie materyałem do satyry Naruszewicza: zwłaszcza panegiryzm bezwzględny, niesympatyczny, umieszczany i kierowany niewłaściwie, to cecha, która rzuca

na ody światło bardzo smutne, i właściwość, którą Naruszewicz w satyrze „Pochlebstwo“ chłoszcze bardzo dotkliwie. Różnice są też ogromne i w języku: ody są jakby dalszym ciągiem (trochę lepszym) epoki saskiej, a z drugiej strony uderzają o Księstwo Warszawskie i pseudoklasycyzm, satyry mają język zgoła inny, jakby więcej polski (na ten szczegół autor zresztą wskazał, ale tylko na ten), więcej zbliżony do wieku XVI. A przecież ody i satyry oddziela bardzo niewielki przeciąg czasu, jeżeli nawet oddziela. Otóż na tę sprzeczność autor nie zwrócił uwagi, nie dał pod rozbiór satyr tła psychologicznego, rozwoju umysłu, pojęć, przekonań samego poety. To przecież także do wytłumaczenia satyr konieczne. Koniecznie należało zastanowić się i, jeżeli się da wyjaśnić, czy Naruszewicz się zmienił w przeciągu kilku lat, czy może istniały sprzeczności w jego naturze i pojęciach, czy może sam sobie z tej dwoistości nie zdawał sprawy, i tym podobne pytania, które tu rzucam nie rozwiązując, bo w recenzyi nie na to miejsce, ale które nasuwają się każdemu przy czytaniu Naruszewicza, które autor powinien był sobie zadać, i jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniej do tego rozwiązania dążyć, przynajmniej powiedzieć: myślałem o tem, ale wyjaśnienia nie znalazłem. Monografia o satyrach tą rzeczą powinna się była koniecznie zająć.

Te dwa niedostatki rozprawy psują ją nieco. Ale poza nimi rzecz ma wartość wielką. Po raz pierwszy w historyografii literatury polskiej poświęcono satyrom osobne studyum. Autor rozbiera naprzód szczegółowo treść satyr i wykazuje (pierwszy) bardzo bystro, jak te satyry chłoszczą z jednej strony zdrożności dawne (sarmatyzm), z drugiej występki, które przyszły z nowym porządkiem rzeczy (wiek zepsuty); jak jedne znęcają się nad samym tylko sarmatyzmem, drugie nad samym tylko światem nowym, inne wreszcie ścigają i pierwszy i drugi. Rozbiera autor satyry także pod względem ich formy, według trzech składowych pierwiastków satyry. Rozbiór treści jest obszerniejszy, dokładniejszy i lepszy; jest po prostu taki, że może ktoś inny napisać taki rozbiór piękniej, ale nie napisze go lepiej. Za ogromną zaletę metody (a przez to i rozprawy samej) uważam rozpatrywanie satyr Naruszewicza na tle i w związku z powszechnym wówczas satyrowym nastrojem literatury, w szczególności z Monitorem. Przez to utwór nie wygląda jakby spadły z księżyca, nie jest oderwany od ziemi, obraz jego wypada prawdziwie, bo odpowiada stosunkom rzeczywistym. Każde dzieło ma pokrewieństwa w swej epoce, łączy się z innemi, więc hi-

storyk literatury związek ten pokazać powinien. To właśnie rozprawa p. Chrzanowskiego pokazuje wybornie.

Mówiono dotąd tu i owdzie o wpływie satyr Boileau'a na Naruszewicza. Zasługą studyum p. Chrzanowskiego jest, że ten stosunek dokładnie bada, zestawia poszczególne miejsca u jednego i drugiego satyryka, pokazuje, w jaki sposób Naruszewicz z autora francuskiego korzysta i jak go naśladuje.

Mówiłem dłużej o niedostatkach rozprawy ocenianej aniżeli o zaletach. Ale nie dlatego, jakoby pierwsze przeważały. Tylko w pierwszych trzeba po prostu zastosować więcej polemiki, drugie, zgadzając się z autorem, wystarczy zaznaczyć. Żeby je jednak jeszcze raz zaakcentować, powiedzmy: przez studyum p. Chrzanowskiego o satyrach Naruszewicza, pomimo niedostatków, historyografia literatury polskiej zbogaciła się rozprawą o wielkiej wartości i co do Naruszewicza zrobiła jeden krok naprzód; przez pokazanie ich związku z życiem zbogaciła się jednym przyczynkiem historya kultury polskiej.

Dr. St. Dobrzycki.

Z piśmiennictw obcych.

Im Reiche der Ausgestossenen. Aus den Memoiren des sybirischen Sträflings *L. Melschin.* Übersetzung von *Heinrich Harff.* (Zweites Tausend, Dresden und Leipzig. Verlag von Heinrich Minden. Str. 323).

Kilkadziesiąt lat upłynęło od pierwszego wydania „Martwego domu" Dostojewskiego, stanowiącego początek więziennej literatury rosyjskiej. Zdawałoby się, że w tym smutnym przedmiocie już nic nowego powiedzieć nie można, a przecież opowiadanie każdego więźnia budzi świeże choć smętne zajęcie, przyciąga urokiem przepaści, tajemniczych głębin cierpienia. W każdem też znaleźć można rysy odrębne, różnice otoczenia, systemu więziennego i psychologicznej fizyognomii skazańców. Niniejsza książka jest wyciągiem z pamiętników L. Melszyna, politycznego zesłańca, o którego poprzednich dziejach dowiadujemy się bardzo niewiele — tyle, iż marzył o postępie i uszczęśliwieniu ludzkości (wiadomo, co w Rosyi podobne marzenia znaczą), że miał starą a bardzo dzielną i czułą matkę, którą po raz ostatni widział biegnącą wzdłuż unoszącego go wagonu, i że musiał być stu-

dentem gdy go skazano, bo portret, już zda się po powrocie z Sybiru robiony, przedstawia człowieka jeszcze młodego, o łagodnem, niemal miękkiem obliczu i regularnych, bardzo zmęczonych rysach. W kajdanach u nóg, z głową do połowy zgoloną przepędził szereg długich lat w katordze, na ciężkich robotach w Szelaju.

W okręgu Nerczyńskim jest około dziesięciu kopalń, gdzie skazani na katorgę w Syberyi odbywają swą karę. Niektóre z tych kopalń są już niemal wyczerpane i potrzebują bardzo mało siły roboczej. W innych co roku odsłaniają się nowe żyły, więc też ku nim bywają kierowane główne transporty aresztantów, dla których powstają olbrzymie więzienia na 1000 ludzi i więcej. W Szelaju obliczone jest tylko na 150. Należąca doń kopalnia, od szeregu lat opuszczona, miała być podjętą na nowo. Dochodów nie można się było rychło spodziewać, gdyż osuszenie dawnych szybów długiej wymagało pracy; rządowi jednak chodziło głównie o wypróbowanie więzienia, urządzonego na modłę europejską: *ein Mustergefängniss.* Według opisu jednak owa „europejskość" nie dotarła dotąd do szczegółów wewnętrznych[1]. Gmach więzienny biały, zbyt szczupły na liczbę swoich mieszkańców, leży o trzy wiorsty od wioski, w jarze obrosłym bukami i brzeziną, wśród bardzo malowniczych gór. U wrót powitał przybywających skazańców komendant więzienia, kapitan sztabowy, Suczezarow, człowiek niezły, ale służbista, bardzo przejęty ważnością swych funkcyi. Zapowiedział rygor niezmierny, który jednak w praktyce okazał się mniej twardym, a raczej nierównym. Po ponownej rewizyi i kąpieli rozdano aresztantom po dwie sztuki bielizny do zmiany, odziano w kaftan, spodnie, i w miejsce płaszcza długi szynel, mający też służyć za kołdrę i zamknięto w oddzielnych „numerach" po kilkunastu razem. Melszyn — jedyny wykształcony skazaniec w całem więzieniu, cierpiał z wielu powodów, obojętnych dla towarzyszy: najgorszym był zaduch, wstręt współwięźniów do otwierania okna, i pogarda ich dla najprostszych prawideł czystości. Najgorzej czuć się to dawało w pożywieniu przyrządzanem bez dozoru zwierzchności. Więźniom bowiem wolno jest zawiązywać się w kółka, czyli t. zw. artele, których członkowie wybierają z pomiędzy siebie starszego kucharza, szewca, pracza i t. p. Dyrekcya dostarcza pewną ilość mięsa, chleba i innych zapasów ilość

[1] Los więźniów o wiele mniej twardy niż na Sachalinie, a może i w zakładach karnych francuskich, staje się, mimo wysiłków ku lepszemu, nieznośnym z winy niezaradności zwierzchników.

skąpą, ale od biedy dostateczną, gdyby nie przechodziła przez ręce obranej starszyzny artelu, gdyby np. zupa — istne pomyje — nie zawierała karakonów, a mięso nie było na bardzo brudnym stole krajane i rozdzielane jeszcze brudniejszemi rękami. Obok zaduchu i głodu Melsztyn skarży się na zimno bardzo dotkliwe w jesieni i na wiosnę, gdy zwierzchność czeka na dzień oznaczony w przepisach na ogrzewanie pieców i rozdanie kożuchów, a mróz, przepisów nieświadom, uprzedza lub przeciąga się poza oficyalną datę.

Praca jest ciężka, zwłaszcza dla człowieka przywykłego do pióra, a nie do młota, poprzedzona długim pochodem na stromy szczyt, gdzie się znajduje wejście do szybów. Wszelako samo przejście pod gołem niebem wśród czarujących widoków, a nawet kucie w skalistem podziemiu przy dźwięcznej nieraz piosence skazańców lepsze są od strasznej bezczynności w murach więzienia. Za przybyciem Melszyna, studnia, stanowiąca otwór kopalni, pełna była cuchnącej wody, a poniżej brudnego lodu, który trzeba było, wybrawszy wodę, rąbać i wiadrami wyciągać do góry, poczem dopiero wśród zimnej wilgoci można było rozpocząć robotę. Uderzającą jest zostawiona przytem więźniom swoboda: zrazu nawet nie wymierzano im pracy, z czego korzystali aby po odejściu kierownika robót rozpalić ognisko i wraz z zostawionym dla ich straży kozakiem pocieszać się herbatą i fajką. Gdy bezczynność wyszła na jaw, poczęto im wyznaczać zadania; byle jednak ilość przepisanych cali wydrążoną była w kamieniu, nikt nie pytał, przez kogo i z jakiemi przerwami rzecz była dokonaną. Za Melszyna np. w pierwszych tygodniach pracowali inni, widząc, iż nietylko sił dobyć nie umie, ale młotem zamiast w świder, w swoją rękę uderza. Wogóle pomimo absolutnie jednakowego traktowania przez zwierzchność, obejście jego i wykształcenie zyskały mu były odrazu uszanowanie towarzyszów niewoli. Zwali go „Iwanem Mikołajewiczem“, mówili doń *per* „wy“ i czekali aż się do snu ułoży, by sobie opowiadać wzajemnie przygody swojej przeszłości. Melszyn leżał czasem godzinami całemi, słuchając przerażających historyi zbrodni, opowiadanych bez cienia żalu, ku zabawie lub applauzowi słuchaczy.

Byli to po większej części ludzie pochodzenia rosyjskiego, ale na Syberyi zrodzeni, pozbawieni zupełnie pojęć etycznych, lub tworzących je sobie według upodobania. „Całe życie byłem złodziejem — mówił jeden — ale przecież tu, między kolegami, wstydziłbym się kraść“. Niektórzy mieli pozory łagodne i uczciwe, tak, iż Melszyn sądził, że się przez pomyłkę sądową do kaźni dostali, aż z ich wła-

snych ust dowiadywał się o szeregu krwawych przestępstw, które ich tu przywiodły. Czasem, słuchając wśród nocy, zimna, brudnych wyziewów i okropnej tęsknoty, miał wrażenie że jest w piekle, a gdy zasypiał, owa powódź zbrodni dławiła go jak zmora, więc we śnie uciekał i gnany w ciemności, wpadał do czarnych głębin kopalni. Dla tych ludzi więzienie było karą, ale nie środkiem poprawy; pewien był, że gdy wyjdą, zaczną napowrót wieść dawne życie, bodaj czy i nie gorsze. Starsi recedywiści opowiadali o innych katorgach, porównując je między sobą, zachwalając te, gdzie można było kupić sobie żywność za własne pieniądze, i gdzie skazańcy mieli sobie za wstyd skosztowanie strawy skarbowej. W Szelaju nie było wolno kupować, również surowo wzbronioną była wódka i gra, co nie przeszkadzało, iż karty cyrkulowały z jednego numeru pod drugi tak zręcznie, iż ich nigdy żaden nie pochwycił dozorca. Co prawda, w zimie od zachodu słońca nie było co robić, a zda się, że i dnie galowe wolne były od pracy; Melszyn bowiem opowiada tak, jak gdyby co najmniej połowa życia spędzaną była nie w kopalni, lecz w gmachu więziennym. Tu po pewnym czasie przestano ich przez dzień zamykać; można było odwiedzać się wzajemnie, doglądać chorych w szpitalu, a nawet biegać po dziedzińcu więziennym. Tylko o wpływie moralnym, o nauce religii nie pomyślał nikt. Niektórzy zaś byli tak ciemni, iż myśleli że Trójca św. a Najśw. Panna to jedno. Jeden z nich wprawdzie miał książeczkę z Ewangeliami i pilnie ją czytywał, ale raz gdy go zaczęli przezywać popem, podarł ją w gniewie i cisnął, a towarzysze pochwycili w lot kartki, aby z nich papierosy ukręcić. Ten sam los spotkał małe Biblie, które wędrowny apostoł z protestanckiego Towarzystwa biblijnego rozdał między skazańców.

Melsztynowi żal było biednego starca: przebył mil tysiące, aby w każdym „numerze“ katorgi za pośrednictwem tłumacza kilka zdań wygłosić i — koniec. Katorżnicy wszakże łaknęli wiedzy; gdy Melszyn zaproponował licznym analfabetom, że ich nauczy czytać, powstał odrazu zapał ogromny. W praktyce pokazało się więcej dobrej woli niż zdolności, ale też wytrwałość była niezmierna, a każdy postęp „studentów“ śledzony był przez otoczenie i witany radośnie. Ludzie, z których każdy miał niejedno życie człowiecze na sumieniu, pocili się cierpliwi i karni nad literami kreślonemi węgielkiem na papierkach od papierosów. Większy jeszcze zapał zapanował entuzyazm za nadejściem od matki Melszyna paczki książek, które po wielkich targach Suczezarow pozwolił mu zabrać do więzienia. Już gdy przechodził

dziedziniec, rzucili się nań aresztanci z innych „numerów“: Daj nam choć jedną! — błagali. Gdy atoli, doszedłszy do swojej kaźni i otworzywszy na los szczęścia Puszkina, jął głośno czytać balladę o zbójcach, wśród więźniów powstał taki rumor, tak dzikie zbudziły się instynkta, iż pożałował swej nieostrożności, i tylko pod przymusem dokonał czytania. Czytał i dni następnych i dziwił się, widząc w tem dziwnem audytoryum zrozumienie i podziw Szekspira: „Król Lear“ miał powodzenie ogromne, Dostojewskiego natomiast, mianowicie „Martwego domu“ słuchano z ziewaniem — toć już dosyć nie było własnej katorgi! Niektórym było do tego stopnia tęskno do zmiany choćby na gorsze, iż wnieśli prośby o przeniesienie na Sachalin; co roku bowiem zasyłano tam pewną liczbę, ale wyłącznie pochodzących ze wschodniej Syberyi. Innych po czasie próby umieszczano w poblizkich koszarach, gdzie zmuszeni do tychże samych robót, używali daleko większej swobody. Co prawda, i we właściwem więzieniu było jej znacznie więcej niż w zakładach karnych na Zachodzie; aresztanci używali jej do romansowania na swój sposób z kobietami, zesłanemi podobnie jak i oni na karę, i wciskającemi się w obręb gmachu więziennego; Suczezarow musiał uciec się do chłosty, której niecierpiał, aby koniec położyć wybrykom.

Ciekawem jest, iż w każdym pamiętniku o rosyjskiej katorgi odnaleźć można dwa sympatyczne typy: Polaka i młodego Kirgiza albo Tatara. Tu Polakiem jest młody wieśniak Musiał, skazany za zabicie w przystępie gniewu teścia, zatruwającego życie całej rodzinie; „chłop rosyjski byłby o wiele wcześniej go ubił“. Za Musiałem przybyła żona, hoża i przystojna Józefa i w dnie dozwolone przychodziła przynosząc mężowi urodzoną w drodze dziecinę. Biedna kobieta stała się wnet celem zalotów dozorców, Kozaków i katorżników, czyniących sobie okrutną zabawkę z spotwarzania jej przed mężem, który zrazu niewzruszony, w końcu uwierzył. Wtedy przy każdem spotkaniu następowały głośne sceny wyrzutów ku uciesze szatanów, którzy je podniecili. „Każda Rosyanka — pisze znów autor — byłaby uległa. Ją podtrzymywała jej katolicka pobożność“. I Bóg nagrodził jej stałość, bo gdy zamyślała już przed prześladowaniem obcych i obelgami męża o ucieczce z dzieckiem do Polski, Musiał wpadł na szczęśliwą myśl zwierzenia się swą łamaną ruszczyzną inspektorowi więzień, który poczciwie zajął się nim i wyświecając prawdę, przywrócił zgodę między małżonkami.

Bardzo wzruszającą też jest historya młodego Tatara umierają-

cego z tęsknoty za matką, za słońcem, za ziemią ojczystą. On też, podobnie jak ów polski chłop, ma duszę dziecinną, niezepsutą, skarży się naiwnie na Pana Boga, że „stworzył katorgę“, na prawo rosyjskie, że zamiast ściąć, skazuje ludzi na długie męczarnie. Takich żal bardziej od romantycznych rewolucyonistów, uważających za „ujmę godności człowieczej“ nakaz zdejmowania na komendę czapek w obliczu komendanta. Dla Melszyna żołnierski sposób prowadzenia aresztantów zdał się najgorszą męką ze wszystkich, wogóle jednak mało bardzo w jego opowiadaniu lamentów. Zajęty więcej drugimi, niż sobą, nie miał czasu na szał boleści, w jakim, sądząc z pamiętnika, oddawał się Dreyfus na wyspie Dyabelskiej. Sama ta objektywność czyni książkę jego ciekawą, pełną obrazowości i życia. Jest w niej psychologii wiele i dużo pisarskiego talentu. Szkoda, iż nie wiemy nic o dalszych losach autora. *T. W.*

Poetik und Mimik. Von *Gerhard Gietmann S. I.* Freiburg im Breisgau. Herder. (Str. IX, 519).

Jak Arystoteles pod pręgierz estetycznych zasad prowadził „dzikie geniusze“ Grecyi, tak Horacy chłoszcze w Rzymie „Listem o poetyce“ dekadentów, przesiąkłych smakiem tłumu, który do szczęścia żądał tylko kęsa chleba i uciech cyrkowych. Te zawiązki prawideł poezyi okazują, czem właściwie umiejętna poetyka być powinna: nie najazdem klasyków na romantyków pamiętnym nam z doby niezbyt dawnej, ale ujęciem w zasady tego, co zarówno u klasyków, jak u romantyków jest słusznem.

Dzieł o poetyce nie brak w zachodniem piśmiennictwie: w samych Niemczech ostatnie dziesiątki lat widziały wiele teoryi poezyi, wydawanych przez Oesterleya, Kleinpaula, Beyera, Carriera, Wackernagla, Baumgarta, Scherera, Gotschala, Wolffa i innych, mniej powszechnie cenionych. Nie zrażało tych pisarzy słowo Goethego, że teorya zabija drogę do prawdziwego lubowania się w pięknie.

Do dzieł najbardziej godnych uwagi w zakresie umiejętnej poetyki należy wymieniona w nagłówku praca ks. Gietmanna. Książka ta nie obejmuje wielu spraw drobniejszego znaczenia, jakie np. dla potocznego użytku zawiera nasza „Nauka poezyi“ Cegielskiego; ks. Gietmann, głównie ze stanowiska estetycznego roztrząsając zasady poezyi, wyjaśniał swoje poglądy bardzo głębokiemi uwagami; wykonał pracę, którą możnaby nazwać filozofią poezyi. Podajmy kilka myśli ogólnych, jakie nam ta książka nasunęła.

Nad ziemię zapyloną ludźmi i zbłoconą ich codziennymi stosunkami wylatuje głos piewców, kiedy natchnie ich czy ból niezwykły, czy tętno żywszego życia w społeczeństwie, kiedy przełom dziejowy zagra bohaterom pobudkę do czynów. Wtedy ród ludzki słyszy pieśniarzy, spragnionych rzucić na najdalsze krańce świata i na najpóźniejsze pokolenia promienie tego światła, w którem ujrzeli przez chwilę jasne społeczeństwo, jakoby odrodzone doborem postaci olbrzymich, serc rozżarzonych, umysłów zapatrzonych w prawdy dalekie. I na tem wznieceniu iskry życia w zamarłym duchu, na tem wydobyciu piękna duchowego z nicestwa ludzkiej nędzy, na tej sile twórczej polega istota owej tajemniczej potęgi, którą człowiek nazwał sztuką, a kiedy ją słyszy w pieśni: poezyą. Aby więc określić zadanie poety, mówi ks. Gietmann, że ta twórczość, która poezyę przeciwstawia prozie, wymaga od poety przedewszystkiem wnętrznego rzutu oka na piękno duchowne i władzy nad tem pięknem, którąby wieszcz wykonywał tak skutecznie, iżby na jego rozkaz niewidzialna postać piękna z krainy ducha schodziła między ludzi dostępna dla ich zmysłów, ale choć obciążona szatą uchwytną, przecie nie okryta nią tak zmysłowo, aby traciła swój czar nadziemski. Myśl odziana mową prozy przychodzi do ludzi służyć im przy ciężkiej pracy na chleb: w grubej sukmanie idzie z nimi dźwigać ciężar ich ciała, suchą ręką kościstej prawdy, zimno prowadzi ich przez rozdroża żywota do spoczynku w mogile. Przeciwnie w poezyi być musi. Potęgą wieszcza zaklęta myśl staje przed człowiekiem nie do posługi domowej albo pomocy w zarobku, ale zjawiona w dźwiękach pieśni, śpiewa wygnańcowi z raju o jego ojczyźnie, przerywa wątek tych tęsknych snów, z których przędziemy żywot doczesny, i czaruje obrazem prawdy nadziemskiej, aby odejść dopiero, kiedy nadzieja zwycięstwa skarlałych ludzi przetworzy w ród bohaterów. Zatem nieodzownie myśl poetyczna potrzebuje szaty powiewnej, jak postać ducha: ale nie sama szata stanowi poezyę.

Poeta, — dalej ciągnie ks. Gietmann, — utwierdza znakomicie rozum i wolę w tem, co istotnie dobre jest i prawdziwe. Myśl odkryta przez poetę w krainie piękna, i opływa w dobro istotne dla człowieka całego z jego duszą i ciałem, i rozpływa się w prawdzie nieśmiertelnej; tę zdobycz swojej pracy duchowej poeta kocha i wystraja przędzą, wysnutą ze skarbców wyobraźni; tę myśl odzianą urokiem pieśni, poeta prowadzi do ludzi i przedstawia im świeży kwiat zwany poematem. Taką myśl wzniosłą powinna poezya urabiać dla człowieka. Przeciwnie, myśl codzienna, przez nieudanego poetę wymuskana w ry-

mach, prosi się o prozaiczną sukmanę albo kożuch, bo musi iść drwa rąbać na mrozie, a niemiłosierny wierszokleta każe jej chodzić w poetycznej zarzutce. Gorzej jeszcze wygląda szata poetyczna na myśl nikczemnej. Już nie tylko w sercu miłosierdzia, ale nawet rozumu w głowie niema rymotwórca, jeżeli za swój ideał wybierze którąś z najpodrzędniejszych skłonności: wtedy już nie biednej pomywaczce każe udawać księżniczkę, ale za królewnę przebiera i na tronie sadza wypędzoną z kałuży czworonogą poczwarę. Niechże ją tam zostawi, gdzie jej smaczniej i wygodniej.

W poczuciu piękna idealnego idzie ks. Gietmann tak daleko, jak każdemu iść wolno: nie cierpi wierszów o treści chrześcijańskiej, pisanych przez Musseta, Wiktora Hugo i podobnych pisarzy. Czczość, która owiewa te dzieła, wyziębić umie całe uczucie, z jakiem słuchacz lubowałby się w tych samych utworach, gdyby wypłynęły z piersi Teresy z Awili albo Tomasza z Akwinu: ci w swoich rymach wylewali duszę, tamci nadymają bańki mydlane z uczuć, dla których chrześcijanin umiera z rozkoszą. *Gemachte Gefühle werden von jederman als unpoetisch verurteilt* — mówi krótko ks. Gietmann.

Więc o czemże śpiewać będzie poeta, jeżeli po myśli autora zostawi brudy praczkom a udane nabożeństwo faryzeuszom?

O tem niech śpiewa, do czego jedynie prawdziwy duch poetycki porywa każdego, na kogo zstąpił. Jak ludów wiele osiadło po świecie szerokim, tak w każdym, choćby niepiśmiennym, słynie niezatarte do dziś dnia od wieków pamięcią imię ich wieszczów prawdziwych, a każdy przez to wznosił sobie pomnik „od spiżu długowieczniejszy", iż odczuł w sercu człowieczeństwa rozkosz, którą odczuwamy z istoty serca naszego, gdy oglądamy bohaterskie czyny, czy głośne na polu krwawej rozprawy z najezdcą, czy ciche, przy domowem ognisku; jedni sławili piękno walki, którą odczuli w zakresie ściśle chrześcijańskim i czysto nadprzyrodzonym, inni widzieli je w obrębie szlachetnych uczuć ludzkiej przyrody i na tle każdem, gdziebądź równy nam człowiek wolną wolą przerasta nas i sam siebie i rzuca własne szczęście, byle spłacić długi względem rodziny, ojczyzny i całego braterstwa narodów.

Narzuciliśmy tylko kilka myśli ogólnych; po wycieniowaniu ich, po rozwikłaniu różnych wątpliwości, po wszystkie szczegółowe zagadnienia, które wiążą się z poetyką, odsyłamy do książki. W szeregu rozdziałów roztrząsa autor rozliczne pytania: o pojęciu, znaczeniu i historyi poetyki, o stanowisku poezyi między sztukami pięknemi, o isto-

cie i zadaniu poezyi, o twórczej działalności poety, o formie poezyi i o jej rozlicznych rodzajach.

Nie swoje poglądy osobiste spisał ks. Gietmann; co napisał, to wysnuł z przedmiotowej prawdy, którą opowiadają poezye najznakomitszych pisarzy na świecie, a potwierdzają tę prawdę najgłębsze uczucia serca ludzkiego. Czuł się też w obowiązku poznać, co dobrego ktobądź inaczej powiedział, ocenić wszędzie prawdę i choćby ją miał od przeciwnika, bronić jej. Zatem, jak korzystał z estetycznego poczucia piękna u Platona, Arystotelesa, Tomasza z Akwinu, tak troskliwie dbał a rady Vischera, Carriere'a, Schaslera, Hartmanna i innych powag w dzisiejszej estetyce, bynajmniej nie skłonnych do idealizmu chrześcijańskiego. Za niczyją przecie powagą nie szedł z czci dla αὐτὸς ἔφη: obrał metodę nie tylko naukową, ale wprost, — jak sam wyznaje, — realistyczną. Nie dziw zatem, że poważne pisma niemieckie widzą w tem dziele rzeczywistą zdobycz dla umiejętnej poetyki i nie przypuszczają, żeby rychło ta gałąź wiedzy dostarczyła książki równie poważnej.

Wytknąć tu jednak potrzeba, że ks. Gietmann swojemu dziełu spłatał sam figla przez niezrozumiałą myśl, z jaką wszczepił swoją broszurkę o mimice w książkę o poetyce i objął nawet obie prace wspólnym nagłówkiem, jakoby jedno dzieło. Wprawdzie rozprawa o mimice zasługuje na chlubną wzmiankę, zwłaszcza rozdział o mimice dramatu, ale stanowi dla siebie sama coś osobnego, i coś nierównie mniej ważnego dla ogółu, niż znakomita nauka o poetyce. Jeżeli już wydawca koniecznie chciał jednym nakładem wydać obie prace, tedy mógł przecie dla mimiki dać osobny spis rzeczy, osobną paginacyę i przedewszystkiem każdemu dziełu osobny tytuł.

Ks. C.

Les Missions catholiques françaises au XIX siècle. Par *le Père J. B. Piollet S. J.* III Chine et Japon. Librairie Armand Colin (Str. 503).

Niezmiernie w treści swojej bogaty ten trzeci tom dziejów misyjnych stanie się coraz ciekawszym w miarę lat oddalających czytelników od opisywanych wypadków. Dla nas jest to — zwłaszcza co do Chin — ujęcie w całość i streszczenie wypadków, o których w miarę ich przebiegu czytało się w gazetach. Historya bohaterskich wysiłków, i również cierpliwością bohaterskiej pracy misyonarzy, ich zasług na polu nietylko religii ale i nauki, zapór stawianych im przez ducha wyłączności krajowców, fanatyzm pogaństwa, zaciekłość tajnych sekt,

bezwzględność polityki europejskich mocarstw, oraz współzawodnictwo handlowe rasy żółtej i białej, dalej historya prześladowań, męczeństw i walk po dziś dzień nieskończona mimo traktatów — powtarza się niemal identycznie w każdej prowincyi z osobna. Wszystkim wiadomo, iż dzieło nawrócenia Chin, podjęte początkowo przez Jezuitów, zahaczyło się o kwestyę kultu przodków, z którego Jezuici chcieli skorzystać, aby, przekształcając go w nabożeństwo za dusze zmarłych, oprzeć na nim wszystkie inne prawdy i przepisy naszej wiary. Kassata Zakonu była tu jak i w innych krajach hasłem upadku misyi, aż porzucony poniewolnie pług chwycili Lazaryści, Bracia Mniejsi i t. d., a wreszcie i Jezuici powracający do dawnego pola swej pracy.

Przed wojną istniały w pełnym rozkwicie seminarya, wydające dzielnych księży krajowców, klasztory i stowarzyszenia dziewic chińskich poślubionych Bogu, bractwa Najśw. Serca, Dobrej śmierci i inne, a między niemi oryginalne Bractwo żebraków, szkoły niższe, szkoły zawodowe i rolnicze, Muzeum założone w roku 1870 przez O. Heude i t. d. i t. d. Statystyka z roku 1899 wykazuje na 125 000 000 mieszkańców pogan, katolików 162 852, schizmatyków i heretyków 3 985, stacyi 3193, kościołów i kaplic 606, seminaryów 12 z 366 uczniami, szkół męskich i żeńskich 922 na 12 755 dzieci, szkół zawodowych i rolniczych 11 z 191 uczniami, ochronek 54, szpitali, aptek i ambulatoryów 257; liczba udzieleń Chrztu 105 823. Odtąd, co prawda, krew chrześcijan spłynęła strumieniem, a ściany kościołów i domów misyjnych ulotniły się z dymem, ale dzieło Boże nie przepadło i napowrót z ruin wyrasta. Przedstawiciele Francyi na dalekim Wschodzie zdają się wogóle zapominać o bezwyznaniowych rządach w ojczyźnie — przynajmniej z pod pióra misyonarzy same widnieją pochwały — niemniej wszakże jest prawdą, iż Chińczycy wiedzą aż nadto dobrze, co się w Europie dzieje, i że cześć ich dla Krzyża i tegoż apostołów upada w miarę poniewierki, jakiej nad Sekwaną doznają.

Ciekawym jest rozdział o Mandżuryi, opisujący powolne zagarnywanie tej krainy pod wpływ rosyjski już w długie lata przed wojną. Rosyanie nie baczni na przymilania się Francuzów, odpychali tam na każdym kroku działalność misyonarzy francuskich, mówiąc, że dla potrzeby istniejących tam katolików starczą najzupełniej polscy księża — zapewne zesłańcy. „Bardzo piękną rzeczą dla naszej polityki — pisze autor — jest przyjaźń franko-rosyjska, jest jednak wielką przeszkodą dla postępów wiary“.

Ciekawym również jest opis prób ewangelizacyi Tybetu, prób

rozpoczętych w XIV i XV w., uwieńczonych w XVIII w. założeniem w Lhassie klasztoru przez Kapucynów, którzy wszakże nie mogąc się ostać przed zawiścią Lamów, przenieśli się wraz z neofitami do Indyi. Odtąd Kapucyni nie usiłowali już wtargnąć do tajemniczej krainy, natomiast dwóch Lazarystów zdołało w 1846 roku dotrzeć do stolicy i pozostać w niej sześć tygodni; pracować jednak nie mogli i odtąd wszelkie wysiłki spełzły na niczem. Najmniej bezskuteczną była wyprawa ks. Renou, któremu udało się pewien czas w klasztorze buddyjskim między Lamami pozostać, gromadząc wiadomości o kraju; wogóle jednak żaden misyonarz wobec potęgi tychże Lamów ostać się nie może, tak iż wszelkie działanie musi się na pograniczu zatrzymać.

Pozostaje jeszcze miotana zawsze między Chinami a Japonią Korea, gdzie po długich cierpieniach nowe kwiecie z krwi męczeńskiej wyrasta, a za nią sławiona w Europie i popularna Japonia. Głównym rysem jej mieszkańców jest — zdaniem misyonarzy — nienawiść do cudzoziemców i cudzoziemczyzny, a cały obecny ruch cywilizacyjny ma na celu dorównanie Zachodowi na to, by módz bez jego produktów się obejść, i, dościgając go na każdem polu, zabezpieczyć się przed jego wpływem. Ruch jednak przy równoczesnem wzmaganiu się ludności (1886 = 38 507 000, 1896 = 46 000 000) jest zbyt szybkim, aby mógł działać głęboko, a zwłaszcza aby za sobą pociągnąć postęp moralny: „dusza japońska pozostała niemal tem, czem była dawniej, pyszną i mściwą; obyczaje nie poprawiły się“... Pierwsze początki Chrystyanizmu zdały się jednak lepiej o niej wróżyć. Zawitał on tam w r. 1549 z św. Franciszkiem Ksawerym, a mimo chwilowego prześladowania w r. 1605 liczba katolików dochodziła do 1 800 000 i to katolików gorliwych, świecących czystością życia. Kto wie, czy do tej chwili Japonia nie byłaby katolicką w całości, gdyby nie przybycie protestantów Anglików, a zwłaszcza Holendrów? Znane są powszechnie dzieje prześladowań japońskich, dokonanych nie bez holenderskiej pomocy, znanym też fakt rozrzewniający, iż misyonarze najnowszych czasów odnaleźli dość liczne rodziny chrześcijańskie, które przez wieki pozbawione nauki i sakramentów, zdołały wszakże uratować główne podstawy wiary. Obecnie od chwili otwarcia Europejczykom portów japońskich katolicyzm ma rzekomo wolny wstęp do kraju; czyni wszakże bardzo powolne postępy, bo wszelki zakład misyjny poddanym jest kontroli rządu tolerującego jedynie przez wzgląd na Europę. W ostatnich czasach przecież począł się ruch w opinii publicznej, a nawet w prasie liczniejszej i potężniejszej jeszcze w Japonii,

niż w krajach Zachodu. Dla ludzi uczonych zwłaszcza uwydatnia się próżnia, jaką przez styczność z cywilizacyą wytworzyła się w wierzeniach narodu: buddyzm i szyntoizm upadły, utrzymywane już tylko dla formy, a w ich miejsce studenci japońscy przywieźli z Berlina puste, bezwyznaniowe sofizmata filozofii niemieckiej, lub z Paryża bezmyślny sceptycyzm. Na to zaś, aby próżnię zapełnić, jedna religia katolicka zdaje się im stosowną, gdyż 1) nie rozpada się jak protestantyzm na sekty i 2) jest ogólno-ludzką, a nie narodowo-rosyjską, jak prawosławie. To ostatnie zwłaszcza czynne wydaje się i niebezpiecznem. Stan obecny w czterech japońskich dyecezyach: Tokio, Nagasaki, Osaka i Hakodate przedstawia się, jak następuje:

Ludność pogańska	39 972 080
Heretyków i prawosławnych	72 512
Katolików	53 762.

Z tych najwięcej katolików, 35 645 znajduje się w Nagasaki.

Podobnie jak w poprzednich tomach, różne działy tych dziejów misyjnych pochodzą od różnych autorów. I tak: trzy pierwsze rozdziały o Chinach skreślił Msgr. Favier, następne cztery: OO. Mangin et Villaret, Norbert, Colombel i p. M. A. Launay; Tybet, Mandżurya, Korea i Japonia również p. Launay zawdzięczają swe barwne, żywe i treściwe opisy. Wogóle pod względem literackim tom ten daleko jest równiejszym od dwóch pierwszych; czyta się lżej, bo jest może mniej nabity faktami. Autorowie mieli więcej swobody i skorzystali z niej ku pożytkowi czytelników. Illustracye może jeszcze piękniejsze, niż poprzednie.

T. W.

Rücksicht auf das katholische Ordenswesen im XIX Jahrhundert. Von *Otto Braunsbegger S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder. 1901 (Str. VIII + 228).

Świat literacki nie może się uskarżać przy końcu wieku XIX na brak dzieł poglądowych. Dziełko poglądowe wyżej wymienione ma za przedmiot jedno z najpiękniejszych zjawisk życia kościelnego.

Autor w ten sposób dzieło swe układa, że głównie bierze pod uwagę nie wewnętrzne, domowe, że się tak wyrazimy, życie klasztorne, lecz te objawy, które najwięcej pod oko podpadają, jak liczbę członków, domów klasztornych i wszechświatową, zewnętrzną działalność. Posługiwał on się tutaj wielokrotnie źródłami, które przez innych nie były uwzględnione: korespondencye odnoszące się do różnych zakonów, historya

zakonów, pisana przez ich członków, urzędowe zakonne i biskupie katalogi i inne. Można było w ten sposób przystąpić do ułożenia licznych tablic statystycznych, których cyfry mówią wiele wymowniej od słów.

Badaczowi rzucają się zaraz w oczy dwa spostrzeżenia. Naprzód widzi on wielki upadek zakonów. Początek XIX stulecia zastał stan zakonów pod względem zubożenia, bardzo smutny. Stało się to dzięki roboczej kampanii Józefa II i francuskich rewolucyonistów. Ten smutny stan pogarszał się coraz więcej w pierwszej połowie ubiegłego stulecia przez rządy Napoleonidów, książąt niemieckich, nawet katolickich, przez autokracyę rosyjską, przez rewolucye środkowo i południowo-amerykańskie. W ich ślady wstąpili później władcy Irlandyi, niegdyś tak bardzo katolickiej, cesarstwo niemieckie i trzecia rzeczpospolita. Cyfry członków zakonu oznaczają ich ubytek, tak samo ma się rzecz z umniejszeniem liczby samychże klasztorów i ich majątków. Szczególnie dotkliwie przedstawia się to dla zakonów dawniejszych. Czytamy np. ileto milionów w pierwszym dziesiątku minionego stulecia zabrano w państwie Pruskiem Benedyktynom, Augustyanom, Premonstrantom i innym zakonom, ileto zakonników i zakonnic straciło swoją ojczyznę, *Kulturkampf*, ileto zakładów naukowych, a więcej jeszcze dobroczynnych uległo również prześladowaniu.

„Mnie prześladując, i was prześladować będą". Spełnienie tych słów Chrystusa wykazuje część pierwsza tej pracy. Żywotna wszakże siła Kościoła podnosiła z gruzów co było upadło; to właśnie tworzy część wtórą.

Widzimy tam, że nie udało się zniszczyć zupełnie ani jednego z głównych zakonów; a nawet daje się widzieć w ostatnich lat dziesiątkach potężny rozrost. Dodać nadto należy powstanie licznych nowych zakonów i zgromadzeń pobożnych; powstanie i rozwój najważniejszych z nich przedstawia nam autor w swej książce. Nie tylko kraje starej Europy, wszystkie części świata aż do wysp morza południowego biorą udział w błogosławieństwach tego życia. Ze względu na różne koleje zakonów w różnych częściach świata, podejmuje autor, podobnie jak w części pierwszej, wędrówkę po wszystkich krajach, by nam wykazać w każdym z nich wprowadzenie, odnowienie i rozrost zakonnego życia; dowiadujemy się przytem naturalnie, ileto działają zakony w pieczy nad duszami, w naukach i w postępie umiejętności, a najbardziej jaka ich zasługa w najgłówniejszem dziele Kościoła — w nawracaniu pogan i w uczynkach miłości.

Z radością w sercu widzimy, że z wyjątkiem paru małych nie-

mieckich państewek, Tybetu i Syberyi, niema ani jednego kraju na ziemi, któryby w zupełności był pozbawiony zakonów. W niektórych krajach, gdzie na początku XIX stulecia liczba zakonów i zakonników była bardzo nieznaczna, a ci co byli, kryć się jeszcze musieli, dziś liczba ich wzrosła niezmiernie, a indziej mogą przynajmniej otwarcie nosić szatę zakonną.

Z porównawczej tabeli widać, że Austrya, wbrew mniemaniu ogólnemu, długo nie posiadała znaczniejszej liczby klasztorów; w roku 1899 na każde 100 000 katolików przypadało w Austryi prawie 120 zakonników, podczas gdy w Bawaryi przypadało ich na tą samą liczbę 296, w Belgii 474, we Francyi 547, w Stanach Zjednoczonych 560, w Anglii i Szkocyi 697, w Holandyi 959 (str. 198).

Uwaga końcowa wspomina o pieczy, jakiej użyczał Kościół zakonom w ostatnich stu latach i wielki nacisk kładzie na beatyfikacye i kanonizacye, które się przyczyniają do wyszczególnienia zakonów.

Powoławszy się na sławne bulle Leona XIII o amerykanizmie i ustawach francuskich o zakonach, dochodzi autor na końcu do wniosku, że istota zakonów wcale się nie stosuje i nie stoi w sprzeczności z wymaganiami czasu, że owszem teraz właśnie, w dobie obecnej zakony mają w świecie szczególnie ważne znaczenie i stanowisko.

Ks. B.

Les Filles de la Charité d'Arras. Par *L. Misermont,* prêtre de la Mission. Cambrai. Deligue et Co. 1901.

W obecnej dobie prześladowania Kościoła we Francyi budzi się tam pragnienie uczczenia umęczonych za wiarę w czasach rewolucyi, objawia się chęć zwrócenia się ku ich orędownictwu i opiece w chwili nowego ucisku i cierpienia za św. wiarę. Rozpoczęto więc w wielu dyecezyach ścisłe dociekania warunków i powodów stracenia całych zastępów sług Bożych za wiarę i wierność Kościołowi, okrutnie za dni terroru pomordowanych. Kardynał Richard ustanowił osobną komisyę dla zbadania męczeństwa t. zw. Septembrystów, we wrześniu 1792 r. za wiarę w Paryżu zamordowanych. Sprawę Karmelitanek z Compiègne i Urszulanek z Valenciennes już przedłożono św. Kongregacyi obrzędów, teraz zaś z polecenia biskupa z Arras, oraz arcybiskupa z Cambrai rozpoczęto proces informacyjny w sprawie czterech Sióstr Miłosierdzia. Opisem ich życia i działalności zajmuje się niniejsze dziełko, przygotowujące poniekąd chrześcijańską społeczność do niedalekiego ich uczczenia na ołtarzach.

Dostarcza nam ono wyczerpujących w tym względzie wiadomości. Dom Sióstr Miłosierdzia w Arras założony został jeszcze za życia św. Wincentego. Gdy zerwała się nawałność rewolucyjna, zmuszono Siostry wprawdzie do przywdziania świeckiej sukni, ale popularność, jakiej zużywały wśród ubogich, oraz mniemanie, że posiadają jakieś arkana lecznicze, opóźniły dla nich godzinę męki. Gdy Zakłady miłosierdzia zamieniono w t. zw. „Zakłady Ludzkości", zarząd świecki, dzierżący władzę wewnątrz domu, nie odważył się jeszcze wypędzić zakonnic, choć stale odmawiały złożenia rewolucyjnej przysięgi. Dopiero w lutym r. 1794 zarządzono ich aresztowanie; odtąd zaczyna się przerzucanie Sióstr z jednego więzienia do drugiego. Wszędzie cierpliwością i poddaniem się wywierały wpływ apostolski na współwięźniów, pocieszały zwątpiałych, służyły chorym. Nasze Siostry Miłosierdzia były aniołami tych piekielnych czeluści, lochów, do których wtrącano ofiarę prześladowania, zachęcając towarzyszki do oddania życia za sprawę wiary. Zachował się list jednej z Sióstr, pisany do rodziców, a malujący wymownie usposobienie tych dusz, gotujących się na męczeństwo i zagrzewających innych do chętnej z życia ofiary.

Po trzechmiesięcznem przeszło więzieniu w Arras przeniesiono Siostry do Cambrai. Stawiono je przed trybunał, który skazał wszystkie na śmierć za odmowę przysięgi. Nazwano je szyderczo „pobożnemi przeciwniczkami rewolucyi". Natychmiast oddano Siostry w ręce kata, który im ręce związał i chciał im wydrzeć z rąk różańce. Ostatecznie na pośmiewisko różańce te zawieszono im na czole. W drodze na miejsce stracenia modliły się bez przestanku. Naprzód zginęły młodsze zakonnice, przełożona Fontaine ostatnia poszła pod nóż gilotyny. Stanąwszy na rusztowaniu, zwróciła się do ludu i doniosłym zawołała głosem: „Słuchajcie mnie, chrześcijanie. Oto my będziemy ostatniemi ustającego prześladowania ofiarami. Maluczko, a runą rusztowania i ołtarze Zbawiciela się dźwigną".

Te słowa prorocze miały się spełnić co do joty. Jakkolwiek była to najkrwawsza doba rewolucyi, a przez miesiąc cały trwała jeszcze potęga Robespierre'a, ani jeden wyrok śmierci odtąd nie został w Cambrai wykonanym.

Niniejsza książka wyraźnie wskazuje, za jaką sprawę cierpiały i ofiarowały życie swe Siostry Miłosierdzia z Arras. Przyczyni się więc może do poparcia sprawy ich beatyfikacyi, a z pewnością przeciwstawia piękny wzór stałości w wierze św. obecnym zakusom nieprzyjaciół Kościoła. *M.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Nowele. *Paź.* Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1902. (8-ka mała, kt. nl. 1, str. 129).

Pomysły tych nowel ekscentryczne. Czybyśmy wzięli pod uwagę rzecz p. t. „Było to dawno, bardzo dawno“, mającą za przedmiot miłość brata i siostry, którzy dowiedziawszy się, iż są rodzeństwem, rzucają się w fale rzeki, nie mogąc uleczyć uczucia, silnie zadzierzgniętego, czybyśmy rozważyli problem noweli p. t. „Dla Ciebie“, w której siostra miłosierdzia czuwa nad dawnym swoim kochankiem, czy nakoniec fantazyę p. t. „Wróć choćby snem“,... w której kochanek rozpacza za cudzą żoną, kiedy ta, uwiedziona, bez namysłu pozbawiła się życia, czy jaką inną z prac tutaj zawartych, wszędzie znajdziemy podobny ton ekscentrycznej wyobraźni. Prócz tego kompletna nieznajomość jakiejkolwiek kompozycyi, czyli też nieudolność do niej. Mamy wrażenie, jakoby cały ten zbiorek wyszedł z pod pióra bardzo młodego, jakoby to były pierwociny twórczości. Poza tem trudno cośkolwiek więcej powiedzieć o tej książeczce.

St. Zdz.

Wszechmocni, kartka z kroniki miasta powiatowego, wycięta przez aut. „Księżniczki“. Wydanie drugie. Lwów 1903. 8-ka mała. Tom I, kt. nl. 2, str. 284. Tom II, kt. nl. 2, str. 292.

Nic dziwnego, że powieść ta ukazała się w krótkim czasie w drugiem wydaniu. Artystycznych zalet posiada sporo, (choć nie brak też plamek ciemnych w kompozycyi utworu), a ponad to też jest bardzo aktualna. Rzecz bowiem, w niej opisana, rozgrywa się na tle ucisku rosyjskiego w jednem z powiatowych miast Królestwa Polskiego. Przyznać trzeba, że typy biurokratów miejskich oraz czynowników rządowych zostały nakreślone z wielką prawdą i wiernością, że nawet większej żądaćby trudno, iż czyny, jakich brutalna przemoc dopuszcza się na nieuświadomionych mieszkańcach, jakimi ich terroryzuje, nie wyłączając bezbronnych niewiast, zostały niemal pochwycone z rzeczywistości. Na tem tle brudów i oszczerstw, ucisku i samowoli nieograniczonej zarysowują się wydatnie postacie rodziny Wilczków, i powolna reakcya mieszczan. I co najważniejsze — podkład ideowy całej powieści, którego zasadą praca w kraju pomiędzy swoimi i dla ich dobra, ma głębokie znaczenie, zwłaszcza dla nas, dla tych z nas raczej, których ambicya prowadzi w obce strony, podczas gdy kraj ogołaca się z najtęższych jednostek, których znowu ponad miarę nie posiada.

wi.

Pamiętnik włóczęgi. Powieść *Władysława K. Chodźkiewicza*, z przedmową *Dra Bronisława Gubrynowicza*, z portretem autora. Lwów. 1903. (8-ka. Tom I, kt. nl. 2, str. XI i 192, tom II, kt. nl. 2, str. 183.

Dziw bierze, co skłoniło tak zasłużoną firmę księgarską do wydania tej powieści. Chodźkiewicz, epigon romantyzmu, emigrant, autor kilku utworów poetyckich i prac naukowych, nie miał absolutnie najmniejszego talentu ani miary artystycznej.

Kto nie wierzy, niechaj raczy przeczytać choćby tylko kilkanaście kartek omawianej powieści, a przekona się najdowodniej o prawdziwości naszego zdania. Dawno nie zdarzyło się nam czytać czegoś podobnie nudnego i nieudolnego. Również niewiadomo z jakiej przyczyny zmieniono pierwotny tytuł powieści „Pani Piotrowa“ na ten nowy. A jeśli już chciano zmienić go koniecznie, to w każdym razie odpowiedniejszy byłby treści napis „Gawędy nudziarza“. Przeciwko wydawaniu podobnej tandety literackiej, zabagniającej piśmiennictwo, podczas gdy wiele rzeczy wartościowych leży w rękopisach, musimy zaprotestować jak najenergiczniej. Krajowy przemysł drukarski można wspierać inaczej i wydatniej.

St. Zdz.

Profile i perspektywy. *Bertold Merwin.* Lwów. 1902. (8-ka mała, kt. nl. 3, str. 125, kt. nl. 1).

P. Merwin, który ogłosił w pismach tygodniowych warszawskich i galicyjskich dziennikach szereg artykułów, zebrał je obecnie razem w jédną książkę, dając jej podany wyżej, nad wyraz pretensyonalny tytuł. W przedmowie usprawiedliwia się z tego postępku ufny, że „pośrednicząc między twórcą artystycznym a czytającą publicznością, oddaje rozwojowi poczucia artystycznego niemałe usługi“ *(ipsissima verba!)* Gdyby rzeczy wydane były faktycznie, w pełnem tego słowa znaczeniu, szkicami literackimi, możnaby autorowi wybaczyć ten śmiały krok Ale, niestety, rzeczom p. Merwina, które nie są niczem innem, jak tylko prostemi streszczeniami rozmaitych dzieł niemieckich, daleko do nazwy *essays'ów* literackich. Pewną, dość zresztą problematyczną, bo czysto informacyjną wartość miały one w piśmie codziennem, ale do ich wydania książkowego, nie wiem, co spowodowało autora: liczenie na naiwność publiczności, czyli też brak twórczego sądu o wartości tych streszczeń? Prawda! Są tu dość rzeczy oryginalne: „Marya Konopnicka“ i „O dramacie pięknym“. Obie mogą świadczyć znakomicie, do jakiej pretensyonalności może doprowadzić naśladowanie sposobu pisania innych, wiele papieru marnuje się wtedy na czcze frazesy? Papier cierpliwy — wytrzyma!

St. Zdz.

Przed wschodem słońca. Powieść. *Henryk Zbierzchowski.* Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1903. (8-ka mała, str. 208).

Nieraz dziwić się przychodzi, jakim sposobem marnieją nawet prawdziwe talenty? Boć przecież sam talent nie wystarcza do stworzenia istotnie dobrego utworu. Jeśli wszystkie jego części składowe nie będą należycie zharmonizowane ze sobą, natenczas płód musi być poroniony, niezdarny. Jednym z najczęściej wydarzających się czynników, jakie przyprawiają talenta o rychłą stagnacyę, a nawet o całkowity upadek, jest tak zwana łatwość pisania. Komu łatwo z pod pióra płyną słowa, ten nie przyzwyczaja myśli do pracy intenzywniejszej, i skutkiem tego wypacza bez trudu pomysły, nawet dobre. Typowym przykładem tego, co powiedzieliśmy wyżej, może być omawiana powieść p. Zbierzchowskiego. Łatwość pisania przyprawiła autora o lenistwo myśli w kierunku kompozycyi utworu. Dość tylko wziąć pod uwagę wstępną

scenę utworu, nie połączoną z powieścią samą niczem a niczem, bądź też banalny koniec, w którym czereda pijanych młokosów modli się o hart, o siłę, o nowe życie, ażeby mogła być wytoczona dosadnio bezmyślność autora pod względem kompozycyi powieści. Skutkiem tego też charakterystyka osób występujących tutaj wypadła nad pojęcie mizernie, niemal nakształt figur drewnianych, bezdusznych manekinów. Wogóle, co się tyczy prawdy życiowej, to jej autor nie zdołał pochwycić ani w części, jakkolwiek powieść omawiana została osnuta na wypadkach z życia p. Zbierzchowskiego. A skoro już tak rzeczy się mają, to jesteśmy w prawie zupełnem wymagać zbliżenia się do rzeczywistości, o ile to tylko możliwe. Nie chcemy wcale przez to utrzymywać, ażeby fakta realne znalazły tu niemal portretowe odbicie. Chodzi nam tylko o to, iżby postacie wprowadzone żyły życiem prawdziwem, a nie były od czasu do czasu nadmuchiwane przez autora eliksirem życiowym. Pomijamy zupełnie kwestyę, poruszoną przez innego recenzenta tej powieści, czy godzi się portretować ludzi aż nazbyt znanych w ten sposób, że każdy może ich poznać bez trudu. Ale zato musimy być przeciwni zasadniczo tego rodzaju powieściom, jak omawiana, które nie dają niczego ponad kronikę życia pewnej jednostki, jeśli ta kronika nie ma żadnego głębszego podkładu, jeśli nie pozostawia po przeczytaniu niczego trwałego w sercu, jeśli nie pobudzi myśli do pracy nad pewnemi zagadnieniami. Brak jakiejkolwiek idei stanowi, naszem zdaniem, największy błąd tej powieści, która skutkiem tego nie może wywrzeć najmniejszego wrażenia, nie pozostawiając po sobie niczego, oprócz pustki.

St. Zdz.

Z gleby kujawskiej. *Stanisław Przybyszewski.* Warszawa. 1902. (4-ka, str. 71).

Omawiana książka mówi o poezyach Kasprowicza, którego Przybyszewski uważa za genialnego twórcę, za jednego z największych naszych współczesnych poetów, bo nikt tak dobrze nie potrafił — zdaniem autora — odczuć chłopów wielkopolskich i tak dobitnie oddać uczuć ludu. Główną struną lutni Kasprowicza jest cierpienie i ból. Zwłaszcza obszernie omawia Przybyszewski dwa utwory: „Na wzgórzu śmierci“ i „Święty Boże, Święty Mocny“... Rzecz ta cała nie jest niczem innem, jak tylko wypowiedzeniem wrażenia, jakie wywarły na autora poezye Kasprowicza. Wobec tego, z czysto indywidualnymi poglądami, które nie są poparte żadnym argumentem, niepodobna polemizować. Charakterystyczne, że dwa utwory, w których Kasprowicz zeszedł, pod względem religijnym, na manowce, przypadają najbardziej autorowi do przekonania. Styl, jak zawsze, napuszysty.

wi.

Poezye. *Gustaw Daniłowski.* 1. Warszawa. 1902.

Wielkiego natchnienia i wielkiej siły uczucia oraz twórczości w tych poezyach nieznać. Widać — jak zwykle u plejady młodych poetów — melancholię i smutek, a na jedną niemal nutę tego smutku wszystkie prawie utwory są nastrojone. Autor szuka szczęścia na polu ballady i obrazków epicznych, ale go tam snadź nie znajdzie. Jego „Pan Ja-

centy“ bardzo blado zarysowany, „Ballada studencka“ właściwie pozbawiona nastroju, jaki na czytelniku ma wywierać, a „Wesele“ jest wprost niesmaczne i niemiłe.

Jednakże mają poezye p. Daniłowskiego niektóre bardzo cenne zalety. Przedewszystkiem jest tam kilka wierszyków głębokiej i prawdziwej treści; do takich należy „Piosnka“, prawdziwie wzorowe sonety „Rybak“ i „Dzwon“, „Modlitwa“. Dalej uczuciem prawdziwem i smętnem odznacza się “Gdy wszędzie smutno“, a na końcu są umieszczone dwa prawdziwie świetne przekłady Horacego *Ad rem publicam* i *Exegi monumentum*.

M. K.

Poezye. *Józef Wiśniowski.*

Autor obdarzył nas zbiorem swych utworów poetycznych, powstałych między r. 1896 a r. 1901. Podzielił je na pewne grupy, w których opiewa własne smutki i zachwyty, miłość, przyrodę, dotyka mitologii greckiej i przeszłości narodowej.

Ogólna ocena wypada dla autora niezbyt przychylnie: poeta jest, jakich wielu. Grzeszy rozwlekłością, wiersze jego przeważnie ciężkie, wypracowane, myśli i język podobne do tych jesiennych szarych dni, o które chętnie potrąca. Najlepiej jeszcze wypadły wierszyki o treści wesołej, — te cechuje względna lekkość i swoboda. *M. B.*

Biblioteka utworów dramatycznych: Tom I. **Laboremus.** Dramat w trzech aktach. *Björnstjerne Björnson.* Przełożył *Dr. A. Wysocki.* Lwów. 1902. Tom II. **Nadzieja.** Dramat rybacki w czterech obrazach. *Heijermanns Herman jr.* Przełożył *J. Kasprowicz.* Lwów. 1902.

Księgarnia H. Altenberga we Lwowie, chcąc ułatwić szerszej publiczności zapoznanie się z wybitniejszymi kierunkami na polu poezyi dramatycznej, podjęła wydawnictwo celniejszych utworów dramatycznych. Rozpoczęła je dramatami, holenderskim p. t. „Nadzieja“, i norwegskim p. t. *Laboremus,* znanymi z recenzyi, umieszczanych swego czasu w różnych czasopismach. Wybór tłumaczów był dobry, takim też można nazwać rezultat ich pracy.

M. B.

Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Tom III. Wydał *Dyonizy Zaleski.* Lwów. 1902. (8-ka, kt. nl. 2, str. 250 i VII).

Do dwu poprzednio wydanych tomów przybywa obecnie trzeci, bynajmniej nie zamykający całego wydawnictwa. Zawiera on listy z lat jedenastu, od r. 1856 włącznie, t. j. z lat, w których twórczość „słowika ukraińskiego“ była już na schyłku. To też można z nich skonstatować te same rysy fizyognomii duchowej Zaleskiego, jakie widzieliśmy dawniej — dobroć, religijność żarliwą i poczucie obowiązków różnorakich. Wszystkie one trwają nieprzerwanie i w tym czasie, kiedy poeta zostawiał pole twórczości odłogiem. Natchnienie wyczerpało się już prawie do dna, a powtóre „nawał zatrudnień drobnych i obowiązków zabierał mu całe dnie, a wieczór przy świecy nie dowidział“. Poeta obiecywał sobie poprawę, powrót do pracy twórczej, ale zamiar pozostawał tylko marzeniem niespełnionem, wobec wielu „zatrudnień żmudnych, znojnych“. „Kiedy niekiedy miewał parę godzin wolnych“ do pisania, ale „w miarę jak odźwierciedlał w duszy przeszłość narodową i własną, praca ta zasępiała ducha i drażniła boleśnie uczucie, wywoływała bowiem gromady upio-

rów... różne miłe postacie niedawno pożegnanych rówieników". Brzmiąca sława i poklask ludzi obmierzły poecie oddawna, to też cały zatapiał się w pobożnych rozmyślaniach: „Chrystus Pan — pisał w jednym z listów — raz po raz upomina o skupienie się w duchu, upomina się o lichą dań z winnicy mojej, niestety, źle uprawnej, i bodaj na zawsze niedojrzałej. Przez kilka chwil, co mi jeszcze zostają, radbym się obmyć w łzach pokutnych, radbym na służbę Panu podchować drobną dziatwę moją, abym tem weselej wyglądał skinienia z góry. Młode pokolenia niezrozumiałą gwarzą mi pieśń, bo słuch mój kędyś indziej, na przeciwnym brzegu wód, skąd wywołują rówiennicy co odpłynęli". Tak mijały Bohdanowi dnie, tygodnie, miesiące całe w rozmyślaniach pobożnych wśród ukochanej dziatwy, przy boku żony i starego Józefa Zaleskiego. Gęśl cichła coraz to bardziej.

Dla biografa-poety listy te nie przynoszą wiele materyału. Bo z nich można ujrzeć tylko te same rysy, jakie dawniej były aż nadto wyraźnie widoczne. Jedna chyba tylko religijność umocniła się, jak nigdy przedtem. Poza tem nie zawierają one z natury rzeczy samej tak ciekawych faktów, jakie widzieliśmy w dwu poprzednich tomach. Ale zato są one nieprzebraną kopalnią wiadomości dla historyi emigracyi polskiej we Francyi, jak może niczyja inna korespondencya, są daty bardzo obfite w szczegóły o pisarzach, młodszych wiekiem od Bohdana, o Kraszewskim, Kalince, Lenartowiczu, Szajnosze, Klaczce i wielu innych. Jako źródło będą one zawsze cenne dla historyka czasów porozbiorowych, a niemniej też dla historyka literatury naszej, będą one wreszcie wielką pomocą i podstawą dla tego, ktoby chciał śledzić rozwój ducha religijnego u nas. Bo Zaleski był niezaprzeczenie jednym z najgłówniejszych filarów katolicyzmu, jednym z najgorliwszych działaczy na polu odrodzenia duchowego i moralnego w Polsce.

To też wydanie korespondencyi Bohdanowej, z pietyzmem uskutecznione przez syna poety, powinno być przez każdego powitane z niekłamanym zapałem i wdzięcznością za trud moralny, jakiego ono wymagało. To też dziwnie przykre wrażenie sprawić musi napis na karcie tytułowej, objaśniający, iż książkę tę wydano nakładem własnym. Smutne to bardzo, że nikt z księgarzy nie pokwapił się z wydaniem tej przędzy myśli jednego z największych poetów doby romantycznej, zwłaszcza, że mogą te listy stanowić pożyteczną lekturę dla każdego. Fakt ten jest bardzo przykrym obrazkiem stosunków wydawniczych u nas, a także gustu publiczności czytającej, która widocznie woli lada lichotę powieściową więcej, od myśli prawdziwego poety.

St. Zdz.

Dzieciom na pamiątkę: **Wiązanka z dziejów Polski.** Spuścizna po ś. p. *Stanisławie Jachowiczu.* Ozdobiona portretami królów z rysunków Aleks. Lessera. Kraków. (16-ka, str. V, 156).

Jak nie zapomni Polska Stanisława Jachowicza, tak długotrwałą zasługę zebrali wobec dzieci polskich pani Seweryna Duchińska i pan Kazimierz Gliński, iż wydali miluchną książkę, w którą niemało trudu włożyli, aby niedokończonemu zbiorkowi wierszy Jachowicza nadać postać całości wykończonej. Chyba złośliwy

recenzent podnosiłby drobiazgi, jak np. bardzo naiwne rymy:

Po Krakusie była Wanda —
Dotąd w sercach żyje
O niej sława jak gierlanda
Piosenką się wije...

albo pisownię dziwną w książce wytłoczonej w Krakowie.

Do zalet tej książki, i to do zalet rzadkich w podobnych wydawnictwach, powinniśmy policzyć portreciki królów polskich, tak starannie wykonane, jak rzadko można spotkać. W książkach dla dzieci i dla ludu wydawanych zwykle spotykamy brzydkie karykatury zamiast portretów: w książeczce niniejszej uderza delikatna robota, która każnemu królowi daje twarz nietylko ludzką, ale nawet pełną wyrazu.

Ks. C.

Jezuity w zawedeniju Uniji na Rusy w doberestejskij dobi. *Ołeksander Suszko.* (Widbytka z „Almanacha rusko-ukraiińskych bohosłowiw"). Lwiw. 1902. (16-ka, str. 80).

Trafna uwaga prof. Brücknera: *Russica sunt — non leguntur*, tak silnie w społeczeństwie naszem zakorzeniona, znalazła zastosowanie w całej pełni w odniesieniu do omawianej książeczki. Wyszła ona z druku przed pół rokiem blisko, a dotąd ani głos jeden nie odezwał się o niej w polskiej prasie. Czyż to nie wstyd, że zignorowano pracę ściśle naukową, tyczącą się dziejów Kościoła i politycznych Polski, pracę bardzo sumienną i gruntowną, pozbawioną choćby cienia niechęci narodowej, jaką często dyszą prace, nawet naukowe, ruskie ku nam?

Zaczyna autor swoją pracę trafnem spostrzeżeniem, że, jakkolwiek nawet w rosyjskiej literaturze historycznej dawno przestano uważać unię za polityczną sztuczkę Jezuitów i polskiego rządu, dążącego do zpolonizowania Rusi, to mimo wszystkiego nauka ruska dotąd nie otrząsnęła się z tego przestarzałego przesądu. Naszkicowawszy spory religijne, jakie wiek XVI przyniósł do Polski, autor uzasadnia szeroko przyczynę sprowadzenia Zakonu Jezuitów do Rzeczypospolitej, wykazuje dalej, że przyczyny, jakie sprowadziły unię, nie były zależne ani od Zakonu, ani od żadnej ludzkiej siły. Za Drem C. Studzińskim przyjmuje, że powody, jakie złożyły się na doprowadzenie unii do skutku, były następujące: 1) rozstrój w cerkwi prawosławnej i demoralizacya wyższego kleru, 2) rozwój protestantyzmu, który podkopywał prawosławie, 3) brak opieki ze strony greckich patryarchów. Do tych wszystkich powodów dodaje autor od siebie jeszcze 4) zależność biskupów od osób stanu świeckiego, 5) ciemnotę społeczeństwa i duchownych prawosławnych, i 6) kupczenie godnościami duchownemi. Zdaniem autora — Jezuici tylko przyśpieszyli i przygotowali akt unii. Najważniejszą jest działalność w tej mierze kollegiów: wileńskiego, jarosławskiego i lwowskiego. W Wilnie złotousty Skarga wytoczył wojnę nietylko protestantom, ale także Cerkwi prawosławnej, „starym greckim błędom, za którymi ruskie narody się udały". Drugim mężem, którego działalność w sprawie unii była bardzo owocną, był przełożony kollegium jarosławskiego, Benedykt Herbest, dawny wychowanek akademii krakowskiej. W dalszym ciągu rozbiera autor gruntownie pisma Herbesta, wykazując wszystkie ide, jakie w nich były zawarte, i kreśli działalność Zakonu OO. Jezuitów w walce z pra-

wosławiem na Litwie i Rusi, Podolu i Wołyniu.

Życzymy autorowi, ażeby nie opuszczał raz rozpoczętych badań, ażeby co raz to częściej zabierał głos w sprawie dziejów kościelnych Rusi, a znajdzie z pewnością i zadowolenie wewnętrzne, i prędzej czy później należyte ze strony nauki uznanie. Tem życzeniem kończymy krótkie nasze sprawozdanie z książeczki, którą czytaliśmy z prawdziwem zadowoleniem i pożytkiem. *wi.*

Łystki paduť („Listki opadają"). *Bohdan Łepkyj.* Lwiw. 1902. (8-ka, str. 125).

Kto zna autora zbiorków nowelek *Z seła, Z żytja* i *Szczasływa hodyna,* ten z jego oblicza i głosu pozna, że musi to być poeta, marzyciel, prawdziwy liryk-Słowianin. Nie inaczej też jego poezyę określił Iwan Franko w *Slovanskym Přehled'zie* (1901). Pan Łepkyj wydał już w roku ubiegłym pierwsze rymowane swe utwory p. n. *Striczky* (Rządki, wiersze). Zjednał sobie nimi przychylność czytelników małoruskich i uznanie krytyki. Poetka czeska nawet, p. R. Jeremska przełożyła kilka jego pieśni z obu zbiorków do *Słow. Przeglądu* (1902, VII).

Zbiorek tegoroczny *Łystki paduť,* podobnie jak i poprzedni, ma parę bardzo pięknych pieśni, zwłaszcza te, które na nutę ludową są nastrojone i pierwiastkiem ludowym zabarwione. Dla przykładu zwrotka: „Oj posłuchaj mij miłeńkij, — Szczo ja tobi skażu: — Ta choť meni ruky zwjażut — To serća ne zwjażut!"

Co jednak najbardziej za serce nas chwyta, to piękne i godne oryginału przekłady z poezyi polskiej. Szkoda, że nie więcej, ale to pono dobrego zawsze mało. *J. Fr. M.*

Odsevi („Odblaski") I. *Zoĭka Kvedrova.* Gorycya. 1902. (Str. 238).

Piśmiennictwo słoweńskie ma stosunkowo bardzo wiele autorek. Wcześniej też niż kobiety polskie miały już Słowenki swe czasopismo *Slovenka.* Tego wydawnictwa współpracowniczką do obecnego roku była i młoda autorka, Zofka Kvedrova. Pisze ona do wielu czasopism słoweńskich, czeskich, niemieckich i chorwackich. Jej dzieła większe są: *Misterij žene, Ljubezen* (miłość) i najnowsze *Odsevi.*

Najświeższy ten tomik to pierwszy zbiorek rozrzuconych przez lata ostatnie szkiców i obrazków. Zebrał je wydawca „Salonowej książnicy", przedmową opatrzyła je autorka, głosząc, że zbiorek ten jest „niejako dokumentem jej duchowego rozwoju". Swoje *credo* wypowiada też obszerniej w ustępie „Talent". Wrażenie z przeczytania 20 tych szkiców jest smutne, czytelnika opanowuje myśl, że życie jest bardzo tragiczne. Bo też autorka patrzy tam tylko, gdzie ból, tam tylko, gdzie cierpienie, zbyt czarno i pesymistycznie. Pełny np. odczucia i poezyi jest *Vaški roman* (wiejska powieść), ale przecie zbyt tragiczny. Mąż niecierpiący swej żony, innej szukający, schorzałą niewiastę siekierą zabijający — możliwe, ale w poezyi zbyt pesymistycznej. Podobna niewierność jest tłem obrazka *Kako je prišlo.* Pełne natchnienia górnego, poetyckiego i bardzo piękne są: *Blade rože, Ljubi me* (kochaj mię) i *Slepec.* Autorka patrzy na młodego, ślepego grajka i oczyma swej duszy widzi świat, dla ciemnego skrzypka jedynie widzialny. Obraz pełen uczucia i naprawdę ładny.

Szczególną uwagę zwraca Z. Kvedrova na siebie źródłem swych tematów i stylem. Psychologicznie

bądą przedewszystkiem świat kobiecy, odczuwa jego dolę najlepiej, może nawet zanadto czasem, co też na nią ściągnęło zarzut „największej nieprzyjaciółki kobiet“ ze strony niektórych krytyków. *J. Fr. M.*

Compte rendu du Congrès Marial tenu a Lyon les 5, 6, 7 et 8 Septembre 1900. Lyon. (Tom I, p. 662, t. II, p. 750. W tekście 11 ozdobnych illustracyi).

Sprawozdanie to, bogate wydaniem i treścią, poucza nas o czci, jaką Francya otaczała i otacza Najśw. Dziewicę. Możnaby rzec, że zazbyt skromną wobec interesującej lektury jest nazwa powyższa, bo już od opisów dyecezyalnych (str. 180) odbywamy duchem miłą pielgrzymkę po miejscach łaskami Maryi słynących, i każde takie miejsce, roztacza przed nami swoje skarby.

Dalej — od str. 515 — kraje obce, chwalą się też swojem bogactwem. Szuka się naszej Polski i znajduje pracowicie zebrane przez p. M. Bartynowskiego wszystko, co w krótkiem streszczeniu opowiedzieć można na 13 str. Już to nazwiska ludzi i miejsc lepiej podane w nawiasach pisownią francuską, np. *Odrovange*, niż polską „Odorwąż“, a w drugiem miejscu „Odxowąż“.

Oprócz tego jest jeszcze 10 podobnych pisowni, które widocznie dla cudzoziemskich zecerów były zbyt twardym orzechem, i winą pilnego sprawozdawcy wcale nie są.

Błędnie jest dalej naznaczony rok śmierci O. Karola Antoniewicza, 1854 zam. 52, a wyliczając zakony żeńskie na ziemi polskiej, ku czci Królowej niebios, zapomniał szanowny referent o SS. Felicyankach, których zadaniem jest cześć Maryi. Założone zostały tak samo, jak SS. Serafitki, które szanowny referent wymienia pod nazwą: Matki Boskiej Bolesnej, przez tegoż samego O. Honorata r. 1854 w Warszawie. Oba te Zakony należą do III Zakonu św. Franciszka z Assyżu i mają jedną działalność. Felicyanki liczą do 400 osób, w przeszło 32 domach. Przytem w Ameryce prawie drugie tyle, między wychodźtwem polskiem. Mają też piękny, nasz czysto polski kult dla Matki B. Częstochowskiej, której obraz w swoich kościołach i kaplicach domowych czcią otaczają.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad bliżej nas obchodzącem sprawozdaniem z Polski, w którem autor treść dziejową, literacką i dewocyjną pomieścił.

W II tomie napotykamy zajmującą wiadomość o odkryciach w Panaghia-Capouli w Azyi Mniejszej, tyczących domku, w którym Matka Najśw. pod opieką św. Jana mieszkała. Jest to jeden z najbardziej zajmujących ustępów. Dalej — Zakony francuskie ku czci Maryi. Ciekawą jest rozprawka o koronacyach figur i obrazów. Zwraca też uwagę obfity dział poezyi — niektórym brak ciepła i natchnienia, inne zato wdziękiem i świeżością mile uderzają.

A. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

STRACONY DLA FRANCYI WPŁYW NA BORNEO.

Przy opisach bojów kościelnych można czasem odbiedz od widoku krajów blizkich i rzucić oko na zamorskie wyspy i ziemie. Choć tamtejsi ludzie nas mniej dotyczą, ale na dalekim widnokręgu oglądany Kościół przemawia do nas słowem bardzo potężnem. Słyszymy dowód, jak mało straciłby Kościół, choćby nietylko we Francyi miał zwijać swoje chorągwie zakonne. Mógłby wycofać zastępy z całej Europy, a miałby jeszcze gdzie posłać je na pracę, bo walczy i zwycięża wszędzie, gdzie mieszka ród ludzki.

Jak na Cejlonie, tak na innych wyspach morza Indyjskiego wyświadczył pan Combes znakomitą usługę swojej ojczyźnie: wydarł jej wpływ i osłabił w katolikach wiarę w jej szlachetne zamiary. Czerwone i czarne szczepy, osiadłe na Borneo i dalej na południe aż po Nową Zelandyę, stawiają coraz liczniejsze Kościoły i potrzebują duchowieństwa do ich usługi. Ubezwładniona postawa Francyi na Wschodzie zwróciła tych wyspiarzy do katolików angielskich z prośbą o opiekę. Anglia wzięła ich sprawę do serca: założyła dla nich Towarzystwo św. Józefa, które na morze Indyjskie wysyła księży i skrzętnie zaopatruje tamtejsze kościoły we wszystkie potrzeby. Opiekunem tego dzieła został

kardynał Vaughan, który posłał księdza Henry, rektora jednego z zakładów wychowawczych wymienionego Towarzystwa, z listem do arcybiskupów i biskupów w Stanach Zjednoczonych, aby ich uprosić o udział w składkach, zbieranych dla Borneo z południowemi wyspami. Europejscy i amerykańscy Anglicy mają między siebie podzielić ciężary na owe Kościoły zamorskie: Anglia ma im wychować i posyłać księży, Ameryka ma ich na miejscu utrzymać.

KATOLIK KRÓLEM NA WYSPACH SAMOA.

Archipelag Żeglarzy, zwany także wyspami Samoa okazał w ostatnich czasach światu, że Kościół Powszechny uchodzi do dziś jeszcze w oczach wielu Anglikanów za wroga najstraszniejszego: mniej ich przeraża strata samodzielnego bytu, niż berło w ręku katolickiem. Mieszkańcy tych wysp dochodzą do liczby trzydziestu czterech tysięcy: część ich przyjęła gościnnie misyonarzy Marystów, pozwoliła im swobodnie rozwinąć pracę pod przewodnictwem biskupa Broger, i szła po niejakim czasie setkami prosić o chrzest. Rozwój Kościoła w tym kraju o żyznej ziemi i bogatem jej wnętrzu pobudził do współzawodnictwa anglikanów z londyńskiego Kollegium Towarzystwa Misyonarzy. Lżejsze obowiązki ich martwej wiary, niż jarzmo żywota katolickiego przerwały wzrost Kościoła, który stanął na sześciu tysiącach wyznawców, a pozostała część mieszkańców przyjęła chrzest od Anglikanów. Ci, niezadowoleni swoją zdobyczą, usiłowali ująć całą wyspę w ręce, kiedy ich zaskoczyła śmierć króla Malietoy Laupepy przed trzema latami. Mieszkańcy przystąpili do nowych wyborów, przy których Anglikanie nie mogli wywierać nacisku na wolę narodu, bo już przed trzynastu latami Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone zawarły ugodę, żeby Samoa bez przeszkód z niczyjej strony obierała sobie króla, a tylko w sądowych sprawach mógł zabierać głos przedstawiciel trzech mocarstw opiekuńczych. Zatem mieszkańcy obrali królem jednego ze zdatnych i walecznych wodzów, katolika Mataafę, męża niezłomnych zasad i jedynego, za którym wszystkie plemiona mogły iść zgodnie.

NIEMCY STAJĄ PO STRONIE KATOLIKA.

Opiekuńcze państwa miały słuszne powody, żeby przychylnie powitać Mataafę królem na Samoa. Jemuto zawdzięczały mocarstwa europejskie znakomitą pomoc dla swojej eskadry związkowej, kiedy ją u brzegów wyspy pod Apia zaskoczył straszny huragan w r. 1889-m. Mataafa wówczas na czele kilkuset rodaków naraził życie na największe niebezpieczeństwo, aby ocalić rozbitków, a następnie najtroskliwszą opieką otaczał ich, aż nadeszła pomoc z Europy. Ale jeden tylko niemiecki rząd pamiętał o tej przysłudze. Stany Zjednoczone utrzymywały na wyspie, jako przedstawiciela, zagorzałego anglikanina; ten nie mógł ścierpieć na królewskiej stolicy katolika, który otwarcie chodził na Mszę, nawet w dnie powszednie. Angielski rząd znał przez swojego sprawozdawcę na Samoa pana Lloyd Osbourne, szczegóły chlubne, które nowemu królowi zjednały wielu zwolenników w Anglii; pomimo tego rząd londyński uległ naporowi anglikanów i przystał na czyn zupełnie samowolny przedstawiciela Ameryki: ten wróg Kościoła przyznał prawa do korony siedmnastoletniemu samozwańcy, Malietoi Tanu, teologowi anglikańskiemu. Samozwaniec na czele oddziałów angielskich i amerykańskich ruszył przeciw królowi i jego wojskom, wzmocnionym oddziałem niemieckim. Pobity przez nich na głowę znalazł na angielskim okręcie przytułek.

OJCZYZNA STRACONA Z ODRAZY DO PAPISTY.

Mataafa utrzymał pole bitwy ale wkrótce poznał, do czego zdoła dojść wstręt do papisty w sercu anglikańskiem. Angielskie oddziały wraz z amerykańskiemi wypowiedziały teraz zupełną wojnę królowi Mataafie; z okrętów zaczęły bombardować Apię i na wybrzeże wysadziły oddział, aby wziąć miasto we dwa ognie. Król odparł ten pierwszy napad zwycięsko, ale oczywiście nie długo mógł sprostać napastnikom w oblężonem mieście. Wojna domowa zapłonęła na całej wyspie: w końcu głosy dzienników angielskich z *The Manchester Guardian* na czele, skłoniły rząd londyński do ustępstwa przed Niemcami. Ale anglikanizm nie dał za wygranę: byle królem katolika nie mieć, wezwał Stany Zjednoczone, aby zajęły wyspę dla siebie. Nastąpiły smutne układy, zakończone podzia-

łem wyspy między Zjednoczonemi Stanami i cesarstwem niemieckiem. Przy ostatecznej umowie oba te państwa wezwały króla szwedzkiego na pośrednika pokoju. Jego sąd rozjemczy zadowolnił, jak świeżo dzienniki doniosły, oba mocarstwa zaborcze i zapieczętował upadek wolnego królestwa. Nie donosiły jednak dzienniki, co sądzą o tej odrazie do króla katolika silniejszej, niż miłość ojczyzny.

KOŚCIÓŁ A BOERZY.

Siódmy rok upływa, odkąd *Przegląd*[1] po raz pierwszy doniósł, że Kościół zdobył sobie stanowisko prawne między Boerami: *Volksraad* zniósł wtedy ustawę, która wykluczała katolików od posad rządowych. Od tego czasu Kościół bez misyonarzy w Transwaalu, tylko przez wzorowy żywot swoich członków zamieszkałych między Boerami, u nich zdobywał zwolenników i rósł liczbą nowonawróconych. Ciche te podboje wyszły na jaw niedawno. *Annalen van det Missiehuis* donoszą, że w Indyach wschodnich misyonarze w Murre przed rokiem zobaczyli zdziwieni kilku Boerów w kościele pod dozorem angielskich żołnierzy. Byli to jeńcy wojenni, trzymani o kilka kilometrów dalej w obozie pod Upper Topa. Uwiadomieni o siedzibie misyonarze uprosili sobie u władz, żeby jako katolicy mogli chodzić na Mszę i Nieszpory. Po jakimś czasie zaczął z nimi przychodzić młody kalwin Tomasz Addi Emmet, siostrzeniec jenerała Ludwika Bothy; walczył najprzód w oddziale swojego wuja, potem przeniesiony pod dowództwo jenerała De Weta wpadł w niewolę angielską i przebywał w Indyach, gdzie ujęty przykładem pobożnych katolików, towarzyszy broni i niewoli, szedł ich śladem do końca i poznał bliżej misyonarza, księdza Canoninghama. Niedługo potem prosił o naukę katechizmu i we wrześniu przeszedł na łono Kościoła.

NADZIEJE KOŚCIOŁA W TRANSVAALU.

Nastrój duszy boerskiej słynął dotychczas jako chorobliwy stan odrazy do Kościoła. Takim też duchem napawał kalwinizm Boerów przed latami. Ale czas

[1] Tom LI, str. 432.

leciał. Praca na polu potrzeb rzeczywistych, zwłaszcza praca spokojna na łonie przyrody, uzdrawia dusze chore; znieczuliła też i zobojętniła Boerów względem Kalwina i jego niedościgłych wywodów, jakoby Pan Bóg przeznaczał bez miłosierdzia tych na piekło, owych na niebo. Zamiast szukać dowodów dla tej nauki przeciw zarzutom Kościoła, Boer kopał i orał swoją rolę, bronił żniwa przed złym sąsiadem, trzody przed dzikim zwierzem, a wkońcu strzelał Anglików, kiedy ci wyciągnęli rękę po jego kopalnie złota. Uwierzył nakoniec, że pierwej wyczerpie proch i zużyje broń, nim Anglików wystrzela, a że z nimi w zgodzie będzie mógł żąć swoje łany, paść trzody i kopać złoto; dał za wygraną dalszej wojnie, tylko zażądał 3 miliony funtów szterlingów, aby odbudować gospodarstwo zniszczone. Dostał je i zawarł pokój, ale po namyśle zażądał jeszcze pięć milionów więcej, i te dostał; więc z dziewięćdziesięciu sześciu milionami reńskich w kieszeni stanął znowu na starem gospodarstwie do pracy spokojnej. Ale już nie tak ślepo, jak dawniej, wierzy w Reformacyę i jej ewanielię: w jej wyznawcach znalazł wrogów straszniejszych niż w Kościele, przed którym Hugonoci z Francyi uciekali aż pod przeciwny biegun świata. Zupełnie innem niż dawniej okiem spogląda obecnie na biskupa Saughran przy jego objeździe dyecezyi, do której należy tymczasem Prefektura transvaalska. W Johannesburgu jego kazania w kościele podczas nabożeństw gromadziły mnóstwo słuchaczy życzliwych z obozu kalwińskiego, a katolicy po jego odjeździe śmiało otworzyli już własny klub bez obawy, że rozdrażnią współobywateli innowierców. U wrót miasta Beaconsfield na dyamentowych polach gościnnie z wyrazem powitalnej czci czekali na biskupa nie już sami katolicy, ale wszyscy mieszkańcy. To samo spotkało biskupa w Kimberley, gdzie prócz powitalnego występu miasta przy wjeździe pasterza, także jedno po drugiem grono mieszkańców urządzało na jego cześć wieczory, zakończone gromadnym występem całego miasta w Town Hall z Mayorem na czele. Tu różni obywatele z naciskiem podnosili w mowach swoich, że bez różnicy wyznań czczą w biskupie Kościół, któremu miasto dziękuje za obywatelską pracę gorliwego i czynnego duchowień-

stwa, zwłaszcza za wielkie dzieła miłosierdzia, dokonane przez siostry Nazaretanki, i za wychowawcze trudy Braci szkół chrześcijańskich. Wprowadzeni do miasta ledwo przed pięciu latami, podnieśli już szkołę na stopień, na którym stoją najlepsze zakłady naukowe w południowej Afryce.

Biskup w jednym z listów swoich świadczy, że nigdzie już nie dostrzega przeciwkościelnych przesądów kalwińskich, i uważa ten dzielny, prawy naród boerski za jedno z najżyźniejszych pól do posiewu prawdy katolickiej.

ZAKONY ZATRZYMANE NA FILIPINACH.

Amerykańskie czasopisma z wielkim niepokojem śledziły pobyt arcybiskupa Chapelle w Rzymie. Obawę żywiły te czasopisma niepłonną: dostojnik ten mógł łatwo wykryć przed Europą właściwy stan Kościoła na Filipinach, przeciw któremu wolnimularze amerykańscy umyślili wykonać zamach, ale bez hałasu na starym świecie. Istotnie podsunęli rządowi w Washingtonie myśl, że potrzeba Filipiny zaopatrzyć hojnie w duchowieństwo protestanckie a wygnać z wysp zakonników. Pierwszą część zamiaru wykonali bez trudu, ale nie znaleźli równie łatwego posłuchu dla rady przeciw zakonom. Washington zapytał, czem zakonnicy groziliby bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, gdyby zostali w swoich siedzibach. Odpowiedź przedstawiała niezmierne majątki zakonne, których łatwo można użyć na zaciągi powstańców. Nie bardzo łatwowierny Washington polecił swoim urzędnikom rzecz zbadać i na ich świadectwach oparty, orzekł, że poczytuje owe majątki za *worthless* a nadto używane w najznaczniejszej części dla dobra obywateli. Zatem zamach przeciw zakonom nie doszedł na Filipinach do skutku.

POLE PRACY KATOLICKIEJ NA FILIPINACH.

Zatrzymane na Filipinach zakony odpowiadają tam wielkiej potrzebie Kościoła. Nim tam stanęli nogą Amerykanie i rozpatrzyli dokładnie nastrój umysłów, Kościół dostawał stamtąd wieści powierzchownie pisane przez ludzi mniej wrażliwych na stosunki, do których przywykli. Nowy żywioł wszedł teraz na Filipiny wraz z chorągwią gwiaździstą

i ze swojego stanowiska ocenia tamtejsze społeczeństwo jako bardzo nisko upadłe. Jeden z podróżników, zawodowo obeznany ze stanem rzeczy, Hugh Clifford spisał swoje uwagi, ogłoszone w *Tablecie,* w których podaje obraz żywy, ale prawie rozpaczliwy. Według tego opisu Filipińczyk przedstawia się dziś jako niezwykły wytwór. Jest to z krwi i kości dziecko Wschodu, na jakie tylko stać Wschód, ale naciągane do miary Zachodu przez trzy wieki poddaństwa narodowi już przekwitłemu. Pracy nie cierpiał nigdy, teraz żywi dla niej dumną pogardę Hiszpana. Zawsze lekkomyślny lubił połysk i przepych; teraz próżnię myśli zakorzenił w sobie jako nałóg niepokonalny; rozrzuci cały swój majątek na marnotrawne popisywania się ucztami i bezmyślnie zaciągnie długi, aby świetnieć wytworną postacią na jednodniowym występie. Zawsze nieprzezorny i hulaka, żył pod rządem, który jego wad użył za źródło dochodów i ściągał pół Azyi na Manilię do domu gry: kosterstwo przerosło już tam rozmiary namiętności, doprowadziło do stanu ciągłej gorączki. Nigdy nie wyrabiał w sobie sił, aby ująć żądze w karby i dziś zapomniał, że istnieje władza nad sobą. Spadł pod względem obyczajów na szczebel dziecka, które na nic nie zważa i o wszystkiem zapomina. Jak dziecko, zażądał Filipińczyk bytu niezależnego i porwał za broń przeciw Hiszpanii, a potem przeciw Ameryce; do czego użyłby samorządu? tego sam nie wie, ale tupie nogami i wrzeszczy, że mu już nie wolno swawolić.

KATOLICYZM FILIPIŃCZYKÓW.

Pod względem wyznaniowym Filipińczyk tworzy odrębny rodzaj katolicyzmu. Ledwo co wie, albo nie wie nic o nauce Kościoła, do którego należy z imienia, a nienawidzi innowierców i gardzi nimi. Czego Kościół wymaga od niego, to jego kłopot najmniejszy; póki nie leży na śmiertelnej pościeli, albo zabobonnie nie przeczuwa jakiegoś nieszczęścia, póty nie zbierze nigdy sił, aby spełnić obowiązek względem Kościoła. Wszystkich zasobów swoich używa, aby wybrnąć z kłopotów pieniężnych. Zwodzi wierzycieli, popełnia zbrodnie, wpada do więzienia albo z niego ucieka: wszystko to ze spokojem filozofa, który przed własnem sumieniem nie ma za co odpowiadać.

Żyje też jakby nie miał sumienia i pojęcia o dobrem albo złem. Jest to dziecko z dziecinnemi zachciankami, wyuzdanemi i podnieconemi do potęgi nieznanej. Nie postąpi uczciwie nigdy, chyba że w żaden sposób nie może inaczej.

Jedyna droga, aby dojść z nim do ładu, to chyba postępować z nim jak niańka z dzieckiem: przypisać dla niego podział czasu i rozkład obowiązków, trzymać nad nim rękę łagodną ale silną i nie pobłażliwą na wybryki, rozstrzygać samemu za niego i bez porady z nim o wszystkiem, co dla niego potrzebne.

Ks. K. Czaykowski.

Liga Gaelicka.

(Dokończenie).

Język naukowy, który przetrwał był w Irlandyi epokę blizko 300-letniego bezwzględnego prześladowania, który nie przestał być językiem całej ludności kraju, chociaż kraj ani szkół narodowych nie posiadał ani dzieł drukowanych — zaczął podupadać i wychodzić z powszechnego używania z chwilą, kiedy stopniowo łagodzone prawa wyjątkowe dały wstęp do krajowego parlamentu w Dublinie nieustraszonym obrońcom narodowych swobód. Zamożniejsze rodziny katolickie, zaślepione po części ambicyą polityczną a po części w fałszywem pojęciu swoich względem ojczyzny obowiązków, wysłały dzieci swoje po naukę języka angielskiego do szkół angielskich i, nie przestając na tem, rozpoczęły politykę ugodową z krajowym żywiołem protestanckim, którego wybitni reprezentanci, posiadając wszystką wyższość kulturalną, stanęli na czele narodowej partyi parlamentarnej. Polityczna sława Grattan'a, Swifta i Moleneux'a zaćmiła chwałę biednego i tylowiecznym uciskiem kulturalnie upośledzonego Gaela. Uwaga całego narodu ześrodkowała się na mężach, powstających genialnie i niedaremnie przeciwko samolubstwu i tyranii wroga. Przewódcy sprawy narodowej, posługując się obcą mową z krasomówstwem niezrównanem, dali do myślenia w kraju, iż sukces sprawy stał się od mowy tej nieodłącznym. A przecież tylko skończona znajomość angielszczyzny otwierała karyery polityczne i administracyjne, ubezpieczała spokojny dobrobyt, dopu-

szczała do zaszczytów i wysokich godności! Nie dziw może, iż kmieć irlandzki, głęboko zdemoralizowany prawodawstwem restrykcyjnem na każdym kroku, począł wreszcie uważać swój język za przestarzały i nieudolny wobec języka szkół i trybunałów, dworu wice-królewskiego i senatu — języka, wspartego olbrzymią literaturą drukowaną, mającego za sobą wszystkie środki materyalne potężnego mocarstwa! Przeciwko tak straszliwemu złudzeniu żaden się głos nie ozwał!

Obywatelstwo zarzuciło pierwsze ojczystą mowę. Dzieci wracały do kraju zangielszczone; młodzież rwała się do zawodów publicznych, a jeżeli obierała stan duchowny, to przechodziła do kollegiów i seminaryów angielskich. Stopniowo zmniejszała się liczba kapłanów, rozumiejących język macierzyński — stopniowo, ale z szybkością bezprzykładną, obca mowa doszła do Kościołów, wyrugowała z nich dawne hymny i pieśni. Cele, dążności, z nagła rozbudzone ambicye i gorączkowe nadzieje polityczne sprawiły, że nowy duch narodu zmazał — że się tak wyrażę — lub złudzie zmazać pozwolił wszystko, co narodowa kultura 19-tu wieków przekazywała potomności na dziejowych Irlandyi tablicach.

W latach 1800—1840 wszystkie istotnie reprezentacyjne prądy, działania i nadzieje, skupione na idei ugodowej, szły — nieświadomie, lecz tem skuteczniej — *pari passu* i ręka w rękę z prądami, działaniami i nadziejami lóż orańskich, owych pół otwartych i publicznych, a pół tajnych środowisk ultra-lojalizmu protestancko-irlandzkiego, jakie były powstały wkrótce po zwycięstwie[1] Wilhelma Orańskiego nad ostatnią armią Jakóba II. Loże, mające do tej pory swoją kwaterę generalną w mieście Belfast, rozsiane najgęściej w Ulsterze, miały w połowie zeszłego wieku swoich agentów w każdym prawie urzędniku państwowym i w każdym prawie duchownym wyznania anglikańskiego; z nietajoną nienawiścią katolicyzmu łączyły skrytą akcyę protestanckiego prozelityzmu, w środkach nie przebierającego, a zasłaniającego się pozorami filantropii i miłosierdzia. Z łona oraanizmu wychodziły do niedawna jeszcze — jak wychodzą w Poznańskiem z łona hakaty — inicyatywy do nadużyć prawa i do prawodawstwa wrogiego dlu polityczno-ekonomicznego rozwoju narodowego żywiołu. Ale, w wymienionem 40-stoleciu robota lóż, zręcznie maskowana tendencyami rzekomo ugodowemi, nie napotykała przeszkód ze strony politykujących przedstawicieli narodu. Lud złożył nieograniczone, nawet entuzyastyczne

[1] R. 1690, w bitwie nad rzeką Boyne.

zaufanie w taktyce parlamentarnej i w programie ekonomicznym swoich obrońców — lud począł wierzyć w konieczność zewnętrznej asymilacyi z żywiołem, którego wyższości kulturalnej i materyalnej potędze ulegać musiał.

Straszny r. 1847, wiekopomny śmiercią głodową setek tysięcy najbiedniejszego ludu, przyczynił się bardzo znacznie do upadku i zaniku języka, który już był stał się językiem „maluczkich“ i zamierał szybko w okolicach, do onej pory wybitnie celtyckich. Czego zaś głód nie dokonał i coraz rozleglejszy ruch emigracyjny do Ameryki i Australii, tego dokonał osławiony system oświaty D-ra Whately, anglikańskiego „arcybiskupa“ dublińskiego. Czytamy w cytowanem już dziełku Franciszka Fahy: „Byłoby zapewne rzeczą niemożliwą znaleźć w świecie kraj z systemem oświaty niedorzeczniejszym od owego, jaki pod nazwą „systemu narodowego“ zapoczątkowano w Irlandyi jeszcze w r. 1831. Jednym z jego celów było protestantyzowanie szerokich mas ludowych; kiedy atoli musiano nieco później cel ten zarzucić, wzięto się tem skwapliwiej do urzeczywistnienia drugiego — a tym było i jest angielszczenie młodego pokolenia. Inspektorowie szkół byli i w większej liczbie są kreaturami rządowemi, mianowanemi w widokach politycznych. Panowie ci odznaczają się przedewszystkiem ślepą służbistością wobec opinii protestancko-orańskiej, a następnie brakiem praktycznych wiadomości pedagogicznych i najgrubszą nieznajomością ludu i jego przeszłości. Niema narodu, godnego zaliczać się do wielkich narodów ucywilizowanych, któryby zniósł u siebie podoby system choć przez jeden dzień. Opiera się on w rzeczywistości na zasadzie: Irlandya nie posiada dziejów, Irlandczyk niema ojczyzny... Dziwić się należy, dlaczego ten system nie spotkał się z narodowym oporem fizycznym — takim np., jaki położył koniec w Irlandyi Kościołowi państwowemu, dziesięcinom kościelnym i tyranii eksmitujących landlordów, bo od wszystkich ucisków tych jest on dla irlandzkiej narodowości nieskończenie niebezpieczniejszym“.

Najznakomitszy z żyjących dziejopisarzy anglo-irlandzkich, Justyn Mac-Carthy, pisze[1]: „Droga do nauki pozostała zamknięta dla dzieci, mówiących językiem ojczystym. W onych latach (1830—40) około 70% dzieci słyszało w domu rodzicielskim tylko starą mowę krajową. Wstępując do szkół, były zmuszone zabrać się do pracy najniedorzeczniejszej — do uczenia się języka nieznanego, za pomocą tegoż zupełnie

[1] *Outlines of Irish History*, ch. IX.

sobie obcego języka! A nie tylko musiało dziecko mówić po angielsku w szkole: za każde odezwanie się po gaelicku poza szkołą nakładano surowe kary...“ Mówił mi p. Gibson, że są w Irlandyi ludzie pamiętający dobrze, iż w latach chłopięcych nosili kijek, uwiązany do szyi, na którym znaczono wcięciem każde przemówienie po gaelicku pozaszkolne. Codzień nauczyciele odbywali oględziny tych kijów... Lecz serce się kraje na myśl, że regestrowaniem „przestępstw“ zajmowali się najgorliwiej — sami rodzice“.

Tu też zmuszony jestem zaznaczyć, iż gdy pisarze i mowcy narodowi w Irlandyi składają winę na upadek krajowego języka i zangielszczone obyczaje ludu na kolejne rządy i akcyę lóż orańskich, czynią to z jasnych do zrozumienia powodów, ale, mojem zdaniem, bardzo niemądrze. Źle jest, jeżeli masom narodu nie wskazuje się na ich własne winy i odpowiedzialność — źle, gdy się wpaja przekonanie, jakoby ojczysta mowa i narodowa siła duchowa były żywiołami, zależnymi od łaski lub niełaski zewnętrznych potęg i okoliczności. Sami historycy irlandcy uznają i narodowi swojemu za najszczytniejszą poczytują chlubę, że religii swej, języka i obyczajów nie zapomniał przez 300 lat najsroższego i najotwartszego prześladowania. Jeżeli przeto jest faktem, że w ostatnich latach XVIII i w pierwszych XIX wieku Irlandczyk swojego języka nieznający należał do rzadkości; jeżeli również niezaprzeczonym jest fakt[1], że w r. 1891 na blizko pięć milionów ludności zaledwie 38.000 osób mówiło jeszcze jakąś szczątkową gwarą gaelicką — to z drugiej strony najzagorzalsi patryoci irlandcy nie mogą twierdzić — a gdyby chcieli twierdzić, nie zdołają przekonać — iżby prześladowanie języka miało być ogólniejsze i cięższe w latach 1800—1840, aniżeli było w ciągu „dziejowej nocy“. Nawet w osławionym systemie Whately'ego nie było nigdy czynnika p r z y m u s u. Rodzice nie potrzebowali posyłać dzieci do owych szkół, zwanych podstępnie „narodowemi“: przymusowa oświata nie istniała nigdzie pod berłem brytańskiem przed r. 1872. Rodzice nie potrzebowali z pewnością przechodzić w służbistości i okrucieństwie orańskich nauczycieli, jak przechodzili, odsyłając własne dzieci po chłostę z naciętymi kijkami! Raz na zawsze, dość wiedzieć, iż do bezprzykładnego w dziejach zaniku mowy ojczystej i porzucenia najpiękniejszych, potencyonalnie najlepszych obyczajów narodowych doprowadziły w Irlandyi trzy walne przyczyny: narodowa apostazya rodzin przewodnich, bezprogra-

[1] Fahy, loc. cit. str. 16.

mowa i jedynie na materyalnych widokach oparta polityka „ugodowa“ i głodowy rok 47-my z wynikłą natychmiast tłumną emigracyą tego właśnie jądra narodu, któremu stara „pieśń gminna“ stała „na straży narodowego pamiątek Kościoła“:

Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy.

Na zakończenie tego ustępu przytoczę słowa, tu w Londynie świeżo mi przytoczone przez p. Alfonsa Parczewskiego. Wracając do kraju z Irlandyi, gdzie brał udział w kongresie panceltyckim, opowiedział mi, jakie wrażenie sprawił w Dublinie najpobieżniejszy opis położenia naszego w Prusiech, opis zwłaszcza stosunków szkolnych. Irlandczyk pewien powiedział wkońcu naszemu rodakowi te słowa: „My już jesteśmy prawie nieuleczalnie przyzwyczajeni do uważania się za najwięcej uciskany naród na świecie. Tymczasem, wam Polakom, jest widocznie milion razy gorzej... Najgorszy nasz piątek byłby dla was najweselszą niedzielą!“ — Któż o tem może wątpić?

W r. 1877 dwaj Irlandczycy, ks. P. Nolan i Dawid Comyn, założyli wspomnianą na wstępie *Society for the Preservation of the Irish Language.* Towarzystwo, wydawszy trzy podręczniki gramatyczne, popadło w letarg. Co najczynniejsi członkowie wystąpili, w r. 1882 założyli t. zw. „Unię gaelicką“ i poczęli wydawać peryodyczne pismo *(Gaelic Journal).* Pismu powodziło się jak najgorzej; w ciągu pierwszego roku wyszło tylko pięć numerów, a przez następnych lat siedm istniało, dzięki jedynie bezustannej ofiarności — protestanckiego pastora, Maxwell'a Close. W r. 1890 głośny i wielce zasłużony ksiądz O'Growney, autor najlepszej dziś gramatyki gaelickiej dla samouków, objął redakcyę, wprowadził do pisma dużo zmian i ludowych wabików — i prawie od razu zyskał pismu cały tysiąc prenumeratorów. W trzy lata później z inicyatywy ks. redaktora, przy współudziale uczonych i najwytrwalszych pracowników powstała w Dublinie Liga Gaelicka, mająca na celu: „zachowanie języka narodowego, rozszerzenie jego znajomości, jako żyjącego języka współczesnej Irlandyi, wydawnictwo pomników gaelickiej literatury i zabiegi około rozwoju piśmiennictwa gaelickiego współczesnego“. W nielicznem gronie założycieli Ligi — do których należeli tacy uczeni celtologowie, jak Dr. Douglas Hyde, John Hyde, John Mc. Heill, O'Neill Russell, R. Gordon i M. Cusack — postanowiono odbiedz od poprzedniej metody, zbyt wyłącznie edukacyjnej. Powzięto szczęśliwą myśl działania wśród ludu bezpośrednio, na miejscu.

po miasteczkach, wioskach i osadach — głównie zapomocą prastarych, na nowo wskrzeszonych zabaw *(Feiseanna)* z muzyką i tańcami dawnej przeszłości, także cotygodniowych zebrań po domach dla słuchania starożytnych, a przepięknych zawsze gaelickich pieśni epicznych, podań i historycznych opowieści. Wskrzeszono też z nazbyt długiego zapomnienia narodowe turnieje i gry atletyczne *(Scoruidheacht)*, starodawne obchody narodowe *(Coisde Gnóthe)* i rocznice wielkich wypadków dziejowych z epoki najświetniejszej. Światłym kierownikom ruchu leży na sercu przedewszystkiem przywrócenie wśród ludu tej świadomości jego życia narodowego, jaką był prawie doszczętnie zatracił lub nazbyt wyłącznie zespolił z ideą walki — i to walki, najczęściej początkowanej z hasłami społecznego przewrotu — o czcze zdobycze materyalne. Centralną ideą ruchu gaelickiego jest zasada doczesnej wszechmocy duszy indywidualnej i duszy narodu — jest silna wiara w Bożą myśl celową nad każdym narodem, w posłannictwo narodów poszczególnych i w złożone w każdym narodzie skarby odrębne, ewangeliczne talenty, z którymi i z nimi jedynie pracować trzeba, których zaniedbanie i zagrzebanie jest narodowem samobójstwem. Ta idea i ta wiara jest duszą narodowej poezyi irlandzkiej. Naród pieśni swoje rozumiał należycie w ciągu „czarnej nocy“ trzechsetletniego ucisku — i jak stał niewzruszenie przy wierze przodków, tak niewzruszenie trwał też w wierze w odśrodkową potęgę właściwego sobie ducha czy geniusza. Potęgę tę utwierdzał w sobie i rozwijał bohaterską wiernością swoim obyczajom, tradycyom, swojemu językowi. Kiedy za przykładem swojej arystokracyi zwątpił o przyszłości; gdy za przykładem swojej „intelligencyi“ zaczął wstydzić się swego języka i upatrywać możliwość materyalnego dobrobytu i cywilizacyjnego postępu w przyjęciu obcej mowy i kultury — wtedy też do upadku wszechstronnego biedz począł z bezprzykładnym pośpiechem. Prawdziwą wiarę przodków zastąpiła w wielkiej mierze — zabobonność; niema ludu w Europie, któryby tak jak irlandzki był zgangrenowany... nabożną gnuśnością. Irlandczyk przyjmuje z charakterystyczną wiarą i skwapliwością część pierwszą rady św. Ignacego: „Proś Boga tak, jak gdyby wszystko zależało od twojej modlitwy“ — a zatyka uszy na drugą część: „a pracuj tak, jak gdyby wszystko od twej zależało pracy“.

Pod tym ostatnim względem dużoby można powiedzieć...

Że naród irlandzki nie doszedł do krańcowego i nieodwołalnego rozkładu, że znalazł w sobie siłę do oparcia się wszystkim dotychczasowym zakusom na swoją samoistność, zewnętrznym i tysiąckroć gor-

szym od nich tym, które powstały z jego własnego łona — przypisać należy wielkiej czystości jego obyczajów. Jest ona jego puklerzem i jest jego najwybitniejszem znamieniem, źródłem jego niezrównanej pogody umysłu, niezamąconego nigdy optymizmu — jak też jest jego zbroją ochronną od prądów materyalistycznego i antispołecznego przewrotu, prądów, z których się wylęga *corruptio pessima* społeczeństw... katolickich z imienia. A już nie mówię tu o czystości obyczajowej tej, która miasta irlandzkie tak chwalebnie odróżnia od innych — ani o tej, która szczęściem i spokojem uświęca pojedyncze rodziny w Irlandyi: jest nadto w pojedynczych jednostkach przedziwna pod tym względem dbałość, delikatność tak już prawie instynktowa, rasowa, że po nichto daleko łatwiej i trafniej, aniżeli po akcencie, rozpoznaje się Irlandczyka w towarzystwie angielskiem i szkockiem.

Być może, iż narodowi takiemu potrzeba było ogniowej próby w zetknięciu się i już prawie w asymilacyi z narodem tak odeń skrajnie odmiennym, jakim jest angielski. Być może, iż Irlandya celtycka próbą tą opłacić miała wielki swój i ponienąd jedyny w Europie przywilej: swoje wyjęcie z pod kulturalnego zalewu rzymskich orłów. Nigdy noga rzymskiego legionisty nie postała w Erynie. A być też może, iż po wiekach ciemięstwa, naród nie byłby już zdolny stanąć świadomie na wyżynach swojego własnego ducha i że potrzeba było światła obcej kultury na wyprowadzenie go *ex umbra mortis*. Co dziś już żadnej nie ulega wątpliwości, to, że działalność Ligi Gaelickiej postawiła najskuteczniejszą tamę przeciw niebezpieczeństwu wynarodowienia się Irlandyi, że zapoczątkowała organiczne odrodzenie.

Jeszcze nie upłynęło dziesięć lat od powstania Ligi, a już jest rozgałęziona po całym kraju, niema dziś ani jednej wioszczyny w Irlandyi, niema w Anglii i Szkocyi ani jednej kolonii irlandzkiej bez czynnego Kółka *Konnraudh na Gauedhilge*. Bez porównania więcej jest uczących się starego języka, aniżeli nim mówiących: uczą się wiejscy wyrobnicy i wyrobnice, uczą się dublińscy profesorowie, lekarze, prawnicy — uczą się przedewszystkiem kobiety po całym kraju i poza nim. W Londynie jest kilka zbiorowisk Ligi, a przy każdem są regularne kursy nauki, cotygodniowe odczyty, comiesięczne *feiseanna*. Tak samo we wszystkich miastach Anglii, Walii i Szkocyi z jako tako wystarczającą ludnością irlandzką. Rząd ruch ten popiera w zakresie najwłaściwszym, w krajowem szkolnictwie: język gaelicki należy od początku bieżącego roku do przedmiotów obowiązujących w szkołach ludowych, do dowolnych w średnich i wyższych. Ulice otrzymują nazwy gaeliokie...

Sic tempora mutantur od czasów Whately'ego... i tak to najgorszy piątek irlandzki byłby dla nas pod pruskiem berłem i carskiem — najweselszą niedzielą!

Dodam na zakończenie, że ruch gaelicki, choć tak młody i niedawny, znaczy się już najzbawienniejszymi dla kraju rezultatami. Przedewszystkiem zmniejsza się rok rocznie wychodztwo — już nie tylko do krajów dalekich, lecz nawet do Anglii. Z jednej strony, do zapadłych. zaniedbanych i smutnych kątów wyspy zawitało weselsze życie, skrzętnie urozmaicane owemi narodowemi zabawami, obchodami i popularnymi odczytami; z drugiej strony, wspólność wyższych myśli spotęgowała, jeżeli nie stworzyła może poczucia jedności i dobroczynnej miłości względem najbiedniejszych. Zmniejszyła się bardzo widocznie liczba tajnych stowarzyszeń pseudo-politycznych, które do tak niedawna stanowiły najgorsze zło Irlandyi. Wzmógł się potężnie ruch ekonomiczny, dążący do wytworzenia przemysłu swojskiego, do wyparcia z kraju rękodzielnictwa i przemysłu niekrajowego. Widząc takie owoce, obywatelstwo ziemskie — owo społeczeństwo landlordów, będące do niedawna w chronicznej rozterce, często w otwartej wojnie z resztą narodowej społeczności — przystępuje do Ligi, dziś wprawdzie oględnie jeszcze i nielicznie, ale z niemałym wpływem tak doniosłego zjawiska. Jednem słowem, Liga stawiła w kraju ołtarz, przy którym skupiają się wszystkie stany, wszystkie odcienia polityczne i — co jak zdumiewa, tak pociesza najwięcej — wszystkie wyznania religijne.

Edmund S. Naganowski.

Przegląd nowszych prądów w teoryi prawa karnego.

W dniach 17, 18 i 19 września 1902 r. odbywał się w Petersburgu kongres międzynarodowego związku kryminologów. Szczegóły z kongresu podały już dzienniki; tem samem umożliwiły nam wglądnięcie w samą treść narad i podanie przeglądu nowszych prądów, jak one na kongresie ujawniły się. Dla całości rzeczy i jasności zaznaczyć wprzódy należy kilka pojęć i faktów.

Podstawą nauki prawa karnego i osią, koło której obracają się teorye kryminologiczne jest pojęcie przestępstwa, stosunek, w jakim do niego stoi jego sprawca i wreszcie pojęcie kary, jako reakcyi prze-

ciw przestępstwu. Te zasadnicze pojęcia nauki ulegały w ciągu wieków tak w teoretycznych pismach, jak i w ustawodawstwie różnorodnem ewolucyom, tworząc szkoły i obozy w zakresie kryminalistyki. Do niedawna panowała prawie wszechwładnie t. zw. szkoła klasyczna prawa karnego. Przestępstwo pojmuje ona jako akt woli objawiający się na zewnątrz w sposób niezgodny z ustawami państwowemi, naruszający dobra stojące pod opieką prawa karnego. Te więc tylko akty woli mógł sąd uznać jako przestępstwo, które ujawniając się na zewnątrz udowodnić mogą zamierzone lub dokonane naruszenie porządku społecznego.

By kogoś za sprawcę danego naruszenia porządku społecznego można poczytać, należy przypuścić i stwierdzić, że on skutku przestępnego, który zaszedł, chciał i w tym kierunku działał, z drugiej zaś strony, że przestępca zdawał sobie sprawę z tego, co czyni, i że może działania, mającego za skutek przestępstwo, nie wykonać. Czyli krótko mówiąc, przy ocenie działalności przestępcy należy wziąć pod uwagę, czy on miał do wyboru dwie alternatywy, wykonać lub nie wykonać przestępnego działania i czy z tej alternatywy skorzystał. Innemi słowy szkoła karna klasyczna przyjmuje wolność woli.

Wysokość winy sprawcy i wielkość kary szacuje ta szkoła karna wedle wartości dobra zagrożonego lub naruszonego mniej biorąc pod uwagę charakter i psychiczne usposobienie przestępcy. Co się zaś celu kary tyczy, to widać między reprezentantami dotychczasowej nauki prawa karnego nadzwyczajną różnolitość. *Quot capita, tot sensus.* Teorye t. zw. absolutne pojmują karę jako odwet czysto materyalny lub moralny za złe wyrządzone przestępstwem. Znów teorye t. zw. względne stoją na stanowisku utylitarnem, uznając w karze korzyść dla społeczeństwa lub dla samego przestępcy. Inni znów usiłują połączyć zasady obu tych teoryi.

Przeciw nauce klasycznej szkoły karnej nastała po roku 1870 silna reakcya. Przeciw jej uświęconem przekonaniom pierwszy atak przypuścił Lombroso. Ten w swojem słynnem dziele *L'uomo delinquente* usiłuje wykazać, że prawo karania nie przysługuje państwu bezwzględnie, jako istotna część jego atrybucyi, lecz jedynie jest obroną społeczeństwa przeciw naruszeniu porządku prawnego. Przestępca albo z usposobieniem zbrodniczem przychodzi na świat *(delinquenti nati)* lub popełnia czyn karygodnym wskutek zewnętrznych okoliczności *(delinquenti occasionali).* Przestępca „urodzony“ wykazuje już w budowie

czaszki, układzie twarzy, w własnościach czysto fizycznych typ zbrodniczy. Na podstawie badań szczegółowych, dokonywanych na znanych zbrodniarzach, zestawił Lombroso cechy charakterystyczne przestępcy i obliczył na podstawie statystyki kryminalnej, że 40% przestępców zaliczyć należy do *delinquenti nati.*

Taki przestępca urodzony nie może uledz karze pojętej wedle dotychczasowych teoryi. Państwo w obronie własnej winno go tylko uczynić nieszkodliwym dla społeczeństwa.

Teoryę Lombrosa o przestępcy urodzonym wraz z stworzonym przezeń typem antropologicznym przestępcy przyjęto zrazu w nauce i rozgłośnem echem odbiła się w naukowym świecie. Ale wnet badania ścisłe wykazały bezpodstawność jego antropologicznych wywodów i kongresy antropologiczne w Paryżu (1889) i w Brukseli (1892) uznały jego teoryę za nienaukową. Dotąd liczy ona jeszcze nielicznych zwolenników, ale wogóle nauka z nią się przestała liczyć.

O ile typ antropologiczny Lombrosa nie zyskał w nauce prawa obywatelstwa, to pojęcie przestępcy urodzonego i okolicznościowego wraz ze swemi dalszemi konsekwencyami dało podstawę szkoły włoskiej, reprezentowanej przedewszystkiem przez Ferri'ego i Garofala.

Zostawiając na boku typ antropologiczny przestępcy urodzonego, przyswajają sobie jednak to pojęcie. Obok czynników jednak czysto indywidualnych charakteru przestępcy uznają oni, a szczególnie Garofalo wpływ czynników społecznych na wyrobienie typu przestępcy urodzonego. Przestępstwo charakteryzuje Garofalo jako czyn obrażający uczucia powszechnie spotykane u narodów cywilizowanych lub nawpół ucywilizowanych, a karę jako reakcyę społeczeństwa przeciw takiemu czynowi. Uczucia te, jak je Garofalo nazywa *sentimenti altruistici fondamentali,* uczucia społeczne podstawowe są życzliwość i sprawiedliwość. Uczucie życzliwości obraża przestępca czynami będącymi świadectwem okrucieństwa, sprawiedliwość czynami świadczącymi o jego nieuczciwości, naruszającymi cudzą sferę majątkową.

Przeciw przestępcom od urodzenia, jako środek jedynie skuteczny, wskazuje Garofalo wykluczenie ze społeczeństwa *(selezione).* Środki zalecane dla poprawy przestępców okolicznościowych, jak dobre wychowanie, usunięcie podniet skłaniających do przestępstwa, uważa Garofalo za nie prowadzące do celu: jako środek poprawy wskazuje domy pracy dla małoletnich a dla dorosłych deportacyę. Deportowany przeniesiony na inny grunt, w inne otoczenie może się poprawić.

W zupełnem przeciwieństwie do szkoły antropologicznej stoi nieliczny odłam kryminologów, jak Turati i Bellamy, którzy jedynie czynnikom społecznym przypisują wpływ na powstanie przestępstw.

Pośrednią drogą poszła szkoła prawników, grupująca się koło Liszta i Prinsa, szkoła socyologiczna. Wydaje ona pod redakcyą Liszta *Zeitschrift für die gesammte Strafrechtswissenschaft,* wychodzące w Berlinie od r. 1881. Prawnicy zaliczający się do tej szkoły zawiązali się w stowarzyszenie *Der internationale kriminalistische Verein,* zbierające się peryodycznie na kongresy naukowe celem omawiania najważniejszych aktualnych zagadnień z zakresu prawa karnego i polityki kryminalnej.

Szkoła ta, krótko od najwybitniejszego z jej reprezentantów zwana szkołą Liszta, zgadza się ze szkołą włoską w tem, że nie uznaje wolności woli, względnie przyjmuje ją w bardzo ograniczonym stopniu. Natomiast w przeciwieństwie do Lombrosa upatruje źródło przestępstwa naprzód w charakterze psychologicznym sprawy i w wpływie środowiska społecznego *(milieu social),* wśród którego przestępca się obraca. Usposobienie przestępcy kształtuje się pod wpływem czynników społecznych, które oddziaływały na jego rodziców, na niego samego w czasie jego urodzenia i w czasie popełnienia przestępstwa.

Szkoła Liszta nie przeczy wprost wolności woli w człowieku. Sam Liszt wyróżnia wolność woli etyczną i psychologiczną. Etyczna, podług Liszta, wolność woli jest ideałem, który nie prędko da się osiągnąć; przeczy mu każde popełnione przestępstwo. Natomiast psychologiczną wolność woli uznaje zupełnie. Ta wolność polega na *Bestimmbarkeit durch Motive.* Jest to już jednak zaprzeczeniem wolności woli. Jeżeli bowiem Liszt pobudkom przypisuje wyłączny wpływ na wolę człowieka, a te pobudki zewnętrzne popychają go do przestępstwa, to tem samem nie zostawia mu wyboru głównego, zasadniczego kryteryum wolności woli [1]. Na tej podstawie opiera Liszt poczytanie przestępstwa, naukę o winie. Kto jest *bestimmter durch Motive,* ten jest poczytalny, ten ponosi winę popełnionego przestępstwa. Mybyśmy jednak inny z nauki zasadniczej Liszta wyciągnęli wniosek. Jeżeli uznamy, że *Bestimmbarkeit durch Motive* nie godzi się z wolnością woli, to tem samem takiemu człowiekowi nie możemy poczytać czynu jego za kary-

[1] Na razie w tym sprawozdawczym szkicu na tej uwadze poprzestajemy, na innem miejscu później do tej kwestyi powrócimy.

godny. Na tej tedy podstawie nie można oprzeć nauki o poczytaniu i o winie, a tem mniej mówić o pogłębieniu pojęcia winy, co jako zasługę przypisuje Liszt swojej szkole.

Poprzestajemy na razie na podaniu tylko głównej tezy Liszta o pojęciu wolnej woli. Nie wdając się bliżej w jego dalsze w tym kierunku wywody, zaznaczyć jednak musimy, że tenże sam Liszt na wielu innych miejscach wprost przeczy wolności woli, jak np. w *Mitteilungen des internationalen krim. Vereines* IV, 135 mówi: „Przestępca, który staje przed nami jako oskarżony lub jako skazany, jest dla nas ludzi bezwarunkowo i nieograniczenie niewolny, jego przestępstwo jest koniecznym, nieuniknionym skutkiem danych warunków. Dla prawa karnego niema innej podstawy, jak determinizm.

Drugi wybitny reprezentant nowego kierunku Prins stawia jako naczelny dogmat wolność woli, ale również z ograniczeniami, które w istocie wolności woli przeczą. Twierdzi, że to jest wielkim błędem klasycznej szkoły karnej, że przyjęła zasadę absolutnej wolności woli i absolutnej odpowiedzialności. Odrzuca indeterminizm w tem znaczeniu, że człowiek w tej samej chwili może działać bez pobudki lub wbrew pobudce i w tejże chwili chcieć czegoś przeciwnego. Każdy człowiek ma w sobie żywioł wolności woli i konieczności. Wolność daje mu możność wybierania między pobudkami, konieczność wyciska na nim piętno, poddaje go wpływom familii, rasy, otoczenia i wytycza kierunek jego działaniu. Rozpatrując się w przytoczonych zasadach, nie możemy zaprzeczyć wpływu otoczenia, przykładu, wychowania, urządzeń społecznych i t. p. czynników na powstanie przestępstwa. Ale nie możemy uznać ostatecznych konsekwencyi wysnutych stąd przez szkołę socyologiczną, że te wpływy działają nieograniczenie na człowieka, że on nie ma możności tym wpływom przeciwdziałać.

Celem kary jest wedle zasad tej szkoły ochrona społeczeństwa, reakcya przeciw zbrodniarzowi. Wielkość kary oznacza ta szkoła nie według wartości dobra przestępstwem naruszonego, lecz wedle stopnia przestępnego usposobienia sprawcy, stopnia jego usposobienia antispołecznego. Jakiejś cząstki słuszności tej zasadzie nie można odmówić. Bardziej bowiem ukarania godnym jest ten, co wykracza przeciw porządkowi prawnemu z rozmysłem, z pewnem upodobaniem i wyrafinowaniem, niż przestępca, który dopuszcza się czynu karygodnego więcej w uniesieniu, może po wykonaniu czynu swego żałuje, choćby naruszył dobro prawne więcej warte. Z drugiej strony zauważyć trzeba, że

i wielkość szkody wpływa na wielkość przestępstwa, że karę wymierza państwo w interesie ogółu, któremu więcej zależy na ochronie dóbr większej dlań wartości. Bezwzględnie tedy żadnej z tych zasad stawiać nie można; rzeczą jest polityki kryminalnej obie sprzeczne te zasady wedle rozumnych zasad połączyć i umiejętnie wedle okoliczności w ustawodawstwie zastosować.

Traktując środki represyi przestępstw, szkoła socyologiczna wyróżnia dwie kategorye przestępców, z których każda wymaga zastosowania innych rodzajów kary.

Pierwsza kategorya, to *delinquenti occasionali,* przestępcy, których poprawy można się spodziewać. Kara ma poprawić przestępcę. Jak wysoka kara ma cel ten osiągnąć, sędzia w chwili wydawania wyroku nie jest w stanie ocenić; nie może tedy zakreślać kary czasowo z góry oznaczonej. Proponuje zatem szkoła socyologiczna i broni kar nieograniczonych, o których ustaniu po skonstatowaniu poprawy przestępcy orzekaliby kierownicy zakładów karnych. Że tego rodzaju postanowienie byłoby niewykonalne, nie trudno wykazać. Naprzód wymiar wysokości kary odbiera się czynnikom z urzędu dającym największą gwarancyę bezstronności, sędziom, a oddaje się w ręce organów administracyi. Ale przypuściwszy odpowiednie i wykształcenie i wyposażenie w prawa gwarantujące bezstronność sądu, nie możemy być pewni słusznej oceny. Poprawa o przemiana czysto psychologiczna, proces wewnętrzny, który na zewnątrz dla otoczenia z całą pewnością stwierdzić się nie da. Przestępca może łatwo przez przyodzianie się w maskę, pozwalającą wnosić o jego poprawie, wprowadzić w błąd organa nadzorcze, a te złudzone pozorami wypuścić go na wolność nie osiągnąwszy rezultatu kary, poprawy.

Obok tych przestępców wyróżnia szkoła Liszta przestępców niepoprawnych. Są to tacy, w których charakter przestępny tak się zakorzenił, że najlżejsza pobudka popycha ich do czynu karygodnego. W celu odróżnienia, czy przestępca należy do pierwszej czy do drugiej kategoryi, należy jego charakter, skłonności i usposobienie zbadać, należy postawić dyagnozę psychiczną, zajrzeć do tajników duszy zbrodniarza. Tego wymaga szkoła socyologiczna od sędziego. Liszt zagajając swoje wykłady prawa karnego na uniwersytecie w Berlinie, jako zadanie nauki prawa, jako przygotowanie do wykonywania zawodu prawniczego (czy w roli sędziego czy obrońcy) wskazuje, obok przyswojenia sobie pojęć prawnych, na pozyskanie wykształcenia techni-

czno-praktycznego, umiejętności ustalenia stanu faktycznego. A ustalenie okoliczności faktycznych danego czynu karygodnego to niełatwa rzecz wobec wymagań, jakie stawia nowa szkoła, żądając stwierdzenia nie tylko zewnętrznych objawów i aktów woli, ale i psychologicznych ich pobudek. Wymaga to znajomości, obok wiedzy ściśle prawniczej, nauk tego rodzaju jak antropologia, biologia, psychologia i t. p. Ale przypuściwszy, że sędzia zdołał sobie tak szeroki zakres wiedzy przyswoić, że ma odpowiednie wykształcenie i doświadczenie praktyczne, to i tak zadanie, jakie mu szkoła Liszta stawia, przechodzi jego siły. Tu już wkracza ta szkoła w zakres Najwyższego Sędziego myśli i sumień ludzkich.

Na zbadaniu zadania i sposobu wymiaru kary nie zamyka się teorya karna szkoły socyologicznej. Pojmując przestępstwo jako owoc *milieu* społecznego, żąda szkoła ta przedewszystkiem usunięcia, poprawy tych warunków społecznych, które wpływają na wzrost ilości czynów karygodnych. Myśl nie nowa, ale pierwszy raz uwzględniona i podniesiona do właściwego znaczenia w dziedzinie nauk kryminalnych. By nienormalnym, wadliwym stosunkom społecznym skutecznie przeciwdziałać, trzeba je przedewszystkiem poznać. Stąd wielkie znaczenie przypisywane statystyce, wytworzenie osobnego działu, a nawet odrębnej gałęzi wiedzy, statystyki kryminalnej. Wciąga ona w zakres badań szerokie horyzonty życia społecznego; zajmuje się pijaństwem, żebractwem, włóczęgostwem, śledzi za ich przyczynami i na podstawie ścisłych cyfrowych danych stawia konkretne wnioski reformy.

Jeden jeszcze rys nowej szkoły zasługuje na zaznaczenie. Pojmując przestępców jako ofiary wadliwych stosunków i wpływów otoczenia, żąda traktowania ich w sposób jak najbardziej względny, bo kara niema być cierpieniem za zło, które wyrządzili, jeno środkiem ich poprawy, względnie uczynienia ich nieszkodliwymi.

Doktryny te znalazły wyraz i wybitnie się zaznaczyły na kongresie w Petersburgu. Zaznaczyły się one dobitnie w referacie Liszta o socyalnych czynnikach przestępstwa, Humla *De la dernière incarnation de l'idée peccale*, Garraud'a w referacie o historyi teoryi kryminalnych, jak również w dyskusyi nad głównym tematem, zajmującym kongres, czy w pojęciu przestępstwa przypisać znaczenie główne czynnikom psychicznym. Temat ten referowała grupa niemiecka, a to specyalnie Meier; a i z grupy francuskiej zgłosił Garraud referat w tej sprawie. W dyskusyi objawiła się między uczestnikami kongresu różnica zdań

z jednej strony między grupą niemiecką, idącą najdalej w uwzględnianiu czynników psychicznych, a grupą rosyjską, zachowującą się dość odpornie w przyjęciu tego zapatrywania. Po długiej dyskusyi postawił kongres jako zasadę, że pierwiastki psychologiczne należy w ocenie przestępstwa uwzględniać w jak najszerszym zakresie.

Obok tego kongres omawiał szeroko reformę śledztwa wstępnego, drugi główny temat kongresu. Nadto przedstawiano wyniki badań, przeważnie statystycznych, nad deportacyą i handlem dziewczętami. W dyskusyi nad reformą śledztwa doszedł kongres do wyniku, że dla gwarancyi skuteczniejszej obrony obwinionego należy tu wprowadzić pierwiastek kontradyktoryczny, większe zrównanie stanowiska prokuratora i obwinionego, względnie jego obrońcy, który to ostatni w śledztwie bardzo skromną dotąd odgrywał rolę.

Oto krótkie przedstawienie ruchu umysłowego w dziedzinie prawa karnego.

A. Bielecki.

Z krakowskiej Akademii Umiejętności.

Zwracamy uwagę czytelników na rzecz dla polskiej nauki bardzo doniosłą. Akademia wydała „Wskazówki do inwentaryzacyi zabytków", ułożone z polecenia Komisyi literackiej, przez p. Adama Chmiela. Do „Wskazówek" jest dołączona karta katalogowa. Zarówno „Wskazówki", jak i karty katalogowe Akademia przesyła osobom, pragnącym z nią współdziałać w doniosłem przedsięwzięciu jednolitego skatalogowania rękopisów przechowanych w polskich bibliotekach i zbiorach tak publicznych jak prywatnych. Ukończywszy opis pewnej grupy rękopisów, współpracownicy będą odsyłać wypełnione karty do Akademii, tak że powoli utworzy się z tych materyałów generalny katalog wszystkich do Polski odnoszących się rękopisów.

Treść wydanych „Wskazówek" stanowią szczegółowe objaśnienia do załączonej katalogowej karty. Po podkreśleniu naczelnej zasady, że zawartość rękopisu przedstawia się w takim porządku rzeczy, w jakim w rękopisie się znajdują, nic nie opuszczając, idą elementarne wska-

zówki, co należy wpisywać pod sygnaturą, kodeksem, jak należy opisywać treść, sposoby podawania tytułów utworów i t. d.

Należy się spodziewać, że uczeni polscy pośpieszą z całą gotowością na wezwanie Akademii, i skatalogowawszy jednolicie rękopiśmienne zabytki naszej przeszłości dostarczą trwałej podstawy do dalszych badań literackich i historycznych w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Druk ukończono 29 grudnia 1902 r.

IDEA NARODOWA W „WYZWOLENIU“ WYSPIAŃSKIEGO[1].

Sądzić dzieło artystyczne ze społecznego punktu widzenia wolno tylko, jeśli sam autor na to pozwoli, głosząc pewne nie artystyczne, ale społeczne i narodowe myśli, o których trafności orzekać ma prawo całe społeczeństwo — albo też jeśli dzieło samo przez się niepospolite mogłoby, choćby bez zamiaru jego twórcy, wywrzeć wpływ na społeczeństwo w kierunku zmiany zapatrywań społecznej lub narodowej treści. W „Wyzwoleniu“ jest taki program społeczny i narodowy— więc ma się prawo ten program nie tylko z punktu widzenia artystycznego sądzić. Chociaż więc autor a raczej bohater jego zaznacza, że jego zdaniem „każdy uczciwy Polak jest tylko od tego, żeby siedział w swoim kącie, na swoich śmieciach i był, był na każde zawołanie a nie gadał, nie filozofował“, bo gadaniem gubi naród, tem trudniej zastosować się do tego rozkazu, że nawet w sztuce bohater jej, Konrad, mimo tego hasła nie kończy zwycięstwem, a przeto sam autor program swój i jego szczegóły podaje w wątpliwość. Nadto dzieło pochodzi od znakomitego malarza i poety, twórcy „Warszawianki“, „Legionu“ i „Wesela“ —i samo przez się jest artystycznie niepospolitem, pisane sercem i przemawia do serc przedziwnym na wskroś odrębnym językiem, a przytem czuje się tę wielką

[1] „Wyzwolenie“ należy do najświeższych nowości wydawniczych, bo dopiero 10 stycznia b. r. ukończono jego druk. To też nadarzy się jeszcze pismu naszemu sposobność do pomówienia o tym dramacie.

Redakcya.

miłość i zapał autora dla Polski, dla sprawiedliwości społecznej, tę płomienną nienawiść dla wszelkiej obłudy, wszelkiego fałszu.

Te przymioty dzieła już same przez się nakazywałyby rzecz ocenić także ze stanowiska użyteczności społecznej i wpływu na ludzi, którzy nie tylko „nie są pięknością", ale przez których i „strumień piękności" tylko na krótką przepływa chwilę pod wrażeniem pięknego dzieła, którego urokowi w zupełności się poddają. Takich ludzi jest o wiele więcej w narodzie, niż artystów, sam zaś autor pewnie najszczerzej Bogu za to dziękuje, bo wie dobrze, że pancerze i miecze potrzebne do wyzwolenia wykuje w kuźni twarda ręka kowala, że zwycięstwo dać może li zapał i ofiarność milionów, największy zaś rozkwit sztuki nie stworzy tego, czego właśnie Wyspiański pragnie — tego, „co jest wszędzie" a więc państwa, niezależności, dawnych granic, dawnej świetności i chwały.

Konrad bohater „Dziadów", spotkawszy się z ks. Piotrem u Nowosilcowa znikł z widowni — w „Wyzwoleniu" odżył nowy Konrad z duszą Irydyona. Czy spał jak Irydyon całe pokolenia, czy „terminował u wielu przemożnych potęg, które władały myślą jego", wskrzesicielowi Konrada wydała się chwila obecna stosowną, aby go powołać do czynu. Wróżka przepowiada jego wielkie posłannictwo:

Idzie już ten,
co powiedzie wszystkich was
do róż, do zbóż, do kras.

Że samotnik nazwany przez Wyspiańskiego czterdziestym czwartym, a bohater „Wyzwolenia", Konrad jest jedną i tą samą osobą, tego dowodzą ponadto ostatnie wiersze poematu — dowodzi przepowiednia, że Konrad jako ten „wasz (dlaczego nie nasz?) czterdziesty czwarty, zawoła w naród, skoro świt nastanie: więzy rwij".

Ale ten Konrad zgoła inny jest od owego dawnego Konrada. Jad nienawiści wszczepiony przez niewidzialnego na scenie Masynissę lot jego obniżył, serce rozpiera mu ból zawodów i cierpień nowych pokoleń; inny jego początek, inne myśli i cele.

Wprawdzie jak pustelnik w IV części „Dziadów“, mówi i on o sobie:

„Idę z daleka niewiem z raju czyli z piekła“ — ale to, co tam było tylko wyrazem chwilowego szału nieszczęsnego kochanka, tu inaczej i bliżej określone:

Błyskawic gradem
drży ziemia, z której pochodzę,
we krwi brodzę;
nazywam się Konradem.
Rozpacz za mną się wlokła
głową wężów, okropnem widziadłem
wyjąc „zemsta“.

Autor tego moralnego upadku swego bohatera jest zupełnie świadom, bo tak mówić mu o sobie każe:

Byłem gwiazdą,
gwiazdą stałą, niebios niewolnicą.
Tam hen, ujęty łańcuchem,
z wyprężonemi ramiony,
uwięzgłem duchem,
gdzie gwiazd iskrzące skorpiony
świecą
w przestrzeni wieczystych głusz,
gdzie gniazda bogów i dusz — —
i spadłem.

Konradowi nie chodzi o przyszłe życie — on jak Edyp, z którym się porównuje, bluźni Bogu, „że go dosiągł i że go pchnął w nędzę, i że dał mu świetność i że dał mu nędzy świadomość, która mu była śmiercią“ i mówi to wszystko nie w chwilach najwyższego porywu zwątpienia, jak Konrad Mickiewicza, ale ciągle i stale.

Nienawiść jest twórczą, sam Bóg ją dał światu, nienawiścią swą Konrad się szczyci, bo ona: „to niemal nasze najlepsze“, jedynie niezgoda z nas jeszcze coś wytwarza a hasło wszechmiłości jest poprostu kłamstwem. Wszechmiłość zaprowadziłaby nas do kosmopolityzmu, pamięć doznanych krzywd i prześladowań utrzymuje w nas uczucie miłości ojczyzny i dlatego jest twórczą i pożądaną. Kto pociesza się w obecnem położeniu narodu tem, że zwyciężył kiedyś tam u Boga, kędy nie sięgnie

żadna żelazna ręka, jest poprostu „grzybem społeczeństwa, w którem raczy przebywać". Oszustami są ci, którzy „kradną duszę narodowi za cenę rzeczy nieuchwytnych, co mu odbierają dumę i każą się upokorzyć, co mu odbierają pychę i każą się kajać w prochu upodlenia i żebrać". Bo pycha, która jeszcze w scenie ks. Piotra z duchem, nazwaną była kochanką dyabła, tu stała się przymiotem i cenną zaletą. Fałszem jest zasada: „Będziesz za grzechy twoje dawne pokutował" — to jest za grzechy dawnej Polski. Zasada ta, „to akcesorya i godła" dziś nie znaczące nic, to poezya, nic więcej, i ta poezya wzbrania nam wstępu do raju — więc wyzbyć się musimy poezyi, a wówczas dopiero wstąpi w nas siła i wola. Nie dosyć marzyć o Polsce i snuć ją „z mgieł oparnych, z łąk, złotego tęczy łęku" — potrzeba czynu.

Już w „Legionie" wyrzucał nam papież, że myśląc tylko o „ojczyźnie w żałobnej zadumie", zapomnieliśmy o biednych, zrodzonych w lichej zagrodzie, że daliśmy im upaść w odmęcie i konać na glebie — już w „Legionie" Mickiewicz zapowiadał, „że duch zstąpi na ziemię, by obcował z małymi i ubogimi". Tu idzie Wyspiański o krok dalej. Nie poprzestaje na gorącem sercu dla upośledzonych i biednych, którego gdyby nie miał, nie mógłby zgoła być poetą. On lud cały wprządz chce do wielkiego dzieła i już nietylko lud wiejski jak w „Weselu", ale całą szarą masę polskiego robotnika, którego użyć pragnie. Byłaby to droga powolna a żmudna dźwignięcia ludu ku sobie, obudzenia w nim miłości ojczyzny. Tego zaniedbano „w żałobnej zadumie". Dziś już zapóźno, dziś śpieszyć się trzeba z dokonaniem wielkiego dzieła, więc ludowi ogólnie tylko powiada:

Tam kędyś trzeba dojść i wnijść i siłą.

Naturalnie, że tego robotnik nie rozumie i pyta Konrada dwukrotnie, czego właściwie żąda. Sympatye proletaryatu zyskuje Konrad-Polska okazaniem kajdan, jakie dźwiga. Ale czy robotnik zapala się do ideałów polskich? Czy zna i wielbi dzieła tych królów, którzy śpią na Wawelu, tak drogim sercu poety? Nie, on tylko przypomina sobie śmierć siostry, która zginęła pod bagnetami, a Konrad obiecuje mu zemstę,— znowu

zemstę — i sojusz zawarty. Mówi im tylko, że zawezwie ich, aby wystąpili z czynem, że zwykłą dostaną zapłatę, że będą burzyć i na nowo budować. Czyli, że do swego dzieła najmuje ręce, nie głowy, ani serca. Ale Konrad nie tylko robotnikom nie pozwala wnikać w swe tajemnice — bo „każdy uczciwy Polak jest tylko od tego, żeby siedział w swoim kącie, na swoich śmieciach i b y ł, był na każde zawołanie jego, Konrada, a nie gadał, nie filozofował“, bo gadaniem gubi naród. „Ja nie chcę, abyś ty się tem interesował, tj. opiekował. Ja chcę, żeby te rzeczy były tobie narzucone i żebyś ty wobec nich stał się niczem“. Niepotrzebnie, zdaniem Konrada, wyrabia się poczucie narodowości w szerokich warstwach, bo one łatwo, nie mając charakteru, zachwieją się i opuszczą naszą sprawę. „Nie należy wyrabiać poczucia narodowości i solidarności z lichą częścią naszego narodu; bo my zawsze będziemy mieć do usług i do rozporządzenia tę lichą część naszego narodu, a oczywiście tem bardziej i lepiej, gdy ona będzie w naszych rękach“. Czyżby zdaniem poety nie należało za wcześnie budzić poczucia narodowości w proletaryacie miejskim, zbyt niepewnym pod względem charakteru, a użyć go tylko jako narzędzia w stosownej chwili? Że autor nie bardzo ufa „szerokim warstwom“, dowodzi ogólnikowy rozkaz wydany w I akcie robotnikom: „Tam kędyś trzeba dojść i wnijść“, o którym już wyżej była mowa. Potwierdza to także zapatrywanie poety na sprawę wolności w „Legionie“. Któż nie pamięta pięknego obrazu Wolności przykutej do wozu Cezara, a wyzwolonej przez Brutusa-Mickiewicza, nie pamięta, jak ona ledwo oswobodzona wskakuje na wóz, rozpędza tłumy w szalonym pędzie z okrzykiem tryumfu na ustach, i ciała ludzkie tratuje!

To dowód dalszy, że poeta choć dla swej myśli granic nie zna, nie łudzi się co do następstw wyuzdanej wolności dla ogółu i wie, że jest gorszą od despotyzmu Cezarów. Nadużycia zaś wolności najsnadniej obawiać się może od tych, którzy z wolnością jeszcze nie mieli czasu się oswoić, a pęt tradycyi dobrej i wiary nie znają. A czyż trzeba przypominać tych łańcuchem przykutych do dylów łodzi wioślarzy, płynących pod komendą

Mickiewicza na arce ku Polsce w 12-ej scenie „Legionu“? Nie ufał snać poeta zbytnio ani ich zapałowi dla sprawy narodowej ani ich charakterowi i wytrwałości, ale i ta ostrożność nie wystarczyła, bo „skoro odprzysięgli sumienia“, ręce ich nic już nie mogą.

I to jest dalszy powód, dla którego owe słowa Konrada wyrzeczone do maski o potrzebie mienia w ręku ludu, by wolności zdradą nie nadużył, brałbym na seryo, nie zaś jako chęć ukrywania prawdziwej swej myśli przed maską.

Jest tu pewna ewolucya poglądów autora w porównaniu z „Weselem“. Tam nie tylko chłopi w sprawie polskiej radzili, ale nadto Wernyhora wprost powierza tam gospodarzowi złoty róg i „na jego rycerny głos spotężni się duch, podejmie los“. Ten róg cudowny oddaje gospodarz Jaśkowi i każe zwołać „wszystek lud na jutro“ a „po powrocie zadąć w róg“. „Gdyby rogu zabrakło, w niwecz pójdzie cały ruch“. Tu jest inaczej, tu róg jest symbolem wiary i pokoju i nie Konrad, ale Geniusz go dzierży i nie wydaje go z rąk.

Konrad myśli o ruchu wielkich mas, mimo, że jest tego świadom, iż w takim razie nie wszystko od jego woli będzie zależało, że zdarzą się wypadki nieprzewidziane a rozumem ludzkim a nawet wolą trudne do opanowania. Dla owych mas wykraść pragnie, jak Prometeusz, „ten święty ogień, który tam płonie, i dać go tym, którzy czekają ognia, żaru, który budzi, który daje siłę, moc, potęgę!“ Ale uczyni to dopiero wtedy, gdy wielkiego dzieła dokona, gdy z pomocą tych milionów spracowanych dłoni Polskę wyzwoli, bo to na dziś najpilniejsza sprawa i czekać z nią nie można, do chwili pozyskania dusz ludu.

Jako wódz, wcielenie narodu, Konrad, zna tylko siebie i swoją wolę. „Wszystko co myślę, jest ostatecznem określeniem i wszystko co myślę, zależy odemnie“. — „Nie słyszę nic cokolwiek kto mówi, ja mam swój sąd własny“. Indywidualizm jego idzie tak daleko, że ma chwile, w których oburza się na „niewolę narodowości“, nie chce być „niewolnikiem patryotyzmu“.

„Nie chcę nikogo, żadnych stronnictw, żadnych idei, one wszystkie upadły, muszą upaść, żadnych ludzi, osobistości, oni

wszyscy muszą upaść i upadną“. Naród poprowadzi Konrad na Wawel, a gdy wybije godzina wyzwolenia, zstąpi do grobów królewskich i tam Polskę wyzwoli.

Na drogę wyprawia go Hestia i w te do niego odzywa się słowa:

Płonącym czynięć Aniołem.
Zgromadź mnogie ludy na wiec:
niech siędą społem za stołem
i powiedz im, jak ognia mają strzedz,
jak modlić się mają dzieły.
Że jest już czas, by ręce topór jęły
przyspieszyć dni,
Bożemi znaczonych słowy,
by naród wstał na krwawą rzeź.

I wręcza mu płonącą pochodnię. Dając mu ją, myślała jednak nie o rzezi i zbrodni, ale o tym płomieniu woli, który miał w sobie i w narodzie rozniecić Konrad dla świętej sprawy. To ta sama pochodnia, którą trzymał Mickiewicz w „Legionie“ wysoko nad wioślarzami w 12-tej scenie poematu.

Z pochodnią idzie Konrad na Wawel, tam atoli przemówił do zebranych Geniusz, „który podnosi naród i myśl jego uświęca“ i wzywa go, by za nim szedł w podziemia do grobów królewskich i tam napił się ze złotej czary i złotego rogu kornego poddania się woli Bożej, a zanim świt nowy zabłyśnie, wyrzekł się tego wyzwolenia, jakie mu Konrad zapowiada, a zdobył za to wyzwolenie od miecza, wyzwolił się duchem i przez śmierć zmartwychwstał:

Wewiodę was nad groby łez,
byście nikczemność widząc ciała,
ujrzeli okiem żywem Kres:
Śmierć, która cuda działa!

a dalej:

O innym lepszym świecie wiem!
Pójdziecie za mną — wolni tam!

A gdy zgaśnie w was małość człowiecza

będziecie kościół zwycięski
nad ludzkie nędze i klęski.

W rozstrzygającej chwili, gdy lud już ujęty, za Geniuszem powtarza, że „róg złoty to wieczność pokoju“, wpada Konrad, który rozkazu Hestii nie zrozumiał, z płonącą pochodnią w ręku i do Geniusza tak przemawia:

Krzyżowej męki upiorze!
Nienawiść niosę palącą!
Krwi wołam! Chcę święcić noże!
Zwodziłeś duszę daremno:
ukazywałeś mi niebo;
groby otwierasz przedemną.
Krzyż przeklnę, Chrystusa godło,
gdy męką naród uwiodło.
Dla mnie żywota Prawo!!

Konrad nie chce, abyśmy pili pamięć przeszłości naszej „występnej i bolesnej“, nie chce, abyśmy „pamięć wlekli w mąk kaźnie i więzienia i wyrzekali się blasku dnia dla litości onych, co marli męczeni a ginęli katowani, tych dola nie naszą będzie dolą ani wołaniem“. Konrad boi się rozczulenia i sentymentu i dlatego pragnie zwycięstwa „z krwi i ciała, z woli żywej i żywej potęgi“, nic poza tem widzieć nie chcąc — a nienawidzi Geniusza poezyi, bo on wstrzymuje ramię podniesione do ciosu. Geniuszowi wytrąca czarę złotą z ręki a płonącą pochodnię wtyka za rygle żelazne drzwi grobowca, wówczas pochodnia gaśnie, Geniusz znika lecz i Konrad widzi się naprzód w złudnym świecie pożyczonych blasków, w teatrze — który przedstawia tu pospolity świat codziennej obłudy i fałszu — potem sam zrozpaczony, że myśl jego „skruszyła się na proch“, wyznaje, że związany siecią czarów sztuki wszedł w świątynię i nie wie teraz sam, dokąd dąży. Z miejsca, gdzie „róg rozprysnął się złoty“, za karę, że Konrad „stracił żarów świętą siłę, jakkolwiek w ofierze dla narodu“, wstają Erynie, widma trwogi i wyłupują Konradowi oczy.

Ślepy, bo ślepym ma być wedle widzenia ks. Piotra w „Dziadach“ zbawca narodu, którego imię czterdzieści i cztery — tylko tego przepowiedzianego zwycięzcę prowadzić miał anioł-pacholę, a Konrada z „Wyzwolenia“ prowadzą Erynie. Ale nie wskazują mu drogi, choć mu szyderczo powiadają: „Ty masz moc, prowadź“.

Daremnie — Konrad bluźnił, nienawidził, na krwawą rzeź wołał, chciał zmienić wolą swoją wolę Bożą i dlatego dzieła swego nie dokona. Grobowiec zewsząd zamknięty, mrok dokoła, Konrad wydostać się nie może. Gdy „Eos różanowłosa na niebios wystąpi skłon i pierwszy zanucą ptaki ton świergotów rannych“, ktoś kościół otworzy i wówczas „Konrad z Eryniami, zaprzysiężony bóstwom brat, wybieży w świat na lot, na szary świt, w błękitny świt, miecz w ręku mając, wzrok wydarty

otoczon chórem w wieńcu żmij,
jako ten wasz czterdziesty czwarty
w naród wołając:
więzy rwij!!!

Toż i tajemniczy Rapsod w „Legionie“ świt wskazał, jako chwilę wyzwolenia:

Kiedyś, godzinę wołaną
będziemy, będziemy mieć.
Powstaną nad nami, powstaną
w powietrzu będą drżeć
chorągwie; to będzie wczas rano,
nim liście zaczną drżeć;
to będzie, to będzie wczas rano,
zanim ptacy zaświegocą swój świt

ale będzie to

nie jutro, nie, nieprzeliczone to dnie.

Toż i w „Wyzwoleniu“ śpiewa poeta:

Wieczyście dalej, co jest dalej?
Co będzie dalej, za wiek, wieki?
Im bliższy wiedzy, tem daleki,
coraz to dalej bieży, leci.

Poemat jest, jak autor przez usta Muzy powiada, „skarceniem, chłostą i spowiedzią“, ale nie działa ożywczo, raczej wywołuje smutek i przygnębienie.

Ktokolwiek żyjesz w polskiej ziemi
i smucisz się i czoło kryjesz
z rękoma w krzyż załamanemi
biadasz — przybywaj tu — odżyjesz.
W przestrzeń rzucimy wielkie słowa,
tragiczną je ubierzem maską.
Ktokolwiek wiesz, co znaczy polska mowa
przybywaj tu, — odżyjesz Słowa łaską.

Czy istotnie odżyje? Czy poemat spełnia tę zapowiedź? Konrad naprzód „wali młotem“ w społeczeństwo, ukazując nam jak w „Weselu“ różne kierunki i zapatrywania społeczne, w drugim akcie rozwija poglądy swoje w rozmowie z 22 maskami, w trzecim nareszcie czarę wytrąca z rąk Geniusza i sam przyznaje, że związany siecią czarów sztuki, nie wie dokąd dąży. Tyle tu smutku, co i winy, ale krzepiącego niema nic.

Bo wszak serca nie podniesie sama krytyka choćby najsprawiedliwsza pewnych niesympatycznych kierunków, skoro ideą przewodnią Konrada jest zemsta a końcem nie wyzwolenie, jakby się z tytułu sztuki zdawało, lecz jeszcze jedna nieudana jego próba.

Konrad wyznaje, że czary sztuki zwiodły go na te manowce, myślenie bowiem wszelkie, zdaniem jego, tam gdzie chodzi o przyszłość Polski, nie ma żadnej wartości; tylko sztuka jako rzecz wieczysta może tej idei skutecznie służyć. Poezya jest tym Edypem, który rozwiąże zagadkę bytu narodu, zagadkę wielkości i śmierci. Naturalnie „inna poezya, nie to, co dotychczas za nią uważaliśmy“. Nawet „ta treść poetyczna, którą się tak klasyfikowało, już nią dziś nie jest“. Konrad stworzy więc nową poezyę — ona utoruje wszystkie drogi, wszystkie bramy otworzy, wszystkie zagadki rozwiąże. Ta nowa poezya, ta nowa sztuka „zawiera szereg pewników naukowych“, odkrywa nowe następstwa logiczne, nowe związki faktów, pełne artystycznego piękna, niedostrzegalnego dla profanów, ona ma swoją „łogikę artyzmu“. Ten związek sztuki z ideą polską, tę nową prawdę wypowiada poeta i w rozmowie z 7-mą maską słowami: „Oto sztuka głosi: Śmierć, bo cóż szczytniejszego nad Śmierć. Ta jest wielkością w naszem wszystkich wiar pojęciu i wszechczasów i ta wielkość daje.“ i w „Legionie“ słowami Mickiewicza:

Ze śmierci ciał się urodzi
Duch słowo, słowo potęga!

i dalej:

Giniemy, belki się walą,
śmierć, śmierć u steru łodzi

płomienie piersi palą. (Chór).
Zmartwychwstaniecie młodzi. (Mickiewicz).

Inna zaś prawda jest niepotrzebną. Szesnasta maska mówi wręcz Konradowi: „Ja dla ciebie nie istnieję wcale, o ile nie wynajdziesz na mnie figury i pozy artystycznej. Wdziewasz na mnie larwę marmuru, larwę sztuki, jaką chcesz i mnie dusisz, mnie dławisz, zabijasz“. Konrad istotnie nie widzi poza sztuką nic, a z objawów życia tylko te uwzględnia, które mają dla sztuki jakąś wartość.

Ale czy tylko sztuka wystarcza do wyzwolenia Polski? Sam Konrad przyznaje wreszcie, że go czary sztuki zawiodły na manowce i że sztuka mu nie wystarcza. To też Geniusz obok sztuki i wielkość i Boga wskazuje jako drogę do Polski.

Zdawałoby się, że Polska, mająca odzyskać się tak niepowszednim sposobem, będzie, zdaniem Konrada, czemś niedoścignionem, wymarzonem, doskonałem; tymczasem Konrad wprost przeciwnie chce tylko „tego, co jest wszędzie“, tego, „co jest, tak jak jest“, pocieszając się tem, że „będziemy co najmniej tacy, jak inni“. „Na co mamy być Chrystusem narodów wyłącznie na mękę i krzyż i dla cudzego zysku?“ Konrad pragnie przedewszystkiem powodzenia, doczesnego, bezzwłocznego powodzenia. Jakżeż różny, jakżeż pospolity wobec podniosłych słów Mickiewicza z „Legionu“, który uczniom swoim przepowiada:

zginiecie, jako ptacy wędrowni,
ciała wasze padną wysilone
i legną u rozstajnych dróg,
prochy się wasze rozwieją
po cztery świata strony —
oto ci co dnie, co godziny rachują
zmarnieją, jako prochy zmarnieją
i pamięć o was zaginie.

ale:

Jeruzalem żywa wstanie
wiara wasza zostanie.

Konrad, z nazwiska podobny do Konrada z „Dziadów“, z uwielbienia woli do Kordyana, z pragnienia zemsty do Irydyona, z chwil słabości i rozmów z niektóremi maskami do hra-

biego Henryka z „Nieboskiej komedyi“ — od nich wszystkich jest znacznie mniejszy. Satyryczne sceny z reżyserem i Muzą przypominają trochę Fausta, przeczucie niepowodzenia ruchu w słowach kaznodziei, mowcy i prymasa w III-cim akcie przywodzą na pamięć wspaniałe strofy Rozy Wenedy i sceny z ostatniej walki na okopach św. Trójcy.

Wiele tu wogóle reminiscencyi: trochę z Hamleta w Konradzie a Prospera z „Burzy“ w Geniuszu, co sam poeta zaznacza — a nawet kilka dosłownie zacytowanych z innych poetów wierszy. Np. z „Wallenroda“:

Wicher pędzi chmury śniegów
Tam marzną naszych ostatki szeregów.

z „Dziadów“:

Idę z daleka, nie wiem z raju czyli z piekła.

również z „Dziadów“ są słowa chóru, który płoszy Geniusza słowami:

A kto prośby nie pośłucha
W imię Ojca, Syna, Ducha,
Czy widzisz Pański krzyż?
Śmierć wniosłeś w twym napoju,
Zostawże nas w pokoju
A kysz, a kysz, a kysz.

wreszcie z „Improwizacyi“ jest znany wiersz:

Nieśmiertelność czuję

tak, że aż 18-ta maska zwraca uwagę Konrada, czemu tak często cytuje; ale Konrad tłumaczy się tem, że on cudze p r z e ż y w a, więc powtarzać ma prawo.

Porównanie „Wyzwolenia“ z „Dziadami“ autor sam narzuca, czyniąc bohatera swego tym samym Konradem, który w najwyższem natchnieniu błagał Boga o władzę nad duszami, o którego zbawienie modlił się ks. Piotr, którego jeden archanioł we wspaniałych strofach oskarżał przed sądem Bożym, a bronił drugi i ocalił.

Konrad drugi wziął po swym imienniku wielką ojczyzny miłość, ale Konrad drugi nie wie w szczegółach, czego chce, sam ze sobą często jest w sprzeczności, nie wypowiada wyro-

bionych długiem rozmyślaniem przekonań, ale chwilowe swe wrażenia, chwilowe porywy i uczucia, które targają mu duszę. Konrad z „Dziadów“ to posąg z kruszcu, w jego wielkość się wierzy, jego czynów wygląda z tęsknotą; Konrad z „Wyzwolenia“ nie złudzi nas postawą rycerza, pozorami tęgości — w scenach z maskami odsłania się jako człowiek chory, jako neurastenik.

Neurasteniczną jest także jego nienawiść i uwielbienie jej jako siły twórczej. W Irydyonie ta straszna, dzika, zbrodnicza nienawiść jest bardziej zrozumiałą, bo nieodstępnym towarzyszem Irydyona jest Masynissa, duch złego — przy Konradzie nie stoi nikt taki, a jednak nie zrozumiał symbolicznych słów Hestii, bo nie był w stanie ich zrozumieć.

Nienawiść nie jest twórczem uczuciem. Ani nienawiść, ani sztuka narodu nie wyzwoli. Występek nie może go stworzyć, i gdyby go stworzył, gdyby naród się na to zgodził, wart byłby ponownej męki. Gdyby zaślepiona miłość ojczyzny, nie zawahała się przed zbrodnią, gdyby miała „krzyż Chrystusa przeklinać“, gdyby dla „Wawelu-Polski“ miała podeptać nienawistnie wszystko, co jest „tam“ nad ziemią, należałoby kres jej położyć, jak obłąkaniu. Dodajmy, że zupełnie niesłusznie miota się Konrad przeciw Kościołowi, religii i Bogu, bo poglądy, które atakuje, to po części prywatne mesyanistyczne wierzenia naszych poetów, także i Mickiewicza, po części poglądy naszych historyozofów. Z nauki Kościoła katolickiego *(Roma locuta)* bynajmniej nie wypływa, że mamy kornie klęczeć dopóty, aż się rozsypiemy w proch, wypływa tylko to, co sam praktyczny rozsądek mówi, że nie wolno nam popełniać samobójczego szaleństwa, występując do nierównej walki przeciw przemożnej potędze nieprzyjaciół.

Sztuka nie stworzy ojczyzny, podobnie jak nie stworzy jej jeszcze gospodarność, oszczędność, bogactwo, jak nie stworzy jej sama oświata, ale stworzy, stworzyć ją musi iskra owego prometeuszowego ognia w każdej polskiej piersi, która wykrzesze i oświatę i dobrobyt i naukę i sztukę pod hasłem miłości ojczyzny i w jej duchu. Praca całych pokoleń, praca wszy-

stkich myślących, poświęcenie i ofiara, zapał i trud wystarczy. Mniejsze narody nie zginęły, nie zginiemy i my — tę codzienną pracę, ten znój roboczego dnia znośmy tylko z ufnością w łaskę Bożą i niezwalczoną siłę i dzielność 20 milionów ludzi, a Bóg nas nie opuści.

Nie przyjdzie może żaden czterdziesty czwarty z matki obcej, a z krwi bohaterów zrodzony „żaden straszny mąż, co na sławie zbuduje ogromy swego kościoła, na trzech stanie koronach, a sam bez korony“, ale bezimienny a świadomy trud, a cierpliwość wierząca, a polskiej duszy hart, wykuty w zawistnych losów kuźni starczy za wielkiego człowieka. I pierwej czy później będzie wyzwolenie, ale hasła do niego nie da Konrad, bo mniemając, „że ogniem ocali“ naród swój, „stracił żarów świętą siłę“ i stracił prawo dowództwa, które mu w końcowej zwrotce poematu autor zostawia.

A może ukaże nam go w następnym poemacie, odrodzonego i czystego po przebytej pokucie?

Gdy Bóg przywrócił do łaski Irydyona i wysłał do ziemi mogił i krzyżów — rzekł mu: „Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios“.

To jest ostatnie słowo w tej sprawie: praca bez wytchnienia — innego hasła w poezyi naszej nie chcemy — nie chcemy go w życiu.

Dr. Leopold Caro.

SOCYALISTYCZNY ZJAZD
W PRZEMYŚLU.

Wieść o naradach socyalistów, zgromadzonych z Galicyi i Śląska przed kilku tygodniami w Przemyślu, nie zdołała naruszyć spokoju w naszem społeczeństwie. Dzienniki niektóre, nawet najpoważniejsze w naszym kraju, milczały o tych naradach; inne nie śmiały zdać z nich sprawy bezstronnie; inne nie przedstawiły w nich nic groźnego; aby niebezpieczeństwa nie przesadzać, wolały ukryć je przed społeczeństwem.

Tymczasem zjazd ten dotknął najżywotniejszych spraw społecznych i uchwalił o nich długi ciąg wniosków bardzo doniosłych. *Przegląd Powszechny,* jak nie opisuje jakichbądź zjazdów i nie donosi o każdym ruchu w łonie któregobądź stronnictwa, tak z drugiej strony musi śledzić objawy ruchu społecznego, zdolne po latach może już niedługich wywołać groźne następstwa. Z tego powodu wypada tu zwrócić uwagę baczną na narady socyalistów w Przemyślu.

Aby nie opierać niniejszych uwag na opisach stronniczo nieprzychylnych, albo dostarczonych z drugiej ręki, można korzystać ze świadectw o tym zjeździe, złożonych przez jego uczestników i wyznawców haseł socyalistycznych w *Naprzodzie,* w nrach 4-m i nast. z r. 1903.

Czytelnik znajdzie tam naprzód prawdę szczerze wyznaną o poprzednich wiecach: „Pomimo celów dalekich, do których

ta organizacya proletaryatu dąży, nie było fantastyczności w obradach; trzymano się raczej nudnej i drobiazgowej ‚rzeczywistości'— robiono robotę praktyczną". Tak... pominięto pracę o dobrobyt nędzarzy; skrócono zasadnicze rozprawy o ustroju przyszłego społeczeństwa, w którem ma zniknąć bieda i krzywda ludzka, i odstawiono na wolniejszą chwilę podobne teorye, jako daleki kres przyszłych trosk, a wytężono siły do pracy najbliższej: sprawnie uświadomiano o potrzebie zemsty za krzywdę, zbierano pieniądze na wydawnictwo przewrotowe i na zapomogi tymczasowe dla obałamuconych, wyznaczano stanowiska dla podżegaczy między ludem miejskim i wiejskim... Taką samą robotę praktyczną zapowiadał *Naprzód* przed zjazdem przemyskim, mianowicie oświadczał, że: „Po dokonaniu w r. 1901 roboty organizacyjnej, należy teraz pomyśleć o środkach pieniężnych... Drugą sprawą jest szersze rozprzestrzenienie prasy robotniczej... Nakoniec strejk rolny wymaga programu i taktyki na wsi, organizacyi zajętej wyłącznie ruchem chłopskim". Aby przecież nie zupełnie przemilczeć o zamiarach, niby to najważniejszych, chociaż odkładanych na daleką metę, zjazd zapowiadał, że nie pominie sprawy ubezpieczenia na starość i kalectwo.

Przy obradach o treści tak zapowiedzianej przewidywać można było, że rozprawy pójdą tokiem mów wypowiadanych przez wodzów do wojska tuż przed bitwą: więc uczestnicy zjazdu wyjdą z niego nie o wiele głębiej wtajemniczeni w dalekie zamiary zarządu i pouczeni o sprawie rozumniej, ale o wiele silniej rozpaleni i dokładniej przygotowani do pracy najbliższej, zaopatrzeni hojniej w środki i pełniejsi otuchy.

Istotnie ludzie do czynu skorzy bardziej, niż skłonni do rozwagi, znaleźli w całym nastroju obrad wiele podniety i zachęt do ślepego posłuszeństwa Zarządowi z wielką nadzieją zwycięstwa. Na wrażliwe umysły działał widok siedmdziesięciu kilku przywódców ruchu otoczonych licznym zastępem gości z pośród towarzyszy i towarzyszek przemyskich. Obszerne miejsce narad, obwieszone portretami najgłośniejszych przewrotowców, mównica przystrojona krwawemi barwami, stół sprawozdawców

zajęty przez dziennikarzy ze Lwowa, Krakowa i Wiednia: oto tło, na którem wystąpić mieli mowcy, aby nie o dalekich mrzonkach toczyć spór naukowy, ale rozprawiać o walce uchwytnej, zaopatrzyć oddziały w broń i wysłać je na stanowiska.

Członek Zarządu, tow. Misiołek zagaił obrady wzmianką, że stosunki wymagały zjazdu prędzej, niż ustawy przepisują. Sprawozdawca z tych słów w *Naprzodzie* nie wyjaśnia, co to za stosunki potrzebują nowych narad już w półtora roku po zjeździe poprzednim. W dalszym ciągu mowca wskazał „na ważność spraw, zamieszczonych na porządku dziennym", tow. Daszyński wniósł, żeby zgromadzeni przyjęli ten porządek, a tow. Schiffler żądał, żeby w nim opuścić ustęp o międzynarodowym zjeździe. Sprawozdawca *Naprzodu* nie wypisuje treści tego porządku, ani nie nadmienia, czy kto wogóle dał poznać zgromadzonym ów porządek, nad którym głosować mieli; wylicza tylko rzeczone wnioski towarzyszów i między nimi przytacza listy socyalistów z Ameryki i Czech, wiernie powtarza za listem z Ameryki okrzyki: niech żyje dzielny poseł tow. Daszyński! Niech żyje Polska socyalistyczna! i t. d., zaznacza, że zgromadzeni oklaskiwali żywo listy rzeczone, że w ciągu tych wniosków, listów i oklasków przemawiał jeszcze przedstawiciel socyalizmu na Rusi i tow. Daszyński podał wniosek, żeby osobny wydział sprawdzał mandaty przedstawicieli zgromadzonych; po tych wszystkich szczegółach sprawozdawca donosi, że zgromadzeni uchwalili wnioski tow. Daszyńskiego z poprawką tow. Schifflera.

Na pochwałę zasługuje *Naprzód*, iż wysłał na zjazd sprawozdawcę, który opisuje tok rozpraw wiernie, i nie usiłuje nadawać pozorów porządku obradom prowadzonym bez widocznego porządku.

Następnie przeszedł zjazd do porządku dziennego, którego pierwszy ustęp nosi nagłówek: Sprawozdanie zarządu partyjnego.

Kto czytywał pisma czerwone, ten wiedzieć może, że od półtora roku tak samo jak przedtem, socyaliści w niczem nie polepszyli bytu nędzarzy, więc wie z góry, że Zarząd nie mógł zdać sprawy z żadnej poprawy stosunków, dokonanej pod hasłem

przewrotu po zjeździe przedostatnim. Istotnie tę prawdę wyznał Zarząd, chociaż ubrał ją w słowa nie bardzo zrozumiałe, bo napisał: „wielkich, nadzwyczajnych zwycięstw wykazać nie możemy, wskazać nam również trudno na znaczny rozwój klasy robotniczej w tym czasie w jej położeniu ekonomicznem, w jej ogólnej stopie życiowej“... Do tych słów mógł Zarząd nic nie dodawać: wolał dodać przyczynę tego braku pracy dodatniej i wypowiedział ją zręcznie...

Dlaczegóż to socyalizm, mimo tylu obietnic, nie pomógł robotnikom do rozwoju w ich stanie ekonomicznym? czemu nie podniósł ich dobrobytu, czyli nie podwyższył ich ogólnej stopy życiowej?

Otwarta odpowiedź brzmiałaby krótko: bo socyaliści nie mają rzetelnego programu i nie chcą używać zbawiennych wpływów moralnych, aby ocucić sumienie krzywdzicieli, a nie posiadają fizycznych sił, aby ich zmusić przemocą do sprawiedliwej ugody z nędzarzami. Słowem: socyalizm nie zdziałał nic, bo nie mógł. Zamiast tej jasnej odpowiedzi, Zarząd winę zwala na kryzys ekonomiczną, stowarzyszoną z krwiożerczymi popędami społeczeństwa, i opartą o militaryzm, która lekceważy życie robotników na ulicach Lwowa, w podziemiach Borysławia, a na Rusi urządza nagonkę na chłopa polskiego i ruskiego, strąbuje wojsko wszelkiej broni, żandarmeryę, prokuratoryę a nawet sądy, i na ranę społeczeństwa przykłada plaster w postaci wyroku na pobyt w kaźni. „Oto najkrwawsze momenty doli ludowej w minionym okresie!“ Tak mówi Zarząd, a czytelnik może myśli: „Oto socyalizm przeciera oczy rychło w czas, aby spostrzedz, że liberalne państwo bagnetami będzie broniło swoich porządków przed zemstą nędzarzy! Mógł dawno przewidzieć, że zmarnuje krew ludzką na rozruchach lwowskich i na ruskim strejku żniwiarzy!“

Niech tego czytelnik nie myśli: jeszcze socyalizm nie przetarł oczu na potrzebę walki innej, niż ta, w której krew ludzka płynie z winy podżegaczy.

Zamiast spostrzedz, że na tle przemocy liberalizmu ciągle musi stać obraz nędzy warstw upośledzonych, zamiast wyznać,

że przy takich stosunkach socyalizm może tylko budzić coraz skuteczniej świadomość potrzeb, ale nie zaspokoi niczem tych potrzeb namacalnych, Zarząd wysnuł taki wniosek:

„Zrozumieć nie trudno, że na takiem tle ogólnem, przy takich szczególnych galicyjskich stosunkach budzenie świadomości ludowej, rozpętanie walki klasowej, uświadamiająca praca socyalno-demokratyczna, niezmiernie trudna i uciążliwa. Ten kąt widzenia, gdy go towarzysze przyjmą, usprawiedliwi niejeden brak... Jeśli wśród ogólnego bezrobocia i nędzy nie straciliśmy żadnej placówki robotniczej, jeśli owszem w wielu miejscach powstały nowe organizacye — te zarodki dobrobytu (!?) klasy robotniczej i jej uświadomienia, to i tak możemy się poszczycić i z pewnem zadowoleniem na ubiegły czas spoglądnąć".

Dalsze słowa sprawozdawcy zarządowego zawierały krasomówcze przechwałki, przelewane z pustego w próżne. To też tow. Misiołek uważał za stosowne uzupełnić pismo sprawozdawcze przemową, w której zaznaczył, że

„mimo ciężkich warunków partya od ostatniego kongresu zyskała kilka nowych placówek. Uchwała kongresu poprzedniego co do sekretarza partyjnego nie mogła zostać wykonaną dla braku funduszów. Natomiast przeprowadził Komitet Wykonawczy uchwały co do wznowienia wydawnictwa „Latarnia". Sprawa założenia archiwum partyjnego wyszła już poza stadyum początkowych przygotowań; wybór tow. Daszyńskiego do krakowskiej rady miejskiej i Hudeca do lwowskiej z klas uprzywilejowanych wyborców jest w każdym razie zwycięstwem idei socyalistycznej. W sprawie czerwcowych zajść lwowskich, katastrofy w Borysławiu i strejków chłopskich, wydał Komitet Wykonawczy odezwy wzywające do składek. Zebrano też pokaźne sumy... Komitet Wykonawczy nie zdoła, mimo usilnej pracy, wymienić szczegółowo liczby wieców i zgromadzeń: poza okręgiem lwowskim odbyło stronnictwo 385 publicznych zgromadzeń ludowych..."

Gdyby tow. Misiołek przemawiał do innych słuchaczów, mógłby tknąć nieszczęsny okręg lwowski i jego sprawozdawców, którzy nie przysłali w czas potrzebnych pism: mógłby nie wywołać przez to sporu, który nieprzychylnym socyalizmowi dziennikom posłużył za dowód, że w łonie socyalizmu panuje rozstrój, zapowiedź upadku. Tow. Misiołek nie bardzo ważył, co przed kim może powiedzieć; pragnął dla socyalizmu chluby z liczby odkrytych wieców, ale mógł wymienić ich tylko blisko czterechset prócz lwowskich. Ubliżył przeto okręgowi lwow-

skiemu, który swoich wieców nie wyliczył. Taką obrazą poruszeni przedstawiciele Lwowa powstali przeciw sprawozdawcy i znaleźli przy sobie towarzyszy, którzy także poczytywali za swoją urazę ujemne światło, rzucone na stolicę kraju.

Tow. Salamander (Lwów) uważał sprawozdawczą pracę tow. Misiołka za niedostateczną, bo Lwów wcale nie zasługuje na takie nagany, skoro posiada organizacyę bardzo ruchliwą. Nikt nie odparł, że organizator najruchliwszy może nie lubieć pióra... Tow. Bruśniak (Lwów) odpłacił tow. Misiołkowi za zarzut zarzutem innym, że mianowicie coś się zrobiło z pieniędzmi, zebranemi na strejk, a które nie doszły do właściwego miejsca. Tow. Menkes (Lwów) zarzucił, że trzeba było przedstawicielom do rąk dać pismo sprawozdawcze przed zjazdem, a nie dopiero uroczyście przy gościach wywlekać sprawę. Tow. Wilczyński (Stanisławów) powtórzył, że wina leży po stronie Lwowa. Tow. poseł Daszyński ostro potępił Lwów, który jakoby z wyłącznego prawa zostawia listy bez odpowiedzi. Tow. Teller (Lwów) dowodził, że nie wszyscy lwowscy towarzysze odpowiadają za możliwe w ich okręgu nieporządki. Tow. Pelzling (Rzeszów) przecie przemówił w obronie sprawozdawcy i wniósł, żeby zjazd uznał jego pracę za dostateczną.

Wobec tego wniosku stanowczego ustała różnica sądów: widocznie nie objawiała istotnej rozterki między umysłami, którą chcieli w niej upatrzyć nieżyczliwi dziennikarze; wniosek przeszedł j e d n o g ł o ś n i e.

Następnie tow. poseł Daszyński zdał sprawę ze swoich prac poselskich.

Zaraz z początku przestrzegł, że zda sprawę skromnie i przeszedł na opis stosunków w parlamencie, w którym po obietnicach rządowych nie może kraj nasz zdobyć nawet kanału z Krakowa do Odry. Podniósł następnie, że w czasie feryi parlamentarnych socyaliści pracowali usilnie, aby poruszyć lud w sprawie ubezpieczeń na starość, ale i tę sprawę rząd odłożył aż do pory gruszek na wierzbie. Wspomniał dalej, że „jesień upłynęła pod znakiem odrodzin parlamentu“. W dalszym ciągu mówił, że w czasie rozprawy budżetowej socyaliści wytargowali dwie mowy i potępili gospodarkę w Galicyi. Przy rozprawie o poborze do wojska mowca wystąpił ze szczegółami zebranemi przez tow. Regera, a które zadziwiały nawet zawodowych znawców w ministe-

ryum. „Mając takie dowody jaskrawe, — ciągnie tow. poseł, — mogłem mówić w sposób spokojny, tylko dwóch hrabiów węgierskich chciało mię wyzwać na pojedynek, ale mowa poskutkowała: pomogła tow. Marglowi ujść szponów wojskowości“. Dalej wykazał, że w ubiegłym roku przeszła uchwała o dziewięcio-godzinnym dniu roboczym dla górników, a tylko smutne stosunki zawiniły, iż socyalizm nie zakwitnął między górnikami w zagłębiu ostrawskiem. Mowca przedstawił potem, że po rozprawach budżetowych odżyła stara Austrya z łapówkami i sporem narodowościowym, ale w tej mierze socyaliści stoją niezmiennie na stanowisku programu berlińskiego.

Musiał także zaznaczyć tow. poseł Daszyński, że nie dał się uwieść demagogii, ani nie dbał o poklask pism burżoazyjnych, kiedy wystąpił przeciw rządowi pruskiemu za jego prześladowcze stanowisko względem polskiego narodu. Zatem zaznaczył, że nie poszedł śladami Klofacza, więc za tanie pieniądze nie kupuje oklasków, niezdolnych olśnić świata, ale co roku bierze udział w burzy sam jeden, jako socyalista, przeciw całej orkiestrze Koła Polskiego. Miał mowca dwie takie przeprawy: pierwszą po wyborach sejmowych, które np. w Jaśle były wielkiem oszustwem, drogą po strejkach rolnych, w której zdobył zasługę, iż Głąbińskiego po jego napaściach na drugi dzień parlament osądził. Tedy Głąbiński stracił odwagę do drugiej mowy i wydał rozprawę, na którą socyalizm praktycznie nie może przystać, bo wyodrębniona Galicya zdusiłaby ruch proletaryatu.

W końcu musiał tow. Daszyński poruszyć jeszcze sprawy poniekąd osobiste. Przedstawił, że ze sił upada z pracy poza parlamentem: u niego pomocy szukają setki pokrzywdzonych, których nie może odprawić. Koło polskie nigdy nie wystąpi przeciw krzywdom wyrządzanym przez magnatów albo biurokracyę; mówi pokrzywdzonym: „Idźcie do Daszyńskiego!“ Stąd przychodzi do niego po trzydzieści listów dziennie z grubym załącznikiem dowodowym. Znalazł przed sobą także królewskie córki z prośbami, ale to nie jego wina, bo była tam rzeczywista krzywda. Dobrze, że i królewscy potomkowie poznają jedynych obrońców pokrzywdzonego tylko w socyalnej demokracyi.

Ta mowa sprawozdawcza posła Daszyńskiego zajęła głównie słuchaczy w pierwszym dniu zjazdu i podniosła ich mocno na duchu. Czytelnik tych słów może nie rozumie, co w treści tej mowy mogło wyglądać za wielką zdobycz dla proletaryatu, za wielki postęp teoryi socyalistycznej; zapomina, że zasadnicza praca nad poprawą stosunków społecznych i wszelka teorya należą do dalekich kresów pracy, którą kiedyś weźmie na siebie socyalizm, kiedy znajdzie sposobną porę po latach czy wiekach; tymczasem socyaliści zamyślają jedynie uświadomić lud o tem, że jemu źle, i że sami tylko socyaliści o nim mówią i piszą.

Wszystkie tedy ustępy sprawozdawczej mowy dążyły do tej myśli jednej i sprawiły skutek pożądany: słuchacze zobaczyli, że tow. poseł Daszyński mówił o nich we Wiedniu, nagradzali różne ustępy jego mowy hucznymi oklaskami, a nakoniec z najlepszą otuchą wskutek jego wymowy polecali jego opiece różne sprawy, które im leżały na sercu.

Więc tow. Salamander z tow. Schlechterem prosili o jego opiekę nad Żydami w Rumunii; tow. Dzwonkowski z tow. Wilczyńskim oświadczyli, że poseł Daszyński jest bezsprzecznie nie tylko w Galicyi, ale też w całym parlamencie austryackim najznakomitszym mówcą, więc polecali jego względom najważniejsze czynniki, które rozstrzygają o politycznych stosunkach w kraju; tow. Menkes zagadnął, ile prawdy tkwi w pogłosce, że tow. poseł Daszyński jest za bezwzględnem święceniem niedzieli nawet przez Żydów? Tow. Neiss poruczył jego pamięci kapeluszników, tow. Tewel piekarzy, tow. Brojde zniesioną w Tarnopolu *Brüderlichkeit,* tow. Szminda robotników bez pracy w Borysławiu, inni inne swoje troski.

Zagadywany, tow. poseł Daszyński na wszystkie strony odpowiadał i dodawał otuchy, że socyaliści szczerze myślą i mówią we Wiedniu o sprawach poruszanych, a tylko dlatego nie dokazali wiele, bo niestety zrobić się nic nie dało. Co zdołali własną siłą i spójnią zdobyć zecerzy, to nie przechodzi siły innych towarzyszy, np. kapeluszników. Tak pocieszani jedni po drugich i przekonywani, że z wyjątkiem drobnych ulg nic dotąd nie pozwoliły zdobyć stosunki, oklaskiwali mó[illegible] który zakończył otwartą odpowiedzią, że socyalistyczne [illegible] posłów we Wiedniu rozporządza tylko dziesięciu głosami, [illegible] ani samo nie zdoła niczego przeprowadzić, ani na innych [illegible], chyba w sprawie, która wszystkich porusza.

„Chciałbym tu, — dodał tow. Daszyński, — zwrócić uwagę na jedno. Coraz częściej odzywają się głosy: pan Breiter się tem zajął, więc Daszyński musi także się tem zająć. Wobec tego w imieniu swojem i wszystkich obecnych tu delegatów z całego kraju oświadczam: tego nikt się po nas nie doczeka, abyśmy małpowali pana Breitera! Nikt z nas nie pójdzie za przykładem breiterowskiej demagogii ulicznej, bo my zawsze i wszędzie kierujemy się rzeczowymi motywami!“ Po tych

słowach mowca rozwinął obraz przeszkód, z któremi walczy w parlamencie. Wraz z towarzyszami uśmiercał już tysiące razy i uśmierca codziennie przekupstwo i przemoc, a jedno i drugie odradza się bez ustanku. Nie można sił zużywać wyłącznie na walkę przeciw Kołu Polskiemu. Nie można przemawiać do ministra d-ra Koerbera „argumentami“ takimi samymi, jakie służyły przeciw Badeniemu i Thunowi. Nie można ministrów codziennie wyrzucać za drzwi. Mowca właściwie nie dostrzega zasadniczej różnicy między poglądami swoimi a poglądami tow. Dzwonkowskiego; mowę jego poleca odbić w dziesiątkach tysięcy i rozszerzyć po kraju; prosi, żeby zgromadzeni tę mowę uznali za stosowną i obiecuje nadal korzystać z każdej chwili sposobnej do wniosków nagłych.

Przez tę przemowę poseł Daszyński stanął na czele zjazdu i wypowiedział jego myśl przewodnią. Dlatego też na jego przemowę głównie zwróciło uwagę dziennikarstwo nasze, a raczej ta jego część nieznaczna, która zdawała sprawę z obrad przemyskich. Ale ci sprawozdawcy tak przedstawili tow. Daszyńskiego z jego mową, jak spoglądają na socyalizm w Polsce: widzą w nim coś, o czem nie wypada pisać poważniej, trzeba tylko okazywać dla niego niechętną pogardę. Więc społeczeństwo polskie, które nie czytuje takich pism jak *Naprzód*, znalazło w czasopismach, które czytuje, albo tyle co nic, albo opis narad przemyskich podobniejszy do karykatury, niż do przestrogi przed niebezpieczeństwem, które nad niem zawisło.

W śmiech obracać i w karykaturę zmieniać czyjeś słowa z pożytkiem dla niego może ten, kto w jego oczach posiada jakąś powagę. Może tym orężem pogardliwego szyderstwa pokonać guwernantka niesfornego dzieciaka z jego zachciankami, ale tem lekarstwem już nie wyleczy z uporu dorosłego mężczyzny, bo na jego rozum już nie posiada wpływu. Gdyby socyalizm czuł cześć niemowlęcą przed naszymi dziennikami, to mógłby ktoś z powodzeniem wyśmiewać socyalistów za oklaski, które spotykały niejeden ustęp ze sprawozdawczej mowy tow. Daszyńskiego, — mógłby im wytykać brak zasad głębszych i różnicę w głębszych poglądach, w których tow. Dzwonkowski odbiegł od przywódcy socyalizmu polskiego. Łatwo wyśmiać socyalistów, iż przestali od swojego posła żądać pracy dodatniej i hucznie oklaskiwali skromny plon jego pracy przez niego przedstawiony: zabiegi jego w Izbie, gdzie panują stosunki,

przy których nie można Krakowa połączyć z Odrą — parlamentarne ferye, przy których socyaliści poruszyli sprawę ubezpieczenia robotników usilnie ale daremnie, bo nie zdobyli ustawy po swojej myśli — mowę przeciw poborowi do wojska, która naraziła posła dwom Węgrom i uwolniła od wojska tow. Margla— występ przeciw Prusakom, w którym tow. Daszyński nie naśladował Klofacza — przemowę przeciw Głąbińskiemu, która z jego strony wywołała nie drugą mowę, tylko książkę, odrzuconą przez socyalistów — nakoniec pracę poza parlamentem, gdzie codziennie trzeba załatwiać po 30 próśb, podawanych nawet przez córki królewskie. Łatwo tę mowę przedstawić jako objaw rozkładu w stronnictwie czerwonem. Łatwo wykryć brak jednolicie wyrobionych zasad wśród uczestników zjazdu i wykazać, że głosy ich brzmiały jakby niedostrojone struny, które nadały piętno nieporządku obradom. Ale wszystkie rozstroje w poglądach zasadniczych dotyczą zwłaszcza tej dziedziny myśli, o którą polski socyalizm dba najmniej. Nie ogłosili socyaliści zjazdu, aby wykładać na nim logikę czy ekonomię polityczną, albo rozprawiać o wnioskach naukowych. Gdyby zapowiedzieli taki zjazd, możnaby ich dotknąć zarzutem, że nie podołają obowiązkom ludzi uczonych, nie okazują wiele logiki, nie dochodzą do zgodnej teoryi. Ale socyaliści odbyli narady praktyczne; ten i ów między nimi dotknął przy rozprawie jakiejś zasady głębszej i spotkał przeciwników; ale te przeciwieństwa nie naruszyły wcale ich zgody w praktyce. Mimo odmiennych poglądów zasadniczych, mimo zarzutów i wymówek, wszyscy jednogłośnie przystawali na ostateczne wnioski i z hucznymi oklaskami otaczali swojego przywódcę.

I na widok tej zgody między nimi w praktyce a niedbalstwa o dalekie teorye powstać powinien wniosek zupełnie przeciwny niż ten, który pociesza dziennikarzy na wpół zachowawczych a nawpół wolnomyślnych. Ci wyprowadzają z braku ustalonej teoryi wniosek, że socyaliści sami nie zdołają powiedzieć, co kiedyś poczną: więc niczego nie dokażą groźnego. Owszem, gdyby polscy socyaliści zaprzątali sobie dziś głowę teoryami zamiast przygotowywać czyn, wtedy właśnie słusznie wnosili-

byśmy, że nie grożą społeczeństwu żadnem niebezpieczeństwem, bo ani za sto lat Polacy nie wymyślą nic praktycznego, kiedy utoną w sporach teoretycznych. Otóż właśnie socyaliści przeskoczyli odrazu tę przeszkodę, która nam, narodowi marzycieli, zagradza drogę do czynu: nie przy stosach ksiąg czas spędzają, nie na akademickich rozprawach walczą z doktrynerami o utopie, nie rozdzielają między sobą tek ministeryalnych w przyszłej rzeczypospolitej polskiej, ani nie rozdają szlif oficerom bez wojska, tylko zbierają tłumy zapalonych zastępów gotowych przewrócić obecny ustrój i zajętych tylko myślą, co dziś mają dokonać, a nie co potem będzie. I w tej ich spójni praktycznej, i w ich twardej, żelaznej pięści podniesionej do dzieła tkwi niebezpieczeństwo dla społeczeństwa; a karykatury robione z braku ich logiki i z nieutartych między nimi pojęć zasadniczych nie zapobiegną temu niebezpieczeństwu, owszem, ułatwiają jego wybuch tem groźniejszy, im mniej przewidziany wśród społeczeństwa spokojnie usypianego.

Tak przeszedł pierwszy dzień zjazdu.

Na drugi dzień tow. Schiffler przewodniczył obradom, toczonym w sprawie prasy i roboty socyalistycznej między ludem wiejskim.

Obrady w tym dniu zaczęte o godzinie 9-ej rano, trwały do 2-ej po północy z dwiema przerwami, które wynosiły półczwartej godziny, zatem przez półczternastej godziny wytrwali socyaliści w pracy. Znaczna tedy liczba mowców miała czas, by zabrać głos, stawiać wnioski, poprawki i zarzuty. Nie dziw, że w zapale rozprawy umysły zmęczone tylu godzinami uwagi, odbiegały nieraz od przedmiotu, albo broniły zasad niedość przetrawionych. Wygadali przecie każdy co chciał, i zgodnie przyjęli następne uchwały:

1. Wniosek komitetu wykonawczego:

„Kongres przyjmuje do wiadomości sprawozdanie Komitetu Wykonawczego o stanie pism *Naprzód, Prawo ludu* i *Latarnia.*

„Kongres poleca wszystkim towarzyszom i organizacyom energiczniejsze — niż dotąd — wspieranie tych pism pomocą pieniężną przez składki, jednanie abonentów i kolportaż, oraz pomocą moralną przez

nadsyłanie wszelkich informacyi, korespondencyi i artykułów, mogących pisma te zrobić organami proletaryatu w całym kraju.

„Kongres poleca Komitetowi wykonawczemu wzięcie pod rozwagę projektu wydawania popularnego tygodnika przy *Naprzodzie,* nadającego się do masowego rozszerzania wśród uboższej ludności robotniczej, — ze zmianą nagłówka dla Galicyi i Śląska".

2. Wniosek tow. Daszyńskiego: „Kongres uchwala:

po pierwsze: poleca się towarzyszom z komitetów partyjnych, aby wszędzie w swoich miejscowościach urządzili planową kolportaż pism partyjnych co niedziela i co święto pod odpowiedzialnością komitetu;

powtóre: poleca się organizacyom zawodowym, ażeby umówiły się z egzekutywą o ilości obowiązkowych egzemplarzy *Naprzodu* dla członków stowarzyszeń;

po trzecie; poleca się egzekutywie, aby porozumiała się z organizacyą lwowską celem energicznego rozszerzania *Naprzodu* i pism partyjnych we Lwowie".

3. Wniosek tow. Fasta:

„Kongres wzywa towarzyszów, aby w każdej miejscowości zwoływali zgromadzenia w sprawie prasy partyjnej i w ten sposób agitowali za jej rozszerzeniem".

4. Wniosek tow. dr-a Diamanda:

„Ze względu, że dzieci robotników skazane są na czytanie klerykalnych gazetek dziecięcych, wzywa zjazd egzekutywę, by rozważyła myśl założenia pisemka dla młodzieży".

Dalej Zarządowi stronnictwa zjazd polecił rozpatrzyć wnioski następne:

1. Wniosek Komitetu krakowskiego:

a) Kongres poleca Komitetowi Wykonawczemu zająć się wydawnictwem broszur, omawiających krytycznie z socyalistycznego punktu widzenia atrybucye sejmu i rad gminnych, tudzież zająć się przedyskutowaniem w prasie partyjnej programu do powyższych ciał, tak, by na porządku dziennym następnego kongresu mogły być już postawione odpowiednie wnioski.

b) „Wobec tego, że polska partya socyalno-demokratyczna dla Galicyi i Śląska nie posiada obecnie popularnego pisma naukowego, że wydawane przez P(olską) P(artyę) S(ocyalną) zaboru rosyjskiego *Światło,* nie odpowiada w zupełności wymogom towarzyszów pod zaborem austryackim — kongres uznaje potrzebę takiego pisma i dla zaboru austryackiego i poleca Komitetowi Wykonawczemu porozumienie się z P. P. S. zaboru rosyjskiego, celem uprzystępnienia tego pisma w treści i cenie dla wszystkich trzech zaborów Polski".

2. Wniosek Komitetu Wykonawczego Związku socyalistów polskich Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki:

„Komitet Wykonawczy Związku socyalistów polskich w Stanach Zjednoczonych proponuje utworzenie głównego biura pośrednictwa w zby-

waniu partyjnych wydawnictw galicyjskich na Amerykę, a to przy administracyi *Robotnika* w Chicago lub też przy Komitecie Wykonawczym Z(wiązku) S(ocyalistow) P(olskich) w Stanach Zjednoczonych".

3. Wniosek tow. Stengla:

„Zważywszy, że agitacya wśród mas żydowskich musi najczęściej być prowadzona w żargonie, dalej, że taka agitacya ma inny, specyalny charakter, który się domaga najczęściej podzielenia tej pracy, zważywszy dalej, że w interesie rozwoju myśli i tendencyi socyalistycznej wśród mas żydowskich, agitacya taka jest koniecznie potrzebna, uchwala kongres założenie miesięcznika w formie *Latarni* (w żargonie).

Celem zapoznania mas żydowskich z programem socyalistycznym, należy przetłumaczyć program w żargonie (uchwała ta już przeszła przez kongres krakowski i lwowski) i postarać się, aby ten program najdalej do 1-go kwietnia był gotowy".

Tow. Besen do tego wniosku dodał poprawkę: „w miarę możności", którą zjazd przekazał do uwagi Zarządowi.

4. Wniosek tow. Tad. Regera:

„Wydawnictwo ‚Kalendarza robotniczego' jest stałe i należy do zakresu działania Komitetu Wykonawczego. ‚Kalendarz robotniczy' powinien wychodzić corocznie, regularnie najpóźniej z końcem lipca [1].

„Poleca się Komitetowi Wykonawczemu, aby się zajął wydawnictwem Kalendarza kieszonkowego dla robotników".

W ciągu obrad nad pracą piśmienniczą, rozprawa zeszła na tory, na których nie można jej było toczyć dalej przy świadkach. Zatem tow. Schiffler zarządził naradę poufną, w ciągu której tow. Daszyński przedstawił stan finansowy wydawnictw i wzywał usilnie, żeby towarzysze rozszerzali te wydawnictwa.

Po dłuższej przerwie zjazd słuchał mowy tow. posła Daszyńskiego o robocie socyalistycznej na wsi. Nie miejsce tu powtarzać całą mowę; wystarczą jej ustępy przewodnie:

„Po raz pierwszy w r. 1896-m zmusiły nas wybory z V-ej kuryi zbliżyć się do chłopa...

„Agitacya ta szła różnemi drogami. Przeważnie mówiono do chłopów: ‚Obchodzicie nas tam tylko, gdzie jesteście wyzyskiwani jako najmici, gdzie jesteście pokrzywdzeni przez władze, gdzie krzywda wam się dzieje na polu szkolnictwa i t. d.' Rezultat tej agitacyi był bardzo dobry: zyskaliśmy 12 000 chłopskich głosów w krakowskim okręgu wyborczym, znaleźliśmy w okręgu lwowskim i przemyskim chłopów życzliwie usposobionych dla naszego ruchu...

---

[1] Czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* mieli sposobność ocenić, czego uczy ten Kalendarz. (Z życia i prasy: Domorosły filozof ateizmu. 1902, zeszyt 12).

„Odtąd kwestya chłopska zajmowała nas nieustannie. Rzuciliśmy wśród chłopów wielką ilość broszur... założyliśmy w Krakowie biuro porady prawnej, z której nieustannie korzysta kilka przyległych powiatów.

„Intenzywnie zwrócił uwagę całej partyi na chłopów dopiero wybuch strejków rolnych...

„Agitacya wyborcza pozostawiła na wsi swoje ślady; już dziś chłopi nie boją się ani żandarmów ani księży w tym stopniu, co dawniej. Promień za promieniem dociera do ludności wiejskiej...

„Nikt dziś z jasnym programem na wieś nie idzie, tylko my się do tego zabieramy z całą rozwagą.

„W łonie naszej partyi rozchodzą się poglądy, gdy idzie o chłopa, jako posiadacza...

„Jeżeli tu są pewne różnice poglądów w naszej partyi, to niema najmniejszej różnicy na punkcie strzeżenia interesów chłopów-proletaryuszów. Że dla najmity rolnego domagać się trzeba krótszego dnia roboczego, wyższej płacy, ubezpieczenia na wypadek choroby, starości, niezdolności do pracy i t. d. — pod tym względem panuje wśród nas jedno przekonanie. A zważyć trzeba, że oprócz choćby najuboższych posiadaczy, jest jeszcze olbrzymia klasa bezrolnych, licząca około miliona, żyjąca w najstraszniejszych warunkach. Do klasy tej należy np. służba dworska. A ta klasa, gdyby nam się udało przełamać ordynacyę służbową, poszłaby z nami jak jeden mąż. Z tymi ludźmi czeka nas zupełnie ta sama robota, co z robotnikami miejskimi...

„Jak pod wpływem naszej organizacyi znikło po miastach bicie robotników po twarzy przez majstrów, znęcanie się nad terminatorami i t. d., tak i na wsi, jeżeli damy tym ludziom organizacyę, pisma, adwokatów partyjnych, zniknie to feudalne barbarzyństwo. Mimo teoretycznych trudności, jakie nastręcza kwestya chłopska, to pewne, że do tego miliona ludzi, którzy są jeszcze biedniejsi, jeszcze bardziej wyzyskiwani, gnębieni, niż robotnicy miejscy, znajdziemy drogę i pozyskamy ich dla naszej partyi...

Środki walki klasownej możemy na wsi stosować te same, co u robotników przemysłowych...

„Różnica poglądów zarysowuje się u nas tylko tam, gdzie idzie o obronę chłopa, jako posiadacza, bo tu drogi nie są jeszcze należycie wydeptane. Ale i ta część zadania, jeżeli nie zaraz, to w przyszłości, jeżeli nie w teoryi, to w praktyce zostanie pomyślnie rozwiązaną. A już teraz możemy przecież prowadzić walkę przeciw lichwie, o zabezpieczenie chłopa przed wylewami i t. d.

„Możemy powiedzieć, że osobnego programu agrarnego prawie wcale nam nie potrzeba; tylko jedna część kwestyi trudna jest do rozwiązania teoretycznego, ale nie zajmuje wiele miejsca w całej tej sprawie...

„Strejk chłopski był elementarny, więc obowiązkiem partyi jest dążenie to uświadomić. Jest to więc ta sama taktyka, którą stosowa-

liśmy i stosujemy wobec robotnika przemysłowego. Dalej trzeba stworzyć instytucyę, któraby oprócz teoretycznej pracy nad kwestyą chłopską miała za zadanie przygarnąć chłopa do naszej partyi i w tym celu praktycznie agitować na wsi..."

Obecny jako gość tow. Semen Wityk zabrał głos, aby zaznaczyć, „że na razie nie pozostaje nam nic innego, jak działalność w myśl wywodów i ostatecznych wniosków tow. Daszyńskiego. Dyskusya agrarna o ostateczny jej wynik może jeszcze dwa lub trzy lata pociągnąć, aż dojdziemy do teoretycznego ustalenia programu rolnego...

„My socyalni demokraci musimy organizować, uświadamiać tego chłopa, musimy iść z pochodnią walki klasowej i tylko walki klasowej, byśmy niczego nie utracili z zasad naszych i byśmy się nie dali ogarnąć szowinizmem narodowym. Wiemy, że towarzysze polscy się teraz wezmą do organizacyi chłopskiej w zachodniej Galicyi i wsi polskich we wschodniej. Mnie się zdaje, że ci Mazurzy jakby czekali na kogoś, któryby ich prowadził do walki...

„Ten sposób agitacyi przyjmie się bardzo łatwo na wsi i wyrobi za kilka lat dobre dla nas stosunki...

„Chłop polski nie jest już teraz taki zasłuchany, nie jest tym, który zgubił ‚złoty róg'; ten ‚złoty róg' ma socyalna demokracya".

Również tow. Haecker zaznacza, że dyskusya powinna się obracać więcej w ramach praktycznych, niż teoretycznych. Także tow. Mełeń, jako gość dorzucił uwagę: „Jeżeli się rozchodzi o naszą rolę w akcyi na przyszłość, to przedewszystkiem powinniśmy śledzić ruch wśród chłopów, a tam, gdzieby się objawił ruch strejkowy, powinniśmy się starać go uregulować".

Do głosu było zapisanych jeszcze kilku mowców, ale z powodu spóźnionej pory nocnej rozprawę zamknięto, a do końcowego wywodu przystąpił tow. Daszyński i zapowiedział: „Partya nasza wywiera wpływ dokoła siebie; pójdziemy wszędzie, gdzie się nam otworzy droga do agitacyi i do naszej działalności. Egzekutywa zwróci się wkrótce do komitetów okręgowych z okólnikiem o podanie nazwisk chłopów, z którymi można nawiązać

stosunki. A chodzić nam będzie o chłopów rzeczywistych, a nie o chłopomanów, a ewentualnie zwołamy konferencyę chłopską podczas Wielkiej Nocy".

Nakoniec przeszedł wniosek tow. Daszyńskiego, który poleca pracę socyalistyczną na tle stosunków wynikłych ze strejku żniwiarzy i ciągnie dalej:

„W interesie powodzenia tak jeszcze u nas trudnego środka walki, jak strejk rolny, należy starać się przedewszystkiem o świadomość klasową wśród ludu rolnego polskiego i rusińskiego, a w ślad za tem wzbudzić poczucie solidarności interesów wspólnych ludowi rolnemu obu narodowości. Dokonać tego będzie można tylko w ścisłem porozumieniu z rusko-ukraińską partyą socyalno-demokratyczną w Galicyi...

„Kongres uznaje dalej, że koniecznem jest rozpoczecie energicznej agitacyi, celem zorganizowania i uświadomienia ludu wiejskiego na podstawie jasnego programu...

„Wypracowanie szczegółów pozostawia się Zarządowi partyjnemu."

Po natężonej pracy dnia drugiego, obrady na trzeci dzień trwały krócej i doprowadziły do wniosków najbardziej praktycznych; urządziły zwłaszcza sprawę podatku pobieranego od każdego socyalisty.

Zgromadzeni obrali najprzód Wydział Wykonawczy z siedzibą w Krakowie, złożony z tow. Leona Misiołka, d-ra Zygm. Marka, Zygm. Klemensiewicza, Tad. Bobrowskiego i Ign. Grossa. Nadto z urzędu wchodzi w skład Zarządu tow. poseł Daszyński.

Potem przeszły następne uchwały ważniejsze:

„Kongres poleca wszystkim organizacyom i mężom zaufania, aby rozwinęli silną agitacyę celem zdobycia powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania do gmin i sejmu..."

„Kongres uchwala utworzenie osobnego okręgu agitacyjnego w stanisławowskim inspektoracie przemysłowym".

„Kongres wzywa komitety okręgowe, aby rozpoczęły energiczną agitacyę za wprowadzeniem sądów przemysłowych we wszystkich większych miastach prowincyonalnych".

„Kongres uznaje potrzebę agitacyi między robotnikami młodocianymi i kobietami i uchwala: I. Komitety okręgowe mają założyć sto-

warzyszenia robotników młodocianych. II. Zarząd partyjny ma się zająć zwołaniem konferencyi krajowej robotnic".

„Kongres wzywa sejmy krajowe Galicyi, Śląska i Bukowiny, aby korzystając z przysługujących im praw, wystosowały do rządu i parlamentu stanowcze wezwanie, by sprawy ubezpieczenia dla kalek, starców, wdów i sierót już dłużej nie zwlekano".

„Kongres protestuje energicznie przeciwko rozporządzeniu ministeryalnemu z dnia 19 listopada 1902 r., zmierzającemu do zniszczenia organizacyi zawodowych przez zmuszenie ich do przekształcenia się na stowarzyszenia asekuracyjne".

Te uchwały uwieńczyły dzieło zjazdu. Po kilku słowach pożegnalnych zabrzmiały ostre dźwięki bojowej pieśni stronnictwa i zgromadzeni ruszyli z miejsca obrad na pole krwawych odwetów... Poszli krokiem raźnym: i zaraz następne już dnie przyniosły nowinę o kilkunastu wiecach odbytych w różnych okolicach, aby zbierać głosy do gromadnego protestu przeciw nadzorowi rządowemu nad pieniądzmi związków zawodowych.

Czyż w samej rzeczy narady socyalistów w Przemyślu nie zasłużyły na baczniejszą uwagę i nie przestrzegają rozsądnych ludzi o żadnem niebezpieczeństwie?

Zagadnięci odpowiadają z wyrazem twarzy znudzonym ciągle te same słowa: daleko jeszcze socyalistom do jakiejś potęgi zdolnej grozić jakimbądź przewrotem; drogę im zagrodzą tysiące bagnetów!

Tak! socyalistom droga do przewrotu dalsza, niż społeczeństwu do poprawy niesprawiedliwie urządzonych stosunków. Ale socyaliści nie wstrzymani żadną przeszkodą, idą bez odpoczynku naprzód, a społeczeństwo nie idzie wcale, albo stawia żółwie kroki po drodze, w którą Leon XIII nas wzywa.

Ks. K. Czaykowski.

DON LORENZO PEROSI A ORATORYUM MUZYCZNE.

(Dokończenie).

Ponad dotychczasowych twórców oratoryów we Francyi wzniósł się i przewyższa ich znacznie Cezar Franck, mało ceniony za życia, a dzisiaj uwielbiany ogólnie w Paryżu i za granicą. W swych dwóch pierwszych oratoryach „Ruth“ i „Rebeka“ zachował jeszcze tradycye klasyczne; żywioł liryczny łączy się w nich z opowiadaniem i akcyą dramatyczną; melodya wdzięczna i prosta, harmonie dobrane, instrumentacya szlachetna a przytem bogata. Dopiero w dwóch ostatnich oratoryach, któreby właściwie symfoniami na głosy i instrumenty nazwać trzeba, objawia się muzyk *par excellence,* reformator oratoryów w duchu „muzyki czystej“, idealnej, wyzwolonej.

W jego *Redemption* (1875) przebija mistycyzm dosięgający szczytu w serafickich pieniach aniołów[1]. Obok nuty radosnej odzywają się one akcentami serdecznego współczucia dla nędzy ludzkiej, której radeby nieść ulgę i ukojenie.

Wyżej jeszcze pod względem natchnienia i mistrzostwa stoi ostatnie oratoryum Francka *Les Béatitudes.* Jest to jedno z najwspanialszych dzieł nowożytnych. „Natchnienie, filozoficzna głębia myśli, uczucie wypowiadają się w olśniewającej ucho szacie instrumentalnej“. W obrazach ośmiu błogosławieństw podaje muzyk-poeta kontrast starego, grzesznego świata z krainą

[1] Ob. *Echo muzyczne* 1902, nr. 49, str. 440.

wiekuistego dobra i piękna. Czwarte „błogosławieństwo“ „przewyższa — mówi Ernest Chansson — wszystko, co Francuzi w muzyce napisali“. „Nikt dotąd — pisze J. Guy Ropartr — boleści pełnej wiary tak nie uwielbił, nikt muzyką nadziei cierpiących dla sprawiedliwości tak nie wyraził, jak Franck w swem ósmem błogosławieństwie“. Czem Beethoven dla symfonii — tem był Franck dla oratoryum. Nie trzyma on się fabuły, opowiadania historycznego, ale w duszy swej tworzy nowy świat gorących uczuć i głębokich myśli z mistycyzmem graniczących. Uczucia te i myśli wyraża tonami dotąd w oratoryum nie słyszanymi. Pierwszy raz znachodzimy w jego oratoryach wagnerowską *unendliche Melodie,* wijącą się jak złota nić przez misterną tkankę instrumentalną. *Béatitudes* Francka i pod tym jeszcze względem na szczególną uwagę zasługują, że cenił je wysoko i studyował często nasz Don Lorenzo Perosi [1].

Także Kamil Saint-Saëns, znany twórca biblijnej opery „Samson i Dalila“ i jeden z najlepszych krytyków muzycznych we Francyi, napisał oratoryum. Jest nim jego „Potop“ napisany r. 1876. Piękna to i poważna praca, pełna epizodów dramatycznych i malowniczych opisów. Kilka ustępów orkiestralnych grywane bywają na lepszych koncertach.

Do dekadentów w rzędzie kompozytorów oratorya piszących należą Massenet i Gounod. Pierwszy z nich ułożył „Maryę Magdalenę“ 1873, „Ewę“ 1875 i „Dziewicę“ *(la Verge),* Gounod zaś napisał *Rédemption* 1882 i *Mors et vita* 1885. De Ménil [2], jeden z lepszych krytyków francuskich, pisze: „Massenet w opracowanych przez siebie epizodach z Pisma św., zatarł zupełnie cechę b o s k o ś c i, przez Ducha św. na nich wyciśniętej, a pochwycił je ze stanowiska czysto l u d z k i e g o; a właściwie k o b i e c e g o. Prawda, że Massenet dziwnie zręcznie rozkłada chóry i wyzyskuje wybornie orkiestrowe siły, — nie można mu jednak przebaczyć niesłychanej zniewieściałości w jego t. zw. dziełach

[1] Ob. Agostino Cameroni: *Lorenzo Perosi ed i suoi primi quattro oratorii.* Bergamo. Stabilimento tipo-litogr. Frat. Bolis, Editori. 1899. Str. 42.

[2] Ob. *Tribune de S. Gervais.* Marzec 1899.

religijnych. Przewrotne pojmowanie charakteru niewiasty, które jego operze „Manon“ (1884) problematyczną w świecie zjednało sławę, psuje jego muzykę religijną, która jużto ze względu na brak myśli, już też ze względu na styl teatralno-sentymentalny religijną zwać się nie może. Wielkość osób i powaga czynności biblijnych niesłychanie przy takiej muzyce się zmniejsza i blednie. Marya Magdalena pozostaje zakochaną zalotnicą, Ewa zmienia się w lunatyczkę; a św. Dziewica zrównana jest z prymadonną prowincyonalnego teatru“.

Gounod jest w „oratoryach“ swych nader słodki, sentymentalny. Kilka zaledwie chórów jego przypomina styl motetów palestrynowskich. Stąd też wspomnianych wyżej utworów jego do oratoryów zaliczyć nie można. Są to miłe i nieźle zresztą ułożone kantaty świeckie.

Wracając do właściwej ojczyzny oratoryów — do Włoch, widzimy tamże budzące się po dwuwiekowej przerwie zainteresowanie się poważną muzyką. Przez dwieście z górą lat lekka opera rej tam wodziła i tłumiła powoli w kompozytorach religijny zapał i wyższe natchnienie. Dopiero przed trzydziestu laty zaczęli Włosi smakować w głębszej muzyce, gdy uczeń Liszta Sgambati z wybornym chórem śpiewaków wykonał w sali Dantego w Rzymie wspomnianego wyżej „Eliasza“ Mendelssohna. Była to dla słuchacza istna uczta duchowa. Chociaż bowiem orkiestra nie bardzo dopisywała, to chóry były tak dzielne, materyał głosowy tak dźwięczny, tak wyborny, że ani jeden z chórów niemieckich mierzyć się z nim pod względem ilości doborowych głosów naówczas nie mógł. Prawda, że to było pod włoskiem niebem, gdzie łagodne i balsamiczne powietrze konserwuje gardła i gdzie mało bardzo piwa piją...

Dość, że rzucone przez Sgambati'ego ziarno padło na żyzną glebę. Nie tylko bowiem koncerty, na których wykonywano oratorya, stały się coraz częstszemi, nie tylko publiczność coraz większe odnosiła z nich korzyści i coraz lepiej rozumiała muzykę poważną, ale i kompozytorowie zaczęli znowu pisać oratorya. Wymienię tu tylko Antoniego Bazzini'ego z jego oratoryami *La Risurrezione di Cristo* i *Senacheribbo*, ks. Jakóba Toma-

dini'ego (1820—1883) z klasycznem iście oratoryum jego: „Zmartwychwstanie Pańskie“ i wreszcie Ludwika Mancinelli'ego, którego „Izajasz“ wykonany był pierwszy raz w Norwiku (1887), a dopiero czternaście lat później w Turynie. Sympatyczna postać Mancinelli'ego znana jest i u nas z występu jego w warszawskiej filharmonii w jesieni 1902. Dał on się tam poznać jako pierwszorzędny „wirtuoz batuty“ i jako genialny kompozytor opery *Isora di Provenza*. Mancinelli, podobnie jak Cezar Franck, idzie własnemi drogami. Nie kopiuje on ani Händla ani Haydna, lecz pisze w duchu nowożytnym; zna dobrze Ryszarda Wagnera, umie zdobycze tego ostatniego w sztuce muzycznej łączyć z lekkością i elegancyą francuską i ogrzać to wszystko żarem włoskiego temperamentu. Oratoryum jego — to symfonia poetyczna, wyrażająca uczucia, jakie w piersi jego się rodziły przy rozważaniu proroczych słów Izajasza, malująca tonami grozy pełnemi zburzenie obozu assyryjskiego, a płacząca nad upadkiem zatwardziałego narodu żydowskiego... [1]

Nie można zakończyć poglądu na rozwój oratoryów nie wspomniawszy trzech wielkich mistrzów, którzy także ten rodzaj muzyki przed ks. Perosim uprawiali — byli nimi: Rubinstein, Liszt i najnowszy z nich Edgard Tinel.

„Stracony raj“ Rubinsteina, napisany r. 1856, przerobiony i wykonany dopiero w dwadzieścia lat później, uchodzi za pierwsze oratoryum w czasie po Mendelsohnie, odznaczające się oryginalnością i zapisujące się głęboko w pamięci słuchaczów [2]. Także i drugie oratoryum Rubinsteina „Wieża Babel“, nazwane przez autora „operą duchowną“, posiada kilka scen nader dramatycznych, zwłaszcza w chórach anielskich, w opisie burzy i piorunów niszczących wieżę i w scenie przedstawiającej żegnające się narody, których języki pomieszane zostały, a z których każdy w inną wędruje świata stronę.

Wybitne miejsce w historyi nowszego oratoryum zajmuje Franciszek Liszt. Bywał on często przy grobie św. Filipa Ne-

[1] Ob. *Gazzeta musicale di Milano*. Anno 57. Nr. 10, 6 marzo 1902 r., str. 138.

[2] Ob. Kretzschmar l. c. str. 262.

reusza w Rzymie. Duch tego świętego założyciela pierwszych oratoryów wpłynął niechybnie na twórczą fantazyę Liszta. Zapewniają nas o tem biografowie jego [1]. Celem oratoryów jego było w pierwszym rzędzie obudzenie i ożywienie uczuć religijnych w słuchaczach. Cel ten osiągnął Liszt zupełnie.

„Legenda o św. Elżbiecie“ — taki jest tytuł jego pierwszego oratoryum — wykonana była z okazyi poświęcenia odrestaurowanego po ośmiuset latach istnienia zamku w Wartburgu. Była ona jakby muzycznem uzupełnieniem nowych fresków Maurycego Schwinda, przedstawiających na ścianach zamku sceny z życia świętej księżniczki. W głównych zarysach swego poetycznego układu przypomina legenda ta oratoryum „Św. Paweł“ Mendelssohna. Opracowanie jej muzyczne jest jednak zupełnie inne, zupełnie nowe, wprost genialne. Pierwszy raz w oratoryach spotykamy się tutaj z wagnerowskiemi *Leitmotive* i *Leitmelodien*, t. j. krótkiemi melodyami, powtarzającemi się w rozmaitych odmianach rytmicznych i w przeróżnych transpozycyach, ilekroć już to jedna z głównych osób w oratoryum ma wystąpić, lub przez chór i orkiestrę ma być opisywaną, albo też gdy w tekście mowa jest o pochodzeniu węgierskiem św. Elżbiety [2]. Liszt czerpał swe leitmotywy ze starożytnych chorałów katolickich — różnią się one pod tym względem od leitmotywów Ryszarda Wagnera, który je z własnej czerpał fantazyi.

Wyżej jeszcze od pierwszego stoi drugie oratoryum Liszta „Chrystus“. Dzieło to rozmaicie bywa sądzone — muzyka w niem nie każdemu się podoba. Nie łatwo też wtajemniczyć się w idee i intencye kompozytora. Trzeba posiadać wiele dobrego smaku i wiele talentu, by zoryentować się w tej nowej zupełnie, dotąd w oratoryach niebywałej muzyce. Od czasów florenckich *nuove*

---

[1] Ob. Kretzschmar l. c. str. 274.

[2] Podobnie użył tego rodzaju leitmotywów I. J. Paderewski w genialnej swej operze „Manru“. Motyw głównego bohatera, motyw „Azy“ i motyw cygański brzmią ciągle w uszach słuchacza — wystarczy choć kilka tylko tonów leitmotywu, by przygotować widza na ukazanie się na scenie albo określonego leitmotywem aktora, albo całego obozu cygańskiego.

musiche Juliusza Caccini'ego i Jakóba Peri z początku siedemnastego wieku historya muzyki nie znała dzieła, któreby od innych w tym samym rodzaju pisanych utworów muzycznych i wogóle od muzyki współczesnej nowością myśli i śmiałością układu tak się odróżniło, jak „Chrystus“ Liszta. Powszechnie dzisiaj znanych form nowej muzyki wokalnej Liszt w oratoryum tem umyślnie mało bardzo używał. Większą część chórów śpiewa się *a capella,* bez towarzyszenia orkiestry. Mało w niem recytatywów; większych solowych aryi tylko dwie, jedna dla barytonu, druga dla mezzosopranu. Melodye i motywa do chórów czerpał Liszt z bogatego skarbca śpiewów liturgicznych nowego Kościoła.

Wzruszająca duszę do głębi jest sekwencya *Stabat Mater* w temże oratoryum. Odróżnia się ona od tylu innych nader licznych opracowań jej muzycznych wielkiem bogactwem instrumentacyi, a przytem prostotą i jasnością melodyi. Słyszysz tam na początku starą naszą pieśń „Ach ja matka tak żałosna“ z „Gorzkich żalów“, naturalnie bez ozdóbek niepotrzebnych (bez sznerkli) u nas przez lud dodawanych, lecz w swej pierwotnej, od wieków przez Kościół rzymski używanej formie. Oratoryum kończy się wielkim chórem Zmartwychwstania: *Resurrexit,* wyrażającym uczucia radości i dziękczynienia [1].

Mała Belgia stanęła z jednym tylko, ale nader dzielnym kompozytorem, w pierwszym rzędzie między narodami uprawiającemi kompozycyę oratoryów. Jest nim Edgar Tinel, uczeń Brassina i Gevaerta, dyrektor szkoły muzycznej w Mechlinie, tudzież inspektor rządowych belgijskich konserwatoryów. Na-

[1] Księżna Karolina Sayn-Wittgenstein w Rzymie podała Lisztowi plan napisania polskiego oratoryum o św. Stanisławie biskupie i męczeniku. Z wielkim zapałem zabrał się Liszt do pracy nad tem trzeciem swem oratoryum. Zbierał nawet w kollegium polskiem w Rzymie stare antyfony i hymny o św. Stanisławie z antyfonarzy piotrkowskich i z kancyonałów. Niestety, praca nad tem dziełem przeciągała się od r. 1875 i przerwaną została śmiercią wielkiego mistrza. Podobno trudności w układzie tekstu sprawiły, że dzieło ukończone nie zostało. Nakładem C. F. Kahnta w Lipsku wyszło tylko *Interludium* i chór *Salve Polonia,* tudzież psalm 129 — *De profundis*, wyrażający pokutę króla Bolesława Śmiałego.

pisał on oratoryum: *Franciscus*. Rzadko kiedy nowe oratoryum w tak krótkim czasie obiegło estrady koncertowe cywilizowanego świata, jak „Św. Franciszek“ Tinela. Był to jakby pochód tryumfalny, przynoszący kompozytorowi sławę i zaszczytne uznanie ze strony pierwszorzędnych powag muzycznych, nie mówiąc o licznych medalach i orderach, które ozdobiły pierś flamandzkiego mistrza. Niektórzy krytycy — między nimi sam Gevaert — ujrzeli w tem oratoryum pomost rzucony nad przepaścią, dzielącą dotychczasowe oratoryum klasyczne od oratoryum przyszłości[1]. Nie chcąc przesądzać, czy zdanie to jest, czy nie jest słusznem (boć już Liszt zerwał z dotychczasową klasyczną tradycyą i nowemi poszedł drogami) winniśmy przecież przyznać mu pierwszorzędne w historyi muzyki miejsce. Dzieli się ono na trzy części. W pierwszej części przedstawia się życie świeckie Franciszka, w drugiej jego życie klasztorne, a w trzeciej śmierć i chwała w niebie.

Ramy niniejszego szkicu nie pozwalają na obszerniejszy opis całego oratoryum. Podnieść przecież wypada przecudny recytatyw *Zacht op Assise komt het avondfloers hernieder*[2], śpiewany przez tenory przy nader delikatnem towarzyszeniu instrumentów. Zdaje ci się, że widzisz cienie wieczorne, zakrywające powoli ziemię i że czujesz rosę spuszczającą się na wzgórza Asyżu. Chóry biesiadujących i tańczących towarzyszów zabaw Franciszka w pierwszej części oratoryum pełne są życia i humoru. Wśród pląsów i wesołych śpiewów odzywa się smętna i rzewna „ballada ubóstwa“ przez Franciszka śpiewana, której od czasu do czasu wtóruje chór biesiadników. Zabawa ustała. Wesołe towarzystwo opuszcza salę. Wśród ciszy nocnej Franciszek słyszy głos aniołów z nieba, powołujący go do porzucenia świata i do poślubienia opuszczonej od wieków *povertade*. Orkiestra cichutko towarzyszy głosowi anioła, a leitmotyw Franciszka, którem zaczęło się oratoryum, wplata się w łamane akordy rzniętych instrumentów. Są w muzyce utwory, na których opi-

[1] Ob. Cameroni l. c. str. 46.

[2] „Cichutko spuszcza się noc na Asyżu łany“.

sanie wyrazów nie starczy. Któż opisze widok zachodzącego w morze słońca! Trzeba koniecznie patrzeć na zachodzące słońce, by mieć o tem wyobrażenie.

Tak samo trzeba słyszeć muzykę Tinela; inaczej i najlepsze opisy blade tylko o niej dadzą pojęcie. W ósmej księdze Odyssei mówi Alkinoos do woźnego: „Zawołaj boskiego śpiewaka Domodoka, gdyż zaprawdę Bóg tylko udzielił mu daru, którym uszczęśliwia serca, gdy duszą jego natchnieniem zapała". Takim darem Bożym, uszczęśliwiającym człowieka, choć tylko przez kilka godzin koncertowych, jest muzyka i śpiew Tinela. Zapomnisz przy niej o troskach życiowych. Choćbyś nawet profanem był w muzyce, przeniesie cię ona w wyższe, nadziemskie sfery. Taki śpiew o słońcu *(hymnus van de zon)* na solo i na chór mieszany w drugiej części oratoryum wprawia w zachwyt słuchaczy — widzisz na ich twarzach radość i szczęście. Melodya „pieśni o miłości" z tejże części brzmiała po wykonaniu oratoryum w Poznaniu przez tygodnie całe w uszach; tak głęboko utkwiła ona w pamięci. Rozpoczynający trzecią część oratoryum chór aniołów, towarzyszy dzwonieniu wieczornemu na Anioł Pański. Srebrzysty ton dzwonka, odzywający się wśród chóru i wśród preludyum orkiestrowego zaprasza do modlitwy. Razem z chórem śpiewasz w duszy „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą".

Chromatyczne tony chóru franciszkańskiego przenoszą nas do celi umierającego św. Franciszka. Po krótkiem, istnie ojcowskiem pożegnaniu się ze swymi synami zakonnymi i zachęceniu ich, by ubóstwo całem sercem umiłowali, Święty umiera. Unoszenie się duszy jego do nieba wyrażone jest interwalem decymy. Chór Aniołów wita św. Franciszka w niebie prześlicznym śpiewem na cztery głosy żeńskie do słów: „Chwała Bogu, iż zaprowadził Franciszka do wiecznej szczęśliwości". Główny temat do chóru tego wzięty z leitmotywu św. Franciszka. Z chórem niebieskim łączy się niezadługo chór męski Franciszkanów, śpiewających nad zwłokami swego patryarchy ponure *Requiem.* Żałobny marsz na samą orkiestrę towarzyszy świętym zwłokom

do grobu. Potężny jest chór końcowy, zamykający wspaniale to największe i najwznioślejsze oratoryum z czasów przed ks. Perosi'm.

III.

Naszkicowana powyżej historya oratoryów poucza nas najpierw, że oratoryum jest jedną z najdoskonalszych i najwznioślejszych form w muzyce czystej i że wszystkich prawie wielkich kompozytorów muzycznych nazwiska z historyą jego są złączone; następnie, że w oratoryum rozróżniać trzeba dwa odrębne żywioły: żywioł liryczny i żywioł dramatyczny, z których pierwszy przeważa w dawnej epoce klasycznej, podczas gdy w ostatnim wieku zastąpiony on został lub przynajmniej usunięty na drugi plan przez żywioł dramatyczny; wreszcie, że w końcu zeszłego wieku zapomniano o pierwotnem wychowawczem przeznaczeniu oratoryów, mających wśród miłej rozrywki pobudzać słuchacza do pobożności, a nadano mu, zwłaszcza we Francyi, charakter świeckich kantat i teatralnych widowisk.

Nawięzując do najstarszej tradycyi włoskiej — otworzonej przez św. Filipa Nereusza z pomocą Jana Animuccia w oratoryum rzymskiem — ks. Perosi przywrócił oratoryom ich wspomniany co dopiero pierwotny charakter ludowy i wychowawczy. Znalazł on w nich wyborny środek do działania na masy w kierunku moralnym i religijnym. Podobnie jak św. Filip Nereusz na grono wybranych uczniów swoich w sali przy kościele S. Maria in Vallicella w Rzymie, tak młody mistrz tonów działa dzisiaj na tysiączne tłumy słuchaczów, pobudzając je do rozważania i pokochania świętych tajemnic naszej wiary. Wzniosłe idee i plany pobożnego kapłana wspaniałe osiągały nieraz rezultaty. Słuchaczy przedtem w rzeczach wiary obojętnych, często nawet bezbożnych, porywał i unosił na falach tonów w świat wyższy, pozaświatowy — obudzał w nich wspomnienia dawnej pobożności, ożywiał młodzieńczą wiarę. Nie chcę przypisywać mistrzowi nadzwyczajnych nawróceń; — nie wątpię jednak, że w niejedną pozytywizmem nowoczesnym zarażoną i zaślepioną duszę rzucił

muzyką swą dobre ziarno, które przy pomocy łaski Bożej obfity plon świętych uczuć i dobrych uczynków wydać mogło.

Jak popularną jest dzisiaj muzyka ks. Perosi'ego we Włoszech świadczy najlepiej okrzyk robotnika, który usłyszawszy w czasie wykonania ostatniego oratoryum *Mosè* w *Salone della Ragione* w Padwie w czerwcu zeszłego roku ustęp opisujący przejście Żydów przez morze czerwone, zawołał: *Io darei tre lire per far ripetere questo passagio del mar rosso* (Dałbym trzy franki za powtórzenie tego przejścia przez morze czerwone). W oratoryach ks. Perosi'ego przeważa żywioł dramatyczny, uwydatniający się nawet w ustępach śpiewanych przez opowiadającego i łączącego chóry pojedyncze t. zw. *storico*. Dawniej posługiwano się w takich razach tylko recytatywem, któremu towarzyszyły akordy w orkiestrze raz po raz się odzywające. *Storico* Perosi'ego nie recytuje lecz śpiewa, a zarazem maluje to, co śpiewając, opowiada, i zapomocą słuchu stawia akcyę przed wyobraźnią słuchającego. *Il mio storico e più cantate è meno recitante* — powiada Perosi[1]. Także instrumenta, które dawniej ograniczały swój udział w oratoryach klasycznych na prostem towarzyszeniu i uzupełnianiu śpiewu, występują w muzyce ks. Perosi'ego samodzielnie i różnorodnemi tonami swemi uwydatniają treść śpiewanego tekstu, wplatając do śpiewu już to nowe zupełnie, już też schumanowskie i wagnerowskie akordy i zwroty harmoniczne, albo rozwijając, gdy śpiew milczy, w cudnych intermezzach ostatnie motywa melodyi i przeprowadzając nieznacznie słuchacza swemi preludyami do następnej melodyi nowy czyn opisującej. Już Hiller w swem „Zburzeniu Jerozolimy“ zaczął, jak widzieliśmy[2], dramatyzować, że tak powiemy, tonami orkiestry. Ks. Perosi rozwinął niesłychanie akcyę instrumentów i podniósł ją do wielkiej doskonałości. Czem była t. zw. *Tonmalerei* u Wagnera i Liszta, tem jest wspominana[3] dzisiaj tak często *rappresentazione musicale* Perosi'ego. Przewyższył on w tym

[1] *Neue Zeitschrift für Musik*, l. c. str. 579.
[2] Ob. *Przegląd Powszechny*, nr. 229, str. 18 na dole.
[3] Ob. Cameroni, l. c. str. 51.

względzie Rubinsteina, a nawet Tinela. Reprezentuje on, t. j. stawia przed oczy przedmiot zapomocą muzyki. Sam na niego jakby w jasnowidzeniu patrzy i sprawia, że drudzy go również jasno widzą. Francuz nazywa to *une sensation du geste.* „Gdy komponuję, — mówi ks. Perosi[1] — jak widzę, tak też piszę. Widziałem i słyszałem aniołów *Alleluja* śpiewających przy Zmartwychwstaniu Pana Jezusa. Pismo św. o tem nic nie mówi; nie wątpię jednak, że aniołowie wtedy śpiewali".

Któż nie patrzy jakby na obraz, słysząc „procesyą" w pierwszej części „Wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy". Odzywa się trąbka ślicznym motywem najpierw z daleka, potem coraz bliżej — słyszysz pobożny śpiew *Benedictus,* który powoli coraz silniejszym się staje, aż w końcu zamienia się w radosny okrzyk: *Hosanna.* Proste melodye i przejrzyste harmonie, jakich tutaj Perosi użył, rzucają jasne światło na cały ten obraz; widzisz jak wspaniała ta procesya oblana różowym fioletem wschodu, zbliża się do bramy świętego miasta Jerozolimy.

Cóż powiedzieć o delikatnych kolorach, jakiemi wymalował podróż świętej Rodziny do Egiptu w oratoryum „Rzeź młodzianków". Nader miły i cichutki śpiew aniołów towarzyszy świętej Rodzinie i błogosławi jej, powtarzając często słowa: *Ite in pace, ite in pace!* Śpiew ten staje się niezadługo nader smutny, gdy aniołowie na wzór Jeremiasza proroka zaczynają wzywać przechodniów, by litowali się nad losem Boskiego Dzieciątka: *O vos omnes, qui transitis per viam, plorate, plorate!* Ile tu boleści, ile żalu! Wtem, jakby mistrz chciał stawić nam przed oczy sprawcę tego smutku, chór męzki intonuje groźne: *Crudelis Herodes!* Ile tu dramatyki, ile pięknych obrazów!

Najpiękniej chyba a zarazem najskromniej wymalował Perosi ofiarowanie baranka wielkanocnego w oratoryum *Mosè.* Śpiewana *pianissimo* przez chór dziecięcy *(coro di fanciulli)* melodya do słów: *Immolato fu l'agnello* i t. d., unosi się nad delikatnemi akordami skrzypiec jakby włókna pajęczyny nad kwiatami łąk w jesieni. Najlepszy to zarazem wzór t. zw. p r o s t e j

[1] Ob. *Neue Zeitschrift für Musik,* l. c. str. 279.

linii w muzyce perozyańskiej. W Niemczech i w Anglii Perosi dla tych właśnie linii swoich dotąd się nie podobał. I nie dziwmy się! Dzisiaj linie w muzyce niemieckiej nie dosyć są słuchaczom germańskim zębate, nie dosyć pourywane rytmicznie [1]. *Mi occupo principalmente dello studio della Linea Melodica* — mawia Perosi [2]. I Niemcy jej szukają, ale chcą znaleźć linię ciągle się zmieniającą, na dół i w górę skaczącą, któraby co chwilę w przepaść spadała i znowu na skałę się wdrapywała! Nastał u nich barokizm w sztuce muzycznej. W pięciu taktach swej muzyki sześć razy zadrwić ze słuchacza, to rzecz u nich codzienna! Ks. Perosi natomiast szukał prostoty — tak bardzo w sztuce potrzebnej — i znalazł ją...

Ta prostota i to jasnowidzenie, oto dwie główne zalety, oto cechy postępu w ororyach ks. Perosi'ego.

Jasnowidzenie przedmiotu obudza uczucia, rodzi w duszy radość lub smutek, zapala ją do prośby i dziękczynienia. Stąd i żywioł liryczny w oratoryach perozyańskich ważną odgrywa rolę, zlewa się nawet z żywiołem dramatycznym w jedną artystyczną całość. Widzimy go w pierwszych jego oratoryach np. w cudownym duecie *Plange quasi virgo* ze „Zmartwychwstania", w sekwencyi *Victimae paschali* z tegoż oratoryum — rozrzewnia on nas w „Mojżeszu" np., gdy ten ostatni natchnionym śpiewem: *Delle palme a l'ombria* daje wyraz radości, iż po długiej tułaczce na pustyni, stanął między swoimi i znalazł odpoczynek przy swej umiłowanej Seforze, albo gdy w przeczuciu zbliżającego się cudu Bożego wpada w ekstazę i śpiewa: *Già l'ignea colonna nel cielo scolora?*

Jedną z głównych zalet oratoryów perozyańskich, zwłaszcza ostatnich, jest ich organiczna całość. Są one jakby ulane z jednego śpiżu! Ks. Perosi nie dzieli swych oratoryów na niepołączone ze sobą arye, duety, chóry, preludya — jak to czynili Händel, Mendelssohn i tylu innych jego poprzedników — ale

---

[1] Ob. *Neue Zeitschrift für Musik*, l. c. str. 383.

[2] „Ćwiczę się przedewszystkiem w tworzeniu linii melodycznej". Ob. *N. Z. f. Musik.*, l. c. str. 383.

łączy pojedyncze sceny swego dzieła t. zw. intermezzami instrumentalnemi o cudnych konturach, snuje dalej wątek myśli i uczucia przegrywkami orkiestrowemi. Zdaje się, że przy każdem zakończeniu śpiewu mistrz boi się, by go nie opuściło natchnienie, jakiem dusza jego przejęta na widok przedmiotu, o którym śpiewa, i by słuchacz nie przestał interesować się jego muzyką, nie stracił z oczu uroczego obrazu, na jaki z takim zapałem patrzał. Skorzystał on w tym względzie z poprzednich dzieł muzycznych Wagnera i Liszta, którzy także tę tak wysoko przez Gwidona z Arezzo w XI w. cenioną jedność w rozmaitości osiągnąć się starali. „Od pierwszego oratoryum mego *La Passione* do ostatniego — mówi Perosi[1] — nie przestałem starać się o to, by pojedyncze części były ściśle ze sobą powiązane. W pierwszem oratoryum można jeszcze rozróżnić niektóre ustępy, w późniejszych oratoryach granice coraz rzadsze, coraz mniej podpadające; forma, czyli architektonika muzyczna uwzględnia tylko podziały myśli w tekście".

Krytycy niemieccy zarzucali Perosi'emu, że nie zdołał otrząsnąć się z reminiscencyi beethovenowskich, mendelssohnowskich i wagnerowskich. Prawda, że słuchającemu „Mojżesza" Perosi'ego przypominają się chwilami sceny z pastoralnej symfonii Beethovena, motywa z wagnerowskiej Walkiryi i figuracye z oratoryów Mendelssohna. Są to jednak tylko „wędrujące melodye" rzekłby Tappert, które latają w powietrzu, i które najgenialniejszych i najsamodzielniejszych czepiają się muzyków, nie czyniąc bynajmniej ujmy ich dziełom. Czemużby zresztą tylko Niemcy mieli pisać stylem wagnerowskim? Bach nie byłby się podniósł do wysokości, na jakiej w oczach świata muzykalnego dzisiaj stoi, gdyby na silnym pniu germańskim nie był zaszczepił delikatnej latorośli włoskiej i francuskiej; gdyby zdobycze ówczesnej muzyki europejskiej nie był złączył w jedną genialną całość. Także i ks. Perosi studyował gruntownie dzieła Bacha i wszystkich wielkich klasycznych i romantycznych muzyków — co w ich muzyce było prawdziwie wielkiego, nieśmier-

[1] Ob. *N. Z. f. Musik*, l. c. str. 279.

telnego, to przeszczepił on na gałąź muzyki włoskiej, w której po stu latach niepłodności nowe zaczęły krążyć soki żywotne. Wydały one owoc zupełnie nowy, tak piękny, tak uroczy, że świat cywilizowany napatrzyć mu się i nacieszyć się nim nie może.

Wspomniałem wyżej, że i w Anglii Perosi się nie podobał. Krytyk angielski Charles Maclean[1] z fałszywego punktu widzenia na oratorya Perosi'ego się zapatruje. Gani najpierw, że wykonane one były w Queen's Hall, t. j. sali przeznaczonej do muzyki świeckiej, następnie ma je za utwory kościelne. „Perosi nie jest muzycznym geniuszem — pisze Maclean — i prawdopodobnie nie rozwinie i nie zmieni on swego stylu; chociaż muzyka jego wysoko jest cenioną w jego ojczyźnie, jest ona bowiem czystsza niż muzyka powszechnie tamże uprawiana, to w protestanckiej Anglii nie wielu jej słuchać będzie“[2]. Sąd taki nie zadziwi tych, którzy w kościele opactwa westminsterskiego słuchali podczas nabożeństwa anglikańskiego, po ceremonialnym *sermon of charity*, motetów i kantat Mendelssohna, wykonanych co prawda przez najlepszy w świecie chór z chłopców i mężczyzn złożony — ale, według pojęć naszych, zupełnie z charakterem kościelnego nabożeństwa się nie zgadzających. Zaraz na początku niniejszej rozprawy wspomniałem, że ks. Perosi nie dla Kościoła swe oratorya pisał. Chciał on niemi przedewszystkiem działać na publiczność, która do kościołów mało albo wcale nie uczęszcza, chciał obudzić w niej, jak widzieliśmy, religijne uczucia, co jak najdoskonalej mu się udało. Anglikański Kościół musi swą suchą liturgię ożywiać wykonaniem kantat i oratoryów — nie lubi przeto słuchać tych ostatnich w teatrach i salach koncertowych. Pomięszanie pojęć o przeznaczeniu

---

[1] Ob. artykuł: *Music in England* w *Zeitschrift der internationalen Musikgesellschaft*. R. I, str. 16.

[2] „Perosi is not a musical genius, and it is improbable that he will develop or change his style; it may be said then that his music, greatly though it has advantaged his own country in being purer than the ordinary current taste, will be very little heard again in Protestant England“.

oratoryów spowodowało widocznie ową niepochlebną krytykę i ów brak zapału dla muzyki perozyańskiej.

Ks. Perosi pragnął od dawna, by, podobnie jak Wagner swój teatr w Beyrenth, — miał do swej wyłącznej dyspozycyi osobną, tak rozmiarami, jak akustyką do wykonania oratoryów się nadającą salę. Nareszcie doczekał się jej. Dawny kościółek S. Maria della Pace w Medyolanie, w którym na ostatku były koszary dla kawaleryi, zamieniono na świątynię sztuki. U szczytu fasady widnieje wielka gwiazda, a w niej ukoronowany wyraz: *Pax*. Odtąd muzyka perozyańska rozbrzmiewa we własnym domu t. zw. *Salone Perosi,* wlewając w serca słuchaczy balsam pokoju i duchowej rozkoszy!...

Ks. Dr. Józef Surzyński.

KATOLICYZM SOCYALNY.

W ostatnich czasach na polu literatury ekonomiczno-społecznej zapanował u nas ruch dosyć ożywiony. Pomimo niektórych usiłowań najnowszej doby, płynących niewątpliwie z bardzo patryotycznych pobudek, ażeby podnieść znaczenie literackie dawniejszych naszych pisarzy ekonomicznych, niepodobna nie przyznać, iż pozostaliśmy znacznie w tyle poza innymi. Kilku zaledwie można wymienić autorów, którzy przynajmniej drugorzędnym pisarzom Zachodu dorównali; jeden tylko — i to znowu Kopernik — wyprzedził tamtych swą myślą. A w dodatku, po względnym okresie rozwoju Skarbka, Supińskiego i Wołowskiego, przyszedł znowu długoletni zastój, z którego — pomijając nieliczne wyjątki — budzimy się dopiero w ostatnich czasach.

Nie myślę bynajmniej twierdzić, jakoby produkcya literacka lat ostatnich stała już na znacznej wyżynie. W każdym jednak razie jest ona dość liczna, a przytem nabiera już cech literatury poważniejszej, oddając się monograficznemu opracowywaniu poszczególnych kwestyi, porzuciwszy — tak jak to już znacznie wcześniej zrobiła historya — stanowisko ogólnikowych, po największej części mało oryginalnych systemów. Z tego właśnie powodu warto się przypatrzeć bliżej niektórym rezultatom dorobku naukowego polskiego na polu nauk społecznych w dwóch ostatnich latach.

Rozpoczynamy od pracy Edwarda Jaroszyńskiego nad katolicyzmem socyalnym. Już chronologicznie rzecz biorąc, należy

jej się pierwszeństwo, równe dwa bowiem lata upłynęły od ukazania się dwóch następnych jej części, prócz tego zaś zajmuje się ona sprawą u nas tak mało opracowaną, że i ze względu na treść należy jej się naczelne miejsce.

Nasze społeczeństwo jest bardzo dziwne. Niewiele jest narodów pod względem wyznaniowym tak jednolitych, niewiele krajów, w których doniosłość i praktyczność akcyi społecznej opartej o religię byłyby tak bijące w oczy. Pomimo tego nie mamy dla tej myśli jeszcze zrozumienia, nie znamy jej, a nawet mówimy o niej z pewnym lękiem. Rzecz przeto przedstawiająca zadanie, prawa i obowiązki katolicyzmu w akcyi społecznej posiada pierwszorzędną doniosłość i dlatego już pierwszej części pracy Jaroszyńskiego poświęciliśmy na tem miejscu obszerne uwagi[1]. Teraz przychodzi kolej na omówienie następnych.

Autor w dwóch następnych tomach swej pracy o społecznej doniosłości katolicyzmu, pozostał wiernym swej idei przewodniej, widocznej już w pierwszej części jego dzieła. Głównem jego zadaniem jest streścić stanowisko nauki katolickiej wobec kwestyi ekonomicznych jako też dać obraz tego wszystkiego, co zdziałała organizacya katolicka na polu społecznem. Własnym poglądom lub krytyce obcych zapatrywań poświęca autor niewiele miejsca, chodzi mu bowiem o przedstawienie i wyjaśnienie *communis opinionis doctorum* — także tylko tam, gdzie tego niezbędna zachodzi potrzeba, wdaje się w polemikę lub określa bliżej swe własne stanowisko.

Części, które obecnie mamy przed sobą, pozwalają na dokładniejszą ocenę takiej metody, aniżeli tom pierwszy. Tam omawiał autor pewną liczbę zagadnień natury ogólnej i historycznie przedstawił rozwój działalności katolickiej w XIX wieku, tutaj zajmuje się już szczegółowo niektóremi sprawami, a mianowicie kwestyą znaną pod nazwą organizacyi pracy. Wobec tego pragnęlibyśmy przedewszystkiem poświęcić parę słów najpierw metodzie opracowania, dalej zaś samemu systemowi.

Na samą myśl przewodnią zgadzamy się najzupełniej. Kto

---

[1] Por. *Przegl. Pow.* kwiecień 1900, str. 175—188.

dziś pisze o katolicyzmie socyalnym, nie może już ograniczyć się do skreślenia własnych swych opinii. Nie licowałoby to z tytułem i zadaniem, które sobie autor nakreślił, ani też nie byłoby zbyt ciekawem dla czytelników. Społeczna szkoła katolicka posiada już pewne wytyczne linie, kieruje się szeregiem doktryn i zasad, które zapewniają jej odrębne miejsce w dziedzinie badań społecznych, nie wolno przeto przemycać pod jej etykietą indywidualnych zapatrywań, choćby w najlepszej wierze. Właściwie każda rzecz o katolicyzmie socyalnym jest historyą doktryn społecznych stojących na katolickim gruncie, a obojętną jest rzeczą, czy kreśli ją ich zwolennik czy też przeciwnik. Tem lepiej jeżeli autor, jak tutaj, jest gorącym adeptem tego kierunku, lecz nawet i w tym wypadku musi on ściśle oddzielić swoje zdanie od tez ogólnie przyjętych, bo jego praca ma dać obraz całej szkoły, nie dążeń jednostki.

Pan Jaroszyński może aż nazbyt skrupulatnie liczy się z tym faktem i dlatego z tego stanowiska niepodobna mu odmówić wszelkiego uznania.

Inna już rzecz, jeżeli mamy mówić o samem przeprowadzeniu owej zasady. Pod tym względem dwie drugie części stoją niezaprzeczenie wyżej od pierwszej, pomimo tego jednak nie zaspokajają jeszcze wszelkich wymagań.

Pisząc o szkole katolickiej można zająć wobec niej trojakie stanowisko. Autor może stanąć w roli obojętnego referenta, zdającego jedynie sprawę; może być przeciwnikiem omawianych teoryi, może wreszcie być ich zwolennikiem. W pierwszym wypadku, pod względem naukowym najłatwiejszym i najniższym, spełnił on swe zadanie gdy sumiennie z pism i czynów wybrał to wszystko, co jest wspólnem i znamiennem w katolickim kierunku; w drugim i trzecim musi obalić lub obronić streszczane teorye.

Pan Jaroszyński należy do szkoły katolickiej, to też wszędzie stara się bronić jej zapatrywań, osłabiać i zwalczać stawiane jej zarzuty.

Jest to niewątpliwie stanowisko najtrudniejsze i najżmudniejsze. Nie dlatego, jakoby zapatrywania ekonomiczne katoli-

ków nie miały dostatecznych naukowych podstaw, tylko ze względu na wyjątkowe położenie katolickiej nauki.

Już dawno powiedziano, że wierzyć znaczy tyle, co nic nie wiedzieć — i w praktyce ten mylny najzupełniej aksyomat, ma ciągle jeszcze nader doniosłe znaczenie. Sama nazwa „katolicki“ wywołuje u wielu wrażenie, iż ma się tu do czynienia raczej z wiarą, niż z nauką, z metafizyką pozbawioną realnego gruntu, a nie z ekonomią opartą o rzeczywistość. To pierwsze, u wielkich mas przedewszystkiem panujące wrażenie, wzmogło się i przeniosło nawet na grunt prawdziwej wiedzy pod wpływem dwóch okoliczności. Znany powszechnie fanatyzm protestantyzmu i wszelkich politycznych stronnictw dążących do „odklerykalizowania“ społeczeństw, starał się wszelkiemi siłami wytworzyć legendę — niestety skutecznie — o obskurantyzmie katolickim — i w tym celu na każdym kroku deprecyonował katolicką naukę; katolicy zaś raczej pomagali niż przeszkadzali temu prądowi, zamykając się ściśle w kole swych własnych poglądów, powołując się w swych pismach niemal wyłącznie na zasady wiary i teologii, jednem słowem pisząc tylko dla swych prawdziwych zwolenników. Wobec powszechnej, dla wszystkich przeznaczonej i ze wszystkimi liczącej się literatury przeciwników, stawała jednostronna, zamknięta w sobie literatura katolicka — nic więc dziwnego, że nie zyskiwała ani znaczenia ani popularności.

Tem się tłumaczy, że i ekonomiczna literatura katolicka jest tak mało znaną w świecie naukowym i literackim. Katalogi księgarskie nie wymieniają jej niemal zupełnie, najskrupulatniejsi pisarze nie liczą się z nią prawie wcale, traktuje się ją zwyczajnie jako kierunek nie mający naukowo najmniejszego znaczenia. Stąd też każdy, kto ją uprzystępni i poda szerszemu ogółowi, kto ją wyciągnie z zapomnienia i lekceważenia zyskuje nie tylko społeczną ale i naukową zasługę. Lecz zadanie jego nie jest wcale łatwe.

Pisząc o systemie Platona, Kanta lub Hegla, o historyi Carlyle'a, o klasykach ekonomicznych lub egiptologach można ograniczyć się do przedstawienia ich doktryn i zapatrywań,

można poprzestać na streszczeniu ich dzieł i poglądów. Stanowisko ich w nauce jest uznane, każdy więc z najlepszej strony weźmie ich słowa, najstosowniejszą myśl zechce im nadać. Czytelnik może się z nim zgadzać lub nie, nie będzie nigdy ich lekceważył lub podejrzywał o złą wiarę.

Pisarz katolicki znajduje się w zupełnie innem położeniu. Najczęściej bierze się go do rąk z nieufnością z góry powziętą, z wątpliwościami co do jego doniosłości naukowej lub też dobrej wiary. Nie może on spuścić się na życzliwość czytelnika, przeciwnie musi na każdym kroku staczać z nim walkę, musi być przygotowany na uprzedzenie głęboko zakorzenione, musi sobie powoli zdobywać uznanie.

Wszystko to trzeba mieć na oku kreśląc obraz katolickiej nauki. Nie wystarcza powołać się na zdanie przyjaciół i stronników, lecz należy wszędzie starać się o poparcie swych poglądów słowami wrogów lub uczonych należących do innych obozów. Obowiązek ten występuje tem dobitniej, jeżeli się zwróci uwagę na zasadniczy charakter Kościoła katolickiego. Z istoty swej powszechny, przemawia do wszystkich. Wierzącym wystarcza powaga Kościoła; potrzebują co najwyżej komentarza, pewnych wyjaśnień; obojętni lub niewierni żądają czegoś więcej. Tym musi się udowodnić, że katolickie teorye są koniecznym wypływem logiki, rozumu, filozofii i etyki. Tutaj argument zaczerpnięty z poza granic katolicyzmu, wykazanie, że ludzkość bez wiary i religii, li tylko na mocy prawd logiki dochodziła do identycznych z Kościołem wniosków, a gdzie tego nie osiągnęła popadała w wewnętrzne sprzeczności i niekonsekwencye — jest niezbędny.

To też autor „Katolicyzmu socyalnego“ powinien był przy motywowaniu zapatrywań pisarzy katolickich posługiwać się przedewszystkiem ekonomią świecką. Już omawiając tom pierwszy, wykazywaliśmy na szeregu przykładów, że t. zw. naukowa ekonomia dochodzi w swym najnowszym rozwoju do identycznych z katolicyzmem rezultatów. Pan Jaroszyński uwzględnia obecnie znacznie więcej ekonomistów, nie należących do grupy katolickiej, aniżeli poprzednio, w każdym jednak razie jeszcze

za mało, wobec czego dzieło jego nie jest pozbawione pewnych cech jednostronności. Wogóle opieranie się na pismach jednej tylko szkoły jest błędem metodycznym, zmniejszającym doniosłość naukowej pracy. Widocznem to jest przy porównywaniu części trzeciej z drugą. Część trzecia stoi bezsprzecznie znacznie wyżej właśnie dlatego, że na znaczniejszą część wywodów znajdzie tam umotywowanie nawet nie katolik. W części drugiej autor uwzględnia prawie wyłącznie literaturę katolicką, a jeżeli wogóle t. zw. *Autoritätenbeweis* jest bardzo słaby, to obniża się bardzo znaczenie, jeżeli owe powagi są dowolnie obrane, są powagami tylko dla jednego koła. A przecież właśnie w tej części można było na prawdziwość wszystkich teoryi dostarczyć wszechstronnego dowodu.

Rozumiemy doskonale, że nasze wymagania są bardzo daleko idące. Nie chodzi jednak o zupełne wyczerpanie literatury ekonomicznej, lecz o liczenie się z jej najgłówniejszymi reprezentantami w każdym ważniejszym wypadku. Jest to poprostu rzecz wyboru. Tak np. poparcie zdania jednego lub drugiego katolickiego autora powołaniem się na leksykon Görresa wystarczyć nie może, bo tu i tam mamy do czynienia właściwie z tymi samymi ludźmi, zupełnie natomiast przekonywującym jest taki sam cytat z encyklopedyi Conrada, który reprezentuje zupełnie inny kierunek. A tu i tam ten dowód się znajdzie, bo w obu wypadkach mamy do czynienia z faktami. Podnosimy to dzisiaj głównie ze względu na mającą się ukazać część czwartą. Z natury rzeczy wypadnie zająć się w niej kwestyą własności i obowiązków pracujących, a wiadomo, że właśnie ze względu na te dwie kwestye napada się na katolicyzm bezustannie jak najniesłuszniej. Tutaj dowód zaczerpnięty z zewnątrz jest absolutnie konieczny.

Przechodząc do systemu i ugrupowania materyału, wypada znowu zaznaczyć bardzo znamienny postęp w porównaniu z częścią pierwszą. Tam w pewnych rozdziałach, głównie w partyi traktującej o interwencyi państwa i organizacyi pracy widać było pewne pomięszanie i brak racyonalnej systematyki, obecnie za to rozdział przedmiotów jest zupełnie odpowiedni. Tom

II ma charakter części ogólnej, omawia społeczne znaczenie Kościoła i pracę ludzką jako taką, tom III zajmuje się już szczegółowo prawami robotników. Właściwie cała część druga powinnaby poprzedzać tom pierwszy, zawiera bowiem uzasadnienie stanowiska katolicyzmu wobec kwestyi społecznej i dobrze to świadczy o sumienności i zrozumieniu przedmiotu przez autora, iż spostrzegł ten brak umotywowania — i już po napisaniu pierwszej części, uzupełnił to w drugiej. Wobec tego całe dzieło przedstawia się obecnie w następujący sposób: I. Część ogólna: *A)* Znaczenie Kościoła dla ustroju społecznego (t. II); *B)* Historya katolickiej akcyi społecznej (t. I); II. Część szczególna: *A)* Prawa robotników (t. III).

Powstaje jeszcze pytanie, czy połączenie w jedną grupę wywodów o misyi socyalnej Kościoła i o zasadniczych kwestyach, związanych z problematem pracy ludzkiej, jest właściwe. Naszem zdaniem odpowiedź winna wypaść twierdząco. Sprawa przedstawia się w ten sposób, iż najpierw należy dowieść, że Kościół może i powinien oddziaływać na materyalny byt ludzkości. Po załatwieniu tej tezy nasuwa się samą siłą rzeczy pytanie, dlaczego szkoła katolicka kładzie tak silny nacisk właśnie na położenie warstw robotniczych. Tu przeto wypada rozpatrzeć stosunek katolicyzmu do pracy ludzkiej ze stanowiska filozoficznego, należy podnieść, że w pierwszej linii Kościół, uważając pracę za integralną część i cechę człowieczeństwa, musi się nią zaopiekować, ażeby nie zatraciła ludzkiego charakteru, schodząc do rzędu automatycznych ruchów bezmyślnej maszyny. Tak więc najpierw trzeba było omówić misyę Kościoła wogóle i jego pojęcie pracy ludzkiej, ażeby przyjść do wyników, wypływających z tych dwóch naczelnych zasad. Autor postąpił przeto zupełnie zgodnie z logicznym podziałem przedmiotu.

To samo da się powiedzieć o układzie części trzeciej. Najpierw występują prawa pracy a nie obowiązki, albowiem praca jest człowieczeństwem, a człowiek ma prawo do bytu, bez którego nie mógłby spełnić swych obowiązków. Prawo to da się ująć w zasadę: praca nie powinna nigdy naruszyć ludzkiego charakteru robotnika i musi być sprawiedliwie wynagradzaną.

Z tego wynika z jednej strony prawo do dni wolnych od pracy i do godzin odpoczynku w dniach roboczych, z drugiej zaś prawo do odpowiedniej zapłaty i do zabezpieczenia przyszłości w razie niezdolności do pracy. Mamy więc podział na cztery rozdziały, traktujące o płacy, ubezpieczeniach robotniczych, o długości dnia roboczego i o spoczynku niedzielnym.

Już z tego krótkiego przedstawienia podziału przedmiotu wynika jasno, że p. Jaroszyński w tych dwóch częściach, które omawiamy obecnie, zajął się nader licznemi kwestyami i zamieścił bardzo bogaty materyał. Przechodziłoby to znacznie ramy i cel niniejszego artykułu, gdybyśmy chcieli zająć się dokładnem rozpatrzeniem tego wszystkiego, co autor w swej pracy podaje. Chodzi nam o zapoznanie czytelnika ze sposobem traktowania spraw społecznych z punktu widzenia katolickiego, jakoteż podanie kilku próbek z „Katolicyzmu socyalnego“, celem przykładowego przedstawienia metody, zastosowanej przez autora, i dziedzin, które on wciąga we swe wywody. Dlatego skreśliliśmy najpierw metodę i wytyczne linie systemu i treści pracy autora, obecnie zaś przechodząc do szczegółów, ograniczamy się do podniesienia kilku ważniejszych lub charakterystyczniejszych kwestyi, polecając usilnie każdemu, komu tylko sprawa społeczna leży na sercu, przeczytanie samego dzieła.

Pierwszą, większą część drugiego tomu poświęca autor misyi społecznej Kościoła i jego zasadom socyalnym. Temat to olbrzymi, sam przez się wystarczający dla wypełnienia swą treścią wielkiego dzieła, nic więc dziwnego, że autor nie wyczerpuje go zupełnie, lecz podnosi tylko najważniejsze lub najsporniejsze kwestye. Przedewszystkiem więc omawia znaczenie Kościoła dla rozwiązania sporów społecznych. Nie ulega wątpliwości, że bez współudziału etyki chrześcijańskiej o skutecznem usunięciu walk socyalnych nie może być mowy. Państwo z całą swą potęgą prawa i administracyi wystarczyć tu nie może. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że wszelka ustawa może ująć tylko przecięcie, średnią arytmetyczną zjawisk, że musi się liczyć z pewnemi formalnościami. Wypadki, wychodzące poza granice tego przecięcia i każde obejście formalne przepisów,

czynią tem samem ustawę bezsilną. Nader liczne, liczniejsze niżby się zdawało, są czyny, nie będące jeszcze bezprawiem, a jednak wielce niesprawiedliwe, to też wielu umie tak zręcznie omijać normy prawne, iż nie narażając się na żadne niekorzystne skutki cywilne lub karne, popełnia niesprawiedliwość na każdym kroku. Wobec tego uregulowanie ustawowe szczególniej tych kwestyi, w których egoizm materyalny pierwszorzędną odgrywa rolę, jest w wielu wypadkach zupełnie bezskuteczne. Tak więc przepisy prawne, o ile dadzą się ominąć, wiążą właściwie tych tylko, którzyby i bez nich postępowali najzupełniej legalnie i etycznie. Ludzie w wysokiem poczuciu moralności i obowiązków społecznych nie potrzebują wcale przymusu prawnego, dla tych zaś, którzy tego poczucia nie mają, prawo najczęściej wystarczyć nie może. Wobec tego zakres działania prawa i etyki na polu społecznem jest następujący:

1. Zasady etyczne powinny do tego stopnia przeniknąć cały ogół, ażeby nikt nie próbował dla własnych korzyści ich przełamywać.

2. Ustawa powinna nadać tym zasadom sankcyę prawną, ażeby tam, gdzie ma się do czynienia z jednostkami wyjątkowemi, pozbawionemi wszelkiej moralności, można było przymusem prawnym zastąpić poczucie moralne i w ten sposób zapewnić panowanie etyki.

Zasady te dadzą się bliżej wyjaśnić na konkretnych przykładach. Tak np. wszędzie prawie istnieją ustawy przeciw pojedynkom, a jednak prócz Anglii niema właściwie dotąd kraju, w którymby zwyczaj pojedynków istotnie ustał. Bo społeczeństwa, a przynajmniej pewne klasy uważają dotąd jeszcze pojedynek za środek niezbędny i jak długo tego poglądu się nie zwalczy, najsroższe przepisy karne nic pomódz nie zdołają. Po prostu nikt ich nie będzie stosował — i nie bez jakiejś racyi — gdyż wobec panującej opinii, kara nałożona na pewne tylko jednostki jest formalnie sprawiedliwą, społecznie jednak krzywdą. To też dopiero w ostatnich czasach zrozumiano konieczność uzupełnienia ustawodawstwa przez zreformowanie opinii publicznej i w tym celu powstają stowarzyszenia anti-pojedyn-

kowe. Jeszcze gorzej jest z ustawami ekonomicznemi, jak np. ustawie przeciw lichwie. Wyobraźmy sobie stosunki, w których lichwy nie będzie się potępiać ze stanowiska moralnego, a jednak ustawodawca nałoży na nią karę. W takim razie prawo nie będzie obroną, lecz raczej ciężarem dla dłużnika, nie powstrzyma bowiem wierzyciela od pobierania wysokich procentów, tylko podniesie je jeszcze, gdyż dłużnik będzie musiał ponad zwykłą taksę zapłacić jeszcze premię za ryzyko więzienia, na które naraża się kapitalista. Gdy jednak społeczeństwo potępia ogólnie lichwę, największa część ludności nie będzie jej uprawiać bądź z pobudek etycznych, lub choćby z egoizmu, t. j. z obawy przed napiętnowaniem przez opinię. Prawo będzie się odnosić w istocie rzeczy tylko do mniejszości, nie liczącej się z podobnymi względami, a poparte skutecznie przez całą resztę społeczeństwa, łatwiej da sobie radę. Innemi słowy, wszechwładza prawa jest frazesem z epoki t. zw. oświeconego absolutyzmu, w rzeczywistości zaś czerpie swą siłę przedewszystkiem z powszechnego przeświadczenia, iż jest wskazanem, dobrem i sprawiedliwem. Tego rodzaju opinię może wywołać jedynie zgodność ustaw z zasadami moralności i krzewienia etyki w społeczeństwie.

Jeżeli jednak etyka jest konieczną, to i działalność Kościoła jest niezbędną. Natura ludzka ułomna zawsze, liczy się po największej części tylko z temi rzeczami, które jej szkodzą lub korzyść przynieść mogą. Bez wątpienia istnieją jednostki szlachetniejsze, działające dla zasady i obowiązku, lecz są to wyjątki, które przy masowych zjawiskach społecznych niewielką stosunkowo odgrywają rolę. To też i zasady moralności dadzą się w ogół wpoić tylko o tyle, o ile im nadamy skuteczną sankcyę wobec ludzkiego egoizmu. Sankcyę taką może dać li tylko religia i wiara w pozagrobowe nagrody i kary — bez niej przesiąknięcie etyką społeczeństwa jest co najmniej nader nieprawdopodobne. Dowodem tego jest bankructwo niemal zupełne wszystkich kierunków etycznych, stojących poza religią.

Drugim powodem, przemawiającym za współdziałaniem Kościoła na polu społecznem, jak to zupełnie słusznie podnosi

autor, jest kwestya narodowości społecznych. Wprowadzenie zupełnej równości, o czem marzyli w swoim czasie komuniści, jest tak widocznie niemożliwem, że tezę tę odrzucili nawet socyaliści, stawiając w miejsce zasady „każdemu równo“, hasło „każdemu według jego pracy“. Jednakże gdyby nawet udało się uchylić wszelkie różnice społeczne i indywidualne, wyszłoby to raczej na szkodę, niż na pożytek ludzkości. Jeden z najgorliwszych obrońców absolutnej równości, duchowy ojciec anarchizmu, Proudhon, napisał wyraźnie, że ludzkość po wprowadzeniu jego systemu nie może liczyć na złoty dobrobyt, lecz tylko na mierny niedostatek. Z chwilą zniwelowania społeczeństwa — a mogłoby to nastąpić oczywiście tylko u dołu — musiałaby się obniżyć i produkcya i cywilizacya, zniknęłyby bowiem wszystkie zajęcia obliczone na zaspokojenie potrzeb więcej wyrafinowanych, moralnych, intelektualnych, czy też materyalnych. Widzimy to doskonale na polu sztuki i literatury, widzimy to w wyższych gałęziach artystycznego przemysłu, dostrzeglibyśmy to wszędzie, na wszystkich bowiem polach zapanowałoby przecięcie, innemi słowy, miernota,

W żywotnym przeto interesie ludzkości jej postępu i rozwoju jest utrzymanie zasadniczych podstaw dzisiejszej struktury społecznej, t. zn. różnic socyalnych. Nie chodzi tu oczywiście o przywileje dla jednych, krzywdy dla drugich; niewątpliwie dzisiaj zróżniczkowanie doszło za daleko, jest w wielu razach niesłuszne i szkodliwe, lecz chodzi o utrzymanie przewodniej idei obecnego ustroju społecznego.

W teoryi przedstawia się rzecz ta bardzo pięknie i prosto, lecz w praktyce rozdział społeczeństwa na więcej i mniej wyposażone warstwy jest niekorzystny dla tych wszystkich, którzy mają stanąć u dołu, czy to ze względu na swe stosunki materyalne, czy też wskutek swojej pozycyi socyalnej. Każdy, choćby nawet uznawał użyteczność, a nawet konieczność zróżniczkowania społecznego, domagałby się prawdopodobnie dla siebie stanowiska lepszego, pozostawiając wspaniałomyślnie gorsze innym. Okazuje nam to dokładnie tak zwyczajny objaw demokratyzacyi w górę, bez jej uzupełnienia w dół, zasada, iż niema ode-

mnie wyższych i lepszych, lecz znajdują się niżsi i gorsi. Temu prądowi miłości własnej i egoizmu, żadna siła ludzka, w czysty tylko racyonalizm wyposażona, nie może położyć dosyć silnej tamy. Jedynie Kościół, rozciągający życie ludzkie na wieczność, wskazując na przejściowe tylko znaczenie niezbędnego na ziemi zróżniczkowania, może istotnie usunąć gorycz u upośledzonych, pogodzić ich z myślą nierówności społecznych, nieodłącznych od naszego ustroju i cywilizacyi, w zamian za bez porównania ważniejszą równość i szczęśliwość w życiu pozagrobowem.

W taki sposób omawia autor misyę Kościoła w kwestyach społecznych. Przechodząc następnie do rozpatrzenia pracy ludzkiej, kreśli przedewszystkiem obraz położenia ludzi, utrzymujących się z pracy rąk swoich, w ciągu wieków. Podnosząc wielkie różnice w traktowaniu niewolników w świecie klasycznym i u żydów, przechodzi następnie do skreślenia działalności chrystyanizmu, dążącego do coraz większego podnoszenia znaczenia i godności pracy ludzkiej. Skutki średniowiecznego wpływu Kościoła były tu nader zbawienne i dopiero później kierunek reformacyi, humanizmu i liberalizmu, stające na gruncie formalnej równości doprowadziły do nowoczesnego niewolnictwa pracy. I właśnie dlatego ustawodawstwo nie może tego wyplenić, choćby poszło tak najdalej w kierunku ochronnym robotników, gdyż opierało się na liberalnej zasadzie formalnej, z rzeczywistością niezgodnej, na teoryi o wolności i równości umownej.

Jest to jeden z najważniejszych rozdziałów całego dzieła, zajmuje się bowiem kwestyą, której najczęściej używa się jako broni przeciwko ekonomicznym kierunkom, opartym na religijnej etyce. Chrystyanizm, powiadają, proklamował równość wszystkich wobec Boga, na ziemi zaś nie tylko nie zdziałał nic dla równości i wolności, lecz nawet ochraniał i bronił niewolnictwa i poddaństwa. Przenosi on przeto całą swą akcyę w życie pozagrobowe, więc pole gospodarcze nie jest jego dziedziną, nic tutaj dopomódz nie może.

Otóż autor zupełnie słusznie występuje przeciw poglądom tego rodzaju, dowodząc, iż chrześcijaństwo od samego początku używało całego swego wpływu, ażeby podnieść sytuacyę klas

pracujących i byt ich uczynić znośniejszym. Jeżeli Kościół w istocie zastosował się częściowo do panujących stosunków, to jest to dowodem jedynie, że czynniki w nim decydujące rozumiały dokładnie swe zadanie, obowiązki i odpowiedzialności. Cały świat starożytny opierał się na niewolnictwie — gwałtowne jego zniesienie bez zapewnienia oswobodzonym odpowiednich środków do życia byłoby kataklizmem społecznym olbrzymiej doniosłości, wychodzącym na szkodę przedewszystkiem tych klas, któreby wolność uzyskały. Nie brak na to dowodów w historyi. Nagłe zniesienie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych doprowadziło do nędzy murzynów, którzy dziś jeszcze, po latach czterdziestu, nie mogą podnieść się ze swego upadu, emancypacya włościan w całej Europie pogorszyła bardzo znacznie ich położenie materyalne, bo dano im tylko wolność, a nie dano chleba. W tych wszystkich zaś wypadkach miało się do czynienia jedynie z pewną częścią społeczeństwa, tymczasem Kościół objął w spuściźnie świat starożytny, ufundowany w swej całości na niewolnictwie. Nagłe usunięcie tej podwaliny musiałoby cofnąć ludzkość o całe wieki i sprowądzić na nią nieobliczalne klęski, Kościół przeto nie chciał, nie mógł i nie miał obowiązku coś podobnego wywołać. Że skutki byłyby jak najfatalniejsze, to już widocznem jest na pierwszy rzut oka. Praca znajdowała się w pogardzie, była znamieniem niewoli, antytezą wolności. Niewolnik uzyskujący wolność musiałby przedewszystkiem zaznaczyć nową swą godność powstrzymaniem się od wszelkiej pracy, w społeczeństwie zabrakłoby przeto, z początku przynajmniej, robotników, przez co produkcya stałaby się niemożliwą. Zamiast zapewnić świeżo wyemancypowanym dobrobyt, doprowadziłoby się ich do ruiny — toby był jedyny rezultat gwałtownej przemiany.

Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak tylko nie spuszczając z oka ostatecznego celu, dążyć powoli do jego osiągnięcia. Bezwzględnie i bezzwłocznie jedno tylko musiało być przeprowadzonem, uznanie człowieczeństwa w niewolniku. Prawo rzymskie traktowało go jako rzecz, przedmiot majątku i nic więcej — chrześcijaństwo nie mogło ścierpieć ani chwili tego zapatrywania — niewolnik musiał być człowiekiem jak każdy

inny. Społeczne jego położenie natomiast można było poprawić tylko powoli, tej też polityki trzymał się Kościół. Wskutek tego ludzkość przechodzi kolejno z okresu niewolnictwa w epokę poddaństwa, ażeby dojść wreszcie do czasów równości i wolności osobistej. Dość wskazać na stosunki ludności zależnej w dobrach duchownych wieków średnich, na cywilizacyjny, podnoszący stanowisko niewolnych wpływ klasztorów, ażeby się przekonać, że taki a nie inny był program i cel katolicyzmu. Zresztą nieuprzedzona, najnowsza nauka, szczególniej angielska, oddaje mu pod tym względem pełną sprawiedliwość. Natomiast za mało jeszcze podkreślono stanowisko katolicyzmu wobec formalistycznego stanowiska liberalizmu ekonomicznego i politycznego co do wolności kontraktu o pracę. Tę pozorną równość przedsiębiorcy i robotnika, która w gruncie rzeczy była, a do pewnego stopnia jest i dziś jeszcze dowolnem unormowaniem z jednej, a przymusowem przyjęciu podyktowanych warunków z drugiej strony, piętnowała nauka katolicka zawsze jako przemoc lub wyzysk, tworząc doktrynę o t. zw. naturalnej, słusznej pracy. Dziś cała ekonomia, z wyjątkiem nielicznych epigonów starego liberalizmu, należy już również do tego samego obozu, lecz katolicy byli tam pierwsi i wytrwali na swem stanowisku pomimo wszystkich ataków aż do czasu, gdy dawni przeciwnicy z nimi się połączyli. Warto przeczytać odnośne ustępy w „Katolicyzmie socyalnym“, kreśląc treściwą lecz dokładną historyę i doniosłość całej tej kwestyi. Do tej kwestyi zresztą wracamy jeszcze cokolwiek dalej.

Z tomu trzeciego, omawiającego organizacyę pracy najemnej, wyjmujemy rozdziały, omawiające dzień roboczy i ubezpieczenia robotnicze.

Kwestya ograniczenia godzin pracy dziennej jest jednem z najbardziej piekących zagadnień polityki fabrycznej. Postulat ten wystąpił obecnie na pierwszy plan rewindykacyi robotniczych, z drugiej zaś strony przeciwnicy ustawodawstwa ochronnego zwalczają go wszelkiemi siłami. Pan Jaroszyński poświęca temu pytaniu drugi rozdział w części trzeciej, w którym uza-

sadnia potrzebę regulacyi dnia roboczego, a zarazem wykazuje, czego na tem polu katolicy żądają, i co już osiągnęli.

Liberalizm ekonomiczny — powiada autor — zmusił robotnika do nadmiernej, niemal nieludzkiej pracy. Wobec braku wszelkiej dalszej granicy dla oznaczenia płacy, robotnik mógł zwiększyć swe dochody jedynie przez przedłużenie pracy, a oczywistą szkodę tak dla siebie, jak i dla społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że podobny rozwój stosunków mógł przynieść pewne zyski jednostkom z pomiędzy przedsiębiorców, nie mógł jednak w żadnym razie przyczynić się do zwiększenia dobrobytu ogólnego. Robotnik, przeciążony pracą, z natury rzeczy stawał się podatnym dla wszelkiego rodzaju pokus i namiętności, przedewszystkiem pijaństwa i rozrzutności; rezultat jego pracy w ostatnich godzinach dnia nie odpowiadał wysiłkom, gdyż organizm nie mógł znieść sztucznie narzuconego przeciążenia; resztka wolnego czasu, niezbędna dla zdrowia i życia rodzinnego, ginęła bezpowrotnie.

Przedsiębiorcy, którzy propagowali ten rozwój, zyskiwali na nim bardzo niewiele. Wbrew znanej teoryi Seniora i Thünena, o zysku płynącym z ostatnich cząstek pracy, wbrew teoryi wręcz przeciwnej Marxa o dochodzie z kapitału, pochodzącym z nieopłaconych godzin pracy, najnowsze doświadczenia praktyczne i badania dowiodły, iż produkcyjna siła i wydajność zmniejsza się bardzo znacznie pod koniec dnia roboczego. Niekiedy ostatnie te godziny zamykały się wprost stratą wskutek szkód i nieuwagi, zupełnie naturalnych rezultatów przemęczenia robotników.

Pomimo tego większość przedsiębiorców stawia dziś jeszcze nieprzeparte prawie przeszkody ograniczeniu lub nawet tylko ustawowemu unormowaniu dnia roboczego. Możność dowolnego przedłużania pracy stanowi dla nich pewnego rodzaju gwarancyę na wypadek, gdyby jakieś okoliczności zmusiły ich nagle do zwiększenia produkcyi.

Robotnik wobec tego prądu jest najczęściej bezsilny, wynagrodzenie jego bowiem oznaczone jest w ten sposób, iż w razie, gdy będzie pracował mniejszą liczbę godzin, nie zdoła już za-

spokoić swoich potrzeb. Nie brak wszakże dowodów, zaczerpniętych bezpośrednio z praktyki przemysłowej, że zmniejszenie czasu pracy może nader korzystnie wpłynąć na produkcyę, nawet pomniejszyć jej koszta. Tak np. wiadomą jest rzeczą, że w zakładach używających pracy akordowej i dziennej, do tej drugiej kategoryi zalicza się robotników najtęższych, którzy wytwarzają więcej od akordowych.

Wobec tego państwo musi przyjść tu robotnikom z pomocą, regulując ustawowo czas pracy dziennej. Regulacya ta musi być podwójną, przedewszystkiem bowiem winno się oznaczyć maksymalny dzień roboczy, którego w zwyczajnych stosunkach pod żadnym warunkiem przekroczyć nie wolno, powtóre należy za pośrednictwem mięszanych stowarzyszeń zawodowych określić normalny czas pracy dla różnych gałęzi produkcyi. Maksymalny czas pracy uwzględnia przedewszystkiem warunki organizmu ludzkiego; nie musi być wprawdzie, a nawet nie powinien być jednolitym dla wszystkich gałęzi przemysłu, lecz musi postawić granicę, poza którą nie wolno już dłużej pracować ze względu na szkody, wypływające stąd tak pod względem sanitarnym, jak i społecznym. Normalny czas pracy idzie jeszcze dalej; licząc się już z potrzebami produkcyi, stanowi taką ilość godzin pracy, która dla rozwoju danej gałęzi wytwórczej jest najodpowiedniejszą. Nie może on być nigdy wyższym od dnia maksymalnego, może być jednak od niego niższym, niekiedy nawet znacznie.

Przeciw jednemu i drugiemu unormowaniu dnia roboczego podnoszą przeciwnicy tego postulatu zarzuty tak zasadnicze, jak i praktyczne. Zasadniczo zwalczają ograniczenie dnia roboczego twierdzeniem, że mieści się w tem ograniczenie wolności osóbistej, z której płynie wolność umowna. Ze względów praktycznych podnosi się przeciw podobnej reformie przedewszystkiem niebezpieczeństwo, płynące stąd dla robotników, którzy, mając więcej wolnego czasu, mieliby więcej sposobności do pijaństwa i rozrzutności, dalej zaś szkody dla produkcyi, która nie mogłaby się ostać wobec konkurencyi krajów, nie mających podobnego ograniczenia. Dlatego też — powiadają — możnaby

co najwyżej ustanowić normy dla kobiet i nieletnich, w każdym raś razie wszelka regulacya czasu pracy powinna nastąpić jedynie na mocy międzynarodowej, jednolitej umowy, ażeby żaden kraj nie miał wyższości nad drugim.

Teorya takiej wolności osobistej jest tak słabą i błahą, że właściwie nie należałoby o niej wspominać. Jednakże występuje ona przeciw każdej ustawowej reformie na korzyść warstw robotniczych, musimy jej przeto dodatkowo jeszcze kilka słów poświęcić.

Autor trafnie cytuje słowa Lacordaire'a *C'est la liberté qui opprime, c'est la loi qui affranchit.* Wolność, jako taka, uchyloną być nie powinna i być nie może, lecz należy się raz zgodzić na jej pojęcie. Wolnym jest ten przy umowie, który bez poniesienia znaczniejszej straty może odrzucić warunki drugiego kontrahenta, lecz gdzie nie zachodzi podobny stosunek, tam o wolności nie może być mowy. Nie potrzeba ustawowego uregulowania — gdyby nawet było możliwem — minimum płacy, jeżeli ma ono odpowiadać jedynie pokryciu najniezbędniejszych potrzeb jednostki, gdyż poniżej tej granicy płaca nigdy spaść nie może. W takim razie robotnik jest rzeczywiście wolnym i odrzuci propozycye przedsiębiorcy, albowiem nie mogąc przy najwyższym wysiłku zarobić na swe utrzymanie, woli ginąć bez trudu, niż umierać w ciężkiej pracy. Nie można jednak mówić o wolności tam, gdzie odrzucanie choćby nader uciążliwych warunków naraża na jeszcze dotkliwsze szkody. Zwalczamy niejednokrotnie monopole, jakkolwiek w teoryi każdy ma możność uchylenia się z pod ich wpływu, zaprzestając używania zmonopolizowanych towarów. Tylko że skutki są dla niego jeszcze gorsze, jego wolność przeto jest iluzoryczna — a tak właśnie jest wolnym robotnik, pozbawiony środków do pracy i życia wobec przedsiębiorcy.

Przy normowaniu dnia roboczego niema przeto bynajmniej ograniczenia wolności, bo nie można ograniczać tego, czego nigdy nie było. Lecz za to mamy tu do czynienia z czemś lepszem, bo z nadaniem wolności. W braku ustaw, ograniczających wolność kontraktową robotnika, stosunek pracodawcy

i pracownika przedstawia się w ten sposób, że przedsiębiorca ma całą świadomość swego dominującego stanowiska. On wie o tem, że robotnik może zgodzić się na wszystkie warunki, gdyż nic mu tego wprost nie zabrania, wie zarazem, że on się na nie zgodzić musi, bo nie godząc się, traci wszelkie środki utrzymania. Stanowisko pracodawcy jest więc dyktatorskie, stanowisko robotnika streszcza się w konieczności bezgranicznego posłuszeństwa. Strona słabsza może, a więc musi robić to, co druga każe.

Co się tyczy trudności i niebezpieczeństw konkurencyjnych, to najlepsze odparcie tych zarzutów znajdujemy w sprawozdaniach ogłaszanych corocznie przez austryacki inspektorat przemysłowy. Zamiast wywodów teoretycznych przytoczymy tu dane z roku 1899, które właśnie mamy pod ręką. Data ich nie ma żadnego głębszego znaczenia, tem więcej, że w owym czasie sprawa zmniejszenia godzin pracy stała już na pierwszym planie żądań robotniczych, a nie chodzi nam o rezultaty statystyczne, lecz tylko o znaczenie i skutki tego rodzaju reformy.

Otóż z badań inspektoratów austryackich okazuje się, że najkrótszy dzień roboczy zastosowano w wielkich miastach, najdłużej natomiast pracuje się w okolicach o przemyśle drzewnym lub opierającym się o górnictwo. Podczas gdy w Wiedniu średnia dzienna praca wynosi 9·84, a w Tryeście 10·28 godzin, robotnicy w Styryi są zajęci przez 11 g., w Karyntyi i Śląsku przez 10·87, w Galicyi — i to zupełnie jednakowo w zachodnim i wschodnim okręgu przemysłowym — przez 10·85 godzin. Geograficzne rozmieszczenie dnia roboczego przedstawia się w ten sposób, że w krajach wysuniętych na północny zachód dzień pracy jest znacznie krótszy niż na południu i wschodzie, oczywiście pomijając wyjątkowe warunki wielkich miast. Widzimy to najlepiej w Czechach, gdzie w pięciu okręgach północnochodnich dzienna praca wynosi 10·45 — 10·54 godzin, podczas gdy w Czechach wschodnich pracuje się 10·69, w południowych 10·88 godzin. Zupełnie to samo dostrzegamy w Alpach. Austrya górna z Solnogrodem stoją tu z cyfrą 10·57, Austrya dolna bez Wiednia 10·64, Tyrol 10·71, Styrya, Karyntya i Kraina średnio

10·94 godzin. W całej Przedlitawii przeciętny dzień roboczy wynosi 10·61 godzin, pozornie więc różnice te są bardzo niewielkie, nabierają jednak znacznej doniosłości, skoro uprzytomnimy sobie całoroczną pracę. Każda setna godziny oznacza trzy godziny pracy w ciągu roku, jeżeli więc robotnik galicyjski pracuje o 0·24 dłużej, niżby to wypadało z przecięcia, a o 0·34 dłużej od północno-czeskiego, znaczy to tyle, jak gdyby w pierwszym wypadku pracował $6^1/_2$ dni, w drugim przeszło 9 dni normalnych jedenastogodzinnych więcej. Najwyższa różnica zachodzi między miastem Wiedeń i okręgiem hradeckim, gdyż wynosi 348 godzin, czyli $31^1/_2$ dni rocznie.

Wogóle czas dziennej pracy się zmniejsza. Jakkolwiek ustawa normuje dzień pracy na 11 godzin, blisko połowa zakładów fabrycznych zadowalnia się pracą krótszą, chociaż nie da się zaprzeczyć, że ciągle jeszcze się oscyluje około prawnego maximum. Mianowicie na 5104 zwiedzonych fabryk 42·42 % trzymało się dnia maxymalnego, 9·12 % miało pracę dłuższą, a 48·46 % krótszą. W każdym razie jednak zwyczajny dzień roboczy wynosił między 10—11 godzin, do tej kategoryi bowiem należy 83·93 % fabryk, z czego 23·83 % przypada na pracę dziesięciogodzinową, podczas gdy grawitacya około maximum ustawowego w tem się objawia, że prawie trzecia część zakładów fabrycznych (65·83 %) zastosowała pracę od $10^1/_2$ do $11^1/_2$ godzin dziennie.

Oczywistą jest rzeczą, że jeżeli badamy czas pracy w różnych gałęziach przemysłu, dostrzeżemy różnice bardzo daleko idące. W przemysle polygraficznym panuje dzień dziewięciogodzinny, który obowiązuje w 81·4 % wszystkich zakładów. Przeszło dwie trzecie (67·39 %) fabryk maszyn i blizko połowa (48·82 %) zakładów metalurgicznych pracuje najwyżej 10 godzin). Natomiast praca dziesięciogodzinowa należy do rzadkości w wyrobie artykułów spożywczych (13·15 %), w papierniach (19·16 %), fabrykach towarów chemicznych (20·58 %) i przędzalniach (21·18 %). Za to powyżej 11 godzin dziennie pracuje się najczęściej w przemyśle spożywczym, w którym 32·82 % fabryk idzie przez $11^1/_2$ do 12 godzin dziennie, papierowym (16·66 %), chemicznym (9·80 %), wreszcie w kamieniarstwie i mularstwie (9·20 %). Okazuje się

zarazem, że powoływanie się na konkurencyę, jako na okoliczność, która nie pozwala na skrócenie dnia roboczego, najczęściej jest bezpodstawne. W Czechach i na Morawach np. jedynie przemysł spożywczy pracuje niekiedy dłużej, niż 11-godzin, w Galicyi również z wyjątkiem 4 fabryk wyrobów chemicznych, wszystkie zakłady o $11^1/_2$—12-godzinnym dniu należą do tej kategoryi, tymczasem w krajach alpejskich i na Śląsku utrzymuje się dłuższy dzień pracy nadto w przeważnej liczbie papierni, w hutach szklannych, fabrykach wyrobów metalowych i chemicznych. Wogóle w każdej niemal gałązi przemysłu widzimy w oznaczeniu godzin pracy pewnego rodzaju swobodę, która z naciskiem konkurencyi nie może mieć nic wspólnego. Bo przecież nikt nie uwierzy w konieczność jednolitego dnia pracy, jeżeli przekona się, że 296 przędzalń poprzestaje na 10-godzinnej pracy, gdy 681 musi mieć 11 godzin, albo gdy zobaczy, że 46 papierni pracuje przez 10 godzin, a 40 innych przez 12. Nie zapominajmy przytem, że daty te odnoszą się do jednego państwa, a więc do terytoryum o jednakowem ustawodawstwie ekonomicznem i skarbowem. Niema przeto żadnych — przynajmniej prawnych — przyczyn neutralizujących ewentualny wpływ różnic w dniu roboczym na stosunki konkurencyjne. Innemi słowy, jeżeli gdzie, to właśnie na takim zamkniętym obszarze, doniosłość tych różnic musiałaby się przejawić bardzo wybitnie, gdyby rzeczywiście posiadały one jakieś głębsze znaczenie. Jeżeli nawet tutaj nie dostrzegamy nic podobnego, i owszem widzimy dobrowolnie przez przedsiębiorców wprowadzoną znaczną różnorodność nawet w tych samych gałęziach produkcyi, to tem mniej można uwierzyć, ażeby długość dnia roboczego zaważyła na szali konkurencyi międzynarodowej, gdzie ona może być zniwelowaną całym szeregiem czynników działających w najrozmaitszych kierunkach. Przytem na zakończenie tej kwestyi jeszcze jedna uwaga. Kraje, w których w Przedlitawii pracuje się najdłużej, nie mogą, pomimo wysiłków rozwinąć swego przemysłu i dorównać innym. A przecież w myśl teoryi o uzdolnieniu konkurencyjnem, powinnaby zająć naczelne stanowisko, mając nad rywalami przewagę dłuższego dnia roboczego, to

chyba charakteryzuje dostatecznie prawdziwość wywodów tego rodzaju.

Uzupełnieniem naturalnem regulacyi godzin roboczych, jest wprowadzenie od czasu do czasu całodziennej przerwy w pracy czyli t, zw. spoczynku świątecznego. W rozdziale, poświęconym tej kwestyi, przedstawia autor wyczerpująco wszystkie względy, gospodarcze, hygieniczne, moralne i społeczne, przemawiające za spoczynkiem niedzielnym i skutecznie polemizuje z liberalizmem, zwalczającym to żądanie z całym naciskiem. W walce tej można odróżnić dwa kierunki. Jeden zasadniczo odrzuca wszelkie ograniczenia pracy, opierając się na teoryi wolności osobistej, omówiliśmy go przeto już poprzednio; drugi nie sprzeciwia się odpoczynkowi tygodniowemu, lecz pragnąc odebrać mu wszelki charakter wyznaniowy — znowu w imię wolności sumienia — nie chce, ażeby oznaczać go na niedzielę.

O ile ludzie dobrej wiary zajmują to stanowisko, należy przyznać, że są niepraktycznymi doktrynerami, a w dodatku popełniają wielką niekonsekwencyę. Nie ulega wątpliwości, że spoczynek powinien wypadać na ten sam dzień we wszystkich zakładach, przynajmniej jednej miejscowości, inaczej bowiem robotnicy różnych zawodów nie mogliby wcale wejść ze sobą w stosunki towarzyskie, konieczną zarazem jest rzeczą, ażeby dzień ten był dla nich najlepiej dobrany, t, zn. ażeby jak najlepiej mogli wykorzystać swą swobodę. Otóż pomijając nawet zupełnie względy religijne, niepodobna zaprzeczyć, że dzięki rozwojowi dziejowemu cywilizowanego świata, który się oparł na chrystyanizmie, dniem takim wszędzie, bez względu na ustawodawstwo, jest niedziela i święto. W tym dniu odbywają się wszystkie zabawy, widowiska i odczyty ludowe, w niedzielę istnieje wszędzie bezpłatny lub tańszy wstęp do muzeów i zbiorów sztuki, w niedzielę wreszcie najłatwiej spoczynek przeprowadzić, najmniej będzie przekroczeń ustawy, bo przepisy idą tu w myśl tradycyi i przyzwyczajeń, są czemś naturalnem a nie sztucznem i narzuconem. Dlatego już ze względów utylitarnych dzień ten jest najodpowiedniejszym, co się zaś tyczy swobody sumienia, rzecz cała przedstawia się w następujący sposób. Spo-

czynek niedzielny pozwala robotnikom religijnym na spełnianie swych obowiązków wyznaniowych, nie szkodząc ani krępując w niczem innych, spoczynek w dzień powszedni, nie przynosząc żadnej korzyści obojętnym lub innowiercom, nie dopuszcza zaspokojenia religijnych potrzeb katolików, niepotrzebnie nakłada im pęta. W niedzielę korzystają wszyscy jednakowo, mając możność dowolnego rozporządzenia swym czasem, w inny dzień robotnik praktykujący jest w rzeczywistości pozbawiony swobody religijnej — stąd też właśnie ze stanowiska wolności i równości niedziela posiada niezaprzeczoną wyższość nad jakimkolwiek dniem tygodnia.

Sprawa ta jest bardzo ważna dla robotników, gdyż jak trafnie podnosi autor, spoczynek robotnika jest o wiele donioślejszy, aniżeli kierowników lub warstw pracujących umysłowo, gdyż praca fizyczna znika dla człowieka z chwilą jej odłożenia, intellektualna zaprząta myśl jego bez przerwy, nawet w chwilach bezczynności. To też wpływ umoralniający niedzieli, zacierający gorycz i pamięć przebytych trudów, niwelujący antagonizmy i zawiści społeczne, jest donioślejszy, niżby się zdawało. W obecnej chwili ustępy odnośne książki p. Jaroszyńskiego nabierają dla nas tem większej aktualności, że właśnie teraz toczą się obrady nad nowem uregulowaniem spoczynku niedzielnego w państwie i naszym kraju, i niestety ciągle jeszcze obraca się wielu u nas w ciasnem, doktrynerskiem kole teoryi liberalnej, motywując swe stanowisko różnorodnością wyznaniową mieszkańców Galicyi.

Do najlepiej udanych rozdziałów należy cała partya o ubezpieczeniu robotników. Materyał i stan sprawy skreślony jest treściwie lecz przejrzyście i z uwzględnieniem rezultatów najnowszej nauki i ostatnich prób ustawodawczych, wszystkie wnioski należycie umotywowane, argumenty polemiczne trafne, tak że śmiało można powiedzieć, że część ta stoi najwyżej w całej pracy. Jedynie co do kwestyi przyczyniania się państwa do kosztów ubezpieczenia robotników, nie możemy się zgodzić ze zdaniem autora. Państwo nie działa tu filantropijnie, nie udziela jałmużny, lecz spełnia jedynie swój obowiązek we własnym, do-

brze zrozumianym interesie. Pan Jaroszyński myli się, złudzony pozorami, twierdząc, że państwo przy umowie o pracy jest osobą trzecią, która ani nie korzysta z kontraktu, ani nie przyjmuje żadnych obowiązków. Robotnik pracując przynosi korzyści nietylko sobie i przedsiębiorcy lecz całemu społeczeństwu; jest użytecznym i niezbędnym członkiem ogółu, lecz całemu społeczeństwu; jest użytecznym i niezbędnym członkiem ogółu, stąd też i ogół ma względem niego pewne obowiązki. Jeżeli przy strejkach powstaje niejednokrotnie pytanie, czy zmowy o bezrobociu dadzą się usprawiedliwić wobec wielkich szkód, które przynoszą niewinnemu ogółowi, to widoczną jest rzeczą, iż w pewnych wypadkach uznajemy ścisłą łączność społeczeństwa, nie mieszającego się do kontraktu o pracę i robotnika. Uznajemy ten związek wzajemych strat i korzyści i właśnie to uznanie nie tylko uprawnia państwo, lecz wprost mu już nakazuje wziąć udział w kosztach ubezpieczenia. Bo przecież niepodobna żądać, ażeby tylko robotnik krępował się z interesem ogólnym, a społeczeństwo korzystało jedynie z tego związku, nie ponosząc w zamian żadnych ciężarów. Tym samym argumentem można obalić przytoczony przez autora zarzut Grillenbergera, który twierdzi, że udział państwa w ubezpieczeniu jest właściwie ukrytem, podwójnem opodatkowaniem robotnika, gdzie on składa lwią część dochodów skarbowych w formie podatków pośrednich. Odnosi się to głównie do Niemiec, gdzie dochody cesarstwa płyną przedewszystkiem z podatków spożywczych i obrotowych, w których udział klas robotniczych jest bardzo znaczny. Lecz z tego tytułu można zaczepiać jedynie organizacyę podatkową państwa, nigdy zaś zasady jego współdziałania przy ubezpieczeniu. Państwo przyczynia się dlatego, że istnieje łączność między pracą robotnika a dobrem całego społeczeństwa, a nie dlatego jakoby istniał związek między położeniem klas roboczych i wszystkiemi innemi warstwami narodu. Stąd też tak robotnicy jak pracodawcy przyczyniają się do kosztów ubezpieczenia podwójnie — raz wprost datkami z tytułu kontraktu o pracę jako bezpośrednio interesowani, powtóre pośrednio w formie podatków jako obywatele państwa; wszystkie inne klasy przyczyniają się tylko

pośrednio z tytułu przynależności państwowej. Jako członków społeczeństwa traktuje się przeto robotników i przedsiębiorców na równi z innymi, prócz tego zaś nakłada się na nich jeszcze osobne obowiązki z powodu odmiennego ich stosunku właśnie do tej kwestyi. Zasada przeto przeprowadzona jest słusznie i racyonalnie, jakkolwiek niepodobna zaprzeczyć, że przy przeprowadzeniu jej w kierunku odgrywały rolą jeszcze inne względy, mianowicie obawa przed zbytniem przeciężeniem przemysłu, gdyby państwo nie wzięło żadnego udziału w kosztach ubezpieczenia.

Na tem kończymy nasze uwagi o pracy p. Jaroszyńskiego. Należy mu się prawdziwa wdzięczność, że podjął się ciężkiego i żmudnego zadania skreślenia obrazu katolickiej nauki socyalnej. Śmiało można stwierdzić, że wywiązał się z niego — jak dotąd — szczęśliwie i życzyćby tylko należało, ażeby książka jego znalazła w naszym kraju szerokie echo i zachęciła do pozytywnej, realnej pracy na polu społecznem. Bo niestetety, bardzo wiele u nas jest do zrobienia, a bardzo mało chętnych do takiego działania. Gdyby przeczytanie „Katolicyzmu socyalnego“ zwiększyło szeregi pracowników w tej dziedzinie, byłoby to niewątpliwie dla autora największą nagrodą. Tego życzymy mu szczerze.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

WRAŻENIA Z BRUKSELI.

„Śliczne to miasto, po Paryżu najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem“ — mówi o Brukseli Henryk Sienkiewicz w swoich „Listach z podróży“. „Ależ piękniejsze od Paryża — odpowie Brukselczyk — proszę tylko porównać nasze bulwary z paryskimi a porównanie wypadnie na naszą korzyść: nasze są o wiele szersze, przestronniejsze, ciągnące się hen w dal. A park nasz śmiało może walczyć o lepsze z Tuileries. Bruksela to śliczne miasto“. Czyż tak? W dziedzinie piękna nie lubię porównań ani pytań co piękniejsze. Dość że piękne a wyznać trzeba, że w Brukseli są piękne rzeczy i śliczne pejzaże. Tylko że niema tu tego ożywienia, co w Paryżu, nie płynie ta potężna fala życia, właściwa wyłącznie tylko olbrzymim ogniskom dzisiejszej cywilizacyi, gdzie spotykają się ekonomiczne i polityczne prądy i sztuka i nauka świata całego.

Piękność miasta zależy w pierwszym rzędzie od pięknych ulic, od pięknych widoków w obrębie miasta się znajdujących. Rzeźby i posągi przyczyniają się bardzo do upiększenia miasta, ale tylko wtedy, gdy są odpowiednio rozmieszczone i ustawione, gdy przypadają tak do otoczenia, że tworzą z niem jedną całość architektoniczną albo na tle uwydatniającem ich wyraz plastyczny, nabierają życia i charakteru, zdają się mówić: oto jestem. Francuzi zaś przedewszystkiem i po części Brukselczycy umieją rozstawić posągi na odpowiednich ulicach czy placach z gustem prawdziwie artystycznym. Taki Godefroid de Bouil-

lon na placu królewskim i wspaniałej ulicy, którą zamyka z jednej strony pałac sprawiedliwości o wysoko sterczącej kopule a z drugiej słynny park brukselski, jest prawdziwą ozdobą miasta. Pod ognistym rumakiem ziemia się pali, a on, ten bohater krzyżowy wznosząc dumnie sztandar ku niebu z hasłem bojowem na ustach: *Dieu le veut!* wyrusza na wyprawę krzyżową. To arcydzieło z bronzu wykonane przez artystę Eugeniusza Simonis, które Belgia wzniosła największemu swemu bohaterowi krótko po odzyskaniu niezależności politycznej, jest zarazem przypomnieniem tej ważnej dla narodu całego prawdy historycznej, że Belgia tylko wtedy i tak długo była pomiędzy pierwszymi w cywilizacyjnym pochodzie narodów, jak długo oczy miała zwrócone ku wzniosłym ideałom chrześcijaństwa i wierną była temu hasłu, które jedno tak jednostki, jak i narody całe prowadzi na wyżyny chwały, wolności i szczęścia.

Oprócz rzeźb i posągów zdobią miasto monumentalne gmachy, wspaniałe pałace, malownicze domy. W każdem starem mieście spotykamy raz po raz staroświeckie domy, wykończone tak starannie, z taką widoczną pieczołowitością i rzemieślników i właścicieli, że każdy z nich uchodzić może słusznie za dzieło sztuki z własną sobie fizyognomią. Ale bo też te gmachy wznosiły współzawodniczące ze sobą na drodze dobrobytu i cywilizacyi miasta, z których każde było jakby odrębnem, własny żywot mającem państwem, bo te domy budowały wieczny żywot mające korporacye lub rody, t. j. rodziny kochające się w przodkach swoich i stojące pilnie na straży swoich ideałów rodzinnych. Więc nie dziw, że tak starannie są wykończone i ozdobione z całym artyzmem, na jaki się dana epoka zdobyć mogła. Dziś rody się rozpłynęły w społeczeństwie ruchomem, dziś buduje się domy dla zysku, dla spekulacyi, i dlatego nie mamy ani artystów-rzemieślników ani domów z właściwym sobie charakterem. W miastach, które zamiast wielkie ogarniać przestrzenie piętrzą się w górę coraz wyżej i wyżej, wznoszą się wysokie kasarnie stłoczone w ulice pod prostym kątem się krzyżujące, wbrew wszelkim wymaganiom hygieny i estetyki, rozumu i serca. Architekci zaś suszą sobie głowę, jak tu sobie począć

z fasadą kasarni, żeby jej nadać wygląd estetyczny. I dotąd nie znalazł się jeszcze żaden Brunellesco, któryby rozwiązał problem fasady, wymyślony przez architektów niemieckich. Wszystkie te niedogodności hygieniczne i społeczne i niedomagania estetyczne są oczywiście ściśle związane z olbrzymim rozrostem dzisiejszych miast, i kto wie, czy nie z rozwojem naszej cywilizacyi, która w obrębie potężnych ognisk swoich wytwarza wielkie grupy ludzi i rodzin związanych ściślej ze sobą tysiącznymi węzłami czyto własnego interesu, czy zabawy, czy wygody. Może w nie tak odległej przyszłości wśród wielkich miast powstaną kolonie, którym na imię będzie — kasarnie stowarzyszonych.

A teraz przejdźmy się po Brukseli. Miasto jeszcze w mgłach jesiennych spowite, ale zwolna już wszędzie ruch i gwar uliczny budzić się poczyna. Mijam wspaniałe bulwary i ulice, by błądzić na chybił trafił po starem mieście. Uliczki są ciasne, wężykowate, łamiące się tam, gdzieby się najmniej tego spodziewać należało, zdaje się, że to korytarze jakiegoś olbrzymiego zamku staroświeckiego. Domy są jeszcze ciche, okna przeważnie zasłonięte żaluzyami, choć tu i owdzie przedziera się już przez mgły poranny promień słońca, połyskując łagodnem światłem na złoceniach domków hiszpańsko-flamandzkich. Na ulicach widać tylko rozwożące mleko flamandki. Ale niebawem widok się zmienia. Ulice przybierają postać okazalszą, a tuż przedemną otwiera się wspaniały plac dość obszerny, z którego ulice rozbiegają się we wszystkich kierunkach. To może rynek jakiś? Nie, to tylko ulice rozstajne. W Brukseli ulice rzadko tylko krzyżują się pod kątem prostym. Tu ulic nie wytyczał ani urzędnik policyjny ani inżynier magistracki, w starem mieście one z biegiem wieków samorodnie się układały według tego, co potrzeba czy przypadek zrządził; w nowem zaś mieście wytycza plany artysta-architekt, który wymagania ekonomiczne i higieniczne łączy z ideałem piękna. I dlatego tu krzyżowanie się ulic raz po raz malowniczy przedstawia widok. Istne mrowisko życia wielkomiejskiego: wokoło ruch i gwar i zgiełk uliczny tłoczących się w różnych kierunkach ludzi a oko gubi się w tym labiryncie kamiennym, przez który bezustannie przepływają fale ludzi,

w jego kapryśnych załomach lub w głębi ulicy, której końca nie dojrzysz.

Nowe ulice buduje Bruksela zwyczajnie według wzorów paryskich. Tu problem fasady nie sprawia architektom dużo kłopotu, bo im nie idzie o to, żeby pojedynczym domom nadać odrębną fizyognomię, ale żeby ulica piękny przedstawiała widok. I wyznać trzeba, że cel ten osiągnęli w zupełności. Ulica tu raz po raz przedstawia jedną całość i jeden architektoniczny widok przez uwydatnienie bieżących wzdłuż ulicy linii horyzontalnych i przez jednakową wysokość domów. Żelazne balustrady na piętrach domów nadają ulicy charakterystyczne piętno i potęgują głębokość perspektywy. Ornamentacya na fasadach domów nie rzuca się krzykliwie w oczy, nie psuje architektonicznego piękna, ale służy do tego, żeby uwydatnić i podnieść architektoniczne linie i proporcye.

Ale przyśpieszam kroku, pilno mi znaleźć jakiś plac obszerny, wspaniały, gdzie więcej przestrzeni, więcej światła. Po niedługiej wędrówce odsłania się cudowny pejzaż. Z jednej strony olbrzymi wspaniały wodotrysk, z drugiej otwarty widok horyzontu. Ulica, która bierze początek w drżących od nadmiaru światła kroplach szeroko rozpostartego wodotrysku i ciągnąca się jakby w nieskończoność, to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie nam wielkie miasto dać może. Widok bowiem przyrody zawsze orzeźwia i pokrzepia duszę. Gdy patrzymy na jakieś monumentalne dzieło sztuki do estetycznej zadumy zawsze się jakiś smętek przyplącze. Bo monumentalne dzieła są pomnikiem historyi i zawsze nam przypominają jakąś epokę minionej wielkości i chwały, jakąś tragedyę dziejową czy też tragedyę duszy artysty, którą geniusz jego wypisał na arcydziele. Tymczasem widok przyrody wywołuje jedno tylko niczem niezamącone uczucie radości orzeźwiające i pokrzepiające duszę. A cóż dopiero gdy ten skrawek przyrody błyszczy gdzieś w oddali w blaskach wschodzącego słońca, gdy przetapia się cały w światło czyste, oślepiające lub gdy na odsłoniętym horyzoncie bokami się łyska i czarne chmury skupiają się w groźną burzę, która niebawem nad miastem zawiśnie!

Takich i tym podobnych widoków przyrody wiele otwierają ulice brukselskie. Znać, że nad upiększeniem tego miasta czuwali artyści. W środku starego miasta rozlega się wspaniały park, dalej na stoku lekko pochyłej góry piękny ogród botaniczny, obok muzeum Wierca ogród zoologiczny, a za miastem piękny lasek de la Cambre. Wokoło zaś starego miasta i dalej biegną w dal przestronne, szerokie bulwary. Słowem w mieście dużo przestrzeni, światła i powietrza.

* * *

Wspaniały w swej piękności i powadze jest stary rynek t. zw. la Grand' Place. Brukselczycy mówią, że niema w tym rodzaju nic piękniejszego na świecie, że to jedyny w Europie klejnot architektoniczny w swojej starej i bogatej oprawie *l'incomparable Grand' Place, ce joyau unique au monde!*

Ten ratusz prastary w całym przepychu bujnie rozwiniętej gotyki, ta wieża tak lekka, że zda się unosić w powietrzu, ten gmach uroczy naprzeciwko ratusza, *la Maison du Roi,* owiany już mocnym powiewem renesansu, to są nieporównane arcydzieła architektury gotyckiej. A wokoło rynku staroświeckie, malownicze domy prastarych cechów (naliczysz ich przeszło trzydzieści), zdobne w płaskorzeźby, posągi i złotem lśniące frontony — wszystko to razem wzięte jako całość architektoniczna, to najpiękniejszy klejnot w koronie, jaką wymarzyć sobie może naród — *un des plus beaux fleurons de sa couronne que puisse rêver une nation!* Tak sądzi rozkochana w swych zabytkach artystycznych i historycznych Belgia o starym rynku w Brukseli. I wyznać trzeba, że wrażenie wywołuje wielkie i niezatarte *la Grand' Place.*

Pierwsze wrażenie, to uczucie podziwu i uwielbienia dla pięknej architektury. Najpierw oko obejmuje ratusz i wieżę. Wieża piękna, uderza posągowością linii i doskonałością proporcyi. U dołu kwadratowa, masywna, ciężka, ale w miarę jak się w górę wznosi, począwszy od wysokości dachu, przechodzi w ośmiokąt. Piętra jej stają się przeźroczyste, coraz lżejsze; na szczycie widać wyraźnie sylwetkę św. Michała wzbijającą się

jakby w górę za każdym wiatru powiewem. Wieża ta stanowi część najpiękniejszą gmachu, króluje, jaśnieje niezrównaną lekkością i wdzięczną prostotą nad okazałą facyatą, która dwoma skrzydłami przypiera do jej boków. Pierwsze skrzydło stosunkowo ciężkie i masywne o oknach prostokątnych rzuca się w oczy niesłychanem bogactwem gotyckiej dekoracyi. Artysta chcąc nadać ciężkiej jego budowie pewną lekkość i malowniczość, ozdobił ją bogato gotycką koronką kamienną, utkaną z niezliczonych figur i figurek, framug i kapliczek, wieżyczek i strzałek. Koronka ta snująca się pomiędzy pierwszem a drugiem piętrem i pomiędzy oknami, przedstawia nam długi szereg postaci wybitnych osób brabanckich i brukselskich, począwszy od głów ukoronowanych aż do rajców miejskich i uczonych i artystów; nawet świętych Starego i Nowego Zakonu nie opuszczono w tym panteonie brabanckim. Skrzydło to w doskonałej jest harmonii z dolną częścią wieży i tworzy z nią jedną całość, prawdopodobnie to pierwotny ratusz, według pierwszego planu. Drugie zaś skrzydło o oknach ostrołukowych o wiele szlachetniejsze i lżejsze w budowie, odpowiada więcej górnej części i szczytowi wieży. Jest to nowsza część facyaty dobudowana do wieży czterdzieści lat później, wykonana zapewne według planu innego artysty. Dach szpiczasty, ozdobiony w cztery szeregi małych i wystających okien a na obu szczytach wieżycami gotyckiemi, łączy się harmonijnie z całością. I w tem wielka sztuka i rozum architektów, iż mimo znacznego odstępu czasu, mimo, iż plany budowy nie z jednej pochodziły ręki i obydwa skrzydła fasady i wieża odmienną i niemal własną mają fizyognomię, przecież wszystkie części budowy w jedną harmonijnie spajają się całość. Tak tylko w dawnych wiekach, którym przyświecały wielkie i wspólne ideały piękna, budować umiano.

Drugim klejnotem architektonicznym starego rynku jest dom królewski *Maison du Roi,* gdzie przedstawiciel władzy książęcej miał swoją siedzibę. Pałac ten zbudowany w stylu gotyckim i renesansowym zarazem, uderza przedewszystkiem pięknością klasyczną swojej fasady. Jakiś dziwny spokój i cudna harmonia bije z tych arkad przeźroczystych i lekkich, jakaś lekkość

i wiewność z tej misternej koronki kamiennej, która ciągnie się ponad łukami arkad dolnych i pierwszego piętra. Wszystko doskonałe pod względem proporcyi, pełne harmonii, i ta atyka i koronka, które zdobią gotycki dach i te szeregi okienek na dachu i te liczne wieżyczki na obu szczytach; nawet łuki arkad przybrały się w gotyckie wcięcia, aby się tem silniej spoić z kamienną koronką. Artyzm tu zupełnie opanował martwy i ciężki kamień i przybrał go w koronkę powiewną, bo koronka wtedy wszechwładnie panowała a Belgia jest klasycznym krajem koronek.

Gdy dusza poi się pięknością i poezyą płynącą z tych arkad i smukłej wieży i kamiennych koronek, myśl wybiega w daleką przeszłość i odtwarza sobie obraz życia i ruchu pośród tego cudnego zakątka. I to jest może najpotężniejszy czar, którym owiany jest stary rynek w Brukseli. Bo też każdy tu gmach, każda piędź ziemi, każdy kamień tu drogi, uświęcony życiem i tradycyą wolnego miasta, będącego kiedyś jasnem ogniskiem cywilizacyi, z każdego kąta i muru wieje tu tradycya wielka, smętna i pouczająca. Ogarniając wzrokiem te mury monumentalne, fantazya snuje złote sny przeszłości, kiedy w chwilach rynek cały zaroił się od tłumu ludzi, gdy pod arkadami ratusza przechadzali się dumni radni w strojach błyszczących od złota i jedwabiu, gdy na odgłos surmy zabłysły lance potykających się w turniejach rycerzy a z arkad domu królewskiego przypatrywały się ciekawie turniejom szlachetnie urodzone białogłowy— wszystko to minęło niepowrotnie. Dziś rynek stary pozbawiony właściwego sobie życia jest tylko chwałą przeszłości zdolną w duszy myślącej wywołać smętną zadumę.

Ważniejszą od uroków estetycznych jest nauka, która przemawia z tych pomników kamiennych.

Cała przeszłość historyczna miast belgijskich składa się z bezustannych walk i krwawego raz po raz mocowania się trzech tych potęg dziejowych, które łącznie z Kościołem w Brabancyi i Flandryi tworzyły historyę. Potęgami temi są: patrycyat miejski, cechy rzemieślnicze i władza książąt udzielnych.

Miasta belgijskie (z wyjątkiem Leodyum) nie powstały

w cieniu katedry biskupiej ani w pobliżu klasztoru. One wyrosły na drogach, kędy handel i kultura wschodu i południa przedzierała się do krajów północnych, w potężne ogniska światowego handlu i przemysłu. I dlatego też okazują one w swoim pochodzie historycznym i rozwoju cywilizacyjnym całkiem odmienną od innych miast na zachodzie i właściwą sobie fizyognomię. Inna była ich zależność od książąt feudalnych, inny patrycyat, nawet cechy rzemieślnicze przybrały tu odmienny charakter, inne tu były ich ideały polityczne i ekonomiczne. Szlachta rodowa, która ongi aż do XII w. w Flandryi i Brabancyi stanowiła siłę zbrojną feudalnych zamków (kasztelanii) pośród tworzących się miast nie przeobraziła się tu jak w Niemczech, w patrycyat miejski. Tu niebawem miejsce szlachty feodalnej zajęła arystokracya pieniężna, ujmując w ręce władzę i przywileje szlachty rodowej. Miejsce zaś kasztelana zajął komisarz książęcy, reprezentujący trybunalną władzę księcia. Stosunek ten do władzy książęcej był luźny bardzo. Już bowiem z początkiem XIII wieku wszystkie miasta belgijskie prawie zupełną posiadały autonomię. Na cechach zaś i na pospólstwie wycisnął wielki handel i wielki przemysł charakterystyczne swe piętno.

Otóż te malownicze domy cechowe bogato ozdobione w płaskorzeźby, posągi i złocenia na frontonie i fasadzie przypominają nam złote czasy prastarych a potężnych cechów rzemieślniczych. Walczyły one przez dwa całe wieki o władzę, którą dzierżył silnie i zręcznie zazdrosny o swoje przywileje patrycyat. Raz po raz przychodziło do krwawych buntów, które patrycyat tłumił za pomocą praw drakońskich i topił we krwi przy pomocy władzy książęcej. Dopiero z początkiem XV wieku cechy zdobyły sobie przemocą udział w zarządzie miasta i stanęły u szczytu swoich pragnień politycznych. I oto widomym pomnikiem ich znaczenia i potęgi są te domy cechowe, przed niewielu laty na nowo odbudowane.

Ten ratusz wspaniały w całem bogactwie swej dekoracyi gotyckiej zbudował dumny patrycyat pospołu z mieszczaństwem, gdy opływał w bogactwa, bawił się i krwawe prowadził walk

z cechami dobijającymi się władzy w zarządzie miasta. Ciężka i masywna część ratusza datuje z czasów wyłącznych rządów patrycyatu, wieża zaś i druga część facyaty z czasów, gdy cechy zdobyły sobie udział w władzy nad miastem. I może dlatego część ta taka powiewna i lekka i zdaje się, że bije z niej jakaś radość i szczęście i tryumf zwycięstwa. Gandawa podówczas krwawe aż do zupełnej ruiny wiedzie walki o wolność i autonomię z książętami burgońskimi a Bruksela się bawi, przyjmuje otwartemi rękami dwór książęcy, który tu zakłada stolicę dla nowego państwa Flandryi i Brabancyi, stawia monumentalne gmachy w imię tej krwawo zdobytej wolności, którą teraz składa dobrowolnie u stóp tronu możnego księcia. Czyż to nie ironia? Nie, bo to pospólstwo i mieszczaństwo dobijające się przez wieki całe władzy, nie kochało na prawdę wolności, ono pragnęło tylko złota, zabaw i rozkoszy a może i sprawiedliwości. To mieszczaństwo bawiące się zapomniało nawet o pięknym swoim kościele, bo jakaż jaskrawa, w oczy bijąca różnica pomiędzy kościołem a ratuszem. Kościół św. Guduli o niedokończonych wieżach, pozbawiony wewnątrz i zewnątrz wszelkich prawie ozdób, surowy w swojej prostocie patrzy na miasto smętnie swymi szarymi murami a ratusz przybrał się dumnie w cały przepych gotyckiej dekoracyi i niebotyczna wieża jego zamiast wieży kościelnej króluje dumnie nad miastem i nad całą okolicą.

Wreszcie dom królewski o pięknych arkadach, które dziś pozbawione życia i przepychu dworskiego tak smutnie patrzą na rynek, przedstawia władzę książęcą. Rezydował tu pełnomocnik władzy terytoryalnej, mianowany przez książąt panujących w miejsce dawnych kasztelanów. Zrazu stosunek miast do książąt panujących był przyjacielski. Miasta dawały w razie potrzeby złoto i żołnierzy, książę natomiast obdarzył je zupełną autonomią. Ale niebawem ideały polityczne miast stanęły w poprzek polityce domów panujących. Gdy miasta stanęły u szczytu swojej potęgi ekonomicznej, nie chciały ścierpieć ingerencyi książąt, nie chciały się zgodzić na centralizacyjne dążności państwa. I stąd krwawe bunty, zatargi i straszne walki, które się jeszcze

spotęgowały, gdy Belgia stała się areną walki stuletniej dwu najpotężniejszych w Europie dynastyi: Burbonów i Habsburgów. W okresie tym dom królewski był niemym świadkiem krwawych i okrutnych rządów ks. Alby, i śmierci hr. Egmonta Horna, którzy tu ostatnią noc przed krwawą egzekucyą przepędzili, był świadkiem okrutnych rządów kalwińskich w Brukseli i ich wandalizmu, z jakim dzieła i zabytki sztuki niszczyli, był świadkiem strasznego oblężenia za Ludwika XIV, które prawie miasto całe i rynek z wyjątkiem ratusza i po części domu królewskiego obróciło w perzynę. A w końcu przyszła burza rewolucyi francuskiej i walki o niepodległość i wskrzeszenie ojczyzny i dawnej chwały.

* * *

Wśród miasta starego, tuż obok kolegium OO. Jezuitów z jednej strony a głównej siedziby masoneryi z drugiej, rozsiadł się szeroko olbrzymi gmach, zbudowany z żelaza i szkła. Budowa ta o kształtach niezgrabnych, bez charakteru architektonicznego, pomalowana brudną farbą, jakby chciała ukryć swój zrąb żelazny, w niczem nie zwracałaby na siebie uwagi, gdyby nie okoliczność, że tu obrali sobie główną siedzibę socyaliści belgijscy. Dom ten pod nazwą *Maison du peuple*, przed niewielu laty wznosili pieniędzmi ludu, pozyskanymi przez socyalistyczne spółki spożywcze, dziś stał się jednym z najpotężniejszych szańców socyalistycznego obozu w Belgii i ogniskiem, w którem się skupia i ożywia wszelki ruch polityczny, umysłowy i towarzyski socyalistów brukselskich, a poniekąd i socyalizmu w całej Belgii.

Siłą i życiem socyalizmu w Belgii są przedewszystkiem stowarzyszenia ekonomiczne, a więc spółki wytwórcze i spożywcze, stowarzyszenia zapomogowe i zawodowe oraz kluby wszelkiego rodzaju, mające na celu sport i zabawę. Jądrem zaś i rdzeniem wszystkich tych stowarzyszeń jest zwyczajnie spółka spożywcza, która ma swoją siedzibę w domu ludowym. Otóż

takim domem ludowym i ogniskiem ruchu socyalistycznego w Brukseli jest *Maison du peuple.*

Jest to w pierwszym rzędzie spółka spożywcza i wytwórcza. Pewna liczba robotników a przedewszystkiem ci, którzy pracują w samej spółce i są na jej usługach, zawiązali pomiędzy sobą stowarzyszenie spożywczo-wytwórcze. I oto zawiązek domu ludowego i zarazem jądro najtęższe całej organizacyi. Każdy bowiem członek spółki spożywczo-wytwórczej związany jest ze spółką najsilniejszymi węzłami ekonomicznymi, jako akcyonaryusz spółki, jako producent i konsument. Taki piekarz np. pracujący w spółce jako akcyonaryusz spółki ma udział w zyskach stosownie do ilości zakupna.

Socyalistyczne spółki spożywcze, ażeby nic nie uronić z własnego zysku, a z drugiej strony robotnikom bardziej namacalnie pokazać korzyści ze spółki płynące, trzymają się w Belgii zwyczajnie następującej praktyki: w spółce nie kupuje się taniej, jak gdzieindziej, ale za to kupujący dostaje co trzy albo co sześć miesięcy, stosownie do ilości zakupna, odpowiednią gratyfikacyę w bonach, które w obrębie spółki mają wartość pieniędzy, za które można kupić różne towary w spółce. Kto np. w Gandawie kupił za 100 fr. chleba a co najmniej za 150 fr. innych towarów w spółce, otrzymuje z końcem półrocza, stosownie do umowy, 32 fr. w bonach, za które może sobie kupić w spółce co zechce. Praktycznym rezultatem tej manipulacyi jest, że robotnik chcąc wystąpić ze spółki zawsze narażony jest na straty dotkliwe a spółka na tem pod względem finansowym ogromnie zyskuje. Za tysiące w ten sposób uzyskane wznoszą się gmachy i popiera propagandę socyalistyczną. Dalej ten wspomniany wyżej piekarz jako producent pracuje w spółkowej piekarni za odpowiedniem wynagrodzeniem jak zwykły robotnik 8 godzin i dostaje nadto odrobinę zysku przypadającego na niego ($2^1/_2$ %) z wypieku chleba. Po trzecie jako konsument kupuje w składach spółki dla siebie i rodziny wszystko, czego mu potrzeba: chleb, mięso, artykuły spożywcze i kolonialne, mleko i masło — bo spółka ma w pobliżu miasta i własne gospodarstwo rolne — ubranie, węgiel, tytoń, książki i gazety,

słowem piekarz ten będący na usługach spółki dla spółki tylko żyje i dla niej też wyłącznie pracuje. Prastary „Truck-system“ znany już w średnich wiekach w Brukseli, dziwne tu przybrał kształty w socyalistycznej spółce produkcyjno-spożywczej.

Obrót kapitału w spółce jest wielki, bo podobno wynosi on rocznie mniej więcej 4 miliony franków, a liczbę kupujących podają na 18000. Cyfry te może zbyt przesadzone, bądź co bądź wymowne są bardzo.

Tak się wytwarza w wielkich ogniskach przemysłowych i po miastach odrębny świat socyalistyczny. Jądro organizacyi stanowią zawsze ci, co w najściślejszym są związku ze spółką spożywczą i największe z niej ciągną korzyści. To są zagorzali agitatorzy socyalizmu, bo agitują nie tylko dla idei, lecz i dla własnej korzyści. Około tego jądra dopiero grupują się tysiące robotników, kupujących w spółce, albo należących do różnych stowarzyszeń socyalistycznych. I tak spółka spożywcza zamienia się w potężne ognisko agitacyjne, a dom ludowy w twierdzę socyalizmu. Tu znajdują wszystkie stowarzyszenia socyalistyczne gościnny przytułek i lokal i opał i światło. Dom ludowy popiera stowarzyszenie zawodowe, zasila fundusz agitacyjny, pokrywa deficyt gazety, organizuje różne stowarzyszenia wzajemnej pomocy, mające na celu polepszenie bytu robotnika i jego rodziny słowem, dom ludowy to szereg różnych instytucyi zcentralizowanych w jednym gmachu po to, żeby robotnika połączyć tysiącznymi węzłami jak najsilniej i jak najmocniej z partyą, oderwać go od Kościoła i wszelkich postronnych wpływów świata burżuazyjnego, a przenieść go zupełnie w świat i otoczenie socyalistyczne. Dalszą zaś i żywotną sprężyną tego ruchu socyalistycznego w domu ludowym są zabawy towarzyskie. Bawić się, bawić się i jeszcze raz bawić się to hasło, które rozbrzmiewa po wszystkich salach, we wszystkich stowarzyszeniach, które się tu rozsiadły tak, że właściwiej nazwaćby należało dom ludowy pałacem zabaw i festynów ludowych. Wśród zabaw i przedstawień knuto tu zamachy przeciwko konstytucyi, przygotowywano się do rewolucyi, która rozwinąć się miała na bruku brukselskim, i roznieść swoje pożary po całym kraju.

Przecież rewolucya już nieraz się wywinęła wśród kwiecia zabaw i srogiego lwa wielkiej rewolucyi francuskiej poruszyły z uśpienia flirty salonowe filozofów francuskich. Ażeby program zabaw urozmaicić, utworzyły się tu rozmaite kółka uprawiające gimnastykę i sport, kółka tańcujących, kółka urządzające przedstawienia teatralne i wieczorki muzykalne, kółka dramatyczne i muzykalne, chóry śpiewaków i śpiewaczek, nawet dzieci wciągnięto w ten szalony wir zabaw i tańców, zakładając dla nich chóry dziecięce, gdzie biedne dzieci biedniejszych jeszcze rodziców mają uczyć się bawić, tańczyć i służyć za dekoracyę przy festynach ludowych. Socyaliści wszędzie umieją się bawić i urządzać zabawy — przecież ideałem ich religii i wierzeń politycznych jest stworzyć sobie raj na ziemi — ale nigdzie może wśród socyalistów ten szał zabaw nie rozszerzył się tak szeroko, nie zapuścił tak głębokich korzeni, jak właśnie w Belgii. Czy lud ten w usposobieniu poważny i melancholijny przez zabawy i tańce usiłuje przygłuszyć w sobie wszelkie dręczące go pytania życiowe i odegnać od siebie wszystkie niepokojące go widma socyalistycznego raju i socyalistycznej religii. Bo tu nie tylko lekka i kipiąca życiem młodzież się bawi, ale poważni robotnicy i ojcowie rodzin i starzy rzucają się nietylko sami, ale i dzieci drobne wciągają w szalony wir zabaw i tańców bez wytchnienia.

Przyczyna tego szalonego i bezrozumnego wyuzdania wesołości i tańcujących zabaw tkwi bez wątpienia po części w ideale etycznym socyalistycznej religii i w tej atmosferze odurzającej i podniecającej, jaka panuje w *Maison du peuple,* ale więcej może jeszcze w dawnych tradycyach narodowych, które socyaliści wydobyli z pod pleśni dawnych wieków i powołali na nowo do życia.

W Belgii dużo istnieje stowarzyszeń literackich, muzykalnych i sportowych, które wywodzą swój początek bezpośrednio z prastarych bractw i stowarzyszeń łuczników, arbaletników i izb retorycznych, wskazując dumnie na prastare dokumenta i insygnia tych stowarzyszeń starannie przechowywane aż do naszych czasów. Bractwa te były drużynami bawiących się,

które z początkiem XV wieku rząd potwierdził pod nazwą *chambres de rhétorique*. Izby retoryczne a właściwie kółka urządzające zabawy i przedstawienia teatralne rozszerzyły się niebawem z większych miast na prowincyę pod nazwą *Landjuweelen* urządzając wspaniałe pochody i festyny ludowe. Miały one swoją literaturę, właściwą sobie organizacyę, i swój trybunał w Malines, który sprawował rządy najwyższe nad wszystkiemi bractwami dramatycznemi w Flandryi i Brabancyi. Otóż wesołe drużyny ongi burżuazyjne przeszły w naszym wieku mieniącym się demokratycznym, w spuściźnie na robotników. Socyaliści wskrzesili te dawne tradycye i strzegą ich z godnością, bo one przedewszystkiem, jak mię upewniano, utrzymują pomiędzy robotnikami ducha solidarności i zasilają również finansowo ruch socyalistyczny w Brukseli.

Ideałem przyświecającym socyalistycznym spółkom spożywczym i wytwórczym w Belgii jest olbrzymie i obecnie w kwitnącym znajdujące się stanie angielskie stowarzyszenie spółek spożywczych *Wholesale*. Stowarzyszenie to założone w r. 1864 z drobnych początków wyrosło obecnie w olbrzyma, obraca w więcej jak 1000 spółkach kapitałem 14 212 375 funtów szterlingów. Są to cyfry z roku 1899. Na usługach i w posiadaniu stowarzyszenia tego są całe fabryki, które w r. 1899 wytworzyły towarów za 2 227 200 funtów szterlingów; posiada ono pięć parowców i majątki ziemskie, a we wszystkich krajach przemysłowych Europy i w Stanach Zjednoczonych założyło swoje agentury — wszystko to w tym celu, żeby w ruchu towarowym nie posługiwać się całą rzeszą kupców, przez których ręce przechodzą towary, zanim dostaną się do konsumentu, ale aby zawsze czerpać z pierwszych źródeł i konsumentów bezpośrednio połączyć z wytwarzającemi towary fabrykami. Siłą angielskiego stowarzyszenia jest ta ścisła centralizacya, która w dzisiejszym ruchu towarowym pozwala operować olbrzymim kapitałem na rynku światowym i sprowadza towary z tych krajów i z tych rynków, gdzie wyroby są najlepsze a ceny najniższe. Bezpośrednim skutkiem tego rodzaju międzynarodowych stosunków handlowych są nowe węzły braterstwa, które za-

dzierżga handel w handlowych stosunkach międzynarodowych, pomiędzy poszczególnymi narodami.

Dotąd jedyną spójnią, łączącą rozmaite narody na gruncie ekonomicznym był wielki kapitał, znajdujący się w rękach wielkich kupców i handlarzy. Oni stanowili ten świat kosmopolityczny, który bratał narody, wpływał na kierunek polityki w poszczególnych krajach i na pokój lub wojnę. Na przyszłość może punkt ciężkości, który trzyma w równowadze stosunki międzynarodowe, przesunie się z wielkiego świata kupców i handlarzy na warstwy średnie, zorganizowane w kółka rolnicze i spółki spożywcze. Taki *Wholesale* jest już dziś bądź co bądź olbrzymem, który zapuścił już głęboko korzenie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Niemczech, we Francyi, w Danii, w Hiszpanii i Szwecyi, gdzie ma swoje agentury kupieckie.

Otóż do podobnego skonsolidowania sił swoich ekonomicznych i do podobnej organizacyi spółek spożywczych dążą socyaliści w Belgii. Spółki spożywcze, przez długi czas chcąc zachować zupełną swobodę działania, wytrwale opierały się wszelkim próbom jakiejkolwiek centralizacyi. Dopiero w roku 1898 udało się socyalistom utworzyć dla spółek spożywczych biuro centralne, które miało popierać rozwój kółek. Był to pierwszy krok na drodze ku centralizacyi. W dwa lata później na kongresie wniesiono projekt rzeczywistej centralizacyi, stawiając belgijskim spółkom przed oczy kwitnący rozwój *Wholesale*. Kongres przyklasnął tej myśli, ale na razie powstrzymał się od bliższych uchwał. Dopiero w pół roku później wszystkie spółki zobowiązały się zaopatrywać w towary wyłącznie tylko za pośrednictwem biura centralnego. Dziś więc centralizacya spółek już jest uchwalona, droga do wielkich przedsięwzięć utorowana, ale czy centralizacya rozumie swoje siły? Upewniano mię, że domy ludowe stoją przeważnie zabawą, a spółki spożywcze nie świetnie się rozwijają. Znaczyłoby to, że szał zabaw i tańców stoczył energię i uniemożliwił wytrwałą pracę w partyi. Bawiąca się burżuazya pod koniec średnich wieków w Brukseli i miastach belgijskich przynajmniej stawiała gmachy wielkie —

la Grand' Place jest jej dziełem monumentalnem w Brukseli — i wydawała wielkich ludzi, ale też burżuazya ta jeszcze nie zatraciła była swoich wielkich ideałów średniowiecznych. Ona się bawiła, ale także umiała modlić się i pokutować.

* * *

W pobliżu starego rynku na stromej pochyłości wznosi się kościół św. Guduli. W stylu gotyckim zbudowany o wieżach niedokończonych uderza w przeciwieństwie do starego ratusza przedewszystkiem surową, dorycką powiedziałbym prostotą swojej fasady. I ta surowa, hieratyczna prostota, która wieje z tych starych murów i wież niedokończonych jest może najcharakterystyczniejszą jego pięknością. Wspaniały majestatyczny portal odsłania nam trzynawowe wnętrze, rzucające się w oczy wielką ilością linii horyzontalnych i dwoma szeregami przysadkowatych, okrągłych kolumn, na których spoczywają ciężkie arkady gotyckie, oddzielające nawy boczne kościoła od nawy głównej.

Kościół św. Guduli jest przedewszystkiem ciekawym zabytkiem w historyi sztuki pod względem rozwoju stylu gotyckiego. Przez trzy całe wieki budowano ten kościół, a w ciągu tych wieków i generacyi, które po sobie następowały, ileż zmian w stylu architektonicznym, ile przeobrażeń w wyrobieniu poczucia i smaku estetycznego nie dokonało się — wszystkich tych zmian i przeobrażeń w rozwoju stylu gotyckiego i historyi estetyki znaleźć można wierne odbicie w budowie kościoła św. Guduli. Wspaniała facyata chóru np., słusznie podziwiana przez artystów i znawców sztuki jest artystycznem skojarzeniem aż czterech stylów po sobie następujących, począwszy od stylu nawpół romańskiego, nawpół gotyckiego przez wszystkie rozwoje stylu gotyckiego aż do renesansu. Jakżeż pięknie budowali architekci średniowieczni. Styl zdaje się nic nie znaczyć, niepodzielnie króluje wyrobione poczucie piękna. A przecież planu pierwotnego ci artyści nie zmieniali radykalnie, tylko rozwijali go w szczegółach w sposób sobie właściwy i odpowiedni wiekowi, w którym żyli.

Piękne są w kościele św. Guduli witraże; widzimy tu całą kolekcyę witraży kościelnych, fundowanych przeważnie przez panujące dynastye i domy książęce XVI i XVII wieku. Witraże przedewszystkiem w kaplicy przenajśw. Sakramentu, słynącej licznymi cudami nadzwyczaj są piękne. Widać tam postacie panujących i przedstawicieli rodów książęcych, zatopione w modlitwie wśród herbów malowniczych różnych krajów i różnych dynastyi obok obrazów świętych, opromienionych aureolą niebieską. Obyczajem bowiem dawnym obok świętych umieszczano portrety fundatorów witraży. Witraże w kaplicy Matki Boskiej, późniejsze znacznie co do wieku, już nie mogą iść w porównanie z pierwszymi ani pod względem rysunku ani pod względem kolorytu. Można tu doskonale śledzić najświetniejszy rozwój i powolny upadek techniki i sztuki malarskiej na szkle. Późniejsze i nowsze nie dorównują dawnym witrażom ani pod względem żywości, ani pod względem harmonii kolorów. Różnica w oczy bijąca. Mylą się bardzo, którzy mniemają, że wystarczy genialny rysunek mistrza obeznanego z techniką witraży przenieść z jego kolorytem na szkło, żeby stworzyć arcydzieło. Utrwalić w ogniu obraz na szkle to pod pewnym względem to samo, co wymalować *al fresco* obraz na świeżem wapnie. Bo jak na świeżem wapnie farba się zmienia, tak i w ogniu kolory łatwo tracą swoją siłę i blask. Długoletniego tu potrzeba doświadczenia i pewnej tradycyi w technice, żeby rozmierzyć i odważyć natężenie i blask i koloryt w witrażach. A modelacya? Kto choć raz się przypatrzył, jak artysta rzemieślnik wydobywa ze szkła światła i cienie i wypukłości i żywe kształty figur, ten chyba nigdy na seryo nie przypuścił, że fabrykacyą witraży zająć się może pierwszy lepszy architekt lub rzemieślnik.

Dawniej wyrabianie witraży stanowiło osobną gałąź przemysłu artystycznego, artyści obeznani z techniką witraży dostarczali rysunków, a artyści-rzemieślnicy utrwalali modele te na szkle. To też dawne witraże jaśnieją nieporównanym blaskiem kolorów i mienią się stosownie do oświetlenia w blaskach i ogniach fosforescencyi, którą nowsza fabrykacya rzadko tylko jest w stanie wydobyć ze szkła. W kościele św. Guduli witraże

są śliczne. One ozdabiają poważne mury jego sklepienia i dodają im dużo blasku i życia. Podczas gdy smętna cisza panuje w kościele a wszelkie piętno i harmonia i życie zdaje się być jakby zaklęte w tych kamiennych sklepieniach i nieruchomych murach, z witraży na blaskach promieni słonecznych zdają się zstępować te postacie poważne w całym przepychu dworskiego stroju, przybierają poważną postawę i zatapiają się w wieczystej modlitwie. Kto kocha kościoły gotyckie, ten będzie umiał cenić całą poezyę i czar piękna, zawarte w witrażach.

Wieże św. Guduli niewykończone, a przecież piękne. Artyści średniowieczni dużo kościołów pozostawili nam niewykończonych. We Włoszech wiele kościołów nie ma fasady wykończonej; na północy, gdzie styl gotycki doszedł do rozkwitu mamy dużo kościołów bez wież. I mimo postępu i ułatwień ogromnych techniki budowniczej, mimo, że niejeden taki kościół z gruntu odnowiono, nikt się nie kwapi wykończyć wież. Dlaczego! Bo naprzód plany kościołów zaginęły. A bez planu pierwotnego przystąpić do wykończenia takich arcydzieł znaczyłoby tyle, co zwichnąć pierwotną myśl artysty, albo przynajmniej olbrzymie przedsięwzięcie narazić na wielki zawód. A nadto te niewykończone wieże są piękne w obecnym swoim stanie. *O beauté des tours interrompues,* — woła w uniesieniu poeta — *qui se continuent dans du rêve, et que chacun termine en soi!* Tak, one są jakby tym snem dawnym, uroczym, który jakaś moc potężna zaklęła w kamień. Całe generacye robotników, z których każdy był artystą, pracowały nad ich wzniesieniem, a gdy wiara zastygła, zatraciły się ideały. I nikt nie wie jak budować i skąd wziąć środki na wykończenie takich olbrzymich budowli. Dziś są one tylko pomnikami dawnej wielkości i dawnej wiary ludów średniowiecza, pomnikami niewykończonymi, bo wszystkie niemal ideały w życiu społecznem tych ludów były niewykończone. Były to tylko ułamki jakiejś wielkiej całości, zawiązki jakiegoś idealnego państwa, które w tak jasnych i cudownych blaskach i kolorach opiewali już prorocy starego zakonu, i o którem tak uroczo marzyli apostołowie. A przecież te ułamki i te zawiązki były tak potężne w samoistnem życiu gmin i w życiu

narodów, tak bogate w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości w arcydzieła wielkie i monumentalne, że dziś, kiedy uczeni okazali nam na nowo całą piękność i wielkość średniowiecza, wieki te dla każdego miłośnika ludzkości są przedmiotem podziwu i uwielbienia. Bo nigdy w historyi ludzkości miasta nie zakwitnęły tak bujnem i bogatem życiem, nigdy dobrobyt nie zapanował tak szeroko wśród warstw najniższych w społeczeństwie, nigdy talent i geniusz nie stworzył większych dzieł, jak właśnie w wiekach średnich.

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Najnowsza liryka Kasprowicza.

Autor „Wzgórza śmierci“ osnuwa najnowsze swe utwory przeważnie na tematach religijnych, które czerpie z Pisma świętego, z podań i wierzeń ludowych, lub wreszcie z tradycyi kościelnej. Ale rozwija je w sposób zupełnie samodzielny, czasem nawet samowolny w najwyższym stopniu. Nie stara się wcale o pełne rozwinięcie zawartej w nich treści duchowej w całej charakterystycznej jej odrębności, owszem zabarwia ją nieraz indywidualną treścią własnej swej duszy, często zupełnie jej obcą lub wprost przeciwną nawet. Stąd liczne, nader jaskrawe rozdźwięki jego poezyi, które zamącają nieraz jej harmonię, ale potęgują siłę i szczerość bezpośrednią jej wyrazu uczuciowego.

Odzywające się w niej tak często motywy religijne, są to połączenia pewnych zasadniczych tonów duszy poety, wytworzone w niej pod działaniem tradycyi rodzimej w „sielsko-anielskiej“ porze dzieciństwa. Należą one do tych dźwięków, o których tak pięknie powiedział poeta w jednym z dawniejszych swych utworów, że je zebrał z szumiących zbóż swej rodzinnej ziemi i w swoich dum treść je zamykał i w świat jak wielką świętość niósł...

Ale odgłosy świata zamąciły pierwotną ich czystość. Wzbudzone przez nie w duszy poetyckiej dysonansowe tony zwątpienia, pesymizmu i rozpaczy okropnymi zabrzmiały rozdźwiękami, które, czasami wybuchając z całą potęgą, głuszyły melodyjne odgłosy pieśni sielskiej, czasami mieszały się z nimi w chaotycznym zamęcie burzliwych i dzikich

akordów poetyckich, niekiedy jednak milkły zupełnie, pozwalając dosłyszeć brzmiące we wspomnieniach młodości czyste, pogodne harmonie hymnu wiary. Stąd wynikają owe przedziwne symfonie poetyckie Kasprowicza, należące niewątpliwie do najpotężniejszych, najszczerszych, a miejscami i najpiękniejszych objawów duszy współczesnej.

Cztery najnowsze tego rodzaju utwory poety: „Salve Regina", „Hymn św. Franciszka z Assyżu", „Judasz" i „Marya Egipcyanka", przedtem drukowane w warszawskiej *Chimerze*, świeżo oddzielnie zostały wydane pod tytułem wziętym od pierwszego i najważniejszego z nich [1]. Ten naczelny utwór całego zbioru osnuty jest na motywie starodawnej pieśni na cześć Najświętszej Panny. Na samym wstępie brzmi ów motyw odgłosem tradycyonalnego jej kultu:

Zawitaj Pani świata,
niebieska Królowa,
witaj Panno nad Panny, gwiazdo porankowa.
Wieniec Twą skroń oplata,
zwity z promiennych liści:
o niech się w nich nadzieja biednych ludzi ziści!

Ale te harmonijne dźwięki zamącone wnet zostają odgłosami ziemskich tęsknot, cierpień i zwątpień. Jedne z nich przyćmiewają tylko jasne, pogodne tony łagodnym półcieniem smutku i żałości, inne zdają się je pochłaniać w ponurych mrokach rozpaczliwego pesymizmu. Przedziwnie poeta kreśli symboliczny, uosobiony obraz tęsknoty serc ludzkich, „druchny Bożej", jak z krzyżem czarnym na ramieniu i z czarą goryczy w ręku idzie po krzemienistej drodze, modląc się, płacząc i wzdychając — idzie ku zorzy złocistej, płonącej ponad głębiami nocy ziemskiej odblaskiem milionów dusz, o których tutaj dawno zgasła wieść. To dusze owych ludzi, co niegdyś na ziemi naszej, pełni wiary i miłości, śpiewali przesłodki hymn na cześć Bogarodzicy. Wieść o nich zgasła od dawna, ale odblask ich wiary dotąd płonie na naszem niebie. Ku niemu to zwraca się tęsknota serc dzisiejszych, usiłująca dobyć z siebie też same cudotwórcze dźwięki, które ongi w nim się rozpłomieniły.

Jakoż rozbrzmiewają one zawsze w sercach ludu, ożywionych dziś jak przed wiekami tchnieniem wiary i z niego dobywających najcudniejsze swe tony:

---

[1] „Salve Regina". Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego.

. , . Nad strzechy zczerniałe
ulata pieśń przenajświętsza
Salve Regina!
Ku złotym płynie obłokom,
w których skowronek
nuci hymn wiosny,
albo opada ku dołom,
hen! ku ukrytym parowom,
gdzie śniegu ostatnie bryły
pod mokrą konają krawędzią.

Niezrównanie piękny i tak charakterystycznymi rysami kreślony jest obraz naszej rodzimej przyrody, budzącej się w powiewach wiosennych wśród dźwięków hymnu świętego. Jest to niejako symboliczny obraz duchowej wiosny wiary i miłości w kulcie Najświętszej Panny tak pełne znajdującej objawienie. Przeciwieństwem tej wiosny ożywczej zimowa martwota samolubstwa i zwątpienia, martwota duszy, która na piekielnej opoce, wznoszącej się pomiędzy nią a morzem miłości, swój samolubny buduje Babilon. A szatan przemienia go w Górę Oliwną „i w szacie Zbawcy ze sfinksa obliczem klęka w oblaskach księżyca". I wiedzie duszę rzekomą drogą miłości i ofiarnego cierpienia, a rzeczywistą drogą samolubstwa wyuzdanego. A skoro dusza, uwielbiwszy je w kłamliwych akordach wiary, nadziei i miłości, sama siebie bezwiednie w błąd wprowadza i bierze kielich goryczy i Judaszowy pocałunek zdrady, wtedy kusiciel staje przed nią szyderczy i na świat cały się rzechocze.

Cały ten obraz jest niejasny na pierwszy rzut oka z powodu swej symboliki. Ale przy bliższem wniknięciu widzi się, że ma on uprzytomnić nam tragedyę obłudy, jaka wedle poglądu poety unosi się ponad całym światem dzisiejszym, chrześcijańskim z imienia a pogańskim z ducha, głoszącym w słowach miłość a powodowanym w czynach nienawiścią, wynikłą z bezgranicznie rozpostartego w nim samolubstwa. W postaci szatana skupia poeta całą potęgę pełnych obłudy żądz samolubnych, którym w swoim posępnym pesymizmie wszechwładne ponad światem zdaje się przypisywać panowanie. To też brzmiące pod koniec poematu potężne akordy pieśni miłości, przerwane zostają nagle szyderczym śmiechem szatana, albowiem on ieden wie, że:

Nędza jest wszędzie —
nędza w miłości
i nędza w cierpieniu.

Czy ta zwrotka powtarzana kilkakrotnie w osnowie poematu

i przerywająca ostatni harmonijny jej akord okropnym dysonansem szatańskiego szyderstwa ma oznaczać zwątpienie poety o twórczej sile miłości i uznanie w niej li tylko ułudy, przeciwstawionej obłudzie żądz samolubnych?

Myśl nie dość tu jasno wyrażona, ale pesymistyczny jej podkład bardzo jest widoczny — i ten subjektywny pesymizm, wykrzywiony nadto bolesnym sarkazmem, wpada w melodyę tej poezyi jako fałszywy zgrzyt. Pesymizm poety paraliżuje siłę żywotną jego wiary, ale pragnienia jej zniweczyć nie może. Odzywa się ono wciąż w poezyi Kasprowicza, jako charakterystyczny wyraz stanu duchowego wielu ludzi współczesnych, przedziwnie dźwięczy w pieśni „Salve Regina“ i stwierdzone jest wymownie w ostatniej jej zwrotce wbrew szyderczej negacyi szatańskiej:

Śmiej się!
A moja tęsknota,
na barkach ciężki dźwigająca krzyż
otwiera usta,
by wraz z Tęsknotą świata
zaśpiewać hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

Tęsknota owa zdaje się być obecnie główną pobudką twórczości poety. Z niej też niewątpliwie wynikły pozostałe utwory zajmującego nas tu zbioru. Przedewszystkiem „Hymn św. Franciszka z Assyżu“ osnuty na motywach znanej pieśni świętego, wysławiającej w żywiołach przyrody chwałę i dobroć nieskończoną Stwórcy. Pieśń owa (przyswojona bardzo pięknie naszej literaturze przez Lucyana Siemieńskiego w jego „Pieśniach mistycznej miłości“) jest najwspanialszym w poezyi wszechświatowej wyrazem religijnego odczucia przyrody, odczucia w tej harmonii jej życia wewnętrznego, która z taką genialną prostotą wyrażona została w ostatnim wierszu „Boskiej komedyi“:

L'amor che muove il sole e l'altre stelle.

Działanie miłości, rozszerzone na wszechświat cały: — oto główny motyw piewcy świętego, zwracającego się do żywiołów przyrodzonych: do słońca, gwiazd, ziemi, wody, ognia, jako do braci swych i sióstr w powszechnej, stworzenie całe ogarniającej rodzinie Bożej. Wzniosły ten motyw miejscami bardzo szczęśliwie oddany został w „Hymnie“ Kasprowicza, np. w następującym ustępie:

O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
Chwalcie wraz ze mną i z wszystkiem stworzeniem,

z mym drogim bratem ogniem
i z siostrą mą wodą,
z wszystkiem, co rośnie i pełza i kwitnie,
z wszystkiem, co szumi i szepcze i dźwięczy,
z wszystkiem, co płonie i gaśnie —
chwalcie, chwalcie, chwalcie
sprawiedliwego Sędzię,
który odwlecze dzień Sądu
przez Miłość...

Bardzo pięknie też odtwarza poeta motywy z legend o św. Franciszku w tak zwanych „Kwiatkach“ *(Fioretti)* zgromadzone, jak np.:

Uciszcie się ptaszkowie! brat wasz pieśni chce śpiewać...
lub nie, śpiewajcie wraz ze mną
hymn, jaśniejący jak słońce...
Chwalcie Go razem ze mną,
boć On wam dał skrzydła,
abyście mogły kąpać się w błękitach!
On wam dał bruzdy i miedze,
krzewinę głogu i wierzchołki drzew,
abyście miały gdzie spocząć.
Onci tak swoim każe świecić żarom,
iżby się ziarna kruszyły
na zapas dla waszych śpichlerzy!

Wszelako, obok tych szczęśliwych odtworzeń motywów harmonii nadziemskiej, jakież posępne, rozstrojone dźwięki ziemskie uderzają nasze ucho w poetyckiej parafrazie Kasprowicza. Potężne są one i pełne wyrazistej charakterystyki, ale obce zupełnie duchowi zarówno „Hymnu stworzenia“ jak i owych legendowych „Kwiatków“ św. Franciszka, w których nigdy ostry ton satyry nie mąci harmonijnych akordów miłości. Oto jeden z motywów poematu Kasprowicza na taki ton nastrojony:

A tutaj w mrokach ziemi, śród pałacu Zbytku
na stopniach bazaltowych, pod urną z porfiru
ciężki zasypia Przesyt...
O zwisłe piersi oparł
obrzękłą twarz i śpi...
Dłoń jego ściska puhar,
z niego się wino leje
na róże pozrywane w wirydarzu wiosny!

Ten tak przedziwnie wyrazisty obraz ziemskiego Przesytu, jakże artystycznie tu przeciwstawiony ukochanemu przez św. Franciszka

w niebo zawsze wpatrzonemu Ubóstwu, ale jako motyw hymnu piewcy świętego ustęp ten brzmi obcym jego niebiańskim harmoniom rozdźwiękiem. Ostrzej jeszcze odzywa się on w rozwiniętym pod koniec poematu obrazie szatańskiej pokusy, która trapi świętego pod postacią ukazującej mu się we śnie dzikiej, wyuzdanej orgii zmysłów. Wogóle św. Franciszek w „Hymnie“ Kasprowicza ma tylko niektóre rysy swego historycznego pierwowzoru; obok nich występują inne z życia przez poetę wysnute i silnie uwydatniające przeciwieństwo pomiędzy duchownemi jego aspiracyami i wyuzdaniem żądz zmysłowych.

Te ostatnie przemożnie panują w dwóch pozostałych poematach w niniejszym zbiorze zawartych: w „Judaszu“ i w „Maryi Egipcyance“. Pierwszy składa się całkowicie z fałszywych półtonów i akordów dysonansowych, dosadnie charakteryzujących ukazany w postaci Judasza pierwowzór wszelkiej zdrady, wiekuisty jej typ, na który składają się: nikczemna zawiść i chciwa żądza zysku obok nienasyconych pożądań używania zmysłowego, daremnie usiłujących zagłuszyć okropne, serce i duszę rozdzierające zgryzoty sumienia. Z tych żywiołów zwyrodniałej natury ludzkiej wysnuwa poeta w monologu Judasza szereg stanów duchowych, pełnych dzikiej grozy, chaotycznych wizyi, wybuchów rozpaczy i zgrzytów cynicznych. Jest to obraz natury ludzkiej w zupełnej ruinie, nie w tej ruinie, która posiada wdzięk malowniczości, ale w tej, która stała się bezkształtną kupą gruzów, pełną nieczystości, zgnilizny i robactwa.

Podniesienie się natury ludzkiej z ruiny i postęp jej ku najwyższym szczytom udoskonalenia duchowego — oto temat ostatniego utworu z zajmującego nas tu zbioru: „Maryi Egipcyanki“. Poeta wprowadza postać ascetycznej pustelnicy z V-go wieku po Chrystusie, której żywot w swym zwrocie nagłym od wyuzdanego wszeteczeństwa zmysłów ku ideałowi świętości ducha stanowi wymowny przykład zbawczego działania łaski Bożej i dobrowolnej pokuty. Ale pieśń Maryi Egipcyanki u Kasprowicza nie jest wyrazem wynikającego z tego działania stanu duszy. Poeta z właściwą sobie dowolnością czyni postać świętej pokutnicy wiekuistym symbolem skażonego grzechem zmysłowym a spragnionego czystości duchowej człowieczeństwa.

Jest to zasadniczy motyw liryki Kasprowicza, który w różnych odmianach wciąż się w niej powtarza. Żaden pono z poetów dzisiejszych nie wyraził z taką jak on siłą całej zgrozy i ohydy wyuzdania zmysłowego naszej zmateryalizowanej epoki i żaden nie dał nam dobitniej poznać jej niemocy w dążeniu do wydobycia się z tego stanu,

niemocy wynikającej z osłabienia lub zgoła zaniku tych potęg duchowych, które pozwalają człowiekowi zapanować nad ciałem i stłumić nadmierną, niekiedy chorobliwie potworną wybujałość jego żądz i instynktów. Przed niedawnym czasem uznawano nieograniczone ich uprawnienie — obecnie zbudziło się poczucie ujawniającego się w ich rozkiełznaniu zwyrodnienia natury ludzkiej. Jest to jeden ze znamiennych objawów spirytualistycznego i religijnego zwrotu w współczesnych dążeniach umysłowych i artystycznych. Dotąd nie doszedł on jeszcze do skrystalizowanych form, objawia się przeważnie w chaotycznym zamęcie sprzecznych żywiołów duszy, ale czy ten zamęt nie jest zadatkiem harmonii duchowej wznoszącej się nieskończenie ponad płaskie i pospolite harmonie materyalistycznych dążeń epoki ubiegłej?...

Walery Gostomski.

Biurokracya. *Józef Olszewski.* Lwów 1903.

Autor wyjaśnia w przedmowie pobudkę, która go skłoniła do napisania pracy o „biurokracyi". Ogłosiwszy w swoim czasie rozprawę p. t. „Administracya polityczna Galicyi w świetle prawdy", spotkał się w jednem ze sprawozdań swej pracy z pytaniem, kto winien, że wady w ustroju i działalności władz administracyjnych nie mogą się doczekać naprawy? „Biurokracya" jest odpowiedzią na to pytanie.

Początek biurokracyi upatruje dopiero w epoce państwa prawnego *(Rechtsstaat)*. Rozszerzony z rozpowszechnieniem się pojęcia państwa prawnego zakres działalności państwa wymagał zwiększenia ilości organów władzy państwowej. Stworzona w ten sposób armia urzędników wytwarza wnet odrębną kastę, starającą się wobec stopniowo coraz większego uświadamiania się obywateli bronić się formą i szablonem przed atakami ze strony obywateli na władzę i znaczenie urzędników. Nadto konstytucyonalizm z ideą odpowiedzialności naczelników władz przed reprezentacyą ludności wzmógł władzę zwierzchników, rozporządzających w sposób absolutny działalnością podwładnych sobie organów.

Pojęcie wyrazu „biorokracya" określa autor za Mohlem, jako „fałszywe pojmowanie powołania instytucyi i idei państwa, spełnianego przez olbrzymią armię urzędników, złożoną po największej części z miernej wartości elementów, poprzestającą na formalistycznej manipulacyi, dotkniętą różnorodnemi przywarami i traktującą swój zawód jako rzemiosło".

Ogólnemi wadami biurokracyi są, zdaniem autora, szablon i rutyna, nadmierna pisanina, owa popularnie zwana *Vielschreiberei*, ton

urzędowy szorstki i bezwzględny w stosunku do ludności, wreszcie przesadna drobiazgowość, zasłaniająca pogląd na całość, zasadnicze strony sprawy, która pod rozstrzygnięcie przychodzi.

Zastanawiając się nad istotą urzędu, omawia autor i pojęcie urzędnika, jego prawa i obowiązki, w nich również widząc źródło biurokracyi. Już w samem wykształceniu kandydatów na urzędników mieści się zaród, z którego wyradza się, wzmaga biurokracya. Studya uniwersyteckie, w szczególności prawne, dają tylko zasób teoretycznych, oderwanych od gruntu rzeczywistego życia wiadomości, któremi uzbrojona wstępuje młodzież do urzędu i operuje niemi bez względu na ich niezgodność z stosunkami społeczeństwa. W ten sposób wytwarza się stan anormalny. Urzędnik nie zna życia społecznego, środowiska, wśród którego działa, warunków jego bytu i rozwoju, nie liczy się z tymi warunkami, staje się maszyną do załatwiania „kawałków“ bez zdawania sobie sprawy z ich doniosłości. Obowiązki, jakie nań urząd nakłada, wierności, posłuszeństwa popierają jeszcze ten stan.

Biurokracya objawia się w życiu prawnem, w ustawodawstwie, które, choć przeważnie złożone w ręce reprezentantów ludności, przecież opiera się na elaboratach władz, przyjmowanych przez parlamenty z małoznaczącemi zmianami. Stąd niezgodność praw z rzeczywistymi stosunkami, rozdźwięk między ustawą a pojęciami prawnemi ludności.

Na polu życia gospodarczego objawia się też ujemnie wpływ biurokracyi. Gdzie państwo występuje jako przedsiębiorca, np. przy kolejach, drogach, pocztach, tworzy aparat wyposażony mnóstwem sił urzędniczych, mechanizm skomplikowany, a stąd ociężały, nie oryentujący się w konjunkturach, nie liczący się z postępem i potrzebami konsumentów, czy wogóle korzystających z urządzeń przedsiębiorstwa. Biurokracya tamuje też usiłowania i działania gospodarcze jednostek przez koncesye załatwiane rozwlekle i samowolnie w duchu biurokratycznym, przez wadliwy system opodatkowania.

Skutki biurokracyi widzimy i w szkole. Sposób uczenia zastosowany jest najściślej do z góry już najdokładniej wyszczególnionego planu nauk, a nie liczącego się z indywidualnem usposobieniem, rodzajem i stopniem zdolności jednostek. — Tu kończy się część krytyczna pracy. Że wiele, bardzo wiele prawdy mieści się w wywodach autora, zaprzeczyć nie może, kto zna choć trochę charakter i sposób postępowania władz. Ale obraz cały przyciemniony jest także pesymizmem. Nam się zdaje, że liczba jednostek o szerszym poglądzie się zwiększa, że i z góry wieje prąd, pozwalający, zamiast zamykania

szerszych myśli w sobie lub co najwyżej w zamkniętem kółku najbliższych, na spożytkowanie ich i w działalności urzędowej. Nie twierdzimy, by było zupełnie dobrze, ale stanowczo jest o wiele lepiej, niż przedstawia autor. Już zmniejsza się i owa *Vielschreiberei*, ustępując miejsca krótkiemu, bezpośredniemu załatwieniu. A już stanowczo o niebo lepiej jest w szkolnictwie, niż twierdzi autor. Co prawda na razie myśleć nie można o przystosowaniu się nauczyciela do wszystkich jednostek wobec przepełnienia szkół, a braku większej ilości sił nauczycielskich. A temu winien przedewszystkiem brak środków na popieranie wydatne oświaty. Nie wydatki jednak na urzędników i wogóle utrzymanie urzędów pochłaniają lwią część dochodów państwowych, ale obok militaryzmu, wydatków na wojsko, długi, ich oprocentowanie i amortyzacya, jak to można się z przeglądnięcia przedłożeń budżetowych przekonać. Autor zarzuca szkolnictwu więcej nadto, a to już całkiem niesłusznie. Instrukcye wiążące nauczycieli nie są tak szczegółowe, jak podaje autor, zostawiają im wiele jeszcze swobody w traktowaniu przedmiotu. Zaprowadzono już wiele ułatwień naukowych i racyonalnych sposobów nauczania, jak np. nauk przyrodniczych, opartych na metodzie poglądowej.

Złe, choć nie w tym stopniu, jakby sądzić można z przedstawienia autora, istnieje. Jak mu przeciwdziałać? Do zwalczania biurokracyi, zdaniem autora, powinny sobie zgodnie podać ręce państwo, społeczeństwo, nauka i prasa.

Zadaniem państwa będzie przedewszystkiem „usuwanie wszystkiego, co wywołuje przerost objawów władzy ponad miarę rzeczywistej potrzeby, i co mnoży ciężar materyalny ludności na utrzymanie narzędzi tej władzy, nadto łagodzenie drażniącej i dokuczliwej formy stosunków między rządem i społeczeństwem“.

Do tego celu posłuży uproszczenie prawa i organizacyi władz, odpowiednie, celowe kształcenie kandydatów na urzędników. Urzędnikom należy zabezpieczyć swobodny byt materyalny, a obok tego przez dozwolenie oddawania się zajęciom ubocznym dać im możność polepszenia warunków egzystencyi, a zarazem przez to związać ich ściślej z życiem gospodarczem społeczeństwa, z jego dążnościami i stosunkami. Należy im dać większą swobodę działania w czynnościach urzędowych. Wreszcie państwo winno przestrzegać ścisłego poszanowania praw obywatelskich i ustaw konstytucyjnych przez urzędników.

Zadaniem społeczeństwa będzie tu wpływać odpowiednio na organizacyę urzędów, na sposób ich postępowania, dbać o należytą obronę

praw swych tak ogólnych jak i pojedynczych jednostek z osobna wobec władz. Wreszcie przez asocyacyę, stworzenie silnego życia autonomicznego, koncentrującego się przedewszystkiem w gminie, powinno społeczeństwo postawić silną zaporę zakusom biurokracyi.

Nauka umiejętnie zwalczać będzie biurokracyę, wykazując jej ujemne strony, a zarazem dowodząc, że pokonywanie i usuwanie biurokracyi nie jest targnięciem się na ideę państwa. Prasa wreszcie powinna występować przeciw poszczególnym faktom nadużyć.

Środki przez autora wskazane, przy dobrej jeszcze, jak sądzimy, woli organów państwowych, potrafią, jeżeli nie zupełnie usunąć, to przynajmniej wielce ograniczyć szkodliwe działanie biurokracyi.

Dr. A. Bielecki.

W tysiąc lat. Powieść na tle stosunków słowacko-węgierskich. *Artur Gruszecki.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1902. (8-ka, str. 398).

Treścią tej powieści, to budząca się ze snu tysiącletniego Słowaczczyzna do walki ze zmorą madziaryzacyi. Przedstawicielem uciskającego Słowaków rządu węgierskiego jest niejaki podżupan Juliusz Balla, madyaron. Punktem, około którego skupia się cała akcya zaczepno-odporna, to Związek Słowacki *Matica,* założony za pozwoleniem rządu w celach oświaty. Posiada on w mieście komitatowem wspaniały dom, w którym skupia się życie Słowaków i cała historya Słowaczczyzny w księgozbiorach i dawnych zabytkach jej chwały i potęgi. Pan Balla, by otrzymać od rządu order zasługi, a nawet tekę ministeryalną, uciska w przeróżny sposób i gnębi Słowaków, a wreszcie, by przecie coś wielkiego zdziałać, marzy o rozwiązaniu Związku i zamknięciu domu *Maticy.* Czeka tylko na sposobność.

Do walki o prawa, gwarantowane prawem państwowem i o swobodę stają uciemiężeni Słowacy w przedstawicielach swej intelligencyi. Lud jeszcze śpi. Dzielą się oni na trzy partye. Jedna pod przewodnictwem p. Andreaszky, licząca w swojem gronie poważniejsze osobistości słowackie, jak doktora, adwokata i t. d. dochodzi w lojalności i ustępstwach względem rządu aż do upodlenia się, myśląc, że tem pozyska sympatyę i opiekę rządu. Druga roztropnie sobie poczyna. Wobec kliki rządzącej nie myśli występować wojowniczo, chce jednak stać twardo przy swych prawach, a pracą nad podniesieniem oświaty i dobrobytu ludu i samopomocą przygotować w sercach milionów silny grunt pod lepszą przyszłość. Na czele tej partyi stoi szlachetny, inteligentny

młodzian, Józef Martynowicz. Trzecia wreszcie partya, złożona przeważnie z młodych, chce iść przebojem, wywalczyć narodowi wolność manifestacyami, muzyką i śpiewem, ciągłem drażnieniem Madziarów. Prowadzi ją niejaki p. Zawada, a wyszczególnia się między jej członkami młody, pełen zapału, poeta, o dziwnie szlachetnem sercu i dlatego przystępny na uwagi roztropnych, Iwko Turek. Wyrasta on na bohatera powieści.

Wypada właśnie jubileusz tysiącletniej niewoli Słowaków i rocznica założenia *Maticy*. Partya przeboju bądź co bądź chce manifestować życie narodu korowodem z pochodniami, muzyką, śpiewem. Zgadzają się na to wszyscy, ale lojalni i roztropni chcą mieć na korowód pozwolenie od rządu. Lojalni starają się o nie. Pan Balla, podżupan stanowczo na manifestacyę nie pozwala. Partya przeboju wbrew zakazom rządu chce ją przeprowadzić, bierze atoli górę partya lojalna i ulegając rządowi, pragnie go dalszemi ustępstwami dla sprawy narodowej pozyskać. Nie tylko więc zrzeka się wszelkiej manifestacyi, ale na cichą ucztę w domu *Maticy* zaprasza podżupana p. Ballę. Koniec był taki, że Muzeum narodowe słowackie, które p. Balla po uczcie zwiedził, dostarczyło mu broni przeciw słowackiej *Maticy*, którą przed wyborami rozwiązał i dom i pamiątki narodowe na rzecz skarbu państwa zabrał. Partya więc lojalna ustępstwami swemi nie tylko nic od rządu nie zyskała, ale nadto dobrą sprawę zaprzepaściła. Słusznie więc odezwał się Iwko do tej partyi, „że sama nagina się nad bagniskiem madziarskiem i kąpie czyste liście w błocie“ (str. 83).

Partya przeboju również nic nie zyskała, bo za rozpoczętą tu i ówdzie manifestacyę dostarczyła ofiar więzieniom. Do niej to odnoszą się owe śliczne słowa Martynowicza (str. 37): „Ofiary bezpłodne, to niepotrzebny upust krwi. Ofiara zaczyna być potrzebną, gdy znajdzie echo w narodzie, gdy kula, która ciebie zabije, zaboli nie tylko bliskich, ale krocie, miliony...“ Józef Martynowicz, uosobienie partyi umiarkowanej, pracą cichą, ale stanowczą rzuca ziarna lepszej przyszłości np. założeniem kasy oszczędności dla Słowaków.

Z opisem tym stosunków słowacko-węgierskich łączy się fabuła erotyczna, której bohaterami są Iwko i Irma, jedyna córka pana podżupana Balli. Przypadek zbliża ich do siebie, zaznajamia i duchowo łączy. Iwko bowiem ratuje po dwakroć życie Irmie, ona zaś raz, gdy go ścigali żandarmi za agitacyę wyborczą, ochrania go przed uwięzieniem, drugi raz uwalnia go swym wpływem z więzienia. Miłość ta kończy się tragicznie. Irma skłonna po matce do choroby sercowej,

nabawia się jej wskutek zmartwienia. Nadchodzą wybory. Słowacy zachęceni przez Iwka i innych agitatorów, licznie się zgromadzili, by wybrać swego posła. Rząd postanowił użyć wszelkich środków, by przeprowadzić Węgra. Otacza więc gromady wyborców słowackich wojskiem, by ich znużyć i zmusić do rozejścia się. Jedna partya przebija się szczęśliwie przez kordon i dochodzi do urny. Na czele innej gromady wyborczej stoi Iwko, który widząc, że dziś a może i jutro nie puszczą ich do głosowania, postanawia iść przebojem. Tymczasem wydano oficerom rozkaz użycia palnej broni w razie nieposłuszeństwa. Iwko o tym rozkazie nie wie, idzie więc naprzód. Nie pomagają nawoływania i groźby oficera. Wtem rozlegają się strzały. Iwko ugodzony kulą w pierś, pada. Irma była obecną na wyborach. Przyszła zobaczyć Iwka. Posłyszawszy strzały, przeczuciem złowrogiem tknięta, spieszy na miejsce katastrofy. Ulatujące życie Iwka przecięło także i jej nić żywota.

Tak z jednej strony brutalna niesprawiedliwość, z drugiej gorączkowe poświęcenie pozostawiają za sobą w najszlachetniejszej walce o wolność i prawa tylko gruzy i trupy. Dodatnich rezultatów niema. Zasady działania wyłaniające się z żywo przedstawionej akcyi nieszczęsnego narodu są zdrowe i godne pamięci. Od brudnego tła perfidyi madziarskiej prześlicznie odbijają się piękne postaci Słowaków i Słowaczek. Oby znalazło się jak najwięcej takich Martynowiczów, a „naród byłby przygotowany do przyszłej, może już blizkiej epoki". W marzeniach Iwka naród przygotowany tak ma wyglądać: „Niech ma charakter twardy, jak stal; etykę Chrystusową; mądrość ubiegłych wieków; siłę zgody i jedności a bogactwo oceanów".

Ks. Henryk Haduch.

Historya prawodawstwa rzymskiego. Skreślił *Fryderyk Zoll* (starszy) profesor Uniw. Jag. Część pierwsza: Historya organów ustawodawczych w państwie rzymskiem. Kraków. 1902.

„Przedmiot niniejszego dziełka stanowić ma podstawę do nauki rzymskiego prawa prywatnego. W dzisiejszych podręcznikach instytucyi prawa rzymskiego bywa on po macoszemu traktowany, w nich bowiem zaledwo tylko historya źródeł prawa prywatnego w krótkości bywa uwzględniana, a historya organów ustawodawczych całkiem omijana. Mojem jednak zdaniem wykazanie stanowiska rozmaitych organów, które czy bezpośrednio czy pośrednio na rozwój prawa powyższego wpłynąć mogły, jest rzeczą nieodzowną, zwłaszcza wobec tego, że

w Rzymie władza prawodawcza nie zostawała w ręku tych samych organów, i że tam obok nich na rozwój prawa wpływały, i to przeważnie, takie nawet czynniki, którym władza ustawodawcza wcale nie była przyznana. Rzecz ta wymaga wyjaśnienia, bo wtedy dopiero stanie się zrozumiałą historya źródeł prawa prywatnego". — „Jakkolwiek, wydając niniejszą pracę, miałem głównie na względzie młodzież wstępującą na wydział prawniczy, to sądzę, że i słuchacze wydziału filozoficznego, poświęcający się czyto nauce filologii klasycznej czy nauce historyi w ogólności, książkę moją nie bez pożytku przeczytać będą mogli".

W ten sposób przedstawia autor w przedmowie przedmiot i zadanie swego dzieła.

Przedmiot części pierwszej, mogącej stanowić odrębną dla siebie, ściślejszą całość, zamknął autor w czterech okresach. Pierwszy okres sięga do zaprowadzenia trybunału, drugi do końca rzeczypospolitej, trzeci do Konstantyna, czwarty do śmierci Justyniana. W każdym okresie omawia autor kolejno różnice w stanowisku mieszkańców państwa rzymskiego, grupy społeczne i polityczne, na jakie się dzielili, ich stanowisko prawno-polityczne, dalej administracyę państwa, organizm władz centralnych i prowincyonalnych. Autor w opracowaniu oparł się przeważnie na wynikach badań Mommsena i Marquardta, choć i nowsze odkrycia i wyniki nauki uwzględnił, jak np. przedstawiając ustrój zgromadzeń ludowych, organizacyę centuryalną ludu rzymskiego i t. d.

Metoda użyta w opracowaniu przedmiotu synchronistyczna jest w zastosowaniu do opracowywanego tematu trafną. Bardzo wielką usługę dla studyum przedstawia dodanie do opracowania autora cytatów ze źródeł rzymskich, z których autor korzystał. Ułatwia to uczącym się, a niemającym sposobności czerpać wiadomości z pierwszej ręki, samodzielne rozpatrzenie się w przedmiocie.

Wogóle dzieło omawiane, choć w założeniu skromnie podane tylko jako elementarz dla studyum ustroju państwa rzymskiego, jako podręcznik uniwersytecki, sięga dalej. Przedstawia się jako poważna praca naukowa, nie jako *Lehrbuch*, lecz i *Handbuch* dla obeznanych już z przedmiotem, a pragnącym mieć pod ręką krótko zebrane rezultaty najnowszej nauki. Nadto ze stanowiska nauki polskiej, jest to jedyna nowsza praca polska w tym przedmiocie, bo „Instytucye i historya" Źródłowskiego z historyą zbyt krótko się załatwiają.

W interesie tedy świata prawniczego, a szczególnie wstępujących dopiero w jego progi życzyćby należało, by opracowanie dalszej części jak najprędzej się ukazało.

Dr. A. Bielecki.

Z piśmiennictw obcych.

Die höhere Bibelkritik. (Studie über die moderne rationalistische Behandlung der hl. Schrift von *P. Hildebrand Höpfl O. S. B.* Paderborn (Schöningh) 1902).

Nowoczesny poganizm występując w pozornie naukowej szacie znajduje wybitny wyraz w samozwańczej „wyższej krytyce biblijnej". Racyonalistyczni jej zwolennicy, nie wierząc w Bóstwo Chrystusa, zrywają zarazem wszelki stosunek człowieka z Bogiem, odrzucają więc objawienie, proroctwa, cuda. Z tem uprzedzeniem zabierając się do tłumaczenia Pisma św., obdzierają je z Boskiej aureoli, a przedstawiają jako ludzkie fałszerstwa lub poetyczne fantazye na tle historycznem. Poglądy te przybierają coraz większe rozmiary, znajdując posłuch w coraz szerszych warstwach społecznych. Jest więc rzeczą konieczną zwracać baczną uwagę na ich postępy. Tem więcej, że dziś ujawnia się ogólny prąd tłumaczenia Pisma św. racyonalistycznym sposobem. To też dziełko O. Höpfla jest bardzo na czasie. Autor z wielkim spokojem i sympatyczną powagą omawia obecny stan badań Pisma św. przez „wyższą krytykę". Bierze pod uwagę tylko wybitniejszych jej przedstawicieli i w głównych tylko punktach przedstawia ich zapatrywania. Wprawdzie nie podaje nam autor wyczerpującego, gruntownego i wszechstronnego poglądu na badania „wyższych krytyków" ani też podobnych na ich zarzuty odpowiedzi, ale okazuje znajomość rzeczy, z jaką w krótkości ocenia wyniki ich badań. — Badania zaś te zmierzają do jedynego i wyłącznego celu, by zerwać każdą nić życia łączącą niebo z ziemią, Stwórcę ze stworzeniem, a wrócić w gruncie rzeczy do poganizmu, ubranego w odmienną panteistyczną szatę. Ponieważ zaś chrześcijanizm uważa Pismo św. za słowo Boże, za księgę napisaną pod natchnieniem Ducha św., za „list Boga do człowieka", przeto „wyższa krytyka" wychodząc ze swych teistycznych czy panteistycznych zapatrywań rozrywa na pojedyncze kawałki księgi biblijne,

upatruje w nich tylko dzieło ludzkie niehistorycznej wartości, burząc wszystko, podaje czytelnikom „kamień zamiast chleba“. To też autor udowadnia historycznie, filozoficznie, filologicznie i psychologicznie, że są błędnemi pojmowania „wyższych krytyków“; w szczególności przedstawia to na zastosowaniu teoryi podziału źródeł, z jakich miał powstać według „wyższej krytyki“ Pentateuch Mojżesza, na historyi narodu izraelskiego, na rozwoju jego religii i jego obrzędów. Wreszcie zaznacza swój pogląd na stanowisko, jakie ma zająć katolickie tłumaczenie Pisma św. Widzimy w autorze człowieka postępującego z biegiem naukowym i odznaczającego się szerszymi poglądami. Ze stanowiskiem jednak, jakie zajmuje autor w teoryi o podziale źródeł, nie zawsze godzić się możemy. Teorya ta upatruje w Pentateuchu kilka różnych dokumentów, pochodzących z różnych o kilkaset lat oddalonych od siebie czasów. Przy niej dzielą się bibliści na dwa obozy. Green, Sayce, Zahn i Rupprecht występują silnie przeciw, z katolickich uczonych mniej lub więcej za nią oświadczają się: prof. Lagrange [1], Hügel [2], Abbé Loisy [3], Vetter, prof. Zapletal [4]. By zaznaczyć, jaki jest rozdział między tymi obozami, wystarczy dodać, że jedno z czasopism naukowych [5] odmawia najniesłuszniej wymienionej najnowszej pracy prof. Zapletala wszelkiej wartości, „bo sprzyja teoryi podziału źródeł“.

To też musimy podnieść bezstronną objektywność u O. Höpfla, który znajdując ślady różnych pisemnych dokumentów tylko w Genezie zestawionych ze sobą po największej części w swej pierwotnej i niezmiennej formie (str. 31), postępuje środkową drogą. Genezę uważa za zebranie różnych historycznych dokumentów.

Po tem twierdzeniu staje na nieszczęście autor na niebezpiecznej pochyłości, łudząc się, że jeszcze niema żadnego niebezpieczeństwa. Mniema Höpfl, że nie da się dokładnie oznaczyć własności i objętości pierwotnej Thory Mojżeszowej, że w każdym razie Pentateuch w swojej dzisiejszej postaci nie pochodzi od Mojżesza i może być w pojedynczych częściach późniejszem opracowaniem starych źródeł pisemnych

---

[1] *Les sources de Pentateuque. Revue biblique.* VII, 1898.

[2] *La méthode historique en son application à l'étude des documents de l'Hexateuque,* ibid. p. 231 sq.

[3] *Études Bibliques.* (Amiens).

[4] *Der Schöpfungsbericht der Genesis* (1, 1—2, 3) *mit Berücksichtigung der neuesten Entdeckungen und Forschungen.* Freibourg (Schweiz) 1902.

[5] *Litterarische Rundschau für das katholische Deutschland.* 1902. Nr. 10, S. 1.

(str. 35). Przekonania te sprowadziły już bardzo wielu do racyonalizmu. A to, że autor je przyjmuje, może tylko świadczyć o jego nieustalonych poglądach naukowych i do pewnego stopnia sprzeczności z sobą, bo przecież poprzednio (str. 30) zaznaczył „wyższym krytykom", iż ich dowody na poparcie teoryi podziału źródeł w Pentateuchu wcale nie przemawiają do przekonania. — Przytoczone jednak zapatrywania Höpfla są tylko złagodzonym wyrazem „wyższej krytyki" o podziale źródeł.

Czasem zajmuje autor dość chwiejne stanowisko, celem jego jest wykazanie błędnego i szkodliwego kierunku „wyższej krytyki", a mimo to niekiedy podziela jej fałszywe zdania (str. 53). Uważa, iż nie da się zaprzeczyć, że w osuszeniu morza Czerwonego przy przejściu Izraelitów działały siły naturalne. Nie chcemy przypisywać autorowi racyonalistycznego tłumaczenia, jakie na pierwszy rzut oka się nasuwa, wolimy przypisać to nieoględności w wyrażeniach, zapomniał zapewne autor dodać, że Pan Bóg użył sił naturalnych do przeprowadzenia swego planu, prócz więc nadnaturalnej siły działały naturalne.

Nadto należy wystąpić ostro przeciw autorowi, przyjmującemu możliwość użycia w Biblii elementów mitycznych (str. 63). Nie może go nigdy usprawiedliwić dodatek, iż się to dzieje tylko dla wyrażenia wyższych religijnych myśli, że te mity nie mają w Biblii pogańskiego zabarwienia.

Tego rodzaju obrona Biblii przynosi jej tylko pewną i nieuniknioną zgubę. Historyczne doświadczenie najlepiej nas tu uczy. S. Semler († 1791) podobnie również przyjął mity w opowiadaniu o Samsonie i Ester, wnet po nim Eichhorn († 1827) znalazł je w Genezie, a Strauss i inni ogłosili wkrótce prawie całe Pismo św. za zbiór mitycznych bajek.

Wreszcie zaznaczyć wypada pewien respekt, jaki objawia się u autora dla „wyższych krytyków", który nie zawsze ma usprawiedliwione podstawy.

Najlepiej wypadł traktat o kulcie narodu żydowskiego. Autor obeznany z dotyczącą literaturą i duchem starożytności wykazuje, iż mylne są twierdzenia „wyższych krytyków", utrzymujących, że Izraelici byli początkowo poganami, bo ich kult często ma pogański charakter. Z ich zarzutów i zawsze trafnie zbijających je odpowiedzi autora zaznaczamy (str. 72 nst.), że to twierdzenie nieuzasadnione, bo czynności obrzędowe jak ofiary, kadzenia i t. d. mogły być wzięte z kultu starożytnych Egipcyan czy Arabów. Same w sobie były do-

brymi; złymi się tylko stały przez złe ich użycie, że zamiast do Boga odnosiły się do bożków. Pan Bóg jednak w swych rozporządzeniach używa często rzeczy będących już w zastosowaniu, podnosi je do celów wyższych i przez to uszlachetnia. Podobnie również uczynił chrześcijanizm z niektórymi obrzędami pogańskimi, a za to przecież nikt nie może zrobić mu rozumnie uzasadnionego zarzutu, iż powstał z pogaństwa. Zresztą starożytne zabytki pisma klinowego, ruiny świątyń, statuy, symbole, zapiski modlitw starożytnych semitów świadczą najwymowniej przeciw zapatrywaniom „wyższych krytyków“, dlatego też oni chętnie je omijają, a zwracają się w swych badaniach do dzikich narodów Ameryki (Robertson Smith), by z ich zwyczajów wyjaśnić religijne obrzędy Izraelitów. Dla „wyższych krytyków“ tak pierwotny człowiek jak i pierwotny semita żyli w dzikim stanie. Dopiero drogą ewolucyi doszli do cywilizacyi i wyrobili sobie pojęcia o Bogu. Lecz sposób, w jaki się ten rozwój idei Bożej odbywał według objaśnień „wyższych krytyków“ jest tak ciemny i niedostateczny, że, jak słusznie zauważył O. Höpfl (str. 72), może to zadowolnić tylko ewolucyonistę, wyprowadzającego człowieka od małpy, tak samo i pojęcia o Bogu, jakiego swemi „wyższemi badaniami“ odkryli „krytycy biblijni“ mogą się tylko dostroić do małpo-człowieka. — Tu można się nabawić obawy, czyżby podstawy wiary naszej tak słabemi były, że nie mogą wytrzymać niezawisłej, bezstronnej naukowej krytyki? Bo przecież tym ludziom nie można nigdy odmówić nauki i wiedzy, owszem posiadają ją nieraz bardzo rozległą.

Lecz obawy znikną, gdy się „wyższych krytyków“ prawdziwie krytycznie osądzi. Trafnie scharakteryzował ich autor (str. 103 nst.): „Wyższa krytyka“ chełpi się tylko bezstronnością, bo jej zwolennicy zabierają się do naukowych badań z tem silnem uprzedzeniem, że Pan Bóg światem wcale nie rządzi, niema żadnej łączności między naturalnym a nadnaturalnym bytem, a cel człowieka kończy się tu na ziemi. Inni znów darwinistyczni bibliści za podstawowy dogmat biorą ewolucyę i z tego punktu, badając Pismo św. do absurdów dojść muszą. Prawdziwie zaś bezstronna krytyka nie daje się porwać subjektywnym zapatrywaniom, a liczy się zawsze z objektywnymi faktami. Wynik zaś jej badań biblijnych ten się okazuje, że Stary Testament jest pielęgnowaniem i przechowaniem idei odkupienia ludzkości. Rozwój tej idei postępuje z biegiem czasów od patryarchów do proroków, a do pełności dochodzi w Jezusie Chrystusie, Bogu-człowieku.

Te myśli omawiając autor przystępnym sposobem, daje jasny rys

najaktualniejszych obecnie kwestyi naukowo-religijnych, umożliwia też łatwe oryentowanie się w nadzwyczaj rozgałęzionej dotyczącej literaturze wszystkim, którzy nie mogą specyalnie zajmować się tą kwestyą podstawową dla wiary, a tak ważną dla wiedzy i nauki.

Ks. dr. St. Trzeciak.

Le miroir de la vie. *Robert de la Sizeranne.* Paris, Librairie Hachette. 1902.

Pan Robert Sizeranne napisał dwa dzieła dotąd — i one zapewniły mu rozgłos szeroki. Nietylko krytyka je omawiała, ale prawie wszystkie języki literackie przyswoiły sobie jego pracę. Historya współczesnego malarstwa angielskiego i piękne dzieło o Ruskinie były czytane przez wszystkich, którzy śledzą ważniejsze zjawiska piśmiennictwa europejskiego. Dzieło Sizeranne'a dało poznać tego uwielbianego powszechnie w Anglii, ale nieznanego przeciętnym czytelnikom kontynentu — filozofa. Rzucono się do czytania, komentowania i badania dzieł rozlicznych, tłumaczenia posypały się szybko.

I znowu w trzeciej książce, którą Sizeranne wydaje, spotykamy tę samą szczęśliwą umiejętność znalezienia tematów niezmiernie interesujących i oświecenia ich z nowej, ciekawej, a niewyczerpanej dotąd strony.

Cóż jest zwierciadłem życia? Sztuka. „Patrzeć na sztukę, by lepiej widzieć życie“ czyż miałoby to być tylko fantastycznym pomysłem? Ależ każdy, który w akademii weneckiej patrzał na „legendę św. Urszuli“, gdzie tak naiwnie a dokładnie odźwierciedliło się życie średniowieczne, musiał doznać tego uczucia, że nietylko wartość estetyczna dzieła Carpaccia, ale właśnie ten odblask przeszłości i innych ludzi i innej epoki tak dziwnie nań wpływa.

„By poznać życie jakiegoś narodu, mamy jego historyę, by poznać jego uczucia, mamy literaturę“. Ale to nie wystarcza. Codzienność życia, cicha, spokojna praca, pokorny trud całych pokoleń, o których nie wspomina historya zapisująca wielkie zbrodnie — to wszystko przeszło nie opiewane ani podnoszone. Ale ten lud cichy i zapomniany przemawia do nas z obrazów Narodzenia Pańskiego stłoczony w około stajenki betleemskiej. Spokojne, przemyślne życie mieszczaństwa odbiło się na różnych wielkich obrazach przeszłości, które nam okazują, jak pielęgnowano chorych, jak przyjmowano gości, w jaki sposób pracowano na chleb powszedni. Portrety tylu „nieznajomych“ wiszące po salach muzealnych, czy też włożone w kompozycye historyczne, po-

zwalają równocześnie wglądnąć w duszę przeszłości, w sam rdzeń narodu. Sztuka pochwyciła charakter epoki, w której tworzyła nieświadomie i naiwnie. Jak żyli ci inni ludzie? jak pojmowali świętość? — bohaterstwo? to wszystko odgadnąć można, wpatrując się w te dokumenty życia pokoleń zmarłych.

Pan Sizeranne z tego punktu próbuje też patrzeć na różne objawy sztuki. Stara się poznać przeszłość, a wglądnąć lepiej w duszę teraźniejszości — przez śledzenie w dziełach sztuki tego odblasku wewnętrznego życia, które staje się dopiero jakby śladem duszy danej epoki, dokumentem jej marzeń i poglądów.

W książce swej bada pod tym kątem widzenia specyalnym estetykę bitew, karykaturę, portret dziecka przechodząc historycznie, jak w ciągu wieków zmieniało się przedstawienie plastyczne bohaterstwa, jak powoli dusza dziecka wydobywała się na świat w całym uroku i świeżości. Równie ciekawą jest charakterystyczna rozprawa o karykaturze. Ale rzeczą najbardziej interesującą to rozprawa czwarta, mająca za przedmiot: nowoczesność Ewangelii: *modernité de l'Evangile.*

Któż z nas nie widzi co roku na wystawach sztuki tych różnorodnych parafraz scen Ewangelii lub też przypowieści z niej czerpanych, włożonych w formę współczesnego życia? Z naszych artystów, kilku kusiło się o tę nowość pomysłów — najwięcej znanym jest „Ojcze nasz“ Krzesza, wprowadzający osobę Chrystusa Pana w życie smutne, powszednie teraźniejszego trudu i zbrodni. Postać Chrystusa Pana odpowiada typowemu przedstawieniu jej w dziełach religijnych i nie razi żadnym nowożytnym modernizmem. I dlatego może te sceny robią takie zastanawiające wrażenie, podczas gdy naciągnięte modernizowanie Ewangelii przez Uhdego niejednokrotnie oburza i razi do głębi.

Innym obrazem, który wywołał przed paru laty wiele polemik, był obraz Berand'a „Chrystus i jawnogrzesznica“. Na tle czysto paryskiem wśród uczty, gdzie każdego z uczestników można wymienić nazwisko, zjawia się Zbawiciel i w tejże chwili do nóg Jego pada nowoczesna Magdalena, znana dobrze w Paryżu. Te stroje współczesne, te portrety tak podobne do przedstawicieli sceptycyzmu i niewiary zrobiły wielką senzacyę. Obraz Jana Berand'a komentowano szeroko.

Sizeranne zapytuje się, dlaczego ten ruch modernizowania Ewangelii, który w ostatnich latach piętnastu tak wzrósł i rozpowszechnił się, budzi w nas często uczucie niechęci. Wielu narzeka na tę „nowość“. Ale wtedy wystarcza wejść do którejkolwiek galeryi sztuki.

Widzimy Chrystusa idącego z uczniami do Emaus w stroju epoki i na tle kraju, gdzie żył holenderski malarz Breughel. Wesele w Kanie Veronesa, dzieła Rembrandta i tyle innych obrazów dawnej epoki ukazują nam, że dawniej o wiele powszechniejszem było przenoszenie obrazów Ewangelii w epokę, w której żył dany artysta. W Rzymie co chwila spostrzega się te anachronizmy!

Przeszłość można odtwarzać dwojako — albo ściśle historycznie, albo też idąc za wyobrażeniem własnem lub swej epoki i dawać tło, jakie się w natchnieniu twórczem uzna za właściwe.

Odtworzenie ścisłe, historyczne nie jest tak łatwe, zdaniem pana Sizeranne. Jest się ustawicznie na łasce lepiej poinformowanego archeologa, bo nikt dokładnie nie wie, jak była ubrana Joanna d'Arc, jaką cechę miał dom Ramzesa. Angielski malarz Holman Hunt przez pięć lat studyował archeologicznie i historycznie przedmiot swego obrazu: „Chrystus nauczający biegłych w piśmie"; osądził, że dosięgnął wierność historyczną, chwaliła go krytyka, gdy tymczasem jedna stara Żydówka orzekła: Ci uczeni nie są z pokolenia Judy, gdzie mają nogę na podbiciu wysoką, ale z pokolenia Ruben, gdzie są właśnie nogi tak płaskie.

O tem, że malarstwo historyczne przedstawiać usiłuje ducha epoki danej, wedle pojęcia indywidualnego artysty po odbytych studyach — nie mówi wcale Sizeranne. Główny kładzie nacisk na fizyczną niemożliwość osiągnięcia prawdziwej wierności historycznych scen.

„Więc oddaniem psychologicznego wrażenia, gdzie każdy sam jest sędzią, w chwili gdy wszędzie objawia się odnowienie (renouveau) chrystyanizmu, chcą artyści wyobrazić przejmujący wpływ Chrystusa na dusze ludzi współczesnych". I dlatego Fritz Uhde wyobraża Zbawiciela na tle nędzarzy Bawaryi, co więcej ubiera Chrystusa w nowoczesne łachmany. Inny artysta odtwarza postać Boga-człowieka, na tle Tuileryi błogosławiącego dzieci teraźniejsze, lub też biczowanego przez prezydentów lóż masońskich i niedowiarków w binoklach. Ten Chrystus, którego nauka dana jest ludziom wszystkich czasów i wszystkich narodów, może być tak samo osobowo wyobrażonym w naszej epoce, jak historycznie odtworzonym na tle Palestyny.

Dlaczego dawne anachronizmy nas nie rażą, gdy teraźniejsze budzą tyle polemik?

To pytanie zadaje sobie Sizeranne, i w dwóch nader ciekawych rozdziałach stara się rozwiązać tę kwestyę. Z punktu widzenia este-

tyka może ma słuszność, ale równocześnie czujemy braki w tem dowodzeniu, którem uzasadnia swe twierdzenia.

Tak jak w Ruskinie widział głównie propagatora religii piękna, tak i w tej niezmiernie interesującej sprawie modernizowania Ewangelii w sztuce, jedynie jako znawca piękna i harmonii artystycznej, rozwiązuje kwestyę. Anachronizmy dawne Veronesa i mistrzów włoskich i flamandzkich nie rażą nas dlatego, że tło epoki, ubiory ludzi i cały nastrój obrazów był w najwyższym stopniu estetycznym. Dzisiejsze zaś ubiory czarne, geometrycznie skrojone, przeraźliwie banalne są wstrętne. Brzydotę potrafi malarz zrobić artystyczną, ale rzeczy nieestetycznej nie zmieni w rzecz piękną. Więc Chrystus na tle dzisiejszem nas razi, ale tylko dlatego, że ono tak jest pospolitem!

Po części ma autor słuszność, bo jako znawca piękna pojmuje, rozumie wybornie całą brzydotę pospolitości. Ale pragnęlibyśmy, aby więcej kładł nacisku na psychologiczne powody niechęci, którą budzi takie modernizowanie *par force*. Obraz mający wywołać prawdziwy nastrój religijny musi być przedewszystkiem utrzymany w nastroju uszanowania religijnego. Ani Chrystus idący z uczniami Brenghela, ani uczta Veronesa nie daje nam uczucia czci i nie wprawia nas w stan pełnego uszanowania pietyzmu, jaki znowu obudzi ten lub ów obraz współczesny, gdzie najdoskonalsza wyższość Boga-człowieka promienieje wśród szarego otoczenia dzisiejszej doby. Nie potrafi człowiek oddać wielkości Bóstwa — ale niech czynnik duchowy stworzy harmonię między formą, tłem i pomysłem, a to duchową treścią, którą obraz, mający za przedmiot Ewangelię, ma przedstawiać. Ewangelia jest księgą każdej epoki — ale nie wolno jej zniżać do malutkich pojęć jednej epoki tylko. A naszej epoce tak brakuje uczuć czci i uszanowania religijnego...

M. Harsdorf.

Geschichte des deutschen Zeitungswesens von den ersten Anfängen bis zur Wiederaufrichtung des deutschen Reiches. Von *Ludwig Salomon*. Zweiter Band: Die deutschen Zeitungen während der Fremdherrschaf (1792—1814). Napoleon I und die deutsche Presse. Oldenburg 1902. Schulzesche Hof-Buchhandlung. (W 8-ce, str. X i 272).

Po pierwszym tomie, który przed dwoma laty został tu omówiony, ukazał się dalszy obejmujący czasy napoleońskie. Dużo tu jest zajmujących szczegółów odnoszących się do założenia, istnienia — i zgonu

wielu niegdyś wybitnych czasopism politycznych i literackich. Ogólny obraz jest ostatecznie nawet dla nie-niemieckiego czytelnika bardzo przykry. Sam autor tak go w zakończeniu streszcza: „Cała obszerna dziedzina niemieckiej literatury czasopiśmiennej przedstawia się w epoce napoleońskiej jako smutna pustynia. Brutalna stopa zdobywcy zgniotła powoli wszystko, co się w ożywionem osiemnastem stuleciu rozwinęło. Żaden dziennik nie mógł teraz nawet w najskromniejszy sposób wyrazić swego własnego zdania. Więzienie czekało każdego redaktora, który się odważył choćby w najdrobniejszym zakresie powiedzieć coś, co się imperatorowi nie podobało. I dlatego dzienniki tej epoki nie podają bynajmniej jej obrazu; w najpomyślniejszym razie dają tylko karykatury, częściej jednak ułudę, wprost przeciwną do tego, co się na teatrze świata rozgrywa, co ludzkie serca wzrusza. Ale właśnie dlatego są podwójnie ważnymi dokumentami tego nieskończenie smutnego czasu. Jaśniej, niż jakakolwiek historyczna rozprawa pokazują zamęt, w jaki z wtargnięciem Francuzów popadł naród politycznie nie wykształcony, jak usiłował zastosować się z konieczności i pod straszliwym, bezpośrednim uciskiem Napoleona do faktów, a przecież w głębi serca nadziei się nie wyzbył. To okazuje się świetnie zaraz po bitwie pod Lipskiem. Bezpośrednio po nadejściu wiadomości o zwycięstwie wszystkie czasopisma zrzucają znienawidzoną maskę, i głośno objawia się w nich radosna dusza narodu“. Tak sądzi p. Salomon, a przyznając mu słuszność w tem, co mówi, trzeba dodać to, czego nie mówi, chociaż to z nagromadzonego przezeń szeregu faktów wynika; oto bądź co bądź po bitwie pod Jeną, zwłaszcza w niemieckiem dziennikarstwie, jest już nie uleganie naciskowi tylko, ale dobrowolne upodlenie, wstrętne lizanie stóp zwycięzcy. — Książka jest bardzo ciekawą i tam, gdzie mówi o czasopismach literackich, np. o organach romantyków, lub o zaciętej walce prowadzonej tą drogą przez Kotzebuego przeciw Goethemu. Pobieżniej przedstawione są stosunki austryackie, a tylko rola Metternicha, który przez Geutza zamierzał drogą prasy wpływać na opinię publiczną, wyraźniej jest zaznaczoną. Krótko mówi autor o organach prowincyonalnych, między innemi o założonej w r. 1786 *Lemberger Zeitung*, poprzedniczce dzisiejszej *Gazety Lwowskiej*. Pan Salomon zapowiada na rychłą przyszłość trzeci, zarazem ostatni tom „Historyi niemieckiego dziennikarstwa“, wolno jednak wątpić, czy w jednym tomie zdoła się załatwić z długą epoką od r. 1815 do 1871.

Dr. J. Flach.

Altneuland. Roman von *Theodor Herzl.* Leipzig. H. Seemann Nachfolger. (Str. 343).

Nie naszą jest rzeczą zastanawiać się na tem miejscu nad syonistycznym ruchem wśród dzisiejszych Żydów. Krytyk ma do czynienia tylko z powieścią związaną z tem zjawiskiem nie osobą autora jedynie, Teodora Herzla, jednego z najwybitniejszych przywódców syonistów, lecz i treścią oraz tendencyą. *Altneuland* jest bowiem utopią, przedstawia owo wymarzone państwo przyszłości Żydów, oczywiście na gruncie Palestyny. Autor usiłował zrobić z tej tendencyjnej rozprawy powieść, ale postępuje czysto po literacku, nie jako twórczy powieściopisarz: oto do właściwego wykładu o organizacyi nowego Syonu wplata motywa i ustępy powieściowe, a wstawki te, o ile powierzchowny sąd budzą, o tyle bystrzejszemu wzrokowi okażą się zewnętrznymi dodatkami, o których można powiedzieć z niemieckim poetą: *Man merkt die Absicht und man wird verstimmt.*

W pierwszej części rzecz dzieje się w roku 1902 w Wiedniu. Dr. Fryderyk Löwenberg, kandydat adwokacki jest nieszczęśliwym, bo panna, naturalnie również żydówka, którą kocha, wychodzi za mąż za starego, ale bogatego handlowca. Zrozpaczony czyta w kawiarni w gazecie ogłoszenie· „Poszukuje się zrozpaczonego i wykształconego młodego człowieka, któryby gotów był ze swojem życiem zrobić jeszcze jedno doświadczenie. Zgłoszenia pod N. O. Body". Chociaż ten pseudonim oznacza po angielsku „nikogo", Löwenberg idzie za wskazówką i poznaje bogatego Amerykanina, mr. Kingscourta, który, stawszy się mizantropem, czasem podróżuje na własnym jachcie, a zresztą zamieszkuje odludną jakąś wyspę. Ten za towarzysza bierze sobie Fryderyka, który przed wyjazdem dopełnia miłosiernego czynu: pieniądzmi Kingscourta darzy rodzinę nędznego domokrążcy Littwaka, którego syn, młody chłopak, Dawid, robi na nim wrażenie mistyczną niemal wiarą w Syon i jego odrodzenie. Sam Löwenberg ideałów tych nie odczuwa, i gdy jacht płynie brzegami Palestyny, obaj podróżnicy z chłodną, sceptyczną ciekawością oglądają słabe początki żydowskiej kolonizacyi.

Druga część powieści przenosi czytelnika nagle w przyszłość, w r. 1923. Po dwudziestoletnim pobycie na owej samotnej wyspie obaj przyjaciele płyną w odwiedziny do Europy i po drodze wylądowują w Ziemi św., gdzie ze zdziwieniem (gazet bowiem przez te długie lata nie czytali) widzą państwo syońskie nie tylko w najdrobniejszych

szczegółach zorganizowane, ale i na wieki ustalone. Ta część powieści jest oczywiście najpoważniejszą, i dla niej powstała cała książka.

Przedewszystkiem nawet ze stanowiska autora czas dwudziestu lat wydać się musi zbyt krótkim do wykonania i utrwalenia tak wielkiego dzieła. Ponadto lektura tych ustępów budzi inne spostrzeżenia. Herzl, jak już wiemy, stara się podać tendencyę w miły sposób, chociaż właśnie w tej części owe powieściowe wstawki do wykładu najbardziej są sztuczne. Ale i samo stanowisko autora jest nadzwyczaj ciekawe. Chciał on obok twierdzenia, że syońskie marzenia dadzą się urzeczywistnić, przekonać czytelnika o czemś jeszcze trudniejszem do wiary, że mianowicie syonistyczna Palestyna będzie wprost rajem. Przedstawia to dość oryginalnie: oto nie popuszcza wodzów fantazyi w dosłownem znaczeniu, nie wymyśla nowych jakichś wynalazków, odkryć, idei, jak to czynią np. Verne lub Bellamy, lecz przedstawia tylko, jak Palestyna syonistyczna znane w r. 1902 wynalazki i postępy kultury konsekwentnie spożytkowywa w sposób, o jakim ludzie z r. 1902 nawet nie śnili, chociaż to było tak proste. Jeden przykład umyślnie drobny, ale charakterystyczny: w r. 1923 nie importuje się do Palestyny żydowskiej ani obcych cygar ani zagranicznych serów, tylko po prostu w laboratoryum bakteryologicznem hoduje się odpowiednie drobnoustroje, które najlichszym krajowym cygarom i serom dają smak i zapach owych zagranicznych delicyi. Czytelnik podziwia to nowe „jajko Kolumba“, tylko pyta nieśmiele: jaki jest związek tego z syonizmem? Tu pokazuje się, jak Herzl pisząc tę utopię syonistyczną nie mógł zaprzeć się swej zachodnio-europejskiej duszy i swej zwykłej felietonistyczno-paradoksalnej natury. Na dwa inne momenty znaczące zwracamy także uwagę: to naprzód obszerny, umyślnie trzeźwością się popisujący wywód o praktycznej stronie odrodzenia Izraela, a więc o wykupieniu ziemi od sułtana i mutualistycznym ustroju społecznym, mającym w genialnie prosty sposób zastąpić wrogie sobie w r. 1902 systemy: indywidualizm i kollektywizm; powtóre zaś ciekawem jest, jak autor usiłuje przekonać czytelników, że chrześcijanie ani o miejsca swej religijnej czci ani o samą religię nie potrzebują się trwożyć, bo w syonistycznej Palestynie panować będzie najwznioślejsza tolerancya religijna. W tej sprawie Herzl jest spóźnionem echem „Natana Mędrca“ Lessinga, owego płodu berlińskiego racyonalizmu w XVIII wieku, który propagował tolerancyę religijną... wyraźnie wyróżniając judaizm, mniej mohamedanizm, a chrześcijaństwo na ostatnie miejsce

spychając. Tak np. w czasie żydowskiej Paschy kapłani chrześcijańscy uczestniczą w żydowskich obrzędach.

Dla dokładności podajmy jeszcze powieściowe zakończenie książki, według którego Löwenberg żeni się z Miriam, siostrą owego Dawida Littwaka, niegdyś ostatniego biedaka, dziś najmożniejszego i najwybitniejszego syonisty. Na zakończenie zestawimy początek powieści z ostatniemi jej słowami. Tam jest motto: „Jeżeli chcecie, to nie jest to bajką“ — tu zdanie: „Jeżeli jednak chcecie, to jest to bajką“. Paradoksalność obu tych wyrzeczeń, olśniewająca naiwnego czytelnika, krytyczniej zbadana jest nowym dowodem, że Herzl nawet chcąc być natchnionym syonistą, jest w gruncie rzeczy błyskotliwym felietonistą, literackim żonglerem.

Może dlatego jego utopia wychodzi już w piątem wydaniu.

Dr. J. Flach.

Le Roman de Léonard da Vinci. La Résurrection des dieux. *Dmitry de Merežkowsky.* Traduit du russe p. *Auguste Sorrèze.* Paris. Calmann Levy. (Str. 718).

Z trylogii, której „Śmierć bogów“, t. j. powieść o Julianie Apostacie stanowi początek a zarazem podwalinę moralną, mamy już obecnie część drugą, usymbolizowaną w dziejach wielkiego Leonarda. Zbytecznem byłoby mówić, iż autor rozwija dalej swą myśl pierwotną o wymarzonej przez siebie religii, mającej się utworzyć ze zlania chrystyanizmu z pogaństwem greckiem. Nie darmo stawia, jako motto u wstępu, zdanie Dostojewskiego: „Zderzyły się dwa najsprzeczniejsze na ziemi pojęcia — Bóg-Człowiek z Człowiekiem-Bogiem: Apollo belwederski z Chrystusem“. Dostojewski wszakże nie myślał Chrystusa z Apollinem zespolić... Nie dziw też, że koncept Merežkowskiego (myślą nazwać go nie można) przedstawia się mętnie, niezręcznie i nieśmiało tak w pierwszej, jak i w drugiej części trylogii. O ile cesarz Julian miał być uosobieniem greckiego Olimpu schodzącego wraz z nim do grobu, o tyle nowe wcielenie tegoż Leonarda da Vinci ma przedstawiać zmartwychwstanie królowania bogów na ziemi. Taką była intencya autora skrystalizowana w wierszu Dantego: *Sentio, rediit ab inferis Julianus.*

Od intencyi jednak do wykonania czasem jeszcze daleko. Leonard, nie już taki jakiego znamy z historyi, ale jaki nam jest tu przedstawiony, nie ma nic wspólnego z cesarskim apostatą, chyba dążność do rozpraszania swoich zdolności na różnorodne strony. To jednak

było w większości ludzi Odrodzenia skutkiem bogactwa ducha nie mogącego się pomieścić w jednym korycie sztuki, a nie dziwactwem, niemal kalectwem, jak to specyalnie u twórcy „Wieczerzy Pańskiej“ wystawia autor. Wogóle charakterystyka mistrza ogromnie opracowana, ale nie koniecznie prawdziwa; każdy rys przesadnie uwydatniony tak, iż niepodobna złożyć całości. Raz widzimy w nim dziwaka, drugi raz zrozpaczonego Tytana, to znów pozuje na Olimpijczyka, wtedy zwłaszcza, gdy chodzi o wykazanie kontrastu między słonecznym spokojem humanistów a gwałtownem miotaniem się uczniów Savonaroli. Walka tych dwóch wrogich prądów uosabia się w słabym umyśle młodego artysty, Giovanni Beltraffio, przerzucanego kolejno z celi klasztornej do pracowni Leonarda, a wreszcie do uosobienia pogaństwa — pięknej Greczynki uprawiającej magię i kult Dyonizosa, — i kończącego na stryczku. Książka miała być tezą; w istocie jednak jest to teka obrazków z czasów Odrodzenia; obrazków często niewykończonych, a zawsze przeraźliwie jaskrawych. Najlepsze z nich przedstawiają dwór medyolański Ludwika Il Moro, a obok niego wyidealizowaną postać Gian. Galeazza (ojca naszej Bony), przyjazd Francuzów i karykaturę Karola VIII. Dalej jest Savonarola i nieodzowny Cezar Borgia wraz z dworem Aleksandra VI, i wszystkie prawdziwe i zmyślone zbrodnie całej rodziny. Jest i Machiavel, roztaczający w zbyt długich rozmowach główną treść pism swoich. Cała książka jest zbyt długa, wszystkiego za wiele, a przecież obraz niedostateczny, nie tworzący całości; rzekłbyś mnóstwo kawałeczków wielkiego krajobrazu widzianego z różnych punktów przez bardzo ciasne lunety i zostawiającego wrażenie nie malowidła, lecz oleodruku. Wracając do myśli moralnej, warto podnieść oderwane zdanie, włożone przez autora w usta jednego z bohaterów: że ludzkość, zerwawszy z teogonią pogańską, zatrzymała się w pół drogi, nie mając odwagi wprowadzenia w czyn całkowitej nauki chrześcijańskiej, t. j. urzeczywistnienia w swem życiu ideałów chrystyanizmu. Z tem możnaby się zgodzić, gdyby poza owym błyskiem prawdy nie majaczył gdzieś w głębi żal za Apollinem, a zwłaszcza za Dyonizosem i wszystkiem, co ów wesoły bożek za sobą pociąga.

T. W.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Erwerb und Verlust des Schweizerbürgerrechts. *Dr. G. Carlin.*

Do naturalizacyi w Szwajcaryi potrzeba dwóch aktów: zezwolenia rady związkowej, umożliwiającego uzyskanie obywatelstwa szwajcarskiego, i zezwolenia władzy kantonalnej. Oba akty są istotnie konieczne.

Rada związkowa udzielić może swego zezwolenia osobom od dwóch lat zamieszkałym w Szwajcaryi, gdy nie ma żadnych przeszkód ze strony władz zagranicznych. Zezwolenie jest ważne na przeciąg dwóch lat.

Utracić można obywatelstwo szwajcarskie tylko wskutek zrzeczenia się. Zrzekający się musi być wszakże stale zamieszkały poza granicami Szwajcaryi, musi posiadać zdolność do działań prawnych wedle ustaw tego kraju, w którym mieszka obecnie, musi udowodnić, że uzyskał obywatelstwo innego państwa, lub że uzyskanie takiego obywatelstwa jest mu zapewnione.

Ponieważ przez nabycie obcego obywatelstwa nie traci się obywatelstwa szwajcarskiego *eo ipso*, a w prawie francuskiem i włoskiem nie istnieją przepisy stanowiące, że dzieci małoletnie tracą dotychczasowe obywatelstwo wraz ze swym ojcem, naturalizowanym w innem państwie, łatwo powstaje kolizya statutów dotyczących państw. Taki obywatel obowiązany jest do pełnienia powinności wojskowych w obu państwach (ewentualnie równocześnie), a w razie zaniedbania tego obowiązku podlega w obu państwach naznaczonym karom. Kolizyę z Francyą usunięto w drodze obopólnej umowy, ustanawiającej między innemi, że dzieci małoletnie Francuzów, naturalizowanych w Szwajcaryi uważa się tymczasowo za Francuzów, a dopiero w ciągu 22 roku życia mogą one zapomocą t. zw. prawa opcyi uzyskać obywatelstwo szwajcarskie. Z Włochami umowa analogiczna nie doszła dotychczas do skutku. W wypadkach obywatelstwa podwójnego decyduje prawo państwa, w którem ta osoba właśnie mieszka. W trzeciem państwie obywatel podwójny może dowoli korzystać z opieki jednego lub drugiego państwa. Jeśli obywatel taki udowodni, że pełni powinności wojskowe w tem drugiem państwie, Szwajcarya uwalnia go od tego obowiązku.

Stosunki tego rodzaju tem bardziej wymagają naprawy, że liczba obcych w Szwajcaryi jest bardzo poważną. Na ogólną liczbę 2 917 754 wypada obcych aż 229 650. W niektórych kantonach jak w genewskim było na 105 000 dusz aż 40 000 obcych. Naturalizacyi żąda zaś rocznie zaledwie 1%. Zwiększyć liczbę obywateli szwajcarskich można, zdaniem autora, zapomocą redukcyi opłat kantonalnych i gminnych, które obecnie dochodzą niekiedy aż do kwoty 2000 fr. Należy dalej przeprowadzić odpowiednią rewizyę traktatów międzynarodowych w kwestyi osiedlania się. W szczególności należy tu nacisk położyć na klauzulę, stanowiącą, że obywatele jednego państwa, osiedlający się w innem państwie, są wolni od powinności wojskowych w temże państwie, jeżeli uczynili zadość tym obowiązkom we własnem

państwie. Wreszcie należałoby wprowadzić do prawa szwajcarskiego przepis, stanowiący, że dziecko obcego obywatela w Szwajcaryi urodzonego, zamieszkałe w Szwajcaryi, jest *ipso facto* obywatelem szwajcarskim.

Dr. G.

Znaczenie „Balladyny" Słowackiego. *Zofia Strzetelska.* Lwów. 1902. Nakładem Towarzystwa (jakiego?!). (8-ka, str. 333. kt. 1).

Zwyczajem jest niemal powszechnie przyjętym, że o pracach pozbawionych jakiejkolwiek rzeczywistej wartości, pisze się bardzo mało albo też wcale nic. Jeżeli tym razem odstępujemy od tej zasady, czynimy to z powodu okoliczności wyjątkowych. Zdarzało się nam już nieraz czytać bardzo liche rozprawy naukowe, w których wnioski były fałszywe, twierdzenia, na chwiejnej oparte podstawie. Ale widziało się w nich pracę umysłu początkującego, szukającego prawdy na podstawie pewnych prawideł logicznych, być może, nawet błędnych. Tymczasem tutaj w pracy p. Strzetelskiej widoczna jest zupełnie inna cecha. A więc przedewszystkiem brak jakiejkolwiek ścisłości rozumowania, całkowite odrzucenie koniecznych w badaniu naukowem podstaw realnych, któreby pozwalały snuć wnioski, tak, że praca cała jest jednym wielkim stekiem fałszów nie popartych wcale, i to w dodatku pochodzących od osoby nie umiejącej uszanować niczego, co przed nią było w danej materyi pisane, ani też nikogo, kto pisał o „Balladynie". Pół roku z górą minęło od czasu wyjścia tej książki z druku, która przyprawiła wielu o gorzkie rozczarowanie i co więcej, o stratę czasu. Nikt nie pokwapił się, ażeby ostrzedz publiczność przed pracą bezwartościową. Lepiej więc późno, niż nigdy.

Cała ta praca jest, jak się rzekło, jedną wielką fantazyą. Autorka, nie mając najmniejszych po temu danych, puściła wodzów własnej fantazyi (która jest bardzo dobrą w belletrystyce, a najszkodliwszą w nauce), ażeby koniecznie dowieść, że „Balladyna" powstała z troski Słowackiego o byt Polski, z zaciekań się jego nad przyczynami jej upadku i możliwością odrodzenia jej. Ażeby zamierzony cel osiągnąć, przypisuje zupełnie dowolnie osobom, występującym w „Balladynie", takie znaczenia, jakie najlepiej nadają się autorce. A więc: Pustelnik ma być uosobieniem władzy starszyzny, Balladyna oligarchii, Kirkor wzorem szlachcica. Akcyą tragedyi kieruje dziejowa etyka słowiańska — Goplana, Grabiec, to warstwa średnia, pośrednicząca między szlachtą a ludem, wdowa, matka Balladyny, przedstawiać ma ogół szlachecki i t. d. i t. d. Trafiają się wnioski wprost humorystyczne, w rodzaju takich, jak, że „wjeżdżanie na jezioro w muszli żabiej, to życie wśród ludu, a nawet wśród szlachty—owych starych wierzeń, których przedstawicielem jest Chochlik", lub że „picie wody przez wróble oznacza w tragedyi nakarmianie się i napawanie ubogich" i t. p. Niepodobna przytaczać dalszych tego pokroju nonsensów, skoro cała książka z nich jedynie się składa. Z tego, co już przytoczono, można sobie wyrobić pojęcie o wartości całej pracy, liczącej 333 strony bredni.

Poza tem spostrzegamy jeszcze jedną rzecz, niezwykłą w pracach naukowych, a nawet w pracach, mających pretensyę do naukowości. Jest nią nieustanne wygłaszanie progra-

mów politycznych, rad i wskazówek postępowania pod adresem narodu. Że rady te warte są tyle, co rzecz sama, o tem nie potrzeba chyba zapewniać. I jeszcze jedno: autorka nienawidzi wprost wszystkich, którzy przed nią pisali o „Balladynie"; wymyśla im tedy od nieuków i t. p. epitetów. Szczególniejszą uwagę poświęca hr. Tarnowskiemu, polemizując z nim na sposób pisemek brukowych najpodlejszego gatunku. Wspomnieliśmy na wstępie o niesłychanem zarozumialstwie autorki:... „wiem, — powiada na str. 309 — że każda najmniejsza scena „Balladyny" w tem znaczeniu, jakie podaję, doczeka się jeszcze kiedyś rozbiorów świetnych, potrącających o niebo i ziemię życia naszego". Płonna nadzieja -- chyba wtedy się spełni, skoro ludzie odrzucą zdrowy rozsądek i logikę, jako rzeczy kompletnie zbędne, jak to uczyniła p. Strzetelska. Chyba wówczas tylko!...

Z.

Rapsody napoleońskie, zbiór fragmentów historycznych. Napisał *Wacław Gąsiorowski*. Nakładem księgarni polskiej we Lwowie. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903. (4-ka mała, str. 137).

Z tego zbiorku krótkich opowiadań historycznych okazuje się, że p. Gąsiorowski stanął w nich o wiele wyżej, aniżeli w długiej powieści, na tem samem tle napisanej, p. t. „Huragan". Bo podczas gdy ostatnia rzecz grzeszy niejednokrotnie pod względem kompozycyi, częstokroć nawet rozwlekłością narratorską, to tutaj przeciwnie widoczne jest usiłowanie należytego ujęcia przedmiotu. To też wszystko występuje nader plastycznie, jak gdyby żywe, przed oczyma przesuwają się marsowe oblicza żołnierzy-legionistów, co z uśmiechem na ustach i imieniem cesarza szli nawet na śmierć niechybną, oczywistą, łudząc się, że zgonem swoim wybawią ojczyznę. W ośmiu tych opowiadaniach, ograniczonych latami 1807—1814, dał autor najbardziej charakterystyczne sceny życia wojennego z wielkiej epoki napoleońskiej, umiał doskonale kilkoma rysami naszkicować myśli i pragnienia nasze w owych latach, dzielność oręża i nieustraszoną odwagę, bezprzykładne umiłowanie Najświętszej Panny i ojczyzny, wiarę wreszcie w tego boga wojny, który błysnął Polsce iskrą nadziei — zawodną. Autor potrafił jeszcze uderzyć silnie w stronę uczuciową i kiedy zachodzi potrzeba, umie wywołać w czytelniku podziw i trwogę, a zwłaszcza współczucie, czy to w ustępie o „Berku Josielowiczu", czy „Pod murami Saragossy", czyli w „Dwu szarżach" lub w „Trzech pokoleniach". Trochę tylko więcej skupienia się i lepszego opracowania pomysłów, a nie wątpimy, że i w wielkiej powieści historycznej zyska p. Gąsiorowski sukces.

wi.

Poezye Gustawa Zielińskiego. Wydanie zupełne, poprzedzone życiorysem, na podstawie listów poety skreślonym, i oceną jego działalności przez *Dra Piotra Chmielowskiego*. Toruń. 1902. Własność i wydanie rodziny. Tomów 2. (8-ka mała, str. 359 i 1 nl.; 406, kt. nl. 1).

Długo czekaliśmy na całkowity zbiór poezyi Zielińskiego, którego każdy znał bodaj czy nie tylko jako autora „Kirgiza". Ale nareszcie mamy wydanie przed sobą, wydanie tak staranne, jak tylko sobie tego życzyć można — wszak wyszło nakładem rodziny. Teraz dopiero może

przed oczyma stanąć portret duchowy poety, dziś niemal zapomnianego, który wprawdzie nie miał lotów niebosięgłych, ani górnych natchnień, ale za to talentu prawdziwego, jaki ze sobą na świat przyniósł, nie zmarnował; dał tyle, ile mu na to siły pozwoliły, niestargane ciężkiemi przejściami na Sybirze. Natura prosta, łagodna, szczera, natchnienie nawet w smutku i niedoli pogodne, staranność w wykończeniu przedmiotu, oto już i wszystko, co można powiedzieć o nim, jako o poecie. Ale słowa tego dotąd jeszcze nie powiedziano, choćby nawet należało już raz ocenić talent jego poetycki sumiennie i wszechstronnie. Bo obszerny zarys Chmielowskiego, jaki zajmuje większą część tomu pierwszego, jest tylko biografią, skreśloną na podstawie dostarczonych przez rodzinę dat, dokumentów, pamiętnika i listów poety. Z utworami, z ich oceną załatwia się Chmielowski krótko i zwięźle tak, że dał nam tylko Zielińskiego jako człowieka, jako dobrego obywatela. Ale ta biografia ułatwia znakomicie zadanie temu, kto pokusi się o odtworzenie portretu duchowego poety, daje mu bowiem w ręce niezbędny materyał warunków, otoczenia i przygód poety. Samo wydanie poezyi jest wzorowe, krytyczne. W pierwszym tomie mamy same tylko drobne utwory, w drugim poematy obszerne, a zatem: „Jana z Kępy", „Giermka", „Samobójcę", „Stepy", „Kirgiza", „Konia Beduina", „Antar", „Pokusy" i „Czarnoksiężnika Twardowskiego", oraz kilkanaście utworów tłumaczonych z Schillera, Szekspira, Danta, Voltaira, Kozłowa, Czyżowa i innych. O ile znalazły się waryanty, zamieszczone zostały także. Życzyćby tylko należało abyśmy się rychło doczekali tak pięknych wydań i innych epigonów romantyzmu naszego z połowy XIX wieku.

Z.

Grundriss der neuern deutschen Literaturgeschichte. Von *Richard M. Meyer,* Professor an der Universität Berlin. Berlin. Georg Bondi. 1902. (Str. XV i 258).

Powyższa książka jest z jednej strony uzupełnieniem znanego „Zarysu" Goedekego, sięgającego jedynie do śmierci Goethego, z drugiej zaś strony dopełnia ona bardzo chwalonej i bardzo ganionej „Historyi literatury niemieckiej XIX wieku" samego R. M. Meyera. W chronologicznym porządku zawiera spis niemieckich autorów od r. 1880 do 1900 wraz z wyliczeniem ich dzieł i podaniem ważniejszych o nich książek, broszur i czasopiśmienniczych artykułów, przyczem autor jednak zbyt często swe własne prace poleca. Doskonałą jest wstępna bibliografia ogólnych źródeł i środków pomocniczych do poznania najnowszych dziejów literatury, a zwięzłe charakterystyki odnośnych książek przydadzą się bardzo każdemu czytelnikowi i badaczowi.

J. F.

Dramat liturgiczny w Polsce średniowiecznej. Przez *St. Windakiewicza.* (Odbitka z Rozpraw wydziału filologicznego Akad. Umiej.). Kraków. 1903. Nakładem Akademii Umiej. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. (8-ka str. 19, z 2 tablicami.

Dramat liturgiczny kwitł w zachodniej Europie najobficiej w wieku XII i XIII; charakter jego był czysto kościelny, celem zaś uświetnienie nabożeństw w święta uroczyste, np. Bożego Narodzenia lub Wielkiejnocy. I u nas był on znany. Niepewne

światło, wobec braku badań nad liturgią średniowieczną, rzucało na tę kwestyę brewe Inocentego III do Henryka Kietlicza z r. 1207 o nieprzyzwoitych zabawach w kościołach katedralnych, dalej wyjątek z innego brewe papieskiego, wydanego w 23 lat później, na skargę opactwa tynieckiego, trzecia wreszcie wzmianka pochodzi z rozporządzeń synodu uniejowskiego z r. 1326 i orzeka, że pomimo zakazu z przed 100 lat, ciągle pokazywały się po kościołach i cmentarzach owe maski i co najgorsze, w czasie trwania nabożeństw. Drowi Windakiewiczowi udało się szczęśliwie odnaleźć kilka takich officyów. Pierwsze z nich znajduje się w kodeksie archiwum kapituły krakowskiej p. t. *Antiphonarium de tempore et de Sanctis*. Pochodzi ono z wieku XII i ma za przedmiot *Officium Sepulchri*, w którem przyjmowało udział siedm osób: dwaj chłopcy siedzieli w grobie, trzej zakonnicy odgrywali rolę Maryi, dwu wyobrażało apostołów: Piotra i Jana. Oprócz nich występował w uroczystości biskup, kantor i chór zakonny, akcya zaś toczyła się na przestrzeni od chóru i zakrystyi po nawę główną, gdzie stał grób, w którym Chrystusa na Wielki Piątek złożono. Officyum to grywano w katedrze krakowskiej w ciągu XII i XIII wieku. Drugie officyum tej samej treści znajduje się w kodeksie *Antiphonarium de tempore*, pochodzącym z pierwszej połowy XV wieku. Różni się ono od poprzedniego tem, że ma pełny tekst antyfon i responsoryów, które tam zaledwo były zaznaczone. W tem drugiem officyum *didascalia* sceniczne skrócono, o zakonnikach i biskupie ani słychu, w grobie jest tylko jeden chłopiec, zamiast kantora występuje całe kollegium, a tekst rozszerzono o jedną antyfonę, włożoną w usta anioła, przemawiającego do Maryi. Trzeci tekst pochodzi z końca XV w., a od poprzedniego nie różni się niczem, chyba przestawieniem lub dodatkiem kilku wyrazów. Nasze teksty są prawie identyczne z halberstadzkim i magdeburskim, musiały powstać z zaginionego pratekstu halberstadzkiego. Nie ulega wątpliwości, że po zbadaniu naszych zabytków liturgicznych z Gniezna, Tyńca, Paradyża, Płocka i t. d. zapas tych pomników powiększy się znacznie. Do pracy dołączono podobizny dwóch kart z owemi officyami. *Z.*

Přisłowa a přisłowne hrónčka a wusłowa Hornjołužiskich Serbow. Zběrał a zhromadźił *Jan Radyserb Wjela*, dorjadował a wudał *Dr. Ernst Muka*. Budyšin. 1902. Z nakładom Dra E. Muki. (8-ka mała, str. XIV i 314).

Do dwu zbiorów przysłów słowiańskich: polskiego, S. Adalberga, oraz księgi p. t. *Slovenská přislovi, pořekadla a uslovi* A. P. Zatureckiego, wydanej przez czeską Akademię umiejętności w roku 1896, przybył obecnie tom trzeci, obejmujący przysłowia górno-łużyckich Serbów. Pod wpływem zachęty Smolera zaczął nestor górnołużyckich pisarzy Jan Radyserb Wjela jeszcze przed pół wiekiem gromadzić materyały przysłowiowe. Nie pozwolił jednak sędziwy wiek dokonać całego wydania zbieraczowi, kiedy uporządkowanie przysłów wymagało sporej ilości trudu i czasu. Opracowanie materyału przypadło w udziale autorowi znakomitej *Historische und vergleichende Laut- und Formenlehre der niederserbischen Sprache*, redaktorowi czasopisma *Łužica*, Dr. E. Muce. Trudno wprawdzie zgodzić się na

podział, jaki Dr. Muka tutaj zaprowadził, bo jedyny jest ten tylko, który potrafi materyał podać w formie przejrzystej, t. j. grupując przysłowia podług słów głównych, jakie dziś zachodzą, a nie podług tego, czy pewne przysłowia są rymowane lub nie, jak to uczynił Dr. Muka. Niepodobna jednakże zaprzeczyć mu wielkiej zasługi, że tych 9125 ludowych przypowieści wydał własnym nakładem, bo Macierz Serbska nie mogła zdobyć się na potrzebny fundusz. *Z.*

Pieniądz. Powieść. *Ludwik Stasiak.* Lwów. 1902. Księgarnia polska. (8-ka, str. 214),

Z góry zaznaczam, że powieść ta, ujęta w formę pamiętnikową, jest ponad wszelki wyraz nieudolna. Autor postawił sobie za cel udowodnić na przykładzie, że pieniądz nikomu nie dał zupełnego szczęścia. Młody, utalentowany muzyk Dora marzy ciągle tylko o tem, że gdyby posiadł majątek, cała karyera jego artystyczna poprawiłaby się odrazu. Dziwnym zbiegiem okoliczności znajduje podczas pobytu na kuracyi w Żegiestowie portfel z przeszło 100 000 guldenów. Teraz już ma pieniądze, które dźwigną go z nędzy i niedostatku. Tymczasem te pieniądze właśnie przyprawiają go o zgubę. W Dorze bowiem budzi się głos sumienia, który każe mu pieniądze zwrócić. Pokusa jednak dawno pożądanego dobrobytu materyalnego była zbyt wielka, ażeby wyrzuty sumienia wpłynęły na Dorę dodatnio. Dora tłumi w sobie instynkta dobre, co szarpie mu nerwy, ale pomimo tego nie zaznał w dalszym ciągu szczęścia, bo żyje w ciągłej, choć urojonej trwodze, ażeby nie wykryto posiadanych nieprawnie przez niego pieniędzy. Znajomość zwłaszcza z komisarzem policyi budzi w Dorze nieustanny lęk. To też Dora, chcąc zmienić w kantorze notę tysiąc-reńskową, skoro tylko ujrzał przy sobie o niczem nie wiedzącego komisarza, pada rażony apopleksyą. Treść powyższa powieści traktowana jest bardzo nudnie i rozwlekle. Ponadto ów lęk Dory, ażeby nikt nie dowiedział się o znalezionych pieniądzach, niczem nieuzadniony, chyba tylko wybujałą a chorobliwą fantazyą, jest jednym z największych zasadniczych błędów powieści, a rozumowania na temat komisarza policyi, wprost dziecinne i nieprawdopodobne. Wielka ilość błędów drukarskich i haniebna forma wydania dostrajają się dobrze do całości powieści, która nie może niczego pozostawić w sercu czytelnika.

wi.

Biblioteka utworów dramatycznych. Tom I—XII. Lwów. 1902. Nakładem księgarni H. Altenberga.

Wobec ogromnej u nas nieznajomości literatur zagranicznych, a zwłaszcza najnowszych kierunków, jakie w nich panują, potrzeba takiego wydawnictwa, jak to, które rozpoczęła ruchliwa firma lwowska, była wielka. W ciągu jednego roku ukazało się dwanaście tomików, prawdziwie wartościowych pod względem treści, wydanych porządnie, z widoczną starannością. Wobec podanego wyżej założenia, słusznie uczyniono, drukując jeden tylko utwór dramatyczny oryginalny, polski, którym jest Kaweckiego „Dramat Kaliny". Z literatury starożytnej mamy tutaj jedną rzecz — Eurypidesa „Cyklopa" w tłumaczeniu Kasprowicza, z wieku XVIII Mariveaux „Igraszki trafu i miłości" w przekładzie Sarneckiego, reszta pochodzi z wieku XIX. Co

się tyczy przekładów, najlepsze wyszły, zdaniem naszem. z pod pióra Kasprowicza, który dał Grillparzera „Biada kłamcy“, R. Bracca „Pietro Caruso“ i H. Hejiermannsa „Nadzieję“. Wielkiemi zaletami odznaczają się tłumaczenia Sarneckiego, który oprócz wymienionego przedtem przekładu dał jeszcze dramat M. Maeterlincka p. t. „Monna Vanna“. W końcu należy podnieść, że tłumaczenia, z jakich dał się poznać dr. Alfred Wysocki, jedyny u nas znawca gruntowny literatur skandynawskich, a więc Björnstjerne-Björnsona *Laboremus* i Ibsena „Rycerze północy“, stoją na wyżynie swego zadania i zapowiadają w Drze Wysockim doskonałego tłumacza. Niestety — nie można oddać tych samych pochwał trzem innym przekładom, a więc Mariona „Snom pór roku“ z d'Annunzia, oraz p. Zygmunta Bytkowskiego „Intruzowi“, i „Ślepcom“ z Maeterlincka. Ostatnie dwa przekłady są bardzo liche. Ufamy, że księgarnia, która z takiem znawstwem zabrała się do rzeczy, dołoży na przyszłość starań, ażeby wszystkie tłumaczenia były utrzymane w jednakim tonie pod względem swojej wartości. *Z.*

Strofy. *Józef Nawrocki.* Lwów. 1903. Księgarnia polska. (16-ka, kt. 2 nl., str. 52, kt. 2 nlb.).

Dziwny czas nadszedł, bo rocznie wychodzi obecnie przeciętnie, najskromniej licząc, 70 tomików poezyi. Dziwne pragnienie otrzymania nazwiska poety przynajmniej w gronie najbliższych znajomych, familii i przyjaciół, zawładnęło dziś najmłodszem pokoleniem, jak ongiś balladomania za czasów romantyzmu. Nie wiemy jednak, czy z pośród tej wielkiej produkcyi 70 tomów rocznie dałoby się wybrać więcej ponad 15 (czy to nie za wiele?) takich, które posiadają wartość rzetelną. Hiperprodukcya ta na polu poezyi odbija się fatalnie na czytelnikach, którzy tracą czas na czytaniu miernot, a może niejednokrotnie też gust do czytania. Do rzędu tych, którzy za pierwszym występem skręcili kark, zlatując z pegaza poetyckiego, należy omawiany autor „Strof“. W utworach jego nie znajdzie nikt fizyognomii oryginalnej poety, któraby go odróżniała od legionu grajków tego rodzaju, ani żadnej myśli głębszej. Bo dziś nie wystarcza jakie takie opanowanie formy wiersza, która sama przez się o niczem nie stanowi. W ten sposób mnoży się tylko niepotrzebne nikomu śmiecie literackie. Lepiej siły i czas obrócić na coś pożyteczniejszego. Bo czyż tylko w poezyi można znaleźć zadowolenie i uznanie? *Z.*

Kędy milczy słońce... *Marya Kazecka.* Lwów. 1903. Księgarnia polska. Warszawa. E. Wende i Sp. (16-ka, str. 88).

„Że życie sobie fatalnie zadrwiło, robiąc to ze mnie, czem ja dzisiaj jestem,... że dało marzeń pajęczych królestwo... ale mi na to nie dało dość siły, aby je potem obrócić w nicestwo...“ to jest istotną prawdą. Bo niktby na tem nie stracił, gdyby rzeczony tomik pozostał był w tece autorki. Poza pewną biegłością w dobieraniu rymów nie można dopatrzeć się niczego dodatniego w utworach tutaj omawianych. Utwory te przedewszystkiem wywołało przejęcie się literaturą współczesną, nie talent, nie natchnienie, tak niema w nich żadnej nowej myśli, a za to dają się odczuć na każdym kroku echa głosów słyszanych gdzieindziej. Wo-

góle — dodamy nawiasowo — robienie literatury na podstawie literatury tylko rozszerza się u nas w ostatnich czasach widocznie. A przecież niepodobna zadowolić się ciągłem przetrawianiem jednej i tej samej materyi. Tło utworów p. Kazeckiej przeważnie melancholiczne, bo „w mojej duszy mgła obłędna, zastygły, zimny żal, i taki smutek jak ta ciemna... ta nieskończona dal“... A czy to jest szczere, czy poszło z głębin ducha? Wątpię, by na to kto mógł się pisać, bo żal ten i ból wyraził się w sposób oklepany, nieindywidualny. Ażeby nie mnożyć cytatów na poparcie tego, co powiedzieliśmy, że utwory p. Kazeckiej powstały z lektury poezyi najnowszej, kiedy umysł jej przyzwyczaił się do poetyzowania, wystarczy przytoczyć ustęp z innego wiersza: „Pójdziemy cisi, zadumani, pójdziemy baśnią oprzędzeni...“ a już odczuje się mimowoli spowinowacenie jego z tetmajerowskim „A kiedy będziesz moją żoną“... Nie dziw tedy, że takie przeżuwanie literatury nie mogło nadać utworom omawianym indywidualnego piętna, dało natomiast sporą dozę pretensyonalności w wyrażaniu nawet rzeczy prostych. Począwszy od banalnego, a niczem nieuzasadnionego tytułu tomiku „Kędy m i l c z y słońce...“ a kończąc niefortunnem powtarzaniem pewnych wyrazów (np. na str. 20 w utworze liczącym 16 wierszy, 10 razy wiersz zaczyna się od „że“; na str. 27, na wierszy 16 rozpoczyna się 9 od „i“; na str. 29 – 30, na wierszy 8 wszystkie rozpoczynają się słowem „większej“) oraz melodyą, jaką podano przy jednym utworze, wszystko tu pretensyonalne. Skoro do tego wszystkiego dodamy garstkę dziwolągów językowych w guście takich, jak „zaświecie“, „kołys“, snadnie wyrozumieć, co warte są utwory p. Kazeckiej.

Z.

Katechizm polskiego dziecka. Przez *Władysława Bełzę*. Wydanie trzecie, z illustracyami J. Męciny-Krzesza. Lwów. 1902. Nakładem księgarni H. Altenberga. (4-ka, kt. nl. 2, str. 31 i 1 nlb.)

Matka, 12 obrazków z maleńkiego światka skreślił *Władysław Bełza*. Wydanie trzecie z illustracyami J. Męciny-Krzesza. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga (8-ka wielka, kt. nl. 2, str. 33, kt. nl. 1).

Bajki, klechdy i baśnie. Serya pierwsza. Opracował *Jan Kasprowicz*, illustrował Stanisław Dębicki. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. (4-ka, kt. nl. 16).

Mieliśmy dosyć wydawnictw dla dzieci, ale wszystkie one niemal były przeróbkami lub tłumaczeniami powieści obcych. Pedagogii naszej lat najrańszych brakło pokarmu swojskiego. Od niedawnego dopiero czasu daje się zauważyć pewien więcej ożywiony ruch na tem polu w wymienionym kierunku. Trzecie wydanie obu książeczek p. Bełzy jest najlepszym dowodem potrzeby podobnych dziełek. Co się tyczy samego wydania, to jest ono bardzo staranne, illustracye dobre w wykonaniu, mniej dobre w koncepcyi. Naturalnie — niepodobna do wierszyków p. Bełzy przykładać tej miary, jakiej żąda się od poezyi prawdziwej. Do takiego poziomu bardzo daleko im wszystkim. Są one za to przemysłem artystycznym w lepszym gatunku, który służy pożytecznie dziatwie naszej, czy to ucząc ją obowiązków względem Boga i ojczyzny, czyli też matki. Wierszyki p. Bełzy mają, jak zazwyczaj, formę gładką i myśl przystępną dla młodego wieku czytelników.

Ostatnie z omawianych wydawnictw dla dzieci może służyć za wzór wszystkim wydawcom, jakie skarby można czerpać z klechd rodzimych. Kasprowicz, któremu powierzono opracowanie bajek, zawartych u Wójcickiego, pojął swoje zadanie doskonale. Uprościł je, spisał gwarą ludową i oczyścił z domieszek niestosownych. Na tytule widnieje napis, objaśniający, że to dopiero serya pierwsza. Oby dalsze stały na tym samym poziomie, co omawiane, a dziatwa odniesie z nich korzyść prawdziwą. Strona techniczna wydania wspaniała, może nawet zbytkowna jak na wydawnictwo dla dzieci.

wi.

Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim. *Bronisław Czarnik.* Lwów. 1902.

Tytuł mówi tu stanowczo za wiele. Po nim spodziewamy się znaleźć na kartach tej pracy przedstawioną genezę i obraz starań Ossolińskiego o utworzenie katedry języka i literatury polskiej. Zamiast tego odsyła autor czytelnika do historyi uniwersytetu lwowskiego Dra Finkla, ograniczając przedmiot swój na omówieniu instrukcyi rządowej dla profesora tego przedmiotu, a raczej głównie projektu takiejże instrukcyi, ułożonej na wezwanie rządu przez Ossolińskiego. Rząd, „okrzesawszy“ projekt Ossolińskiego, ułożył instrukcyę.

Zawód, jaki spotyka czytelnika, gdy po tak obiecującym tytule widzi przedmiot ścieśniony do tak szczupłych rozmiarów, wynagradza zapoznanie się z dokumentem tak ciekawym, jak omawiany projekt Ossolińskiego. Autor zresztą, by ciekawość czytelnika w zupełności zaspokoić, dołącza do swej pracy dotyczący projekt w całości, dodając również dla porównania przerobioną zeń instrukcyę rządową.

B.

Pamiętnik kardynała Jerzego księcia Radziwiłła z lat 1556—1575. Wydał *Teodor Wierzbowski.*

Pamiętnik ten jednej z wybitniejszych osobistości drugiej połowy XVI wieku, pomimo wysokiego społecznego stanowiska autora, nie wiele rzuca światła ani na osobistość samego twórcy ani na epokę, której wypadki kreśli. Sposób przedstawienia rzeczy nadzwyczaj przedmiotowy nie odźwierciedla zupełnie indywidualności autora. Treścią pamiętnika jest obraz stosunków i rozwój wypadków w Inflantach przed poddaniem się ich Litwie, a aż do zajęcia Parnawy przez wojska moskiewskie w r. 1575. Szczegółów nowych, dotychczasowej historyografii nieznanych autor nie podaje. Sam wydawca przyznaje szczerze, że „pamiętnik nie daje wiele i chyba zasługuje na uwagę naszą jako przyczynek do pamiętnikarskiej literatury XVI wieku, i jako nieznana dotychczas literacka praca wybitnej w dziejach i znanej osobistości“.

Nakoniec zaznaczyć należy, że tytuł „pamiętnika“ nadał tej pracy wydawca, naszem zdaniem nie zupełnie trafnie, jak to zresztą czytelnik z powyższych uwag osądzić może.

I.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

W SIÓDMYM ROKU PO ZJEŹDZIE DUCHOWIEŃSTWA W PRZEMYŚLU.

Siódmy rok upływa od chwili, w której panował ożywiony bardzo ruch katolicki, zwłaszcza między duchowieństwem. Nad całą Europą przelatywał przez parę tygodni duch, który gromadził księży na obradach, zjazdach i wiecach. Polska wzięła w tym ruchu udział do dziś dnia pamiętny: widziała pod Wawelem zgromadzone licznie duchowieństwo na obradach ściśle poufnych; równocześnie inny zastęp dążył do Przemyśla, aby w braterskiem gronie odbyć rodzinną naradę o własnych potrzebach i obowiązkach; tam powzięte uchwały, ogłoszone przez przypadek niemiły wnioskodawcom, złożyły chlubne świadectwo duchowi, który zgromadził stu kilkudziesięciu przedstawicieli duchowieństwa polskiego na poufną rozmowę. Nie wielki odstęp czasu dzielił obrady świeckiego duchowieństwa od zjazdów księży zakonnych. Widok tak ożywionego ruchu w Kościele polskim niepokoił jego nieprzyjaciół: kazał im szukać różnych dróg, aby zbadać przedmiot tylu obrad i zawczasu zapobiedz ich skutkom. Ale w tej mierze nieprzyjaciele Kościoła nie zdołali spełnić swoich zamiarów: nie wyśledzili uchwał żadnego zjazdu, prócz przemy-

skiego, a tym jednym uchwałom wykrytym nie przeszkodzili wcale nieść owoców coraz obfitszych. Oczywiście trzeba było czasu, aby ten owoc mógł dojrzeć; ale lata przeszły szczęśliwie i ostatnich kilkanaście miesięcy składało wymowne świadectwo, że zjazd przemyski posiał przez swoje uchwały ziarno bardzo wydatne. Świadectwo to, złożone w miesięczniku kościelnym pod nazwą Kroniki dyecezyi przemyskiej, przedstawia tę część Kościoła polskiego w niezaprzeczonym rozkwicie. Myśl, która natchnęła zjazd braterski przed kilku latami, przybiera postać coraz uchwytniejszą. Tam padły hasła: dziś duchowieństwo przemyskie widokiem swojej pracy nasuwa myśl o obozie pełnym życia, który bacznie śledzi najnowsze sposoby walki nieprzyjaciół i wydziera im z rąk broń nowoczesną, aby w niej ćwiczyć własne zastępy obrońców Kościoła.

KRONIKA DYECEZYI PRZEMYSKIEJ.

Wymieniony miesięcznik zachęca nas—już tem samem, że skupia w jednem miejscu opisy wszystkiego, co się w dyecezyi stało, — abyśmy śledzili w nim dzieje tej części Kościoła polskiego.

Wydawcy podzielili to pismo na dwie części, na urzędową i na nieurzędową. Urzędowa część zastępuje wydawane poprzednio z przemyskiej stolicy biskupiej dla duchowieństwa listy pasterskie i okólniki, przy których czytelnicy mogli też znaleźć ważniejsze pismo papieskie albo ustawę świecką nowo wydaną w sprawie kościelnej. Treść takich pism sucha, jakby w dzienniku urzędniczym, nie zadowolniła wydawców *Kroniki*. Widocznie dostrzegają wśród swoich czytelników ducha niezaspokojonego czysto urzędowym stosunkiem z władzami. Gorliwe duchowieństwo nie poprzestaje na spełnionym chłodno obowiązku: pragnie żyć jakby w rodzinie ze swoimi biskupami i między sobą; lubi wzajemnie udzielać i odbierać nowiny o swoich pracach, nadziejach, albo o potrzebach czy niebezpieczeństwach. Świadomi takiego nastroju ducha między czytelnikami, wydawcy nawet w części zwanej urzędową, zamieszczali wiele nowin, które każą odgadywać duchowieństwo zżyte ze sobą

w stosunkach wielkiej rodziny z papieżem na czele. Więc prócz dawnych okólników i przepisów urzędowych, duchowieństwo czyta mnóstwo odpowiedzi rzymskich na różne pytania co do obrzędów albo pracy nad duszami, znajduje nowiny o biskupach z innych stolic, dzieli ze swoim arcypasterzem jego troski, poufale zwierzone, o potrzebach katedry, spotyka życzliwe przestrogi przed niepewnemi towarzystwami, które pod ponętnym pozorem czyhają na majątek Kościoła albo duchowieństwa i t. d.

Na zażyłe stosunki między kapłaństwem całej dyecezyi wskazuje *Kronika* zwłaszcza w części nieurzędowej: tu po bratersku wydawcy czytelnikom udzielają nowin o pracach duszpasterskich, podejmowanych po części przez samych księży, po części przez obu biskupów.

Ten szczegół z *Kroniki* świadczyć może najbardziej dodatnio o jej wydawcach i czytelnikach, bo właśnie najgorliwsi księża lubią takie opisy pracy około dobra dusz i najdotkliwiej czują brak opisów podobnych. Cząstka takich szczegółów dochodzi do dzienników albo tygodników, ale tylko cząsteczka drobna. W każdym razie trudno przechowywać całe roczniki tych pism albo odcinki, aby między setkami wykrawków wyszukiwać kiedyś wypadek, opisany może nieraz piórem zbyt krasomówczem. Wobec braku dostatecznych i porządnie zbieranych nowin, właściwie księża nie wiemy jedni o drugich ani o ich pracy. Nie wiedząc o sobie, kilkunastu rozsypanych jeden po drugim staje do tej samej pracy i nie może jej podołać. Gdyby wiedzieli jedni o początku zrobionym przez drugich, wystarczyłoby trzech czy pięciu, aby wspólnie dokonać dzieła, nad którem rozbitych pięćdziesięciu zużywa siły na marne. Zewsząd słyszymy głosy o potrzebie pracy, urządzonej świadomie i zjednoczonej przewodnią myślą. Tę niezbędną potrzebę pojmuje całe duchowieństwo polskie — a w jednej dyecyzyi już zaopatrzone w właściwe do tego pismo, zasila *Kronikę* dość częstemi obrazkami pracy pasterskiej i zdaje sprawę z postępów jej na polach przeróżnych. Wglądnijmy więc w ważniejsze szczegóły w niej zawarte.

DWULECIE NA POLU PRACY BISKUPIEJ.

„Świadom trudów i cierpień kapłańskich, chcę współpracownikom moim służyć każdej chwili radą czy pomocą i razem z nimi pot wylewać...“ Te słowa brzmiały pod sklepieniami katedry przemyskiej, kiedy nowo intronizowany rządca dyecezyi rozwijał jakby program swoich rządów, przyjęty przez wszystkich radośnie. Popłynęły tygodnie i miesiące: nie osłabiły radosnej pamięci o tych słowach programu; owszem, zwiększały ją, bo każdy miesiąc i nieomal tydzień zapisywał nowy krok arcypasterza, z potem czoła stawiany, aby razem pracować z księżmi w ich trudach.

Bez zwłoki wybrał sobie sufragana, którego śmiało przedstawił światu, jako jednego z najgodniejszych, i którego wezwał przy sobie na żywot w znoju tam, gdzie „nie czekają same tylko pociechy i świetne przyjęcia i bramy tryumfalne i barwne banderye i salwy z moździerzy i sute obiady, owszem gotować się trzeba także na strumienie potu, na chmury trosk, na strzały niechęci, a nieraz na kielich goryczy...“

W parę tygodni już śpieszył ks. biskup-sufragan na pracę pasterską przy objeździe dyecezyi; zaraz po przyjeździe na każde miejsce, następnie przed bierzmowaniem i po niem, nakoniec przed odjazdem kazał uroczyście; wszędzie też katechizował dzieci przez godzinę co najmniej. Słowem, w każdym dekanacie miał po kilkadziesiąt kazań i nauk. W ciągu lata zwiedził dekanaty rudnicki i leski, w których udzielił bierzmowania z górą piętnastu tysiącom osób. W niejednem miejscu był biskup po raz pierwszy odkąd pamiętają ludzie najstarsi: sprawił taką pociechę Braciom Mniejszym w Dukli, u których na puszczy św. Jana odprawił Mszę z kazaniem; wybierzmował także 1570 osób. I znowu ruszył na objazd dekanatów miechocińskiego i leżajskiego, gdzie wybierzmował osób dwadzieścia tysięcy z górą.

Również niestrudzonych sił dowodem bywają podróże księdza biskupa-ordynaryusza, kiedy objeżdża dyecezyę. Zaczął od Sambora, gdzie po kilka razy dziennie przemawiał, wybierzmował ośmset dzieci i do dwóch tysięcy dorosłych, i przewodniczył uroczystym obchodom jubileuszu Ojca świętego. Tak samo przy objeździe dekanatu krośnieńskiego nie pozwalał sobie na

chwilę odpoczynku przy kazaniach i udzielaniu bierzmowania, do którego przystąpiło siedm z górą tysięcy osób.

Przez te przepisane prawem zwiedziny owczarni nieumęczony jeszcze arcypasterz, korzysta z każdej chwili sposobniejszej, aby stawać często, jak ojciec między dziećmi na polu ich pracy: chętnie przyjmuje od nich zaprosiny, aby módz krzepić ich wymownem słowem i w każdym czasie usłużyć im swoją pracą. Więc czy w Jaśle, czy choćby w ubogiem miasteczku jak Jaśliska, mieszkańcy zapotrzebowali ochronki dla dzieci, czy rada powiatowa krośnieńska albo mieszczanie jarosławscy wznieśli szpital, czy na Zasaniu Felicyanki pragnęły arcypasterzowi pokazać swój zakład dla seminarzystek, czy „Schronisko sług“ albo Szkoła organistów potrzebowała opieki, wszędzie przybywa arcypasterz w nadzwyczajne odwiedziny, aby zetknięty z duchowieństwem miejscowem i wybitniejszymi ludźmi wszelkich stanów oglądnąć z blizka ich stosunki i pomódz im radą.

Oprócz tych prac znalazł ks. biskup czas na jedno z dzieł niezapomnianych w dziejach Kościoła polskiego: obmyślił, przygotował i odprawił synod dyecezalny. O tem pismo nasze już mówiło.

PRACA MISYONARSKA I KATECHETYCZNA.

Wymowne słowa i niemniej wymowne przykłady wodzów prowadzą zastępy księży na obronę coraz dzielniejszą stanowisk, zagrożonych przez wrogów Kościoła. Księża przemyscy w tej mierze, zarówno jak na innych polach, świecili już dawno dobrym przykładem, zwłaszcza odkąd założyli między sobą związek *Boni Pastoris*, aby zaspakajać duchowne potrzeby tak własne, jak i wiernych. Walny zjazd członków jednomyślnie uchwalił wniosek swojego wówczas rektora a dziś arcypasterza: postanowił mianowicie urządzać ludowe misye kolejno w każdej parafii i to w odstępach czasu niedługich. Zwiększonym liczbom misyi nie mogliby nadołać zakonnicy; nie przeoczył tego zjazd, ale zaraz przy powyższej uchwale postanowił także utworzyć związek misyonarzy z grona księży świeckich. Obie części tej uchwały przyszły do skutku: wzrosła tym sposobem liczba ludowych misyi i rekolekcyi. Po-

wstała nadto myśl nowa, a bardzo zbawienna w następstwach: prócz misyonarzy, — bądź świeckich bądź zakonnych, — także biskupi kilka razy przyjmowali zaprosiny do udziału w misyach: bądź przemawiali sami, bądź odprawiali nabożeństwa i bierzmowali. Ożywiony tedy ruch misyjny doszedł do rozmiarów niebywałych poprzednio: w ciągu dwulecia na siedmdziesięciu kilku miejscach dyecezyi przemyskiej odprawili misye albo rekolekcye księża: Redemptoryści (22 razy), Jezuici (20), świeccy (17), ze zakonów św. Franciszka (9); do spowiedzi przystąpiło około 150 000 wiernych, do bractw kościelnych trzydzieści kilka tysięcy. Zaznaczyć wypada, że przeważną część wydatków na tyle misyi pokryli sami księża parafialni.

Nową także myśl poruszył zjazd księży dziekanów, odbyty pod przewodnictwem arcypasterza: zwrócił uwagę na brak katechizacyi w wioskach polsko-ruskich, znaczniej oddalonych od kościoła łacińskiego. Mieszkańcy tych wsi Polacy nie posyłali dzieci na naukę katechizmu do kościołów, zadowoleni tem, że nauczą je odmawiać pacierz. Z tej przyczyny pokolenie młodsze jedno po drugiem dziczało, pozbawione dokładnej nauki prawd wiary. Aby złemu zaradzić, zjazd wspomniany popierał myśl, że zakonnice katechetki mogłyby objeżdżać opuszczone wsie i nauczać lud, a zwłaszcza młodzież.

Pierwsze kroki w tej mierze przypadły w udziale Służebnicom Serca Jezusowego i dowiodły, że już była wielka pora do pracy tego rodzaju. Katechetki zaczęły od Bryliniec, gdzie znalazły lud zupełnie już nieczuły na ich prośby, żeby przysyłał im dzieci na naukę. Ledwie znalazły pięcioro dzieci, dla których nie mogły pozostawać w miejscu, gdzie widziały dokoła siebie niechętnych. Szukały tedy gościny w sąsiednich Roszycach, gdzie zgromadziły przy sobie blizko czterdzieścioro dzieci miejscowych i przygotowały je wraz z kilku brylińskiemi do pierwszej spowiedzi. Drugim jeszcze zawrotem zaglądnęły do Bryliniec, ale ponownie doznały zawodu.

Z większem szczęściem w innych wsiach prosiły rodziców o dzieci do nauki; obchodziły różne niedostępne miejca w ciągu

tylko letnich miesięcy, a uzbierały niespełna trzysta dzieci, które przygotowały do sakramentów świętych.

Zwrócić tu można uwagę, że ksiądz biskup Pelczar pokrywa z własnej kieszeni wszystke wydatki na powyższą pracę katechetyczną, zarówno jak łoży tysiące na kilkanaście zakładów i dzieł apostolskich, do których dał popęd w dyecezyi.

Tak użyte dochody z biskupich majątków wytrącają broń z ręku nawet takim wrogom Kościoła, jakich każdy biskup znajduje w socyalistach. Stąd też można zrozumieć, dlaczego czerwone pisma tylko wcale niezgrabnie umieją napadać na osobę księdza biskupa Pelczara, chociaż widocznie szukają sposobu do zemsty za to, iż na obszarze jego dyecezyi w ogniskach swojej pracy mają wiele przeszkód ze strony duchowieństwa całego, czy to rozsypanego po wioskach podgórskich, czy też skupionego przy arcypasterzu w jego stolicy.

WALKA PRZECIW SOCYALISTOM POD CHORĄGWIĄ DEMOKRACYI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Hasło pracy społecznej, wydane w Rzymie dla katolików, znalazło w przemyskiej dyecezyi duchowieństwo ochotne do walki przeciw samolubstwu liberałów zarówno jak przeciw przewrotowej pracy socyalistów. Na czele duchowieństwa w tej walce stanął ich arcypasterz od chwili, kiedy w dzień intronizacyi wezwał za sobą „na szerokie pole prac i nędz społecznych, na którem w wieku XX-m główna rozegra się walka". W kilka tygodni arcypasterz wydał w *Kronice* wykład wskazówek i przestróg zawartych w encyklice *Graves* i zakończył swoje uwagi słowami: „Wszystkie te wskazówki i przestrogi polecamy bacznej uwadze Wielebnego Duchowieństwa. Zastanowimy się nad niemi bliżej na kongregacyi księży dziekanów i na synodzie dyecezalnym". W tym samym zeszycie wyszła rozprawka z teologii moralnej w sprawie spowiedzi socyalisty.

Niedługo potem doszedł do skutku zjazd dziekański, na którym akcya katolicko-społeczna wystąpiła jako przedmiot szczególnej troski i poważnych narad. „Dziś — mówił arcypasterz — nie wolno nam zamknąć się w kościele, ale trzeba wychodzić na różne pola życia religijnego i społecznego i w różny

sposób ciągnąć ludzi do Boga. Kapłan, a szczególniej pasterz z powołania swego jest ojcem ubogich, opiekunem sierót, przyjacielem opuszczonych. W każdej parafii potrzeba ogniska religijno-społecznego, zdolnego ratować nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju, pod sterem miejscowego proboszcza... Sprawę tę polecam rozwadze księży i proszę poddać ją dyskusyi na tegorocznych kongregacyach dekanalnych".

Mógł ksiądz biskup wzywać za sobą duchowieństwo do chrześcijańskiej pracy demokratycznej, bo do niej przyłożył ręku sam od kilku lat i nie przestaje czynnie w niej brać udziału na stanowisku arcypasterskiem. Nie szczędził, — już temu czwarty rok, — zabiegów, aby w Przemyślu zebrać robotników katolickich w związku „Przyjaźń". Związek ten dość silny i liczny w początkach, rósł powolnie, bo nie posiadał własnego ogniska. Również brak stosownego przytuliska przeszkadzał do rozwoju związkowi młodzieży rzemieślniczej imienia Tadeusza Kościuszki. Aby tym brakom zaradzić, arcypasterz wydał kilkadziesiąt tysięcy koron na dom wygodny, przeznaczony na użytek katolickich związków ludowych. Nadszedł dzień, w którym ksiądz biskup mógł już gotowy dom poświęcić, oddać pod opiekę świętego Józefa i otworzyć dla Przyjaźni i Towarzystwa Kościuszki. Cały Przemyśl robotniczy z przedstawicielami władz duchownych i świeckich otoczył w tym dniu swojego biskupa; z muzyką szli za nim z katedry do domu świętego Józefa członkowie „Gwiazdy", Bractwo Kolejarzy, Weterani, Straż pożarna ochotnicza, Przyjaźń, Towarzystwo Kościuszki i tłumy wiernych. Uroczystym obrzędem biskup poświęcił dom i w dłuższej przemowie śmiało i bez ogródek wezwał zwłaszcza dostojników i zamożnych mieszczan pod chrześcijańską chorągiew demokratyczną. Z gorącego serca płynęły słowa zachęty, aby wszystkie stany popierały duchowieństwo w pracy podług myśli Ojca świętego. Słowa takie ośmieliły prezesa Przyjaźni a po nim prezesa Towarzystwa Kościuszki do odpowiedzi, w której obaj zapewniali swojego arcypasterza, że jego troska o dobro upośledzonych długo zostanie głęboko wyryta w ich sercach.

STANOWISKO DUCHOWIEŃSTWA WOBEC USTAWY SZKOLNEJ.

Troska o szkołę wśród duchowieństwa przebija bardzo często i bardzo silnie we wielu ustępach *Kroniki*. Wystarczą te ustępy, aby przekonać, jak niesłusznie jeden z posłów do Sejmu przed niedawnym czasem ogólnie podniósł zarzut, jakoby duchowieństwo niedość dbało o szkołę. Od pierwszego zjazdu dziekańskiego w Przemyślu ksiądz biskup Pelczar odbył nad tą sprawą obrady bardzo dokładne; zaraz zapadło na tym zjeździe wiele wniosków, przyjętych następnie przez księdza biskupa do księgi praw dyecezyalnych. Uchwały te naprzód zatwierdziły ścisły obowiązek proboszczów, żeby albo osobiście uczyli religii we wszystkich szkołach, albo ściśle dopilnowywali swoich zastępców, czy to księży wikarych, czy w ostatecznym razie świeckich nauczycieli, upoważnionych do tego imiennie przez księdza biskupa. Następnie wnioski dotyczyły nadzoru, wykonywanego nad nauką zastępców przez proboszczy w pierwszej mierze, a dalej przez księży, osobno zamianowanych na każdy dekanat. Uchwały dalsze wnikają we wszystkie szczegóły istotne nauki: w jej rozkład na każdą szkołę, w dzienniki z wykładów w każdej godzinie, w sprawozdawczą pracę nadzorców i t. d. Po tych uchwałach zjazdu dziekanów *Kronika* zaraz w najbliższym zeszycie umieściła rozprawę — wagi pierwszorzędnej — o nadzorze nauki religii w szkołach. O tej rozprawie przedewszystkiem — jeżeli nie o wszystkich zupełnie pracach, umieszczanych w *Kronice* o tym przedmiocie — powiedzieć można krótko, że nic lepszego dla księży katechetów nie możnaby zrobić, jak odbić to wszystko w osobnej książeczce i rozesłać po wszystkich bez wyjątku parafiach.

Streszczać tyle prac i rozpraw tu niemożliwa, ale przynajmniej wypada przedstawić wytyczną ich myśl. Ustawa świecka posiada trzy ustępy, które dosłownie zrozumiane mówią, że Kościołowi jako takiemu państwo wolnomyślne odmówiło nanaczelnego przewodnictwa i prawa nadzorczego nad dziełem wychowawczem i nauką szkolną i zostawiło mu jedynie przewodnictwo i nadzór bezpośredni nad młodzieżą w nauce religii i w obowiązkach z religią połączonych.

Otóż władza świecka w państwie rakuskiem rozmaicie i nieraz sprzecznie wykłada powyższe ustawy w różnych czasach i miejscach; wydaje nieraz przypisy, których mocą bierze w swoje ręce cały ster i wyłączny nadzór nad nauką religii i jej obowiązkami albo, co najwyżej, przyznaje władzy duchownej głos tylko doradczy. W polskim kraju władza szkolna często przychylnie dla Kościoła stosuje owe ustawy, ale to nas uspokoić nie zdoła i nie mówi, co nam jutro przyniesie, bo państwo czuwa na każdym kroku, aby naukę religii i jej obowiązki zatrzymywać pod własnym nadzorem zwierzchniczym, na włos nie odstępuje od swojego wykładu ustawy i wydaje w swoim duchu przypisy w sprawach religijnych: stąd płynie obawa, że ta sama władza krajowa, której członkowie dzisiejsi rozumieją ustawę przychylnie dla Kościoła, wystąpi z nim do otwartej walki, kiedy wiatr powieje z innej strony. Otóż nie wolno nam przystać na wykład ustaw niezgodny z prawem Kościoła, i stąd płynie obowiązek, żebyśmy przeciw takiemu wykładowi występowali odważnie i żądali zawsze, wszędzie i stanowczo należnego dla Kościoła wpływu na szkołę.

Słowa te w *Kronice* nie brzmią jak pusty wykrzyknik, ale stanowią żywe hasło do walki o szkołę. Za tem hasłem idą w *Kronice* od czasu do czasu rozprawy o stanowisku i obowiązkach duszpasterza w Radzie szkolnej miejscowej, o stosunku duszpasterzy do nauczycieli i tym podobne. Rozprawy te okazują, że duchowieństwo polskie posiada prócz nauki, także dużo odwagi, aby iść na przeprawę nieraz niebezpieczną w obronie Kościoła. Niejeden ustęp *Kroniki,* zwłaszcza w sprawie szkolnej, może iść o lepsze z występami księży posłów we wiedeńskiej Izbie poselskiej, nawet księdza Pastora albo kanonika Komorowskiego.

Wobec takiej postawy duchowieństwa w Polsce można zrozumieć, czemu stronnictwa przewrotowe nie tyle odniosły zwycięstw, ile ich mogły oczekiwać po swoich wysiłkach; nie bez przyczyny pałają taką żądzą zemsty za przeszkody, doznawane ze strony Kościoła polskiego.

Ks. K. Czaykowski.

Wyniki ostatniego popisu ludności w Austryi z dnia 31 grudnia r. 1900.

(Z szczególnem uwzględnieniem Galicyi, Śląska i Bukowiny).

W blizko dwa lata po popisie ludności c. k. Centralna Komisya statystyczna wydała pierwszy zeszyt wyników. Poprawmy się natychmiast, nie krzywdźmy c. k. Komisyi, albowiem już kilka upłynęło miesięcy, odkąd ukazał się pierwszy zeszyt wyników popisu bydła, dokonanego razem z popisem ludności. A więc praca c. k. Komisyi nie z taką postępuje mitręgą, jakby zdawać się mogło temu, kto wie o popisie tylko ludności. Mimo to wolno zapytać: kiedyż c. k. Komisya myśli skończyć swą pracę? — będzieżli to jeszcze przed nowym popisem ludności i bydła w roku 1910? Pytanie to zakrawa na drwiny, a jednak można zadać je i sobie i c. k. Komisyi całkiem poważnie. Prosimy zważyć, że ten pierwszy zeszyt wyników popisu ludności, obejmujący nieco nad 31 arkuszy druku, to dopiero początek ogromnego dzieła, którego rozdziałów zapowiedź sama zajmuje ćwierć arkusza druku. Rozdziałów tych ma być 59, a zeszyt pierwszy ułatwia się tylko z dwoma. Rozumie się samo przez się, że nie wszystkie rozdziały będą tej samej objętości co te dwa zeszytu pierwszego; mimo to lękamy się takiego opóźnienia publikacyi, że straci wartość aktualną, a będzie miała wartość tylko historyczną. Oprócz tego zapowiada c. k. Komisya wydanie „Słownika gmin“, który wstąpi w miejsce wydawanych dotychczas repertoryów miejscowości, a który ma zawierać wielką rozmaitość dat, odnoszących się do każdej gminy zosobna. Ten „Słownik“ będzie może — bo mógłby być — najcenniejszą z publikacyj Centralnej Komisyi statystycznej; ale na to, żeby zastąpił dawne repertorya miejscowości, szkoda go będzie; słownik taki powinien służyć nie tyle celom biurowym, ile raczej powszechnie informacyjnym; powinien też mieć zakrój naukowy.

Wracając do pierwszego zeszytu wyników popisu ludności, aby podać zeń i zużytkować to, co nas najwięcej obchodzi, nadmieniamy, że statystyka „austryacka“ obejmuje ten tylko obszar Monarchii, który cieszy się szczególniejszą urzędową nazwą „królestw i krajów reprezentowanych w Radzie państwa“; a prosimy o wybaczenie, że na ziemie polskie zaboru austryackiego w braku innej krótkiej i utartej nazwy zachowujemy wstrętną i śmieszną urzędową nazwę „Galicya“,

która w tej jednowyrazowej formie zupełnie już wyparła dawniejszą nazwę „Galicya z Krakowem".

I. Zaludnienie krajów i niektórych miejscowości.

Popis ludności wedle stanu z dnia 31 grudnia r. 1900 (o północy) w wszystkich krajach Austryi w powyższem tej nazwy określeniu wykazuje 26 150 708 dusz, w którejto sumie mieszczą się wszystkie osoby obecne stanu cywilnego i wojskowego, mające czy nie mające praw obywatelstwa austryackiego; nie są zaś objęte nią osoby z prawem obywatelstwa austryackiego przebywające za granicami Austryi. Do zagranicy należą nietylko Włochy, Rzesza niemiecka, Francya, Turcya i t. d., lecz także Węgry wraz z Chorwacyą, jako też Bośnia i Hercegowina. Nie wiemy, jak ustawa popisowa reguluje sprawę co do osób znajdujących się w chwili popisu na pełnem morzu, ale na statkach austryackich, tudzież co do tych, którzy z urzędu wysłani są za granicę, jak np. co do wojska okupacyjnego w Bośni i Hercegowinie, lub co do personalu w służbie dyplomatycznej; zdaje się, że wcale spora liczba Austryaków, i to najdzielniejszych, najbardziej austryackich, jest wykluczona z „ludności" austryackiej. Nie mając ustawy popisowej pod ręką, nie możemy jej krytykować szczegółowo; w ogólności zaś powiedzieć można, że jest to ustawa wcale nie wzorowa, o czem przekonamy się też poniżej, gdzie o języku będzie mowa.

Najdawniejszy popis ludności austryackiej, cytowany jako wiarogodny w teraźniejszych publikacyach statystycznych, jest z początku roku 1818. Otóż na tym samym obszarze, do którego odnosi się popis z r. 1900, obejmującym 300 008 [1] kilometrów kwadratowych, w roku 1818 naliczono 13 380 640 dusz ludności. W porównaniu z tą liczbą liczba 26 150 708 dusz z roku 1900 oznacza niemal zdwojenie się ludności w 73 latach. Ściśle atoli dwu tych liczb porównywać nie można; albowiem zasady i sposób popisu były w r. 1818 inne, niż w r. 1900, a nadto o roku 1818 wiadomo, że popis nie obejmował wojska. Dopiero od chwili wydania ustawy z dnia 29 marca r. 1869

[1] *Oesterreichisches Statistisches Handbuch* z r. 1901, także publikacya c. k. Centralnej Komisyi statystycznej, treścią swą nieraz wyprzedzająca rok swego tytułu, powiada, że na początku roku 1902 obszar Austryi wynosił 300 011 km^2, nie mówiąc, skąd ten przyrost o 3 km^2 się wziął. Dolna Austrya ma przyrostu statystycznego 1 km^2, Galicya 4 km^2, Istrya zaś i Bukowina ubytku po 1 km^2. W pracy naszej trzymać się będziemy dat dawniejszych, zwłaszcza gdy różnice znaczą tyle co nic.

popisy dzieją się wedle jednakowych zasad, z wyjątkiem dochodzeń językowych, które zaprowadzono dopiero w r. 1880. Pierwszy popis wedle tej ustawy odbył się dnia 31 grudnia r. 1869, drugi w jedenaście lat potem, t. j. dnia 31 grudnia roku 1880; odtąd czynność popisowa odbywa się co dziesięć lat. Ogólne wyniki tych popisów są:

W końcu roku	było ludności	przyrost wynosił	
1869	20 394 980 dusz	—	—
1880	22 144 244 „	1 749 264 dusz	= 8·58%
1890	23 895 413 „	1 751 169 „	= 7·91 „
1900	26 150 708 „	2 255 295 „	= 9·44 „

w któremto zestawieniu przyrost okresu drugiego (1880—1890) jest tylko pozornie mniejszy od przyrostu okresu pierwszego; trzeba bowiem zachować na pamięci, że okres pierwszy obejmuje lat jedenaście, drugi już tylko dziesięć. Cały przyrost od roku 1869 do roku 1900, t. j. w 31 latach, wynosi 5 755 728 dusz, czyli 28·22%. Jest to rezultat bardzo pomyślny. Przeciętna nasiedziałość ludności była (w liczbach zaokrąglonych): w r. 1869 68 dusz, w r. 1880 74, w r. 1890 80, w r. 1900 87 dusz na kilometr kwadratowy.

Przechodząc od dat ogólnych szczegółowo do Galicyi, uwzględnimy zarazem Śląsk i Bukowinę już dla tego, że w tem zestawieniu jest pewna charakterystyka. Oto daty:

W końcu roku	było ludności wogóle	na km^2	przyrost ogólny wynosił	
	w Galicyi (obszar 78 492 km^2)			
1880	5 958 907 dusz	76	—	—
1890	6 607 816 „	84	648 909 dusz	= 10·89%
1900	7 315 939 „	93	708 123 „	= 10·72 „
	na Śląsku (obszar 5 147 km^2)			
1880	565 475 „	109	—	—
1890	605 649 „	118	40 174 „	= 7·10 „
1900	680 422 „	132	74 773 „	= 12·34 „
	na Bukowinie (obszar 10 442 km^2)			
1880	571 671 „	55	—	—
1890	646 591 „	62	74 920 „	= 13·11 „
1900	730 195 „	70	83 604 „	= 12·93 „

Gdy pominiemy Dolną Austryę, która na swym małym obszarze 19 823 km^2 ma (w końcu r. 1900) ludności 3 100 493 dusz, czyli 156 na 1 km^2, co pochodzi ztąd, że sam Wiedeń na 178 km^2 ma 1 674 957 dusz, wtedy ujrzymy Śląsk na samem czele krajów austryackich pod względem zaludnienia. Po Śląsku idą Czechy (121 dusz na 1 km^2), dalej Morawa (110) i Pomorze austryackie (95), które atoli także nie

może wchodzić w porównanie, bo na stósunkowo szczupłym obszarze ma wielkie miasto Tryest. Tuż po Pomorzu idzie Galicya, która przeto bardzo wydatne jeszcze zajmuje miejsce. Bukowina następuje tuż po Galicyi, ale z swoją liczbą 70 dusz na 1 km^2 staje już poniżej średnicy z całej Austryi, t. j. poniżej 87 dusz na kilometr kwadratowy. Najmniej nasiedziała jest ludność w Karyntyi (35), w Tyrolu (32) i w Salcburgu (27).

Pod względem przyrostu ludności znowu Dolna Austrya dla chorobliwego rozwoju Wiednia nie może służyć do porównania. Hypertrofia miast wogóle, a szczególniej miast głównych i stołecznych, zachodzi wprawdzie w innych także krajach, ale nie w takim stopniu i nie tak wydatnie, jak w Dolnej Austryi. Otóż gdy pominiemy ten kraj, ujrzymy największy przyrost od r. 1880 najprzód na Bukowinie, potem w Dalmacyi, następnie w Galicyi, tuż potem na Śląsku. Na całą Austryę przyrost ostatnich 20 lat wynosi 4 006 464 dusz, czyli 18·09 %, na Bukowinie zaś 158 524 = 27·73 %, w Dalmacyi 117 683 = 24·72 %, w Galicyi 1 357 032 = 22·77 %, na Śląsku 114 947 = 20·33 %; ale podczas gdy Bukowina, a więcej jeszcze Dalmacya potrzebuje znacznego przyrostu, aby dojść średniego zaludnienia, Galicya już stoi ponad średnicą, a Śląsk jeszcze wyżej niż Galicya.

Na przyrost lub ubytek ludności składają się dwie liczby różnorodne, mianowicie: różnica między liczbą noworodków (ściślej: żyworodków, bo martworodki nie wchodzą w rachubę) a liczbą osób zmarłych i różnica między odpływem a napływem w ruchu migracyjnym. Tamtę różnicę (między noworodkami a zmarłymi) można nazwać przychowkiem, bo zazwyczaj więcej osób się rodzi, niż umiera; na drugą z wymienionych różnic niema innej nazwy jak przybytek lub ubytek z ruchu migracyjnego. Cała Austrya miała w przedostatnim okresie popisowym (od roku 1880 do roku 1890) przychowku 1 950 678 dusz, w ostatnim zaś 2 653 736, czyli w 20 latach razem 4 604 414 dusz; z ruchu migracyjnego atoli wypada w okresie przedostatnim ubytek 200 585 dusz, w ostatnim 398 441, razem przeto 599 026 dusz, tak, że faktyczny przyrost ludności w 20 latach wynosi tylko 4 005 388 dusz [1]. Jeżeli liczby odnoszące się do ruchu migra-

[1] Liczba ta nie zgadza się z liczbą 4 006 464 dusz, którą z innej tabeli otrzymaliśmy w poprzednim ustępie. Ta niezgodność co do całej Austryi jest niewielka, ale w statystyce żadnych niezgodności być nie powinno pod grozą zdyskredytowania. A cóż powiedzieć, gdy co do samej Galicyi wykryjemy niezgodność absolutnie i stosunkowo o wiele większą?

cyjnego są jako tako ścisłe, choćby tylko w przybliżeniu, wtedy zasługiwałby z wszech miar na uwagę fakt, że w ostatnim okresie popisowym w porównaniu z przedostatnim zdwoiła się ujemna różnica między napływem do Austryi a odpływem poza jej granice, skoro z 200 585 podskoczyła na 398 441 osób. W okresie od r. 1880 do r. 1890 różnica ta wynosiła w przecięciu rocznie 87 osób na 100 000 ludności, w okresie od r. 1890 do r. 1900 zaś 159 osób.

Podane codopiero liczby przychowku na całą Austryę stanowią w przecięciu rocznie 0·85% ludności w okresie przedostatnim, a 1·06% w okresie ostatnim, co znaczy, że albo bardzo znacznie zmniejszyła się śmiertelność, albo wzmaga się płodność, albo też jedno z drugiem idzie w parze; i temuto — jeśli tylko liczby prawdziwe! — zawdzięcza Austrya znamienity przyrost ludności mimo ujemnego rezultatu ruchu migracyjnego. Przypatrzmy się, jak pod tym względem mają się rzeczy w poszczególnych krajach austryackich.

Dolna Austrya miała w okresie przedostatnim przychowku 160 349 dusz, t. j. w przecięciu rocznie 0·64% ludności, w ostatnim 253 287 dusz, czyli 0·88%. W ten ogromny skok trudno uwierzyć; wyznajemy, że jest to jeden z momentów ważniejszych, które podają nam wartość statystyki w wątpliwość, nawet mimo stępla *c.-k.* Okoliczności wpływające na zdrowotność nie były ani w Wiedniu, ani w całej Dolnej Austryi przed 20 i 15 laty tak haniebnie złe, żeby nagle tak poprawić się i śmiertelność zmniejszyć mogły; a co się tyczy płodności, Wiedeń i nawet chłopstwo dolno-austryackie są dziś więcej zfrancuziałe, niż przed 10 laty; „system dwojga dzieci“ rozpowszechnia się tu coraz więcej. Łatwiejby uwierzyć, że przychowek zmniejszył się w Dolnej Austryi, niż że tak poprostu niesłychanie podskoczył. Przeciwnie co do przybytku z ruchu migracyjnego wypada z dat statystyki urzędowej na ostatnie dziesięciolecie obniżka stosunkowa, choć nie absolutna. Mianowicie wynosił przybytek Dolnej Austryi w dziesięcioleciu przedostatniem 170 829 głów, t. j. w przecięciu rocznie 684 na 100 000 ludności, w ostatniem zaś 185 407 głów, t. j. 644 na 100 000, którato obniżka wydaje się nieprawdopodobną, bo właśnie w tym okresie napływ do Dolnej Austryi, głównie do Wiednia, który i tak już ciągle się wzmagał, otrzymał silny bodziec przez ogromne budowle publiczne i prywatne, na które wydano wiele setek milionów, a z tego nadzwyczajnego napływu pozostał spory osad w Wiedniu i w okolicach. Gdybyśmy przyjęli liczby statystyki urzędowej bez krytyki, otrzymalibyśmy na całe 20 lat od końca r. 1880 przyrostu dla Dolnej

Austryi przez przychowek 413 636 głów = 17·75 %, przez przybytek 356 236 = 15·28 %, czyli razem 769 872 głów = 33·03 %.

Oprócz Dolnej Austryi ma tylko jeszcze mały krajik Salcburgia stały przybytek z ruchu migracyjnego; Tyrol z Arulanią (Vorarlberg) miał ubytek w przedostatniem dziesięcioleciu, ma zaś przybytek w ostatniem; wszystkie inne kraje mają stały ubytek. W trzech krajach, które dla uwydatnienia różnic powyżej już zestawiliśmy razem, stósunki co do naturalnego przychowku i co do ubytku z ruchu migracyjnego były następujące:

				w Galicyi wynosił				
od 1880	do 1890	przychow.	710 240 [1]	głów	=	w przeć. roczn.	1·13%	ludności
„ 1890	„ 1900	„	1 010 826	„	=	„ „	1·45 „	„
„ 1880	„ 1890	ubytek	67 460 [1]	„	=	„ „	107 „	na 100 000
„ 1890	„ 1900	„	302 703	„	=	„ „	435 „	„ „
				na Śląsku				
„ 1880	„ 1890	przychow.	47 101	„	=	„ „	0·80%	ludności
„ 1890	„ 1900	„	75 321	„	=	„ „	1·17 „	„
„ 1880	„ 1890	ubytek	6 927	„	=	„ „	118 „	na 100 000
„ 1890	„ 1900	„	548	„	=	„ „	9 „	„ „
				na Bukowinie				
„ 1880	„ 1890	przychow.	75 704	„	=	„ „	1·24%	ludności
„ 1890	„ 1900	„	97 248	„	=	„ „	1·41 „	„
„ 1880	„ 1890	ubytek	784	„	=	„ „	13 „	na 100 000
„ 1890	„ 1900	„	13 644	„	=	„ „	198 „	„ „

W stosunkach tych uderza znowu ogromny skok przychowku w wszystkich trzech krajach — najoczywistszy dowód wzmagającej się płodności, z której możnaby dalej wywnioskować wzmagający się dobrobyt, wzmagającą się zdrowotność, wzmagającą się moralność i t. d.; my jednak wolimy ten tak oczywisty dowód poczytać poprostu za złudny, polegający na błędach popełnionych w popisie z roku 1900,

[1] Przychowek naturalny 710 240 głów po strąceniu ubytku migracyjnego 67 460 głów wydaje dla Galicyi na dziesięciolecie przyrost 642 780 głów. Tę też liczbę ma urzędowa publikacya statystyczna na str. XVIII. Powyżej atoli, gdzie jest mowa o przyroście wogóle, t. j. bez względu na przychowek i ubytek lub przybytek, poznaliśmy go w liczbie 648 909 głów, t. j. o 6 129 głów większej, a to na podstawie dat podanych na str. XVI tejże publikacyi. Ta niezgodność jest jeszcze więcej rażąca od tej, którą co do całej Austryi wykryliśmy w przypisku poprzednim. Gdy z przychowku obu okresów, 1 721 066 dusz, strącimy ubytek obu okresów, 370 162 dusz, otrzymamy przyrost ludności od r. 1880 w liczbie 1 350 903, podczas gdy powyżej poznaliśmy go w liczbie 1 357 032 dusz.

albo w poprzednich [1]. Uderza także ogromny skok ubytku przez emigracyę z Galicyi i z Bukowiny, podczas gdy na Śląsku emigracya prawie zupełnie ustała. Emigracya z Galicyi jest i absolutnie i stosunkowo największa. Ale liczby odnoszące się do ruchu migracyjnego zyskuje się nie z jakowychś ksiąg na wzór metryk, lecz tylko sposobem rachunkowym; a ponieważ do rachunku wchodzą liczby ludności popisanej teraz i dawniej, tudzież liczba noworodków i liczba osób zmarłych, przeto każdy błąd w tych różnorakich liczbach odbija się na rezultacie rachunku, t. j. właśnie na liczbie przybytku lub ubytku z ruchu migracyjnego. Stwierdzona skądinąd tłumna emigracya z Galicyi może tedy jest jeszcze większa, z innych krajów może mniejsza, niż ją podaje statystyka urzędowa. Czechy i Morawa żyją w mniej więcej jednakowych warunkach, a statystyka podaje nam do uwierzenia liczby takie: Czechy miały w okresie od r. 1880 do r. 1890 191 378 głów ubytku z ruchu migracyjnego, a więc w przecięciu rocznie 336 głów na 100 000 mieszkańców, Morawa miała w tymże okresie 53 421 głów ubytku, t. j. 241 na 100 000; w ostatniem zaś dziesięcioleciu ubytek Czech zeszedł na 121 244, czyli 199 głów na 100 000 mieszkańców, na Morawie podskoczył na 75 581, czyli 321 głów na

---

[1] Podczas studyów nad materyałami do rzeczy niniejszej autor zwrócił się był do c. k. Komisyi statystycznej z przedstawieniem szeregu błędów przez siebie wykrytych i z prośbą o objaśnienie lub sprostowanie. Na odpowiedź długo czekał, a doczekać się jej nie mogąc, napisał rzecz swą i wysłał *Przeglądowi*. Nakoniec jednak odpowiedź nadeszła, datowana z dnia 8 grudnia r. z. p. l. 17 408. W niej c. k. Komisya statystyczna prostuje jeden tylko błąd (odnoszący się do żydów bukowińskich), a przyznając się do innych także, mówi, że pochodzą z błędów zachodzących już w publikacyi wyników popisu ludności z r. 1890 i że sprostować ich nie może. Co do innych jeszcze, przyrzeka dodać do następnego zeszytu publikacyj swych komunikat prostujący. Z owego sprostowania (co do żydów bukowińskich) korzystamy w drugiej połowie rzeczy niniejszej, która będzie pomieszczona w marcowym zeszycie *Przeglądu*. Co się tyczy błędów ciągnących się już od r. 1890, nadmieniamy, że przed dziesięcioma laty publikacye c. k. Komisyi statystycznej o wyniku popisu ludności wychodziły pod kierownictwem dra Henryka Rauchberga, który dziś jest profesorem uniwersytetu niemieckiego w Pradze, a jako „powaga“ w dziedzinie statystyki, napisał świeżo rozprawę statystyczno-polityczną na podstawie wyników popisu ludności z r. 1900, w której niepojętym zaiste sposobem dochodzi do rezultatu, że „stanowisko Niemców w Czechach powinno być osią wewnętrznej polityki Austryi“. Ta konkluzya jest tyle warta, co praca jego w c. k. Komisyi statystycznej przed dziesięcioma laty.

100 000. Ten więc odwrotny stosunek między tak blizko pokrewnymi pod każdym względem krajami niezawodnie z rzeczywistością się nie zgadza. Albo porównajmy Morawę z Śląskiem, dwa kraje, między którymi granica tak jest niewyraźna, iż z faktem tym liczyć się musi nawet administracya polityczna, kraje także w wysokim stopniu pokrewne. Morawskiej liczbie z okresu przedostatniego, tj. 53 421 głów = 241 na 100 000, ma odpowiadać ubytek Śląska w liczbie 6927 głów = 118 na 100 000, a podczas gdy liczba morawska w okresie następnym podnosi się do 75 581 głów = 321 na 100 000, ubytek śląski obniża się na 548 głów = 9 na 100 000 mieszkańców. Mamy tu znowu stosunek odwrotny, i to tak skrajnie odwrotny, że trudno dać wiarę statystyce urzędowej.

Mimo najliczniejszej emigracyi Galicya należy do tych nielicznych krajów, które w żadnym z swych powiatów nie mają w ostatniem dziesięcioleciu ani zastoju ani umniejszenia liczby ludności. Oprócz Galicyi są to kraje Bukowina, Dalmacya i Salcburgia. Przez zastój rozumie się różnice *in plus* i *in minus* nie dochodzące 1 %. Nawet Śląsk ma jeden powiat (z ogólnej liczby 11 powiatów) z takowym zastojem; co więcej, ma dwa powiaty, których zaludnienie zmniejszyło się o 1 do 5 %. Morawa ma (z ogólnej liczby 40 powiatów) 7 zastojałych, 2 z umniejszeniem o 1 do 5 %, 1 powiat z umniejszeniem o więcej niż 5 %. W Czechach (z ogólnej liczby 96 powiatów) liczby odnośne są 16, 14 i 2, tak, że tylko dwie trzecie liczby powiatów mają rezultat dodatni. Hypertroficzna Dolna Austrya także ma (z ogólnej liczby 25 powiatów) 2 powiaty zastojałe, 1 powiat z rezultatem ujemnym.

Miast z ludnością przenoszącą 100 000 mieszkańców jest w wszystkich krajach austryackich tylko 6, mianowicie: Wiedeń (1 674 957), Praga (201 589), Tryest (178 599), Lwów (159 877), Gradec styryjski (138 080) i Brno morawskie (109 346). Najbliższy stu tysięcy jest Kraków (91 323), po nim idą Czerniowce na Bukowinie (67 622), następnie Zyżkow w Czechach (59 326). Ogromny odstęp między Wiedniem a z kolei tuż po nim następującą Pragą, która ma niespełna ósmą część ludności parweniuszowskiego pasorżyta, wielkiego Ryczywołu nad Dunajem, jest jaskrawem świadectwem niemądrego austryackiego systemu centralistycznego; niemądrość atoli dzieli się w równych częściach na rządy i na ludy austryackie. Niestety, nie możemy powiedzieć, iżby między tymi ludami Polacy stanowili wyjątek. Równy podział niemądrości sprawia, że nikt jej sobie nie uświadamia. Ciekawy

jest obraz pochodzenia ludności wiedeńskiej wedle pozawiedeńskiej przynależności z jednej, a rozprószenia osób przynależnych do Wiednia z drugiej strony. Obraz taki wymaga koniecznie tabelki, a tabelka wymaga jaknajkrótszych nagłówków. Gdy tedy liczbę ludności wiedeńskiej z dnia 31 grudnia r. 1900, przynależną nie do Wiednia, lecz np. do Galicyi, ujmiemy pod nagłówek „kraj dał Wiedniowi“, liczbę zaś osób przynależnych do Wiednia, ale przebywających w Galicyi, pomieścimy pod nagłówkiem „kraj miał z Wiednia“, obraz rzeczony przedstawi się jak następuje:

Wedle popisu ludności z dnia 31 grudnia r. 1900			
kraj	dał Wiedniowi	miał z Wiednia	(różnica)
Dolna Austrya [1]	190 244 głów	47 849 głów	(142 395)
Górna Austrya	24 814 „	3 940 „	(20 874)
Salcburgia	2 388 „	1 224 „	(1 164)
Styrya	22 189 „	7 038 „	(15 151)
Karyntya	7 369 „	1 155 „	(6 214)
Kraina	6 129 „	380 „	(5 749)
Pomorze austryackie	2 497 „	1 776 „	(721)
Tyrol z Arulanią	7 200 „	2 799 „	(4 401)
Czechy	308 243 „	8 148 „	(300 095)
Morawa	210 090 „	5 806 „	(204 284)
Śląsko	33 595 „	1 224 „	(32 371)
Galicya	42 724 „	1 937 „	(40 787)
Bukowina	2 993 „	234 „	(2 759)
Dalmacya	577 „	254 „	(323)
Razem	861 052 głów	83 764 głów	(777 288)
Do tego Węgry, Bośnia i Hercegowina i cała wogóle zagranica	177 675 „	? „	(?)
Ogółem	1 038 727 głów		

A więc na 1 674 957 mieszkańców miasta Wiednia składało się 636 230 głów ludności swojej, a 1 038 727 głów ludności nieswojej. O stosunkach pod względem wyznań i narodowości pomówimy w dalszym ciągu pracy niniejszej, na tem miejscu zaś notujemy jeszcze przyrost ludności wymienionych powyżej wielkich miast i niektórych innych w ostatnim okresie popisowym, a to wedle przychowku naturalnego i przybytku z ruchu migracyjnego.

Przyrost ludności w okresie od r. 1890 do r. 1900 wynosił:

[1] Własny kraj Wiednia.

W mieście	z przychowku	z przybytku	razem
Wiedniu	158 229 = 11·59%	152 180 = 11·15%	310 409 = 22·74%
Pradze	5 490 = 3·01 „	13 569 = 7·43 „	19 059 = 10·44 „
Libercu [1]	—1 322 = 4·28 „	4 531 = 14·67 „	3 209 = 10·39 „
Tryeście	4 225 = 2·71 „	16 908 = 10·74 „	21 133 = 13·43 „
Lincu [2]	— 94 = 0·19 „	11 200 = 23·48 „	11 106 = 23·29 „
Salcburgu [3]	— 533 = 1·95 „	6 356 = 23·33 „	5 823 = 21·38 „
Gradcu	2 690 = 2·40 „	23 321 = 20·81 „	26 011 = 23·21 „
Celowcu [4]	528 = 2·54 „	2 951 = 14·18 „	3 479 = 16·72 „
Lublanie [5]	— 515 = 1·62 „	5 399 = 17·05 „	4 884 = 15·43 „
Inszpruku [6]	—2 350 = 10·07 „	5 896 = 25·27 „	3 546 = 15·20 „
Brnie	3 157 = 3·34 „	11 727 = 12·41 „	14 884 = 15·75 „
Opawie [7]	— 573 = 2·51 „	4 454 = 19·48 „	3 881 = 16·97 „
Czerniowcach	5 107 = 9·43 „	8 314 = 15·40 „	13 451 = 24·83 „
Lwowie	12 415 = 9·70 „	19 519 = 15·26 „	31 934 = 24·96 „
Krakowie	2 243 = 3·01 „	14 487 = 19·42 „	16 730 = 22·43 „

W tabelce tej uderza Wiedeń swoją wyjątkowością. Wiedeń ma największy przychowek, 11·59 %, jakiego ani w przybliżeniu nie ma żadne miasto zachodnie, z których owszem wiele odznacza się znakiem ujemnym, t. j. większą śmiertelnością, niż jest płodność; a miasta takie znajdują się na całej przestrzeni od Śląska (Opawa) aż do Tyrolu (Inszpruk) i aż do północnych Czech (Liberec). Nawet miasta oryentalnego charakteru, Lwów i Czerniowce, które przychowkiem swym, 9·70 % i 9·43 %, ogromnie górują nad zachodniemi, pozostają dość daleko poza Wiedniem. Natomiast przybytek Wiednia z ruchu migracyjnego 11·15 %, jest stosunkowo mały; albowiem jest mniejszy od przychowku, podczas gdy wszędzie indziej przybytek jest znacznie, a nawet ogromnie większy od przychowku. Tu o wiele wyraźniej uwydatnia się to, cośmy powyżej powiedzieli o nieprawdopodobieństwie liczb dolno-austryackich wogóle.

Krom tej podwójnej wyjątkowości Wiednia uderza w tabelce powyższej wszędzie bardzo znaczny, miejscami nawet ogromny napływ ludności do większych miast dochodzący poprostu już chorobliwych

[1] Liberec, po niemiecku Reichenberg, w Czechach, jest centrem wielkiego przemysłu, na wskroś niemieckiego; mieszkańców ma 34 099.

[2] Linz, miasto główne Górnej Austryi, ma 58 791 mieszkańców.

[3] Salzburg, miasto główne Salcburgii, ma 33 067 mieszkańców.

[4] Klagenfurt, miasto główne Karyntyi, ma mieszkańców 24 284.

[5] Laibach, miasto główne Krainy, ma 36 547 mieszkańców.

[6] Innsbruck, miasto główne Tyrolu, ma 26 866 mieszkańców.

[7] Troppau, miasto główne Śląska, ma 26 748 mieszkańców.

rozmiarów. Oprócz tłumności trzeba zachować tu na uwadze okoliczność, że zazwyczaj nienajgorsze siły fizyczne i moralnie nienajpośledniejsze żywioły porzucają wioskę rodzinną, aby pozbawić rolnictwo rąk roboczych, a w mieście nauczyć się lenistwa i niemoralności.

Przymusową koncentracyą najlepszych sił roboczych po miastach, połączoną z wszczepieniem niechęci do wsi i częstokroć do rzetelnej wogóle pracy, jest służba wojskowa, a niestety to *malum necessarium* także rośnie. W całej Austryi było w roku 1880 w ogólnej liczbie 22 144 244 dusz ludności 162 423 osób wojskowych pod chorągwiami, t. j. 733 na 100 000 mieszkańców; w roku 1890 w całej ludności 23 895 413 dusz było ich 187 507, t. j. 785 na 100 000; w r. 1900 nakoniec zpomiędzy 26 150 708 dusz było ich 229 037, t. j. 876 na 100 000 ludności. W trzech krajach, które w tem studyum statystycznem zestawiamy porównawczo, liczby analogiczne są następujące:

W r.	w Galicyi	na Śląsku	na Bukowinie
1880	32 735=549 na 100 000	2 120=375 na 100 000	1 376=241 na 100 000
1890	53 491=808 „ „	2 924=483 „ „	3 544=548 „ „
1900	70 865=969 „ „	4 180=614 „ „	3 887=532 „ „

Największe w Galicyi załogi wojskowe w r. 1900 są: w Krakowie i okolicy 11 523 głów, w Przemyślu i okolicy 11 262 głów, we Lwowie 10 342 głów, w Jarosławiu 4 964 głów.

II. Ludność wedle wyznania.

Statystyka urzędowa ma siedmnaście rubryk wyznaniowych, bo i takim wyznaniom poświęca osobną rubrykę, które albo wcale nie są osobnem wyznaniem, albo dla bardzo małej a wielce chwiejnej liczby wyznawców mogłyby być subsumowane pod rubrykę: „Inne wyznania“, zwłaszcza gdy rubryka taka rzeczywiście znajduje się między owemi siedmnastoma. Osobnem wyznaniem nie jest np. ani unicki, ani schizmatycki obrządek ormiański, a liczby odnoszące się do obu obrządków ormiańskich są bardzo małe. Nie jest wprawdzie i rusko-unicki obrządek osobnem wyznaniem, ale ze względu na wielkie liczby słusznie należy się mu osobna rubryka. Oba rzeczone obrządki możnaby zbyć przypiskiem do rubryki Kościoła rzymskiego i do rubryki Cerkwi schizmatyckiej. *Curiositatis erga* pojmujemy jeszcze osobną rubrykę dla neoschizmatyków czyli samozwańczych „starokatolików“; ale takie sekty, jak hernhutery, menonici i t. d., mające w całej Austryi po kilkaset członków, mogłyby pewnie spłynąć w rubryce „innych“. Dla rzeczy samej, t. j. dla ścisłości obrazu, owo rozdrobnienie jest nie-

tylko bez pożytku, lecz owszem szkodliwe; albowiem właśnie dla mnóstwa rubryk statystyka urzędowa pomija nieraz zupełnie te, które w niektórych krajach zosobna figurują z liczbą niespełna 10 000 dusz. Tak np. niesposób obrachować postęp lub cofanie się całego „ewangelicyzmu“ w Galicyi, w Dolnej Austryi i t. d., a można obrachować go tylko dla Czech i Morawy; bo tylko w tych dwu krajach wyznanie „helweckie“, należące do „ewangelicyzmu“, ma po więcej niż 10 000 członków, jak i „augsburgskie“. Dla Galicyi i t. d. mamy tedy daty rozwoju tylko co do wyznania „augsburgskiego“. Rzecz jasna, że, gdyby „ewangelicyzm“ czyli protestantyzm nie był rozłożony na dwie rubryki, obraz rozwoju jego w Galicyi, Dolnej Austryi i t. d. byłby dokładniejszy. Z tej samej przyczyny niesposób obrachować, w jakim stopniu od lat dwudziestu krzewi się w krajach alpejskich i nadadryatyckich żydowszczyzna. Nam najzupełniej wystarcza ośm rubryk wyznaniowych.

Stan wyznań wedle trzech ostatnich popisów ludności był następujący:

Wyznanie	liczyło w całej Austryi (bez Węgier i t. d.) dusz w r. 1880		w r. 1890		w r. 1900	
	w liczbie absolutnej	na 100 000 ludności	w liczbie absolutnej	na 100 000 ludności	w liczbie absolutnej	na 100 000 ludności
katol. łać. i orm. [1]	17 696 502	79 915	18 934 777	79 249	20 662 375	79 013
„ gr.-unickie	2 533 323	11 440	2 814 072	11 777	3 134 439	11 986
schizm. gr. i orm. [2]	493 542	2 229	546 014	2 285	607 462	2 323
neoschizmatyckie	6 134	24	8 240	34	12 937	49
„ewangelickie“ [3]	399 530	1 804	436 352	1 826	494 011	1 889
żydowskie	1 005 394	4 540	1 143 305	4 785	1 224 899	4 684
wszystkie inne	6 486	29	6 345	27	8 436	32
bezwyznaniowcy	3 333	15	4 308	18	6 149	24

Tabelka ta nietylko powiada nam, ilu było członków tego czy owego wyznania, lecz także, jaką część całej ludności Austryi ta liczba członków stanowiła; zarazem atoli oznajmia, jak stósunek tej części do całości zmieniał się w dwu okresach dziesięcioletnich. Widzimy, że z wyjątkiem rubryki: „wszystkie inne wyznania“ (która obejmuje: hernhuterów, menonitów, anglikanów, unitaryuszów, lipowanów, muzułmanów i t. d.), wykazującej z r. 1880 na r. 1890 niejaki

---

[1] Ormian unitów
w r. 1880 2 854
„ „ 1890 2 611
„ „ 1900 2 096

[2] Ormian schizm.
1 454
1 275
698

[3] Helwetów (kalwinów)
110 525
120 524
128 557

ubytek, wszystkie rubryki wyznaniowe wykazują przyrost; ale widzimy też, że ten przyrost jest wielce nierówny, a to nietylko gdy porównamy jedno dziesięciolecie z drugiem tej samej rubryki, lecz także gdy porównamy wyznanie z wyznaniem. Widzimy, że liczba katolików obrządku łacińskiego i ormiańskiego rośnie z 17 696 502 na 18 934 777, a dalej na 20 662 375, ale z ubolewaniem widzimy zarazem, że ten wzrost w stósunku do wzrostu całej ludności oznacza i w pierwszym i w drugim okresie uszczuplenie; albowiem stósunek opada z 79.915 na 79.249 a dalej na 79.013. Liczba protestantów („ewangelików") także rośnie, mianowicie z 399 530 na 436 352, a dalej na 494 011, ale wzrost ten absolutny oznacza zarazem wzrost stosunkowy; albowiem stosunek wzmaga się z 1 804 na 1 826, a dalej na 1 889. Ta różnica między wyznaniem a wyznaniem co do ujemnej czy dodatniej treści przyrostu uwydatnia się o wiele wyraźniej w tabelce następującej, która stanowi właściwie tylko uzupełnienie tabelki powyższej.

Przyrost wynosił u	w okresie 1880—1890		w okresie 1890—1900		w obu okresach 1880—1900	
	absolutnie	w %	absolutnie	w %	absolutnie	w %
katol. łać. i orm.	1 240 275	7·01	1 725 598	9·11	2 965 873	16·76
„ gr.-unickie	280 749	11·08	320 367	11·38	601 116	23·73
schizm. gr. i orm.	52 472	10·63	61 448	11·25	113 920	23·08
neoschizmatyckie	2 106	34·33	4 697	57·00	6 803	110·96
„ewangelików"	36 822	9·22	57 659	13·21	94 481	23·65
żydów	137 911	13·72	81 594	7·13	219 505	21·83
wszystkich innych	— 141	—2·17	2 091	32·95	1 950	30·06
bezwyznaniowców	975	29·25	1 841	42·75	2 816	84·49
Razem	*1 751 169*	*7·91*	*2 255 295*	*9·44*	*4 006 464*	*18·09*

Liczby rubryki *razem*, uwydatnione tu pismem pochyłem *(kursywą)*, są nam już znane z tego ustępu rozdziału I pracy niniejszej, w którym była mowa o przyroście ludności wogóle; inaczej oczywiście być nie może, skoro suma członków wszystkich wyznań musi stanowić zarazem sumę całej ludności. Otóż przyjmując procentowe liczby tej rubryki (a więc 7·91% okresu przedostatniego, 9·44% okresu ostatniego i 18·09% obu okresów) za miarę normalnego przyrostu wyznań, zboczenie zaś od tej normy *in minus* nazywając przyrostem uszczuplonym, *in plus* natomiast przyrostem z rozrostem, otrzymamy ujemną treść przyrostu (przyrost uszczuplony) czy dodatnią treść przyrostu (przyrost z rozrostem) z porównania rzeczonego procentu normalnego z procentem faktycznym. Porównanie to jest tak ścisłe, że można obrachować, ile któremu wyznaniu w jednym

czy w drugim, czy też w obu okresach braknie do przyrostu normalnego, lub ile które wyznanie ma rozrostu ponad przyrost normalny. I tak katolicy obrządków łacińskiego i ormiańskiego mają i w przedostatnim i w ostatnim okresie, a więc też w obu okresach razem, przyrost uszczuplony, mianowicie 7·01 : 7·91, 9·11 : 9·44 i 16·76 : 18·09; to znaczy: w okresie przedostatnim przyrost, gdyby był normalny, powinien zamiast 1 240 275 dusz wynosić 1 399 793 dusz, a więc uszczuplenie (niedobór) wynosi 159 518 dusz; w okresie ostatnim, nawet przy uszczuplonej w okresie poprzednim podstawie obrachunku, zamiast 1 725 598 powinien wynosić 1 787 442 czyli o 61 844 dusz więcej; w obu okresach razem powinien wynosić nie 2 965 873, lecz 3 201 297, jest więc uszczuplony o 235 424 dusze. Ten niedobór jest tak znaczny, że, chociaż złączymy katolików obrządku grecko-unickiego (Rusinów) z katolikami obrządków łacińskiego i ormiańskiego w jednę rubrykę, nie zgładzi go ponadnormalny przyrost greko-unitów, który w obu okresach popisowych wynosi nie 18·09%, lecz 23·73%. Albowiem liczba katolików wszystkich trzech obrządków w końcu roku 1880 wynosi 20 229 825, w końcu roku 1900 zaś 23 796 814, stąd przyrost 3 566 989 dusz, czyli tylko 17·63% zamiast 18·09%, t. j. zamiast 3 659 575 dusz; a więc przyrost wszystkich katolików jest o 92 586 dusz mniejszy od normalnego.

Przyczyną tego niedoboru u katolików, gdy pominiemy Ormian, będących na etacie wymierających [1], jest emigracya, a to stósunkowo większa u greko-unitów, niż u katolików obrządku łacińskiego. U greko-

---

[1] Że Ormianie, zarówno unici jak schizmatycy, wymierają, widzieliśmy już w przypisku poprzednim. Podane tam daty, odnoszące się do Austryi, uzupełniamy tu nieco obfitszemi jeszcze datami z Węgier, zestawiając jedne z drugiemi. Ormian było:

	w Austryi		na Węgrzech		razem
	unitów	schizmat.	unitów	schizmat.	obu kategor.
w roku 1857	?	?	5 991	1 030	?
„ „ 1869	?	?	5 104	605	?
„ „ 1880	2 854	1 454	3 223		7 531
„ „ 1890	2 611	1 275	2 702	29	6 617
„ „ 1900	2 096	698	?	?	?

Można przypuścić, że w r. 1857 było Ormian w Austryi i na Węgrzech razem około 12 000, dziś zaś jest ich około 5 000 dusz. Z pewnością nie wszystkim czytelnikom wiadomo, że Ormianie mają arcybiskupstwo unickie w Lwowie, sławne z uczoności arcyopactwo Mechitarzystów w Wiedniu i podobny zakład schizmatycki w Tryeście.

unitów (Rusinów) nie widać tylko tego ubytku emigracyjnego; owszem w porównaniu z przeciętnym przyrostem populacyi mają nawet rozrost, czyli przyrost ponadnormalny; ale zawdzięczają to swojej plenności naturalnej (nadwyżce noworodków ponad liczbę osób zmarłych), pod którymto względem Rusini idą tuż po Żydach, podczas gdy u katolików obrządku łacińskiego, szczególnie u Niemców, wskutek znacznie mniejszej plenności naturalnej emigracya natychmiast uwydatnia się jako niedobór. Nie ulega wątpliwości, że nietylko emigracya, lecz i o d p a d k i apostazyjne na rzecz neoschizmatyków (samozwańczych starokatolików), protestantów i bezwyznaniowców składają się na ten niedobór, a to u katolików obrządku łacińskiego, szczególnie znowu u Niemców, w stopniu o wiele wyższym, niż u greko-unitów; ale w porównaniu z emigracyą odpadki w ogólności bardzo mało znaczą. Mogą mieć wprawdzie niejakie znaczenie lokalne, np. w Wiedniu, a jeszcze większe w tem czy owem mieście albo powiecie w Czechach, na Morawie, na Śląsku, w Tyrolu i t. d.; na całą atoli Rzeszę austryacką zdobycze odpadków nieświetny stanowią tryumf czy to neoschizmatyckiej nieomylności, czy protestanckiej nienawiści, czy też bezwyznaniowej kloaki. To jeszcze na uwadze zachować trzeba, że stósunkowo drobny ubytek z czegoś bardzo wielkiego staje się ogromnie wielkim nabytkiem dla czegoś bardzo małego; i tak 1000 odpadłych katolików — a wszakże trzeba ich długo i dość szeroko zbierać, aby ich zebrać — znaczyłoby dla 20-milionowego wyznania stratę 0·005-procentową, dla 400 000 protestantów atoli byłby to zysk 0·25-procentowy, dla 8 000 neoschizmatyków zysk 12·50-procentowy, dla 4 000 bezwyznaniowców zysk 25·00-procentowy. Kraje stałego niedoboru katolików są: Dolna Austrya, Górna Austrya, Salcburgia, Styrya, Karyntya, Tyrol z Arulanią i Czechy.

Schizmatycy (Rumuni na Bukowinie i Serbowie w Dalmacyi) mają w tabelce powyższej podobnie znaczny rozrost jak greko-unici (Rusini) a jednak — w czem znowu podobni są do Rusinów — w stosunku do plenności swej mają ubytek, co znaczy, że mają emigracyę, czyli: w ludności całej Austryi schizmatycy rosną i rośliby jeszcze więcej, gdyby nie wychodzili za granice Rzeszy austryackiej, ale w ludności swoich krajów rodzinnych mają przyrost uszczuplony, ustępując po części rozrostowi rzymskiego katolicyzmu w obu krajach, a więcej jeszcze protestantyzmu na Bukowinie.

Przechodząc właśnie do statystyki protestantyzmu, musimy nadmienić, że z przyczyny przytoczonej już w pierwszym ustępie rozdziału

niniejszego można właściwie co do całego protestantyzmu ewangelickiego czynić obrachunki tylko dla Czech i dla Morawy, o ile chodzi o pogląd szczegółowy wedle krajów; a więc to, cośmy w tej chwili powiedzieli o Bukowinie, odnosi się ściśle tylko do augsburczyków (luteranów), gdyż na Bukowinie niema owej liczby 10 000 helwetów (kalwinów), której statystyka urzędowa dość dowolnie i nieracyonalnie wymaga w każdym kraju (choćby najmniejszym), aby ją w wywodach porównawczych uwzględnić. Że ten kaprys urzędowy jest nieracyonalny, pokazuje się stąd, iż 10 000 dusz tego czy owego wyznania stanowi np. w Galicyi niespełna 0·19% ludności, na Bukowinie atoli stanowi 1·37%, t. j. 10 razy więcej, niż w Galicyi; w Salcburgii stanowi 5·19%, t. j. 38 razy więcej. Gdy się ma sprawę z takim materyałem urzędowym, trudno w opracowaniu go myśl pewną ściśle i systematycznie przeprowadzić. Statystyka powinna wystrzegać się przyjmować wogóle jakoweś *quantités négligibles*, jeżeli nie są mniejsze, niż 0·05% całości najniższego rzędu. Co do Austryi całej statystyka jest kompletna, stąd nasze tabelki powyższe i następujące tu wywody są ścisłe.

Otóż protestantyzm ewangelicki (a więc bez hernhuterów, anglikanów i t. d.) wykazuje znaczny rozrost, gdy uwzględnimy dawniejszą a nowszą sumę wyznawców jego w całej Austryi. W przedostatnim okresie popisowym przyrost wynosi 36 822 = 9·22%, a ponieważ wedle 7·91-procentowego ogólnego przyrostu ludności powinienby wynosić tylko 31 302 dusz, przeto rozrósł się o 5 520 dusz ponad przyrost normalny. W ostatnim okresie popisowym przyrost protestantyzmu wedle 9·44-procentowego ogólnego przyrostu ludności powinienby wynosić 41 191 dusz, a ponieważ wynosi rzeczywiście 57 659, przeto rozrósł się protestantyzm o 16 468 dusz ponad normę. W obu okresach razem, t. j. od r. 1880 do r. 1900, wedle rachunku tak samo przeprowadzonego przyrost wedle normy 18·09% powinienby wynosić 72 275 dusz, wynosi zaś rzeczywiście 94 481, t. j. o 22 206 dusz więcej. Ale statystyka urzędowa przypisuje protestantom płenność naturalną nie tak wielką wprawdzie, jak żydom lub Rusinom, znacznie jednak większą, niż katolikom austryackim. Szkoda, że procent płenności podany jest tylko na ostatni okres popisowy, że przeto też tylko na tenże okres możemy przeprowadzić nasz dalszy obrachunek. Mianowicie przypisana jest protestantom płenność 11·88-procentowa (katolikom łacińskiego obrządku tylko 10·35%). Otóż gdy zastósujemy ten procent do liczby 436 352 protestantów z r. 1890, otrzymamy na ostatni okres popisowy, tj. od r. 1890 do r. 1900, przyrost naturalny

w liczbie 51 838 dusz; a ponieważ rzeczywisty przyrost tegoż okresu wynosi 57 659, przeto mieści się w nim rozrost tylko o 5 821 dusz. Taki tedy jest nabytek protestantyzmu w całej Austryi w dziesięciu latach ostatniego okresu popisowego ponad własną plenność.

Rezultat ten naprowadza nas na propagandę protestancką i wogóle na ruch apostazyjny między katolikami w Austryi. Zobaczmy, ile w przybliżeniu może być tych odpadków. W rachubę może tu wchodzić krom protestantyzmu ewangelickiego tylko jeszcze nowa schizma (samozwańczy starokatolicyzm) i bezwyznaniowość. Otóż z tabelki powyższej wiemy, że w okresie od r. 1890 do r. 1900 (zawsze od końca do końca) rzeczywisty przyrost neoschizmatyków wynosi 4 697, bezwyznaniowców 1 841, razem 6 538 głów; a ponieważ suma obojga w końcu roku 1890 wynosiła 12 548 *głów*, przeto przyrost ten stanowi 52·10% Statystyka urzędowa przypisuje neoschizmatykom i bezwyznaniowcom wraz z lipowanami, muzułmanami i innymi razem plenność naturalną 13·95-procentową. Biorąc tę liczbę bardzo ostrożnie, mianowicie przypisując od siebie samym neoschizmatykom i bezwyznaniowcom plenność tylko 12-procentową, czyli niemal taką, jaką statystyka przypisuje protestantom, otrzymamy 1 505 głów przyrostu naturalnego, po którego strąceniu z 6 538 głów przyrostu rzeczywistego pozostaje 5 033 głów nabytku ponad własną plennność. Protestantyzm, nowa schizma i bezwyznaniowość mają tedy $5\,821 + 5\,033 = 10\,854$ dusz nabytku. Zachodzi teraz pytanie: skąd ten nabytek? Czyż to same odpadki katolicyzmu? Tak nie jest Pomijając inne źródła nabytku, źródła nieznane, jak np. może niejaki napływ zpoza granic Austryi na rzecz protestantyzmu, wiemy, że bezwyznaniowość rekrutuje się nietylko z katolicyzmu, lecz także w bardzo znacznej mierze z żydowszczyzny i po części z protestantyzmu [1]. Możemy tedy co najmniej 854 dusz zaliczyć

[1] Z pomiędzy 6 149 bezwyznaniowców naliczonych przy popisie z końca roku 1900 znajdowało się w samym Wiedniu 2 772, w Dolnej Austryi wraz z Wiedniem 2 954, w Czechach 1 894, reszta 1 301 rozrzucona po wszystkich innych krajach (w Galicyi było 219). Wedle *Statistisches Jahrbuch der Stadt Wien* (roczniki 1890 do 1899 włącznie) zdeklarowały się w Wiedniu w ciągu tych lat dziesięciu 2 503 osoby na bezwyznaniowość, mianowinie 1 543 z katolicyzmu, 800 z żydowszczyzny i 150 z protestantyzmu, co znaczy, że w Wiedniu 38% nowych bezwyznaniowców pochodziło nie z katolicyzmu. Mamy tu bardzo silną podstawę, by stwierdzić, że nabytek protestantyzmu, nowej schizmy i bezwyznaniowości pochodzi nie wyłącznie z odpadków katolickich. Ale te niewątpliwie autentyczne liczby z statystycznych publikacyj magistratu wiedeńskiego naprowadzają

na rachunek wszystkich innych źródeł, a co najwięcej 10 000 dusz przyjąć jako ilość robaczywego lub zgniłego owocu, który w dziesięciu latach opadł z drzewa katolickiego. Wypadałoby więc w przecięciu na rok 1000 apostazyj. Wiadomo zaś, że p. Schönerer, inicyator propagandy apostazyjnej pod hasłem: „Rozbrat Rzymowi!“ już w rok po wydaniu hasła swego, czy też w czasie nie o wiele dłuższym, ale bynajmniej nie w lat dziesięć, oznajmił światu, że zebrał pierwsze 10 000 odpadków, którato nieprawda oczywiście posłużyć miała do podniecenia ruchu apostazyjnego.

Wracając do protestantyzmu i jego całego przyrostu w dwudziestu latach w liczbie 94 481 dusz, dodajemy na zakończenie, że, jeżeli daty szczegółowe, odnoszące się tylko do augsburczyków (z wyjątkiem Czech i Morawy), mogą służyć za miarę co do augsburczyków i helwetów razem, wtedy krajami stałego rozrostu protestantyzmu, t. j. przyrostu ponad ogólny przyrost ludności tego samego kraju, są: Dolna Austrya, Górna Austrya, Styrya, Karyntya, Czechy, Morawa i wymieniona już powyżej Bukowina. Zpomiędzy nich poznaliśmy już Dolną i Górną Austryę, Styryę, Karyntyę i Czechy jako kraje stałego niedoboru katolików; możemy tedy pewnie z całą słusznością przypuścić, że te właśnie kraje są widownią ruchu apostazyjnego.

(Dok. nast.)

Józef Glinkiewicz.

---

nas koniecznie na myśli, którym dajemy wyraz przez pytania następujące: 1. Skoro liczba nowych bezwyznaniowców w Wiedniu w latach 1890 do 1899 doszła 2 503 dusz, do których w ciągu roku 1900 przybyło znowu co najmniej 280, jakże popis z końca roku 1900 mógł wykazać w Wiedniu wszystkich bezwyznaniowców, nowych i starych, w liczbie tylko 2 772 dusz? — 2. Skoro w samym Wiedniu sam nabytek, bez przyrostu naturalnego, wynosił w dziesięciu latach 2 503 dusz, jakże przyrost wraz z nabytkiem w całej Austryi w dziesięciu latach może wynosić tylko 1 841 dusz? Takie zagadki dla statystyków biurokratycznych wcale nie istnieją.

Druk ukończono 29 stycznia 1903 r.

TEATR WIEJSKI PRZYSZŁOŚCI.

Dwa są sposoby, dwie drogi, za pośrednictwem których myśl pisana udziela się i rozszerza: książka i scena. Minęły już dziesiątki lat od czasu, kiedy u nas w obywatelskiem poczuciu pomyślano o tem, aby w rękę ludu wiejskiego włożyć jak największą ilość jak najlepszych książek. Pod tym względem skarżyć się na braki tak dalece nie można. Nie bez słuszności byłyby niejakie zastrzeżenia, że książki przeznaczone dla ludu, nie zawsze są pisane z zrozumieniem potrzeb, zamiłowań i pojęć tego ludu, że piszą je ludzie nieraz bardzo zacni i światli, piszą je bardzo dobrze i w najlepszej myśli, ale czytelnicy, do których przemawiają, nie zawsze znajdą tam odpowiedni pokarm. Znaczna jednak ilość książek ludowych odpowiada swemu zadaniu.

Powiedzmy wszelako sami, my, którzy w teatrze bywamy, czy nie oddziaływa on o wiele silniej, bezpośredniej, niż książka, bo myśli ożywia grą, głosem, strojem, przemawia równocześnie do duszy przez zmysły. Książka mówi do jednego czytelnika, teatr zaś do całej dużej grupy, która wzajemnie swą obecnością podnieca się i rozgrzewa czasem aż do entuzyazmu.

Myśl, aby do ludu mówić przez scenę, jest nie nowa. Pojawiła się ona naprzód zagranicą, potem u nas, a owocem jej pierwszym jest ten t e a t r l u d o w y, który mamy po miastach. Stworzony dla uboższej ludności miejskiej, jedynie na nią oddziaływa, wszelako nie może z niego korzystać ludność wiejska. A jednak nikt chyba nie zaprzeczy, że gdyby się dał urządzić

teatr taki, któryby do chłopa wręcz przemawiał, to mógłby tę ideę, te ideały, o które nam najbardziej chodzi, w chłopskiej duszy bardzo skutecznie krzewić, skuteczniej, dobitniej, niż książka. Czuli to niektórzy posłowie w sejmie galicyjskim, którzy przed kilku laty wystąpili z wnioskiem o utworzenie ludowego wędrownego teatru, złożonego z zawodowych sił aktorskich, teatru, któryby objeżdżał główniejsze wsie i dawał przedstawienia. Wniosek odesłano do komisyi, poczem rozpisano ankietę, w której zapytywano o zdanie przeważnie dyrektorów scen krajowych i znawców sztuki dramatycznej. Przyszły odpowiedzi znowu jednostronne, bo wydawane przez ludzi, którzy doskonale znają teatr, ale nie znają chłopa. To też wniosek na razie poszedł w odwłokę.

Aż oto przed kilku miesiącami pojawiła się ta sama myśl, tylko w inny sposób ujęta. Główny zarząd Kółek Rolniczych we Lwowie wystąpił z całym szeregiem pytań w sprawie towarzystw amatorskich wiejskich, któreby się składały z aktorów chłopów i grały dla chłopów.

Wspólną cechą tych obu pomysłów i wspólnym ich celem jest obywatelska działalność na polu oświaty wiejskiej. Czy one są wykonalne? Zdaje się, że tak, skoro na Śląsku bez ankiet, bez wniosków, zawiązały się w niektórych wsiach tego rodzaju towarzystwa teatralne amatorskie i jedno z nich niedawno mieliśmy sposobność oglądać w Krakowie. Możnaby zapytać, czy wśród naszej ludności wiejskiej objawia się również potrzeba teatru? Oczywista, że to pytanie najważniejsze. Chcąc na nie odpowiedzieć, trzeba naprzód zaznaczyć, że wyrażenie „nasz lud wiejski“, to wielki ogólnik: lud wiejski jest tak rozmaity, tak nierównomierna jest jego oświata! Są strony i okolice w Galicyi, gdzie ten lud mało co, albo może zgoła nic nie ustępuje sławnemu ludowi poznańskiemu, który na każdym kroku daje dowody swej świadomości narodowej, politycznej dojrzałości i wysokiego rozwoju umysłowego. U nas, obok okolic podobnie oświeconych, jak w Poznańskiem, są całe powiaty ciemne jeszcze i zacofane. To też dla ścisłości muszę uczynić jedno zastrzeżenie, że mówiąc o ludzie wiejskim, mam w pierwszym rzędzie na myśli tę jego część, którą znam najbliżej, chłopa, z którym żyję

w codziennym, poufałym, zażyłym stosunku: lud krakowski. Dodaćby nawet należało: lud krakowski po lewym brzegu Wisły, bo to właśnie okręg, który należał niegdyś do Wielkiego Księstwa Krakowskiego, który ma za sobą nie trzydzieści lub czterdzieści lat szkoły, ale siedmdziesiąt lat i to dobrej polskiej szkoły. Ten lud musiał mi posłużyć za normę, bo ten jeden znam dobrze i dokładnie. Otóż na owo pierwsze i najważniejsze pytanie mogę odpowiedzieć, że potrzeby gwałtownej, tego głodu sceny, jakiego doznaje bywalec teatralny, zdaje mi się, że nie widzę wśród ludu. Chłopu naszemu, jak wogóle żadnemu mieszkańcowi wsi, teatr nie mógł wejść w nałóg — to się samo przez się rozumie — ale wyraźnie objawiające się na każdym kroku zamiłowanie sceny i widowisk scenicznych stwierdzić mogę stanowczo. Za staraniem posła Danielaka urządzono przed kilku laty szereg przedstawień dla ludu. Dobrane sztuki napełniały szczelnie od góry do dołu cały teatr krakowski: krzesła, loże, galeryę. Ciekawą było rzeczą zajść wówczas do sali i przypatrzyć się, z jakiem zrozumieniem, przejęciem i zapałem ten lud wsłuchuje się całą duszą w słowa, które mu podają ze sceny. Mogę podnieść inny rys charakterystyczny i ciekawy, że zanim poruszono jakiekolwiek pomysły teatru ludowego, czy złożonego z zawodowych aktorów, czy też amatorskiego, już przedtem w Toniach, sąsiedzi moi próbowali utworzyć coś na kształt teatru amatorskiego, o czem dowiedziałem się z ich własnych opowiadań. Bywając w krakowskim teatrze zapragnęli czegoś podobnego sami u siebie i zanim się sprowadziłem do nich, już nieśmiałe bardzo, ale pierwsze kroki na tej drodze były robione. Dwa akty z „Kościuszki pod Racławicami“: Przysięgę i Bitwę Racławicką odtwarzali sobie, jak umieli. Kostyumów było pod ręką na tyle w każdym domu; sukmany, pasy, krakuski i kosy osadzone na sztorc, o to łatwo. Do dziś dnia o tych próbach swoich wspominają. Że zamiłowanie teatru jest, świadczyłoby o tem chociażby to, że kiedy otrzymałem kwestyonaryusz, rozesłany przez Kółka Rolnicze, wówczas pokazywałem go moim sąsiadom, ciekaw, co też oni o tem powiedzą. Znając chłopski krytycyzm i trzeźwość umysłu, przypuszczałem, że może podniosą

trudności i zarzuty. Stało się przeciwnie, od pierwszej chwili pomysł teatru amatorskiego znalazł u nich gorące poparcie. Od tej chwili przy każdej sposobności radzą o urzeczywistnieniu tego pomysłu, przychodzą do mnie, wypytując o najdrobniejsze szczegóły i chcą koniecznie teatr amatorski zakładać, gotowi bezpłatnie dostarczyć roboty ciesielskiej, stolarskiej, krawieckiej, byle urządzić scenę i zaopatrzyć garderobę. To też na tej jednej wsi widzę dowodnie, że myśl takiego teatru wiejskiego przyjęłaby się z pewnością.

Pytanie jedno i bardzo poważne: czy teatr amatorski nie mógłby stać się szkodliwym? Zapewne. Źle poprowadzony, źle pokierowany szkodliwym byłby niezawodnie. Musiałby głównie wciągać młodzież do gry; naraziłby ją na niebezpieczeństwo rozpróżniaczenia się, a co gorsza, mógłby się stać rozsadnikiem zepsucia i krzewicielelem fałszów. Ale przecież niemniej szkodliwą może być zła książka, a nikt z tego powodu nie powie, że książek nie należy drukować. Zresztą powiedzmy jedno: polski lud, jeżeli się go zna z blizka, to jest ta ogromna milionowa masa, ta potężna opoka, której nikt nie przerobi, nikt na dowolną, złą czy dobrą modłę nie przekształci. To próżno. My się boimy prądów przewrotowych, boimy się tego i owego dla ludu. On da się wprawdzie na krótko zbałamucić, chwilowo da się zbakierować, ale bardzo rychło z wszelkich wpływów złych się otrząsa i jest znowu sobą, jest tem, czem był i czem zawsze zostanie: polskim katolickim ludem. Któż zdoła zatruć ocean? Niech próbuje, kto chce; niema obawy! Na nich nic nie oddziaływa. Oni są jakby olbrzymia granitowa turnia, której żaden rzeźbiarz nie obrobi według swego planu. Tacy, jacy są, tacy zostaną i z takimi trzeba się liczyć i brać ich w rachubę. Można wszelako zrobić wiele: ponieważ oni, jak wszelki żywy organizm, są w ustawicznym rozwoju, można się zatem do tego rozwoju przyczynić, można ich, nie przerabiając, podnosić coraz wyżej i wyżej, można wytworzyć jak najkorzystniejsze warunki ich przyszłego rozwoju, można — nie narzucając im niczego — pewne rzeczy im podsuwać, które oni będą wchłaniali, o ile te rzeczy będą im pokrewne, o ile ich zbiorowa dusza tym rze-

czom odpowie, o tyle je wchłoną w siebie, o tyle je przetrawią. To, co im przeciwne, sprzeczne z ich organizacyą wewnętrzną, to oni odrzucą stanowczo. Wpływ obcy im i przeciwny, może na razie utkwić w nich, jak drzazga w ciele, może jątrzyć nawet przez pewien czas, ale prędzej czy później ta masa chłopska wydali go z siebie. Więc niema obawy.

Zasadniczą ich cechą jest przedewszystkiem to, że nie można ich sobie inaczej wyobrazić, jak przywiązanych do ziemi. W dawnych wiekach byli oni *glebae adscripti*, byli prawnie do ziemi przykuci. Teraz, kiedy są tej ziemi panami, służą jej ze stokroć większem przywiązaniem i zaparciem się siebie. Choć do niej nie przygwożdżeni, oni się z nią zrośli i to wszystko, co ziemia, co stosunek z nią bezpośredni dać może człowiekowi, to wszystko w ich duszy jest. I może przez to, że są z tą ziemią zrośnięci, że wprost myśl, duszę swą z niej ciągną, jak roślina soki, przez to właśnie są tak niesłychanie polscy, są tak dziwnie i na każdym kroku podobni do polskiej szlachty. Wystarczy przyjrzeć się im naprzykład w czasie wyborów. Przyznaję, że mnie wybory nic nie obchodzą, ale idę na przedwyborczą naradę, bo oni mnie obchodzą; siadam w kącie i słucham, jak radzą, jak dyskutują — dalibóg sejmik polski. Miałoby się ochotę poubierać ich w kontusze, a byłby zjazd staropolski, jak w Pasku, lub jakim innym raptularzu szlacheckim. I fizyognomie takie same i ruchy i sposób rozumowania i temperament mowców i ton przemówień — żywcem szlachta z XVII wieku, krew z krwi, kość z kości. Mają wszystkie jej zalety, mają także — przyznać trzeba — niejedną jej wadę. Po dawnym polskim szlachcicu odziedziczyli np. jego pieniactwo, które zresztą wytłumaczyć sobie dość łatwo. Człowiek pozbawiony ustawowego wymiaru sprawiedliwości, kiedy się tej sprawiedliwości dorwał, kiedy mu drzwi sali sądowej otwarto i powiedziano: „Chodź, i jeżeli stała ci się krzywda, to się prawuj“ — czyż można od niego żądać, by się nie prawował! On jest, jak na pustyni spragniony podróżnik, nie dba o to, że mu zaszkodzi zimna woda, znalazł źródło i pije, aż do zachłyśnięcia się.

Możnaby przechodzić rys po rysie i odkrywać w naszym

chłopie wszystkie znamiona dawnej szlachty. Podobieństwo jest uderzające, bo nawet poziom cywilizacyjny jest mniej więcej ten sam. Nie mówię o szlachcie wyższej, o tych senatorach i karmazynach, którzy w młodości swej, jak Zamoyski, jeździli do Padwy, którzy po łacinie mówili i pisali cycerońskim nieskazitelnym stylem, ale o tej szerokiej masie szlacheckiej braci, która gospodarowała na kilku zagonach, zabawiała się po jarmarkach i sejmikach, żeniła się w sąsiedztwie, dbała o parantele i koligacye, ceniła każdego według ilości posiadanych morgów, a pogardzała mieszczaninem, dlatego, że bezrolny. Przypatrzmy się np. jak szalenie arystokratyczny jest nasz chłop, jak dziwnie konserwatywny w przechowywaniu tradycyi, jak bezrolnego biedaka lekceważy. Oto wymowny przyczynek do charakterystyki chłopa: widzę dwóch sąsiadów moich, jak się z sobą zacięcie wadzą w polu. Pytam o przyczynę. Powiada mi jeden z nich, zamożny gospodarz: „Jakżeż ja mam to znosić, ten człek w biały dzień wprowadził swoje bydło na moją łąkę. Żeby to jeszcze równy mnie, kmieć, toby mu można darować, ale taki dziad, taki chałupnik, co nie ma jednego zagona i on śmie mnie, gospodarzowi, wypasać!“ — „Ależ, człowieku! — odpowiadam — właśnie dlatego, że ani jednego zagona nie ma, a ma krowę, powinniście mu to darować“. A on na to: „Ja tego nie rozumiem“. On tego na prawdę nie rozumiał, bo za równego sobie uważa tylko człowieka osiadłego na roli, który ma własną ziemię.

Oto klucz do psychologii tej publiczności, którąby zapełniała teatr wiejski. Z tego, co już powiedziałem dotychczas, poniekąd wynika cała natura teatru. Naprzód czas jego trwania. Nigdy nie powinienby trwać dłużej, jak do Wielkiej Nocy i zaczynać się nie może wcześniej, niż w Adwencie, od Wszystkich Świętych, bo inne miesiące są zajęte pracą rolną, przy której chociażby był czas wolny, to nie ma wolnej głowy. Do teatru cisnęłaby się przedewszystkiem na amatorów młodzież. Z zapałem, jaki zwykle cechuje nowicyuszów, młodzież, nabiwszy sobie głowę sztuką, chodziłaby do roboty polnej leniwie, myślałaby o rolach zamiast o roli. Za to późną jesienią i w zimie, na długich wieczorach, teatr odciągnąłby młodzież od kart i od karczmy.

Czas jego trwania rozpadałby się na trzy okresy: Adwent, Karnawał, Wielki Post. Kto zna naszego chłopa i jego na wskroś religijną naturę, ten się ani na chwilę nie zawaha wobec pytania, czy ludowi naszemu w Adwencie lub w Wielkim Poście przez głowę przejdzie odgrywać sztukę, któraby miała charakter świecki, wesoły, w którejby były, broń Boże, tańce lub śpiewy. Ci ludzie nie na żarty mają religię, ona nie jest dla nich martwą i obojętną formułką. Religia polskiego chłopa, to nie ten fetyszyzm dziecinny, naiwny a zarazem przesadny i hałaśliwy, jaki widywać można np. w niektórych okolicach Włoch, gdzie nerwowy i gorący temperament doprowadza niemal do konwulsyjnej ekstazy. Nie jest to także nabożeństwo salonowe, na które przychodzi się do kościoła, jak na jakąś konferencyę filozoficzno-moralną. Ani jedno ani drugie. Kto bywa w wiejskim kościele, ten wie, z jaką prostotą, szczerością, z jakiem poważnem skupieniem, umieją modlić się nasi chłopi: to lud, który odbiegł swej ziemi, oderwał się od zajęć i trosk powszednich i rozmawia cicho ze swym Bogiem, bez przesady, bez cienia egzaltacyi. Dla tego ludu, jeżeli ma być teatr (a może być tylko w zimowych miesiącach), to w Wielkim Poście i w Adwencie, musiałby mieć bardzo poważny, wybitnie religijny charakter. Okres środkowy, od Nowego Roku aż do Środy Popielcowej, z natury rzeczy rozpadałby się znowu na dwie części: czas od Nowego Roku do Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego) wypełniłyby „Jasełka“. Jest to jedyny zarodek naturalny, jedyne organiczne ziarno teatru ludowego, tkwiący w ludzie. Na sztuki wesołe, jak komedya obyczajowa na tle życia wiejskiego, krotochwila z tańcami i śpiewkami, jednem słowem na lekki repertoar jest miejsce tylko od Matki Boskiej Gromnicznej do Środy Popielcowej, zatem ledwie parę tygodni.

Przegląd wszelkiego rodzaju sztuk, jakieby mogły być grywane w teatrze wiejskim, zacznijmy od Jasełek, bo jeśli kiedykolwiek wytworzy się teatr na wsi polskiej, to jedynie na tej drodze. Istniejące opracowania Jasełek są nader liczne, przeważnie jednak mają one tą wadę, że Narodzenie Chrystusowe bywa w nich przedstawiane historycznie, podczas gdy wyobraźnia ludowa wszystkim zdarzeniom towarzyszącym Narodzeniu

Pańskiemu nadała od dawien dawna rodzimy, polski, miejscowy nastrój i koloryt.

Niechaj nam w Jasełkach nikt nie przedstawia, że Jezus urodził się w Palestynie, w jakimś ciepłym kraju palm i figowców, i że przychodzą do betleemskiej stajni jacyś hebrajscy pół nadzy pasterze. Zapewne, tak było historycznie, ale w Jasełkach to nieprawda. Biblijna Palestyna nie istnieje. Rodził się tu, między nami, wśród polskiej mroźnej zimy, a Betleem leży w Polsce, gdzieś w Krakowskiem, w Proszowskiem, czy w Sandomierszczyznie. Przez szpary nędznej szopy dmą północne wichry, u zaśnieżonej strzechy wiszą sople lodu, górą niebo wyiskrzone gwiazdami, a między niemi najjaśniejsza — ta betleemska gwiazda, zwiastunka Odkupienia. Do szopy cisną się tłumnie, nie żydowscy pasterze, nie Azraele i Izmaele w wielbłądzich skórach, ale Kuby, Maćki, Bartki. Przynieśli z sobą, co mogli: ten kurę, ów kozę, szewc buciki dla Dzieciątka, cieśla dla Niego na zabawkę krzyżyk, a kowal gwoździki. Mróz skrzypi pod nogami wspaniałego orszaku Trzech Królów, którzy brną z darami przez zaspy, wlokąc za sobą po śniegu złociste płaszcze.

Jasełka powinny mieć czysto miejscowy, swojski, czysto polski charakter. Jest to przedmiot wspaniały, dotąd należycie nie wyzyskany po literacku. Jasełka takie, któreby trzeba napisać, musiałyby być wysnute z kolęd, z Kantyczek. A Kantyczki to przecie jeden z najstarszych i najrzewniejszych pomników ducha narodowego, to jedno z najpiękniejszych natchnień ludowej pieśni polskiej. Nasz lud nie stworzył Iliady, Nibelungów, ani bohaterskich rapsodów o Królewicu Marku, ale za to u nas od wieków

Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
Płakała w rymy ubrana najlichsze

i z pokolenia w pokolenie przechodziła, tworząc tę ogromną wiekową spuściznę, o której Mickiewicz w Wykładach literatury polskiej powiada, że „żaden naród na świecie nie może poszczycić się takim zbiorem jak nasze Kantyczki". Z tych kolęd naiwnych i w lichy rym poprostu ubranych, możnaby stworzyć

dzieło wielkie, samodzielne, obraz Bożego Narodzenia polskiego, dzieło takie, że nie tylko chłop, ale zdaje się każdy czułby się głęboko wzruszony. Prawdziwy poeta utworem takim mógłby przemówić do wszystkich warstw narodu i poruszyć najgłębsze pokłady uczuć polskich i ludzkich. Jasełka to dopiero jeden dział sztuk ludowych. Ich pora kończy się dniem 2 lutego.

A teraz sztuki lżejsze, któreby się odgrywały w tym krótkim czasie od 2 lutego do środy popielcowej: coś w rodzaju komedyi obyczajowej, krotochwile ze śpiewami i tańcami. Donioślejszego znaczenia nie miałby jednak cały ten lżejszy, współczesny rodzaj sztuk. Naprzód okres, w którym te sztuki mogłyby być przedstawiane, byłby bardzo krótki, a powtóre—śmiem twierdzić, że miałyby one niewielkie powodzenie. Dlaczego? Chłop z natury posiada bystrą i szczegółową obserwacyę, i dlatego w sztukach z życia wiejskiego nie może dopatrzyć się sam siebie; widzi różnicę w ubiorze, w układzie sprzętów w chacie, w malowaniach na skrzyni; śmieje się z tego albo spoziera niechętnem okiem. Wogóle do realistycznych widowisk nie ma lud zamiłowania. Nas zajmuje obserwacya zewnętrznego świata, bo żyjemy wewnętrznie, a przynajmniej nie uświadamiamy sobie ciągle zewnętrznego świata, widok realistycznego obrazu życia odrywa nas od toku pracy umysłowej. Lud żyje w świecie zewnętrznym, rzeczywistość ogarnia go zewsząd, to też chętnie odwraca się od niej i chce karmić umysł strawą donioślejszą. Szuka żywiołu bohaterskiego, religijnego, nęci go wszystko niepowszednie, co odbija od szarzyzny życia. Od paru lat mam ustawiczną styczność z ludem wiejskim i widzę, jakie książki temu ludowi się podobają. Mnóstwo jest np. z Towarzystwa oświaty ludowej książeczek o jednym Maćku, który pił, i o drugim Maćku, który nie pił, o jednym, który grał, i o drugim, który nie grał w karty — jednem słowem niezliczone obrazy obyczajowe z życia wiejskiego, które jak przypuszczał piszący, będą zajmujące dla ludu. Gdzie tam! to wielkie złudzenie. Czytelnik chłopski niechętnie bierze się do takich książek, a przyczyna tego bardzo prosta. Przypatrzmy się dziejom jakiejkolwiek literatury, np. greckiej. Naprzód był Homer i Aischylos,

a potem dopiero Aristofanes i Menander. Najpierwotniejszy człowiek, kiedy się w nim budzi potrzeba poezyi, żąda naprzód epopei, dopiero znacznie później może przejść „z pieśni do prostej powieści“ współczesnej. Dramat współczesny, psychologiczny, najskromniej napisany, najbardziej zastosowany do pojęć i poziomu chłopa, będzie zrozumiały może, ale nie zajmie z pewnością.

O co oni się dobijają najbardziej, gdy przychodzą do mnie: przedewszystkiem o Sienkiewicza Trylogię; ustawicznie ją rozchwytują, w kilku egzemplarzach obiega ona z ręki do ręki, odnoszona co tydzień przez jednych, oczekiwana przez drugich, którzy na kartkach zapisują się, chcąc ją po kolei dostać do czytania, skoro tylko będzie wolna. Obok Trylogii „Krzyżacy“; potem „Pamiętniki Paska“, „Listy Sobieskiego z pod Wiednia do królowej Marysienki“, „Dziennik ks. Piotrowskiego o moskiewskiej wyprawie króla Stefana“, „Pamiętniki Niemcewicza“, i t. p. Kiedy przychodzili do mnie starsi i światlejsi gospodarze, próbowałem czasem czytać z nimi najrozmaitsze rzeczy. Szalone powodzenie miały niektóre Pieśni i Fraszki Kochanowskiego, czasem ustęp jakiś z Reya, a co nie do uwierzenia: „Kazania sejmowe“ Skargi. Kiedy pokazywałem „Skargę“ Matejki i wobec tego obrazu, tłumacząc chwilę dziejową, przeczytałem ustępy z „Kazania o miłości ojczyzny“, nastało wzruszenie ogromne, przejmujące wszystkich do łez prawie. Odtąd zaczęto się skwapliwie dopominać o tę książkę. Musiałem kupić trzy egzemplarze, i choć rok już minął od tej pory, nie doszedłem jeszcze do tego, by który z tych trzech egzemplarzy zanocował u mnie. Ilekroć kto odniesie Skargę, tylekroć ktoś drugi pożycza go jeszcze tego samego dnia.

Taki zapał do „Kazań sejmowych“ to jedna z tych rzeczy, które najlepiej malują zamiłowanie chłopa do dzieł o podniosłym nastroju. A komuż przyszło na myśl, że „Kazania sejmowe“ to książka, która powinna być na gwałt wydana z objaśnieniami i z ryciną przedstawiającą obraz Matejki. Musiałyby one być uproszczone i skrócone, bo są w nich ustępy za trudne, wymagające zanadto dokładnej znajomości prawa i ustroju Rze-

czypospolitej, ale bądź co bądź, „Kazania sejmowe“ niezawodnieby się w tysiącznych egzemplarzach w przeciągu roku rozeszły.

Jak te książki, które oni najchętniej czytają, podobnie i teatr powinien mieć bohatersko-religijny charakter, powinienby być tem, czem była w Grecyi tragedya Aischylosa, bo i to przecież nie był teatr dla „wyższych dziesięcin tysięcy“; tłoczyły się na jego przedstawienia całe Ateny i zbiegała się cała Attyka. Aischylos pozostanie chyba na zawsze jednym z największych poetów świata, a jednak pisał dla wszystkich. To nie była literatura w gabinetowym czy buduarowym formacie, to poezya, która przetrwała do dziś dnia w całym blasku i potędze swej piękności, bo trafiła do wszystkich dusz, zarówno najprostszych jak i największych, budząc podziw i zachwyt zarówno w greckich pasterzach, jak w Göthem.

Jakiż mógłby więc być ten teatr? jakie powinien przedstawiać przedmioty? Poniekąd można się obejrzeć na teatr średniowieczny francuski; ten jest bowiem najpełniejszy, najbardziej typowy, i doszedł do największego rozwoju. Z motywów religijnych widzimy w nim dwa rodzaje: *Les Mystères* i *Miracles;* a te ostatnie bywają dwojakie: cuda Najświętszej Panny i rozmaitych świętych. *Mystères* są także dwojakie: *Nativités* (Jasełka) i drugie *Passions* (Przedstawienia Męki Pańskiej). W Oberammergau do dziś dnia one istnieją. Nasz chłop ma bardzo piękną i szlachetną drażliwość religijnego uczucia i nie zniósłby żadną miarą męki Chrystusa w teatrze. I zdaje mi się, że żaden z nas nie zniósłby tak samo aktora ubranego za Chrystusa i odgrywającego Jego rolę. Oberammergau ma być bardzo przejmujące, a jednak są to rzeczy zanadto święte i tajemnicze, aby je włóczyć po deskach scenicznych. *Passions,* czy niemieckie *Passionsspiele* średniowieczne musiałyby zatem odpaść zupełnie. Ale zostają właśnie *Miracles.*

Kiedy idzie kompania do Częstochowy lub Kalwaryi, słyszeć można śpiewaną pieśń o Matce Boskiej Gidelskiej: chłop orał; z pod skiby nagły jakiś błysk zaświecił, woły poklękały, oracz ziemię odgarnia i widzi obraz Matki Boskiej. Ale zamiast

podać na cześć publiczną, przywłaszczył go sobie, zabrał do domu i zamknął w skrzyni. Stąd cały szereg klęsk spada na dom i rodzinę. Uboga komornica, która u niego mieszkała, otwiera wieko skrzyni. Uderza na nią ogromna światłość. Spostrzegłszy obraz, kobieta biegnie do księży, daje im znać o wszystkiem. Pieśń kończy się założeniem kościoła i klasztoru w Gidlach. Oto jeden z motywów gotowych: doskonały *Miracle*. Nie gorszy materyał przedstawia ulubiona pieśń o sierotach. Nad łóżkiem umierającej matki wisi obraz Panny Częstochowskiej. Konająca oddaje sieroty Matce Boskiej, do której uciekać się mają w każdej potrzebie. Dzieci przechodzą przez różne przygody i niebezpieczeństwa, zwyciężają pokusy i trudności, polecając się zawsze Bogarodzicy, której wizerunek od złego je chroni i ratuje.

Zdawałoby się, że to nie dramatyczne. Ale przypomnijmy sobie Calderona „Nabożeństwo do krzyża", jeden z najwspanialszych dramatów, osnutych na zupełnie podobnym motywie. Może mi kto zarzuci, że to są rzeczy ludowi nazbyt znane, więc nie byłyby zajmujące na scenie. Ależ właśnie to tylko budzi zajęcie, co znane. Nic zupełnie obcego, nic zupełnie cudzego do nas nie przemawia i nie może się podobać. Jest to powszechne prawo psychologiczne, stwierdzone w każdej dziedzinie umysłowości ludzkiej, a polegające na kojarzeniu się pojęć.

A *Miracles* świętych! Oczywista, chodziłoby przedewszystkiem o świętych polskich. Mamy legendy urocze. Święci prowadziliby za sobą całą Polskę. Więc św. Wojciech, taki, jakim go przedstawiają legendy, a przy nim olbrzymia bohaterska postać Chrobrego. Po śmierci Męczennika poselstwo polskie przywozi cały wóz złota na wykupno jego zwłok od Prusaków. Daremnie walą i walą złoto na wagę, ciało jak skała nieruchome i ciężkie. Gdy brakło skarbów, przychodzi uboga wdowa i rzuca grosz jeden na szalę. Ten grosz waży sam tyle, co ciało Świętego, które miano wszystkiemi skarbami Chrobrego wykupić [1].

[1] Nie wiem, czy należycie wyzyskał tę legendę o świętym Wojciechu autor nieznanej mi sztuki ludowej grywanej z ogromnem powodzeniem w Warszawie na scenie teatru ludowego.

Sztuka o św. Stanisławie może jeszcze większe miałaby powodzenie, gdyby w niej ukazywał się biskup wiodący wskrzeszonego Piotrowinę przed sąd królewski i ginął potem na scenie pod ciosami Bolesława. Sztuka musiałaby się kończyć wygnaniem króla i tryumfalnym pogrzebem zrośniętych zwłok świętego patrona. W podobny sposób mogłaby być przedstawiona królowa Kinga, sprowadzająca sól z Węgier do Polski i uciekająca przed Tatarami, jak rzuca poza siebie wstęgi, a z każdej robi się rzeka, rozrywa ziemię i powstrzymuje ordyńców. Św. Jan Kanty z swym świętym uczniem Kazimierzem i wszystkie o nich podania, Józafat Kuncewicz i jego męczeńskie dzieje, to wszystko motywy ślicznych sztuk ludowych. Legend o Świętych polskich nie zabraknie, niech tylko znajdą się pisarze, którzyby chcieli je pięknie opracować. Sztuk takich dostarczyłby sporo konkurs należycie rozpisany. Nie trzeba wielkiego zmysłu dramatycznego, ani silenia się na osobliwe konflikty tragiczne. Wystarczy, jeśli się z tego zwoju legend wysnuje barwne, dyalogowane obrazy, ożywione scenicznym ruchem i przemawiające do widzów podniosłym nastrojem.

W legendy te wchodziłby oczywiście materyał historyczny. A chłop nasz właśnie lubi przedewszystkiem literaturę historyczną, a zwłaszcza dzieje polskie — historyi polskiej nigdy mu nie jest za wiele.

Kiedy w Toniach osiadłem, jedną z pierwszych rzeczy było, że się zapisałem do czytelni Kółka rolniczego, i zachodziłem na gazety, po to jedynie, by się z moimi sąsiadami poznać i mieć sposobność do nawiązania rozmowy o tem i owem. Od nich wyszedł pomysł i prośba, abym urządził niedzielne pogadanki. Na to tylko czekałem. Ale o czem? Zaraz pierwszej niedzieli do sali szkolnej przychodzi co najmniej dwieście osób, prawie sami gospodarze, trochę młodych chłopców. — „O czem byście chcieli mówić?“ Myślałem, że mię zapytają o coś z rzeczy przyrodniczych, że ich zajmą objaśnienia zjawisk natury, lub może sprawy odnoszące się do rolnictwa. „Możeby coś z historyi polskiej“ — powiadają. „Zgoda — odrzekłem — ale która epoka najwięcej was zaciekawia, który król?“ Jedni chcą słyszeć

o tym, drudzy o innym królu, aż nareszcie po długiej rozprawie zgodzili się, że może byłoby najlepiej rozpocząć od Lecha, a skończyć na... wczoraj. I od dwóch lat co niedzielę i święto schodzimy się w szkole; jest ich coraz więcej i już nie mogą się zmieścić w izbie szkolnej, nieraz tłumnie u drzwi otwartych stoją w sieni. Otóż zamiłowanie do historyi polskiej, tej historyi znajomość pomiędzy nimi już zastałem. Wynieśli już pierwsze, zasadnicze wiadomości z nauki szkolnej, w znacznej części dopełnili je sobie z książek. Wykłady moje były tylko uzupełnieniem i dokładnem rozwinięciem szczegółów.

Przyjechali z Krakowa do Toń młodzi panowie, którzy mieli wykład o Kościuszce. Pytam potem, jak się podobało „Mówił nam takie rzeczy, które już dobrze znamy. Ten wykład byłby dobry gdzieindziej, gdzieś dalej, gdzie ludzie mniej wiedzą — odpowiada niejeden z gospodarzy. — Przecie my od maleńkości na kopiec Kościuszki patrzymy. Każde dziecko od czterech lat wie kto Kościuszko, a on nam mówi, jak gdybyśmy o tem nigdy nie słyszeli". Istotnie oni całą historyę polską dobrze umieją i pozwalam sobie przypuszczać, że kto wie, czy niejeden z nich nie zawstydziłby znajomością naszej przeszłości ucznia z V lub VI klasy gimnazyalnej, a już zamiłowania do historyi mają bez miary. To też dla nich byłoby rzeczą niesłychanie zajmującą zobaczyć na scenie królów polskich, choćby nie wszystkich, ale właśnie tych, którzy najgłębiej w pamięć ludu wrośli: Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Jadwigę, Batorego, z pomiędzy bohaterów Kościuszkę.

Rzecz prosta, że trzebaby pokazywać nie historyę dramatyzowaną, ale raczej podania i legendy, owijające się około tych ulubionych postaci historycznych, zwłaszcza zaś te podania, w których występują chłopi jako współdziałające osoby. Łokietek w Ojcowskich jaskiniach przez chłopów żywiony, Kazimierz Wielki kiedy wypędza Rokiczanę za to, że chłopską chałupę w Łobzowie zburzyć kazała, albo gdy na Łobzowie chłopu Trzasce dziecko do chrztu trzyma — to motywy, które na scenie spotkałyby się niezawodnie z gorącym zachwytem wiejskiej publiczności. Wszystkie te legendy utrzymują się w żywej

tradycyi: do dziś dnia są w Bronowicach Wielkich Trzaskowie, którzy twierdzą, że wprost z tej samej rodziny pochodzą i nie ma powodu im nie wierzyć. Ileż podobnych, rzewnych i ślicznych podań opromienia postać Jadwigi na kształt aureoli tęczowej. Obok Batorego pod Wielkiemi Łukami stoi chłopski bohater Mieloch, późniejszy szlachcic Wielkołucki. Sobieski nie tylko Wiedeń oswobodził, ale także w Jaworowie poszedł w taniec z Kowalową, za Kościuszką sunie cały tłum szermierzy z Głowackim i Świstackim na czele. Tak pojęta historya doskonaleby się dała udramatyzować.

Mógłby ktoś powiedzieć, że są już niektóre takie sztuki. Prawda, jest „Kościuszko pod Racławicami", jest „Obrona Częstochowy". Ale i obie te sztuki i wszystkie inne, jakie znam na tle dziejowem osnute, nie nadają się w całości na scenę wiejską. Bywałem z chłopami w teatrze i śledziłem, jakie wrażenia sprawia przedstawienie, które sceny budzą zapał, a które mijają chłodno. Stanowczo mogę stwierdzić, że wszelkie momenty o nastroju wysokim, bohaterskim podobają się, gdy przeciwnie każdy epizod z prywatnego życia najmniejszego nie znajduje oddźwięku w wiejskich słuchaczach. Zgoła nic ich nie obchodzi, czy za p. Stanisława, oficera wojsk polskich, wyjdzie siostrzenica prezydenta Lichockiego. I sam Lichocki bynajmniej ich nie zajmuje; w jednej tylko scenie bardzo karykaturalnej, kiedy leżąc naprzeciw z Moskalem, obaj biorą się nawzajem w niewolę, wtedy wybucha śmiech szczery i głośny. Chłop łaknie bohaterskiej, epicznej pieśni, dreszczem wzruszenia i zachwytu przejmuje go aż do kości scena przysięgi, kucie kos, branie dział. Sąsiedzi moi w Toniach wyrwali z „Kościuszki" te właśnie bohaterskie momenta i próbowali odtworzyć je sobie scenicznie. Pierwsze te usiłowania teatru amatorskiego prawdopodobnie musiały wypaść nader nieudolnie, utkwiły jednak w pamięci, bo mi nieraz o nich opowiadają. Bądź co bądź, wybór tych właśnie scen jest bardzo znamienny.

Jeszcze jedna rzecz ciekawa: teatr wiejski musiałby być pozbawiony, podobnie jak teatr średniowieczny, scen miłosnych. Nie mogłem zrazu wytłumaczyć sobie, dlaczego w teatrze wobec

scen miłosnych nie już wprost jaskrawych, ale choćby tylko nieco śmielszych, widz wiejski zgorszony, doznaje uczucia niesmaku, a często wybucha śmiechem szyderskim, jak gdyby widział coś nieprzyzwoitego i zdrożnego. Starałem się zrozumieć przyczyny i doszedłem do rozwiązania bardzo prostego. Myśmy już od dawna przywykli, że pomiędzy nami a aktorami na scenie jest jakby mur nieprzenikliwy. Raziłoby nas, gdyby aktor choćby spojrzeniem porozumiewał się z nami. My żądamy, aby tak grał, jakby nas nie było. Cofnijmy się do teatru dawniejszego, shakespearowskiego, w którym Jago lub Ryszard III występuje na przód sceny i spowiada się widzom z tego, co myśli, co zrobić zamierza. To teatr pierwotniejszy, naiwniejszy od naszego, ścianka między widzem a sceną jest w nim jeszcze dość nikła i przepuszczalna. Otóż na tem samem stanowisku stoi widz chłopski. Kiedy widzi parę kochanków, narzeczonych albo nawet małżeństwo, które czułościom swoim folgę daje na scenie wobec tylu świadków patrzących i słuchających ze sali, wówczas czuje się całą niestosowność i nieskromność tych wynurzeń miłosnych. „Cóż ta kobieta jest warta, skoro mężczyzna wobec nas wszystkich prawi czułości. Żadna z naszych kobiet nie pozwoliłaby, by z nią mąż pieścił się przy ludziach". Oto, co czuje wówczas chłopski widz w teatrze. Pod tym względem oni mają w życiu swem towarzyskiem bardzo wiele smaku dobrego i wykwintnej skromności uczuć, której brak nieraz u ludzi niby dobrze wychowanych, gdzie młode małżeństwo zachowuje się niedość delikatnie w stosunku do otoczenia. Każda uczciwa wiejska dziewczyna jest pod względem bardzo surowa i uważająca, dla niej, jak dla Angielki, wszystko jest *shoking*. Nie można brać miary z dziewcząt wiejskich, służących w mieście, na ogół są to bowiem przeważnie szumowiny, które do miasta uchodzą, bo ich wieś nie chce znać i widzieć.

Ten wzgląd powinien być zawsze zachowany przy pisaniu i wystawianiu sztuk dla ludu wiejskiego.

Obok utworów religijnej i historycznej treści mogłyby mieć w repertuarze wiejskiego teatru niemałe znaczenie także przedhistoryczne mity: Lech, Krakus, Wanda, Piast, a wre-

szcie osobny dział, niezmiernie wdzięczny stanowiłyby klechdy i baśni z opowiadań ludowych zaczerpane. Przy ich wyborze należałoby jednak zwrócić baczną uwagę na ich pochodzenie, jest bowiem w tym rodzaju gadek bardzo wiele obcych naleciałości. Te, które mają wybitnie swojski, polski charakter, zasługują w pierwszym rzędzie na sceniczne opracowanie. Jest to istna kopalnia motywów i tematów dla teatru wiejskiego. Podane krótko, zwięźle, baśnie takie na scenie bardzo wielkie miałyby powodzenie. Mógłby ktoś powiedzieć, że pobudzałyby one tylko fantazyę, ale nie przyniosłyby żadnej pozytywnej korzyści. Odpowiedź na to bardzo łatwa, że w każdej klechdzie jest sens moralny, nieraz bardzo głęboki, a zazwyczaj wyraźnie i dobitnie podkreślony. Wystarczyłoby go tylko akcyą sceniczną na wierzch wydobyć. Trzeba jednak przytem unikać, by morał nie był podany nudnie albo w kaznodziejskich wywodach, bo to zabiłoby sztukę. Nie zniesie żaden widz, żeby ktoś tyrady moralne wygłaszał przed budką suflera i podawał je na łopacie. Pod tym względem jest chłop jak każdy inny: lubi, by mu sens, kwintessencyę pozwolono wyciągnąć samemu, a nie narzucano mu jej gwałtem.

Oto najważniejsze rodzaje sztuk, jakie — mojem zdaniem — najlepiej się nadają na scenę wiejską, bo odpowiadają umysłowemu widnokręgowi naszego chłopa, jego zamiłowaniom i pojęciom. Tło i wątek tych przedstawień byłyby czerpane wprost ze znanego mu i ulubionego świata podań, wierzeń i legend, które przeważnie nawet są własnym wytworem ludowej wyobraźni. We wszystkich tych tematach tkwi na dnie religijno-patryotyczna myśl, której szerzenie i głoszenie musi być głównym obywatelskim celem zarówno tego teatru, jak wszelkiej innej uczciwej i rozumnej działalności na polu oświaty ludowej. Nowością, którąby wnosiły ze sobą te sztuki i dzięki której pociągałyby wiejską publiczność, byłaby ich forma dramatyczna. Jakażby ona być musiała, jeśli ma trafiać do ludu?

Teatr ten — jak go sobie wyobrażam — to raczej teatr typów, niż charakterów. Jak w greckim dramacie maska była zewnętrznym wyrazem psychologicznej niezmienności każdego

typu, tak podobnie i tu postaci zachowywałyby od początku do końca jednolitą stałą fizyognomię duchową, będąc uosobieniem jednej jakiejś namiętności, jednego uczucia. W miarę postępu akcyi dramatycznej i naprężenia się sytuacyi musi to uczucie potęgować się i rosnąć, ale nie przeradza się i nie zmienia. Obyczajowa i charakterystyczna strona życia, żywioł komiczny, nie mogą i nie powinny być pominięte na scenie wiejskiej, aczkolwiek osobny rodzaj sztuk żywiołom owym poświęcony nie miałby prawdziwego powodzenia u chłopskiej publiczności, co już powyżej obszernie wykazane było. Za to w sztukach o szlachetnym, religijnym i bohaterskim nastroju, jakich lud nasz najbardziej łaknie, mogą epizodycznie występować drugoplanowe figury komiczne, choćby wręcz jaskrawo i karykaturalnie nakreślone, byle tylko we właściwych momentach były wprowadzane, tak, aby nietylko nie psuły i nie obniżały nastroju, ale przeciwnie podnosiły go prawem kontrastu. Takie przeciwstawienie scenom i postaciom poważnym a nawet wzniosłym — scen i figur komicznych, czasem wprost rubasznych i płaskich, widzimy w całym teatrze średniowiecznym lub u Shakespeare'a, i nikt nie zaprzeczy, że zwłaszcza w dziełach angielskiego poety wysoki nastrój scen tragicznych i patetycznych nic na tem nie traci. Zresztą nasz lud, jak wogóle wszelki lud, ma wrodzoną skłonność do żywych kontrastów, co się objawia wyraźnie w śpiewkach i opowiastkach, w których częstokroć łzy i śmiech mieszają się naprzemian, albo w stroju i w malowanych sprzętach, gdzie można spotkać zestawienia najsprzeczniejszych barw skontrastowanych z takiem poczuciem, że bynajmniej oka nie rażą i zlewają się nieraz w bardzo miłą i żywą całość kolorystyczną.

Kilka osobnych słów należy się zewnętrznej formie literackiej dramatu ludowego. Pożądany byłby niezawodnie wiersz przynajmniej w scenach o wyższym nastroju — raz dlatego, że wiersz potęguje niezawodnie takie nastroje i nadaje postaciom scenicznym pewną szlachetność, trudną do osiągnięcia w prozie, a powtóre, że dla amatorów byłby wiersz do nauczenia się nierównie łatwiejszy, niż proza. Wprawdzie aktor zawo-

dowy zazwyczaj woli uczyć się prozy niż wiersza, bo gdy go pamięć zawiedzie, załata prozę łatwiej niźli wiersz, ale amator, a do tego wiejski amator, własnym wymysłem szczerb w pamięciowem opracowaniu roli nie wypełni na scenie; on grać może tylko wtedy, jeśli się roli dosłownie wyuczył, a przy uczeniu się takiem rymy są zawsze jak poręcz, o które się pamięć opiera. Pomocne pamięci będą jednak rymy tylko wtedy, jeśli będą biegły blisko siebie: jeden za drugim parami, lub co najwyżej przeplatane co drugi naprzemian. Wiadomo, że najtrudniejszą rzeczą na próbach jest nauczyć się wpadania w słowa poprzednikowi, nie opóźnianie się z odpowiedzią w dyalogu. I w tej mierze także mogą rymy być wielkiem ułatwieniem w dyalogu wierszowanym, jeśli będą rozłożone tak, iż ostatni wiersz w roli jednego z grających, rymuje z końcówką pierwszego wiersza następnej, odpowiadającej figury. W taki sposób francuscy autorowie średniowiecznych mysteryów ułatwiali zadanie swoim aktorom. Czasem, gdy wypadło w dyalogu jeden wiersz, przełamany na dwie części, rozłożyć na dwie mówiące osoby, to w misteryach francuskich zachowywali poeci tę zasadę, że wiersz przełamuje się na dwie połowy w samym środku, na średniówce, oba zaś te półwiersze rymują z sobą w ten sposób, że jedna końcówka leży na średniówce, druga na końcu wiersza pełnego, czyli na końcu drugiego półwiersza.

Np. I aktor: — — — — || — — — — (końcówka) *a*
— — — — || — — — — „ *a*
— — — — || (końcówka) **b**

II aktor: || — — — — (końcówka) **b**
— — — — || — — — — „ *c*
— — — — || — — — — „ *c*

Autorów, którzyby pisali dla naszego teatru wiejskiego, nie należałoby oczywiście krępować niewolniczo, żądając bezwarunkowego stosowania się do takich zasad wierszowania, jakie widzimy w teatrze średniowiecznym we Francyi; bądź co bądź warto jednak wskazać, jak dalece ówcześni dramatopisarze liczyli się ze swymi amatorskimi wykonawcami. Jedną rzecz przy-

najmniej podnieść tu należy, dla autorów nieuciążliwą, a naszym przyszłym aktorom wiejskim nader ułatwiającą uczenie się ról wierszowanych: z wszystkich rodzajów polskiej rytmiki, wiersz ośmiozgłoskowy jest równie do pisania, jak do opanowania pamięciowego najłatwiejszy, nie tylko że krótki, ale zdaje się, że słuchowi polskiemu najbardziej przyrodzony, najnaturalniej w ucho wpadający, czego najlepszym dowodem przeważna większość piosnek ludowych ośmiozgłoskowym wierszem ułożonych.

Pozostawałoby jeszcze zastanowić się nad stylem i językiem sztuk pisanych dla sceny wiejskiej. Że zdania muszą być krótkie, jasne i przejrzysto budowane, że górnolotnych frazesów, pompatycznej sztuczności i afektacyi dopuszczać się nie można— to chyba jest oczywiste jak na dłoni. Zbytecznem także byłoby chyba udowadniać, że lud nasz mówi przepysznym staropolskim językiem, stylem żywym, obrazowym i dobitnym, który często jędrnością przypomina Reya, bogactwem i wspaniałością — Kochanowskiego, siłą i prostotą — Skargę. Każdy, kto jako pisarz ma szczęście i zaszczyt władać takiem przecudnem narzędziem, jakiem jest polska mowa — ten wie, że mowy tej korzenia i rdzenia szukać trzeba u ludu zarówno, jak u mistrzów wiersza i prozy w XVI i XVII w. Język literacki to zaledwie połowa polskiego języka, druga połowa skarbu tkwi jeszcze w głębokich pokładach na dnie społeczeństwa, jak drogocenny kruszec ukryty w podziemnych złotodajnych żyłach. Mickiewicz pierwszy pokazał drogę; on pierwszy swoją poezyę „skalał gminnemi wyrażeniami“, które naprzekór „krytykom i recenzentom warszawskim“ świecą w jego dziełach, jako klejnoty najczystszej wody. Odtąd już cała poezya polska przestała „gminne wyrażenia“ przesiewać przez przetak „dobrego smaku“, owszem sięga po nie całemi garściami, używa ich szlachetnie, mądrze i artystycznie. Dziś już każdy wyraz chłopskiego pochodzenia, jeśli tylko dzielnie trzyma się w książce pod rozkazami utalentowanego pisarza, dochodzi do rychłej nobilitacyi, której mu nigdy nie odmówi powszechne poczucie językowe narodu.

O literackie prawa ludowego języka niema zatem potrzeby walczyć w polskiej poezyi, a tem jeszcze mniej na scenie wiej-

skiego teatru, bo tam język ten będzie jak u siebie. Owszem, trzeba raczej rzucić przestrogę, by pisarze dla tego teatru pracujący, nie przesadzali w tej mierze i nie usiłowali z etnograficzną wiernością podrabiać języka ludowego. Postaci chłopskie niechajby mowę sobie właściwą w życiu, zachowały na scenie, byle nią nie przemawiały postaci wzięte z warstw innych, bo to na wiejskiego słuchacza sprawiałoby wrażenie przedrzeźniania. Wogóle powinno się pisać dla ludu takim stylem i językiem, jakby się nie dla ludu pisało, z tym chyba dodatkiem, że jeśli prostota i przejrzystość formy zawsze i wszędzie jest piękna i szlachetna, to tu jest nadto jeszcze nieodzowna.

Wystawa sztuk i środki sceniczne mogłyby być bardzo proste. Wszak lud nasz, to publiczność jeszcze zupełnie dziewicza, nie zepsuta wygórowanemi wymaganiami, która teatrowi chętnie użyczy swej wyobraźni, i z całą dobrą wolą podda się sama scenicznemu złudzeniu. Pierwotna, niemal shakespearowska wystawa i urządzenie wystarczy. Zwłaszcza w amatorskim typie teatru wiejskiego, publiczność będzie nader wyrozumiałą na wszystkie braki tego rodzaju, patrząc pobłażliwem okiem na wysiłki i dobre chęci własnej swojej miejscowej sceny. Przejezdni aktorzy zawodowi, w teatrze wiejskim drugiego typu, nie mogą wprawdzie liczyć na tak bezgraniczną pobłażliwość; i słusznie, bo ich scenka rozporządzałaby o wiele bogatszymi środkami niż amatorska. W każdym razie nie spotkają się oni z wymyślną wybrednością, i niezawodnie w zachwyt wprawią widzów niekosztową bynajmniej wystawą.

W końcu jedno jeszcze pytanie: któremu z tych dwóch typów teatru wiejskiego należałoby dać pierwszeństwo? Czy szerzyć pomiędzy ludem pomysł wiejskich scen amatorskich a zawiązane Kółka dramatyczne popierać wszelkiemi siłami — czy stworzyć jakiś jeden teatr, objeżdżający wsi, złożony z aktorów zawodowych? Zdaje się i jedno i drugie byłoby pożądane. Co się tyczy teatru okrężnego, to najpoważniejszą trudność stanowiłoby jego pomieszczenie: w mało której wsi znalazłby się budynek do teatralnego użytku możliwy. Zimowa pora najsposobniejsza do przedstawień, grania na otwartem miejscu

nie dopuszcza. Kiedy się pojawił wniosek o wędrownym teatrze wiejskim, wówczas przedewszystkiem nad tem się zastanawiałem, jakby tę trudność rozwiązać. Doszedłem do tego, że jedynem wyjściem byłoby zbudowanie przewoźnego budynku teatralnego. Chcąc wiedzieć coś pewnego, zwróciłem się do przedsiębiorstw szwajcarskich, które wyrabiają przewoźne budynki wszelkiego rodzaju, jak sale koncertowe, odczytowe, domki mieszkalne i t. p. i wywiadywałem się, ile mniej więcej mógłby kosztować teatrzyk przewoźny ze składanych i szczelnie do siebie przystosowanych desek, obejmujący salkę na określoną ilość osób od 300—500, oraz niewielką scenę i garderoby. Okazało się, że 4—5000 złr. wystarczyłoby na taki budynek a 6—8 par koni do przewiezienia. Największy koszt przedstawiałoby zatem zakupienie i utrzymanie owych kilku par koni do przewozu budynku, aktorów, dekoracyi i garderoby. Wobec niezaprzeczonego zamiłowania widowisk scenicznych u naszego ludu, można się jednak spodziewać, że gminy wiejskie dobijać się będą o przyjazd teatru i chętnie każda podwód potrzebnych dostarczy, byle go tylko na kilka przedstawień pozyskać. A gdyby nawet w ostateczności trzeba było tu i owdzie konie wynająć, to przecie koszta własnego czy najemnego przewozu nie stanowią chyba trudności nieprzełamanych. Ogółem zdaje się, że jakieś 30 może najwięcej 40.000 złr. jednorazowo wyłożonych opędziłyby koszta utworzenia teatru, zakupna dekoracyi, strojów i przyborów, zwerbowania niezbyt licznej, z kilkunastu osób składającej się garści aktorów. Najlepiej byłoby wybrać które z już istniejących, zorganizowanych towarzystw wędrownych, które po miasteczkach prowincyonalnych uwijają się o głodzie i chłodzie i najczęściej straszny żywot prowadzą. Taką scenę wziąć na sejmową subwencyę, a w zamian za to Wydział krajowy miałby nad nią prawo dozoru oraz wyboru przedstawianych sztuk. Dyrektor byłby odpowiedzialny wobec osobnej Komisyi przez Wydział krajowy powołanej w tym celu, a nadto mogliby być mianowani powiatowi delegaci, doglądający ludowej sceny w czasie objazdów. Kilkutysięczny stały zasiłek sejmowy zapewniłby takiemu teatrowi jaki taki byt, zwłaszcza że dochód z przedstawień musi

także być brany w rachubę. Trzeba to bowiem podnieść z naciskiem, że nigdy nie tylko teatr, ale wogóle nic nie powinno być nigdy robione dla ludu za darmo. Oni już pomału zaczynają się przyzwyczajać do tych wstępów bezpłatnych, do tych rozrywek i widowisk, w których im udział daje się z łaski, a zapomina się przytem, że oni drogo tę darowiznę opłacają, bo za cenę swej ludzkiej godności i dumy. Z naszym ludem nie wolno obchodzić się, jak z tłumem dzieci, lub co gorsza, jak z rzymską gawiedzią, której schlebiano dając jej za darmo *panem et circenses.* Przyzwyczajajmy go do tego, że, jako dojrzały ma on swoje prawa i swoje obowiązki. Należy mu się wszystko zawsze na równi z innymi i dlatego właśnie — jak nikomu tak i jemu nie należy się nic za darmo. Czas już zaprzestać raz tych darowizn, jałmużn i łask wyrządzanych ludowi, bo to po prostu złe i niemoralne. Niechaj chłop w stosunku do swej możności ma wszędzie ceny przystępne. Niech da 5 ct. za miejsce i niech ma p r a w o bawić się za s w o j e 5 ct. Gdy nic nie da, będzie się naigrawał z teatru, będzie go lekceważył. Konieczną jest mała opłata, ale zawsze opłata.

Teatr przewoźny, oprócz dochodów płynących stale ze zwykłych przedstawień, miałby rok rocznie w lecie przez parę tygodni świetne, a zawsze pewne zyski w miejscach odpustowych. Czem dla zamożniejszych stanów letni wypoczynek u wód albo w miejscowościach klimatycznych, tem dla wiejskiego ludu pielgrzymka na Kalwaryę, do Częstochowy, Leżajska, Mogiły i t. p. Jak tam obok głównego celu leczniczego, tak tu obok celu nabożnego, chęć rozerwania się i odświeżenia wrażeń wchodzi w grę najniezawodniej. To też chłop, zresztą zwykle bardzo ściśliwy i liczący się z groszem, w miejscach odpustowych nie żałuje sobie na wydatki nawet nie niezbędne. A że najgłówniejsze odpusty przypadają właśnie po żniwach, więc nic dziwnego, że pątnicy wydają wtedy na przyjemności lub zakupy więcej, niż przez cały rok na rozrywkę i zabawę. Od 15 sierpnia do połowy września i później trwają te wędrówki ludów po miejscach odpustowych. Oto złote żniwo dla teatru wędrownego wiejskiego. Budynek kiedyindziej dachem kryty, przeznaczony dla 300 czy

500 osób musiałby być tak urządzony, aby się dał zamienić w coś nakształt niekrytej, ale za to dwa lub trzy razy obszerniejszej areny z przytykającą do niej scenką i garderobami. Miejsca musiałyby być przeważnie stojące tak, aby tysiączny tłum korzystać mógł z widowiska.

Sztuki w teatrze wiejskim grywane powinny być wogóle krótkie i nie przeciągać się ponad $1^1/_2$ do 2 godzin. To też na odpustach w ciągu długiego letniego popołudnia dałoby się urządzić kolejno dwa lub trzy przedstawienia tak, iż dziennie kilku tysięcom wiejskich widzów dostarczyłaby scena szlachetnej i pouczającej rozrywki. Teatrowi zaś objazd miejsc odpustowych dostarczyłby obfitszych może dochodów, niż całozimowa wędrówka od wsi do wsi.

Nawiasem mówiąc, dziwne to, że choć pragniemy oddziaływać na lud, to jednak nie umiemy znaleźć nieraz dróg, środków i sposobów tego działania, zaniedbujemy najkorzystniejsze okoliczności i pory a potem żalimy się, że wszelkie wysiłki, nawet poświęcenia i ofiary nasze nie przyniosły skutku. Czemu np. w miejscach odpustowych, gromadzących jak Kalwarya do 30000 ludu, niema i nigdy dotychczas nie było kramów z książkami Towarzystwa Oświaty ludowej lub wydawnictwami Towarzystwa Szkoły ludowej, Macierzy i t. d. Leżą książki tych Towarzystw, tak pożytecznych i obywatelskich, u naszych księgarzy, za wielkiemi, sążnistemi szybami, gdzie chłop nie śmie wejść i nigdy się nie ośmieli. On jeśli już kupuje książkę, to idzie do straganów i kramów np. w ulicy Stolarskiej, gdzie leżą rozmaite wydawnictwa żydowskie, najczęściej ohydne, czasem tylko cudaczne powiastki, śmieszne a zarazem smutne; rzadziej nawinie się poczciwy przedpotowy jeszcze kalendarz lub zdefektowany szpargał jakiś na makulaturę. I nikt nie zajął się tem, aby chłopu podsunąć właśnie dobrą i użyteczną książkę. Żądamy od niego, by chodził, szukał tej książki. Ona powinna przyjść do niego, znaleźć się tam, gdzie on bywa. I tak samo teatr. Zwłaszcza w miejscach odpustowych w lecie powodziłoby się przewoźnej scenie doskonale. Oczywista, potrzebowałaby koniecznie zasiłku sejmowego, ale jeżeli zasługują nań sceny

miast stołecznych, to z pewnością niemniej ważny, a może w skutkach działalności swej donioślejszy, byłby okrężny teatr ludowy.

Dramatyczne Kółka amatorskie, które już tworzą się tu i owdzie (a coraz gęściej tworzyść się powinny) — również warte są poparcia i opieki[1]. Możnaby ująć je w pewną stałą organizacyę, jak np. Kółka Rolnicze, rozpatrzeć się w ich repertoarze, dostarczać im dobrych sztuk do grania, sztuk w tym rodzaju, jak je przedstawiłem. Rozpisanie konkursu dramatycznego byłoby ogromnym krokiem naprzód. A poza tem dla zachęty można wyznaczać coroczne jednorazowe nagrody dla towarzystw amatorskich najruchliwszych i najlepiej grających, jako zapomogę na zakupno strojów i dekoracyj. Pewien nadzór za pośrednictwem delegatów powiatowych byłby i dla teatrów amatorskich nie bez korzyści, a dawałby rękojmię, że Kółka dramatyczne ubiegające się o sejmową nagrodę mają do niej rzeczywiste i zasłużone prawo.

* * *

Oto mniej więcej najgłówniejsze uwagi, jakie chciałem rzucić w sprawie przyszłego teatru wiejskiego. Myśl sama takiego teatru jest nie moja — jak to zaznaczyłem na wstępie. — Wiem, że u nas, gdy mowa o rzeczach ludu się tyczących, wychodzą na jaw nieocenione skarby zapału i obywatelskiego poczucia, ale niestety najczęściej w parze z bezdenną nieświadomością psychologii chłopskiej. Starałem się przeto skorzystać z tej znajomości ludu wiejskiego, na jaką mnie stać dotychczas. Może być, że się w niejednem jeszcze mylę, że dalsze lata w codziennej a coraz serdeczniejszej przyjaźni sąsiedzkiej nauczą mnie czytać jeszcze wyraźniej w duszy ludu. Na razie pragnąłem tylko wskazać, jak powinien wyglądać przyszły teatr

[1] Już po oddaniu do druku powyższej pracy, autor otrzymał z różnych stron szczegółowe a nader ciekawe wiadomości o istnieniu amatorskich scen ludowych w różnych miejscowościach, jak w Kłaju, w Radomyślu (pow. tarnobrzeski), w Trzcianie (pow. rzeszowski) i t. d. Dowodzi to najlepiej, jak dalece dojrzała już myśl teatru wśród ludu wiejskiego.

wiejski, skoro się jego powstanie i urządzenie rozważa. Pierwszym warunkiem przyszłości jego jest to, by się nie spaczył w zawiązku, stając się narzędziem jakiejkolwiek politycznej roboty któregobądź z obozów. Jest jedno tylko stronnictwo, które całą tę sprawę w ręce ująćby powinno: stronnictwo czystych serc i dobrej woli. A sprawa jest równie pilna, jak ważna, bo pomysł raz rzucony już nie przejdzie bez echa i prawdopodobnie urzeczywistni się w niedługim czasie; a jeśli teatr wiejski powstanie w tej lub innej formie, ale bez opieki, bez współudziału ludzi ożywionych prawdziwie narodowym duchem, to zaopiekują się nim niezawodnie inni, gorsi, a wtedy mógłby stać się rzeczywiście szkodliwym. O ile zdołamy tchnąć weń całą naszą miłość ludu, a za podstawę dać mu szczerą myśl polską i katolicką, o tyle z pewnością przyniesie obfite plony i zbliży nas do wspólnego, najwyższego, jedynego celu, dla którego wszyscy żyjemy.

Lucyan Rydel.

PODFILIPSKI I DOŁĘGA.

W „Podfilipskim“ są dwie opinie o nowszych powieściach polskich.

Jedną wygłasza Podfilipski:

„Gdy przypadkiem wezmę do rąk jaką polską powieść, pytam się: gdzie ja jestem? dlaczego nic a nic autorowi nie wierzę? dlaczego nic mnie nie pociąga do osób, ani do mysli? Odpowiadam sobie na to tak: Najprzód ci panowie i panie (o, pań jest dużo!) nie obserwują osób z wyższych sfer towarzyskich, jeżeli zaś to czynią — tworzą dziwolągi. Ale nie biorą nawet pod obserwacyę typów z szerszego świata, nie przejmują się żadną ideą ogólniejszą. Zawsze to samo: scenki obyczajowe u chłopów, mieszczan i drobnej szlachty — rzeczy tak lokalne, tak nie zajmujące poza granicami jednej prowincyi, a czasem parafii, że aż mdło się robi. Tych produktów ani przełknąć ani wywieźć za granicę. Przecież nikt na prawdę za granicą nas nie czyta“.

Ligęza zaczął nieśmiało bronić naszej literatury; „Może nie każdy rodzaj podobać się każdemu, ale każdy będzie dobry, gdy go silny talent poprze...“ Konkretnego zdania jednak nie wygłosił.

Natomiast mieści się druga opinia o powieściach polskich w mowie młodego profesora literatury na cześć jubilata:

„...W tej powieści i w tym dramacie okazał się prawdziwym artystą. Pod wpływem silnego wrażenia zadumał się nad

sensem życia, którem żył, powietrza, którem oddychał, ludzi, których znał — i, samoistnie zauważywszy proste i znaczące słowa, obrazy, sceny, — dał nam je od siebie, nie od kogo, bez zabarwień cudzych, bez francuskich sosów, bez mgieł skandynawskich. Stworzył dzieło trwałe, bo z nas i z siebie samego wysnute...“

Dwie opinie, dwa sądy, bardzo a bardzo różne. W tych sądach zaś o powieściach zawarte są równocześnie poglądy na to, co to jest powieść i na życie, które powieść odzwierciedla.

Autor, piszący powieść, musiał się przedtem, zanim powieść napisał, nad tem zagadnieniem zadumać. Czytelnikowi rzucił dwa poglądy i zostawił mu wybór; chcesz, to bądź jak Podfilipski, a nie chcesz, to stań na stanowisku owego profesora, — a jeżeli ci się jedno i drugie nie podoba, wymyśl sobie, jak Ligęza, coś trzeciego, tylko nie bądź tak, jak Ligęza, nieśmiały i skromny nawet wobec samego siebie i sformułuj swój sąd wyraźnie, a przedewszystkiem dokładnie. Ale sam autor, za którem zdaniem idzie, które się unosiło w jego myśli, gdy te dwie powieści tworzył, tego nam nie powiada; każe — milcząco — szukać odpowiedzi w samych książkach.

Szukając zaś tej odpowiedzi, spotykamy po drodze nawał wrażeń i myśli, które każą nad sobą się zastanowić. Ten nawał wrażeń i myśli jest zrazu nieco chaotyczny. Z czasem jednakże zaczynają się z niego wyłaniać, a później utwierdzają jako pewniki, dwie myśli główne.

Pierwsza: że to są dwa dzieła bardzo niecodzienne.

Druga: że to są dwa dzieła bardzo smutne.

Tak wyglądają nasze myśli i wrażenia po pierwszem przeczytaniu obu powieści i po pierwszych chwilach chaosu. Aby je sprawdzić, wracamy do powieści po raz drugi, — i w mniemaniu naszem się utwierdzamy. Aby wreszcie udowodnić je i pokazać innym, wracamy do powieści po raz trzeci, i studyujemy je już z ołówkiem w ręku. I tak powstaje rozprawka, szkic, *essay* (czy jak kto chce tę rzecz nazwać), poświęcone „Żywotowi i myślom Zygmunta Podfilipskiego“ i „Sprawie Dołęgi“.

A skoro już raz jesteśmy w tym pędzie rzucania sądów *a priori*, to pójdźmy jeszcze nieco dalej. Obie powieści są niecodzienne, o wartości wielkiej, tak przez to, co jako dzieła sztuki dają, jak i przez formę, w której to robią. W pierwszem dzielą los wielu innych powieści równie dobrych, jest w nich zasada i treść ta sama: przedstawiają, jak i inne, charaktery ludzkie, rzucają je na tło pewnych wypadków, są jak inne teatrem duszy ludziej. A że na tym teatrze grają nie maryonetki, nie szablony, nie manekiny, lecz osoby żywe, więc słuszna, że powieściom tym przypisujemy wielką wartość. Wszak powieść, jeżeli jest istotnie powieścią a nie czemś innem, przemycanem pod marką powieści, tylko to, nic innego, przedstawić winna, tylko takie, nie inne jest jej zadanie. Jeśli to zadanie spełni, artystycznie wszystko spełni.

Forma zaś, w którą odziane są powieści Weyssenhoffa, jest od form, używanych w nowszej powieści polskiej, mocno różna. Ona stanowi ich odrębność, ich wdzięk zewnętrzny, ona obdarza je wielkim powabem. W niej jest ich siła, — i w niej skryte są obu książek niedostatki. Mówię o rzeczy znanej. Określić się da jednem słowem: ironia. Nie to, co się często spotyka czy w książkach czy w rozmowach o Weyssenhoffie jako cechę tej formy: subtelność, takt artystyczny, delikatność, malowanie półtonami — nie — to wszystko dzieci tej zasadniczej normy, ironii. W ironii siła i powab Weyssenhoffa. W ironii też jego słabość: tam, gdzie w niej przebierze miarę; gdzie stara się zaakcentować ją zbyt silnie; gdzie jej wreszcie brak. To ostatnie zdanie rozumieć trzeba w sensie następującym. Ironią maluje się postaci negatywne. Tak też malowane postaci są u Weysenhoffa najświetniejsze. Tym zaś negatywnym autor przeciwstawia w „Podfilipskim“ dorywczo, w „Dołędze“ stale — postaci dodatnie. A te mu się udają mniej. Ale autor przyszedł do nich tylko przez ironię. Proces psychologiczny twórcy był tutaj taki: namalowałem postaci, nad któremi pobłażliwie a złośliwie się uśmiechając kiwałem głową; namaluję teraz takie, przed któremi schylę głowę. Teza wywołała antytezę.

Synteza objawiła się w formie nauki. Rzucił nam autor

typy ujemne i dodatnie, mówiąc: jedni z was są tacy, drudzy tacy. A my oczywiście mówimy sobie: trzeba nam być, jak są ci drudzy, ci lepsi. Ale niestety, zanim ta konkluzya pedagogiczno-etyczna wytworzy się w naszym umyśle, pogląd na owe postaci ujemne da dużo do myślenia, a będą to same niewesołe myśli. Jeżeli nasze społeczeństwo wydaje takie typy, jak Podfilipski — a widocznie wydaje je i w znacznej ilości, skoro nadszedł czas na ich portret artystyczny — to w tem zdrowem społeczeństwie są jakieś oznaki choroby. Z drugiej strony zaś czujemy, że w tem, co Podfilipski na to społeczeństwo wygaduje, jest nie tylko poza, płytkość, egoizm Podfilipskiego, ale niestety także dużo, dużo prawdy. Dalej: jeżeli nasze tak zwane wyższe sfery są takie, jakie ku nam wyglądają ze „Sprawy Dołęgi", to ten wielki zasób kultury zewnętrznej, środków materyalnych i inteligencyi czy prędzej zdolności do inteligencyi, jakie te sfery posiadają, jest dla kraju, dla społeczeństwa, najzupełniej zmarnowany.

Czy autor chciał te myśli nam nasunąć, czy to chciał wyrazić? Otóż naprzód czy chciał, czy nie chciał, wyraził je, skoro one — bez współdziałania naszej fantazyi — nam się nasuwają. Ale jednakże wyraził: ubocznie w „Podfilipskim", ubocznie i wprost w „Dołędze". Ubocznie, to jest przez ironię, która ma podkład głębszy i szlachetniejszy, niż się wydaje w pierwszej chwili, podkład, który po przez tę ironię przeziera. Wprost — różnymi sposobami, więc tyradami, w które „Sprawa Dołęgi" obfituje, typami dodatnimi, jak Dołęga i Helle, obrazem duchowej przemiany Andrzeja Zbarazkiego w scenie ostatniej.

* * *

Czy „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" można nazywać powieścią? Dla krytyka, który przywykł klasyfikować zjawiska literackie według pewnych norm i przylepiać na nie etykiety, pewien kłopot. Tego, co najzwyczajniej widzimy w powieści, tego tu niema. Niema ścisłej, jednolitej kompozycyi, która wymaga, aby jedno główne zdarzenie było osią, około której obracają się wszystkie inne fakta mniej znaczące. Ta

książka nie ma początku i końca, bo śmierć bohatera jest końcem materyalnym, ale nie musi być końcem artystycznym. Słowem niema tu punktu ciężkości. Niema też tych zewnętrznych więcej ingredyencyi, któreśmy się tak przyzwyczaili widzieć w powieści: nie panuje tu nad wszystkiem eros, niema dwóch serc kochających, przeszytych strzałą amora. Po prostu książka nie jest powieścią, jeżeli ten wyraz bierzemy w pojmowaniu popularnem.

Ale gdy z takiego pojmowania zrezygnujemy, pokaże się, że jednak „Podfilipski“ jest powieścią. Istotne cechy powieści posiada; jedność kompozycyi podtrzymuje główna osoba i kreślenie charakteru tej osoby jest zadaniem książki. Jest to studyum psychologiczne, ale pisane nie przez psychologa-uczonego tylko przez artystę, więc też ubrane jest w szatę nie naukową lecz artystyczną.

Na pozór jest niby odwrotnie. Książka robi taką minę, jak gdyby nazwę powieści uważała za coś ubliżającego dla siebie, a chciała uchodzić za studyum naukowe. Albo za studyum psychologiczne, albo jeszcze lepiej za biografię wybitnego męża, ważną dla historyi cywilizacyi. Poczciwy Ligęza mówi przecież wyraźnie:

„Postać Zygmunta Podfilipskiego czeka na drugie swe wcielenie, kołacze do bram literatury i historyi. Jest to postać wymowna, przesiąknięta nami samymi, postać, której nie można pominąć w rocznikach naszej cywilizacyi. Pamiętniki takich ludzi, życiorysy ich — służyć mogą przyszłemu historyi epoki lepiej, niż pamiętniki sławnych, których pełne są gazety i usta współczesnych“.

Więc cel najzupełniej naukowy. Naukową też jest forma; więc cytaty, uwagi u dołu strony pod kreską, rzadki ptak w powieści a gość zwykły w rzeczach naukowych; więc dokumenty w tekście książki; więc wreszcie te bajeczne anneksa, wprowadzone z miną najprawdziwszego historyka lub filologa.

Ale tej naukowej formy nie mamy się co obawiać. To nie będą zawiłe konstrukcye naukowe, ani sucha biografia, zestawienie dat i faktów. To jest tylko taka mina seryo, jaką czasem

zrobi dziadek, gromadząc wnuczków koło siebie; mina groźna, malcy boją się, czy to nie będzie jaki egzamin, aż tu dziadek zaczyna opowiadać o królewnie zaczarowanej, śpiącej w zamku kryształowym na szklanej górze, o domku, obracającym się na kurzej łapce, i o innych tym podobnych cudach. Taką samą niespodziankę robi nam autor „Podfilipskiego". Studyum naukowe? Nie, to powieść, najprawdziwsza w świecie powieść, nawet nie „studyum psychologiczne". Nie będziemy się przypatrywać „włosowi, rozkrojonemu na cztery części". To powieść i do tego zajmująca.

Czy ta pokrywka pseudo-naukowa wykonana jest dobrze? czy to książce nie zaszkodziło?

Z pewnością nie. Czytelnik po kilku pierwszych słowach domyśla się, w czem rzecz. Wprowadzony jest od razu na odpowiednie tory i w odpowiedni nastrój. Po kilku pierwszych słowach poznaje, że główną bronią, którą autor walczyć będzie, będzie ironia; będzie najzjadliwsza i najgłębsza satyra, maskowana dobrodusznością poczciwego Ligęzy. Skoro zaś przyjdzie do owych wspaniałych Anneksów, zrozumie, że nie tylko nie są one zbyteczne, ale owszem konieczne. One uzupełniają, dopowiadają to, czego, chcąc być konsekwentnym w technice, w tekście autor nie mógł powiedzieć. One objaśniają ostatecznie kilka spraw, a rysy, w nich zawarte, konieczne były dla pełności obrazu. Wystarczy przypomnieć, że stosunek do Falbanki i do pani Aliny dopiero po przeczytaniu Anneksów staje przed nami wyraźnie, w całym przebiegu — i w całej ohydzie. Również historya z Kołczanowiczem. Tego w toku dzieła nie można było pokazać, inaczej załamałaby się konsekwencya; Ligęza tego wszystkiego wiedzieć i widzieć nie mógł, a choć szczegóły widział, całości nie odgadł i odgadnąćby nie potrafił. To jest z jego charakterem w nadzwyczajnej zgodzie, i podziwiać trzeba twórczą inteligencyę Weyssenhoffa, że właśnie tak rzecz poprowadził. Tem bardziej, że co się tyczy zasadniczego tonu, Anneksa są z książką w najpełniejszej harmonii. Więc uzupełnienie obrazu istotne a konieczne, dokonane temi samemi farbami.

Otóż przez całą tę rzekomo naukową machinę forma powieści zyskała ogromnie na oryginalności.

Więc ostatecznie: jeżeli ktoś koniecznie chce obstawać przy tem, że to nie jest powieść, nie wyzwiemy go na udeptaną ziemię; *habeat sibi;* czy to będzie powieść, czy nie, główna rzecz w tem, że to dzieło bardzo oryginalne, bardzo zajmujące, bardzo artystyczne, słowem dzieło wielkiej wartości.

Jest to portret duchowy jednej osobistości. Nie więcej. Wszystko inne, co ją otacza, wszystkie postaci drugorzędne, to tylko akcesorya, tylko tło. Wszystko służy tylko do tem pełniejszego, tem doskonalszego nakreślenia portretu. Cała książka obraca się około Podfilipskiego. Nie jest to wszakże analiza poszczególnych stanów duszy, nie jest to rozkładanie duszy na najdrobniejsze części składowe i przypatrywanie się im przez lupę; to jest syntetyczny zbiór tych właściwości psychicznych, które stanowią istotę duszy i zarazem jej odrębność od innych, jej indywidualność. Wydobycie tych pierwiastków i artystyczne ich skombinowanie: to jest właśnie zadanie portrecisty psychicznego.

Podfilipski zapełnia sobą całą książkę, zapełnia tak, że dla innych już niema miejsca. Wszystkie inne osoby obracają się około tego punktu ciężkości — w powieści oczywiście, nie w życiu. Wszystkie służą do tego, aby ten portret uzupełnić. Jedne jako uzupełnienia istotne. Przez malowanie ich stosunku do Podfilipskiego, poznajemy lepiej jego charakter, widzimy go w działaniu wobec tamtych osób. Do nich należy z ważniejszych drugoplanowych postaci przedewszystkiem Falbanka, po części pani Alina. Drugi zaś, wręcz inne od Podfilipskiego i nie mające z nim właściwie żadnych związków, prawem kontrastów oświetlają osobistość bohatera; takim jest zwłaszcza Podfilipski i Kostka.

Z tego tak umiejętnego ustawienia głównej postaci na miejscu dominującem i tak zręcznego splątania z nią jednych a przeciwstawienia jej drugich osób, wyłania się ten charakter z nadzwyczajną plastyką i wyrazistością, z nadzwyczajnem życiem. Doprawdy, że bardzo trudno znaleźć w naszej nowszej

powieści typ, tak znakomicie postawiony, tak wszechstronnie oświetlony i pokazany. Zawdzięcza to zaś przedewszystkiem doskonałości architektoniki książki.

I tu objawia się nam druga niepospolita zaleta powieści. A powiedzmy odrazu: zaleta, którą nasze powieści wogóle nie mają się co tak bardzo chwalić. U Sienkiewicza samego jak często spotykamy wykroczenia przeciw temu prawu, jak tam nieraz postaci drugoplanowe wysuwają się na plan pierwszy, i odwrotnie. U Prusa jeszcze więcej, — o mniejszych już ani nie mówiąc. W małych obrazkach, w nowelach, spotykamy się z tą zaletą częściej, — kompozycye wielkie rozmiarami rzadkie są bez zarzutu pod tym względem. Co więcej — ośmielę się zaryzykować twierdzenie, że największe dzieła naszej literatury nie są od tej przywary wolne, spotkamy ją u największych, u Mickiewicza, Słowackiego. Niema jej zato w „Podfilipskim". Tu wszystkie postaci stanowią armię bardzo sforną, karną, posłuszną dowódcy — autorowi zawsze i wszędzie; gdzie która jest postawiona, z tego miejsca się nie wychyla, a postawione są bardzo mądrze i bardzo roztropnie ze względu na cel, któremu mają służyć.

Pochodzi ta zaleta z wielkiej inteligencyi artystycznej. Ta kazała autorowi nie tylko być twórczym, ale nadto pierwszy produkt twórczości wypróbować rozumem, materyał przebrakować, a przedewszystkiem doskonale wszystko obmyślić i przygotować, nad wszystkiem się zastanowić. „Podfilipski" jest książką, obmyślaną od początku do końca w najdrobniejszych szczegółach, jest produktem nie tylko wyobraźni, ale i rozumu. To połączenie przyniosło z sobą ową przejrzystą, bardzo na pozór prostą, a tak doskonale celowi odpowiadającą architektonikę.

Nie myślę tu opisywać charakteru Podfilipskiego. Opisywać portret — marna praca, skoro można przypatrzyć się samemu portretowi; tem bardziej, że można w książce Weyssenhoffa widzieć, jak ten portret pod ręką artysty rośnie. We wstępie mamy szkic, zarys, który jednakże już daje pewne wyobrażenie o portretowanej osobistości; następnie malowanie dokładne; wreszcie w Annexach ostatnie podmalowania, ostatnie pocią-

gnięcia pendzlem. Rośnie tedy portret i wypełnia się w naszych oczach, a przypatrywanie się temu daje może większą sumę artystycznych przyjemności, niż oglądanie obrazu już gotowego. Otóż opisywanie charakteru Podfilipskiego szczegółowe na tem miejscu byłoby tylko powtórzeniem tego, co mamy w książce, i oczywiście powtórzeniem gorszem. Ale że do dalszych wywodów koniecznem jest nam zachowanie w pamięci rysów i szczegółów najznamienniejszych, przeto te rysy musimy tu w krótkości uwydatnić.

Więc żeby wiele słów nie tracić, powiedzmy odrazu, że Podfilipski, to pod maską mniemanej wyższości i kultury typ najpospolitszego, najnikczemniejszego nędznika. Zaś ta jego nikczemność jest tem nikczemniejsza, że taka marna, taka nizka i taka podła, że w niej niema krzty czegoś wielkiego, czegoś potężnego. Podfilipski jest tak podle nikczemny, że przypatrywanie się jego charakterowi sprawia wstręt fizyczny taki, jaki powstaje przy dotknięciu obrzydliwego gadu.

Odbudujmy sobie zapomocą obrazów, znajdujących się w tekście i listów w Annexach postępowanie jego z panią Darnowską, a jasno stanie nam przed oczyma poznanie, że coś równie ohydnego trudno sobie wyobrazić. A prawda — jest jednak coś jeszcze podlejszego: to jego zabiegi koło własnej bratowej. Z tą na szczęście różnicą, że te mu się nie udały, podczas gdy tam zrobił wszystko, co chciał: czystą i niewinną a mało rozwiniętą duszę zepchnął w upodlenie, ze stosunku z Falbanką wziął co uważał za najlepsze, a do żadnych obowiązków się nie poczuwał, żadnych ciężarów na siebie nie wziął; skoro zaś zobaczył, że jednak do tego przyjść może, zręcznie od tych obowiązków się usunął. W całej historyi tego stosunku Podfilipski jest nędznikiem; ale w pojedynczych momentach przechodzi sam siebie; zwłaszcza w trzech. Pierwsze, to gdy biedną łudził nadzieją rozwodu z mężem i ślubu z sobą, a tymczasem obwoził ją za granicą i w tę głowę o ptasiej inteligencyi kładł ziarna swych nauk. Drugie, gdy trochę nią znudzony a może bojąc się kłopotów, popychał ku niej Freda Zbarazkiego, aby kiedy przy zdarzonej sposobności, na niego zrzucić

cały ciężar; równocześnie, z właściwą sobie zręcznością, stosunek Falbanki z Fredem postawił na takiej stopie, że już Fred był wyróżniony od innych, że już dalsze przejście było umożliwione. Wreszcie cała historya z nieudałym obiadem w restauracyi i zemsta nad Falbanką za to, że nie przyszła, czy też ucieczka przed ewentualnem przyjęciem na siebie skutków własnych czynów.

Nie potrzeba zgoła nic więcej, jak to zachowanie się wobec pani Darnowskiej, aby charakter Podfilipskiego pokazał się w swej całej moralnej ohydzie. Drugiem takiem jeszcze wstrętniejszem świadectwem, są wspomniane już jego zamiary względem bratowej.

Trzecim wreszcie takim kwiatkiem jest denuncyacya Kołczanowicza. Tutaj niektórzy widzą błąd ze strony autora. Powiadają mianowicie tak. Wszystkie inne czyny Podfilipskiego są w zgodzie z jego naturą; ten ostatni nie. Podfilipski pewnych granic nie przekracza; denuncyacya nie leży w jego naturze. Przez to wykrzywienie autor postać nieco zepsuł. Otóż zdaje mi się, że postępowanie z Falbanką nie jest wcale lepsze od tej denuncyacyi, owszem, z pewnością gorsze, jakkolwiek jest ono w zgodzie z kodeksem moralności światowej. Prawda, że wielu ludzi do denuncyacyi by się nie zniżyło, a z istotą, jak Falbanka, bez skrupułów postąpiłby tak, jak Podfilipski. Co nam wcale nie imponuje, i tylko przywodzi na pamięć zdanie, że Bóg stworzył cnotę, a ludzie honor. To na nasz sąd etyczny o Podfilipskim nie wpływa. Chodzi tylko o to, czy Podfilipski istotnie należy do tych ludzi, którzyby się cofnęli przed denuncyacyą, czy to wypływa z jego charakteru w powieści? Zdaje mi się, że nie, że niema sprzeczności między całym charakterem Podfilipskiego, tak jest w powieści, a tem jego postąpieniem.

Te dwa lub trzy momenta są najgłębszą niziną, na jaką charakter Podfilipskiego jest nizki. Obok nich jest dużo takich, które wprawdzie nie świadczą o nikczemności, ale zarazem świadczą, że w tym człowieku nie było zgoła ani jednego przebłysku nie już cnoty ale jakiegokolwiek choćby trochę wyż-

szego i szlachetniejszego uczucia. Wreszcie są objawy najliczniejsze, w których Podfilipski okazuje się naturą bezwarunkowo nizką i nikczemną, choć nie w tym stopniu, co w owych wypadkach. Otóż ta druga i trzecia kategorya razem tworzą w umyśle wypadkową wrażeń i spostrzeżeń, i składają się na całość obrazu. Zanadto rozszerzylibyśmy ramy naszej pracy i musielibyśmy poprostu sparafrazować całą książkę, gdybyśmy się chcieli nad niemi zastanawiać. Dość powiedzieć, że obie te kategorye obejmują mniej więcej całość, a przynajmniej najcharakterystyczniejszą część tych zdarzeń, które razem składają życie człowieka, postawionego w tych warunkach co Podfilipski. Przesuwa się przed nami poprostu życie. Naturalnie wypadki i sytuacye są przebrakowane przez artystę; wszystko, co obojętne, zostało odrzucone, zachowane zaś i oświetlone to, w czem uwydatnia się charakter naszego bohatera.

Właściwie ma on zasadę jedną. Na niej ugruntował siebie i swoje życie, nią się kieruje jedynie i wyłącznie. Tę zasadę stosuje w życiu ściśle i konsekwentnie, na krok od niej nie zbaczając. Ta zasada nazywa się: Zygmunt Podfilipski.

Podfilipski to wcielenie egoizmu. Egoizmu najzupełniejszego, najwszechstronniejszego. Podfilipski to wcielenie egoizmu, napiętego do najwyższego stopnia, podniesionego do najwyższej potęgi. Zarazem jest to egoizm, wypływający z najpospolitszej, jaka może być, z najcodzienniejszej i bardzo, bardzo małej duszy. Egoizm umysłu potężnego egoizmem zawsze pozostanie, podepta prawa i obowiązki, ale przynajmniej zadanie, jakie sobie postawi, będzie w sobie miało coś z wielkości. Egoizm duszy małej będzie równie nikczemny, przewrotny, ale wielkości celu znać nie będzie: do małych celów dążyć będzie drogą nizkiej, podłej nikczemności. Podfilipski ma jeden cel w życiu: przejść przez życie przyjemnie. Ale i tu mogą być różne stopniowania; można się zakochać w przyjemnościach szlachetniejszych. Tego Podfilipskiemu brak. Jego przyjemności są głównie natury fizycznej: dobrze być ubranym, dobrze jeść, pić, spać, dobrze się bawić. Więc zaspokojenie potrzeb materyalnych. Z potrzeb duchowych znał tylko jedną: próżność; stąd chęć

dostania się w najwyższe towarzystwo, chęć błyszczenia, imponowania. Nic więcej. Nawet niema u niego chęci rozkazywania komuś kierowania czemś. Na to już dusza jego za mała. Lubi wszystko w doskonałym gatunku: „miał zawsze dobry apetyt, nie ten pospolity apetyt na mięso i sen, który cechuje gminne natury, ale na śmietankę w każdem tego stopnia znaczeniu". Ale to wszystko co lubi, jest tak małe, tak mizerne, że trzeba istotnie małej i mizernej duszy, aby się tem zadowolić. Stąd ten jego egoizm jest tak obrzydliwy, że taki mały.

Ale właśnie taki egoizm zdolny jest zabić w człowieku wszystko, co w nim jeszcze z obrazu Bożego pozostało, zdolny jest wygładzić sumienie, cnotę, honor, zdolny jest zrobić z człowieka istotę nie związaną z nikim i niczem, nie widzącą nikogo i nic prócz siebie, nie zważającą na żadne prawa, nie uznającą żadnych obowiązków. A że dusza jest mała, więc nie pójdzie prosto przed siebie do celu, tylko kłamstwem, poniżaniem się, pochlebstwem, słowem oszukiwaniem świata. Podfilipski nie uznaje żadnych praw nad sobą, ni Boskich ni ludzkich, żadnych prawideł, żadnych konwenansów, — a wszystkim ulega napozór, gdzie mu to do jego roli potrzebne. Religii nie ma, ale wobec ludzi w kościele przybiera pobożną i skupioną minę. Zasadą jego jest: *ubi bene, ibi patria,* i nic dla kraju, dla społeczeństwa nie robi, jest mu obcym, umie tylko wygadywać; ale wobec Szreńskiego okaże się poważnym i kraj swój miłującym obywatelem. To kłamanie własnym myślom, tak bolesne ludziom z jaką taką duszą, jeśli są do niego zmuszeni, dla niego jest chlebem powszednim i dobrowolnym. Jego mała dusza nie odczuwa, a jeśli odczuwa, to udaje, że nie spostrzega pogardliwej poufałości, jaką się obdarza naprzykład psów, a z jaką go traktuje taki Granowski lub Fred Zbarazki; pierwszy odczuwający jego nizkość przez doświadczenie życia, drugi przez jakiś instynkt duszy prawej.

Takie serce, a jaka głowa? Umysł ten jest ogromnie giętki i bystry. Podfilipski odznacza się tą właściwością inteligencyi, którą przyzwyczailiśmy się nazywać sprytem; przez któryto wyraz rozumiemy zwykle obrotność, sprawność i giętkość

umysłu, zdolność bystrego dostrzegania faktów ale małych, zdolność praktycznego wyzyskiwania tych faktów i ich kombinacyi w celach małych, słowem rozumiemy inteligencyę nie głęboką ale w pewnych kierunkach bardzo wyostrzoną. Taką inteligencyę ma Podfilipski. On głęboko na świat nie patrzy, bo tego nie potrafi; ale na tym świecie urządzić się tak, aby mu było jak najlepiej, to on umie zrobić, a w swoim zakresie i na swoim poziomie robi to w sposób niepospolity. Więc ten jego spryt objawia się w robieniu majątku, w przystosowywaniu się pozornem do świata i jego wymagań, z niezmierną przebiegłością potrafi on ludźmi tak posuwać, że robią to, co on zechce. Prawda, że gdzie ten spryt natrafi, czy to na umysł głęboki, jak u Kostki, czy na poziom moralny wysoki, jak u pani Aliny, tam celu nie dopina, ale temu już nie on winien. On sam jest mały, więc władać może tylko małymi; o wielkość jakąkolwiek małość jego się rozbije. Głębokiego wykształcenia Podfilipski nie ma, ale wie wszystko, o wszystkiem umie mówić; przed Ligęzą rozwijać będzie poglądy filozoficzne, przed literatami literackie, w domu religijnym potrafi mówić o ostatniej encyklice, przemysłowcom zaimponuje Marsem, panią Darnowską zaś opanuje, oszołomi wielkością i wszechstronnością swego wykształcenia. Wszędzie i zawsze rozwijać będzie poglądy śmiałe, nowe, ogólne. Ale gdyby się zetknął z Kostką, to rozmowaby się urwała, bo Kostka żądałby faktów. Szkoda ogromna, że autor o takiej sytuacyi tylko napomknął, lecz jej nie wprowadził. Ale bo też Podfilipski za mądry był na to, aby się dać egzaminować. Ligęza, gdyby nie był taki skromny i tak wielkością Podfilipskiego przygnieciony, byłby nam mógł sprawić tę uciechę, ale cóż, kiedy nigdy nie odważył się należycie zaoponować panu Zygmuntowi.

Więc ostatecznie Podfilipski to inteligencya mała, a w małym zakresie wielka, charakter zaś najpodlejszy. Na te dwie rzeczy autor szczególną zwrócił uwagę. Możnaby powiedzieć, że właściwie tylko to dwie rzeczy stanowią treść książki. Aby je zaś jeszcze lepiej uwydatnić i podkreślić, autor naprzeciw głównej osoby stawia jej antytezy. W Kostce akcentuje przedewszystkiem głębokość i powagę umysłu. Powiedzielibyśmy

tylko, że antyteza za mało jest wyzyskana, że ci dwaj ludzie może zbyt rzadko postawieni są naprzeciw siebie; autor o Kostce więcej sam mówi, aniżeli mu pozwala mówić i działać za siebie, może zanadto trzyma go w cieniu. Prawda, że to jest w zgodzie z postacią owego reflektora Ligęzy, że wtedy Ligęza, w gruncie rzeczy nie taki głupi, możeby się zaczął Podfilipskiemu przypatrywać krytyczniej, ale w każdym razie szkoda. Antytezą serca, charakteru Podfilipskiego jest postać jego brata Tomasza. U tego autor nawet wyraźnie zaznacza mniejszą lotność i mniejszą giętkość umysłu, niż u Zygmunta, uwydatnia natomiast jego prawość i szlachetność.

Najrozmaitszymi sposobami autor oświetla postać Zygmunta Podfilipskiego, wszystkich używa środków, aby tylko pokazać wszechstronnie jego charakter. Im więcej zaś wczytujemy się w książkę, im więcej zastanawiamy się nad nią, tem silniej odzywają się w nas i tem głębiej utrwalają dwa uczucia: wstrętu do bohatera i podziwu dla autora powieści. Uczucie etyczne, choćby nawet nieco przytępione, musi się wzdrygnąć na widok takiego człowieka, jak Podfilipski. Ale właśnie to jest zaletą powieści, że ten charakter tak świetnie przedstawia. To nie traktat moralny, wcielony w jedną postać, nie szablon, to najprawdziwszy, najbardziej żywy człowiek. Jak autor taką żywą postać mógł stworzyć? To tajemnica talentu; sam akt twórczości przed nami jest zakryty, i chyba tutaj zawsze będziemy musieli mówić *ignoramus*. Możemy tylko schwycić środki zewnętrzne i te badać. W „Podfilipskim“ widzieliśmy już oryginalność formy i doskonałą architektonikę; podkreślmy tu tem silniej, jeszcze raz, to znakomite obmyślenie całości od początku do końca, tę celowość wszystkiego, co w książce się znajduje; podkreślmy, jak ten cały nawał słów, zdań, myśli, osób, faktów, układa się doskonale tak, jak autor zechciał; podkreślmy tę wielką harmonię, jaka całą książkę przenika. Zaledwie kilka drobnych rzeczy tę harmonię zakłóca; tak np. zbyteczna jest cała historya z testamentem lub treść dzieła, które Podfilipski miał pisać, bo one nic nowego do charakterystyki nie dodają. Ale to usterki drobne, niknące w znakomitej całości.

Trudno spotkać między nowszemi nawet powieściami polskiemi książkę tak doskonale skomponowaną, tak harmonijnie złożoną.

Wszystko to razem sprawia, że „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego“ to książka nadzwyczajnie prawdziwa, i wierny obraz życia. To nie maryonetki przesuwają się po scenie, ale ludzie żywi. To jest jeden z powodów, że Podfilipski stał się jedną z tych postaci powieściowych, o których zapominamy, że są fantazyą, lecz myślimy o nich jak o ludziach rzeczywistych, chodzących po świecie, znajomych nam. Takich postaci nowszy romans polski wydał kilka — a zawsze tylko wtedy, gdy powieść sama jest istotnie niepospolitą.

Wrócimy do tego przedmiotu jeszcze później. Teraz zajmijmy się jeszcze jedną kwestyą, związaną ściśle z techniką powieściopisarza.

Rzeczy takie, jak bystra obserwacya, dobre i celowe ugrupowanie materyału, jak wierność i prawda psychiczna w malowaniu charakterów, i t. p. — to wszystkie są przymioty konieczne każdej dobrej powieści. Ale poza tem każdy autor ma ręce swobodne, każdy może tę samą rzecz przedstawiać inaczej. Poprostu każdy zrobi to na swój sposób, w myśl owej zasady o temperamencie autora. Jakże postąpi sobie Weyssenhoff?

Otóż wiemy już, że główną jego bronią, głównym czynnikiem jego techniki pisarskiej jest ironia. Jej wprowadzenie w powieść jest może za słabe. Przez stworzenie Ligęzy autor zadanie sobie ułatwił, bo jego naiwny pogląd na Podfilipskiego jest zbyt naiwny, jego wielka łatwowierność jest zbyt wielka, tak, że w czytelniku ciągle budzi podejrzliwość i ciągle każe mu na rzeczy patrzyć trochę inaczej. Ale też przez to może książce trochę zaszkodził. Ligęza naprzód nie jest wcale żywą osobą. Rzecz jasna, że autor tego właśnie chciał; że Ligęza miał być tylko owym reflektorem, skupiającym w sobie i odbijającym następnie światło, spływające z postaci głównej, ale odbijającym tak, jak owe zwierciadła wklęsłe lub wypukłe. Ale wprowadzenie do powieści takiego do pewnego stopnia manekina, takiego zwierciadła czy fonografu, psuje nam trochę pra-

wdziwość i naturalność całości. Tem bardziej, że Ligęza często wychodzi z tej roli narzędzia autorskiego i miesza się pomiędzy osoby czynne. Wreszcie, czemkolwiek jest, jest zbyt naiwny, powiedzmy po prostu zbyt niemądry, zbyt łatwowierny i zbyt skromny, ażeby był zbyt prawdopodobny. To psuje nieco wrażenie całości.

Ale gdy od tego odwrócimy oczy, gdy puścimy w niepamięć to ułatwienie sobie pracy przez autora, wtedy znajdziemy się w morzu ironii, na które główna postać jest rzucona. Ironia przenika całą powieść od początku do końca. W tem rzekomo dobrodusznem przedstawieniu rzeczy, w tem przedstawieniu przez Ligęzę wszystkiego w jak najlepszem świetle, w tem tłumaczeniu sobie przez niego wszystkiego na dobre, jest ironia najbystrzejsza, satyra najgłębsza, jaka być może. Nie jest to ironia wstrząsająca do głębi, najbliższa sąsiadka oburzenia. Jest to za to ironia nader dowcipna, lekka, wdzięczna, swobodna — a niemniej zjadliwa; podobna bardzo do ironii w satyrach Krasickiego, tylko o tyle głębsza, o ile my dzisiaj głębsi jesteśmy od ludzi osiemnastego wieku. W takiej ironii Weyssenhoff jest prawdziwym mistrzem, i powiedzmy odrazu: między współczesnymi powieściopisarzami nie ma sobie równego. Każdy z naszych większych powieściopisarzy ma do tej ironii pociąg, ale żaden nie użył jej stale, tylko przelotnie, w kilku sytuacyach, w jednej lub dwóch postaciach, w jakiemś drobnem zdarzeniu; tak Sienkiewicz i Prus; do godności techniki pisarskiej żaden jej nie podniósł. Prawda, że utrzymanie się w tonie jednym przez całą powieść jest nader trudne; że więc Weyssenhoff tu i ówdzie tę ironię zbyt naciągnął, tu i ówdzie w niej przesadził, czasem zaś, jakby nie dowierzał inteligencyi czytelnika, zbyt daje do poznania, że to trzeba brać ironicznie a nie poważnie. Ale znowu zróbmy tę uwagę, co poprzednio, mówiąc o harmonii dzieła, że te usterki giną w doskonałej całości.

To użycie ironii w takim gatunku i w tej mierze, odróżnia technikę Weyssenhoffa od wszystkich współczesnych powieściopisarzy polskich, daje jego książce piętno odrębności i oryginalności. Weyssenhoff wprowadza w „Pofilipskim“ do powieści pol-

skiej nowy typ, a więc rozszerza jej zakres — wprowadza nową technikę, a więc wzbogaca jej środki. Wypowiedziawszy to zdanie, określiwszy zarazem znaczenie omawianej książki w ewolucyi romansu polskiego doby najnowszej, a przez to znaczenie jej w rozwoju literatury. Patrząc na samą powieść, widzimy jej zalety, ale widzimy tylko ją samą; rozważając ją w stosunku do innych, spostrzegamy wtedy jej wielkie znaczenie.

Jakie jest znaczenie ironii w literaturze pod względem społecznym?

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza —
Przed okiem widza.

Do tego głębokiego określenia niema co dodawać, chyba spostrzeżenie, że ironia pojawia się w literaturze wtedy, kiedy społeczeństwo nie jest zdrowe: za Augusta w Rzymie, za Ludwika XIV we Francyi, za Stanisława Augusta u nas. Czyżby i teraz miała być objawem podobnego stanu? Problem, nasuwający dużo a niewesołych myśli.

(Dok. nast.).

Dr. St. Dobrzycki.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

II.

Sprawy społeczne piastowskiego okresu.

W sprawie pierwotnego osadnictwa w Polsce badania naukowe są ledwie w kolebce. Panuje obecnie przekonanie, że było kilka znaczniejszych ognisk zaludnienia, oddzielonych od siebie ziemiami niezaludnionemi, pustkami, już to borami, już też bagnami. Nie ulega wątpliwości, że Polacy nie sąsiadowali pierwotnie z Rusinami , w tem znaczeniu, żeby się osadnictwa ich miały stykać bezpośrednio, lecz że były wielkie niezaludnione przestrzenie między Wisłą, Sanem a Dnieprem. Podobnież odgraniczone były od siebie te etnograficzne działy, z których następnie powstał naród polski. Jak te działy nazywać? Nawet terminologia naukowa nie jest jeszcze ustaloną, a to utrudnia wielce dyskusyę. W rzeczach tych filologia ma najwięcej do powiedzenia, ale ani ta nauka nie ustaliła sobie jeszcze słownictwa na oznaczenie odmian językowych. Wiadomo, że etnograficznie sprawę biorąc, nie istnieje „język“, t. j. język książkowy, ten sposób wysłowienia się i pisania, którego wspólność uważamy właśnie za kardynalną cechę narodową. Jest to bowiem język sztuczny, rozszerzany też sztucznie drukiem i szkołami; prawdziwy żywy język, to mowa ludu; ta zaś w rozmaitych okolicach jest różną, tak, że w rzeczywistości istnieje nie język

polski, lecz polskie języki. Mają one jednak tyle cech wspólnych, że widocznem jest dla każdego, iż stanowią tylko działy równoległe pewnej całości idealnej, zwanej polskim językiem. Logika każe przypuszczać, że każdy dział etnograficzny ma też swą odmianę językową, należy więc starać się o systematykę naukową, uwzględniającą jedno i drugie zarazem. Nie pozyskamy nigdy źródeł bezpośrednich, któreby nam wyjaśniły etnograficzny podział zaludnienia pierwotnej Polski; można jednak użyć „metody wstecznej“, opierając się na tem, co istnieje do naszych czasów i co zbadać możemy bezpośrednio, t. j. na różnicach językowych. Z tych względów proponuje podpisany przyjęcie schematu złożonego z czterech stopni. Naród, mający wspólny język, kłada się z ludów, z których każdy ma swą mowę (np. lud i mowa mazurska). Lud dzielił się na plemiona, które filolog może rozeznać po narzeczach; najniższym stopniem rozwoju etnograficznego jest pokolenie ze swą gwarą. Dyalektologii polskiej daleko jednak jeszcze do tego, żeby oznaczyć stopnie pokrewieństwa licznych gwar i narzeczy, a przez to oddać historyi przysługę w oznaczeniu plemion i ludów. Można się też spierać o to, czy np. Kujawiacy są tylko plemieniem wielkopolskiego ludu, czy też ludem osobnym. Nie sposób jeszcze odpowiedzieć na pewno na pytanie: z ilu ludów polskich powstał polski historyczny naród? Badania muszą oczywiście uwzględnić, że granice osiedlenia pewnego ludu były zmienne; wiadomo np., że Mazurzy mieli już w XIII w. rozległe osadnictwo. Mówi się dziś o ludach Polan, Mazurów, Wiślan, Lachów i Pomorzan, ale ten podział etnograficzny ma o tyle znaczenie, że ostatecznie trzeba od czegoś zacząć naukową konstrukcyę. Nierozstrzygniętem pozostaje, czy Pomorzanie (których częścią „plemieniem“ są Kaszubi) są etnograficznie ludem polskim, czy też szczątkiem zachodnich naszych pobratymców. Niezbadany należycie stosunek Polan i Kujawian, nie oznaczone naukowo etnograficzne stanowisko Łęczycan, nie pozwala nawet oznaczenia owych „Polan“ uważać za zupełnie pewne, chociaż to tak już się upowszechniło. O „Wiślanach“ mówi się na podstawie żywotu św. Metodego, w którym jest wzmianka o księciu

Wiślan (Wiślicy) i w braku innych wiadomości nazywamy tak ludność pomiędzy Mazowszem a Krakowem, przypuszczając, że stanowi oddzielny lud. O „Chrobatach“ nie mówi się już w nauce, a natomiast wprowadził „Lachów“ ostatni zjazd historyczny, na którym prof. Młynek, sam Lach rodem, wykazał, że pojęcie „Lacha“ istnieje do dziś dnia u ludu na południe Krakowa aż w karpackie pierwsze pogórza. A zatem nie jest to tylko ruska nazwa na oznaczenie Polaków, lecz najbliższy wojowniczej Rusi lud polski sam się Lachami nazywał. Połączmy to odkrycie z notatką Nestora pod r. 981:

Ide Wołodimer k Lacham i zają hrady ich, Priemyszl, Czerweń i iny hrady —

a dojść musimy do wniosku, że osadnictwo Lachów rozciągało się w X wieku daleko na wschód, a przynajmniej, że była tam rozległa nader „brona“ tego ludu, opatrzona „czerwieńskimi grodami“. Nowy dowód, że osadnictwo polskie na południowym wschodzie zaczęło się wcześnie cofać przed naporem Rusi, że jednak ziemia czerwieńskich grodów była polską pierwotnie. Tak jedna sprawa potrąca w dziejopisarstwie wiele innych, a szczegół, mający na pozór tylko teoretyczne znaczenie, może mieć właśnie dla t. z. konstrukcyi niezmierną wagę. To też sprawa ustalenia etnograficznego schematu polskiego jest jak najważniejszą, wprost zasadniczą sprawą naukową.

Obok niej staje zaganienie pierwotnej organizacyi społecznej. Nikt nie wątpi, że podstawą jej był ród, ale podzielone są zdania co do zakresu rodowych spraw. Rzecz idzie głównie o t. zw. wspólnoty rodowe, t. j. o wspólne gospodarowanie członków rodu na ziemi pozostającej wspólną własnością. Ślady „wspólnoty“ odkryto już dawno w historyi prawa polskiego i zestawiano je z istniejącą u południowych Słowian instytucyą, t. zw. zadrugą i rosyjskim „mirem“. U Chorwatów i na Bałkanie wspólne gospodarstwa, zadrugami zwane, liczą nawet po kilkadziesiąt głów, w Rosyi zaś wszyscy członkowie gminy są współwłaścicielami całego obszaru gminy, nikt nie ma stałej indywidualnej własności, a podział gruntów do uprawy odbywa się co kilka lat na nowo. Rosyjski wieśniak ma więc tylko uży-

walność gminnego gruntu, lecz nie posiada własności. I w „zadrugach“ da się czasem wykazać taka używalność, czasem zaś nawet tego niema, każdy z członków jest tylko wykonawcą danych sobie przez starszego zleceń gospodarskich. Utarło się przypuszczenie, że zadruga była powszechną w całej Słowiańszczyźnie, nie ostatnim zaś argumentem były owe czeskie rękopisy, Zielonogórski i Królowodworski. Przestano wierzyć w ich autentyczność, a jednak pozostało w nauce niejedno z dawnych wniosków na nich osnutych. Musiała w końcu nastać reakcya, i jak zwykle z początku, zapędziła się za daleko. W czeskiej nauce pojawiło się zdanie, że zadrugi bałkańskie powstały dopiero za czasów tureckich, a „mir“ pod mongolskiem jarzmem jako środek ochronny przeciw podatkowemu uciskowi. Punkt ciężkości tej kwestyi przeniósł się do badań polskich, skoro u nas nie było nigdy oryentalnych wpływów na ustrój społeczny. Wiedziano dawno, że jeszcze w XVI w. istniało t. zw. prawo pierwszeństwa, polegające na tem, że krewniak, choćby najdalszy, miał zawsze pierwszeństwo przy kupnie dóbr ziemskich, sprzedawanych przez krewniaka; dawniej zaś istniały przepisy, że nie wolno sprzedawać ziemi bez zezwolenia członków rodu. Trudno to tłumaczyć inaczej, jak pierwotną „wspólnotą“. Gdy się zaś bliżej tą sprawą zajęto, odnajdywano coraz liczniejsze jej ślady w czasach zupełnie już historycznych, aż wkońcu Balzer znalazł je pomiędzy szlachtą na Rusi Czerwonej aż w XV wieku! Dzisiaj nie może już ulegać wątpliwości, że pierwotna organizacya gospodarcza polegała rzeczywiście na wspólnotach i niema żadnego powodu przypuszczać, że u innych Słowian było inaczej. Z czasem jednak wyłaniać się poczęła własność indywidualna, rozwinęła się zupełnie i nawet wyrugowała wspólnotę w Czechach, w Polsce i na pozostającej pod polskim wpływem Rusi, podczas gdy w tamtych krajach rozwój społeczny został powstrzymany, a nawet nastąpiło cofnięcie się i powrót do zadrugi. W Polsce była już w XIII w. własność indywidualna wyrobiona, wyzwolona nie tylko od rodowej, lecz nawet od rodzinnej wspólnoty. Obie formy własności istniały przez długi czas obok siebie, zanim wspólnota zupełnie u nas

zniknęła. Zadruga utrzymała się dzięki Turkom, a nawet rozwinęła się przez nich jeszcze bardziej, była jednak przed nimi. Takim jest ostateczny wynik zestawienia argumentacyi Peiskera, Kadleca i Balzera.

Ogół czytającej publiczności nie troszczył się nigdy o „zadrugę“; towarzyszyło natomiast ogólne zaciekawienie badaniom o pochodzeniu szlachty polskiej i kwestyi, czy lud był pierwotnie i w okresie piastowskim wolny, czy niewolny. Zasadniczą wadą studyów było to, że próbowano rozwiązać zagadnienie pochodzenia szlachty, a nikt nie zadał sobie pytania, skąd pochodzi lud? Kiedy podpisany poruszał to drugie pytanie, natrafiał zrazu tylko na zdziwienie, jak można o coś takiego pytać? Wbiło się w umysły przekonanie, jako o rzeczy, która „rozumie się sama przez się“, że „lud“ był zawsze, że być musiał, jak gdyby nie było dziś, w naszych oczach, na świecie społeczeństw, nie posiadających zgoła warstwy odpowiedniej europejskiemu pojęciu wiejskiego ludu. Szlachta a lud są pojęciami poniekąd przeciwstawnemi, poniekąd zaś uzupełniającemi się wzajemnie; niema jednego bez drugiego. Już z tego samego wynika logicznie, że nie można dobadać się powstania jednej z tych warstw, nie badając zarazem genezy drugiej, i że ta tylko hypoteza może być logicznie wystarczającą, która da równocześnie odpowiedź na obydwa zagadnienia. Taką jest hypoteza najazdu prof. Piekosińskiego: z najeźdźców jest szlachta, z ujarzmionych lud obrócony w niewolników; to zupełnie jasne. Ale hypotezie tej przeczyły fakta, wydobywane ze źródeł coraz liczniej, a świadczące, że za Piastów był jednak lud wolny! Już przed sześciu laty, na podstawie zestawienia wyników ówczesnych prac, oświadczyłem na tem miejscu, że powszechna zgoda na to, że lud był wolny, jest już tylko kwestyą czasu. Nie ma to jednak nic wspólnego z Lelewelowską teoryą gminowładztwa, opartą na — królowodworskim rękopisie; ta jest już pogrzebana niepowrotnie, a dziś wiemy na pewno, że „wiec“ powstał dopiero w czasach dzielnicowych (po Krzywoustym) i że był najpierw zjazdem książąt, a następnie zjazdem urzędniczym i sądowym, ale przenigdy jakiemś zgromadzeniem ludowem!

Rozstrzygnęła sprawę znakomita rozprawa Adama Szelągowskiego: „Chłopi-dziedzice na prawie polskiem do końca XIII wieku“ (wyszła w zbiorze peryodycznym: „Studya nad historyą prawa polskiego, wydawane pod redakcyą Oswalda Balzera“, tom I, zeszyt 2-gi). Autor zaczyna tam, gdzie skończył Małecki w swej pracy: „Ludność wolna w księdze Henrykowskiej“ (omówionej na tem miejscu przed sześciu laty); posuwa się o krok dalej i wykazuje, że w pierwszorzędnem tem źródle jest wiele przykładów kupna, sprzedaży i zamiany ziemi przez osoby zwane *haeredes*. W czwartym tomie wydawnictwa Akademii Umiejętności: „Archiwum Komisyi historycznej“ przytoczono klasyczny przykład, że obok niewolnych była też w roku 1255 ludność wiejska wolna, a wcale nie dostojnicy. W sporze Kazimierza, księcia łęczycko kujawskiego z biskupem włocławskim Wolimirem o granice, składa świadectwo starszyzna opola, stwierdzając przytem prawa i obowiązki wolnych i niewolnych. Szelągowski zwraca uwagę na *haeredes* we wsiach duchowieństwa i szlachty w dwóch wypadkach z lat 1232 i 1260; najciekawszym jest jednak przykład ze wsi Gecowa z roku 1215, z którego się okazuje, że ludność tej osady składała się z wolnych i niewolnych. Przy sposobności rozpatrzył autor wiele kwestyi innych, łączących się pośrednio z głównem zagadnieniem i dokonał niejednego szczęśliwego odkrycia, z których najciekawszem jest stwierdzenie, że patronymiczne końcówki nazw osad (na *ice)* nie oznaczają wcale rodzaju pochodzenia pierwotnych założycieli i mogą być również osadami niewolnych, jak wolnych.

Hypoteza, jakoby pierwotnie książę był właścicielem całej ziemi, a wszelka własność pochodzić mogła tylko z jego nadania, nie da się absolutnie utrzymać przy dzisiejszym stanie nauki. Szelągowski pierwszy zwrócił uwagę, że istniało mnóstwo nadań fikcyjnych; darowywano księciu ziemię, żeby ją wziąć od niego natychmiast w nadanie, chcąc się w ten sposób uwolnić od ograniczeń majątkowego prawa rodowego. Był nawet do tej fikcyi prawnej osobny ceremoniał, t. z. renuncyacyi. Samo zaś istnienie renuncyacyi jest dowodem, że istnieć musiała własność nie pochodząca z monarszej łaski, mająca źródło w urzą-

dzeniach pierwotnego społeczeństwa, w organizacyi rodowej. Na miejscu więc dotychczasowego zagadnienia: w jaki sposób powstała w Polsce własność ziemska, mamy nowe: w jaki sposób z własności rodowej wyrobiła się indywidualna? Należy to bowiem uważać już za pewnik, że z początku nie było zgoła własności indywidualnej, tylko wyłącznie rodowa. Na to zgodzą się już wszyscy, a z tego jeden tylko krok do dalszego wniosku. Skoro własność była tylko rodową, a zatem współwłaścicielem mógł być tylko rodowiec, ktoś będący związany związkami krwi z całem gronem współwłaścicieli, a przez to grono z całą tą warstwą społeczną, która rodowo była zorganizowaną, słowem, ktoś będący krwią z krwi i kością z kości pierwotnej rodzimej ludności. Wszyscy rodowcy są jednakiego pochodzenia i należą do tej samej warstwy, do jedynej warstwy mogącej posiadać ziemię na własność. Jest więc pewnem, że ci, którzy w pierwszej połowie Piastowskiej doby posiadali ziemię, nie będąc rycerzami, nie trzymając jej na „prawie żołnierskiem“, byli jednak tego samego pochodzenia, co wszyscy *barones;* ci są wykwitem tylko tej samej warstwy „rodowców“. Lecz nie wynika z tego bynajmniej, że reszta tej warstwy, to: „lud“ (chłopi), z którego wyłoniła się „szlachta“ — bo wieki owe nie znały nobilitacyi, ani niczego wogóle podobnego, cała zaś historya Piastowska, aż do samego końca tego okresu, nie wykazuje żadnego faktu, któryby nam mógł wytłumaczyć, w jaki sposób jedna warstwa „rodowców“ rozszczepić się mogła na dwie tak różne, jak szlachta i chłopi! Wypada więc przyjąć, że owi pierwotni „rodowcy“, to nie ludu i szlachty przodkowie, lecz przodkowie samej szlachty. Upaść musi mniemanie, że najpierw był lud, a potem szlachta; rzecz ma się przeciwnie. Z początku byli tylko „rodowcy“, t. j. pierwotna, rodzima ludność polska, zupełnie wolna, najpierw znająca tylko wspólnotę rodową, następnie także indywidualną własność, a potomkowie tej warstwy aż do końca Rzpltej jedynymi w zasadzie właścicielami ziemi w Polsce, jako szlachta. Szlachta, to potomstwo najdawniejszego osadnictwa, to najdawniejsi Polacy. I rzecz ta jest całkiem prosta. Pierwotni właściciele ziemi, nigdy przez

nikogo nie wyrugowani, nie podbici, nie zmuszani odstępywać pola innym, musieli się wyrobić na przewodnią warstwę narodu.

Skądżesz więc wzięli się „chłopi“? Przodków ich należy tedy szukać wśród ludności napływowej. Dzieje wspominają o jednej tłumnej imigracyi, mianowicie niemieckiego osadnictwa. Byłoby jednak absurdem wywodzić cały nasz lud od niemieckich kolonistów; było ich poza murami miejskiemi znacznie mniej, niż się powszechnie sądzi. Wieś „na prawie niemieckiem“ bywała bowiem po większej części — czysto polską. Wiadomo zaś od dawna, że zaludnienie wielu naszych wsi pochodzi z jeńców wojennych; wszak bywały wyprawy, z których przyprowadzano po dziesięć tysięcy jeńców! Całe połacie kraju mają ludność obcego pochodzenia; nie dalej, jak nad Rabą, mamy cały szereg wsi pochodzenia mongolskiego. Część osadnictwa niewolnego, t. zw. „naroczników“ opracował był już prof. Wojciechowski w znakomitej swej pracy „Chrobacya“ — ale to tylko drobna cząstka osadnictwa złożonego z żywiołów napływowych, sprowadzonych do kraju przemocą wojenną i osadzanych na gruntach książęcych, gdyż byli własnością księcia. Nad dziejami tej warstwy warto się zastanowić; znajdziemy bowiem w nich klucz do wyjaśnienia wielu zagadnień, będących dotychczas zagadkami.

Ludność niewolna wszczęła bunt po upadku Mieszka II, wnet jednak weszła w dawne ryzy; skoro tylko bowiem ustał porządek państwowy, niewolnicy odzyskiwali przez to samo wolność, ale też zarazem tracili środki do życia. Oni nie mogli istnieć bez państwa, które ich żywiło. Z prywatnymi niewolnikami spotykamy się dopiero znacznie później, w okresie działów książęcych. Ci gospodarowali na ziemi na rachunek panów, obok dawnych wolnych związków rodowych, gospodarujących własnemi rękoma na własny rachunek. Zajęciem nie różnili się od nich a bardzo niewiele sposobem życia (wyjąwszy nieznaczną stosunkowo ilość rodzin bliższych tronu i dostojeństw). Skutkiem tego zmieniła się następnie nasza organizacya społeczna. Niewolnicy, a zwłaszcza „narocznicy“, z czasem zbyt rozrodzeni, a ciągle uprawiający jedno i to samo rzemiosło z ojca na syna,

zaczęli być nie tylko niepotrzebni, ale stawali się kłopotem. Często książęta zwalniali ich ze swej służby, przywracając im zupełną wolność *(manu missio)*, tracili jednak ziemię, na której wolno im było w zamian za służbę szukać utrzymania. Szli więc w świat, szukając nowego zajęcia i wtedy powstawali łazęgowie, o których w starych dokumentach tyle wzmianek. Chodzili gromadami pod wodzą „starostów łazęgów". Oni to dawali w niejednym wypadku początek polskim miastom, osiedlając się na podegrodziach, gdzie rzemieślnik dla całej okolicy bardzo był pożądanym.

Najazd tatarski zmienił wszechstronnie stosunki. Z tych szczęśliwych początków naszych miast nie pozostało śladu, a jassyr przetrzebił ludność rolniczą. Mnóstwo gruntów było bezpańskich, tak że o dziedziców dopytać się nie można było. Wszak powiedziano, że trawa nie rosła, którędy przeszli, a całe rody od nich ginęły. Czasem wrócił ktoś do ognisk domowych, ale tych była stosunkowo nieznaczna ilość, a znajdywali wszystko w takim nieporządku, że cała organizacya społeczna i gospodarska zerwaną była doszczętnie. Z grodów pozostały ledwie zgliszcza. Kasztelan nie mógł się dopytać ani reszty naroczników, którą na służbę kasztelanii pozostawiono i z czynszowych niemieckich kmieciów po większej części ani śladu; ani też rolników, łowców lub bartników gospodarujących dla utrzymania grodu. Książęta poczęli hojną dłonią nadawać ziemię klasztorom i swoim rycerzom, byle tylko kraj zagospodarował się na nowo. Zmalała ilość osad i wolnych i niewolnych, ale na niewolnych teraz coraz mniej zależało książętom, bo żądali w poczynającym się nowym okresie nie tyle opłacania podatków w naturze, a coraz częściej innego obowiązku, a mianowicie służby wojskowej. Coraz częściej obdarzano niewolnych swobodą, a warstwa ta była już i spolszczona i związkami małżeńskiemi z rodzimą ludnością wielokrotnie złączoną. Z dziesiątkowana ludność wolna wracała na nowo do systemu wspólnot rodowych, a to z powodu braku rąk do pracy. Za wojskową służbę dostawało się posiadłość bez najmniejszej trudności, ale nie wszyscy chcieli przystać na ten warunek, bo niejeden został

bogaczem i tak bez łaski książęcej. Z wielu bowiem własności rodowych ubyła większa połowa „stryjców“, a skutkiem tego „źreby“ nagle się powiększyły. Niejeden „ujazd“ będący do niedawna wspólną własnością kilkudziesięciu osób, przechodzi na własność kilku zaledwie a nieraz może nawet tylko jednego; kto więc nie miał ochoty chodzić na wojnę, nie brał nadania książęcego a i tak ziemi miał znacznie więcej, niż jej uprawić zdołał. Jedynym sposobem zagospodarowania opuszczonych obszarów był system dzierżawny, to też pojawia się on na wielką skalę. Żaden prawie rycerz nie posiada niewolników po tatarskim najeździe, ale dawał ziemię za to tem chętniej każdemu „łazędze“, nie żądając zrazu, jak trochę roboty podczas żniw i sianokosów. Wszak znamy ze źródeł wypadek, że właściciel żądał od dzierżawcy jeden tylko dzień robocizny podczas żniw i jeden przy sianożęciu. Wobec tak łatwych warunków utrzymania się na ziemi, nie garnęła się już nasza ludność na podegrodzia, ale każdy rwał się natomiast do rolnictwa. Wszyscy ubiegali się o dzierżawę, ale i tak był brak rolnika. Teraz też nastały złote czasy dla osadników z Niemiec. I ta to nowa warstwa społeczna, z dzierżawców złożona, jest przodkiem ludu wiejskiego w Polsce. Byli osobiście zupełnie wolni, mając względem właściciela tylko te obowiązki, o które się umówił biorąc dzierżawę. Prawo dzierżawne, dotychczas u nas zgoła nieznane, stopniowo dopiero miało się rozwijać. Z początku nie znano dzierżaw terminowych, umowa rozumiała się wieczyście i dziedzicznie. Niemieccy osadnicy wiejscy nazywali się *Gebuer*, co wymawia się „gbur“. Niemcy nazywali też gburami polskich dzierżawców, jako ludzi tego samego stanu. Pod zniemczonymi Piastami śląskimi i pod panowaniem niemieckich Krzyżaków, gdzie język niemiecki był urzędowym, nazywano tę nową warstwę społeczną z urzędu *Gebuer*, to też do dziś dnia Ślązacy i Prusacy nazywają „gburami“ gospodarzy wiejskich i to zamożnych, lecz nie będących szlachtą. Jak ich nazywano w XIII wieku po polsku, tego nie wiemy, bo żadnych polskich zapisek nie posiadamy; w każdym razie nie chłopami, bo „chłop“ w ówczesnym języku znaczył tyle, co wogóle „człowiek“. W aktach

łacińskich zwano ich *hospites, advenae*, gośćmi lub przybyszami, o naszych zaś, rodzimych już, dzierżawcach wyrażają się źródła często: „na prawie gości“, „jakoby gość“, „równy gościowi“. Nie wiemy też, jak samych siebie nazywali po polsku właściciele ziemi w przeciwstawieniu do swych dzierżawców; znamy tylko nazwę łacińską *heres* tudzież niemiecką *slahta*. Niemcy spostrzegli, że właściciele należą do starej organizacyi rodowej, podczas gdy dzierżawcy polscy nie mają z nimi żadnego rodowego związku i chyba tu i owdzie zaczynają się dopiero na ich wzór organizować. Jak z *Gebuer* powstał polski wyraz „gbur“, używany do dziś dnia przez Polaków w tych ziemiach, gdzie instytucya wolnego kmiecia przetrwała, podobnież z niemieckiego *slahta* (co znaczy dosłownie: rodowcy), powstał wyraz „szlachta“, znany na całym obszarze ziem polskich, bo ta instytucya wszędzie się przyjęła. *Slahta* dla Niemca był każdy a każdy właściciel ziemi, bez względu na to, czy służył wojskowo czy nie. Ci, którzy mieli nadanie od księcia i obowiązani byli do służby wojskowej, zwać się poczęli rycerzami. W ten sposób wytłumaczyć można powstanie dwóch warstw rolniczych w Polsce.

W ustawodawstwie wiślickiem jest już wyraz „kmieć“ *(cmetho)*, na oznaczenie rolnika, gospodarującego na cudzej ziemi, lecz na własny rachunek, a więc dzierżawcy. Czy wyraz ten ma już w XIII wieku to znaczenie, tego dzisiejszymi środkami naukowymi nie stwierdzimy.

W wojnach krzyżackich Władysława Łokietka pokazało się, że Polska za mało ma żołnierza, Kazimierz Wielki patrząc pod każdym względem daleko w przyszłość, zaradził i temu i za jego to rządów wydano tę ustawę, że każdy, ktokolwiek posiada własną ziemię, musi być żołnierzem, bez względu na to, czy ją posiada z nadania książęcego, czy wywodzi swą własność tylko z dawnego prawa rodowego. Zniknęła przez to różnica pomiędzy szlachtą rycerską a nierycerską, odtąd każdy szlachcic jest rycerzem *(miles)*, bo choćby nie chciał być nim musi. Odtąd „szlachcic“ znaczy to samo, co żołnierz i rzeczywiście prawo szlacheckie nazywa się w źródłach *ius militare*. Skoro każdy żołnierz polski był właścicielem ziemskim, zwali się też ziemianami.

Na razie część tej żołnierskiej szlachty nie była nawet „szlachetnego rodu“. Byli bowiem dawni kmiecie wśród właścicieli ziemi i sołtysowie. Z biegiem czasu niejeden dzierżawca stał się bowiem właścicielem ziemskim, stawał się więc ziemianinem, a od Kazimierza Wielkiego żołnierzem, bo musiał chodzić na wojnę. Sołtys każdy był właścicielem ziemi, a za wielkiego króla po niewoli stawał się też żołnierzem i tem się tłumaczy owe podziały społeczne *miles e cmethone, miles e cultеto*, stąd też różnice pomiędzy szlachcicem — a szlachcicem. Żołnierz z kmiecia, najuboższy i najgorzej uzbrojony, wart był dla państwa tylko dziesięć grzywien główszczyzny, podczas gdy żołnierz ze sołtysa szacowany był na 15 grzywien. Ci, którzy mieli ziemię z nadania książęcego po dawnych pokoleniach i miewali na to „szpargały“, to jest dokumenty, z łacińska zwane *scartabelli*, zamożniejsi i lepiej uzbrojeni, wartali grzywien trzydzieści, a wreszcie potomkowie dawnych żołnierzy pierwszych Piastów, dziś już prawie wszyscy wielmożowie, rosnący w zaszczyty i w majątek z pokolenia w pokolenie, pełniący służbę wojskową w kilka lub kilkanaście osób, wartali wobec prawa sześćdziesiąt grzywien.

Takie przedstawienie całej sprawy rozwoju społeczeństwa polskiego pozwala wytłumaczyć pochód dziejów społecznych ewolucyjnie, z pokolenia w pokolenie. Ludu polskiego nie było więc pierwotnie w Polsce, a najstarsza ludność rodzima zamieniła się z biegiem czasu w szlachtę, podczas gdy lud powstał z żywiołów napływowych, spolszczonych.

W ustawodawstwie wiślickiem przewidziane są dokładnie warunki, pod którymi kmieć może rolę opuścić, już samo to powinno było naprowadzić na domysł, że nie mamy tu do czynienia z niewolą ludu wiejskiego, lecz tylko z warunkami dzierżawnymi, a ustawa ma na celu zapobiedz nieprawemu opuszczeniu dzierżawy ze szkodą właściciela gruntu. Już Bobrzyński w swojej „Kartce z dziejów ludu wiejskiego w Polsce“ słusznie zwrócił uwagę na to, że niewola ludu w Polsce nie była zaprowadzoną żadnym przepisem ustawodawczym, lecz dokonywała się ewolucyjnie, zwłaszcza przez skupienie sołtystw i nakładanie coraz większych ciężarów. Ciężary te nie są niczem innem,

jak coraz trudniejszymi warunkami dzierżawy. Położenie dzierżawców pogarszało się, ponieważ wartość ziemi od Kazimierza Wielkiego aż do upadku państwa polskiego stale wzrastała; gdyby było przeciwnie, natenczas byłyby złote czasy nie dla szlachty lecz dla kmieci, którzyby byli pozostali dzierżawcami.

Krew szlachecka i kmieca mieszała się następnie często w ciągu pokoleń. Już za Władysława Jagiełły bardzo wielu kmieci przeszło do stanu szlacheckiego, a nawzajem nieraz szlachcic, t. j. rodowiec, przechodził na dzierżawcę, a potomkowie jego zostali schłopieni. Dzisiaj w mnóstwie wypadków trudnoby było dojść, ile w którym rodzie krwi chłopskiej, a ile szlacheckiej.

Drugą z ważniejszych spraw z dziejów wewnętrznych piastowskiego okresu, którą historycy interesowali się w ostatnich latach, jest sprawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jubileusz starej naszej szkoły obchodzony uroczyście w roku 1900 zwrócił uczonych do badania jej przeszłości. Zdawałem już obszernie sprawę w *Przeglądzie Powszechnym*, z dwutomowej „Historyi Uniwersytetu“ napisanej przez prof. Kazimierza Morawskiego. Same zaś zawiązki wielkiej naszej szkoły koronnej zbadał prof. Stanisław Krzyżanowski w pracy „Poselstwo Kazimierza W. do Avignonu“, umieszczonej w *Roczniku krakowskim*, tyle zasłużonéj publikacyi wydawanej przez stowarzyszenie „Miłośników Krakowa“. W archiwach papieskich odkryto tak zwany rotuł, t. j. notatkę, na której wypisany jest szereg próśb, z któremi Kazimierz Wielki wyprawił był poselstwo do Avignonu; jeździł tam Jan Rzeszowski. Już dnia 12 maja 1364 r. wydał król i miasto Kraków dyplom, a wkrótce na to miasto Kraków dokument poręczający wszelkie swobody uniwersytetowi. Obydwa te dokumenty posłano papieżowi, który zapytał arcybiskupa gnieźnieńskiego o bliższe wiadomości. Dnia 1 września 1364 roku zatwierdził Urban V fundacye uniwersytetu bez wydziału teologicznego. Czy król w Krakowie nie znalazł stosownego miejsca pod budowę, czy też miasto nie chciało ponieść znaczniejszych ofiar, czy też król chciał uświetnić nowe miasto przez siebie założone, dość że pod koniec życia postanowił przenieść uniwersytet

z Krakowa na Kazimierz i zaczął stawiać kollegium w miejscu zwanem „na Bawole“. Nazwa pochodziła od gospody pod bawołem, która należała do cechu papierników, mającego bawołu za godło, jak to wykazał p. Lepszy w rozprawie o papierniach, umieszczonej również w *Roczniku krakowskim*. Mieliśmy już sposobność zwrócić uwagę w *Przeglądzie Powszechnym* na to, że nie trzeba szukać żadnych dalszych powodów, dla których nie było zrazu wydziału teologicznego, ani nawet dlaczego szkoła zrazu nie rozwinęła się i dopiero później wznawiać ją trzeba było. Sprawa tłumaczy się poglądem średniowiecznym na nauki wogóle, jakoby one nie były sobie równe i tworzyły szczeble umiejętności, po których kolejno wspinać się trzeba, ażby się doszło do teologii. Nie można było otworzyć naraz całego uniwersytetu, bo nie byłoby dla niego uczniów. Najpierw trzeba było przejść wydział *artistarum* jako szkołę przygotowawczą, dopiero gdy pewna ilość studentów ukończyła szkołę istniejącą przy kościele Najśw. Maryi Panny, można było przystąpić do organizacyi wydziału prawniczego i wiemy na pewno, że na zamku krakowskim wykładano prawo kanoniczne i elementa prawa rzymskiego. Zanim zdołano uzupełnić ten wydział, zmarł wielki fundator, następca zaś jego nie troszczył się o dalszy rozwój instytucyi. Wszystkie też uniwersytety europejskie przechodziły przez taki okres, który nam dziś wydaje się jakby czasem zaniedbania i sprawia wrażenie, jakoby każdy uniwersytet nowo założony zaraz z początku upadał i dopiero później się podnosił, gdy tymczasem nie jest to niczem innem, jak tylko powolnem rozwijaniem się i stopniowem uzupełnianiem szkoły w miarę tego, jak uczniowie jego przechodzili przez szczeble nauki, co wymagało oczywiście odpowiedniego czasu. Dopiero w późnym okresie humanizmu poczęła kiełkować myśl, że wszystkie nauki są sobie o tyle równe, że każda z nich godna jest zapełnić całe życie uczonego. W naszym uniwersytecie niestety, aż do ostatka pozostało przekonanie, że jedna jesz szczeblem do drugiej, a tylko wstępem do teologii. Profesorowie przerzucali się z przedmiotu na przedmiot, aby wkońcu dojść do upra-

gnionej katedry Pisma świętego i skutkiem tego upadła u nas i teologia i nauki wogóle nie rozwinęły się należycie.

Do dziejów Kazimierza W. znajdujemy nader ważne przyczynki w dziele ks. prof. Fijałka o biskupstwach greckich; gdy jednak książka ta sięga do czasów późniejszych. lepiej omówić jej wyniki od początku w następnym ustępie, żeby nie rozrywać przedmiotu.

Pojawiło się opracowanie całego okresu piastowskiego, a mianowicie podpisanego: „Dzieje Polski za Piastów“, stanowiące pierwszą część zamierzonego opowiadania całości dziejów narodowych.

Dr. Feliks Koneczny.

Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne.

II.

Już w zeszłym roku pisaliśmy na tem miejscu o mistycznem ciele Chrystusa w ogólności, starając się wyjaśnić treść i znaczenie dogmatyczne tego pojęcia[1]. Główna myśl ówczesnych uwag i wywodów naszych — jak sobie może niektórzy z czytelników przypominają — skupiała się w tem, że pomiędzy Chrystusem Panem, głową niewidomą Kościoła a społecznością wiernych, stanowiących członki tegoż Kościoła na ziemi, zachodzi taki ścisły i wyjątkowy stosunek łączności i zależności wzajemnej, jakiego nie spotykamy nigdzie zresztą w związkach czysto ludzkich; i że wedle nauki Objawienia jedyną w sferze naszego poznania analogią, zdolną nam choćby nieco wyjaśnić rodzaj tego stosunku i przedziwną jego naturę, jest żywy organizm ludzki z różnorodnemi odnośniami swoich części składowych — duszy i ciała. Na podstawie rozbioru licznych tekstów Pisma św., traktujących o tym przedmiocie, wykazaliśmy — zdaje się dostatecznie — że w dzisiejszym nadprzyrodzonym porządku rzeczy Opatrzność Boża takie wytworzyła stosunki, iż z jednej strony Chrystus, Bóg-Człowiek, już nie tylko za pośrednictwem swoich zastępców i przedstawicieli, ale nadto sam przez się, własnym swym i bezpośrednim wpływem oddziaływa ciągle

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z r. 1902, luty, str. 157; kwiecień str. 58.

i wszechstronnie na Kościół, dając mu w zakresie życia nadprzyrodzonego to wszystko, co w zakresie naturalnego życia i rozwoju daje ciału ludzkiemu dusza — i że nawzajem widomy organizm kościelny nie tylko biernie ten wpływ ożywczy Chrystusa przyjmuje, ale i czynnie musi się z nim sprzęgać, kojarzyć i we wszystkich procesach żywotnych ciągle z nim współdziałać, trzymając go w stałej zależności od siebie i zewnętrznymi warunkami swoimi działanie jego normując, tak mniej więcej, jak działanie duszy naszej normować się musi i ograniczać warunkami sprzęgniętego z nią wspólnym węzłem żywotnym ciała.

Mając w tych ogólnych przynajmniej zarysach wyjaśnione i rozwinięte pojęcie mistycznego ciała Chrystusowego, możemy teraz przejść do drugiej kwestyi, która nas tu głównie zajmuje, i zapytać, jaką właściwie rolę odgrywają w tym tajemniczym organizmie Chrystusa charaktery sakramentalne.

Wobec tego, że źródła Objawienia kwestyi, w ten sposób sformułowanej, bezpośrednio nie poruszają, odpowiedź nasza oprzeć się będzie musiała przeważnie na szeregu rozumowań i wniosków teologicznych. Wiadomo nam wprawdzie, że zdarza się jeszcze spotkać autorów, którzy na tego rodzaju „rozumowe konstrukcye“ w teologii zapatrują się dosyć sceptycznie, nieomal podejrzliwie — ten jednak szczególny sposób pojmowania teologii, który ostatecznie zamyka dla tej nauki wszelką drogę rozwoju, nie jest na szczęście ani powszechnym ani prawdziwym. Najzupełniej zdajemy sobie z tego sprawę, że na terenie rozumowań teologicznych poruszać się można z wielką tylko ostrożnością, z niemniejszem umiarkowaniem i rezerwą, teren to bowiem dla umysłu naszego bardzo zazwyczaj trudny, a nadto raz po raz w nader ciasnym tylko zakresie dostępny; i łatwiej się błądzi na tem polu, niż na innych, i błędy tu popełnione znacznie bywają donioślejsze — mimo to jednak nie może ulegać wątpliwości, że jeśli w tych rozumowaniach zachowuje się należytą oględność i miarę, a wnioski na tej drodze zdobyte zestawia się raz po raz jakby dla próbnej kontroli i oryentacyi z pokrewnemi im prawdami Objawienia, dochodzi się niejedno-

krotnie do wyników bardzo cennych, zwłaszcza w zakresie tych prawd objawionych, które mając ze światem naszych pojęć więcej punktów stycznych, a tem samem dla rozumowania naszego więcej punktów zaczepnych, same się niejako dopraszają tego rodzaju traktowania. Jeśli np. Objawienie tak wyraźnie, jak to ma miejsce w naszej materyi, pouczyło nas, że Kościół, o ile chodzi o jego życie nadprzyrodzone, pojmować należy jako mistyczne ciało Chrystusa; jeśli nawet, nie poprzestając na tem ogólnem określeniu, wskazało nam szczegółowo cały szereg uderzających a głębokich podobieństw, jakie między jednym a drugim organizmem zachodzą, czyż tem samem nie upoważniło nas, owszem czy nas wprost do tego nie zmusza, aby za tą wskazówką iść samodzielnie dalej i własną pracą — o ile ta w danych warunkach możliwa — poszukiwać dalszych jeszcze podobieństw, w objawionem słowie Bożem nie zaznaczonych, albo przynajmniej nie zaznaczonych dość wyraźnie? Bez wątpienia, że tak. Wszak Objawienie Boże nie wszystko zawsze dopowiada. I to nie tylko dlatego, aby przed słabym wzrokiem człowieka nie odsłaniać zawrotnej głębi tajemnic — często, może częściej jeszcze i dlatego, że będąc przeznaczone dla istot rozumnych, uważa za dostateczne narzucić nieraz jakąś prawdę w najogólniejszych tylko zarysach, pozostawiając dokładniejsze jej zrozumienie i bardziej szczegółowe rozwinięcie własnej pracy i badaniu człowieka. Odnosi się to po części do tych nawet najgłębszych tajemnic wiary, których właściwe poznanie przechodzi naturalną możność człowieka. Sobór Watykański, mówiąc o takich właśnie tajemnicach, powiada między innemi, że „umysł ludzki, oświecony wiarą, jeżeli skrzętnie, pobożnie i trzeźwo szuka, dochodzi do jakiegoś przynajmniej ich rozumienia... i to nader cennego“ [1].

Tą tylko drogą możliwym był do osiągnięcia on wielki a ciągły postęp i rozwój teologii, który od pierwszych wieków

---

[1] *Const. I. de fide,* cap. 4: „Ratio... fide illustrata, cum sedulo, pie et sobrie quaerit, aliquam, Deo dante, mysteriorum intelligentiam, eamque fructuosissimam assequitur“ (Denz. nr. 1644).

Kościoła stwierdzić się daje, a na który przyuczają nas nowsi teologowie coraz więcej zwracać uwagę; tą też a nie inną drogą postępowali ci wszyscy wielcy mistrze szkoły, od Augustyna i Tomasza począwszy, którzy tyle światła i tyle polotu wnieśli w traktaty teologiczne za pomocą długich a subtelnych rozumowań, pracowitych zestawień, śmiałych nawet hypotez! W dziedzinę tajemnic, jak mówi stary Ryszard od św. Wiktora, „wchodzić trzeba przez wiarę, ale nie stawać przy samem wejściu, lecz śpieszyć zawsze do wnętrza i głębi zrozumienia“ [1].

Spróbujmyż i my tę metodę „skrzętnego, pobożnego i trzeźwego szukania“ zastosować do naszego przedmiotu.

Jeśli weźmiemy na uwagę mistyczny organizm Kościoła, opisany przez nas powyżej, i zestawimy go, choćby tylko pobieżnie, z żywym organizmem człowieka, spostrzeżemy od razu, że w ustroju ludzkiego ciała od pierwszych zaraz jego zawiązków aż do najwyższego stopnia rozwoju, i od pierwszych jego zboczeń aż do ostatniego w nim zaniku życia, zwanego śmiercią, mimowoli prawie nasuwają się nam różne zjawiska, stany i fazy, uderzająco podobne do pewnych objawów i stosunków, składających się na życie nadprzyrodzone Kościoła, czyli mistycznego ciała Chrystusowego.

Nie możemy tu, niestety, iść krok za krokiem śladami tych licznych podobieństw, po wszystkich stopniach i fazach rozwoju obu organizmów. Przeprowadzenie wszechstronne tej pięknej paralelli, jakkolwiek jest tematem niezwykle ponętnym, który o opracowanie prawie gwałtem się prosi, przekroczyłoby jednak ramy, zakreślone celem tej pracy. My tu ograniczyć się musimy do jednej tylko fazy w rozwoju obu organizmów — fazy, którą nazwijmy p o c z ą t k o w ą, czyli p r z y g o t o w a w c z ą.

Przedewszystkiem wytłumaczyć należy, co rozumiemy przez tę fazę przygotowawczą w rozwoju ludzkiego organizmu. Rozumiemy, wogóle mówiąc, kompleks tych procesów i przemian organicznych, które poprzedzają ożywienie materyi, będąc zarazem z natury rzeczy niezbędnym tego ożywienia warunkiem.

[1] Tr. de Trin. 1, 2.

Wytłumaczmy się jaśniej. Każdy ludzki organizm, który ma być przeniknięty ożywczym wpływem duszy, musi być w pierwszym rzędzie na przyjęcie tego wpływu i życia w odpowiedni sposób przysposobiony i przygotowany — jużto w całości przy pierwszem tworzeniu się całokształtu organizmu, jużto później w każdej nowej cząstce, która ma wejść z zewnątrz w żywy jego skład. Przyjmując to jako pewnik, nie podlegający dyskusyi, powiedzieć ogólnie możemy, że przysposobienie i ukształtowanie organiczne materyi stanowi w rozwoju naszych organizmów pierwsze niejako ogniwo wstępne, od którego wszystkie następne zawisły, czyli, jak się już wyraziliśmy, pierwszą oną fazę początkową i przygotowawczą.

Otóż twierdzimy, że podobne stadyum przygotowawcze występuje na jaw bardzo wyraźnie i w mistycznem ciele Chrystusowem. Podobnie jak ludzkie nasze ciało, tak i ten tajemniczy, Bosko-ludzki organizm, zanim nadprzyrodzone życie łaski przeniknie jego wnętrze i dotrze do wszystkich jego części i członków, musi być pierwej w każdym takim członku i w każdej takiej cząstce odpowiednio przysposobiony na przyjęcie tego życia i jakby uformowany — i ta właśnie pierwsza formacya nadprzyrodzonego organizmu Kościoła, ten wstępny i najbardziej podstawniczy proces w genezie mistycznego ciała Chrystusowego dokonywa się w duszach ludzkich zapomocą charakterów sakramentalnych. W tem leży całe znaczenie charakterów, w tem cała racya ich bytu [1].

Twierdzenie to, w którem, jakby w treściwej tezie, mamy ujęte samo jądro naszej kwestyi, musimy więcej szczegółowo rozwinąć, a nadto — o ile to będzie potrzebnem — uzasadnić.

Początkowy i najbardziej podstawniczy proces organiczny w genezie ciała ludzkiego, scharakteryzowany przez nas ogólnie, jako przygotowanie i ukształcenie materyi, jest bez wątpienia

[1] „Das ganze Wesen und die ganze Bedeutung des Charakters scheint uns darin aufzugehen, dass er in den Gliedern des mystischen Leibes Christi die Signatur ist, wodurch ihre Angehörigkeit an das Gottmenschliche Haupt durch Verähnlichung mit ihm gekennzeichnet und ihre organische Verbindung mit demselben hergestellt ist“. Scheeben: *Mysterien*, (2 Aufl.) § 84, str. 518.

czynnością pod względem fizyologicznym dosyć złożoną. Specyalista łatwoby wykazał cały szereg przemian i procesów szczegółowych, nieraz dość skomplikowanych, które się na nią złożyć muszą. Wszystkie te jednak procesy i czynności szczegółowe, wzięte na uwagę ze stanowiska filozoficznego, łatwo się dadzą sprowadzić do kilku prostych i bardziej, że tak powiem, zasadniczych funkcyi organicznych.

Spróbujmy je sobie określić nieco bliżej.

Zdaje się niewątpliwem, że pierwsza z nich polegać musi na wytworzeniu pewnej jednolitości i wprowadzeniu pewnego ścisłego związku we wszystkie części nieorganicznej materyi, mające się złożyć na jeden żywy organizm. Każda z tych części, ponieważ ma wejść w ścisły i jednolity skład ustroju, koniecznie sharmonizować się winna z jego całością, i dlatego też przetworzoną i urobioną być musi wedle typu tego ustroju i wedle jego wymagań. Każda, innemi słowy, musi się stać przedewszystkiem ciałem ludzkiem, zanim duch ludzki pocznie ją przenikać i ożywiać. I stąd to materya, którą nasz organizm przybiera ciągle z zewnątrz, wtedy dopiero staje się na prawdę jego częścią składową i może współuczestniczyć w bycie i życiu całości, kiedy ten organizm wcielił ją w siebie, t. j. ściśle sobie przyswoił, na swoją modłę urobił i do siebie upodobnił. Nie wdając się zatem w dalsze szczegóły tego procesu — coby tu było rzeczą zupełnie zbyteczną — lecz poprzestając na tem ujęciu rzeczy, jak mówiliśmy, więcej filozoficznem, powiedzieć możemy, że p r z y s w o j e n i e i u p o d o b n i e n i e materyi — to pierwszy, najbardziej podstawniczy proces w stadyum przygotowawczem ludzkich organizmów, pierwszy niejako stopień w skali ich rozwoju.

Otóż taki sam proces wstępny odbywa się ciągle w mistycznem ciele Chrystusa za pośrednictwem pierwszego z charakterów sakramentalnych. Nadprzyrodzone życie łaski, które ciągłem tętnem bije i krąży w łonie Kościoła, zwyczajnym porządkiem rzeczy do tych tylko jednostek dochodzi, które ten tajemniczy, mistyczny organizm przybrawszy sobie z zewnątrz, jakby jakąś nieorganiczną materyę, przemienił i przeobraził na swój

sposób, czyli przyswoił sobie i do siebie upodobnił. I tę właśnie funkcyę przyswojenia i asymilacyi dusz ludzkich do mistycznego ustroju Kościoła spełnia jak najdokładniej charakter chrztu. Tajemniczem i nadprzyrodzonem swojem działaniem urabia on, przetwarza i przysposabia czysto naturalny materyał dusz naszych do wyższego stopnia bytu w ustroju kościelnym, i czyniąc z nich w ten sposób materyał jednogatunkowy z mistycznem ciałem Kościoła, wciąga je tem samem w skład tego ciała, jakby te mnogie, nieprzeliczone komórki, co się składają na jednolitą masę ciała ludzkiego.

W jaki sposób charakter chrztu spełnia to zadanie? Odpowiedź nie trudna. Wyciskając na duszach ludzkich nadprzyrodzone piętno i jakby podobiznę Chrystusową, mocą której dusze one stając się w szczególniejszy sposób przynależnością Chrystusa, stają się tem samem jego członkami. Powie kto może, że chodzi tu przecież o przyswojenie tych dusz Kościołowi, a zatem o przetworzenie ich na wzór i modłę Kościoła. Tak, bez kwestyi. Ale trudność upada sama przez się, jeśli tylko wspomnimy na to, o czem już w pierwszej części tej pracy była mowa. Jeżeli bowiem Kościół — jak to tam wykazaliśmy — jest mistycznem ciałem Chrystusa Pana; jeżeli w dalszem tego następstwie Chrystus jest tego ciała kościelnego prawdziwą, choć mistyczną głową, czyli — jak to również dowodziliśmy — samą duszą jego i życiem, łatwo zrozumieć, że jak dusza, przenikając ciało, zlewa się z niem razem w jedną istotę, tak i Chrystus, dając siebie nakształt duszy Kościołowi, sprzęga się z nim w pewną wspólność mistycznego bytu, staje się czemś jakby jednem z Kościołem. „Chrystus jest synem Bożym i Kościołem — powiada trafnie w tem samem znaczeniu, jak to już wspominaliśmy, św. Augustyn — bo jedna jakaś staje się osoba z głowy i z ciała, z oblubieńca i oblubienicy“ [1]. Kto ma zatem wcielić się w organizm kościelny i upodobnić do niego, ten tem samem wcielić się musi w Chrystusa i do Chrystusa upodobnić. Jedno i drugie — to rzeczy zupełnie równoznaczne.

[1] *Przegląd Powszechny*, 1902, kwiecień, str. 65.

A właśnie charakter chrztu, jak to bardzo wyraźnie głoszą źródła nauki objawionej, wyciska na duszach naszych nie inne jakiekolwiek, jeno Chrystusowe piętno, piętno tajemnicze wprawdzie, ale jednak rzeczywiste i realne, nadające tym duszom prawdziwe podobieństwo z Chrystusem i cechujące je jako mistyczne członki Boga-Człowieka.

Każdemu z teologów znane są liczne w tej mierze głosy katolickiej tradycyi, po części nawet Pisma św., żadnej pod tym względem nie dopuszczające wątpliwości.

Otrzymać charakter chrztu, choćby nawet przy tym chrzcie nie dostąpiło się łaski poświęcającej, znaczy wedle Augustyna to samo, co przyjąć znamię przynależności do króla pokoju Chrystusa, i mieć jakby na progu duszy wypisane prawne jego tytuły. Skoro kiedyś po usunięciu przeszkód spływa łaska do takiej duszy, znamieniem Chrystusowego dziedzictwa oznaczonej, wtedy — powiada św. Augustyn — wchodzi sam Chrystus „w swoje tytuły“ i w swoje dziedzictwo pokoju, jako jedyny, prawowity właściciel [1]. Otrzymać charakter chrztu, znaczy wedle pięknego wyrażenia Teodota tyle, co nosić na sobie „stygmata Chrystusowe“ [2], albo — jak powiada św. Bazyli i inni Ojcowie greccy — tyle, co wejść do rodziny Chrystusa przez wyrytą na duszy cechę „współdomownictwa i powinowactwa“ z Bogiem-Człowiekiem [3]. Owszem, to jeszcze więcej — to to samo, co „przyjąć na się Chrystusa, nakształt pieczęci“, jak się wyraża św. Cyryl Aleksandryjski [4]; to samo wreszcie, co Chrystusa przywdziać

---

[1] Oto, co prześlicznie mówi do Donatystów: „Habebas signum pacis, ipsam pacem non habebas... In domo illa, id est in te, discordia habitabat et in limine titulos pacis figebat. Lego titulum pacis: baptismum in nomine Patris et Filii et Spiritus sancti. Titulus pacis est, lego, titulum agnosco, ipsum et ego habeo... Laborabo eicere discordiam et introducere pacem, tanquam legitimum possessorem... Christe, qui es pax nostra, fac nos unum! Introduc concordiam; introduc Te ipsum in titulos tuos“. *Ad plebem Caesar.* nr. 4. — Migne: *Patr. Lat.* t. XLIII, kol. 694.

[2] Migne: *Patr. Gr.* t. IX, kol. 698.

[3] Migne: *Patr. Gr.* t. XXXI, kol. 431.

[4] Migne: *Patr. Gr.* t. LXXII, kol. 449.

i w niego się jakby przyoblec, wedle tego, co mówi św. Paweł: „Którzykolwiek jesteście ochrzczeni, oblekliście się w Chrystusa“ [1].

Podobieństwo z Chrystusem, które daje charakter chrztu, nie jest z pewnością podobieństwem najwyższem i doskonałem. Większe bez wątpienia i doskonalsze podobieństwo do Słowa wcielonego przynosi duszom naszym w tem życiu łaska poświęcająca, a jeszcze większe i doskonalsze wytwarza w życiu przyszłem ten przedziwny dar Boży, który teologia nazywa tajemniczo „światłem chwały“. Podobieństwo, płynące z charakteru chrztu, jest najniższym stopniem asymilacyi do Chrystusa; nie jest ono nawet żywotnem, bo samo przez się, o ile nie towarzyszy mu łaska, nie daje duszy współudziału w życiu Chrystusowem; przyjmuje się zatem jakby na martwym jeszcze, t. j. nadnaturalnie nie ożywionym materyale dusz ludzkich — jest jednak podobieństwem prawdziwem i rzeczywistem, tak, jak prawdziwą i rzeczywistą jest, wedle katolickiej nauki, sama ta cecha nadprzyrodzona, na której istota charakteru sakramentalnego zależy.

To podobieństwo ma jeszcze i tę właściwość, że nie dopuszcza żadnych różnic i stopni. Łaska poświęcająca różną bywa w duszach, bo i przy pierwszem wlaniu daną być może wedle subjektywnego przysposobienia w mniejszej lub większej mierze, i potem jeszcze może wzrastać i potęgować się ciągle. Przeciwnie charakter chrztu. Bierze go każdy w tej samej mierze i w tym samym, że tak powiem, stopniu natężenia, postanowionym od Boga ogólnem prawem; nie wzrasta on też, ani się nie rozwija. Skutkiem tego, wytwarza on — o ile jest brany w rachubę sam przez się — równe i jakby jednogatunkowe członki Chrystusa, składające się na jednolitą, że tak powiem, masę mistycznego ciała Chrystusowego. Są bez wątpienia i w ziemskim Kościele i w królestwie chwały niebieskiej przeróżne stopnie, różnice i odmiany — wszystkie one jednak skądinąd pochodzą i są wynikiem innych zgoła czynników. Charakter chrztu, przetwarzając i przemieniając dusze do wyższej formy życia

[1] List do Gal. III, 27.

nadprzyrodzonego, nie dąży do wytworzenia różnic, ale do wprowadzenia podstawniczej jedności w całem królestwie łaski. „Powszechnym skutkiem chrztu“ — powiada krótko a dobitnie św. Tomasz — *est constructio ecclesiasticae unitatis* [1].

A teraz, zbierając w jedno wszystkie dotychczasowe wywody nasze, pytamy się, czy te przeróżne zdania Pisma św. i tradycyi kościelnej o chrzcie św., o jego charakterze, wogóle o jego działaniu, rozrzucone luźnie i fragmentarycznie po źródłach objawienia, jakby ułamki jakiejś wspaniałej mozajki, którą na pierwszy rzut oka trudno skonstruować, nie przystają jak najdokładniej do siebie i jak najharmonijniej nie spajają się z sobą dopiero na tle tego planu, któryśmy tu rozwinęli? Czyż np. nie to samo pojęcie o charakterze chrztu i jego działaniu musiał mieć na myśli św. Paweł, kiedy pisał do wiernych: „My wszyscy w j e d n o c i a ł o jesteśmy ochrzczeni, bądź Żydowie, bądź poganie, bądź niewolnicy, bądź wolni; a wszyscy jednym duchem jesteśmy napojeni... Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, a wszystkie członki ciała, choć ich wiele jest, wszakże są jednem ciałem — takżeć i Chrystus?! [2]. Albo gdy mówił: „Którzykolwiek jesteście ochrzczeni... oblekliście się w Chrystusa“, i „nie jest Żyd ani Greczyn, nie jest niewolnik ani wolny, nie jest mężczyzna ani niewiasta — albowiem wszyscy wy j e d n o jesteście w Chrystusie Jezusie“ [3]. I jakby mu za mało było zaznaczyć, że wszyscy są „jednem w Chrystusie“ i „w jedno ciało ochrzczeni“ są, dodaje jeszcze dosadniej, że Chrystus przez chrzest i jego charakter jest w nich wszystkich. „Nie masz poganina i Żyda, barbarzyna i Tatarzyna, niewolnika i wolnego — ale wszystko i we wszech Chrystus“ [4].

Albo czyż znowu nie te same zupełnie myśli nasuwa nam jeden z najstarszych świadków tradycyi, św. Ireneusz, kiedy pisząc o wodzie chrztu św., z nieba nam danej, tak się wyraża: „Podobnie jak z suchej pszenicy nie da się urobić bez płynnej

[1] *Summa*, III, q. 39, art. 6, ad 4.
[2] List 1. do Kor. XII; 12, 13.
[3] List do Gal. III. 28.
[4] List do Kolos. III. 11.

zaprawy jednolita masa ciasta i jeden chleb, tak i my nie mogliśmy się stać jednem w Chrystusie Jezusie bez onej wody, która z nieba jest“ [1].

I dalej, czy nie to samo pojmowanie rzeczy odnajdujemy nawet w „Pasterzu“ starego Hermasa? Przedstawiając Kościół Boży pod obrazem wieży, budowanej z najróżnorodniejszych kamieni, dziwi się i pyta, jakim sposobem te kamienie, skądinąd tak różnorodne, przybrały jedną wspólną barwę i blask, tak, iż cała budowla jednolitym połyskiem świeci jak słońce. I słyszy odpowiedź, że jednolitego zabarwienia i blasku nabrały te ciosy i głazy „przez otrzymanie pieczęci..., którą jest woda chrztu“ [2].

A jeśli powiedzieliśmy wyżej, że nadanie duszom naszym przez charakter chrztu onej jednolitości w podobieństwie Chrystusowem i onego wspólnego kolorytu, o którym mówi Hermas, ma być pierwszym i najbardziej podstawniczym procesem w tworzeniu się mistycznego organizmu Kościoła i nieodzownym wskutek tego warunkiem życia jego i dalszego rozwoju — to czyż znowu nie z tem samem twierdzeniem, w nieco innych tylko wyrażonem słowach, spotykamy się w nauce kościelnej, gdy głosi np. na soborze Trydenckim, że chrzest jest „drzwiami, przez które się wchodzi do Kościoła“ [3], albo kiedy na soborze Florenckim zaznacza, że pierwszy a sakramentów jest „bramą życia duchownego“ [4], wyrażając pod przejrzystą osłoną tej przenośni prawdę powszechnie już znaną, że wedle normalnych dróg Opatrzności, człowiek nie mający charakteru chrztu, nie jest zdolnym do życia w Chrystusie, do ważnego przyjęcia sakramentów, do całego wogóle porządku nadprzyrodzonego? Bez wątpienia, że tak. Jedno i drugie określenie jest z naszem pojmowaniem rzeczy zupełnie identyczne.

---

[1] „Sicut enim de arido tritico massa una fieri non potest sine humore, neque unus panis — ita nec nos multi unum fieri in Christo Iesu poteramus sine aqua, quae de caelo est“. *Contra haer.* l. 3, c. XVII. (Migne: *Patr. Gr.* t. VII, kol. 930).

[2] Pastor Hermae, *Simil.* 9, nr. 17. Por. Funk, *Patr. Apost.*, t. I, str. 535.

[3] Sess. XIV, cap. 2. Por. Denzig. nr. 775.

[4] *Decret. pro Arm.*, Por. Denz. nr. 591.

Mogłoby się może wydawać, przynajmniej na pierwszy rzut oka, że niektóre cytaty Pisma św. i tradycyi, któreśmy w ciągu tej rozprawy przytoczyli na poparcie naszej teoryi o charakterze chrztu i jego na dusze działaniu, mogą się ostatecznie odnosić nie do charakteru, ale do łaski poświęcającej, którą ten sakrament duszom daje. W takim razie nie charakter, ale łaska chrztu upodobniałaby nas do Chrystusa, łaska wcielałaby nas w niego, łaska nareszcie czyniłaby nas członkami mistycznego ciała Chrystusowego. Spotkaliśmy się kiedyś z tym zarzutem ze strony dość poważnej i dlatego tu go podnosimy — sądzimy jednak, że nie przedstawia on żadnych rzeczywistych trudności. Nie przeczymy, że w niektórych tekstach czyto Pisma św. czy tradycyi, traktujących o chrzcie św. i jego skutkach, działanie tak charakteru jak i łaski tego sakramentu przedstawiane bywa razem, bez tych ścisłych rozgraniczeń, jakie my tu czynimy. Rzecz całkiem naturalna i łatwo zrozumiała wobec tego, że obydwa te dary zazwyczaj równocześnie spływają na dusze i poniekąd dopełniają się nawzajem. Oczywista, że takimi wyłącznie tekstami teoryi naszej dostatecznie poprzećby nie można. Zaraz jednak dodać należy, że i takie nawet teksty przydatne nam być mogą, jeżeli światło i wskazówki do ich zrozumienia potrzebne znajdujemy w szeregu innych tekstów pokrewnych, w których dwa te nadprzyrodzone dary — charakter i łaska chrztu — rozróżnione są najoczywiściej i oddzielnie traktowane w sposób, wykluczający wszelką wątpliwość. Powołujemy się tu na wyraźne słowa św. Augustyna, którycheśmy użyli parę stron powyżej [1], a równocześnie przypominamy rzecz teologom dobrze znaną, że ten Ojciec Kościoła nie na jednem miejscu pism swoich charakter chrztu najwyraźniej od łaski odróżnia i pierwszemu, nie drugiej, przypisuje te skutki, o których była mowa powyżej. Kiedy uczy np. za św. Pawłem, że ludzie przez chrzest przyoblekają Chrystusa, dodaje zaraz, że podwójny jest sposób tego przyobleczenia. Jedni o tyle Go tylko przyoblekają, że przyjmują ważnie sakrament; drudzy do tego stopnia, że dostę-

[1] Na str. 378.

pują uświęcenia. Pierwszy sposób — powiada — wspólny jest dobrym i złym, drugi tylko dobrym i pobożnym przypaść może w udziale [1].

Te słowa żadnej chyba nie dopuszczają wątpliwości. Przebija z nich jasno ta myśl, że oprócz przyobleczenia Chrystusa, które polega na przywdzianiu szaty łaski uświęcającej, można jeszcze inaczej w tegoż Chrystusa przez chrzest się przyoblec, nie otrzymując łaski, lecz ważnie tylko przyjmując sakrament, t. j. uzyskując sam jego charakter, jak to ma miejsce u ludzi złych, którzy do chrztu w świadomej niepokucie za grzechy przystępują.

W podobny sposób o przyobleczeniu się w Chrystusa i podobieństwie do niego, opartem na samym charakterze chrztu, wyrażają się i późniejsi pisarze katoliccy, którzy tej kwestyi, choć mimochodem, dotknęli. Wystarczy tu nazwać z nowszych Gihra, ze starszych św. Bonawenturę i Doktora Anielskiego [2].

Mamy zresztą i inną jeszcze odpowiedź. Nie tylko święty Augustyn, ale wogóle źródła katolickiej tradycyi bardzo jasno zdają sobie z tego sprawę, że można ważnie przyjąć chrzest wraz z jego charakterem, a łaski jednak nie otrzymać, i przyjmują za pewne, że to się nieraz faktycznie zdarza, jak np. przy chrzcie Szymona Maga. Jeśli więc mimo to o chrzcie, jako takim — a zatem o każdym chrzcie w ogólności — twierdzą, że nas wciela w Chrystusa, że wyciska i jakby wyrzeźbia na duszy naszej nadprzyrodzone podobieństwo Boga-Człowieka, toż oczy-

---

[1] „Induunt homines Christum aliquando usque ad sacramenti perceptionem, aliquando et usque ad vitae sanctificationem; atque illud primum et bonis et malis potest esse commune, hoc alterum proprium est bonorum et piorum". Aug. *De bapt.*, lib. v, cap. 23, nr. 33. (Migne: *Patr. Lat.* t. XLIII, kol. 193).

[2] „Dieses ‚Anziehen Christi' vollzieht sich schon in dem, der wegen mangelnder Disposition bloss den Taufcharakter empfängt; weit vollkommener aber in jenem, der zugleich die Taufgnade erlangt". Dr. N. Gihr: *Die heil. Sakramente*, I Bd. § 33, str. 229.

„Ficte accedentes... quia suscipiunt characterem, Christum aliquo modo induunt, sed imperfecte". S. Bonavent. IV, dist. 4, p. 1, dub. 4.

„Omnes induunt Christum per configurationem characteris, non autem per conformitatem gratiae". S. Thom. III, q. 69, art. 9, ad. 1.

wiście nie łaskę chrztu uważają za czynnik tego mistycznego wcielenia i upodobnienia, ale charakter. W przeciwnym bowiem razie ogólna forma tych twierdzeń byłaby niedopuszczalną. Trudnoby było powtarzać przez wszystkie wieki do wszystkich wiernych kategoryczne słowa apostolskie: „Którzykolwiek ochrzczeni jesteście, oblekliście się w Chrystusa“ [1].

Nie brak nam i innych odpowiedzi. Kiedy źródła kościelne uczą, że chrzest jest bramą zbawienia i podstawą życia nadprzyrodzonego, bez której nie można ważnie przyjąć żadnego z sakramentów, to równie niewątpliwem jest, że te zdania nie mogą się odnosić do chrztu, o ile łaskę daje, lecz tylko do chrztu, o ile charakter sakramentalny wyciska. Wiadomo bowiem, że człowiek, ważnie ochrzczony, zdolny jest do przyjęcia innych sakramentów, choćby na onym chrzcie łaski nie otrzymał.

Możnaby podnieść i drugi zarzut przeciw naszej teoryi, poniekąd donioślejszy. Wynika z tej teoryi niewątpliwie, że aby być członkiem Kościoła, dość mieć wyryty na duszy charakter chrztu świętego. Tymczasem teologowie twierdzą, że heretycy głośni i publiczni, jakkolwiek ważnie ochrzczeni — a zatem nacechowani charakterem Chrystusowym — nie są jednak członkami Kościoła.

Ale i tę trudność — tylko pozorną — łatwo usunąć.

Pojęcie, które odpowiada nazwie „członka Kościoła“, jest pojęciem dość szerokiem i rozciągłem; nie da się zaprzeczyć, że w jego granicach pomieścić się dadzą liczne i bardzo różne stopnie przynależności do nadprzyrodzonego ustroju kościelnego. Można być członkiem Kościoła żywym, albo martwym; aktualnie podległym władzy kościelnej, albo też opornym i przeciw tej władzy zbuntowanym. Można być złączonym z Kościołem bardzo tylko luźnie i odlegle, jednym lub drugim dość słabym węzłem, nieraz czysto zewnętrznym; albo przeciwnie spojonym z nim być ściśle i silnie wieloma zewnętrznymi i wewnętrznymi węzłami. Można być członkiem wykluczonym od pewnych wpływów i dóbr, organizmowi wspólnych, a jednak nosić na

[1] List do Gal. III, 27

sobie znamiona przynależności do organizmu, tak np. jak je nosi każdy zwichnięty, albo i nadcięty członek naszego ciała, który na nikłem tylko włóknie się trzyma; jak je nosi do pewnego stopnia nawet świeżo odcięty członek, który z resztą organizmu łatwo jeszcze zróść się może.

Wobec możliwości tak szerokiego i różnorodnego stosowania nazwy „członka Kościoła", cóż dziwnego, że ci sami, którzy pod pewnym względem całkiem słusznie za członków Kościoła uważani bywają, pod innym względem równie słusznie z rzędu tychże członków mogą być wykluczeni. Publiczni heretycy z wielu tytułów członkami Kościoła nie są i być nie mogą, wskutek więc tego, skoro jest mowa o członkach w pełnem i całkowitem tego słowa znaczeniu, odmawia się im wprost tej nazwy. Z tego jednak nie wynika bynajmniej, aby nie mogli być nazwani członkami Kościoła w tem znaczeniu ograniczonem, jakie tu mamy na myśli, kiedy o skutkach charakteru chrztu mówimy. Są i oni bez kwestyi materyałem wybranym z czysto naturalnego porządku i na członki Chrystusa i Kościoła przez charakter chrztu urobionym i uformowanym; znamię niestarte pzynależności do Chrystusa i Kościoła nosić będą na sobie na wieki wieków — tem gorzej dla nich, jeśli na większą swą hańbę i zgubę. O każdym z nich powtórzyć można trafne słowa Franzelina, że jak rzecz, drogą kradzieży zagrabiona, woła do swego pana, tak i oni do Kościoła, jedynej swej prawowitej matki[1]. Można o nich powiedzieć, że są członkami uformowanymi i przysposobionymi do wejścia w żywy ustrój kościelny, choć się ze składu tego ustroju i z pod jego wpływu gwałtem i przeciw naturze wyrwali.

Jeśliby komuś chodziło o poparcie tej naszej odpowiedzi jakąś zewnętrzną powagą, podać ich możemy cały szereg. Kardynał Franzelin, jakkolwiek uczy, że heretycy nie są członkami Kościoła[2], mimo to stwierdza wyraźnie na innem miejscu, że

[1] „Veluti res furto haereseos aut schismatis sublata, clamant ad dominum, ad Ecclesiam scilicet legitimam matrem". Franzelin: *De Ecclesia*, pag. 409.

[2] *De Ecclesia*, th. XXII, pag. 390.

charakter chrztu daje konsekracyę na członka ciała Chrystusowego; że jest jakoby pieczęcią, która cechuje i znaczy „członki Kościoła“ [1]. Zupełnie tak samo, jak Suarez, który powiada krótko, ale dobitnie, że człowiek przez charakter chrztu *ex membro Adam fit membrum Christi* [2].

Co więcej, nawet sobór Florencki bez żadnych zgoła zastrzeżeń używa zwrotów, że przez chrzest „zostajemy członkami Chrystusa“, że „się stajemy z ciała kościelnego“ [3]. Podobnymi zwrotami posługuje się z całą swobodą i sobór Trydencki, kiedy mówi np., że „przez bramę chrztu wchodzą ludzie do Kościoła“, lub że „wodą tego sakramentu czyni sobie Chrystus członki swego ciała“ [4]. Przy tej sposobności potrąca sobór i o inną naukę, którą tu, jako nowy dowód za naszem zdaniem przytoczyć warto, że Kościół, który w myśl zasady św. Pawła, nie sądzi tych, co są „na zewnątrz“ [5], sądzić bowiem można tylko swoich, ma jednak władzę i prawo sądu nad heretykami, jako nad swojem poddaństwem i dziedzictwem, przynależnem do społeczności kościelnej przez charakter chrztu.

Tak więc upada druga trudność i żadnej nie może ulegać wątpliwości, że charakter chrztu czyni nas członkami Chrystusa i Kościoła w pewnem, powyżej określonem znaczeniu.

Dłużej nieco musieliśmy się zatrzymać przy pierwszym z charakterów. Było to jednak koniecznem właśnie dlatego, że jest pierwszym. Jako taki, jest on nie tylko początkowem ogni-

---

[1] „Sacramento fidei... imprimitur... character, tanquam consecratio in membrum corporis... Christi“. *De Eccl.*, th. XXII, nr. III, pag. 384.

„Christus sacramentum fidei ad formanda membra ecclesiae instituit, ita ut eius efficacia imprimatur character, tanquam sigillum, signans membra ecclesiae“. *De Eccl.* th. XXIII, nr. II. 3, pag. 408.

[2] Suarez, III. q. 66, art. 1. *Comment.*

[3] „Per ipsum membra Christi ac de corpore efficimur Ecclesiae“. *Decr. pro Arm.*, Denz. nr. 591.

[4] „Ecclesia in neminem iudicium exercet, qui non prius in ipsam per baptismi ianuam fuerit ingressus. Quid enim mihi, inquit Apostolus, de iis, qui foris sunt, iudicare. Secus est de domesticis fidei, quos Christus Dominus lavacro baptismi sui corporis membra semel effecit“. Sess. XIV. cap. 2. Por. Denz. nr. 775.

[5] List 1 do Kor. v, 12: „Quid mihi de iis, qui foris sunt, iudicare?“

wem całej teoryi o charakterach, którą tu rozwijamy, ale zarazem jej podstawą, a dodajmy zaraz — i pierwszym jej probierzem. Niejedną kwestyę, odnoszącą się do wszystkich charakterów sakramentalnych, trzeba było już tutaj dość szczegółowo wyjaśnić; niejeden zarzut, który w dalszym pochodzie mógł nam zawadzać, należało już tutaj z drogi usunąć. To też w dalszym ciągu mamy znacznie ułatwioną pracę i będziemy mogli postępować raźniejszym krokiem.

(Dok. nast.)

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.

RZYM WOBEC „KSIĄG PIELGRZYMSTWA“ [1].

(Dokończenie).

Brewe papieskie ganiące „Księgi pielgrzymstwa“ „zwróciło na siebie uwagę wszystkich szwajcarskich i niemieckich dzienników broniących absolutyzmu“, donosi Montalembert w liście do Jańskiego [2], w którym wyraża swój żal i boleść spowodowaną niespodziewanym dla niego zwrotem rzeczy. Najsążnistsze i najnamiętniejsze artykuły posypały się też głównie przeciw niemu, jako przeciw autorowi słynnej „przedmowy“ i powszechnie znanemu obrońcy sprawy polskiej. I tym to prawdopodobnie przesadnym okrzykom tryumfu, ze strony nieprzyjaznej prasy przypisać należy później przyjęte mniemanie, o rzekomem „p o t ę p i e n i u“ Ksiąg przez Stolicę św.

Tak atoli wcale nie było.

Naprzód bowiem w całem, wyżej cytowanem brewe, nie znachodzimy wyraźnych słów potępienia, ale tylko co najwyżej, żalu i niezadowolenia: *altera subito accessit ratio doloris.* Powtóre żal ten ma na oku przedewszystkiem Lamennais'go i Montalemberta, jak widać ze słów: *in quo (commentariolo) haud ipsum* (Lam.)

[1] W pierwszej części niniejszej pracy zaszła pomyłka. Mimo wskazówek i poprawek autora, korektor samowolnie zmienił początek encykliki Grzegorza XVI: *Mirari vos* na *Mira vos*, i to w trzech miejscach. Zwracamy na to uwagę szan. Czytelników. *(Przyp. Red.).*

[2] Monachium 5 stycznia 1834. Por. *Przegląd polski*, czerwiec 1891.

latet, quidnam longo ac vehementi sermone praefatus sit alter ex praecipuis eius alumnis (Mont.). „Długa i gwałtowna przedmowa“ oto co najwięcej zabolało papieża z całej tej broszury. Wprawdzie przy tej sposobności Grzegorz XVI ocenia zarazem wartość samychże „Ksiąg“, nazywając je „broszurą pełną lekkomyślności i złośliwości“ *(commentariolum plenum temeritatis ac malitiae)*, ocena ta wszakże jest tylko „ulotną“ *per incidens*, a taka podług zasad prawa kościelnego nie zawiera bynajmniej formalnego zakazu i potępienia rzeczy nią objętej. Gdyby nie zuchwałe zapytanie Lamennais'go o przyczyny papieskiego niezadowolenia, Grzegorz XVI byłby najniezawodniej pominął milczeniem całą kwestyę „Ksiąg“. Gdyby zaś papież uważał je istotnie za dzieło godne potępienia ze strony władzy kościelnej, to nie byłby wcale czekał na interpelacyę Lamennais'go, ale *motu proprio* wydałby osobne brewe, wprost zakazujące wydawania i czytania tej broszury.

Podług myśli ustaw prawnych, obowiązujących w Kościele, pomiędzy potępieniem a prostą oceną książki wielka zachodzi różnica. Może jakaś książka zasługiwać na naganę, może nawet nagana być przez papieża wyrażoną, wszelako dopokąd papież do nagany nie dodaje żadnego wyraźnego potępienia ni zakazu, póty prawo kanoniczne nie dozwala książki takiej uważać za potępioną lub zakazaną. Jak bowiem w innych wielu wypadkach, tak i tutaj prawo kościelne stosuje w całej rozciągłości znaną maksymę: *odiosa restringenda* i *lex odiosa est strictae interpretationis*. Zresztą sama historya Indeksu dostarcza wielu przykładów podobnej nagany, która nie pociągnęła przecież za sobą wcale rzeczywistego zakazu dzieł zganionych. Dzisiaj wymaga się nadto do zakazu pewnych formalności, których papieże zawsze pilnie przestrzegają. Biorąc rzecz bezwzględnie, teoretycznie, papież mógłby jednem słowem *damnamus, prohibemus* każde dzieło dostatecznie potępić. Atoli przez długi szereg wieków wyrobiły się pewne formalności prawne, których Kurya rzymska zawsze ściśle przestrzega i które tem samem zyskały pewną moc prawa zwyczajnego. Tak np. już od czasów Klemensa VIII używali papieże w swych odręcznych

potępiających pismach[1] takich lub tym podobnych klauzul i formuł: potępiamy rzeczoną książkę... z własnego popędu... z pewną świadomością... po dokładnem zastanowieniu się... powagą apostolską (pełnością naszej władzy apostolskiej!);... zakazujemy czytania, drukowania, przechowywania i obrony (niniejszego dzieła)... wszystkim jakiegokolwiek stanu, godności, urzędu, nawet zasługującym na szczególną i wyraźną wzmiankę... Najczęściej dodaną jest sankcya: pod karą klątwy *latae sententiae*, której (niekiedy) rozgrzeszenie Nam i Naszym zastępcom zastrzegamy[2]. Do zakazu zazwyczaj dołączone jest surowe polecenie, aby istniejące egzemplarze rzeczywiście i skutecznie oddane zostały w ręce miejscowych ordynaryuszów, oraz aby to pismo (papieskie) przybito do bramy bazyliki św. Apostołów i apostolskiej komory i na rynku. Od czasów Aleksandra VII dodaje się zwykle na początku wyroku jeszcze inne stałe formuły, jako to: że potępienie nastąpiło na podstawie zdania teologów, którym polecono daną książkę zbadać, i na żądanie albo za radą kardynałów lub innych uczonych mężów. Pominięcie wszystkich tego rodzaju formuł prawnych, w praktyce uchodzi obecnie za dowód przeciwko potępieniu danej książki, chyba gdyby Rzym jasno oświadczył swą wolę, aby, pomimo braku formalności, zakaz uważanym był za obowiązujący w całej pełni. W brewe Grzegorza XVI do biskupa z Rennes, jak świadczy samo brzmienie listu, żadna z powyższych prawnych ostrożności nie została zachowaną. Dlatego z tej strony formalne potępienie lub zakaz „Ksiąg pielgrzymstwa" uważamy zgoła za wykluczony.

Wniosek nasz potwierdza inna jeszcze okoliczność. Oto święta Kongregacya Indeksu, której także obowiązkiem jest

[1] Por. *Bullarium Romanum* (edit. Luxemburg 1727—1754) i *Bullarium Benedictinum* (edit. Romae 1760).

[2] Tak od czasów Benedykta XIV, który dodaje nadto groźbę suspenzy dla duchowieństwa.

wszystkie dzieła potępione przez Stolicę Apostolską wciągnąć w swój Wykaz, najwidoczniej w ten sam sposób zrozumiała przyganę Grzegorza XVI, skoro „Ksiąg pielgrzymstwa" imiennie nie wymienia w żadnem wydaniu urzędowem Indeksu. Niema ich wcale w wydaniach z lat 1835, 1841, 1851, 1855, 1877, 1881, 1891 i 1895, które jedynie mogą wchodzić w rachubę. Nie znajdujemy ich również w najświeższem wydaniu z r. 1900. Owszem, skrzętny chociaż stronniczy historyograf Indeksu, Henryk Reusch uważa „Księgi" tylko za *scharf getadelt* [1]. Z Polaków (o ile nam wiadomo) jedynie tylko ks. Smolikowski ocenił rzecz należycie, mówiąc, że „Papież zganił ‚Księgi pielgrzymstwa'" [2]. I to zdanie wydaje nam się jedynie uzasadnionem (w stosunku do polskich dzieł Mickiewicza). Inny sąd należałoby za to wydać o niektórych jego broszurach francuskich, ale o tych tu wcale niema mowy [3].

Z dowodów wyżej przytoczonych wynika nadto, że i samo „poddanie się" Mickiewicza wyrokowi Kościoła w sprawie „Ksiąg pielgrzymstwa", nie może być wziętem w znaczeniu ścisłem tego wyrazu, t. j. w znaczeniu takiego poddania się, jakie ma zwykle miejsce po formalnem potępieniu książki,

---

[1] *Der Index der verbotenen Bücher.* Bonn. (1883–1885) t. II, str. 1099.

[2] „Początki odrodzenia religijnego..." *Przegląd polski,* czerwiec 1891.

[3] Do tych należą bezsprzecznie dwa tomy jego ostatnich wykładów w Collège de France p. t. *L'église officielle et le messianisme* i *L'église et le Messie.* Oba te dzieła potępione zostały istotnie dekretem Kongregacyi Indeksu z d. 15 kwietnia 1848 r. Napisane pod wpływem towianizmu, są one rzeczywiście „mięszaniną wszystkich herezyi przez Kościół odrzuconych", jak się wyraził O. Ventura, jenerał Teatynów. (Por. Wład. Mickiewicz IV. Dodatek nr. VI). Wiele myśli i dowodów zaczerpnął do nich Mickiewicz z *Affaires de Rome* Lamennais'go. Sam poeta w chwilach spokojniejszych (np. w r. 1846) mocno żałował, że tak spiesznie oddał ostatnie „Kursa" do druku. Przedewszystkiem bolał go ich tytuł. Ks. Duńskiemu (podówczas jeszcze katolikowi) powiedzieć miał otwarcie, że „gdyby kiedykolwiek dostrzegł, że Towiański sprzeciwia się prawdom wiary w Kościele złożonym, to miałby dość mocy i pokory do odwołania publicznego". (Por. *Przegląd polski,* grudzień 1895, str. 491). Niestety, zajęty później wyprawą legionu polskiego do Turcyi, zamiaru swego Mickiewicz nie zdążył wykonać. Jest on wszakże sam przez się rękojmią ufności *in bonam fidem* nieszczęśliwego wieszcza.

a które Rzym oznacza klauzulą: „autor chwalebnie poddał się i dzieło swe odwołał" *(auctor laudabiliter se subiecit et opus suum reprobavit)*. Nie było bowiem potrzeby „poddawania się", gdzie nie nastąpiło żadne potępienie ani zakaz pozytywny Kościoła. Stąd, jeśli niektórzy historycy lub krytycy wspominają o jakiemś „poddaniu się" Mickiewicza, wyraz ten oznaczać może tylko wewnętrzną, duchowną zmianę zapatrywania, nie zaś publiczne, uroczyste, urzędowe oświadczenie swej uległości, wymagane przez Rzym względem władzy kościelnej.

Pewną zatem wydaje się rzeczą, że „Ksiąg pielgrzymstwa" nigdy Rzym nie potępił ani zabronił żadnym wyrokiem pozytywnym, szczegółowym. Przez to wszakże kwestya cała o dozwoloności „Ksiąg" nie byłaby jeszcze stanowczo rozstrzygniętą. Zdarzyć się bowiem może, iż dzieło nie zabronione żadnym dekretem szczegółowym, dla jakichś przyczyn podpada pod t. zw. Ustawy ogólne Indeksu, które właściwie stanowią ostateczną normę wszelkich szczegółowych wyroków Kuryi rzymskiej. Wówczas, nawet bez dalszych badań lub orzeczeń ze strony Stolicy św., zarówno jego wydawanie i rozpowszechnianie jak i używanie (wyjąwszy pewne ściśle prawem określone wypadki) staje się niedozwolonem przynajmniej dla ogółu publiczności.

Pytanie więc zachodzi, czy i w stosunku do naszych „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa"[1] ten wypadek ma miejsce. Rzecz rozważymy, mając na oku najnowsze prawo Indeksu z 25 stycznia r. 1897, ogłoszone w konstytucyi Leona XIII: *Officiorum ac munerum*, które obecnie posiada jedynie moc obowiązującą. Pominiemy zaś zupełnie wątpliwość co do stanowiska tychże „Ksiąg" wobec dawniejszych ustaw indeksowych. Raz dlatego, że dzisiaj cała ta kwestya nie miałaby żadnej praktycznej wartości. Po-

[1] Dla uproszczenia nie rozróżnialiśmy dotąd i nadal rozróżniać nie będziemy „Ksiąg narodu" od „Ksiąg pielgrzymstwa", gdyż sama jedność myśli przewodniej pozwala obie uważać za całość tak, jak razem były wydane. Zresztą wnioski ostateczne do jednych i drugich zarówno dadzą się zastosować.

wtóre, ponieważ zdaniem naszem poprostu niemożliwą byłoby rzeczą rozstrzygnąć, które z dawniejszych ustaw soboru Trydenckiego lub późniejszych dekretów Stolicy św. miały jeszcze moc obowiązującą w Polsce w czasach, o które nam chodzi. Sam bowiem Leon XIII w rzeczonej konstytucyi *Officiorum* przyznaje, że Kościół „łagodnie a zarazem roztropnie dopuścił, by niektóre przepisy (dawnego prawa) same się przestarzały lub w zapomnienie gdzieniegdzie poszły wskutek przeciwnego zwyczaju“ [1].

Owóż w myśl wspomnianej „Ustawy Leonowej“, łagodzącej znacznie dawne rozporządzenia św. Stolicy, sądzimy, iż „Księgi pielgrzymstwa“ nie dadzą się podciągnąć pod żaden z potępiających paragrafów. Na dowód tego przytoczmy i porównajmy z treścią „Ksiąg“ te wszystkie ustępy konstytucyi, które tutaj jedynie w grę wchodzićby mogły [2].

Tu należałby na pierwszem miejscu §. 2: „Bezwzględnie zakazane są książki napisane przez odstępców, heretyków, schyzmatyków i jakichkolwiek pisarzy, które bronią herezyi lub schymy, albo w jakikolwiek sposób podkopują podstawy religii“ [3]. Bez dalszych dowodów widoczną jest rzeczą, iż omawiane przez nas dzieło Mickiewicza żadną miarą nie może być

[1] „Plures regularum Iudicis praescriptiones, quae excidisse opportunitate pristina videbantur, vel decreto ipsa (Ecclesia) sustulit, vel more usuque alicubi invalescente antiquari benigne simul ac provide sivit“. (Konstytucya: *Officiorum ac munerum* — pod koniec wstępu).

[2] Czytelnik pragnący dokładniej zapoznać się z nową ustawą indeksową, znajdzie dokładne jej objaśnienie w obszerniejszej naszej pracy p. t. „Nowy Indeks zakazanych książek, jego uzasadnienie, dzieje i nowe prawo“, której pierwsze arkusze są już pod prasą. Uwzględniono w niej najpoważniejsze źródła prawnicze i moralne Boudinhon'a, Arndt'a, Desjardins'a, Dilgskron'a, Gennari'ego, Hollwecka, Périès'go, Pennacchi'ego, Schneider'a, Van Coillie'go, Vermeersch'a, Wernza, Göpferta, Génicot'a, Haine'go, Lehmkuhla, Noldina, Palmierego i t. d. i t. d. Tymczasem za wskazówkę posłużyć może polska broszura ks. dra I. Opielińskiego „Dekrety generalne Leona XIII o książkach zabronionych“ (Poznań 1897).

[3] § 2: Libri apostatarum, haereticorum, schismaticorum et quorumcumque scriptorum, haeresim vel schisma propugnantes, aut ipsa religionis fundamenta utcumque evertentes, omnino prohibentur.

uważanem za książkę odstępcy, heretyka, szyzmatyka, ani za broniące herezyi lub szyzmy. Prawowierność Adama podlegać może uzasadnionym wątpliwościom dopiero po r. 1841, t. j. po jego zetknięciu się i przejęciu się zasadami towianizmu. W chwili kiedy wydaje „Księgi" jest on nietylko katolikiem, ale nawet gorącym i praktykującym katolikiem, choć może przejętym skądinąd ideami, które późniejsze błędy psychologicznie tłumaczą i poniekąd usprawiedliwiają. Pisząc i wydając „Księgi pielgrzymstwa" (r. 1832) wielki poeta nie miał na oku żadnych nowości religijnych przeciwnych katolickim dogmatom, ale wyłącznie i jedynie społeczne i polityczne stosunki własnego narodu, boleśnie dotkniętego świeżą klęską (w r. 1830) i pogrążonego w przykrej nad wyraz rozterce wewnętrznej wskutek waśni stronnictw na Emigracyi. Pocieszyć strapionych rodaków, natchnąć na nowo otuchą w powodzenie sprawy polskiej, wskazać środki do gruntownej poprawy losu — oto najogólniejszy zamiar i myśl przewodnia zarówno „Ksiąg narodu" jak „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego", które miały być niejako „katechizmem zastosowanym do *Credo* podanego w III-ej części ‚Dziadów'" [1]. Zaprzeczyć niepodobna, że tło tych wszystkich uwag i nauk posiada zabarwienie mocno religijne, a nawet mistyczne, jak religijnem i mistycznem było podówczas całe usposobienie Mickiewicza. To wszakże nie wpływa bynajmniej na sam charakter książki, która nie przestaje być wyłącznie programem politycznym autora, jako przedstawiciela stronnictw, dążących do poprawy stosunków na podstawie najbardziej chrześcijańskich pojęć i zapatrywań. Nawet zagorzali wrogowie polskości z tej strony nie śmieli nigdy zarzutów czynić „Księgom", a najdokładniejsza analiza jej treści nie zdołałaby do innych doprowadzić wniosków. Przyjrzyjmy się jej choć pobieżnie.

W „Księgach narodu" jedna główna przewija się myśl: Szczęściem doczesnem narodów jest wolność, której uosobieniem jest Polska. Aksyomat, przynajmniej w drugiej swej

[1] Por. Tarnowski: „O księgach pielgrzymstwa". „Studya do literatury polskiej. Wiek XIX", t. I, str. 86.

części subjektywny, ale nie stający w sprzeczności z żadną prawdą objawioną, dla tej najprostszej przyczyny, że szczęście doczesne, o ile ono nie obejmuje zarazem najwyższych postulatów sumienia i serca ludzkiego, w całej swej rozciągłości oddanem zostało własnej zapobiegliwości i roztropności człowieka, który może go szukać gdzie mu się podoba, byle nie z pogwałceniem praw cudzych.

Tę myśl przewodnią ubiera poeta całym szeregiem etycznych i historycznych poglądów i tutaj dopiero wpada w błędy najoczywistsze. Przed Chrystusem Panem niewola (podług niego) była karą Bożą za bałwochwalstwo. Dajmy na to, że to prawda (choć tylko o narodzie żydowskim na pewno twierdzić to możemy) — cóż dalej? „Gdy niewola wzmocniła się na świecie nastąpiło przesilenie jej" i „w on czas przyszedł na ziemię Syn Boży Jezus Chrystus, nauczając ludzi, iż wszyscy są bracią rodzoną, dziećmi jednego Boga, i że ten większy między ludźmi, kto im służy i kto poświęca się dla dobra ich". Alluzya do Mat. XX, 27, 28. O sobie samym miał nadto powiedzieć Chrystus, „że jest prawdą i sprawiedliwością" i za to „sędziowie imperatora Rzymskiego umęczyli Go". Po zmartwychwstaniu jednak krzyż Chrystusowy zwyciężył Imperatory, narody uwierzyły w Niego i tak powstał „naród" zwany „chrześcijaństwem". Jakiś czas wielki ten „naród" pozostał wiernym zasadom Chrystusowym, rósł w miłości społecznej i poświęceniu dla dobra ludzkości, czego dowodem „wojny krzyżowe" a Bóg nadgrodził go za to „sławą i bogactwami i mądrością". Dopiero „królowie popsuli wszystko". Pozadrościli narodom „wolności" i chcąc im ją odebrać popchnęli je znowu do bałwochwalstwa tem niebezpieczniejszego, że ograniczającego się do czci bogów abstrakcyjnych: „honoru" „preponderencyi politycznej", „influencyi politycznej", „dobrobytu" i t. d. Tym bałwanom pokłoniły się wszystkie narody, zwłaszcza bożkowi nazwanemu „Interesem", który „wyrobiła" im najniegodziwsza „trójca" królów, t. j. Fryderyk II, Katarzyna II i Marya Teresa. „Jeden naród polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi", ale „od początku do końca wierny pozostał Bogu przodków swoich" i zachował w polityce swojej

wewnętrznej i zewnętrznej ducha braterstwa i równości chrześcijańskiej, tak iż nakoniec Polska mogła się odezwać do całego świata: „ktokolwiek przyjdzie do mnie będzie wolny i równy, gdyż ja jestem Wolność". Dlatego „trójca" królów postanowiła ją zgubić. Prusak odegrał rolę Judasza, „dwaj drudzy królowie rzucili się i związali naród polski" a Francuz w osobie „rządcy" swego Kazimierza Perier, „umył ręce od krwi niewinnego" i pozwolił go umęczyć. „I umęczono naród polski i złożono w grobie" ale „naród polski nie umarł". Tylko ciało jego spoczęło w grobie: „Dusza jego zstąpiła do otchłani, to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę w kraju i za krajem". A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i Naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli... A jako ze zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na ziemi całej ofiary krwawe, tak ze zmartwychwstaniem narodu polskiego ustaną w chrześcijaństwie wojny".

Umyślnie rozszerzyliśmy streszczenie „Ksiąg narodu", ponieważ one są fundamentem dalszych wywodów, stanowiących treść „Ksiąg pielgrzymstwa". Przytem dokładniejsze zestawienie głównych myśli utworu pozwala nam tem bezstronniejszy sąd wydać o jego wartości moralnej, o którą nam obecnie chodzi. Z przytoczonych bowiem ustępów nie trudno już wysnuć wniosek, że „Księgi" nie są bez błędów. Ale czy te błędy wystarczają, aby do książki samej przystosować § 2 ustawy indeksowej? Zdaniem naszem — bynajmniej. Tylko, co się tyczy języka biblijnego i nadużywania albo przekręcania pojedynczych obrazów lub tekstów Pisma św., to możnaby ostatecznie nazwać postępowanie poety lekkomyślnością, ale w każdym razie nie h e r e z y ą ani rozmyślnem u s i ł o w a n i e m obalenia podstaw religii.

Znacznie łatwiejszą, niż „Ksiąg narodu" wydaje nam się obrona przed potępieniem „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego". Wprawdzie i tutaj poeta kręci się w zaczarowanem kółku swej wymarzonej analogii pomiędzy posłannictwem Chrystusa i Apostołów z jednej strony a Polski i Polaków z drugiej. Ale i ta analogia jest tu jaśniej określona, gdy autor wyraźnie we wstępie zaznacza różnicę pomiędzy charakterem B o s k i m Chry-

stusa a czysto ludzkim narodu swego, i wnioski, które na podstawie tej analogii wyciąga, aż nadto wyjaśniają dokąd cała ta jego natchniona przemowa zmierza. Zachęcać bliźnich do wzajemnej miłości i wiary (rozdz. I), do ufności (r. II i XVII), do miłości i wspaniałomyślności względem bliźnich (r. III), do samodzielności, pokory, poświęcenia i innych cnót obywatelskich (r. IV, V, X, XIII, XIV, XV, XIX), jako to: pracy (VI), zapobiegliwości (VII, VIII, IX), zgody (XI, XVI, XX), wstrzemięźliwości (XII), skromności (XIII, XV), cierpliwości (XIV), uległości i posłuszeństwa (XIX) i t. d., każde prawo każdemu człowiekowi pozwala. Tem bardziej nie może taka zachęta gorszyć w ustach lub piśmie tak wpływowej osobistości, jaką był dla naszego narodu Adam Mickiewicz. A że to zrobił czasem niezgrabnie, że przytem w gorliwości lub przywiązaniu do swoich, niekiedy przesadził i dał się unieść uczuciom przeciwnym względem obcych, że błądzi nawet nieraz w logice — to daje nam tylko prawo do orzeczenia, iż książka jego, nie jest ze wszechmiar dobrą i bezstronną, i że tego wszystkiego, co on w niej mówi nie można ani rozumnie ani bezpiecznie powtarzać ani twierdzić. Tymczasem § 2, Ustawy indeksowej, jak powiedzieliśmy wyżej, wymaga znacznie więcej, bo wymaga rozmyślnego usiłowania w kierunku obalenia samych podstaw religii lub dowodowej obrony błędów heretyckich, o czem w „Księgach pielgrzymstwa" wcale niema mowy.

Podobnie jak z § 2, Ustaw ogólnych rzecz się ma z innymi §§, które tu wejść mogą w rachubę, a mianowicie z § 11 i § 14.

§ 11. Opiewa j. n.: „Potępiamy książki, w których uwłacza się Bogu, albo błogosławionej Maryi Pannie albo Świętym albo Kościołowi katolickiemu i jego obrządkom albo Sakramentom albo Stolicy Apostolskiej" [1]. „Uwłaczać *(detrahitur)* znaczy

[1] § 11: „Damnantur libri, in quibus Deo, aut beatae Virgini Mariae, vel sanctis, aut catholicae Ecclesiae eiusque cultui, vel sacramentis, aut apostolicae Sedi detrahitur..."

tyle, co ubliżać, naśmiewać się, bluźnić, czci należnej odmawiać lub ją zmniejszać, szydzić... choćby autor tego *ex professo* nie czynił i choćby uwłaczanie głównym książki celem nie było", powiada Opieliński[1] za innemi kościelno-prawniczemi powagami[2]. Nic podobnego nie znajdziemy w „Księgach". Jedynie porównanie z Chrystusem mogłoby tu nasunąć pewne wątpliwości, ale i to niesłusznie. Porównanie takie tylko w tym wypadku byłoby ubliżeniem, gdyby Mickiewicz przez nie istotnie ujmował mocy odkupieniu rodzaju ludzkiego przez Mękę Chrystusową albo zaprzeczał Jego Bóstwu albo wreszcie zmniejszał wartość ofiary krzyżowej. Tak nie jest. Sam Mickiewicz przeciw temu zastrzega się w przedmowie do „Ksiąg pielgrzymstwa", a z dalszych jego wywodów to tylko wynika, że podług niego, Polska miała być ofiarą przebłagalną za wolność polityczną narodów w porządku przyrodzonym, podobnie jak Chrystus Pan był ofiarą za cały rodzaj ludzki w porządku nadprzyrodzonym. W takiem zestawieniu pojęć może się kryć błąd jakiś rzeczowy, jak to szczegółowo wykazał prof. Tarnowski[3], ale ubliżenia, bluźnierstwa, naśmiewania dopatrywać, znaczyłoby to samo, co podsuwać komuś intencye o jakich mu się nawet nie śniło. Tem mniej może być mowa o błędach dogmatycznych, jakie ma na oku § 14, Ustawy Leonowej zakazujący książki, „które bronią błędów potępionych przez Stolicę św."[4], chyba, że ktoś przytoczyć potrafi choć jeden autentyczny dokument potępiający lub zabraniający wszelkich przypuszczeń i marzeń o dziejowem posłannictwie narodów.

Zwrócić musimy nadto uwagę na jedną jeszcze okoliczność, niedość może wogóle przez czytelników ocenianą, t. j. na wyraz

---

[1] Op. cit. str. 25.

[2] Np.: Vermeersch, Wernz, Boudinhon, Moureau, Periès, Piat, Van Coillie, Arndt, Gennari, Génicot, Haine, Lehmkuhl; — tylko niewielu kanonistów (jak Pennacchi, Palmieri, Schneider a po części Noldin) żąda, aby bluźnierstwa... uwłaczanie było celem dzieła. Dokładniejsze dowody i szczegóły zawiera „Nowy indeks" i t. d. j. w.

[3] L. c. str. 95, 96.

[4] § 14: „Prohibentur pariter libri... qui errores ab apostolica Sede proscriptos tuentur".

„książki“ *(libri)* zachodzący w §§ 2, 11, 14. Już ten sam drobny szczególik wystarczyłby w zupełności, aby „Księgi“ Mickiewicza przed potępieniem obronić, chociażby nawet zawierały cechy określone §§ 2, 11, 14 Indeksu. Wyraz „książka“ *(liber)* ma w prawie kanonicznem zupełnie określone znaczenie, jeżeli chodzi o zakaz lub potępienie. Aby jakieś dzieło mogło uchodzić za „książkę“, nie tylko musi być ogłoszone drukiem i posiadać jakąś przynajmniej jedność treści, ale nadto i pewną objętość, która (podług zdania najprawdopodobniejszego, bo pośredniego pomiędzy zbytnim liberalizmem a rygoryzmem) nie powinna zawierać mniej nad 5 arkuszy zwykłego druku[1]. Tymczasem lwowskie np. wydanie „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa“ z r. 1880 (Gubrynowicza) liczy zaledwie 58 stronic in 16°, t. j. nie całe 2 arkusze druku. Podobnież prawie wszystkie inne. Dlatego, podług nas, całe to dziełko w całej swej rozciągłości może być zaliczonem tylko do tak zwanych „broszur“ czyli „pism ulotnych“ *(libelli, scripta)* lub *commentariolus*, jak je też rzeczywiście Grzegorz XVI w znanem już brewe do biskupa z Rennes określił.

Ale w takim razie może „Księgi“ podpadają pod §§ dotyczące broszur i pism pomniejszych? I to nie. Broszury bowiem i pisma ulotne tylko wówczas podlegają zakazowi, jeżeli albo zajmują się nowemi objawieniami, lub wprowadzają nowe nabożeństwa bez pozwolenia zwierzchności kościelnej (§ 13), albo zawierają obrazy lub obrazki niezgodne z duchem Kościoła (§ 15), albo podają odpusty zmyślone, odwołane lub potępione (§ 16), albo przy treści pobożnej, religijnej, ascetycznej, mistycznej lub służącej do nabożeństwa nie posiadają aprobaty biskupiej (§ 20), albo jeśli to są broszury peryodyczne, które tendencyjnie napadają na religię lub dobre obyczaje (§ 21), albo wreszcie jeżeli imiennie zostały przez dyecezalnego biskupa zakazane (§ 29).—Żadne z tych 6 zastrzeżeń nie sprawdza się na „Księgach pielgrzymstwa“. Nawet „objawienia“ nie mogą tu wchodzić w rachubę, gdyż to

[1] Por. Opieliński o. c. str. 14.

co Mickiewicz mówi o pochodzeniu swych poglądów „z łaski Bożej" (r. XXIV), nie odnosi się najpierw do „wszystkiego" co mówi, ale tylko do „niektórych rzeczy". Prócz tego, zdaniem ludzi fachowych, przez „objawienia", o których mówi konstytucya: *Officiorum ac munerum*, rozumie się „objawienia religijne" czyli t. zw. wizye pobożne", przeciw którym Kościół i dzisiaj nieraz występować musi. Lecz „z łaski Bożej" pochodzić mogą zarówno objawienia, jak zwyczajne natchnienia, podniety duchowne, o jakich niezawodnie myślał Mickiewicz.

„W ‚Księgach pielgrzymstwa' jest wysoki chrześcijański i polski ideał, prawdziwy, czysty, taki, jaki być powinien. Ale jest i duży zasób silnej, namiętnej nienawiści, i jest gorszy, niebezpieczniejszy od tamtych, pierwiastek dumy osobistej, ukrytej i jemu samemu nieznanej, ale rzeczywistej, widoczny w tem zaufaniu złudnem, w którem myślom swoim przypisuje początek i pochodzenie ‚z łaski Bożej'" [1]. ...„Ta sprzeczność pomiędzy jego mniemaniem, a tem co zrobił, pomiędzy tonem dzieła a jego treścią, stanowi kardynalną słabość ‚Ksiąg pielgrzymstwa'; sprawia, że pomimo dobrego zamiaru, pomimo pięknych i dobrych nauk, całość jest fałszywa, niezgodna z rzeczywistością, ani co do przeszłości, ani co do chwili obecnej, ani co do Polski, ani co do innych narodów" [2].

To zdanie p. Tarnowskiego i my najzupełniej podzielamy. I dlatego, choć wprost przeczymy twierdzeniu, jakoby „Księgi" były formalnie zakazane lub potępione, przecież przyznajemy najzupełniej, że Grzegorz XVI słusznie mógł je zganić i zgodnie z prawdą określić jako „broszurę pełną lekkomyślności" dla lekkomyślnie użytego stylu i tonu ewangelicznego w rzeczach bądź nieprawdziwych, bądź niesłusznych, bądź błahych — a zarazem „pełną złośliwości" dla rozmyślnego (jak Papież mógł się spodziewać) przekręcania faktów historycznych, przeceniania wartości własnego narodu z krzywdą innych i przy-

[1] Tarnowski l. c. str. 107.
[2] L. c. str. 104.

pisanej mu, a niczem nieusprawiedliwionej wyższej jakiejś misyi dziejowej.

Pozostaje jeszcze jeden, bodaj czy nie najważniejszy trybunał, któryby mógł zabrać tutaj swój głos, t. j. źródło wszelkiego możliwego potępienia lub zakazu — prawo przyrodzone — *lex naturae.* Prawo przyrodzone może zabraniać wszystkiego, co tylko jakąkolwiek szkodę duchową przynosi czy to ludzkości całej czy oddzielnym tylko jednostkom; zabrania ono tylko tego, tylko tym, i tylko o tyle, — co, komu, i o ile szkodę duchową sprowadza, lub naraża na blizkie niebezpieczeństwo upadku. Cóż więc orzeka ten ostatni trybunał o „Księgach“? czy zakazuje ich, jeżeli już nie dla starszych to przynajmniej dla uczącej się młodzieży? Sądzimy, że niebezpieczeństwo duchowej szkody, przejęcia się niebezpiecznemi zasadami, jeśli może jakie zagrażaćby mogło mniej doświadczonym umysłom, jest zaledwie dalekiem *(remotum)* i łatwo da się usunąć, jeśli sfery powołane spełnią swój obowiązek i przy literackim rozbiorze „Ksiąg“ zwracać będą uwagę uczniów na ich „kardynalną słabość“, na błędne zapatrywania historyczne a po części społeczne, z jakiemi w „Księgach“ spotkać się można. Jak zaś teraźniejsza młodzież ocenia „Księgi“, to trafnie przedstawił prof. Tarnowski: „Dziś u nas samych młode pokolenie — smutno pochyla głowy czytając „Księgi pielgrzymstwa“ i szanuje je z pewnem politowaniem, jak szanowne złudzenie, ale za złudzenie je ma; a bodajby nikt wśród niego nie śmiał się szyderczo z tych złudzeń“ (l. c. str. 82).

Wobec tego można ostatecznie powiedzieć, że „Księgi narodu i pielgrzymstwa“ wolno czytać, bo nie potępił ich nigdy ani nie zakazał pozytywny wyrok Kościoła, bo nie podpadają pod żaden paragraf Ustaw ogólnych Indeksu, bo wreszcie zakaz oparty na prawie przyrodzonem, chyba tylko w bardzo wyjątkowych okolicznościach utrzymać się może.

Wł. S.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Italia. *Marya Konopnicka.* Warszawa 1901. Nakład Gebethnera i Wolfa.

Śpiewaczka naszych pól i niw rodzimych i naszego ludu swojskiego z wrażeń dłuższego swego pobytu we Włoszech wysnuła szereg pieśni, ogłoszonych w niniejszem wydaniu. Ale opiewając uroki i piękności ziemi włoskiej, nie zapomniała poetka o swej ziemi rodzinnej, jej tradycyach, bólach i cierpieniach, którym dała przedziwnie żywy wyraz w kilku najpiękniejszych swych pieśniach, złączonych w jedną wspaniałą symfonię poetycką z pieśniami z motywów obcych wysnutemi. Symfonia owa olśniewa bogactwem różnorodnych form rytmicznych, pięknością obrazowania, przepychem świateł, barw i blasków. Głównym jej motywem kult piękna., tak szerokie i wielostronne znajdujący zastosowanie w jego odwiecznej ojczyznie — Italii. Zaraz we wstępnym wierszu mamy wspaniałe tego tematu zasadniczego odbicie:

Którzy idziemy w słoneczny twój chram,
O wieczne piękno!
Tchnij w nas moc twoją i siłę daj nam,
Wstrząsnąć zawory u złotych twych bram,
Aż dla nas pękną.

Następuje potem cykl „Sonetów włoskich", w których po entuzyastycznej „Inwokacyi", składającej hołd całej italskiej krainie słońca i sztuki, znajdujemy główne odzwierciedlenie wrażeń z Wenecyi. Ale wśród tych wrażeń jak silnie dźwięczą wspomnienia dalekiej północnej ojczyzny poetki.

Oto np. wschód słońca w Wenecyi z przedziwnym artyzmem

i niezmierną rzewnością przeciwstawiony chmurnym i smutnym świtom tak częstym w naszym kraju:

Rajski ptak słońca wzleciał, roztoczył swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza
I zgłuszył śpiew księżyca, nocy trubadura...
. . . . . .
Italio! dzień kochankiem pośpiesza do ciebie
Na ogromnych twych wodach, na szerokiem niebie
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata.

Ale ja z kraju idę, kędy na dnia progu,
Świt w łzach cały długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

Czyż potrzeba zwracać uwagę na ogromną piękność i siłę wyrazu ostatniej zwrotki, która w obrazie swojskiej przyrody tak żywo nam uprzytomnia niezgłębioną melancholię naszych swojskich smutków i bolów.

Drugi z kolei cykl p. t. „W drodze“ składa się z szeregu pieśni, odtwarzających obrazy przyrody oraz wspomnienia dawnej chwały Italii. Na równinach Lombardyi widzi poetka („Nad Ticino“) białego konia Barbarosy, jak pędzi „do starych bogów chwały“. W zatoce Bai widok willi Cycerona przywodzi jej na pamięć wielkiego statystę rzymskiego. Dalej mamy obraz poranku i nocy na Carignano z kilkoma bardzo rzewnymi tonami lirycznymi, dwa tak zwane „nokturny rzymskie“ z nastrojową wielce wizyą w kościele św. Piotra o zmierzchu przy dźwięku organów, wrażenia w *loggiach* Rafaela, wspomnienia Torquatta Tassa („Na krużganku Eremitów“, „W San Onufrio“) i Mickiewicza („Willa Wołkońskich“), pełen blasków i barw obraz zachodu słońca we Fiesole i wreszcie na zakończenie tego cyklu przepiękną, śpiewaną pieśń „Do wierzby w Prato“, w której tęsknota do ojczyzny wyraża się w ogromnie głębokim i rzewnym nastroju uczuciowym:

Wierzbo moja, płaczko moja
Wspólne nasze łzy!
U jednego tęsknot zdroja
Stoim ja i ty...
. . . . . .
Zabłąkane my rówieśnice
W obcą cudzą dal;
Jedne w sercu brzmią nam pieśnie,
Jeden w piersiach żal.

Jedno po nas tu zostanie,
Gdy się skończym już
Fujarkowe ciche granie
W celach pól i dusz!...

Zabytki sztuki starożytnej natchnęły Konopnickiej dwie fantazye poetyckie z pompejańskiego fryzu wysnuła żartobliwy i pełen wdzięku poemacik „Prace Amora“, wrażenia wzbudzone przez rzeźby starogreckie odtworzyła w trylogii „Faun“ („Faun tańczy“, „Faun pijany“, „Faun śpiący“). Cykl „Echa fiorenckie“ poświęcony jest pełnym rzewności i czci głębokiej wspomnieniom Lenartowicza, którego poetka na krótko przed jego śmiercią we Florencyi spotkała.

Najwięcej głębokiego liryzmu, dźwięczącego odgłosami swojskich, rodzimych tonów znajdujemy w cyklu „Madonny“, które poetka w obrazach mistrzów włoskich odczuwa i wyobraża sobie wedle odwiecznej naszej tradycyi ludowej o Najświętszej Pannie. Oto np. mówi o Madonnie Giotta:

Iśćby mogła między pola nasze,
A nie zlękłoby się nawet ptaszę...
Iśćby mogła między nasze płoty
A nie zlękłyby się i sieroty.

Dziwnie poetycznie i rzewnie z wielką, na wskroś swojską prostotą oddane jest wrażenie Madonny z dwoma grającymi aniołami na obrazie Corregia:

Dwaj anieli Tobie grają cudne pieśnie,
Ten jeden radośnie, ten drugi boleśnie.

A temu jednemu gęśliki się złocą
A drugi ma prostą ligawkę sierocą.

A jedna pieśń w niebo tonami rajskiemi,
A druga pieśń płynie w westchnieniach ku ziemi.

Ta jedna — o wiośnie, co kwitnie wieczyście,
Ta druga — o wietrze, co z puszczy rwie liście.

Ta jedna — o jasnem jutrzenki świtaniu,
Ta druga — o głuchem po nocy wołaniu.

I niesie ci pieśni zachodni wiew obie:
Tę jedną we złocie, tę drugą w żałobie.

Ty słuchasz i patrzysz oczyma smutnymi
Na tego anioła, co śpiewa ból ziemi.

Niemniej żywo i poetycznie i w niemniej swojskim tonie odczuta jest „Sistina“ Rafaela. Opiewa ją poetka, jak idzie „przez gwia-

ździstą rosę, przez miesięczne blaski", aby ukojenie i pociechę nieść niedoli ziemskiej:

— A pocóż tak spieszysz
Królowo Ty raju?
— Bo płaczą słowiki
Po nocach mi w gaju.
— A pocóż Ty rzucasz
Niebieskie twe wrota?
— Bo skarży się nocą
Ta ziemia sierota.

— A pocóż tak patrzysz
W bolesnej zadumie?
— Bo jęki tam lecą
W wichrowym puszcz szumie.
— A pocóż ty niesiesz
Dzieciątko to Boże?
— Bo groby wołają
O żywot, o zorzę.

Odmienny jest nastrój następnego cyklu: „W Sykstynie". Tu poetka dobywa ze swej liry tonów silnych, aby oddać grozę i wzniosłość tragicznych natchnień Michała Anioła w „Sybilli", w „Stworzeniu człowieka" i w „Sądzie ostatecznym".

Z pozostałych utworów, w zajmującym nas tu zbiorze zawartych, wiersz „Miserere" dużo ma głębokiego uczucia, a sonety, odtwarzające wrażenia morza, odznaczają się wspaniałem obrazowaniem poetyckiem, lub też podniosłym nastrojem i myślą głęboką. Godny szczególnie uwagi sonet „U grobu Pergolesa". W odwiecznym szumie morza poetka słyszy żałosne „Stabat mater" starego mistrza włoskiego: to ziemia śpiewa swą skargę wiekową o męce syna swego człowieka:

— O ja ziemia, ja matka, rodząca boleśnie,
Oto na krzyżu czasu jest ukrzyżowany
Syn mój człowiek! Oto się krwawią jego rany.
— Morze gra... słyszę głosy dalekie, jak we śnie.

W zwrotce tej brzmi ton minorowy współczucia dla niedoli ludzkiej, który w tych pieśniach, wyśpiewanych na cześć piękna, stanowi pono największy ich urok i najwymowniejszą piękność, bo płynie z najgłębszych pokładów serca poetki i przemawia do nas głosem, rozbrzmiewającym wzdłuż całej jej twórczości.

Ongi dźwięczał on odgłosami bezwyznaniowego i antyreligijnego humanitaryzmu lub dziwnych buntów i protestów przeciwko Bogu oraz

rządom jego nad światem — obecnie nastrój religijny coraz wyraźniej zdaje się w nim odzywać. Śpiewaczka niedoli ludzkiej, zagłębiając się wciąż w mroczne jej otchłanie, zdaje się coraz bardziej dochodzić do przekonania, że światło uczucia religijnego zdolne jest jedynie rozjaśnić te ciemne i posępne głębiny. Pełna miłości dla ludu, opiewająca go wciąż w swych pieśniach nie mogła pozostać obcą lub wrogą tym uczuciom, które stanowią zasadniczy czynnik jego życia duchowego. Któż zdoła zrozumieć zaprawdę lud nasz, jeśli z nim razem nie wierzy religijnie, nie czci i nie wielbi? Każdy, kto z ludem szczerze i serdecznie obcuje duchowo, prędzej czy później przejąć się będzie musiał tą jego wiarą, czcią i uwielbieniem.

W. Gostomski.

Niedola — burze. *Negri Ada.* Przekład *Maryi Konopnickiej.* Warszawa. 1901. Nakładem Bron. Natansona.

Znakomita nasza poetka przyswoiła piśmiennictwu ojczystemu utwory liryczne młodej poetki włoskiej, nie dorównywającej jej siłą talentu ale zbliżonej do niej siłą współczucia dla niedoli ludzkiej i poważną a szlachetną dążnością całej swej twórczości. Talent Ady Negri zabłysnął nagle przed kilkoma laty i rozwinął się wśród bardzo nieprzyjaznych warunków zewnętrznych. Poetka pochodzi z rodziny biednej; walcząc z niedostatkiem, z trudem zdobywając sobie wyższe wykształcenie, zmuszona zarabiać na życie jako nauczycielka ludowa, dzięki swym zdolnościom wybitnym stopniowo zdobyła sobie imię i stanowisko w literaturze.

W pieśniach jej dźwięczą wymowne odgłosy tych smutnych przejść życiowych. Głęboko smutne są one przeważnie, pełne zawiedzionych nadziei. nieziszczonych marzeń, ale wolne od samolubnych skarg i żalów tak częstych u poetów, którzy złorzeczą losowi za to, że nie dość kwiatów rozrzucił na ich drodze, nie dość gwiazd zapalił na ich niebie, że wogóle obszedł się z nimi, jakby byli zwykłymi śmiertelnikami, oni, wybrani kapłani sztuki.

Ada Negri ma jasną świadomość swego posłannictwa poetyckiego, ale nie wywodzi stąd praw do uprzywilejowanego w życiu stanowiska. Skarży się na niedole wspólne jej z ogółem śmiertelników, a opiewa nie idealne burze pod własną czaszką, wyolbrzymione przez fantazyę poetycką, lecz realne i potężne zawieruchy życiowe, unoszące ludzi jak wicher jesienny mrozi zeschłe liście drzew. „Niedole i burze“, o których mówi nam poetka włoska, odczute są z całą mocą czysto

osobistych rzeczywiście przeżytych wrażeń, a jednocześnie uprzytomniają nam powszechne ogólno ludzkie bóle i cierpienia. Poetka staje przed nami jako rzeczniczka swych nieszczęśliwych braci w ludzkości: mówi nam o ich niedoli, którą sama przeżyła, o ich bólach i mękach, których sama doznała, nie dziw, że mowa jej tak szczera jest i prawdziwa. że tak przejmujące przy całej swej prostocie czyni wrażenie. Jest to wymowny głos poetycki, wznoszący się z nizin społecznych ku uprzywilejowanym wyżynom. wznoszący się falą skargi ze współczucia i z miłości płynącą. Poetka czuje się jakby gałązką bajecznego drzewa, w którem zaklęte jęczą dusze jej braci nędzarzy, odczuwa boleśnie każdy wicher burzliwy, każdy mroźny podmuch, wstrząsający drzewem cierpiącego człowieczeństwa. To też pieśni jej mają w sobie tragiczną prawdziwie siłę bólu współczującego:

W bólu najwyższy lot bierze ptak boży,
Kto noc przewalczy, zwycięża o zorzy...

Temi słowy kończy poetka wstępny wiersz całego zbioru. Odbijają one dwa zasadnicze czynniki jej życia duchowego: wiarę w uświęcającą siłę cierpienia i nadzieję w zwycięstwo dobra na świecie. To też obok pełnych niezgłębionego smutku skarg na niedolę cierpiącej ludzkości (np. „Głos zmierzchni“, „Widziadła“, „Nocna jazda“, „Uliczник“, „Śnieżyca“, „Pieśń pługa“ i t. d.) słyszymy też w pieśniach Ady Negri i pogodniejsze tony pełnego energii żywotnej hymnu otuchy i radości życia, jak np. w wierszach: „Ostatni będą pierwszymi“, „Godzina ukojenia“, „Pax“, „Przebudzenie“, „Uśmiechy“, „Wieczna Sielanka“, W zakończeniu części pierwszej p. t. „Largo“ głosi poetka chwałę i potęgę wszechistnienia:

Largo... Z zarośli pełnych gniazd szczebiotów,
Z mirtowych gajów, mirtowych namiotów,
Z roli co dyszy rodząca,
Z wód, nad któremi ulata ptak wolny
Kwieciem opasan, młodzieńczy i polny —
Wybucha pieśń do słońca!

Nieliczne pieśni wyrażają czysto osobiste uczucia poetki („W huraganie“, „Zabierz mię“, „Pieśń wiosenna“, „Godzina“, „Nowa miłość“), które często wybuchają pragnieniami szczęścia, radości i miłości, ale częściej dobrowolnie podporządkowują się ogólno ludzkim uczuciom poetki, w zasadniczym swym charakterze i nastroju pełnym ducha chrześcijańskiego:

I wywyższeni zaś będą nędzarze,
Wyklęci wezmą miejsce swe w świątyni,
Kiedy godzina wybije,
A lud mój ciemny w słońcu się ukaże,
A imię moje nad nim się uczyni,
A Łazarz — z grobu ożyje.

Tak przemawia w jednym z wierszy Ady Negri Chrystus, głosząc wyzwolenie uciśnionym, i wybawienie cierpiącym.

A oto stało się, że z drżącej ziemi
Od słów tych nagle puściły ruń ziarna
Przyszłych dni owych zbawienia...
A On świat objął oczyma łzawemi,
Iż widział, jaka noc nad nim jest czarna...
— A krzyż już czyhał nań z cienia.

Jakkolwiek poetka włoska rzadko uderza wyraźnie w ton religijno-chrześcijański — przytoczone wyżej zwrotki i niektóre inne ustępy jej wierszy świadczą, że głęboko jest przejęta zasadniczem uczuciem chrześcijańskiem i wiarą w zbawczą potęgę krzyża, jako jedynej ucieczki cierpiących i uciśnionych.

Pod względem artystycznym liryka Ady Negri nie błyszczy szczególną świetnością — treść bierze w niej przewagę nad formą, uczucie w tej ostatniej nie osiąga doskonałej, zupełnej krystalizacyi.

Wobec, znanego artyzmu polskiej tłumaczki zbytecznem byłoby chyba rozwodzić się nad pierwszorzędnemi zaletami przekładu. Niewątpliwie wszystkie piękności, jakie można było odnaleźć w prostych i surowych pieśniach poetki włoskiej, zostały nader silnie uwydatnione, a niekiedy może wysoce spotęgowane w tłumaczeniu Konopnickiej.

Walery Gostomski.

Wezwanie do pokuty. Cztery serye kazań pasyjnych oraz trzy kazania na Wielki Piątek według starego rękopisu z końca wieku XVIII. Opracował *ks. Maryan Nassalski,* mag. św. Teologii. Włocławek. 1902.

Pewien szczęśliwy zwrot ku polskim wzorom zarysował się w literaturze kaznodziejskiej i coraz częściej już ukazują się nowe wydania i prace z przeszłości polskiego kaznodziejstwa. Do nich należy i „Wezwanie do pokuty", któreśmy zyskali dzięki mrówczej, bibliotecznej pracy ks. Maryana Nassalskiego, redaktora *Homiletyki.*

„Wezwanie do pokuty", jak sam tytuł dzieła nas objaśnia, za-

wiera cztery serye kazań pasyjnych oraz trzy kazania na Wielki Piątek, autora nieznanego, a wydane po raz pierwszy według starego rękopisu z końca wieku XVIII. Poprzedza je jako wstęp studyum kaznodziejskie nad rękopisem, pióra ks. Nassalskiego.

W rozprawie swej zaznajamia nas ks. Nassalski z ogólną treścią i podziałem kazań, a tu już dotknął oceny ich zewnętrznej, co do formy i rozłożenia materyału w cyklu kaznodziejskim. Najbardziej spojone jedną myślą przewodnią, wyborem tematów a nawet, co więcej, samym tekstem naczelnym są kazania w seryi pierwszej i drugiej. Pierwsza serya „o pokucie", najbardziej nadto usprawiedliwia naczelny tytuł dzieła. Przedmiot drugiej seryi jest trochę skomplikowany: zewnętrznie łączy go tekst naczelny: A tak teraz rozsądźcie między mną i winnicą moją... Co jest, com więcej miał uczynić winnicy mojej i nie uczyniłem jej (Izai, V, 4), treść zaś stanowią obowiązki Syna Bożego jakie wykonywa względem dusz naszych jako to króla, ojca, nauczyciela, lekarza, pasterza i oblubieńca. Związek między tekstem a treścią jest już więc jasny: nieprzebrana dobroć Boża wobec naszej duchowej niemocy, a ilustracya z historyi Męki Pańskiej sama przez się nasunęła. To też tu najwięcej jest uczucia i siły, najbardziej uwydatniły się zdolności kaznodziejskie autora.

Następnych dwóch seryi nie łączy już ani tekst ani uwydatniona jednolitość treści: ogólnie moglibyśmy trafnie powiedzieć, że treścią trzeciej jest koniec ostateczny człowieka, a pierwsze kazanie o cierpieniu Chrystusa Pana, jako pobudce naszej wdzięczności i zachęty do naśladowania, ma tylko introdukcyę odpowiadającą oczekiwaniu słuchacza, zgromadzonego na kazania pasyjne. Łącznik kaznodziejski w seryi czwartej jest jeszcze trudniejszy do odszukania; może nim być obraz owej walki dusznej między zabiegami miłosierdzia Bożego a grzechem. Ta wolność tematu nieco odległego od pasyi spowodowała też, że brak im zbyt często tego właśnie czynnika, o który głównie chodzi w kazaniach o Męce Pańskiej, t. j. jeśli nie tła z niej, to przynajmniej illustracyi, użytej do względów homiletycznych. Tak np. w kazaniu drugiem seryi III, w drugiem i trzeciem seryi IV nie mamy żadnej wyjątkowej wzmianki o Męce Pańskiej, choć w drugiem np. seryi IV, mówiąc o miłosierdziu Bożem względem grzeszników tak łatwo mógł był kaznodzieja zwrócić słuchacza na Golgotę. Obok tych czterech seryi znajdujemy na końcu trzy kazania przeznaczone na Wielki Piątek.

Przechodzi następnie w swej rozprawie sz. wydawca do rozbioru kazań wewnętrznego. Na wstępie daje usprawiedliwienie dlaczego ręko-

pis nieznanego autora oznaczył na koniec XVIII wieku, mianowicie na zasadzie dwukrotnie zanotowanej daty na rękopisie, t. j. roku 1780, choć nasuwa od razu pewną wątpliwość, czy to nie jest data przepisywacza, a nie wygłoszonego kazania — zresztą treść rękopisu pozbawiona w kazaniach wszelkiej charakterystyki wyłącznej jakiejś epoce, tego co swe piętno jej nosiło, uniemożliwia oznaczenie bliższe wieku, w którym żył kaznodzieja. Ks. Nassalski wprawdzie nie dał tu jeszcze za wygranę i pod koniec rozprawy robi nadzieję, że jeszcze na podstawie niektórych wniosków może w przyszłości uda mu się i samego autora nazwisko odnaleźć. Dla nas, otwarcie mówiąc, wielka szkoda, że nie wiemy, gdzie i w czyjem ręku znajduje się ten rękopis, zwłaszcza, że ze względu na swą wartość bez wątpienia jest bardzo interesującym. Charakterystycznym jest jego styl kaznodziejski, zwłaszcza w hipotezie, że należy do końca XVIII wieku, odznacza go bowiem polszczyzna bardzo piękna, wolna od wyrazów obcych, a archaizmów tak mało, że zaledwie 28 wyliczył ich wydawca; znachodzimy je głównie w sześciu kazaniach seryi I-ej; w stylu dziwnie wdzięcznie umiał autor połączyć powagę i prostotę z namaszczeniem kapłańskiem, siłę obok śmiało rzucanych zwrotów, barwnych opisów, żywych uczuć. To mogło dać tylko staranne wykształcenie literackie, gruntowna wiedza teologiczna, znajomość serca ludzkiego a nadewszystko przejęcie się głębokie swoim przedmiotem, które daje i namaszcza rozmyślanie kapłańskie — skąd także wzięły się zapewne niektóre ustępy kontemplacyjne, którymi posługuje się kaznodzieja do większego wzruszenia słuchacza a przeniknięcia tajników serca.

Obok tych zalet świadczą nasze kazania o pięknem wykształceniu klasycznem autora. Nie tylko układ każdego kazania jest ze wszech miar doskonałym, ale ozdobił go autor wielką rozmaitością figur krasomowczych, które mu tak naturalnie przychodzą, że nie psują bynajmniej szlachetnej harmonii. Podnieść i to musimy, że znać w nich jeśli nie wzorowanie się na łacińskich kazaniach, to niemałe przynajmniej w nich oczytanie: stąd zaczerpnął może niezbyt korzystne dla polskiego języka formy imiesłowowe lub takie zwroty, jak ten (str. 107): „nikt z nas nie jest, który...“, ale za to przyswoił sobie ową plastyczną repetycyę „oto“, tak ulubione przez łacińskich mowców *ecce*.

Treść kazań jużeśmy przedstawili. Niemniej jest i ona urozmaiconą. Wnioski i zastosowania praktyczne płyną same z nauki podanej gruntownie a przystępnie. Jak w wykładzie swym nie zbywa autor przedmiotu szukając doń odpowiednich racyi, pięknych przykładów

i paralel z Pisma św., tak w zastosowaniach swych sięga do głębi duszy: przedstawia, pyta, wstrząsa. Choć zastosowania te są zupełnie ogólne, nie wytykające wad szczególnych jakimś stanom lub epokom, przecież i te z wielką stanowczością potrafi piętnować.

Wydanie niniejszego rękopisu celuje starannością i systematycznością. Każde kazanie opatrzone szkicem; części kazania jasno rozdzielone cyframi i odstępami; Pismo św. odznaczone kursywą z odsyłaczami u dołu, słowem na każdej stronie znać umiejętną rękę wydawcy.

Zyskała więc nasza literatura kaznodziejska w „Wezwaniu do pokuty“ dzieło wcale niepoślednie, a w niem zachętę do dalszej pracy na polu kaznodziejstwa ojczystego.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Uczucia ludzkości względem Chrystusa. Dowód Bóstwa Chrystusowego i prawdziwości Kościoła katolickiego. *Ks. Dr. Jan Łukowski.* Skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Lwów. 1901.

Pod tym powabnym tytułem przeprowadza autor dowód Bóstwa Chrystusa i prawdziwości Kościoła katolickiego, oparty na uczuciach miłości i nienawiści ku Chrystusowi i Kościołowi katolickiemu. Dla przejrzystości dzieli go według uczuć na dwie części, które rozprowadza w odrębnych rozdziałach, p. t. „Tajemnica miłości“ i „Tajemnica nienawiści“. Dalej, i miłość i nienawiść rozważa pod trojakim względem i z każdego z nich argumentuje. Dowód zatem autora jest złożony; zanim jednak przypatrzymy się bliżej jego częściom, należy wspomnieć o pewnem zastrzeżeniu się autora. Pod koniec broszurki przyznaje autor, że nie wszystkie jego dowody, czy raczej części dowodu ogólnego, dają pewność tezie; to objaśnienie stosuje się też do krytyka.

Zaczynamy z autorem od uczucia miłości. Chrystus jest Bogiem, bo domaga się miłości najpowszechniejszej (t. j. od wszystkich ludzi i po wszystkie czasy), najwyższej (t. j. ponad wszelką inną miłość), i tę miłość nakazuje z całą świadomością tego, że się ten rozkaz spełni. Takiego żądania, i w taki sposób, nie może stawiać nikt, jeno Bóg — ktoby z ludzi to uczynił, tegoby słusznie uważano za człowieka przewrotnego lub szalonego. Ponieważ zaś Chrystus życiem swem wyklucza najzupełniej ostatnie przypuszczenie — a więc jest Bogiem.

Drugi dowód opiera się na fakcie miłości ku Chrystusowi, wziętej samej w sobie, jak istniała i istnieje w ludzkości. Miłość ta trwała, potężna i wzniosła, jak żadna inna, oparta na przekonaniu, że Chrystus

jest Bogiem, nie może mieć innego fundamentu, jeno prawdę. Oszukaństwo, błąd, i to uwłaczające prawdziwej czci Bożej, takich skutków są niezdolne, a i samego istnienia takiej miłości, wypowiadającej walkę ludzkim namiętnościom, nakazanej, prawdziwej (a nie jakiegoś tylko podziwu lub upodobania) wytłumaczyć niepodobna, tylko jeno tak, że ten, który ją nakazał, ma moc nad sercami.

Przedstawiwszy pokrótce dowód z miłości, jako spełnionego proroctwa, przechodzi autor do argumentów na prawdziwości Kościoła katolickiego. W tej części zadanie jest o tyle trudniejsze, że należało uwzględnić inne Kościoły chrześcijańskie. Ale autor pracę sobie uprościł: nadmieniwszy, „że powyższy tok argumentacyi da się w podobny zupełnie sposób zastosować do udowodnienia boskości Kościoła katolickiego“ (str. 23), podał terminy średnie Powodów.

Drugi rozdział „Tajemnica nienawiści“ przytacza dowody rozwinięte na tle nienawiści. Chrystus z głębokiem przeświadczeniem mówi o sobie, że będzie przedmiotem nienawiści, choć jego osoba i nauka raczej do przeciwnego wniosku upoważniały — a zatem Chrystus jest przekonany, że będzie zawsze żywym przedmiotem w historyi ludzkości. O tym dowodzie mówi autor, że naprowadza nas na domysł Bóstwa Chrystusowego, pewność o niem, jak i o Boskości Kościoła katolickiego ma dać rozważanie nienawiści takiej, jaka do nich istniała i istnieje w świecie.

Jest ta nienawiść niezwykle czynna, a nie przebierająca w środkach, powszechna (t. j. odnosząca się do wszystkiego, co ma związek z Chrystusem i Kościołem), wyjątkowa i pozbawiona wszelkiej słusznej racyi — a zatem Chrystus żyje, bo tylko tego się nienawidzi, co stawia przeszkody w osiągnięciu pewnych dóbr. Jest ona dalej w skutkach jałową, owszem, jak jej źródłem jest zepsucie, tak do zepsucia prowadzi — a zatem prawdą jest to, co ona zwalcza, a więc Chrystus jest Bogiem.

Wreszcie taż nienawiść, wzięta jako spełnienie przepowiedni Chrystusa, dowodzi Boskiej przenikliwości Jego umysłu i prawdziwości Kościoła katolickiego.

To treść broszurki. Na tle miłości i nienawiści, szerzej omówionych, przedstawia autor dowody, ale nie równomiernie. Dowód z proroctwa Chrystusowego tylko narzucony, ale już całkiem niewystarczająco przedstawione dowody boskości Kościoła katolickiego. W nich bowiem, nawet w tym razie, gdy nie są ścisłymi dowodami, należy uwzględnić i inne Kościoły chrześcijańskie. Tymczasem autor w pier-

wszej części ogranicza się na oddaniu terminów średnich argumentacyi, jakgdyby ona nie była bardziej skomplikowaną i trudniejszą, zwłaszcza, że przytoczone terminy średnie nie odznaczają się jasnością. Jeżeli nadto zwrócimy uwagę, że drugi rozdział dowody prawdziwości Kościoła katolickiego jeszcze mniej uwzględnia, to prawdziwie nie widzimy usprawiedliwienia tytułu broszurki, której tezę prawdziwości Kościoła katolickiego stawia równolegle do tezy Bóstwa Chrystusa.

Dowód z faktu nienawiści stawia autor jako dowód ścisły. Takim on nie jest, skoro one cechy nienawiści tłumaczą się już wtedy, gdy przypuścimy, że Chrystus jest człowiekiem-posłańcem Bożym.

Zresztą, pomijając już to, że tytuł broszurki ze względu na jej zawartość jest za szumny, podnieść należy język jasny i potoczysty, zrozumienie i dobre zestawienie przedmiotu, trafne uwagi i piękne myśli, rozrzucone po całej broszurce.

M. B.

Z piśmiennictw obcych.

Summa theologiae moralis. *Hieronim Noldin T. J.* Innsbruck; Rauch 1901—1902. 3 tomy.

„I znów jeden podręcznik teologii moralnej!“ pomyśli niejeden, który zna literaturę tego działu teologii. Rzeczywiście nie można się skarżyć na brak dzieł z zakresu teologii moralnej: mniejsze i większe, naukowe i popularne, mniej lub więcej praktyczne dzieła i dziełka ukazują się na pułkach księgarskich. Mimo to możemy powiedzieć śmiało, że książka profesora Noldina nie tylko nie jest niepotrzebną, ale zajmuje z pewnością jedno z pierwszych, jeżeli nie pierwsze miejsce między nowszymi podręcznikami teologii moralnej.

Nie jest to właściwie nowa książka, bo choć po raz pierwszy występuje na widownię publiczną, kursowała już od dłuższego czasu w kilku wydaniach, drukowana jako manuskrypt. Służyła ona za podręcznik do teologii moralnej nietylko na uniwersytecie w Insbrucku, na którym działa od dłuższego czasu jej znakomity autor, ale i w wielu innych seminaryach i zakładach teologicznych. Dlatego też nie okazuje ta książka tych braków, które widzimy zwykle w pierwszych wydaniach nawet dobrych dzieł. Książka ta przeszła już próbę ogniową praktyki, a zmieniana i rozszerzana kilkakrotnie zdaje się, że uczyni zadość nawet najdalej idącym wymaganiom.

Autor dzieli swoje dzieło utartym zwyczajem na trzy części: na I: *Tractat de principiis* (tom I podzielony na sześć ksiąg: 1. *de fine hominis ultimo*, 2. *de actibus ad finem aptis*, 3. *de legibus*, 4. *de conscientia*, 5. *de virtutibus*, 6. *de peccatis)*; II: *De praeceptis* (tom II podzielony na pięć części: 1. *de praeceptis virtutum theologicarum*, 2. *de praeceptis decalogi*, 3. *de praeceptis Ecclesiae*, 4. *de preceptis particularibus*, 5. *de poenis ecclesiasticis)*; III: *De Sacramentis* (tom III podzielony na siedm ksiąg).

Autor łączy w swem dziele (jak sam zapowiada we wstępie do I tomu) metodę scholastyczną z metodą kazuistyczną; z jednej strony opiera się w swych twierdzeniach na fundamencie ściśle teologicznym i nie zadawalnia się wyliczaniem czysto zewnętrznych powag, przemawiających za jednem lub drugiem zdaniem, lecz stara się każde zdanie ugruntować i oprzeć na ścisłych wewnętrznych argumentach; z drugiej strony ma zawsze na oku cel praktyczny i dlatego stosuje swoje teoretyczne wywody do życia. Dlatego też odznacza się dzieło Noldina z jednej strony gruntownością, z drugiej strony wartością praktyczną. Największą zaletą tej książki zdaje się nam jednak nadzwyczajna jasność i przejrzystość tak w układzie jak też w przeprowadzeniu swych dowodów, twierdzeń i wniosków, które z nich wyprowadza. Sądzę, że każdy, który pierwszy raz weźmie tę książkę do ręki, będzie w niej odrazu jak w domu, a kto przyzwyczai się korzystać z niej, ten nie łatwo skłoni się do zastąpienia jej innym podręcznikiem teologii moralnej.

W całem swem dziele jest Noldin stanowczym i konsekwentnym probabilistą. Dowód jego o prawdziwości tego systemu jest wprost znakomity. Nie waha się nawet przeprowadzić swego systemu tam, gdzie inni zwolennicy tej samej teoryi niewiadomo dlaczego stają w pół drogi i nie śmią jej wprowadzić w praktykę. Wogóle jest on zwolennikiem kierunku łagodnego, nie przechodzi jednak nigdy w przesadną pobłażliwość ani w laksyzm.

Niewiadomo dlaczego brakuje w książce Noldina dwóch traktatów: między przykazaniami brakuje traktatu *de Sexto*, między sakramentami nie znajdujemy rozdziału *de matrimonio*. Jest to tem bardziej dziwne, że ten sam autor wydał oba te traktaty i to kilkakrotnie jako manuskrypt, a według zdania fachowców są one nie tylko odpowiednie do druku, ale bardzo dobre, i byłyby zupełnie godne miejsce znalazły w dziele niniejszem. Przecież wzgląd na zgorszenie, któreby mógł spowodować traktat *de sexto*, nie mógł wpłynąć na autora, bo przecież

książka ta przeznaczona dla słuchaczów teologii lub dla kapłanów. Żywimy też nadzieję, że autor uzupełni te braki w drugiem wydaniu, które zapewne niezadługo okaże się koniecznem. Zresztą powiedzieć można o książce Noldina tak często używane słowa *tolle, lege,* a jesteśmy pewni, że nie tylko teologowie przygotowujący się do stanu kapłańskiego przestudyują tę książkę z wielką korzyścią, ale także kapłani oddani czysto duszpasterstwu czy też nauce, znajdą w tej książce całokształt nauki moralnej, przedstawiony ściśle w duchu Kościoła, a zarazem prawdziwie naukowo, z drugiej zaś strony znajdą pewne i dobre rozwiązanie mnóstwa trudności, które się nasuwają tak często w praktyce duszpasterskiej.

Ks. Adam Gerstmann.

Die Parabeln des Herrn im Evangelium. *Leopold Fonck S. J.* Innsbruck. Rauch 1902. (Str. 800).

Każde arcydzieło ma to do siebie, że im więcej się weń wpatrujemy lub wczytujemy, tem więcej odnajdujemy w nim piękności. Dlatego możemy setki razy czytać i słuchać słowa Pana Jezusa, a zawsze znajdziemy w nich jakąś nową piękność, nową naukę, nową głęboką a pożyteczną myśl. Z pośród wszystkich mów Pana Jezusa, najwięcej może przemawiają do nas Jego przepiękne przypowieści. Łączą one w sobie przedziwnie piękną i powabną formę z wielką prostotą, głęboką myśl z dziwną przystępnością. Przedstawiają one nam osobę Pana Jezusa, dzieło Jego odkupienia, stosunek nasz do Boga i bliźnich, cnoty i obowiązki nasze, wreszcie dzieje królestwa Bożego na ziemi w sposób tak prosty, że zrozumie je małe dziecko, a tak głęboki, że starczą największemu mędrcowi za przedmiot do ciągłego rozmyślania.

Nic też dziwnego, że w dawniejszych i nowszych czasach pisano wiele o tych przypowieściach. Od czasów Ojców Kościoła do najnowszych widzimy o nich obszerną wzmiankę w komentarzach do Pisma św., osobne dzieła wyjaśniają znaczenie tych przypowieści, egzegeci i homileci piszą nawet osobne dzieła o pojedynczych przypowieściach. Szczególniej z protestanckiej strony wydano w rozmaitych czasach wiele dzieł traktujących *ex professo* o tym przedmiocie. Dawniejsi protestanci, którzy jeszcze zachowali wiarę w Bóstwo Chrystusa, cześć dla Pisma św. i choć jaki taki szacunek dla tradycyi, mogą służyć do pewnego stopnia po dziś dzień jako użyteczne książki, nawet dla katolickich czytelników. Natomiast nowsi protestanci, którzy chcą ko-

niecznie wydrzeć Pismu św. jego nadprzyrodzony charakter, nie oszczędzają także i tych przepięknych a szacownych przypowieści Pana Jezusa. Starają się znaczenie ich przekręcić i nie wahają się zadać gwałt najwyraźniejszym słowom Zbawiciela, byleby tylko usunąć wszystko, co trąci proroctwem, tajemnicą lub cudem. Jeżeli zaś to wszystko nie pomaga, wyrzucają pewne części przypowieści z tekstu, uważają je za późniejszy dodatek, przenoszą na inne miejsce, a to wszystko absolutnie bez żadnej pozytywnej podstawy. Przykładem takiej bezkrytycznej krytyki jest ostatnie dzieło marburskiego profesora Juelichera *Über die Gleichnisreden Jesu,* które znalazło niestety poklask u niewierzących koryfeuszów protestanckich teologów. Ze strony katolickiej nie było już od dawna dzieła, któreby traktowało w sposób naukowy specyalnie o przypowieściach Pana Jezusa. Dawniejsze dzieła są albo zbyt obszerne, albo przestarzałe; szczególniej brak im nieraz krytycyzmu. Dlatego sądzę, że wszyscy miłośnicy Pisma św. powitają z radością nową, znakomitą publikacyę katolicką w tym kierunku.

Profesor Fonck zebrał w swojem dziele *Die Parabeln des Herrn im Evangelium* wszystkie przypowieści Pana Jezusa w liczbie 64. Znajdujemy między innemi nie tylko znane większe przypowieści (np. o siewcy, o robotnikach w winnicy, o synu marnotrawnym, o miłosiernym Samarytaninie), ale także drobniejsze (np. o padlinie i sępach, o ślepym, który prowadzi ślepego, o rzucaniu pereł przed wieprze), które uchodzą u bardzo wielu za zwykłe porównania, czy też przysłowia.

We wstępie przeprowadza autor w czterech rozdziałach znaczenie przypowieści u pisarzy starożytnych i w księgach Starego i Nowego Zakonu, a później zwraca szczególną uwagę na cel przypowieści Jezusa i na sposób ich tłumaczenia; wreszcie przedstawia nam ideę królestwa Bożego, które jest jak gdyby myślą przewodnią wszystkich przypowieści. Same przypowieści zestawia w trzy grupy; 1) przypowieści o królestwie Bożem (24), 2) przypowieści o członkach tego królestwa i ich obowiązkach (31), 3) przypowieści o głowie tego królestwa i jego stosunku do jego członków (9).

Do każdej przypowieści podaje autor naprzód tekst grecki z odpowiedniemi *lectiones variantes;* jeżeli ta sama przypowieść znajduje się u kilku ewangelistów, to podaje autor obydwa, względnie wszystkie trzy teksty. Dalej następuje dosłowne tłumaczenie tekstu, w którym autor uwzględnia ewentualne drobne różnice poszczególnych tekstów.

Dalej zastanawia się, w jakim czasie i w jakich okolicznościach mogła być wygłoszona przypowieść, przez co rzuca nieraz światło na jej znaczenie. Przechodząc do wyjaśnień rzeczowych, zastanawia się dokładnie nad znaczeniem każdego ważniejszego słowa, unika jednak przesadnych filologicznych komentarzy. Następnie rozważa znaczenie przypowieści bądźto według autentycznego wyjaśnienia Pana Jezusa, bądź też (gdzie takiego niema) według reguł hermeneutyki z uwzględnieniem tradycyjnej egzegezy. W końcu zestawia najważniejsze zastosowania i wnioski wysnute z przypowieści.

Nie możemy oczywiście wdawać się w szczegółową krytykę wszystkich zdań i twierdzeń autora tem bardziej, że chyba nigdy nie zapanuje zupełna zgoda co do szczegółowego objaśnienia tekstu przypowieści, a tem mniej co do ich zastosowania. Możemy jednak śmiało powiedzieć, że w ogólności każdy, kto tylko przeczyta dzieło profesora Foncka, zgodzi się z nim co do ogólnego sposobu pojmowania przypowieści i zrozumienia ich. Autor postępuje w sposób bardzo konsekwentny i ściśle naukowy; stara się on wyrozumieć znaczenie każdego słowa tekstu oryginalnego, uwzględniając zawsze stosunki ówczesne i właściwości języków oryentalnych, których wpływ jest tak przemożny w greczyźnie Nowego Testamentu. W tym względzie przyszła autorowi w pomoc dokładna znajomość Ziemi św., jej stosunków, obyczajów, a nawet fauny i flory tego kraju. Dlatego też rzuca on nieraz w swych wyjaśnieniach dziwnie piękne i jasne światła na szczegóły, na które inni autorzy prawie żadnego nie kładą nacisku. W wyjaśnieniu znaczenia przypowieści stara się autor uchwycić przedewszystkiem główną myśl *(tertium comparationis)*, o którą Zbawicielowi chodziło, a wynajduje te myśli bardzo szczęśliwie. W zastosowaniu szczegółów przypowieści postępuje bardzo szczęśliwie pośrednią drogą: z jednej strony nie ignoruje ich zupełnie, owszem wyciąga z nich nieraz bardzo piękne, trafne i naturalne zastosowania; z drugiej strony nie bawi się w drobiazgowe, naciągane tłumaczenie wszystkich drobnych szczegółów i akcesoryów, które służą tylko do lepszego uwydatnienia obrazów przypowieści, a nie dadzą się zastosować do prawdy, którą dana przypowieść oznacza. Oczywiście musi Fonck, wyjaśniając znaczenie przypowieści Pana Jezusa, brać nieraz zupełny rozbrat z egzegezą najnowszych racyonalistów. Uwzględnia on przedewszystkiem samą naturę przypowieści, a potem tradycyjną kościelną egzegezę. Nie waha się zmodyfikować nieraz twierdzenia dawniejszych egzegetów i Ojców Kościoła tam, gdzie tego wymaga na prawdę nowożytna postępowa

umiejętność, ale szanuje powagę słowa Bożego i nie odważa się nigdy wprowadzić bezgranicznego a bezkrytycznego subjektywizmu nowszych „poprawiaczy“ Pisma św. Przedstawiając swoje zdanie o znaczeniu przypowieści czy też jakiegoś szczegółu, cytuje najważniejsze odmienne zdania czy to Ojców Kościoła, czy to dawnych egzegetów, czy też nowszych krytyków i uczonych. Przy końcu każdej przypowieści zestawia pewną ilość kazań i homilii, odnoszących się do tych przypowieści. Byłoby może pożądanem, gdyby autor podał nam swoje zdanie o wartości tych kazań. O ile możemy poznać z tytułów, wyglądają bowiem niektóre z nich na daleko idące parafrazy lub naciąganie poszczególnych słów przypowieści, niż na właściwe homilie lub kazania, oparte na tych przypowieściach.

Sposób pisania autora jest wogóle przystępny i zajmujący, tem bardziej, że rozdziela wyjaśnienia słowne i rzeczowe samego tekstu od jego zastosowania. Dzieło Foncka ma nietylko znaczenie dla ludzi oddających się fachowym studyom biblijnym, ale także dla wszystkich miłośników Pisma św., a także dla wszystkich katechetów i homiletów. Sądzimy, że każdy kapłan który ma w szkole czy też na ambonie wyjaśniać przypowieści Pana Jezusa, znajdzie w tej książce wiele szczegółów, które wyjaśnią mu samemu dokładne ich znaczenie, a zarazem pomogą mu do plastycznego i barwnego przedstawienia i wyłożenia tych przecudnych klejnotów nauki Jezusowej.

Ks. Adam Gerstmann.

Jörn Uhl. Roman von *Gustav Frenssen.* Achtzigstes Tausend. Berlin. G. Grotesche Verlagsbuchhandlung. 1902. (Str. 525).

Przed paru tygodniami statystyka wykazywała, iż z najbardziej czytywanych dzieł w cesarstwie niemieckiem na piątem miejscu stoi „Quo vadis“, na trzeciem powieść Frenssena *Die drei Getreuen* a na pierwszem, naczelnem tegoż samego autora *Jörn Uhl.* Świadczyłaby o tem sama cyfra 20 000, gdyby używany czasem na tym punkcie fortel wydawców nie usposabiał sceptycznie czytelnika. Tym razem jednak zda się, że fortelu niema, bo go szalona popularność książki czyni zbytecznym Krytyka nie przestaje się unosić *über das wunderbare Buch* — aż ciekawość bierze zbadać przyczynę powodzenia, stanowiącego wyraźny objaw duszy niemieckiej. Zbadawszy zaś, przyznać trzeba, że objaw jest stanowczo dodatni. Jest to wśród gorączki fabrycznych miast, wśród zgiełku, wiru i hałaśliwości nowoczesnego życia a wreszcie wśród błyskotliwości obecnej literatury, tęsknota za czemś

zdrowem jak chleb powszedni, za czemś ciepłem jak żar domowego ogniska, czemś uczciwem jak codzienna praca na ojczystej roli. W książce Frenssena zaś znajduje się to wszystko; znajduje się i coś więcej: głęboka wiara w Opatrzność kierującą ku dobru ludzi wypadkami ich życia. Sam autor, którego młoda jeszcze, piękna a smutna twarz na pierwszej stronie widnieje, przebył jako pastor długie i zda się dość ciężkie lata w annektowanym przez Niemcy Holsztynie. Z niektórych zdań znać, iż mu niełatwo było znaleźć przystęp do duszy fryzyjskiego ludu. Jeżeli jednak doznał zawodu w swej religijnej pracy, to przynajmniej poznał ten lud doskonale i po mistrzowsku opisał. *Jörn Uhl* nie może ściśle zwać się powieścią. Jest to raczej obraz wzięty z natury, zawierający krajobraz nieco smętny, noszący charakter okolic nadbrzeżnych a nie cieszący się jeszcze widokiem fal; na tem tle zaś życie ludności rolniczej, przeważnie zamożnej, podzielonej jakoby na plany. W samej powieści widzimy dwa takie rody: Uhlów *(Eule)* i Kreyów *(Krähe)* żyjące obok siebie w ustawicznej drobnej a zaczepnej walce; raz tylko do roku gromadzą się na wspólną pijatykę, z której oczywiście i bijatyka się robi. Uhle przeważnie uprawiają ziemię i doszli do względnego bogactwa; Kreye ubożsi a bardziej przemyślni kupczą czem mogą, i radzi szukają szczęścia za morzem. Wyraz *Bauer* oznaczający w innych częściach Niemiec zwykłego chłopa, tu może się tylko przełożyć na polską nazwę: ziemianin. Taki Klaus Uhl np., ojciec tytułowej postaci, mieszka w wielkim domu piętrowym, o sieni wykładanej marmurem i zdobnej w piękne, rzeźbione szafy; w bawialni wisi ogromny pająk o kryształowych ozdobach. Z wiosną kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkadziesiąt koni wychodzi na paszę — niemniej przeto syn gospodarza odziany w prostą bluzę robotnika przez dzień cały chodzi za pługiem, sam z parobkami grabi siano i młóci pszenicę. Co prawda ojciec i starsi bracia przez ten czas z kompanami piją i hulają we dworze, matka wzgardzona i wylękła umarła wydając na świat ostatnią dziecinę, a Jörna i siostrzyczkę wychowała wierna sługa Wieten Penn przezwana Wieten Klook *(Klug)*, bo znała wszystkie starożytne podania i miewała przeczucia przyszłości. Ona to nie dopuściła chłopcu wmięszać się w hulaszcze życie rodziny, ona wyzyskując jego silną, poważną wolę uczyniła zeń pracownika. Jörn pragnął zrazu iść do gimnazyum, stawił się nawet do egzaminów wstępnych, ale tu pokazało się, że go nauczyciel miejscowy w najlepszej wierze zamiast wymaganej łaciny, języka angielskiego nauczył! Chciał błąd naprawić, ale gdy ojciec wypędził z domu jedynego człowieka, na którego w go-

spodarstwie mógł liczyć, Jörn rzucił książki i z bólem serca postanowił życie swoje na straży ojcowizny przepędzić. I oddał się cały tej ziemi z myślami, ciałem i duszą, zrósł się z nią i stwardniał. Nie znał rozrywki ni dnia wypoczynku; z religii znał sztywne, szkolne formułki a biedna Wieten więcej niż o aniołach wiedziała o boginkach i elfach. Obok niego wyrastała siostra żądna wrażeń i życia, wyrastała i jasnowłosa Lisbet, córka nauczyciela, wykwintna i słodka. Ta od dzieciństwa kochała go szczerze ale Jörn unikał jej, czując się upokorzonym: Ona istna księżniczka a jam parobek — mówił patrząc na swe spracowane dłonie.

Książka byłaby o połowę krótszą, gdyby autor nie przerywał swojej fabuły wplatając w nią opisy, opowiadania, baśnie i epizody nie mające nic lub niewiele wspólności z istotną treścią. Są to zazwyczaj ustępy pełne poezyi, ale nadające powieści charakter gawędy i ujmujące jej jędrności. Już i bez tego monotonnym dziejom młodości Jörna towarzyszy historya całej wsi a nie jest to wesoła historya: „Prusacy zbudzili nas — mówi gdzieś Frenssen przez usta jednego ze swych bohaterów — a przecież stwierdza stopniowy upadek dobrobytu, spowodowany szerzącą się grą i pijaństwem. Jörn ze znużenia próbuje też przez dni kilka hulanki, lecz budzi w sobie tylko niesmak i rad jest, że mu wojskowa służba dozwala przez czas niejaki wytchnąć swobodnie. Nadchodzi rok 1870 a z nim wojna francuska; pułki holsztyńskie muszą też maszerować do boju. Idą chętnie, bo im powiedziano, że Francuzi wypoliczkowali starego cesarza, ale się dziwią, że trzeba iść tak daleko, bo mniemali, że wróg kraj napadł, że go spotkają za pierwszem wzgórzem, za pierwszą wioską. Więc trapią się, że ich Prusacy nie dopuszczą do walki, by módz potem nad nimi przechwalać się i przewodzić. Zapał słabnie dopiero gdy raz w raz po drodze spotykają świeżo usypane pagórki i wały: Co to jest? — To groby. — A to? — Także groby! Widzą gromadkę żołnierzy składających jakieś zwłoki do ziemi. „Kogo tu grzebiecie?“ — pyta przejeżdżający generał. — „Naszego porucznika“. — „Dajcie mi jeszcze raz go zobaczyć — to mój syn!“ — i generał odjeżdża w milczeniu. Nareszcie z poza wzgórza słychać huk dział, dym się kłębi a wśród dymu poruszają się ciemne mrowiska. To Gravellota! Baterya Jörna staje, zaczyna się robota. Kanonierzy pracują w pocie czoła a praca ciężka, bo coraz to któryś ubywa, z koni leją się strumienie krwi, komendant ciężko ranny przysiadł pod drzewem i charczy. Wreszcie naboi braknie a wróg się ciśnie ku zdobyczy dział. Więc obcy młodziuchny

oficer bierze komendę, zawraca ludzi, armaty i konie i resztkami sił chroni pod las. Tu już inne stoją armaty i nowa zaczyna się praca — Jörn tak nie pracował przy żniwie! I znów ludzie padają a z pośród zarośli odzywają się jęki w różnych językach: *O mon Dieu! Min Modder! Hilfe!* — Z lasu wywleka się młody Alzatczyk ze strzaskaną nogą i woła: *Ich bin ein Franzose!* — Bitwa kończy się a żołnierze zwycięskiej armii nie zaznali upojeń tryumfu; widzieli tylko krew, znój i śmierć. W słynnej *Débacle* żaden opis bitwy nie zawiera tyle grozy, co ten epizod Frenssena.

Jörn z całej kampanii wychodzi nietknięty. Wraca do domu i unikając głównego wejścia, skąd buchają światła i śmiechy, idzie do starej swej niańki. Ta zwykłem przeczuciem wiedziona, czekała na niego i sporządziła wieczerzę. Powitanie jednak jest smutne, bo siostrę w nieobecności Jörne rozkochał najgorszy hultaj z wioski i za sobą do Ameryki pociąga, ojciec i bracia coraz gorzej szaleją, na ojcowiźnie rosną wekslowe i hipoteczne długi. Tej samej nocy Klaus Uhl wracając pijany, wywraca się z wózkiem przed bramą; podnoszą go żywego ale z ubezwładnionym na zawsze umysłem i ciałem. Wraz po wypadku zwalają się wierzyciele, i wziąwszy w sekwestr majątek zostawiają na nim Jörna, raczej jako swego włodarza, niż właściciela. Starsi bracia odchodzą w świat; przy chorym czuwa niezmordowana Weten Klook. I znów zaczyna się praca monotonna, ciężka, beznadziejna, wśród czeladzi szemrzącej na skąpstwo i twarde obejście gospodarza. Na chwilę przecież horyzont się rozjaśnia; Jörn poślubia swoją *Grossmädchen* (starszą służącą). złotowłosą Lenę Torn, której śpiew wnosi radość do starego domu a pracowite ręce słodzą los każdemu od samego pana do ostatniego cielątka w oborze. Ale niestety Lena umiera wydając na świat chłopaczka a w jej miejsce przychodzi do dworu jeden z braci, przynosząc swoją hańbę, swoje łachmany i nowe długi za wódkę. Jörn nie wypędza go, ale gdy po kilku miesiącach znajduje go powieszonego u belki, nie sprawia mu pogrzebu: dla pijaka i samobójcy dość z łaski gminy tymczasowej trumny żebraków. Gdy go nie stało, powietrze oczyszcza się nieco: Jörn uporawszy się z wekslowemi długami rodziny, zasiał znaczny szmat ziemi pszenicą, która jeśli się uda, dozwoli po raz pierwszy coś z ciężarów hipoteki usunąć. Wiosna plon obiecuje przepyszny, aż serce rośnie spoglądać. Plon piękny, ale nie dla ludzi — dla myszy! Jörn widzi jak kłos po kłosie zcięty opada i zdjęty rozpaczą ucieka do domu; stara Wieten wstrzymuje go w chwili, gdy nawpół obłąkany chce

sobie życie odebrać. Jest to jeden z najbardziej charakterystycznych ustępów powieści. Jörn po odejściu jej pozostaje długo w osłupieniu; po kilku godzinach dopiero budzi go ktoś z czeladzi, donosząc, że Wieten wyszła i mimo późnej pory nie wraca. Wtedy nowy niepokój powraca mu siły; znając skłonności starej bieży pod las na dawne uroczysko, gdzie ją zastaje wzywającą nadprzyrodzone moce, przy pomocy guseł pogańskich. Niedawno jeszcze byłby tylko wzruszył ramionami i odszedł. W ostatnich czasach atoli zapoznał się bliżej z pastorem a choć ten od niego praktyk religijnych nie żądał, przecież z przeciągłych rozmów, ze wspólnego czytania zaczerpnął dość wiedzy i wiary, by z kolei staruszkę pocieszyć odwracając ją od nadziei w czary do nadziei w miłosierdzie Boże. Powrócili do domu podniesieni na duchu z wyczekiwaniem cudu. Ale zamiast cudu przyszedł grom i śmierć. Straszliwa chmura nadciągnęłe z nad morza i grom uderzył w kąt dachu, poczem ogień zrazu ukryty jął pełzać wśród gontów i strychów, aż opanował zdradziecko budynek i buchnął tryumfalnym płomieniem. Pierwsza spostrzegła go Wieten, ale już było zapóźno: uratowano tylko ludzi i zwierzęta, martwy dobytek był w gruzach. Chorego ojca przeniesiono do sąsiada, ale tu trafiła doń śmierć i Jörn przychodząc od palącego się domu zastał trupa, któremu już u stóp i u głowy postawiono świece...

Tym razem pogrzeb odbywa się z wszelką wspaniałością, wszelako gdy tłum się usunął a Jörn z synkiem przy swoich grobach pozostał, zbliżył się doń brat matki Thies Thiessen, jedna z najoryginalniejszych postaci powieści, i jął rozprawiać o sprawiedliwości Bożej, o sądzie, mocą którego zmarły marnotrawca i hulaka dostanie na tamtym świecie do uprawy najgorsze pola, z najgorszymi końmi *und den grössten Schelm von allen Engeln als Pferdejungen.* — Równocześnie zaś wspominając krzywdy siostry, przekłada na jej pusty grób wieńce złożone przed chwilą na świeżej mogile szwagra. Skończywszy zaś perorę namawia Jörna, by obdłużoną ziemię wierzycielom zostawił a przeniósłszy się do jego kawalerskiego domu nowe życie rozpoczął. Jörn jeszcze walczy chwilę, pyta o radę grobu i wreszcie ulega. W cichej zagrodzie wuja zasypia snem kamiennym, po którym budzi się po raz pierwszy odpoczętym i świeżym, po raz pierwszy wolnym od troski.

Ślicznym jest początek następnego rozdziału, gdy autor porównując odtajanie duszy ludzkiej z odtajaniem młodego lasu pod miękkiem tchnieniem wiosennem dodaje: *Und wie es geht: das Weiche siegt zuletzt überall auf der Erde. Die Liebe siegt.*

U Jörna istotnie zwycięża miłość i to nie tylko miłość kobiety, owej słodkiej Lisbeth, którą był wciąż za istotę z wyższej sfery uważał, a która od dzieciństwa nie przestała go kochać. Po pożarze domu ojców, po spełznięciu na niczem jego heroicznych poświęceń i długoletniej pracy, po utracie, krom syna, wszystkiego co posiadał na ziemi, gdy się zdawało, że już zeszedł na dno i stoi wobec nicości — Jörn odnalazł Boga, odnalazł wiarę w dobro u Boga, u ludzi i u samego siebie, odnalazł ufność a z nią świeżą siłę do czynu. Postanowił życie rozpocząć na nowo na punkcie, gdzie los był mu je niegdyś zatrzymał i skrzywił. Był jeszcze młody — na naukę nie było za późno. Zostawił tedy synka pod opieką Lisbethy a sam poszedł do miasta i tu jął się uczyć z cierpliwością i zaciętością, z jaką poprzednio orał matkę ziemię. O ile był rolnikiem z przymusu, o tyle teraz czuł się we własnym żywiole. Po kilku latach powrócił inżynierem i szczęśliwą założył rodzinę. Gdy zaś w późniejszych czasach jeden z przyjaciół mówił mu, iż chce dla drugich historyę jego napisać: „Napisz więc — mówi Jörn — że choć mi przyszło kroczyć w pośród trosk i trumien, byłem przecież szczęśliwym człowiekiem, a to dlatego, żem był pokorny i ufał".

Ostatnie zdanie nakreślone odmiennym drukiem było snać myślą przewodnią autora. Być może, iż w treści niedość ją uwydatnił i pogłębił. W każdym razie książka zawiera prócz tych, wiele pięknych myśli i delikatnego uczucia, wiele też lekkiej fantazyi. Dwa obrazki tylko są niesmaczne, reszta pisana piórem wykwintnem i czystem. *Jörn Uhl* nie jest wprawdzie arcydziełem, za jakie w bieżącej chwili uważają je Niemcy; jest w niem pewna wadliwość w budowie, urywanie niektórych ustępów a zbytnie przeciąganie drugich. Wygląda na książkę tworzoną wśród wielkiej samotności, w długie zimowe wieczory, gdzie autor nie krępowany przestrzenią i czasem, kładzie bez wyboru na papier każdą iskrę swych myśli, każdy kwiat wyobraźni; czasem trudno pochwycić pamięcią osobistości przesuwające się jednorazowo przez scenę. Nie literacka doskonałość zatem jest powodem ogromnego rozgłosu powieści Frenssena. Jest nim raczej pocieszający fakt, że jest utworem zdrowym, wolnym nawet w najsmętniejszych rozdziałach od pesymizmu lub *Weltschmerzu*, wolnym też od wszelkiego jadu społecznych tendencyi i od ckliwego poetyzowania zarówno jak od realistycznej brutalności nowożytnych romansów ludowych. Powodzenia takiej książki trudno się było spodziewać w zaraniu XX wieku.

T. Wodzicka.

Der Ursprung der Nothverordnung. *Dr. Julius Hatschek.*

Autor stara się wykazać na podstawie rozwoju historycznego, że nowożytne kontynentalne rozporządzenie z konieczności opiera się na mylnem zrozumieniu dwóch angielskich instytutów prawnych: *suspension of Habeas Corpus Act* i *indemnity bill.* Pierwsza instytucya *suspension of Habeas Corpus Act* znosi chwilowo na czas krótki prawo przedmiotowe, nie udziela zaś żadnych uprawnień podmiotowych, nie udziela jakiejś władzy dyktatorskiej do wydawania wyjątkowych rozporządzeń. Wogóle wskutek zawieszenia *Habeas Corpus* aktu, zawieszenia ustanowionego w drodze ustawodawczej, władza wykonawcza bynajmniej nie uzyskuje jakiegoś wyjątkowego stanowiska, lecz podlega normom prawnym, tak samo jak i inni obywatele państwa. Skonstatowano to też wyraźnie w parlamencie angielskim w r. 1766. Władza wykonawcza nie ma prawa do wydawania rozporządzeń wyjątkowych. O ile mimo to władza wydała takie rozporządzenie, postępowanie takie jest nieprawnem, nie pociąga jednak za sobą konsekwencyi prawnych, jeśli parlament skonstatuje, że zachodził przedmiotowo stan konieczności. Nie uniewinnia przeto władzy wykonawczej podmiotowy stan konieczności, t. zn. jej podmiotowe mniemanie, że stan taki zachodzi; decydującymi bowiem w tej mierze są stosunki faktyczne, przedmiotowe. Wówczas też tylko parlament udzieli rządowi *indemnity bill.* Otóż obie te instytucye prawa angielskiego, których autentyczną interpretacyę zawierają uchwały parlamentu, mylnie zrozumieli Blackstone, Delolme, Custance i inni angielscy komentatorowie. Blackstone mówi mianowicie: „Zawieszenie *Habeas Corpus* aktu w czasach, gdy państwo znajduje się w rzeczywistem niebezpieczeństwie, jest zarządzeniem koniecznem. Ale w tem właśnie wyższość naszej konstytucyi, że nie pozostawia ona władzy wykonawczej oznaczenie wypadku, w którym niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że zarządzenie tego rodzaju okazuje się koniecznem. Tylko parlament bowiem lub władza ustawodawcza może, jeśli to uważa za stosowne, zawieszeniem *Habeas Corpus* aktu upoważnić koronę na pewien czas oznaczony, do uwięzienia osób podejrzanych, bez podania powodów, tak jak w Rzymie państwo uciekało się do dyktatora, więc do magistratury z władzą nieograniczoną w razie, jeśli państwo znajdowało się w niebezpieczeństwie".

Teorya ta weszła później do konstytucyi francuskiej z r. 1814 (art. 14) w formie o tyle zmienionej, że tu już sama konstytucya z góry udzieliła upoważnienia rządowi do wydawania rozporządzeń z konieczności. Nieznajomością prawdziwych postanowień konstytucyi

angielskiej tłumaczą się też postanowienia konstytucyi kontynentalnych o późniejszem zatwierdzeniu przez parlament rozporządzeń z konieczności, jak i subjektywistyczne pojmowanie stanu konieczności, wystarcza tu bowiem już sama dobra wiara, że państwo znajduje się w niebezpieczeństwie. Później zaczęto odróżniać zawieszenie postanowień konstytucyi od zawieszenia innych postanowień ustawowych, dozwalając tylko zawieszenia tych ostatnich (głównie pod wpływem wypadków we Francyi za Karola X). Rozporządzenia takie uważa się za ustawy prowizoryczne.

Na tej czysto formalistycznej podstawie się opierając, chce autor wydedukować, że postanowienia tego rodzaju w swej obecnej postaci są niebezpieczeństwem dla życia konstytucyjnego, tak jakby rewolucye i zamachy stanu były wynikiem przepisów paragrafowych, nie zaś wypływem przesunięcia się wzajemnego stosunku sił politycznych.

Dr. Zygmunt Gargas.

Johannis Wyclif Miscellanea Philosophica. Vol. I with an Essay on Wyclif's philosophical system by *Michael Henry Dziewicki.* London. Paternoster House, Charing Cross rodd 1902. (8-ka, str. LXXXII, 252).

O Wiklef, Wiklef, niejednemu ty głowę wiklesz!...

Słowa te wyszły z pod pióra, po którem nikt nie oczekiwałby dziś takiego sądu... Wiklefa wikłaczem przezwał ten sam Hus, który jego naukę wziął za podstawę pierwszych wykładów swoich na wszechnicy praskiej. Czytamy te słowa na rękopisie Husa własnoręcznym, który zawiera wymienione w nagłówku dzieła Wiklefa. Rękopis ten, niedawno odkryty w księgozbiorze sztokholmskim, należy do łupów wojennych, przewiezionych do Szwecyi po wojnie trzydziestoletniej. Angielskie towarzystwo imienia Wiklefa wygrzebało ten rękopis i przyjęło zawarte w nim dzieła oxfordzkiego mistrza do swojego wydawnictwa, w którem umieściło poprzednio inne księgi prereformatora: *De Compositione Hominis, De Ente praedicamentali* i trzy księgi logiki. Zatem przyszła kolej na Miscellanea, które mają wyjść w trzech tomach; pierwszy tom wydany przez pana Dziewickiego zawiera rozprawy: *De actibus animae, Replicacio de universalibus, De materia et forma.*

Wydawca niniejszego tomu okazał umysł wybitnie filozoficzny, kiedy umiał opanować nieokiełznany pęd myśli Wiklefa i w jego pojęcia zawiłe z czternastego stulecia umiejętnie wprowadził czytelnika w stuleciu dwudziestem. Rozwinął przed czytelnikiem naprzód indukcyjnie

pojęcia, co do których toczyli spór naprzód nominaliści a potem konceptualiści przeciw różnym odłamom realistów średniowiecznych. Następnie widzimy, którędy Wiklef zboczył z drogi, kiedy zaszedł na nieszczęsny swój pomysł, że przedmiot przedstawiony pojęciem ogólnem, np. pojęciem człowieka wogóle, jest to rzeczywiście to samo, co przedmiot pojęcia szczególnego, mianowicie to samo, co Adam, co Józef, co Filip, co którybądź inny z ludzi uchwytnych na ziemi. Już z tego samego wynikają wnioski bardzo dwuznaczne. Np. można stąd rozumować: Murzyn nie jest żółty, a jest człowiekiem; Chińczyk nie jest biały, a jest człowiekiem; Europejczyk nie jest czarny, a jest człowiekiem; więc człowiek nie jest ani żółty, ani biały, ani czarny i t. d. Ale te wnioski nie przestraszały Wiklefa, który szedł dalej śmiało, aż stanął na wniosku, że przedmiot przedstawiony pojęciem najogólniejszem Istne jest to rzeczywiście to samo, co siarka, co róża, co wróbel, co człowiek, co anioł co sam nakoniec Pan Bóg, więc Istne rzeczywiście jedno i to samo we wszystkiem, wiąże cały świat razem i stanowi jego jednię i zgodę.

Czytelnik dziś nazwie tę zasadę panteizmem: Wiklef nie dbał o nazwę swojej zasady, tylko wyciągał z niej wnioski.

Naprzód tedy według niego wszelki człowiek możliwy, np. możliwy odnowiciel Polski albo zbawca Francyi jest to rzeczywiście ten sam człowiek, co Kazimierz Odnowiciel albo Poniatowski, co Henryk IV albo Combes; słowem: wszelkie jestestwo możliwe jest rzeczywiście jednem i tem samem, co jestestwo rzeczywiście istne na tle wieków, a przeciwnie: czego nie było nigdy, niema, ani nie będzie nigdy, to już niemożliwe.

Ten wniosek, zastosowany do wolnych czynów ludzkich, wiódł Wiklefa na drogę, na której już musiał wystąpić przeciw Kościołowi. Uczył tedy, że czyn nie popełniony nigdy w biegu wieków nie jest możliwym. Szaweł nie pozostał prześladowcą Kościoła, musiał zostać nawróconym Pawłem. Judasz nie zwyciężył pokusy do srebrników, więc musiał być zdrajcą. Z takich pojęć o rzeczywistości i możliwości wynikła u Wiklefa nauka, że czyny ludzkie są zarazem konieczne, i zarazem wynikają z wolnej woli!

Raz rozpędzony w drogę, na której wpadł w zatarg z Kościołem, Wiklef wikłał dalej rzeczywistość z możliwością i utworzył sobie nową kosmogonię, na której tle wymyślił nowy pogląd na tajemnicę Eucharystyi.

W kosmogonii zastosował do pojęcia przestrzeni swoją naukę o rzeczywistości i możliwości i wysnuł z niej wniosek, że przestrzeń

nie może być większą albo mniejszą niż jest, bo tylko rzeczywista jest możliwa. Stąd wnosił Wiklef, iż świat, gdyby miał postać nie kulistą, tylko np. sześcienną, przy swoim obrocie naokoło osi wysuwałby części bardziej wypukłe na miejsca, zajęte poprzednio przez części bardziej wklęsłe; ale poza miejscem, raz zajętem przez świat, nie istnieje przestrzeń, więc świat nie kulisty wychylałby swoje części kanciaste poza przestrzeń; tego przyjąć nie można: więc świat jest kulisty, podług Wiklefa. Niech czytelnik nie wyśmiewa tego dowodu. Jeden z nowszych filozofów, Balmes, wpadł na dowód zupełnie podobny, oparty tylko nie na zasadzie o rzeczywistości i możebności, tylko na dwuznaczniku hiszpańskim w czasowniku i rzeczowniku *ser*. Wydawca słusznie zwraca uwagę, że Wiklef rozumiał tak, jak gdyby nigdy nie widział walca albo stożka w ruchu naokoło osi. Ta sama uwaga dotyczy Balmesa, który także podobnie jak Wiklef, wpadł w kłopoty z tajemnicą Eucharystyi i pociągnął za sobą nawet Palmierego i jego szkołę, chociaż nie zaszedł z nimi tak daleko, jak Wiklef.

Poprzednik Husów i Lutrów nie umiał sobie wystawić, co po Przeistoczeniu zapełnia przestrzeń, zajętą poprzednio przez chleb. Miał wprawdzie w Kościele odpowiedź jasną, że postacie chleba zostają po Podniesieniu, że tedy wielkość albo objętość chleba *(quantitas)* zapełnia przestrzeń: ale Wiklef nie umiał sobie dać rady z postaciami odłącznemi od jestestwa — zarówno jak Balmes i jego zwolennicy. Więc utknął na zarzucie, że bez jestestwa chleba musiałaby nastać przestrzeń nie rzeczywista, tylko możliwa, czyli próżnia po Przeistoczeniu: stąd wniósł, że po Przeistoczeniu w Hostyi zostaje i jestestwo chleba i Ciało Pańskie prawdziwe i rzeczywiste.

Wydawca przez swój filozoficzny wstęp dostarczył czytelnikowi przewodniej nici w labiryncie pomysłów zawikłanych przez Wiklefa. Takim wstępem poprzedzone dzieło należy do nabytków cennych dla dziejów rozwoju myśli ludzkiej. Wiklef powstaje w tem dziele w postaci jak najwierniej odtworzonej według wymogów nowoczesnych, ale nie może już uchodzić za proroka godnego czci większej, niż nauka Kościoła. Okazuje w sobie myśliciela nader ścisłego w swoich wnioskach, bezwzględnie przywiązanego do wyników swojej pracy, ale opartego na zasadzie, nie zdobytej umiejętnie, tylko obranej własnowolnie w sporze z nominalistami. Wobec tedy metody dzisiejszej Wiklef traci powagę i występuje jako marzyciel, na którego nie mogą chlubnie spoglądać jego następcy w czasie naukowych sporów przeciw Rzymowi. *Ks. K. C.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Dzieła ks. Waleryana Kalinki. Pisma pomniejsze. Część IV. Kraków. 1903.

Po wielkich, epokowych dziełach ks. Kalinki przyszła kolej na mniejsze rozmiarami, mniej doniosłe znaczeniem prace. I już mamy przed sobą 4 część pomniejszych pism ks. Kalinki, wydawanych od szeregu lat przez Spółkę Wydawniczą Polską. Prace tu pomieszczone mają przeważnie charakter publicystyczny, okolicznościowy; częścią są przedrukowane z artykułów ks. Kalinki w pismach peryodycznych.

W części tej, a raczej tomie pomieszczone prace ułożyli wydawcy w trzy grupy. Grupa pierwsza obejmuje pisma dotyczące Kościoła i jego dziejów w Polsce. Zaczyna się od rozprawy „o alfabecie i kalendarzu ruskim“. Rozprawka ta daje krótko obraz historyczny usiłowań około zaprowadzenia kalendarza gregoryańskiego na Rusi, usiłowań, jak wiadomo, bezskutecznych. Ten obraz historyczny to kanwa, w którą autor wplótł swe zapatrywania na stan obecny tej kwestyi. Z wielkiem umiarkowaniem i szacunkiem dla uczuć narodowych Rusinów wypowiada przekonanie, że żądać od Rusinów zmiany alfabetu byłoby co najmniej przedwczesnem. W kwestyi zrównania kalendarza uznaje niedogodności, jakie w Galicyi, gdzie obok siebie żyje ludność polska i ruska, wypływają z różnicy w rachubie czasu, ale odradza wywierania nacisku sądząc, że należy to zostawić rozwojowi dalszych wypadków: Rusini, którzy sami czują niedogodności swojego kalendarza, wtedy zgodzą się na gregoryański, skoro dojdą do przekonania, że Polacy mimoto uszanują ich odrębność narodową.

W wspomnieniu pośmiertnem ks. Piotra Semenenki, daje długoletni towarzysz w Zakonie i podwładny krótką a nadzwyczaj trafną charakterystykę zalet, umysłu i działalności zmarłego. W następnych czterech pracach zajmuje się ks. Kalinka internatem ruskim, założonym przez Zgromadzenie XX. Zmartwychwstańców we Lwowie. Trzy z nich, to coroczne sprawozdania, składane przez ks. Kalinkę, jako rektora internatu, Stowarzyszeniu Opieki nad internatem. Poznajemy z nich ks. Kalinkę z nowej strony, jako wytrawnego pedagoga. Przebija się w nich także to, cośmy już zauważyli w pracy „o alfabecie i kalendarzu ruskim“, a mianowicie miłość dla narodu ruskiego, poszanowanie dla ich ideałów narodowych, daleko idąca wyrozumiałość na ich odporne, wrogie nieraz stanowisko wobec Polaków.

W przedrukowanej tu z artykułu w *Przeglądzie lwowskim* pracy p. t. „Kolegium grecko-ruskie w Rzymie“ kreśli autor przy sposobności oddania tego kolegium XX. Zmartwychwstańcom dzieje kolegium od jego założenia przez Grzegorza XIII, podnosząc przytem korzyści, jakie mogą odnieść wychowańcy z kierownictwa ludzi, bliżej z stosunkami i duchem słowiańszczyzny obeznanych.

Dwie następne prace poświęcone są sprawom Kościoła w Rosyi. Pobudkę do ich napisania dało wywiezienie przez rząd rosyjski ks. biskupa Hryniewieckiego i projekt ks. Dudika, by biskupstwa katolickie w Ro-

syi obsadzić duchownymi słowiańskiej jakiejkolwiek, byle nie polskiej narodowości, projekt, na podstawie którego ks. Dudik z ramienia rządu rosyjskiego zaczął układy z Stolicą Apostolską. Ks. Kalinka omawia ten projekt, wykazuje jego szkodliwość dla polskości i dla katolicyzmu.

Druga grupa pism wydanych w tym tomie obejmuje rozprawy treści religijnej i religijno-politycznej. „Rozmyślania w czasie Wielkiego Tygodnia", przedruk z *Przeglądu lwowskiego*, zawierają kilka myśli głębokich, nasuwających się z okazyi Grobu Chrystusa.

„Znaczenie Świętych w historyi", to kazanie wypowiedziane w uroczystość św. Ignacego Lojoli, kazanie na tle historycznem. Maluje w niem mowca dzieje pierwszych wieków istnienia Kościoła, męczeństwa pierwszych wyznawców religii katolickiej, przechodzi do wieków następnych, zatrzymuje się wreszcie na epoce odrodzenia i reformacyi, kiedy pojawił się na widowni św. Ignacy i założywszy Zakon Tow. Jezusowego, wyprowadził go do boju w obronie wiary.

Rzecz o męczeństwie św. Stanisława to praca zakrojona na szersze rozmiary. Zbija autor ustęp kroniki Galla o zdradzie św. Stanisława, powołując się na świadectwo pokoleń następnych, na cześć oddawaną Świętemu, na wyniki badań komisyi Apostolskiej. Kreśli na podstawie znanych mu źródeł rzeczywiste stanowisko świętego biskupa wobec króla i prawdopodobną przyczynę sporu zakończonego męczeńską śmiercią biskupa. Niejasnej kwestyi nie rozwiązał, ale do tego, zdaje się, nie miał i pretensyi: pracy swej bowiem nie nadał charakteru ścisłego studyum historycznego. Pobudką do jej napisania i odczytania na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności była 8-wiekowa rocznica śmierci św. Stanisława.

W kazaniu „O czci Świętych Patronów polskich" mówi o licznym zastępie Świętych, jakich Polska w ciągu wieków wydała.

Trzeciej grupie pism ks. Kalinki wydawcy nie nadali żadnego miana. Grupa ta obejmuje dwie rozprawy, a raczej artykuły dziennikarskie, poświęcone kwestyom wonczas aktualnym.

Jeden z nich zajmuje się kwestyą cofania się polskości w Galicyi wschodniej. Autor fakt ten przyznaje, winę przypisuje ospałości młodzieży polskiej, podbijanej wytrwałością Rusinów. Nie szczędzi Polakom uwag bardzo dotkliwych i bolesnych. Jako środek przeciw tym stosunkom zaleca nie ofenzywę wobec Rusinów, ale współzawodnictwo szlachetne. „Nie o to nam chodzi, by Rusini nie szli naprzód, lecz by Polacy się nie cofali".

Kończy tom niniejszy obrazek z dziejów Krakowa, opis rządów Dra Weigla, jako prezydenta Krakowa, i przyczyny jego upadku.

E.

Projekt najbliższej akcyi kraju na polu przemysłu. *Józef Olszewski.* Lwów. 1902.

Mówi się u nas i pisze wiele o podniesieniu przemysłu krajowego. Ruch ten datuje się już od szeregu lat, a w ostatnich czasach wzmógł się z niebywałą siłą.

Do tej sprawy odnosi się broszura, którą omawiać zamierzamy. Autor podaje po krótkich wywodach trzy środki do podniesienia przemysłu galicyjskiego. Pierwszy, to utworzenie „Agencyi dla rolnictwa i prze-

mysłu", instytucyi publicznej lub subwencyonowanej z funduszów publicznych, mającej na celu pośredniczyć w zbycie wytworów przemysłu krajowego odpłatnie. Jako drugi środek zaleca rozwinięcie przez kraj akcyi w kierunku organizacyi nowych rodzajów i nowych źródeł produkcyi przemysłowej. Trzecim wreszcie środkiem, naturalnie w założeniu, że wprowadzono w życie dwa poprzednie, jest opieka i dozór kraju nad rozwojem przemysłu, przez instytucyę fachową, założyć się mającą przy Wydziale Krajowym.

Podane przez autora środki oczywiście przemysłu nie stworzą same przez się, ale mogą z pewnością być ważną pomocą dla stawiającej nieśmiałe pierwsze kroki, galicyjskiej produkcyi przemysłowej.

L.

Zabawy i gry ruchowe uprawiane w Parku Dra Jordana. Zebrał *Dr. Maryan St. Tokarski.* Kraków. 1902.

Ogólnie znanym jest dobroczynny wpływ Parku dra Jordana. Wiadomo, że młodzież z chęcią i zapałem korzysta z urządzeń tej instytucyi, które wyrabiają w niej zdrowie i siły fizyczne. Dyrekcye szkół popierają tę ochotę młodzieży, same kierują zabawami młodzieży. Jeden z zawodowych kierowników ćwiczeń i zabaw młodzieży gimnazyalnej, Dr. Tokarski, zebrał i ogłosił drukiem opis zabaw, uprawianych w Parku Dra Jordana. Z broszurki tej widzimy, jak wielki zapas i dobór gier, a przytem rozmaitość rozrywek nastręcza się młodzieży odwiedzającej Park. Znajdujemy tam opisane zabawy bez przyborów, z przyborami, wśród których piłka pierwszorzędne zajmuje miejsce. A że zabawy te ożywczo działają na młodzież pracującą umysłowo, zapewniają równowagę między rozwojem umysłu a ciała może w wyższym stopniu niż krótka obowiązkowa gimnastyka, to stwierdza opis zabaw, jaki znajdujemy w broszurce. Że z drugiej strony młodzież chętnie do nich się garnie, wiedzą dobrze mieszkańcy Krakowa, patrząc nieraz w lecie na roje mundurków podążających spiesznie lub wracających od rogatki Wolskiej.

E.

Święte Pamiątki Sandomierza. Opisał *Ks. Józef Rozkoszny.* Warszawa. 1902.

Mamy tu krótko zebrane podania historyczne i legendy przywiązane do Sandomierza i dawnych jego zabytków Każdy prawie kościół, cmentarz, kaplica, wiąże się z jakiemś wspomnieniem z odległej przeszłości. Podania te rozrzewniają swą prostotą, głębokim pietyzmem i przechowane dotąd w tradycyi natchnęły poetów do ich opiewania. W dzieło to wplecione są też w stosownych miejscach wyjątki z takich utworów poetycznych.

Spotykamy się tu z dziejami podanemi już przez Długosza, męczeńskiej śmierci bł. Sadoka i towarzyszy, i z legendą, z tem zdarzeniem związaną, o cmentarzu sandomierskim, z podaniem o śmierci zakonnika Rogali, o św. Jacku, o królowej Jadwidze i t. d.

C.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego za rok 1901.

Mamy tu zestawione rezultaty działalności Towarzystwa w r. 1901, protokóły i uchwały zgromadzeń walnych i obrad Wydziału Towarzystwa. Dowiedzieć się zeń można o ulepszeniach i udogodnieniach

w wycieczkach w Tatry, utorowaniu nowych ścieżek, dobudowaniu i rozszerzeniu schroniska przy Wielkim Stawie, skutecznej interwencyi Towarzystwa u władz kolejowych co do ułatwień w podróży koleją do Zakopanego i t. d.

Zestawienie rachunkowe wykazuje dochodu 29 455 k. 48 h., a po potrąceniu wydatków czystej nadwyżki kasowej na rok 1901 912 k. 78 hal.

W rubryce dochodów zajmuje naczelne miejsce przychód z wkładek członków 7428 k, a po dodaniu wpisowego od 97 nowych członków w kwocie 194 k. i wkładek od dwóch członków dożywotnich 200 k., razem 7822 k. Nadto dodać należy do tej pozycyi przychód z wkładek członków oddziału pienińskiego 48 kor. i czarnohorskiego w kwocie 300 k. Procenty od funduszów Towarzystwa przyniosły pokaźną kwotę 1949 kor. 64 hal.

Pożyczek zaciągnęło Towarzystwo ogółem na sumę 13 000 k.

W rubryce wydatków najpocześniejsze miejsce zajmują wydatki na inwestycye w Tatrach, jak schronisko, budowę dróg i ścieżek. Wydano na ten cel do 5500 k.

Wydawnictwa pochłonęły kwotę 2787 k. 96 h., procenty i amortyzacya pożyczek 2808 k. 86 h.

W preliminarzu na rok 1901 obliczono przychód na 18 443 k. 67 h., a dochód czysty na 299 k. 43 h.

Część sprawozdawczą kończą spisy członków Towarzystwa wraz z oddziałami pienińskim i czarnohorskim.

Część drugą „Pamiętnika“ stanowi dział naukowy. Zapełnia go cenna praca Dra Eliasza Radzikowskiego p. tyt. „Zakopane przed stu laty“. Przedstawia w niej przywileje Zakopanego, a przedewszystkiem przywilej nadany Zakopanemu przez Michała Korybuta, zawierający potwierdzenie dawnych, do nas nie doszłych i już za Wiśniowieckiego nieudokumentowanych z powodu zagubienia przywilejów. Dalej kreśli autor dzieje Starostwa nowotarskiego, w skład którego wchodziło Zakopane, wyniki lustracyi Zakopanego w roku 1765 przedsięwziętej, wreszcie kończy opisem ludu zakopiańskiego. Do rozprawy dodał Eliasz Radzikowski kilka map sytuacyjnych Tatr zakopiańskich, inwentarz Zakopanego, spisany przez Komisyę lustracyjną w r. 1765 i dwie ryciny, przedstawiające typy i stroje górali tamtejszych.

Pamiętnik zamyka tablica spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych w r. 1900 przez sekretarza Towarzystwa, L. Świerza.

K.

Historya polska (1648—1696). Przez *Teresę z Potockich Wodzicką*. Część III. Kraków. 1902.

Część ta przedstawia dzieje Polski okresu jednego z najopłakańszych w naszej historyi, okresu częściowo opracowanego w cennej monografii Korzona „Dola i niedola Jana Sobieskiego“. Zaczyna tę część autorka od odmalowania wypadków bezkrólewia po śmierci Władysława IV, przechodzi panowanie Jana Kazimierza, Michała Korybuta, i Jana III, kończąc jego śmiercią.

Sposób opracowania przedmiotu zgodny z założeniem pracy, mającej być popularnem przedstawieniem dziejów Polski. Głośne wypadki, szczególnie wojenne, przedstawione bardzo dokładnie i szczegółowo. Natomiast dzieje wewnętrzne traktuje autorka więcej ogólnie. Co prawda, w okresie tak wojennym, jak te pół

wieku opracowane w tej części, mało zostaje czasu na rozwój wewnętrzny, cała działalność zwraca się przeciw nieprzyjacielowi, ale i mimo to wewnątrz państwa zdarzają się wypadki, zasługujące na bliższe roztrząśnienie. Pomijamy tu i wcale nie mamy zamiaru robić autorce zarzutu, że nie dotknęła takich kwestyi, jak sprawy oświaty, szkół, stanu finansowego, choć zwłaszcza ten ostatni w historyi znaleźćby winien uwzględnienie. Ale np. tak ważnego faktu jak zerwanie sejmu przez Sicińskiego, dotknęła autorka szeroko i ze strony więcej, że tak powiem, ściśle zewnętrznej, nie wdając się w głębsze jego ocenienie.

Poza tem całość odpowiada zupełnie celowi. Uwzględniając wyniki najnowszych badań, bez aparatu naukowego przedstawia jasno i przystępnie rozwój wypadków. Pisana przytem dobrym językiem i w sposób barwny, daje historya Wodzickiej dobry pokarm duchowny chcącym się łatwo zapoznać z dziejami naszej przeszłości. Życzyćby sobie należało, by „Historya polska“ uzupełniona dalszemi częściami ukazała się na półkach księgarskich jako całość skończona.

I.

Andrzej Radwan Zebrzydowski, Biskup włocławski i krakowski. (* 1496, † 1560) *Dr. Tadeusz Troskolański.* Monografia historyczna. Część druga Lwów. 1002.

Część pracy, którą mamy omówić, to dopiero druga połowa pierwszego tomu. Na tle współczesnych wypadków, zwłaszcza stosunków religijnych i egzekucyi praw przedstawia rolę i działalność Zebrzydowskiego na sejmie krakowskim w roku 1553, dalszą działalność Zebrzydowskiego w r. 1554 i 1555 na sejmie piotrkowskim r. 1555. Na tym roku kończy autor tom I.

Dzieło zakrojone na większą skalę łącznie z osobistością Zebrzydowskiego, postaci wybitnej tej epoki kreśli całą prawie historyę Polski wewnętrzną tych czasów, w której Zebrzydowski bądź co bądź *magna pars fuit.* A więc rozwój reformacyi, egzekucya praw i t. d. omówione są obszernie, o ile główny cel dzieła, monografia Zebrzydowskiego, przedstawienie jego działania, tego wymagał. Poruszona tu sprawa Orzechowskiego, dzieła polemiczne Modrzewskiego, misya Lippomana, reforma wewnętrzna państwa, o którą wonczas zewsząd wołano, przygotowania do unii Litwy z Polską i t. p.

A. B.

Kwestya polska w Rosyi. *Tomasz Wentworth-Łubieński.* List otwarty do rosyjskich publicystów, tłumaczony z języka rosyjskiego przez autora. Wydanie drugie. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1902. (16-ka, str. 205).

Drugie wydanie tego dziełka świadczy, że Polska chciwiej rozrywała je, niż czytała wiele pism, wydanych w tymże przedmiocie od lat pięciu. Treść dziełka wyjaśnia, co do niego pociągnęło tylu czytelników. Pisarz miał dawniej stosunki z doradcami Korony rosyjskiej: przedstawiał im potrzeby Polski i widział swoje uwagi przyjęte z rodzajem zachęty do dalszej rozmowy. Spisał tedy dla Rosyan te poglądy, na które mniema, że Rosya może przystać z pożytkiem zarówno dla siebie, jak dla nas. Żąda zupełnego i natychmiastowego równouprawnienia Polaków poddanych rosyjskich ze wszystkimi innymi poddanymi rosyjskimi, zatem dostępu dla Polaków do wszy-

stkich posad i uczelni, zamkniętych przed nimi mocą praw wyjątkowych, i samorządu, zwanego ziemstwem, zaprowadzonego już w kilkudziesięciu guberniach cesarstwa, a ważnego zwłaszcza z tego powodu, iż może przedstawiać Koronie swoje uchwały, jako spis potrzeb narodu.

O większe względy na potrzeby narodowościowe na razie pisarz nie radzi prosić, chociaż uważa, że ich taić już dziś nie wypada, ale z prośbą czekać, aż rząd rosyjski więcej będzie nam ufał.

Myśli te zjednały słusznie pisarzowi ciekawych czytelników, a oczywiście nie liczyłyby ich tylu, gdyby w czem raziły serce Polaków. Nic przecie nie raziłoby dotkliwiej od pomysłu, nie wiadomo przez jakie szkła wyczytanego u tego pisarza, jakobyśmy powinni odstąpić od narodowości polskiej, aby pozyskać Rosyę dla Kościoła. Ani śladu podobnych pojęć pisarz nigdzie nie zostawił, owszem na str. 161 najwyraźniej odrzuca je, kiedy potrąca o zamiar rządowy „niemożliwego rusyfikowania wszystkich mieszkańców cesarstwa". Jakże mógł jeden z dzienników lwowskich potępić hrabiego Wentworth-Łubieńskiego za owe dzikie pomysły przeciw-narodowe, wszak widzi wprost przeciwne poglądy najoczywiściej bronione przez niego w książce; wszak może zna straty poniesione przez niego w obronie praw naszych; wszak mógł przewidzieć, że oburzy wiele osób w kraju potwarzą rzuconą na obywatela, który tak po polsku wychował syna, jak jego praca najzbawienniejsza świadczy po setkach wsi i miast... *Ks. K. C.*

Зерна Горушичны Н. Д. Камянина. Жменя третая; Путь до Іерусалима. Перемышль 1902. (16-ka, str. 127).

Wspomniane już „Ziarnka gorczyczne[1] nie poprzestały na jednym zeszyciku: już trzeci wzbogaca piśmiennictwo na Rusi i zachęca ją w drogę do Ziemi świętej Dziwnie włada szanowny pisarz treściwem piórem: przewyższył tym razem sam swoją pracę w pierwszył zeszycie; tyle tu opisał krajów zwyczajów, stosunków społecznych i wyznaniowych, że istotnie każdy wieśniak mógłby za tanie pieniądze poznać z tego opisu najwybitniejsze miejsca święte i ich znamiona. Również pod względem języka ciepłego ale podobno mało używanego na Rusi, szanowny pisarz szedł dalej drogą raz obraną. Tylko w jednem miejscu czy drugiem szanowny pisarz nadał językowi swojemu zwrot cierpki, jak gdyby zamierzał tylko najbliższym powiernikom doręczyć tę pracę; obcy mógłby zupełnie zrozumieć coś, co niewątpliwie przez myśl szanownemu pisarzowi nie przeszło, kiedy np. powtarzał cierpkie słowa Greko-Melchitów.

Ks. K C.

[1] *Przegl. Pow.* t. LXXIII, str. 275.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NAJNOWSZA ENCYKLIKA W SPRAWIE WYCHOWANIA KLERU.

W uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, roku ubiegłego pojawiła się encyklika do biskupów włoskich w sprawie wychowania kleru i wypełniania świętego urzędu. Sprawa to nader doniosła, bo od niej w przeważnej części zależy przywrócenie życia chrześcijańskiego pomiędzy ludem. To też Leon XIII, którego wszystkie starania przez cały okres długiego panowania zmierzały do ułatwienia i uskutecznienia powrotu ludzkości na łono chrystyanizmu, nie szczędził zabiegów, jak sam wyznaje, aby „duch kapłański zachował się zawsze nieskażony i żywy". Gdy z postępem czasu „żądza nierozważnych nowości" wkradła się do kleru, i pod pozorem zastosowania zasad religii katolickiej do ducha i postępu czasu, owładnęła także sposobem zapatrywania się na sposób i kierunek wychowania przyszłych kapłanów, nie mógł już w trosce o dobro Kościoła zamilczeć Ojciec św., i oto w podobny sposób, jak w okólniku do kleru francuskiego z dnia 8 września 1899, i teraz potępia te zgubne dążenia, wskazuje cel, normę i sposób wychowywania przyszłych lewitów, żądzę nowości zamyka w właściwych granicach, dozwalając jej przystępu tylko o tyle, o ile tego dozwalają zasady religii i nieuprzedzonego rozumu.

Wychodząc z założenia, że „kapłaństwo katolickie“ przez swój współudział w wiekuistem kapłaństwie Boga-Człowieka, przez posłannictwo pracy około zbawienia dusz, wciąż trwające aż do końca świata, a opierające się na nadprzyrodzonych środkach i przepisach Boskich, „nie jest instytucyą, któraby się mogła zastosowywać do niestałości przekonań i systemów ludzkich“, ale wyższem nad wszelkie ziemskie, Boskiem nie ludzkiem ustanowieniem, wnosi papież, że „różnica i rozdział“ między wychowaniem świeckiem a kościelnem „muszą zostać niezmienne i w naszych czasach“, a przeciwne dążenia uważać należy za potępione przez te same świadectwa Pisma św. i tradycyi, które wywodzą właściwe pojęcie kapłaństwa chrześcijańskiego. Zmian, „które czynią działalność kleru dla społeczeństwa, wśród którego żyje, skuteczniejszą“, a więc „większego i staranniejszego wykształcenia“, otwarcia szerszego pola kapłańskiej pracy, Leon XIII nie potępia, ale przeciwnie zalecał je niejednokrotnie i pochwala obecnie; występuje tylko przeciw tym nowościom, które przynoszą uszczerbek lub szkodę samej istocie kapłana. Po wszystkie czasy trzech głównie przymiotów domagają się od kapłana zasady wiary: „biegłości w nauce rzeczy świętych i boskich“, „pobożności“, dobrego własnego przykładu. „Ozdoby przyrodzone i ludzkie“ mają „na powołanie kapłańskie wpływ tylko drugorzędny i względny“. W należytych granicach potrzebami teraźniejszych czasów kler zajmować się powinien, ale z drugiej strony nie ustępować ale opierać się musi dzielnie teraźniejszemu zepsuciu. Słowa encykliki przestrzegają i wyrażają obawę głównie przed wtargnięciem pomiędzy duchownych naturalizmu, „który nadyma umysły i buntuje przeciwko wszelkiej powadze, który upadla serca i zwraca je do gonienia za dobrami znikomemi z zaniedbaniem wiecznych“.

Z jakiego więc punktu zapatrywać się należy na sposób i kierunek wykształcenia i wychowania kleru? Jak je uregulować, aby zmiany potrzebne i korzystne nie pociągnęły za sobą nowych a zgubnych prądów i wpływów, słowem, jak zastosować prowadzenie seminaryów do potrzeb i wymagań obecnej epoki bez zarażenia ich jadem nowoczesnej niewiary i zepsucia. Od-

powiedź na pierwsze pytanie czerpie encyklika z uzasadnionego powyżej nauką objawioną pojęcia kapłaństwa katolickiego. „Nie do ludzkich urzędów", ale do „posłannictwa sług Chrystusowych i szafarzy tajemnic Bożych" przygotowywać się mają wychowankowie seminaryów duchownych. Stąd łatwo wysnuć odpowiedź na drugie pytanie, dotyczące normy wykształcenia kleru. Co „dobre i pożyteczne" pomiędzy nowemi metodami, czego i jak w szczególności uczyć się mają alumni, wskazał Leon XIII w wspomnianej już instrukcyi do kleru francuskiego i na nią też powołuje się niniejsza encyklika.

Plan wychowania przyszłych sług ołtarza zakreśla najdokładniej encyklika z 8 września 1899 r.: Wychowanie i wykształcenie kapłanów powinno być długie i staranne, bo i urząd ich wzniosły i zadanie trudne. Chwali więc Ojciec św. zbożne urządzenia „szkół kapłańskich" po wsiach zwłaszcza, gdzie pod kierunkiem proboszczów kształcą się już od wczesnej młodości ci, których usposobienie do modlitwy i pobożności przy skłonności do pracy umysłowej dozwala przypuszczać, że z czasem obiorą powołanie kapłańskie. W t. zw. małych seminaryach, które są niejako drugim szczeblem na tej drabinie wiodącej do święceń kapłańskich, zaleca papież wychowawcom i kierownikom młodzieży, aby obok wykształcenia naukowego przedewszystkiem zwracali swą uwagę i starania na dusze swych wychowanków i na pilne strzeżenie cennej łaski powołania Bożego przed niebezpiecznymi wpływami zewnętrznymi czy wewnętrznymi, tem szkodliwszymi przy słabości i niedoświadczeniu młodego wieku. Zasadnicze więc, a nieodzowne usposabianie młodych umysłów do cnót i ducha kapłańskiego, to pierwszorzędne zadanie wychowawców i nauczycieli małych seminaryów, według tej myśli przewodniej należy też pokierować planem nauk. Wprawdzie uznaje encyklika potrzebę zastosowania się do planu nauk szkół rządowych celem osiągnięcia stopni uniwersyteckich wymaganych na posadach nauczycielskich, wprawdzie zaleca nawet usilnie przygotowanie sobie wszędzie pewnej liczby kapłanów, wykształceniem swojem nie ustępujących wcale uczonym świeckim, jednak domaga się wyraźnie, aby, obok tych wyjątkowych wypadków, ogólny plan nauk zastosowany był do metody, która wykształciła tylu wybitnych nauką i świętością życia mężów ubiegłych wieków. Więc zaleca papież w pierwszym rzędzie naukę języków i literatury, przedewszystkiem literatury i języków klasycznych; pierwsze posłużą do skutecznego rozsiewania i obrony wiary św., drugie ułatwią poznanie arcydzieł literatury kościelnej, a zarazem źródeł nauki objawionej. Doskonałe władanie językiem łacińskim nazywa encyklika kluczem do nauki kościelnej.

W właściwych, t. zw. „wielkich seminaryach" duchownych przedewszystkiem chronić się należy przed zgubną filozofią, która „z prawdzi-

wej filozofii tylko nazwę zachowała", a „obalając podstawę wszelkiego poznania ludzkiego, prowadzi logicznie do powszechnego sceptycyzmu i niewiary". Pod pozorem usamowolnienia rozumu ludzkiego z niewoli uprzedzenia i illuzyi, fałszywa ta filozofia odmawia człowiekowi prawa twierdzenia czegoś, czego nie zdobył własnem spostrzeżeniem czy doświadczeniem, a wskutek tego bezwzględnym swoim subjektywizmem druzgocze i usuwa podstawy i pewniki, na których metafizyka opiera swe dowody istnienia Boga, nieśmiertelności duszy, rzeczywistego istnienia świata zewnętrznego.

Nie poprzestając na ostrzeżeniu przed fałszywą nauką, wchodzi Ojciec św. w szczegóły planu nauk w seminaryach. Na polu wiedzy fizycznej i nauk przyrodniczych, przy obecnym, olbrzymim postępie niepodobna zapuszczać się w niezliczone ich zastosowania do rozlicznych gałęzi przemysłu ludzkiego. Wystarczy poznać najgłówniejsze zasady i ostateczne wyniki tej wiedzy o tyle, aby módz skuteczną dać odpowiedź na dotyczące zarzuty przeciw nauce objawionej. Następnie najmniej dwuletnie studyum filozofii dopomoże do łatwego oryentowania się w sofistycznych często zarzutach przeciwników Kościoła, a z drugiej strony posłuży do biegłości w rozumowaniu i wyciąganiu trafnych wniosków. To są niejako nauki przygotowawcze.

Właściwym przedmiotem wykształcenia kapłańskiego to teologia dogmatyczna i moralna, nauka Pisma św., historyi kościelnej i prawa kanonicznego. Pogłębianie tych przedmiotów niema się kończyć z dniem opuszczenia seminaryum, ale trwać przez całe życie kapłana. W zakresie teologii dogmatycznej zaleca encyklika „Summę" św. Tomasza, której metoda i pierwszorzędne rozdziały mają być przedmiotem wykładów. Wychowankom seminaryów poleca częste czytanie Katechizmu soboru Trydenckiego.

W wykładzie Pisma św. wystrzegać się należy przedewszystkiem tych poglądów, które wiodą do zupełnego podkopania charakteru nadprzyrodzonego i dogmatu natchnienia Ksiąg świętych. Zasady krytyki katolickiej, zawarte w dziełach Ojców Kościoła i soborów, podaje encyklika *Providentissimus Deus*. Wykłady historyi kościelnej powinny, starannie unikając fałszów i uniewinnień, przedstawić prawdziwe zdarzenia jako jeden fakt dogmatyczny, przekonywujący dowód boskiego założenia i posłannictwa Kościoła. Wreszcie dokładna znajomość prawa kanonicznego usuwa wiele błędnych przekonań o władzy Kościoła, jego widomej Głowy i biskupów.

Ponieważ słuszne względy domagają się czasem uczęszczania kleru na publiczne uniwersytety, przestrzegając przed niebezpieczeństwem grożącem alumnom w wszechnicach włoskich, wymaga encyklika dokładnego zachowania przepisów kongregacyi biskupów i zakonników (z 21 lipca 1896 i 21 stycznia 1902), tak co do warunków przypuszczania do tych studyów

i zachowania się na uniwersytetach, jak co do samej pracy. Przypomina również papież instrukcyę kongregacyi biskupów i zakonników (z 13 lipca 1894) w sprawie służby słowa Bożego i żąda jej pilnego przestrzegania, ganiąc opieszałość w tej mierze, równie jak w pracy w konfesyonale, i brak odpowiedniej znajomości teologii moralnej u spowiedników.

Nie tylko ku sprawie wykształcenia kleru baczną zwraca uwagę Leon XIII. Karność i sposób wychowania w seminaryach również są przedmiotem jego pasterskiej troski i pieczołowitości. Przypomina zlecenie soboru Trydenckiego, aby takich tylko przyjmować do seminaryów, „którzy rokują uzasadnione nadzieje, że się chcą na zawsze poświęcić służbie kościelnej“. Obcowania kleryków z młodzieżą, nie zamierzającą wstąpić do stanu duchownego, tylko z ważnych przyczyn, z zastrzeżeniem i do czasu dozwalać można; oddalać z seminaryów należy okazujących niezgodne z powołaniem kapłańskiem dążności, i największej używać ostrożności w dopuszczaniu do święceń. Od kierowników i nauczycieli, a zwłaszcza od przewodnika młodzieży w seminaryum duchownem wymaga Ojciec św. „przykładu życia ze wszech miar kapłańskiego“, „niepospolitej roztropności i niestrudzonej troskliwości“. Przewodnik młodzieży przedewszystkiem wpajać i pielęgnować powinien w wychowańcach pobożność, „ochraniać młodzież od tego zgubnego błędu, dosyć powszechnego, t. j. żeby się nie dała w ten sposób porwać zapałowi do nauk, iżby już przy tem zapomniała o obowiązku własnego postępu w mądrości świętych“.

Już po opuszczeniu seminaryów, młodych kapłanów nie należy pozostawiać „bez przewodnika wśród pierwszych trudów“, ale wspierać ich doświadczeniem starszych, „ustalających w nich zapał, roztropność i pobożność“, „ćwiczeniami akademickiemi lub konferencyami“, rozszerzającemi ćwiczenie się w znajomości nauk świętych.

Nakoniec dodaje Leon XIII, że powyższe uwagi i zlecenia nie przeszkadzają wcale poleconej przezeń działalności społecznej kleru, ponieważ przez wskazane zasady „strzeże się tego, co powinno być tegoż działania duszą i życiem“. Powtarza

wezwanie, „aby kler szedł pomiędzy lud chrześcijański, otoczony zewsząd zasadzkami i wszelkiego rodzaju zdradliwemi obietnicami, uwodzony mianowicie przez socyalizm do odstępstwa od wiary praojców“; ale ta działalność kleru zawsze ma być poddaną powadze zwierzchników kościelnych, bo w przeciwnym razie wyniknie zamięszanie na szkodę sprawy, której się ma bronić przez tęż akcyę społeczną. „W tym celu pragniemy, żeby kandydaci stanu duchownego pod koniec swego wychowania w seminaryach byli odpowiednio obznajomieni z pismami apostolskiej stolicy, które dotyczą kwestyi socyalnej i demokracyi chrześcijańskiej, powstrzymując ich zresztą... od brania wszelakiego udziału w ruchu niekościelnym. Wyświęceni następnie na kapłanów, niech się zwrócą z gorącym zapałem do ludu, który był zawsze przedmiotem najmiłościwszej troski Kościoła. Wyrywać synów ludu z nieznajomości spraw duchowych i wiecznych, a z miłosną troskliwością prowadzić ich na drogę życia uczciwego i cnotliwego; utwierdzać dorosłych w wierze, rozpraszając przeciwne przesądy i umacniając ich w praktykach życia chrześcijańskiego; popierać pomiędzy świeckiem społeczeństwem katolickiem te instytucye, które są uznane jako prawdziwie skuteczne do poprawy moralnej i materyalnej ludności; bronić przedewszystkiem zasad sprawiedliwości i miłości ewangelicznej, w których znajdują słuszne umiarkowanie, wszelkie prawa i obowiązki społecznego życia; takie jest w głównych zarysach szlachetne zadanie ich społecznej działalności. Wszelako zawsze sobie uprzytomnić trzeba, że nawet w pośród ludu powinien kapłan zachować nieskazitelny swój dostojny charakter sługi Bożego, jako postawionego na czele braci, przedewszystkiem ‚dla ich dusz‘ (S. Greg. M. Regula Past. P. II, c. VII). Jakikolwiek sposób zajmowania się ludem ubliżający godności kapłańskiej, szkodzący obowiązkom i karności kościelnej, musiałby być stanowczo zganiony“.

Głos Leona XIII w sprawie wychowania i wykształcenia duchowieństwa tchnie miłością i troskliwością o dobro całego Kościoła, a nawet poszczególnych jednostek. W najdokładniejszych niemal szczegółach wykończony plan nauk kleru, kierunek

wychowania, zaznaczone i potępione błędy i fałszywe zapatrywania. Na szczególniejszą uwagę zasługuje, dosłownie też przytoczony, ustęp o społecznej działalności duchowieństwa katolickiego. Lepiej niż ktokolwiek rozumie, gorąco współczuje z nędzą i opłakanym stanem ludu chrześcijańskiego, więc na to rozległe pole działalności katolickiej wysyła papież sługi Chrystusowe, aby jałową rolę użyźnili, zasiali naukę zbawczą. Ale praca ta konieczna jest zarazem niebezpieczną, jeżeli kto do niej przystępuje nie zaopatrzony, lub pracuje nie na właściwym sobie gruncie. Skutecznie zapobiega temu Ojciec św.; pierwsze usunie zastosowanie jego zleceń w sprawie wychowania kleru, drugiego uniknie kapłan, poddając, wedle tylokrotnych a tak usilnych napomnień papieskich, swą pracę posłuszeństwu, i powadze swego biskupa. Praca kapłańska w ten sposób zastosowana do postępu czasu, do potrzeb obecnej doby, a duch kapłański pozostaje zawsze ten sam niezmienny, jakiego istota kapłaństwa katolickiego, w myśl Boskiego Założyciela, wymaga.

AKCYA PRZECIWROZWODOWA WE WŁOSZECH STAJE SIĘ KWESTYĄ POLITYCZNĄ.

Nietylko jako miejsce siedziby papieża zwracają Włochy obecnie na siebie powszechną uwagę. Gdy z jednej strony wzrasta wciąż niebezpieczeństwo uchwalenia rozwodowej ustawy w parlamencie, z drugiej znów wzmaga się przeciwny jej prąd w społeczeństwie katolickiem. O jednem i drugiem donosił już *Przegląd*[1]. Obecnie odezwa prezydenta *dell'Opera dei Congressi Cattolici* odsłania zamiary i sposoby skutecznego nowego oporu stronnictwa katolickiego przeciw coraz bardziej zagrażającemu niebezpieczeństwu ustawy rozwodowej. Zaznaczywszy pokrótce historyę jednogłośnego oburzenia i protestu całego narodu przeciw dotyczącemu wnioskowi rozwodowemu dwóch posłów socyalistycznych Berenini'ego i Borciani'ego, przypomina Grosoli, że już wtenczas celem zabiegów katolików było, aby rządowi jasno wykazać rzeczywistą wolę narodu, zwrócić uwagę na smutne doświadczenie, jakie odniosły inne państwa ze skutków ustawy

[1] Listopad 1902, t. LXXV, str. 121 i n.

rozwodowej, a przedewszystkiem na szkodliwość i przewrotność ustawy rozwodowej wobec zasadniczych pojęć o świętości i nierozerwalności węzła małżeńskiego. Skutkiem tych starań było jasne przekonanie o świętości i konieczności nierozerwalnego związku rodziny, wykluczenie bezwinnej nieświadomości w obozie przeciwnym, a wreszcie oczywisty dowód, że jeżeli prawa państwa konstytucyjnego mają odpowiadać rzeczywistym potrzebom ludności, nie mogą się sprzeciwiać wierze, tradycyi i słusznym pragnieniom narodu. Dowiodło tego niezliczone mnóstwo podpisów na adresie do parlamentu. Mimo to niebezpieczeństwo jest teraz jeszcze większe. Co było tylko projektem jednego stronnictwa, to ma być teraz projektem ministeryalnym. Nie wchodząc w przyczyny tego postępku rządu, zapatruje się Grosoli na ustawę rozwodową, jak przedtem, jako na uwłaczającą religii obrazę, zamach na spokój rodziny, na moralność ludu, a przez wykroczenie przeciw religii i moralności jako na podkopywanie pomyślności i szczęścia narodu całego. Nie można więc upajać się odniesionem zwycięstwem i zasypiać sprawę; agitacya wzróść jeszcze musi, bo i niebezpieczeństwo wzrosło. Poprzedni opór narodu powstrzymał zamach nieprzyjaciół, obecny musi być jeszcze silniejszy, musi posługiwać się wszystkimi dozwolonymi prawem środkami. W szczególności należy usunąć zamięszanie pojęć o małżeństwie, które wykorzystują i nadużywają nieprzyjaciele; jasne poznanie nierozerwalności węzła małżeńskiego powinny szerzyć liczne konferencye i rozprawy dziennikarskie; jasno przedstawić trzeba wolę ludu przez powzięte na zwołanych ku temu celowi zgromadzeniach publicznych uchwały, które następnie odesłane być mają do prezydyum parlamentu; usunie się przez to ostatnią wymówkę i wykręt, oparty na rzekomej nieznajomości woli i pragnień ludu. „Przedewszystkiem — woła nakoniec Grosoli — przypomnijmy sobie, żeśmy chrześcijanie, módlmy się usilnie, prosząc Boga o odwrócenie od naszej już i tak nieszczęśliwej ojczyzny większego jeszcze zła i ciosu, łączmy się silnie z klerem, okazujmy należytą uległość i wierność listom pasterskim i wezwaniom duchowieństwa“.

Nic dziwnego, że Zanardelli'ego, który *per fas et nefas* chce

przeprowadzić ustawę rozwodową, oburza do żywego agitacya katolicka. Przypomina sobie z pewnością jej wpływ niedawny i skutki w tej samej sprawie. Więc usiłuje wmówić w naród, że godność państwa wymaga przeprowadzenia dotyczącej ustawy, że wszelka agitacya przeciwrozwodowa jest nieprawną, klerykalną, a przez to samo niepatryotyczną. Powtarza to ustawicznie i wpaja w poszczególnych posłów i w dzienniki. Tak np. pisze pouczona przezeń *La Tribuna:* „Agitacyę przeciwrozwodową czeka nieuchronna zagłada i zupełna porażka, nie ostoi się ona przed prawem, przez samo niezachowanie miary roztropności gotuje sobie zgubę, bo kwestyę czysto społeczną i obyczajową przemieniła w kwestyę polityczną. W obecnym stanie rzeczy, pytanie, czy się broni sprawy rozwodu lub przeciw niej walczy, równoznacznem jest z pytaniem: Czy się trzyma stronę Włoch, czy Watykanu?“

Widzimy więc, że sprytny polityk Zanardelli, przekręcając fakta, usiłuje przenieść walkę na teren dlań wygodniejszy, na którym z większem prawdopodobieństwem spodziewać się może zwycięstwa. Zarzut niepatryotyzmu po stronie przeciwników, aureola chwalebnej obrony godności państwa i ojczyzny po stronie zwolenników rozwodu, może łatwo przechylić szalę zwycięstwa na stronę tych ostatnich. Ale czy uda się wpoić to przekonanie w naród? Czy przeciwnie, baczniejszy umysł nie spostrzeże się na sofistycznym wywodzie zarzutu niepatryotyzmu z zarzutu klerykalizmu? A z drugiej strony, czy tak długo usypiana akcya katolicka po jednym śmielszym kroku znów nie popadnie w długą, apatyczną bezwładność i bezczynność? Przyszłość przyniesie nam odpowiedź na te pytania.

Ks. Karol Krokoszyński.

Wyniki ostatniego popisu ludności w Austryi z dnia 31 grudnia r. 1900.

(Dokończenie).

Przechodzimy do żydowszczyzny. Uderza tu ogromne zmniejszenie się przyrostu rzeczywistego w okresie ostatnim wobec wielkiego przyrostu w okresie poprzednim. Wedle statystyki urzędowej zeszedł on z 137 911 dusz = 13·72% ogólnej liczby Żydów z końca roku 1880 na 81 594 dusz = 7·14% ogólnej liczby z końca roku 1890. Gdyby przyrost Żydów w okresie ostatnim doszedł był choćby tylko 9·44-procentowego średniego przyrostu całej ludności austryackiej, popis ostatni powinienby był wykazać 1 251 233 Żydów na całą Austryę; a ponieważ wykazuje tylko 1 224 899, przeto niedobór wynosi 26 334 dusz. Ale niedość tego. Statystyka urzędowa mówi, że w dziesięcioleciu od końca r. 1890 do końca r. 1900 było o 186 352 żyworodków żydowskich więcej niż Żydów zmarłych, czyli że przyrost naturalny wynosił 16 30%; wedle tej miary powinnoby być Żydów 1 329 657, a więc ubytek wynosi 104 758 głów. I jeszcze niedość tego. Statystyka urzędowa stwierdza ten ubytek w odniesieniu do wszystkich krajów austryackich jako wynik sumaryczny, o samej zaś Galicyi mówi, że wywędrowało 108 949 Żydów, podczas gdy polem niejakiego napływu żydowskiego jest — Bukowina! A więc Galicyę Żydzi poprostu tłumnie opuszczają, ale sąsiednia Bukowina, która i tak już ma więcej Żydów niż Galicya [1], jest polem niejakiego napływu żydowskiego. Coś podobnego tylko w biurze powiedzieć można z całą powagą nieomylności, my atoli stajemy tu wobec zagadki, i to nie po raz pierwszy. Już w roku 1898 [2] w artykule pod napisem: „Ruch ludności w Galicyi w r. 1895“ mówiliśmy o zagadkowości Żydów galicyjskich w statystyce; dziś znowu przypominają się nam słowa doświadczonego burmistrza stanisławowskiego, p. Kamińskiego, który po popisie ludności z r. 1880 powiedział, że tej sztuki nikt nie dokaże, żeby Żydów galicyjskich ująć w dokładną statystykę. W artykule owym wykazaliśmy, że bajką jest przysłowiowa płodność Żydów jak królików, gdyż owszem noworodków (ściślej: żyworodków) żydowskich procent jest mniejszy niż chrześcijańskich. Zdawało się atoli na chwilę, że tę mniejszą pło-

[1] Wedle popisu ludności z dnia 31 grudnia roku 1890 miała Galicya 6 607 816 dusz ludności, a w niej 772 213 Żydów, t. j. 11·69%, Bukowina zaś 646 591 dusz, a między niemi 82 717 Żydów, t. j. 12·79%.

[2] *Przegląd Powszechny* LIX, zeszyt 176, z sierpnia.

dność wynagradza Żydom zdumiewająca żywotność, czyli o wiele mniejsza śmiertelność niż pomiędzy chrześcijanami; a zdawało się tak znowu wedle dat statystycznych. Ale na podstawie dat tej samej statystyki urzędowej co do Żydów bukowińskich wykazaliśmy, że i co do żywotności Żydzi nie są nadludami. Stąd też albo dziwną pomyłką, albo śmiałem fałszerstwem w celach wielce praktycznych wydał się nam ogromny przychowek Żydów galicyjskich, t. j. przewyżka liczby żyworodków nad liczbę zmarłych. Artykuł ów jednak tyczył się jednego tylko roku (1895), więc może przypadek jakowyś spłatał statystyce figla. Nie, nie przypadek i nie figiel to był; albowiem statystyka z lat dziesięciu, z okresu, w którego sumie dat poszczególnych zacierają się i nikną przypadkowe pomyłki i usterki jednokrotne, pokazuje nam zupełnie to samo. Jest to więc system fałszerski. Ale czyż system ten panuje tylko w Galicyi? Niekoniecznie; ale na karb Galicyi, jako największego z austryackich krajów zżydowiałych, mogą, przy rtęciowej ruchliwości Żydów, iść największe fałszerstwa innych krajów z najmniejszem niebezpieczeństwem wykrycia; na to jest solidarność kahałów, nie znająca granic krajowych, licząca się naturalnie tylko z przeciętnym rozumem ludzkim, przedewszystkiem z biurokratycznym, któremu formalistyka wszystko, sama istota rzeczy nic nie znaczy. Aby należycie osądzić daty statystyczne co do Żydów, prosimy wczytać się z całą uwagą w następujące obrachunki porównawcze.

Wedle popisu ludności z dnia 31 grudnia r. 1890 cała Austrya miała 23 895 413 dusz ludności; aż do dnia 31 grudnia r. 1900, t. j. w dziesięciu latach, urodziło się żyworodków 9 301 351 = 38·93 % ludności pierwotnej, umarło zaś w tymże czasie 6 647 615 osób=27·82 %; a gdy liczbę zmarłych strącimy z liczby żyworodków, otrzymamy 2 653 736 dusz przychowku = 11·11 %. W owej ogólnej liczbie ludności było Żydów 1 143 305; w rzeczonem dziesięcioleciu było wedle statystyki urzędowej żyworodków żydowskich 414 751 = 36·28% pierwotnej liczby Żydów, a więc płodność Żydów okazuje się mniejszą niż całej ludności; w tymże czasie umarło Żydów 228 399 = 19·98% pierwotnej liczby Żydów, a więc śmiertelność między Żydami okazuje się tu ogromnie mniejszą niż u ludności wogóle; gdy zaś liczbę zmarłych Żydów strącimy z liczby żyworodków żydowskich, otrzymamy przychowek żydowski, czyli przyrost naturalny w liczbie 186 352 dusz = 16·30%. Stają tedy naprzeciwko sobie: 11·11-procentowy przyrost naturalny całej ludności, a 16·30-procentowy przyrost Żydów, mimo ich mniejszej płodności. Ale liczby te nie wyrażają kontrastu jak się należy; albowiem

Żydzi figurują w obrachunku powyższym, przyjętym przez urzędową statystykę, jako część ludności wogóle, a więc rezultaty rachunkowe, odnoszące się do całej ludności, są zależne od liczb odnoszących się do Żydów. Chcąc kontrast ściśle uwydatnić, trzeba przeprowadzić rachunek osobno nietylko co do Żydów, jak to powyżej się stało, lecz i co do ludności nieżydowskiej, t. j. trzeba przeprowadzić go po strąceniu liczb żydowskich z liczb ludności całej, przeciwstawiając jedne drugim. W ten sposób otrzymamy:

ludności austryackiej w końcu r. 1890:
nieżydowskiej 22 752 108 dusz żydowskiej 1 143 305 dusz
żyworodków w dziesięcioleciu do końca r. 1900:
nieżydowskich 8 886 600 = 39·06% żydowskich 414 751 = 36·28%
osób zmarłych w temże dziesięcioleciu:
nieżydowskich 6 419 216 = 28·21% żydowskich 228 399 = 19·98%
a więc przyrostu naturalnego (przychowku):
nieżydowskiego 2 467 384 = 10·85% żydowskiego 185 352 = 16·30%

W tem racyonalnem przeciwstawieniu widzimy stosunek Żydów pod względem płodności jeszcze mniejszy, a pod względem żywotności jeszcze większy niż wedle powyższego obrachunku urzędowego. Powtarza się tedy tutaj, gdzie mowa o całej Austryi i o całem dziesięcioleciu, kubek w kubek to samo, co uderzało nas w artykule o ruchu ludności w samej tylko Galicyi w jednym tylko roku 1895. Ale i fałszywość tych dat sumarycznych co do Żydów uderzy nas odrazu, gdy poddamy je analizie wedle trzech gromad żydowskich: galicyjskiej, bukowińskiej i austryackiej poza Galicyą i Bukowiną. Dla krótkości i większej wyrazistości analizujemy tylko liczby procentowe. Otóż otrzymujemy:

	na Galicyę	na Bukowinę	na Austryę bez Galic. i Buk.
żyworodków żydowskich	40·80%	32·24%	25·32%
zmarłych Żydów	21·62 „	19·97 „	15·58 „
przyrostu naturalnego	19·18 „	14·69 „	9·74 „

z którymto przyrostem żydowskim zaraz porównajmy:

przyrost nieżydowski	9·63 „	11·63 „	11·25 „

Już samo porównanie trzech gromad żydowskich między sobą świadczy o fałszywości co najmniej liczb odnoszących się do Galicyi, chociaż i bukowińskie w porównaniu z austryackiemi poza Galicyą i Bukowiną wydają się bardzo podejrzanemi. Szczególnie różnica między galicyjsko-żydowskim a austryacko-żydowskim przyrostem naturalnym (19·18% a 9·74%) woła do nieba rządowego o pomstę na

Porównawcze zestawienie Galicyi, Śląska i Bukowiny pod względem wyznań jest następujące:

w końcu r.	w Galicyi było absolutnie	w %	na Śląsku było absolutnie	w %	na Bukowinie było absolutnie	w %
	katolików obrządku łacińskiego [1]					
1880	2 714 977	45·56	477 730	84·48	63 691	11·14
1890	2 997 430	45·21	510 692	84·32	72 389	11·20
1900	3 350 512	45·80	576 099	84·67	86 656	11·87
	katolików obrządku greckiego (unitów)					
1880	2 510 408	42·13	?		17 589	3·08
1890	2 790 449	42·23	?		19 810	3·06
1900	3 104 103	42·43	397	0·06	23 388	3·20
	schizmatyków bez Ormian-schizmatyków [2]					
1880	?		?		404 450	70·75
1890	?		?		450 773	69·71
1900	2 233	0·03	38	0·00	500 263	68·51
	protestantów, właściwie samych tylko luteranów [3]					
1880	36 672	0·62	78 915	13 97	13 265	2·32
1890	38 289	0·58	84 359	13·93	15 868	2·45
1900 [4]	40 004	0·55	91 264	13·41	18 383	2·52
	w Galicyi . . 45 331 protestantów = 0·62% ludności całej					
	na Śląsku . . 91 741 „ = 13·48 „ „ „					
	na Bukowinie 19 272 „ = 2·64 „ „ „					
	Żydów					
1880	686 596	11·52	8 580	1·52	67 418	11·79
1890	772 213	11·69	10 042	1·66	82 717	12·79
1900	811 371 [5]	11·09	11 988	1·76	96 150	13·17

[1] Tutaj Ormianie-unici nie są wliczeni, bo liczba ich z r. 1880 i 1890 w rozłożeniu według krajów nie jest nam znana. Wiadomo z jednego z przypisków poprzednich, że liczba ich, sama w sobie bardzo mała, coraz więcej maleje. Na Śląsku zresztą Ormian niema.

[2] Do Ormian-schizmatyków także stosuje się co powiedziano w przypisku poprzednim.

[3] Układ statystyki urzędowej nie pozwala nam objąć wszystkich protestantów ani wedle okresów czasu, ani wedle krajów. Kalwinów, choć stanowią część dość znaczną, musimy pominąć dla braku dat z pewnych okresów czasu i krajów, o czem mówiliśmy już powyżej.

[4] Z końca roku 1900 liczby odnoszące się do pomniejszych sekt protestanckich są w publikacyi urzędowej podane. Pomijając hernhuterów, menonitów i podobne drobiazgi, uzupełniamy liczby tegoż roku tylko datami odnoszącemi się do kalwinów. Wyznawców tej sekty było: w Galicyi 5 327, na Śląsku 477, na Bukowinie 889. Dodając te liczby do liczb luteranów, otrzymamy na koniec r. 1900:

[5] W halickim okręgu sądowym (powiatu stanisławowskiego) znajdujemy 3 681 karaitów, których statystyka urzędowa do Żydów, czyli, jak

Przypatrzmy się jeszcze stosunkom zachodzących co do wyznań w niektórych miastach.

Wiedeń w r. 1900 miał katolików 1 464 497 (między nimi 85 obrządku ormiańskiego i 2521 obrządku greckiego), protestantów luterskich i kalwińskich 54 364, Żydów 146 926. W r. 1890 wedle *Stat. Jahrb. der Stadt Wien* było 1 197 276 katolików, 41 943 protestantów, 118 495 Żydów. Dla porównania zestawiamy liczby procentowe:

	katolików	protestantów	żydów	
w końcu r. 1890	87·74%	3·07%	8·68%	ludności miasta
„ „ „ 1900	87·43 „	3·25 „	8·77 „	„ „

z czego wniosek, że napływ protestantów i Żydów do Wiednia jest stosunkowo większy od napływu katolików, choć, co prawda, apostazye także przyczyniają się do zmniejszenia procentu katolickiego.

Co do miast następujących nie mamy materyału do takiego zestawienia porównawczego; musimy poprzestać na przytoczeniu dat z końca r. 1900.

Praga czeska miała 178 209 katolików = 88·40%, protestantów 3750 = 1·86%, Żydów 18 986 = 9·42% mieszkańców.

W Tryeście było katolików 169 964 = 95·11%, schizmatyków 1425 = 0·80%, protestantów 1792 = 1·00%, Żydów 4954 = 2·77% — w czem dowód, że i w Austryi nie potrzeba protestantów ani Żydów, aby mieć wielki przemysł i wielki handel; Żydzi owszem odznaczają się zmysłem więcej kramarskim i lichwiarskim niż wielkohandlowym, którego podwaliną jest rzetelność.

Gradec styryjski miał katolików 131 233 = 95·04%, schizmatyków 680 = 0·49% protestantów 3598 = 2·87%, Żydów 1620 = 1·17%. Życzylibyśmy Gradcowi Żydów krakowskich i lwowskich, a Krakowu i Lwowu handlu i przemysłu gradzkiego.

Brno morawskie miało katolików 98 463 = 90·05%, protestantów 2467 = 2·26%, Żydów 8238 = 7·53%.

Kraków miał katolików 64 948 (między nimi 727 obrz. greck., 12 obrz. orm.) = 71·12%, schizmatyków 38 (między nimi 1 orm.), pro-

---

ona się wyraża, do Izraelitów zalicza, choć karaici wcale nie są Izraelitami. Są to wyznawcy prawdziwego mozaizmu, choć nie szczepu semickiego, podczas gdy u Żydów mozaizm ustąpił talmudyzmowi lub ateizmowi zamaskowanemu pewnemi pozorami. Rzecz dziwna, że w owym okręgu sądowym statystyka nie wykazuje obok karaitów ani jednego rzeczywistego Żyda.

testantów 655 = 0·72%, Żydów 25 670 = 28·11%. Porównanie Krakowa z Lwowem jest dość ciekawe. Lwów miał katolików 112 155 (między 29 327 obrz. greck., 231 obrz. orm.) = 70·15%, schizmatyków 536 (między nimi 55 orm.), protestantów 2833 = 1·77%, Żydów 44 258 = 27·68%. Otóż Lwów jest stosunkowo nieco mniej katolicki od Krakowa, co z względu na więcej wschodnie położenie Lwowa, t. j. na większą nasiedziałość Żydów na wschodzie, *a priori* nie zadziwia; ale właśnie z tego względu powinnoby się przypuszczać, że katolickie *minus* staje się *plus* żydowskiem, a tak nie jest; albowiem Lwów jest tak samo mniej żydowskim od Krakowa, jak jest mniej katolickim; natomiast jest więcej protestanckim. W następnym rozdziale pracy niniejszej pokaże się też, że Lwów jest o wiele więcej niemieckim od Krakowa; w czem dowód, że nietylko nad Notecią, lecz i nad Pełtwią niemczyzna a protestantyzm stanowią przypadające do siebie pojęcia.

Najciekawsze pod względem stosunku wyznań są Czerniowce— siedziba metropolity schizmatyckiego! Czerniowce są przedewszystkiem katolickie; w końcu roku 1900 miały katolików obrz. łać. 18 696, obrz. greck 7844, obrz. orm. 240, razem 26 780 = 39·60% swojej ludności; w drugim rzędzie stoją Żydzi w liczbie 21 587 = 31 92%; na trzeciem dopiero miejscu znajdują się schizmatycy w liczbie 15 656 (między nimi 35 orm.) = 23·15%: możnaby więc mówić o dyasporze schizmatyckiej. Protestantyzm jest w Czerniowcach o wiele liczniej jeszcze reprezentowany, niż w Lwowie: 3546 dusz = 5.24%. W Lwowie i w Czerniowcach mamy etapy *der deutschen Cultur im Drange nach Osten;* chluba to dla Krakowa, że „kultura“ musiała go przeskoczyć.

W związku z tą uwagą niech nam będzie wolno uratować od prześlepienia lub zapomnienia ustęp, którym prof. dr. Loserth w *Neue freie Presse* (z dnia 12 października r. 1902) kończy swą recenzyę książki: Georg Lösche: *Geschichte des Protestantismus in Österreich* (Tubinga i Lipsk, 1902, nakład firmy J. Mohr). Prof. Loserth mówi: „Barwny to obraz, który roztacza się przed oczyma naszemi w księdze Löschego. Wypada jeszcze tylko wspomnieć o starszych i nowszych rozsadnikach wiary ewangelickiej w Galicyi i Bukowinie. Trudny tam ich byt, który w miarę sił ułatwia im błoga działalność Towarzystwa imienia Gustawa Adolfa“ [1].

---

[1] „Es ist nach alledem ein farbenreiches Bild, das sich unseren Augen in Loesche's Buche entrollt. Es wäre nur noch der älteren und

III. Ludność wedle języka.

Statystyka ludności wedle języka jest zbudowana na ściślejszej podstawie niż statystyka ludności wedle wyznania. Podczas gdy pod względem wyznania zużyto jako materyał statystyczny liczby popisowe w całości, bez różnicy przynależności do Austryi czy do zagranicy, wyłączono z statystyki językowej wszystkie osoby, które w chwili popisu nie miały praw obywatelstwa austryackiego. Jest zaś tych osób liczba bardzo spora, mianowicie 517 903, czyli 1·98% (blizko pięćdziesiąta część) ludności popisowej. Gdy strącimy ją z 26 150 708 osób popisanych, otrzymamy 25 632 805 osób z prawami obywatelstwa austryackiego, które dla krótkości wyrażenia nazywać będziemy ludnością austryacką. Liczba ludności popisowej i kwota ludności nieaustryackiej w tejże liczbie byłyby oczywiście wcale inne, gdyby popis odbywał się około św. Jana, gdy πάντα ῥεῖ, a nie w wigilię Nowego roku, gdy zima i czas świąteczny trzyma wszystko w domu. Trzeba przyznać, że austryacki termin popisu jest najracyonalniejszy, równie jak i 10-letni okres popisowy. Tego terminu i takiego okresu trzymają się także Węgry, a nadto Belgia, Szwecya i Norwegia, Niderlandy (gdzie jednak rokiem popisowym jest przedostatni rok dziesięciolecia, a więc nie 1890 i 1900, lecz 1889 i 1899) i Hiszpania (gdzie ostatnie popisy odbyły się w roku 1887 i 1897); w innych państwach jest rozmaicie.

Ów sumaryczny stosunek ludności nieaustryackiej do popisowej (1·98%) jest w rozłożeniu na poszczególne kraje wielce niejednakowy, a ta niejednakowość jest im większa, tem ciekawsza. Przeprowadzamy tu obrachunek tylko co do tych miast i krajów, w których kwota nie-austryacka jest największa i najmniejsza, nadmieniając, że kraje z kwotą najmniejszą są zarazem te, które nas najwięcej obchodzą.

Stosunkowo najwięcej ludności nie-austryackiej jest w Tryeście, mianowicie 27 590 głów = 15·45% całej ludności miasta (wraz z okolicą). Na całem Pomorzu austryackiem (Tryest, Istrya, Gorycya) jest jej 44 169 = 5·84%. Ta kwota nie-austryacka składa się bardzo przeważnie z poddanych Królestwa włoskiego.

---

neueren Pflanzstätten des evangelischen Glaubens in Galizien und der Bukowina zu gedenken. Sie fristen dort schwer ihr Dasein, das ihnen der segensreich wirkende Gustav Adolph-Verein nach Kräften erleichtert".

Następuje Wiedeń z liczbą 177 675 głów ludności nie-austryackiej = 10·61% popisowej ludności miasta. W całej Dolnej Austryi jest 243 792 = 7·86%, w przeważnej części oczywiście z Rzeszy niemieckiej. W tej kwocie mieści się też niewątpliwie bardzo znaczna część protestantów wiedeńskich.

Gradec styryjski miał 14 407 dusz ludności nie-austryackiej = 10·43%; na całą Styryę przypada 43 169 dusz = 3·18%, niewątpliwie z Włoch, z Węgier i z Niemiec.

Opawa miała 1382 = 5·45%; całe Śląsko 16 682 = 2·45%, oczywiście z Niemiec i niewątpliwie przeważnie protestantów.

Na Kraków wypada nam 4843 = 5·30%; na Lwów 2916 = 1·82%; na całą Galicyę 31 236 = 0·43%.

W Czerniowcach było 1855 głów = 2·74%; na całej Bukowinie 6691 = 0·92%.

Podstawa statystyki ludności wedle języka jest ścieśniona ze względu na to, że statystyka ta ma służyć celom administracyjno-politycznym, te zaś polegają na uwzględnieniu językowych potrzeb własnej ludności austryackiej, podczas gdy osoby nie-austryackie powinny stosować się do tej ludności, wśród której przemieszkują lub chwilowo przebywają. Dlatego też w statystyce językowej znajdują się tylko rubryki dla austryackich języków krajowych. Osoby innych języków, jak Francuzi, Hiszpanie, Turcy i t. d. są zaliczone do języka panującego w miejscu ich pobytu. Austryackim językom krajowym przyznane jest prawo statystyczne we wszystkich krajach austyackich; tak np. język polski lub ruski ma prawo figurować w statystyce porówno z niemieckim w Dolnej Austryi, w Tyrolu i t. d., lub obok włoskiego w Tryeście, lub obok czeskiego w Czechach i t. d., a nawzajem wszystkie inne języki austryackie mają prawo figurować w statystyce obok polskiego i ruskiego w Galicyi. Tylko prawo statystyczne języka madjarskiego, jakkolwiek należy on do bukowińskich języków krajowych (ściślej: do języków „używanych“ na Bukowinie), jest ograniczone jedynie na Bukowinę, tak, że np. w Galicyi Madjarowie są zaliczani do języka polskiego lub ruskiego, w Dolnej Austryi do niemieckiego.

Jest to więc statystyka niezupełnie prawdziwa, lecz po części skonstruowana, sztuczna. Ale jeszcze więcej nieprawdziwą staje się przez to, że statystyka urzędowa nie chce wiedzieć o języku ojczystym lub rodzinnym, lecz wynalazła sobie „język pożycia powszedniego“ (*Umgangssprache*, co inni dziwnie tłómaczą przez „język potoczny“, nie

pomnąć, że język potoczny jest tylko przeciwstawiony językowi literackiemu, książkowemu). Ten „język pożycia powszedniego“ jest jakby stworzony na to, żeby Niemcom i po części Włochom nastręczyć sposobność do fałszerstw, nawet do zadawania gwałtu sumieniu narodowemu; i są tego przykłady stwierdzone, że z tej sposobności korzysta się w sposób brutalny, połączony nieraz z poprostu niesłychaną pomstą, gdy ludzie z charakterem oprą się gwałtowi [1]. Nie jesteśmy bynajmniej pewni, czy szczególnie też w armii i marynarce wojennej nie uprawia się fałszerstwa na wielką skalę z tego tytułu, że językiem komendy w armii jest niemiecki, w marynarce włoski. Są oficerowie i audytorowie Polacy, którzy i poza służbą przestawają z sobą z własnej woli tylko w języku niemieckim; takiego zaś zera dwunożnego, jakiem jest szeregowiec, nikt nie będzie pytał, do którego języka chce być zaliczonym.

Te uwagi posłużą czytelnikowi za wskazówkę w wytworzeniu sobie w ogólności sądu o prawdziwości liczb i stosunków, do których przedstawienia teraz przystępujemy.

Wymieniona powyżej suma ludności austryackiej w liczbie 25 632 805 głów dzieli się wedle języka jak następuje:

	w r. 1900 było osób	przyrost od r. 1890
języka niemieckiego	9 170 939	709 359 = 8·38%
czesko-morawsko-słowackiego [2]	5 955 397	482 526 = 8·82 „
polskiego	4 259 152	539 920 = 14·52 „
ruskiego	3 375 576	270 355 = 8·71 „
słoweńskiego	1 192 780	16 108 = 1·37 „
serbsko-chorwackiego [2]	711 380	66 454 = 10·30 „
włosko-ladyńskiego [2]	727 102	51 797 = 7·67 „
rumuńskiego	230 963	21 853 = 10·45 „
madjiarskiego	9 516	1 377 = 16·92 „

Przyrost całej ludności, którą tu austryacką nazywamy, t. j. ludności wszystkich języków, wynosi 2 159 749 głów, a więc w przecięciu wypadałoby na każdy język 9·20% przyrostu. Przyjmując ten

[1] Rzecz niniejsza napisana jest w listopadzie roku 1902, a podczas druku czytamy w krakowskim *Naprzodzie* z dnia 10 lutego 1903 (nr. 40) korespondencyę z Wiednia, której autor, zajęty przez czas przydłuższy w biurze statystycznem, opowiada, jak w Centralnej Komisyi statystycznej i w magistratach, szczególnie w wiedeńskim, opracowywano arkusze popisowe w duchu powiększenia liczby ludności niemieckiej.

[2] Całą odpowiedzialność za złożone nazwy języka autor rzeczy niniejszej pozostawia c. k. Centralnej Komisyi statystycznej.

przeciętny procent za miarę wzmagającego się lub opadającego znaczenia języka, ujrzymy jako wzmagające się języki: madjarski, polski, rumuński i serbsko-chorwacki, jako opadające: czesko-morawsko-słowacki, ruski, niemiecki, włosko-ladyński, a najwięcej słoweński. Gdyby tylko nie budziły się na nowo i nie rosły owe wątpliwości, które nasuwały się już powyżej w uwagach ogólnych. A właśnie ta głęboka depresya języka słoweńskiego jest dobitnym dowodem słuszności powątpiewania naszego.

Język niemiecki w stosunku do faktycznego przyrostu ludności krajowej kurczy się znacznie w Dolnej Austryi (szczególnie w Wiedniu), znaczniej w Krainie, jeszcze znaczniej na Śląsku, o wiele znaczniej na Morawie, a najbardziej w Galicyi, gdzie ma nietylko stosunkowy, lecz wprost absolutny ubytek. Nawet w krajach tak rdzennie niemieckich jak Górna Austrya, Salcburgia i Arulania przyrost osób języka niemieckiego niezupełnie dorównywa przyrostowi ludności krajowej. Natomiast przyrost ich przewyższa przyrost ludności krajowej bardzo nieznacznie w Czechach, znaczniej w Dalmacyi, o wiele znaczniej na Bukowinie, a najznaczniej w Styryi, w Karyntyi i na Pomorzu austryackiem. Otóż uderza tu kontrast: w Krainie, która jest rdzennie słoweńska, język słoweński rozwija się normalnie, niemiecki zaś cierpi na suchoty, tak samo jak w krajach niemieckich, a w otaczających ją krajach: w Styryi, w Karyntyi i na Pomorzu, gdzie ludność słoweńska jest nie sama, niemczyzna postępuje. Jak postępuje? Wiemy z doświadczenia dziesięcioletniego, że postępuje fałszerstwem, gwałtem i własnem renegactwem Słoweńców. Dziś więcej jeszcze niż kiedykolwiek niemczyźnie w krajach tych potrzeba fałszerstwa i gwałtu i przekupstwa; przypominamy tylko głośną sprawę gimnazyum celejskiego i cele gradzkiego Towarzystwa *Südmark*, szerzącego zarazę pruską w Styryi i w Karyntyi, a wspieranego nawet z funduszów krajowych. Ktoby zarzucił, że germanizacya statystyczna jest przecież tylko teoretyczna, a więc bez celu, temu przypomnimy, że statystyka językowa służy celom administracyjno-politycznym, że przeto za germanizacyą teoretyczną idą zarządzenia, rozporządzenia i urządzenia germanizujące praktycznie lub co najmniej krzywdzące ludność nieniemiecką w jej prawach.

Oprócz Niemców ma język słoweński nieprzejednanego wroga w żywiole włoskim. Język włoski, gdzie ściera się z niemczyzną (w Tyrolu), okazuje się słabszym od niej, gdzie atoli z słoweńszczyzną ma sprawę (na Pomorzu austryackiem, szczególniej w Tryeście), tam

bezwzględną brutalnością, gorszą od niemieckiej, zyskuje przewagę. Tak tedy język słoweński wzięty jest w dwa ognie, i tem tłómaczy się jego ogromna depresya statystyczna.

Tak samo, jak język słoweński w Tryeście, pogwałcony jest przez Włochów język chorwacki w Istryi. Obu językom, jednemu w Tryeście, drugiemu w Istryi, przypisuje statystyka bardzo znaczny ubytek absolutny; ale w Dalmacyi, gdzie żywioł włoski jest bez porównania mniej licznie reprezentowany niż w Tryeście i w Istryi, język chorwacki (z przymieszką serbską) rozwija się tak samo normalnie, jak język słoweński w Krainie. Dalmacyi, której ludność chorwacka (wraz z serbską) liczebnie góruje ponad ludnością chorwacką Tryestu i Istryi, język chorwacki, mimo pogwałcenia przez Włochów, zawdzięcza swoje w ogólności poważne stanowisko w statystyce; Kraina zaś, której ludność słoweńska stanowi mniejszą część całej ludności słoweńskiej, nie mogła ochronić języka słoweńskiego w całości od poniżenia statystycznego, będącego wyrazem fałszerstw niemieckich i włoskich, popełnionych w Styryi, w Karyntyi i w Tryeście.

Język czeski przyrostem swym w samych Czechach niezupełnie dotrzymuje kroku przyrostowi ludności krajowej, ustępując nieco językowi niemieckiemu, ale wynagradza to sobie na Morawie sowicie, a nawet już w Dolnej Austryi (szczególniej w Wiedniu), podczas gdy na Śląsku pozostaje prawie całkiem w równowadze. W Galicyi język czeski stosunkowo znacznie podrósł: z 5827 głów (w roku 1890) na 9014 głów, t. j. o $3187 = 54{\cdot}69\%$.

Przyrost języka polskiego w Galicyi, na Śląsku i na Bukowinie poznamy niebawem z porównawczego zestawienia tych trzech krajów. Tutaj nadmieniamy, że język nasz stosunkowo bardzo znacznie wzmógł się na Morawie: z 5039 na 15 560 głów. W Dolnej Austryi (prawie wyłącznie w Wiedniu) wykazano w r. 1890 tylko 2208 głów, w r 1900 4981; rozumie się, że obie liczby są wielce fałszywe; liczba Polaków w Wiedniu była i jest o wiele większa. W Czechach liczba Polaków podniosła się z 498 na 1915.

Co do języka ruskiego w Galicyi i na Bukowinie, poznamy daty z zestawienia porównawczego. Liczba Rusinów w Dolnej Austryi (prawie wyłącznie w Wiedniu) podniosła się z 333 na 1208 (obie liczby fałszywe); na Morawie w roku 1890 było ich bardzo niewielu, a w roku 1900 naliczono 387; w Czechach z niżej 300 podniosła się ich liczba na 1313.

Zestawiając daty porównawcze co do Galicyi, Śląska i Bukowiny,

nadmieniamy, że przyrost ludności krajowej z prawem obywatelstwa austryackiego w okresie od r. 1890 do r. 1900 wynosił w Galicyi 10·73%, na Śląsku 12·59%, na Bukowinie 12·61%, któreto liczby procentowe niech będą miarą przyrostu języków, który podajemy w tabelce następującej:

Języka tutaj wymienionego	było osób w r. 1890	było osób w r. 1900	przyrost absolutny	przyrost w %
	w Galicyi			
polskiego	3 509 183	3 988 702	479 519	13·66
ruskiego	2 835 674	3 074 449	238 775	8·42
niemieckiego . .	227 600	211 752	—15 848	—6·96
	na Śląsku			
polskiego	178 114	220 472	42 358	23·78
czeskiego	129 814	146 265	16 451	12·67
niemieckiego . .	281 555	296 571	15 016	5·33
	na Bukowinie			
polskiego	23 604	26 857	3 253	13·80
ruskiego	268 367	297 798	29 431	10·97
niemieckiego . .	133 501	159 486	25 985	19·46
rumuńskiego . .	208 301	229 018	20 717	9·95
madziarskiego. .	8 139	9 516	1 377	16·92

W Galicyi język niemiecki najgorzej wyszedł na ostatnim popisie ludności; nietylko nie ma przyrostu, lecz ma 6·96-procentowy ubytek absolutny. Wedle 10·73-procentowego przyrostu ludności krajowej język niemiecki w Galicyi powinienby był podnieść się na 252 030 głów, co w porównaniu ze stanem faktycznym oznacza okrągło 40 300 głów = 17·69% ubytku stosunkowego. Naszem zdaniem jednak ubytek ten niewiele znaczy; tłómaczymy go sobie poprostu tem, że w roku 1900 było mniej niż w r. 1890 tych Żydów, którzy przypisali się do języka niemieckiego i ruskiego, a którzy za lada zwrotem kurka na kościele gotowi znowu przedzierżgnąć się w *die verfassungstreuen Kreise von Galizien* (galicyjskie sfery wiernokonstytucyjne), jak nazywali się aż do r. 1880, t. j. aż do ery Taaffego. Podobnie, ale w sensie odwrotnym, tłómaczymy sobie ponadstosunkowy przyrost języka niemieckiego na Bukowinie. Na tej wschodniej placówce „kultury" niemieckiej, gdzie nawet część Polaków (podobnie jak na Śląsku) wypiera się narodowości swojej, ta część Żydów, która dawniej przypisywała się do języka rumuńskiego i może także do ruskiego, pewnie teraz przerzuca się na niemczyznę. Natomiast całkiem rzetelny i statystycznie może niedość jeszcze uwydatniony jest rozrost języka polskiego na Śląsku,

rozrost ciągły, datujący się od roku 1880, wobec którego kurczy się tam w wściekłym gniewie niemczyzna.

Zakończmy ten przegląd datami odnoszącemi się do niektórych miast, a to z pominięciem liczb bardzo małych, nie wpływających na charakterystykę składu ludności.

W skład ludności miasta Wiednia w roku 1900 wchodziło 1 386 115 osób = 92·58% języka niemieckiego, a 102 974 = 6·88% języka czeskiego. W r. 1890 stosunki procentowe były: 94·42% Niemców, 5·26% Czechów. Wzmaga się więc „inwazya“ czeska do stolicy austryackiej.

Na Pragę czeską statystyka wykazuje 178 123 Czechów = 89·50%, a 20 272 Niemców = 10·19%. W r. 1890 stosunek był dla Niemców o wiele korzystniejszy; było bowiem Czechów 83·50%, Niemców 16·41%. Może i w Pradze językowa dwuznaczność Żydów wpływa na takową zmianę w rezultatach popisowych.

W Tryeście było 116 825 = 77·36% Włochów, 24 679 = 16·34% Słoweńców, 8 880 = 5·88% Niemców. Odnośne liczby procentowe z r. 1890 są: 73·89%, 20·47% i 5·25%.

Gradec styryjski miał 121 662 = 98·37% Niemców (między nimi takich, jak Kokoszynek, Podpecznik, Rokitansky, Rabcewicz i t. d. w nieskończoność), a 1 430 = 1·16% Słoweńców. W r. 1890 wykazywała statystyka 98·43% Niemców, a 1·47% Słoweńców; a więc nietylko Słoweńcy, lecz i Niemcy mają niejaki ubytek stosunkowy, co stąd pochodzi, że napłynęło do Gradcu nieco Włochów i Czechów.

Brno morawskie miało 68 702 = 63·97% Niemców, a 38 365 = 35·74% Czechów, podczas gdy w r. 1890 było tam 68·73% Niemców, 31·11% Czechów. Na Morawie jest więc inaczej, niż w Czechach. Stołeczne miasto Czech wypiera wprawdzie niemczyznę coraz więcej, ale w kraju czeszczyzna niezupełnie dotrzymuje kroku niemczyźnie; na Morawie natomiast żywioł czeski rozwija się i w kraju i w jego mieście głównem pomyślniej, niż niemczyzna.

W Opawie było 22 114 = 87·17% Niemców, 2 604 = 10·25% Czechów, 598 = 2·39% Polaków. W r. 1890 odnośne liczby procentowe były: 86·85%, 11·34% i 1·76%, co znaczy, że Czesi nieco ustępują Polakom i Niemcom. Więcej oczywiście interesowałoby nas miasto Cieszyn, które atoli nie ma w statystyce własnej rubryki.

W Krakowie w r. 1900 mamy: 78 573 = 90·85% Polaków (rozumie się wraz z Żydami, którzy przypisali się do języka polskiego), 249 = 0·29% Rusinów, 6 576 = 7·60% Niemców, 1 082 = 1·25%

Czechów, podczas gdy w r. 1890 było: 91·32% Polaków, 0·26% Rusinów, 6·78% Niemców; procent czeski zaś w r. 1890 wynosił 1·63. Przyrost procentu niemieckiego w Krakowie idzie pewnie na karb wojskowości.

W Lwowie mamy: 120 634 = 76·85% Polaków (wraz z Żydami), 15 159 = 9·66% Rusinów, 20 409 = 13·00% Niemców, 701 = 0·45% Czechów; w r. 1890 zaś było: 82·75% Polaków, 7·22% Rusinów, 9·66% Niemców; procent czeski wynosił 0·32. Język polski tedy znacznie ustąpił niemieckiemu i ruskiemu. Nie mogąc przypuścić, iżby Żydzi lwowscy przerzucali się już teraz znowu na niemczyznę, choć w przyszłości takby być mogło, musimy rozrost niemczyzny w Lwowie przypisać głównie wojskowości, po części atoli pewnie też niejakiemu napływowi protestantów, których ujrzeliśmy w Lwowie powyżej liczbę sporą.

W Czerniowcach w r. 1900 było: Niemców (może przeważnie Żydów) 34 441 = 52·37%, Rusinów 13 030 = 19·81%, Rumunów 9 400 = 14·29%, Polaków 8 601 = 13·08%; w r. 1890 zaś było: Niemców 51·30%, Rusinów 19·59%, Rumunów 14·38%, Polaków 14·36%. Przy niewielkiej zmianie stosunków na korzyść języka niemieckiego i ruskiego, język polski w głównem mieście Bukowiny doznał niejakiego uszczerbku, choć w kraju samym wzmógł się nieco.

IV Ludność wedle płci.

Między męską a żeńską połową rodu ludzkiego niema równowagi zupełnej; niema jej ani pod względem liczby noworodków, ani pod względem śmiertelności, a stąd też niema jej pod względem aktualnego w pewnej chwili stosunku liczby osób płci męskiej do liczby osób płci żeńskiej. Ten brak równowagi, najogólniej, najwięcej sumarycznie wzięty, nie tyle uderza, ile raczej fakt, że nierównowaga jest nierówna, i to w tym stopniu nierówna, iż w jednych krajach, czyto europejskich, czy specyalnie austryackich, przewagę ma płeć męska, w drugich żeńska. Właściwie popełniliśmy tu błąd, wymieniając płeć męską na pierwszem, żeńską na drugiem miejscu; albowiem w krajach europejskich w ogólności przewagę aktualną w każdej chwili, t. j. w liczbie osób przed laty czy dziś żyjących, miała i ma i pewnie długo jeszcze, jeśli może nie zawsze, mieć będzie płeć żeńska. Ale na nierównowadze i na nierówności nierównowagi rzecz jeszcze się nie kończy; nierówność ta bowiem ulega z czasem zmianie na tem samem miejscu, i gdybyśmy na kuli ziemskiej pociągnęli dziś linie izogeneryczne na wzór izoter-

micznych, zastalibyśmy za lat dziesięć lub dwadzieścia niejakie zboczenia od tych linij, a za lat sto zboczenia tem większe. Mimo to wszystko na całym obszarze tych różnic wczorajszych i zmian dzisiejszych, jako też w całym ruchu zmienności widać pewną prawidłowość; a prawidło to odkryć, odgadnąć czy obrachować — oto nierozwiązany dotychczas problemat. Do rozwiązania go, choćby tylko hypotetycznie przybliżonego, potrzeba długich jeszcze lat współpracownictwa rozlicznych gałęzi umiejętności, polegającego na obserwacyach świadomych celu a bardzo szczegółowych i ścisłych.

Podajemy tu stosunek liczebny płci męskiej do żeńskiej z tych państw, w których na schyłku wieku dziewiętnastego przeprowadzono popis ludności, a to w kolei tej, w której stosunek rzeczony postępuje od najmniejszego do największego. Na 1000 mieszkańców ludności popisowej (t. j. bez względu na różnice: czy swojej, czy zagranicznej, czy stanu cywilnego, czy wojskowego) było:

1.	w W. Brytanii z Irlandyą.	485	osób	płci	męskiej,	515	płci	żeńskiej
2.	w Norwegii	487	„	„	„	513	„	„
3.	w Danii	487	„	„	„	513	„	„
4.	w Szwecyi	488	„	„	„	512	„	„
5.	w Szwajcaryi	491	„	„	„	509	„	„
6.	w Austryi	491	„	„	„	509	„	„
7.	w Niemczech	492	„	„	„	508	„	„
8.	w Niderlandach	494	„	„	„	506	„	„
9.	w Francyi	494	„	„	„	506	„	„
10.	w Węgrzech	496	„	„	„	504	„	„
11.	w Belgii	499	„	„	„	501	„	„
12.	w Włoszech	501	„	„	„	499	„	„
13.	w Rumunii	507	„	„	„	493	„	„
14.	w Bułgaryi	511	„	„	„	489	„	„
15.	w Serbii	514	„	„	„	486	„	„

Rozumie się, że materyał zawarty w liczbach powyższych jest zbyt surowy, zbyt gruby, aby go użyć do studyum umiejętnego. Terytorya, do których te liczby się odnoszą, są nietylko jedno w porównaniu z drugiem bardzo nierówne już co do rozległości, lecz także same w sobie zawierają rozliczne a nieraz wielkie i poprostu skrajne różnice geograficzne, topograficzne, etnograficzne i ekonomiczne. Dlatego też w zestawieniu powyższem pominęliśmy Rosyę, która, sama jedna większa i w sobie samej rozmaitsza od wszystkich krajów wyżej wymienionych a razem wziętych, jako jednostka statystyczna równa jednostce stałaby na równi z Niderlandami i z Francyą. Są nadto

w zestawieniu powyższem skoki pod względem geograficznym takie, że np. Norwegia staje na drugiem, a Szwecya na czwartem miejscu; Austrya na szóstem a Węgry na dziesiątem. Skoki te dowodzą tylko, jak nieumiejętna jest statystyka urzędowa, skoro zadowala się materyałem zebranym wedle granic politycznych. Mimo to wszystko nietrudno w powyższem następstwie krajów dopatrzyć się linii, która z zachodniej północy ciągnie się ku wschodniemu południu Europy, zaczynając się znaczną przewagą płci żeńskiej, a kończąc prawie równie znaczną przewagą płci męskiej.

Przejdźmy z obszaru Europy na obszar Austryi. Z zestawieniem jak powyższe łączymy tu porównanie roku 1900 z latami 1890 i 1880, trzymając się jednak roku 1900 jako decydującego o kolejnem następstwie krajów austryackich. Pomorze austryackie przedstawiamy tu nie razem pod tą nazwą, lecz Tryest, Istryę i Gorycyę zosobna; tak samo Tyrol i Arulanię; a to ze względu na wielkie różnice, które występują na jaw, gdy się terytorya większe przedstawi w podziale na samoistne terytorya mniejsze. Otóż stosunek płci męskiej do żeńskiej w krajach austryackich tak się ukształtowywał, że z 1000 mieszkańców było:

	w r. 1880 płci		w r. 1890 płci		w r. 1900 płci	
	męsk.	żeńsk.	męsk.	żeńsk.	męsk.	żeńsk.
1. w Krainie	478	522	477	523	476	524
2. na Morawie	478	522	478	522	481	519
3. w Tryeście (z powiat.)	489	511	479	521	484	516
4. na Śląsku	474	526	477	523	486	514
5. w Czechach	481	519	483	517	486	514
6. w Dolnej Austryi.	494	506	491	509	492	508
7. w Karyntyi	488	512	489	511	492	508
8. w Galicyi	492	508	493	507	495	505
9. w Górnej Austryi	493	507	495	505	495	505
10. w Tyrolu	494	506	490	510	496	504
11. w Arulanii	487	513	489	511	496	504
12. w Styryi.	494	506	496	504	498	502
13. w Salcburgu	493	507	495	505	499	501
14. na Bukowinie	501	499	502	498	504	496
15. w Gorycyi	506	494	505	495	505	495
16. w Dalmacyi	503	497	505	496	508	492
17. w Istryi	519	481	520	480	516	484
razem	489	511	489	511	491	509

W zestawieniu tem kolej, w jakiej następują po sobie kraje wedle stosunku płci w końcu r. 1900, stanowiłaby na mapie geograficznej linię bardzo połamaną, a nawet krzyżującą się wielokrotnie:

a jednak już z stanowiska specyalnie austryackiegc kraje południowe, nadadryatyckie: Gorycya, Dalmacya i Istrya, odróżniają się uderzająco od drugich swoją, że ją tak nazwiemy, hyperandryą. Geograficznie należący do nich Tryest wyróżnia się wprawdzie hypergynajkią, i to bardzo znaczną, ale maleńkie to terytoryum stanowi pod rozlicznemi względami jakowąś indywidualność wyjątkową, tak że wyjątkowość jego pod względem stosunku płci niczego nie dowodzi przeciwko hyperandryi jako charakterystycznemu znamieniu austryackich krajów nadadryatyckich. O wiele więcej uderza wyjątkowość Bukowiny w sensie kontrastującym z Tryestem. Kraj ten, daleki od Adryatyku i położony więcej na północ, wykazuje prawie taką samą przewagę płci męskiej jak Gorycya. Uderza to jednak tylko z stanowiska austryackiego. Gdy bowiem spojrzymy na rzecz z stanowiska ogólnie europejskiego, ujrzymy Bukowinę nie jako kraj wyjątkowy, lecz jako cząstkę należącą wraz z Gorycyą, Istryą i Dalmacyą do południowo-wschodniego hyperandryjnego obszaru europejskiego, który poznaliśmy powyżej pod polityczno-geograficzną, a więc niedokładną nazwą Włoch, Rumunii, Bułgaryi i Serbii. Szkoda, że nie mamy statystyki Bośni i Hercegowiny; jesteśmy przekonani, że kraje te także mają przewagę płci męskiej, że przeto wypełniają szczerbę, która jest między Dalmacyą a Serbią.

Ze względu na to, że w zestawieniu powyższem liczby oznaczają osoby, unikaliśmy w niem ułamków; stąd liczby są do pewnego stopnia niedokładne. Tak np. w rubryce poziomej „razem“ pod r. 1880 zamiast 489 płci męskiej a 511 żeńskiej powinno właściwie być: 488·52 płci męsk. a 511·48 żeńsk.; pod r. 1890 zaś zamiast tych samych liczb powinno właściwie być: 489·24 płci męskiej a 510.76 żeńskiej. Po takiemż sprostowaniu liczb pod r. 1900 otrzymamy na całą Austryę:

w roku	1880	488·52	płci męskiej,		511·48	płci żeńskiej	
„ „	1890	489·24	„	„	510·76	„	„
„ „	1900	491·40	„	„	508·60	„	„

a w tych liczbach ściślejszych uwydatnia się całkiem wyraźnie ciągła dążność do zrównoważenia się płci obojga. Ponieważ przewaga płci żeńskiej równie w Europie, jak szczegółowo i w Austryi zdaje się oznaczać normalny stan rzeczy, przeto dążność tę możnaby nazwać poniekąd nienaturalną. Przyczynę zmiany stosunku płci w okresie ostatnim poznajemy z dat następujących. Na 1000 osób obojga płci w Austryi było:

w okresie	1880—1890	żyworodków	pł. m.	515·73,	pł. ż.	484·27
„ „	1890—1900	„	„ „	514·40,	„ „	485·60
„ „	1880—1890	zmarłych	„ „	515·94,	„ „	484·06
„ „	1890—1900	„	„ „	511·62,	„ „	488·38

czyli innemi słowy: w okresie ostatnim zmienił się stosunek pod względem żyworodków wprawdzie na korzyść płci żeńskiej, ale w o wiele wyższym stopniu zmienił się na jej niekorzyść pod względem śmiertelności. Drugą, i to więcej uwydatniającą się przyczyną zmniejszenia przewagi płci żeńskiej, jest udział jej w emigracyi poza granice Austryi. W okresie przedostatnim na 1000 emigrantów przypadało 651·47 płci męskiej a tylko 348·53 płci żeńskiej; w okresie ostatnim stosunek zmienił się bardzo znacznie: 554·02 płci męskiej, 445 98 płci żeńskiej. O pierwszej przyczynie, większej śmiertelności, trudno rozprawiać, choć może byłoby wolno domyślać się, że zdrowie i żywotność płci męskiej są otoczone większą opieką publiczną, niż płci żeńskiej; druga natomiast przyczyna, większy udział w emigracyi, niewątpliwie już wypływa z urządzeń społecznych, nie z praw przyrody. A więc stosunkowy ubytek płci żeńskiej w Austryi w ostatnim okresie popisowym jest rzeczywiście po części nienaturalny. Co do okresu przedostatniego, w którym zresztą ubytek ten jest o wiele mniejszy, braknie nam dat do wyświetlenia przyczyn.

Przypatrując się w zestawieniu powyższem zmianom zaszłym w krajach austryackich zosobna, widzimy Dolną Austryę i Tryest jako wyjątki nie postępujące w dążności do zrównoważenia się płci; owszem tu i tam przewaga płci żeńskiej rośnie. Gdy zamiast „Dolna Austrya“ powiemy „Wiedeń“, natychmiast zrozumiemy zgodność z Tryestem. Wiedeń i Tryest bowiem najwięcej rozrastają się napływem z zewnątrz, a w napływie tym, podobnie jak w emigracyi za granice Austryi, płeć żeńska coraz większy stanowi procent. W Gorycyi i w Istryi płeć żeńska także czyni postępy, choć jej daleko jeszcze do przewagi nad męską; natomiast w Dalmacyi i na Bukowinie widzimy ruch wręcz przeciwny wiedeńskiemu i tryesteńskiemu, rośnie bowiem przewaga płci męskiej. Można tedy powiedzieć, że Wiedeń i Tryest z jednej, a Bukowina i Dalmacya z drugiej strony reprezentują skrajne anomalie. W wszystkich innych krajach austryackich panuje przewaga płci żeńskiej, ale zwolna a statecznie dokonywa się proces zrównoważenia. Nie możemy jednak milczeniem pominąć wielce ciekawego faktu, że Czechy, Morawa i Śląsko wyróżniają się jako jeden zwarty obszar hypergynajkią najwyższego w Austryi stopnia, a to równie dawniej jak i teraz. Granice tego obszaru stromo opadają ku Górnej Austryi, Dolnej Austryi i Galicyi.

Nadmienimy jeszcze, że, gdy z obrachunku wypuścimy wojsko jako sztuczne nagromadzenie osób płci męskiej, które na bardzo ma-

łych obszarach (miast, powiatów) prawie zawsze daje przewagę tejże płci, zastajemy w Galicyi dwa takie obszary o bardzo znacznej hypergynajkii, mianowicie miasto Lwów, gdzie na 1000 mieszkańców jest 468 płci męskiej a 532 płci żeńskiej, i powiat krośnieński, gdzie stosunek ten jest 471 : 529. Trzy zaś są powiaty, w których wogóle hyperandrya zachodzi, mianowicie: samborski z stosunkiem 506 : 494, stryjski z stosunkiem 507 : 493 i turczański z stosunkiem 508 : 492. Na Śląsku największa hypergynajkia jest w powiecie frydkowskim, gdzie na 1000 mieszkańców przypada 456 płci męskiej, 544 płci żeńskiej, a hyperandrya wogóle zachodzi tylko w powiecie frysztackim, i to w bardzo ekscentrycznym stosunku 530 : 470, jedynie dla sztucznego nagromadzenia osób płci męskiej, nie stanu wojskowego wprawdzie, ale robotniczego. Na Bukowinie jedynie miasto Czerniowce wyróżnia się hypergynajkią w stosunku 485 osób płci męskiej do 515 osób płci żeńskiej.

* * *

Powyższe wiadomości statystyczne przedstawiają nam stan rzeczy w Austryi w ostatniej chwili wieku dziewiętnastego. Niepospolicie ciekawe byłoby systematyczne porównanie go z stanem na samym początku tegoż wieku. Niestety, dat analogicznych z początku wieku nie mamy i mieć nie możemy, bo statystyka przed stoma laty miała inną formę; są z owego czasu niektóre tylko liczby, które z dzisiejszemi porównać można, a do nich należą liczby ludności wogóle. Ale za to mamy je nie z samej Austryi, lecz z całej Europy [1]. Otóż porównanie zaludnienia państw europejskich i Północnej Ameryki z początku a końca wieku dziewiętnastego wypada jak następuje. Liczba ludności wynosiła:

	na początku wieku	na końcu wieku	przyrost w %
w Austro-Węgrzech . . .	31 992 943	45 354 039 [2]	41·76
w Niemczech	24 831 396	56 367 178	127·00
w Anglii	14 727 887	41 454 578	181·48
w Francyi	29 107 425	38 641 333	32·75

[1] Daty z początku wieku dziewiętnastego znajdujemy w pewnym dzienniku, który źródła swego nie przytacza. Jest nim wiedeńska *Arbeiter-Zeitung* (socyalistowska), której przeto odpowiedzialność za daty te pozostawiamy. Daty z końca wieku bierzemy z publikacyi c. k. austryackiej Centralnej Komisyi statystycznej.

[2] W Austryi 26 150 708, na Węgrzech, 19 204 331. choć obszar węgierski (322 310 *km*²) jest większy od austryackiego (300 008 *km*²). W Austryi przypada na 1 *km*² 87·2 mieszkańców, na Węgrzech tylko 54·0 mieszkańców.

	na początku wieku	na końcu wieku	przyrost w %
w Włoszech	17 700 000	32 475 253	83·48
w Rosyi europejskiej [1] . .	61 391 494	115 882 694	88·76
w Hiszpanii	10 409 879	17 731 114	70·33
w Szwecyi i Norwegii . .	2 671 134	7 367 836	175·83
w Szwajcaryi.	2 520 494	3 325 023	31·92
w Belgii	3 785 814	6 693 810	76·82
w Niderlandach	2 613 487	5 103 353	133·53
w Ameryce północnej [2] . .	3 929 827	76 303 387	1841·65

Liczby odnoszące się do Północnej Ameryki dają nam wyobrażenie o emigracyi europejskiej. Właśnie ze względu na emigracyę możemy powiedzieć, że liczby powyższe przedstawiają rozmnożenie ludności europejskiej, a to nawet jeszcze nie w całości. Sumy z liczb tych są: na początku wieku 205 681 179, na końcu 446 699 598; przyrost więc wynosi 241 018 419 = 117·18%.

Józef Glinkiewicz.

[1] Co do Rosyi europejskiej obie daty bierzemy z *Arbeiter-Zeitung,* bo austryacka statystyka urzędowa nie podaje ani jednej ani drugiej; nie wiemy atoli, czy w pojęciu Rosyi europejskiej oprócz ziem polskich mieści się także Finlandya.

[2] Obie daty z *Arbeiter-Zeitung,* bo statystyka urzędowa Ameryki wcale nie uwzględnia, choć to ludność europejska.

Sprostowanie.

W lutowym zeszycie *Przeglądu* na str. 300 w tabelce, mianowicie w ostatniej kolumnie liczb, znak „ (oznaczający powtórzenie) powinien być opuszczony na sześciu miejscach, gdzie stosunek jest obliczony nie procentowo, lecz na 100 000 ludności. Trzeba więc przekreślić go po liczbach 107, 435, 118, 9, 13, 198.

Na str. 310 w wierszu 10-tym z góry, zamiast 0·19% powinno być 0·14%.

Druk ukończono 28 lutego 1903 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Wigilia Bożego Narodzenia. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.*	1*—12*
Don Lorenzo Perosi a oratoryum muzyczne. (Dok.) Przez *ks. d-ra Józefa Surzyńskiego*	1 192
Niebezpieczeństwo projektu nowej ustawy prasowej dla Galicyi. Przez *d-ra Juliusza Makarewicza*	21
Nowa powieść rosyjska. I. Maxym Gorkij. (Dokończ.) Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	42
Dwa obozy we Francyi. II. Obóz katolicki. (Dok.) Przez *ks. K. Krokoszyńskiego T. J.*	65
Czasopisma polskich socyalistów w roku ostatnim. (Dok.) Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	85
Idea narodowa w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego. Przez *d-ra Leopolda Caro*	161
Socyalistyczny zjazd w Przemyślu. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	175
Katolicyzm socyalny. Przez *d-ra Włodzimierza Czerkawskiego*	207
Wrażenia z Brukseli. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	231
Głos polskiego biskupa o socyalizmie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	1*—16*
Teatr wiejski przyszłości. Przez *Lucyana Rydla*	313
Podfilipski i Dołęga. Przez *d-ra St. Dobrzyckiego.*	338
Nowiny z historyografii polskiej. Przez *d-ra Feliksa Koneczneg*o	356
Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne. Przez *ks. Włodz. Piątkiewicza T. J.*	371
Rzym wobec „Ksiąg Pielgrzymstwa“. (Dok.) Przez *Wł. S. T. J.*	388

Przegląd piśmiennictwa.

Str.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z DZIEDZINY FILOZOFICZNEJ. Dr H. Nusbaum: „Czem jestem". — Dr. A. Fabian: „Z nauki o życiu". — I. Kranz: „Teorye i poglądy pedagogiczne Kanta w związku z zasadniczemi pojęciami jego systemu filozoficznego. — W. Dzieduszycki: „Rzecz o uczuciach ludzkich". *(Dr. M. Straszewski)* 101

O SATYRACH NARUSZEWICZA. I. Chrzanowski. *(Dr. St. Dobrzycki)* . . . 112

NAJNOWSZA LIRYKA KASPROWICZA. *(Walery Gostomski)* 250

BIUROKRACYA. Józef Olszewski. *(Dr. A. Bielecki)* 256

W TYSIĄC LAT. Powieść Artur Gruszecki. *(Ks. Henryk Haduch T. J.)* 259

HISTORYA PRAWODAWSTWA RZYMSKIEGO. Fryderyk Zoll (starszy). Część pierwsza: Historya organów ustawodawczych w państwie rzymskiem. *(Dr. A. Bielecki)* 261

ITALIA. Marya Konopnicka. *(W. Gostomski)* 402

NIEDOLA — BURZE. Negri Ada. Przekład Maryi Konopnickiej. *(W. Gostomski)* 406

WEZWANIE DO POKUTY. Cztery serye kazań pasyjnych oraz trzy kazania na Wielki Piątek według starego rękopisu z końca wieku XVIII. Opracował ks Maryan Nassalski, mag. św. Teologii. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* 408

UCZUCIA LUDZKOŚCI WZGLĘDEM CHRYSTUSA Dowód Bóstwa Chrystusowego i prawdziwości Kościoła katolickiego. Ks. dr. Jan Łukowski. *(M. B. T. J.)* 411

Z piśmiennictw obcych.

IM REICHE DER AUSGESTOSSENEN. Aus dem Memoiren des sybirischen Sträflings L. Melschin. Übersetzung von Heinrich Harff. *(T. W.)* 115

POETIK UND MIMIK. Von Gerhard Gietmann S. I. *(Ks. C. T. J.)* . . . 120

LES MISSIONS CATHOLIQUES FRANÇAISES AU XIX SIÈCLE. Par le Pére J. B. Piollet S. J. *(T. W.)* 123

RÜCKSICHT AUF DAS KATHOLISCHE ORDENSWESEN IM XIX JAHRHUNDERT. Von Otto Braunsberger S. J. *(Ks. B. T. J.)* 126

LES FILLES DE LA CHARITÉ D'ARRAS.. Par L.Misermont. *(M.)* . . . 128

DIE HÖHERE BIBELKRITIK. Von P. Hildebrand Höpfl O. S. B. *(Ks. dr. St. Trzeciak)*. 263

LE MIROIR DE LA VIE. Robert de la Sizeranne. *(M. Harsdorf)* 267

GESCHICHTE DES DEUTSCHEN ZEITUNGSWESENS von den ersten Anfängen bis zur Wiederaufrichtung des deutschen Reiches. Von L. Salomon. *(Dr. J. Flach)* 270

ALTNEULAND. Roman von Theodor Herzl. *(Dr. J. Flach)* 272

LE ROMAN DE LEONARD DA VINCI LA RESURRECTION DES DIEUX. Dmitry de Merežkowski. Traduit du russe p. Aug. Sorrèze. *(T. W.)* . . 274

SUMMA THEOLOGIAE MORALIS. Hieronim Noldin T. J. *(Ks. Adam Gerstmann)* 413

DIE PARABELN DES HERRN IM EVANGELIUM. Leopold Fonk S. J. *(Ks. Adam Gerstmann)* 415

JÖRN UHL. Roman von Gustav Frenssen. *(T. Wodzicka)* 418

DER URSPRUNG DER NOTHVERORDNUNG. Dr. Julius Hatschek. *(Dr. Zygmunt Gargas)* 424

IOHANNIS WYCLIF MISCELLANEA PHILOSOPHICA. Vol I with an Essay on Wyclif's philosophical system by Michael Henry Dziewicki. *(Ks. K. C. T. J.)* 425

Str.

Zapiski bibliograficzne.

Nowele. Paź. *(St. Z.)* 130
Wszechmocni, kartka z kroniki miasta powiatowego wycięta przez autorkę „Księżniczki". *(wi)* 130
Pamiętnik włóczęgi. Powieść. Wł. K. Chodźkiewicza. *(St. Z.)* 130
Profile i perspektywy. B. Merwin. *(St. Z.)* 131
Przed wschodem słońca. Powieść. H. Zbierzchowski. *(St. S.)* 131
Z gleby kujawskiej. St. Przybyszewski. *(wi)* 132
Poezye G. Daniłowski. *(M. K.)* 132
Poezye. J. Wiśniewski. *(M. B. T. J.)* 132
Laboremus. Dramat. Björnstjerne Björnson. Nadzieja. Dramat. Heijermanns Herman jr. *(M. B. T. J.)* 133
Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Tom III. *(St. Z.)* . . 133
Wiązanka z dziejów Polski. St. Jachowicz. *(Ks. C. T. J.)* 134
Jezuity w zawedeniju Uniji na Rusy w doberestejskij dobi. O. Suszko. *(wi)* 135
Łystki paduť. B. Łepkyj, *(J. Fr. M.)* 136
Odsewi. Z. Kvedrowa. *(J. Fr. M.)* 136
Compte rendu du Congrès Marial. T. I, II. *(A. R.)* 137
Erwerb und Verlust des Schweizerbürgerrechts. Dr. G. Carlin. *(Dr. G.)* 276
Znaczenie „Balladyny" Słowackiego. Z. Strzetelska. *(Z.)* 277
Rapsody napoleońskie. Wacław Gąsiorowski. *(wi)* 278
Poezye Gustawa Zielińskiego. Poprzedzone życiorysem na podstawie listów poety skreślonym i oceną jego działalności przez d-ra P. Chmielowskiego. *(Z.)* 278
Grundriss der neuern deutschen Literaturgeschichte. Von R. M. Meyer. *(J. F.)* 279
Dramat liturgiczny w Polsce średniowiecznej. St. Windakiewicz. *(Z.)* 279
Přisłowa a přisłowne bróńčka a wosłowa Hornjołužiskich Serbow. Zběrał a zhromadźił Jan Radyserb Wjela. *(Z.)* 280
Pieniądz. Powieść. L. Stasiak. *(wi)* 281
Biblioteka utworów dramatycznych. T. I—XII. *(Z.)* 281
Strofy. Józef Nawrocki. *(Z.)* 282
Kędy milczy słońce... M. Kazecka. *(Z.)* 282
Katechizm polskiego dziecka. Wł. Bełza. Matka. Wł. Bełza. Bajki, klechdy i baśnie. Opracował Jan Kasprowicz. *(wi)*. 283
Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim Br Czarnik. *(B.)* 284
Pamiętnik kardynała Jerzego księcia Radziwiłła z lat 1556—1575. Wydał T. Wierzbowski. *(I.)* 284
Dzieła ks. Walerya Kalinki. Pisma pomniejsze. Cz. IV. *(E.)* . . 428
Projekt najbliższej akcyi kraju na polu przemysłu. Józef Olszewski. *(L.)* 429
Zabawy i gry ruchowe uprawiane w Parku Dra Jordana. Zebrał Dr. Maryan St. Tokarski. *(E.)* 430
Święte Pamiątki Sandomierza. Opisał ks Jerzy Rozkoszny. *(C.)* . . 430
Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego za rok 1901. *(K)* 430
Historya polska (1648—1696). Przez Teresę z Potockich Wodzicką. Cz. III. *(I.)* 431
Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup włocławski i krakowski. (* 1496 † 1560). Dr. Tadeusz Troskolański Część II. *(A. B.)* . . 432
Kwestya polska w Rosyi. Tom. Wentworth-Łubieński. *(Ks. K. C. T. J.)* 432
Зерна Горишничы. Н. Д. Камянина. Жменя третая: Шудь до Іерусалима. *(Ks. K. C. T. J.)* 433

Str.

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Stracony dla Francyi wpływ na Borneo. — Katolik królem na wyspach Samoa. — Niemcy stają po stronie katolika. — Ojczyzna stracona z odrazy do papisty. — Kościół a Boerzy. — Nadzieje Kościoła w Transwaalu. — Zakony zatrzymane na Filipinach. — Pole pracy katolickiej na Filipinach. — Katolicyzm Filipińczyków. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 138
Liga Gaelicka. (Dokończ.) Przez *Edmunda S. Naganowskiego* 145
Przegląd nowszych prądów w teoryi prawa karnego. Przez *A. Bieleckiego.* 152
Z krakowskiej Akademii Umiejętności 159

LUTY.

Sprawy Kościoła: W siódmym roku po zjeździe duchowieństwa w Przemyślu. — Kronika dyecezyi przemyskiej. — Dwulecie na polu pracy biskupiej. — Praca misyonarska i katechetyczna. — Walka przeciw socyalistom pod chorągwią demokracyi chrześcijańskiej. — Stanowisko duchowieństwa wobec ustawy szkolnej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 285
Wyniki ostatniego popisu ludności w Austryi z dnia 31 grudnia r. 1900. Przez *Józefa Glinkiewicza* 295

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Najnowsza encyklika w sprawie wychowania kleru. — Akcya przeciwrozwodowa we Włoszech staje się kwestyą polityczną. Przez *ks. Karola Krokoszyńskiego T. J.* 434
Wyniki ostatniego popisu ludności w Austryi z dnia 31 grudnia 1900 r. (Dok.) Przez *Józefa Glinkiewicza* 443

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.